

Przejmująca epicka opowieść rozgrywająca się na tle
zmieniającej się Europy XX wieku

NINO HARATISCHWILI

**Ósme
życie**

(dla Briłki)



NINO HARATISCHWILI

**Ósme
życie**

(dla Brilki)

TOM I

TŁUMACZENIE URSZULA POPRAWSKA



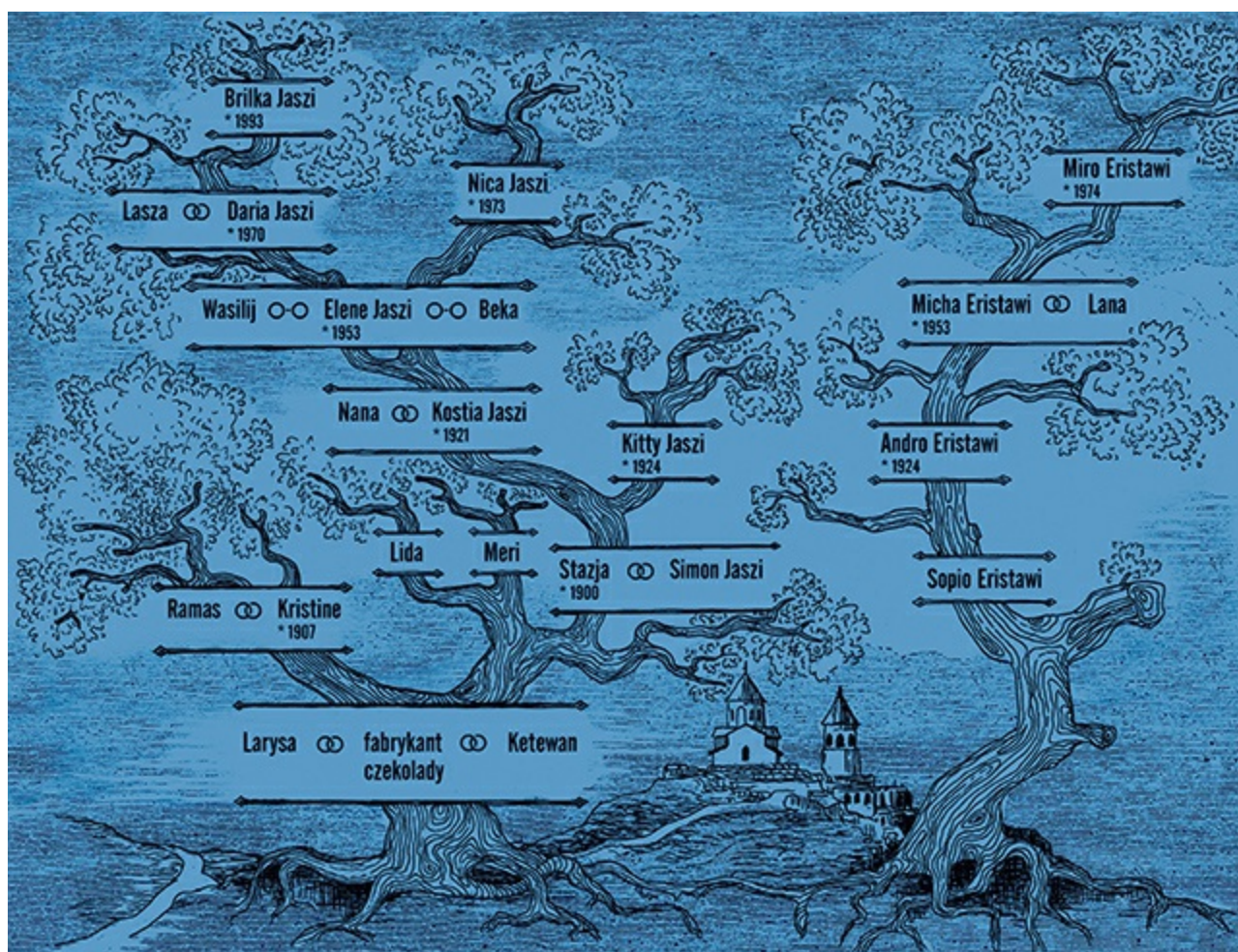
Bywa, że rządzą czasy, nie królowie.

prysłowie gruzińskie

*Mojej babci,
która podarowała mi tysiadc historii i jeden wiersz.*

*Mojemu ojcu,
który pozostawił mi wór pytań.*

*I mojej mamie,
która wskazywała, gdzie szukać odpowiedzi.*



PROLOG

ALBO

PARTYTURA ZAPOMNIANEGO

2006

Historia ta ma właściwie kilka początków. Trudno mi zdecydować się na jeden, ponieważ wszystkie składają się na ten początek.

Można ją rozpocząć – zupełnie nieefektownie – od dwóch nagich ciał w pewnym berlińskim mieszkaniu. Od dwudziestodziewięcioletniego mężczyzny, nieubłagane utalentowanego muzyka, który topi swój talent w alkoholu, zmiennych nastrojach i niezaspokajalnej tęsknocie za bliskością.

Można ją też zacząć od dwunastoletniej dziewczynki, która postanawia rzucić światu w twarz „nie” i szukać dla siebie i swojej historii innego początku.

Można cofnąć się bardzo daleko, do korzeni, i zacząć tam.

Albo można zacząć tę historię od tych trzech początków jednocześnie.

W chwili gdy Aman Baron, znany jako „ten Baron” albo tylko „Baron”, wyznał mi, że kocha mnie wstrząsająco niedobrze, nieznośnie lekko, uparcie milcząco i głośno, tak że można skonać ze śmiechu, chorowitą, słabującą, pozbawioną iluzji i wyteżenie twardą miłością, moja dwunastoletnia siostrzenica Brilka wyszła z hotelu w Amsterdamie i ruszyła w kierunku dworca. Miała tylko małą sportową torebkę, trochę pieniędzy w portfelu, a w ręce kanapkę z tuńczykiem. Chciała jechać do Wiednia i kupiła tani weekendowy bilet na pociąg regionalny. W recepcji zostawiła karteczkę. Napisała, że nie ma zamiaru wracać ze swoją grupą taneczną do ojczyzny i żeby jej nie szukać.

W tej właśnie chwili zapaliłam papierosa i dostałam ataku kaszlu – częściowo z wrażenia, jakie zrobiło na mnie wyznanie Amana, a częściowo od dymu, którym się zakrztusiłam. Aman, którego nigdy nie nazywałam „tym Baronem”, od razu do mnie podszedł, klepnął mnie w plecy tak, że na moment straciłam oddech, i spojrzał zaskoczony. Choć był ode mnie młodszy tylko o cztery lata, czułam się starsza o kilka dekad, a poza tym byłam na najlepszej drodze, żeby stać się figurą tragiczną. Niełatwo jednak było to zauważyć, bo byłam mistrzynią mamienia.

Na jego twarzy malowało się rozczarowanie – nie takiej reakcji spodziewał się na swoje wyznanie. Zwłaszcza że zaproponował mi, żebym pojechała z nim na *tournée*, które rozpoczynał za dwa tygodnie. Za oknem zaczął kropić deszcz, był czerwiec, ciepły zmierzch z lekkimi jak mgła chmurami, które ozdabiały niebo niczym małe kłęбки waty.

Kiedy kaszel minął, a Brilka wsiadła do pociągu, rozpoczynając swoją odyseję, gwałtownie otwierałam drzwi balkonowe i opadałam na sofę. Wydawało mi się, że się duszę. Żyłam w obcym kraju, zerwałam

kontakt z większością ludzi, których niegdyś kochałam i którzy wcześniej coś dla mnie znaczyli, i przyjął propozycję wykładów na uniwersytecie, co wprawdzie zapewniało mi byt, ale nie miało ze mną nic wspólnego.

Tego wieczoru, kiedy Aman powiedział, że chce przy mnie znormalnieć, Brilka, córka mojej nieżyjącej siostry i moja jedyna siostrzenica, jechała do Wiednia, miejsca, które w jej wyobraźni stało się ojczyzną z wyboru, osobistą utopią, a wszystko to z przywiązania do pewnej nieżyjącej kobiety. Owa nieżyjąca kobieta, siostra mojego dziadka, a tym samym siostra jej pradziadka, w jej wyobraźni była bohaterką. Brilka zamierzała zdobyć w Wiedniu prawa autorskie do jej piosenek. Podświadomie miała nadzieję, że idąc jej śladami, znajdzie rozwiązanie, ostateczną odpowiedź, i zapełni ziejącą w sobie pustkę. Ale tego wszystkiego jeszcze wówczas nie wiedziała.

Usiadłam na sofie, oparłam twarz na rękach i pocierałam oczy, unikając wzroku Amana. Znowu zbierało mi się na płacz, ale wiedziałam, że nie mogę się rozplakać. Nie teraz, kiedy Brilka z okna pociągu widzi migającą starą-nową Europę i po raz pierwszy się uśmiecha na myśl o swym przybyciu na ten kontynent obojętności. Nie wiem, jaki widok skłonił ją do uśmiechu, gdy opuszczała miasto z miniaturowymi mostami, ale to nieważne. Najważniejsze, że się uśmiechnęła.

Chce mi się płakać, pomyślałam dokładnie w tym momencie. I żeby tego nie zrobić, wstałam z sofy, poszłam do sypialni i położyłam się na łóżku. Na Amana nie musiałam długo czekać. Taki smutek jak jego bardzo szybko można uleczyć, jeśli się zaproponuje leczenie ciałem – zwłaszcza gdy chory ma dwadzieścia dziewięć lat.

Własnym pocałunkiem obudziłam się z letargu.

A kiedy Aman położył głowę na moim brzuchu, moja dwunastoletnia siostrzenica opuszczała Holandię. Przejeżdżała niemiecką granicę w przedziale wypełnionym zapachem piwa z puszki oraz samotnością, podczas gdy wiele setek kilometrów dalej jej nic nieprzeczuwająca ciotka udawała miłość do dwudziestodzieciuletniego cienia. Tymczasem siostrzenica przemierzała Niemcy w nadziei, że posuwa się naprzód.

Kiedy Aman zasnął, wstałam, poszłam do łazienki, usiadłam na brzegu wanny i zaczęłam płakać. Gorzkimi łzami oplakiwałam udawaną miłość, tęsknotę za wiarą w słowa, które kiedyś tak silnie wpływały na moje życie. Poszłam do kuchni, zapaliłam papierosa i wyjrzałam przez okno. Przestało padać. Nagle z jakiegoś powodu zrozumiałam, że coś się wydarzyło, coś się rozpoczęło, coś poza tym mieszkaniem o wysokich sufitach, z osieroconymi książkami, gorliwie gromadzonymi przeze mnie licznymi lampami – moją namiastką nieba, iluzją prawdziwego światła. Światelkiem w moim własnym tunelu. Ale tunel był zawsze, a światła lamp pocieszały mnie na krótko, tylko na chwilę.

Trzeba może jeszcze dodać, że Brilka była bardzo wysoka, prawie o dwie głowy wyższa ode mnie, co przy mojej posturze nie jest zresztą trudne. Miała krótką, chłopięcą fryzurę, okulary lenonki, stare dzinsy

i koszulę w kratkę. Do tego pięknie wykrojone oczy w kształcie ziaren kakao, ciągle szukające gwiazd, i nieskończenie wysokie czoło, za którym kryło się wiele strapień. Uciekła właśnie z grupy tanecznej przebywającej na gościnnych występach w Amsterdamie, w której tańczyła męskie partie, ponieważ była zbyt duża, zbyt mroczna do ludowych, delikatnych, kobiecych tańców z mojej ojczyzny. Po długich prośbach pozwolono jej w końcu występować w męskim stroju i tańczyć dzikie figury – ofiarą tej decyzji padł w minionym roku jej długi warkocz.

Mogła wykonywać podskoki, piruety i figury ze sztyletami, zawsze wychodzące jej lepiej niż falujące, marzycielskie ruchy kobiet. Lubiła tańczyć nad życie, ale kiedy zaproponowano jej partię solową przed holenderską publicznością, ponieważ była o wiele lepsza od młodych tancerzy, którzy z początku się z niej podśmiewali, opuściła zespół w poszukiwaniu odpowiedzi, której taniec nie mógł jej dać.

Następnego dnia zadzwoniła moja matka. Za każdym razem groziła, że umrze, jeśli zaraz nie wrócę do ojczyzny, z której uciekłam przed wielu laty. Drżącym głosem przekazała mi wiadomość, że „to dziecko” uciekło. Dłuższą chwilę trwało, zanim pojęłam, o jakim dziecku mowa i w jaki sposób to wszystko wiąże się ze mną.

– Jeszcze raz: gdzie ona dokładnie była?

– W Amsterdamie. Co z tobą, do diabła! Nie słyszysz, co mówię? Uciekła wczoraj i zostawiła wiadomość. Zadzwonił do mnie kierownik zespołu. Postawiono wszystkich na nogi...

– Czekaj, czekaj. Jak jedenastoletnia dziewczynka może zniknąć z hotelu, zwłaszcza że...

– Dwunastoletnia. W listopadzie skończyła dwanaście lat. Oczywiście nie pamiętasz. Jakżeby inaczej.

Głęboko zaciągnęłam się papierosem, przygotowując się na nadciągającą katastrofę. Ton matki nie wskazywał na to, że uda mi się szybko odciąć od tej afery i zniknąć, co w ostatnich latach było moją specjalnością. Szykowałam się na obowiązkowe wyrzuty, które zawsze zmierzały do tego, by mi uzmysłwić, jak jestem złą córką i jak niewydarzonym człowiekiem. I bez pomocy matki dobrze o tym wiedziałam.

– Okej, skończyła dwanaście lat, rzeczywiście o tym zapomniałam, ale to nie ma nic do rzeczy. Zawiadomiono policję?

– A jak myślisz? Szukają jej.

– No to ją znajdą. To tylko mała, rozpieszczona dziewczynka, która, jak przypuszczam, ma wizę turystyczną i...

– Czy ty masz jeszcze jakieś ludzkie uczucia?

– Przepraszam. Próbuję tylko głośno myśleć.

– Tym gorzej, jeśli tak myślisz.

– Mamo!

– Będą do mnie dzwonić. Powiedzieli, że najpóźniej za godzinę. Modlę się tylko, żeby ją znaleźli,

żeby ją szybko znaleźli. I chcę jeszcze, żebyś po nią pojechała i przywiozła ją. Daleko nie odjedzie.

– Ja...

– Ona jest córką twojej siostry. I ty ją przywieziesz. Obiecuj mi!

– Ale...

– Zrobisz to!

– O Boże, no dobrze.

– I nie wzywaj imienia Boga.

– Nie wolno mi teraz powiedzieć „o Boże”, czy co?

– Weźmiesz ją do siebie. A potem wsadzisz w samolot.

Tej samej nocy znaleziono ją w małym austriackim miasteczku niedaleko Wiednia, gdzie czekała na połączenie. Została zatrzymana przez austriacką policję i zabrana na posterunek. Matka zbudziła mnie i powiedziała, że mam jechać do Mödling.

– Dokąd?

– To miasto nazywa się Mödling. Zapisz sobie.

– Zapamiętam.

– Ty nigdy nawet nie wiesz, jaki jest dzień tygodnia.

– Zapisuję! Gdzie to jest, do diabła?

– Pod Wiedniem.

– A czego ona tam szukała?

– Pewnie chciała jechać do Wiednia.

– Do Wiednia?

– Tak, Wiednia. Powinno ci to coś mówić.

– Mówi.

– I zabierz z sobą dowód osobisty. Oni wiedzą, że odbierze ją ciotka. Zanotowali twoje nazwisko.

– Nie mogą jej po prostu wsadzić do samolotu?

– Nica!

– Okej, już się ubieram. Dobra.

– I zadzwoń, jak tylko ją odbierzesz.

Matka z trzaskiem odłożyła słuchawkę.

Tak zaczyna się ta historia.

Dlaczego Wiedeń? Dlaczego to wszystko działo się po nocy, gdy próbowałam tłumić płacz?

Wszystko miało swój powód. Gdyby nie on, musiałabym zacząć w zupełnie innym miejscu.

Nazywam się Nica. To imię zawiera słowo *ca*, które w moim ojczystym języku znaczy „niebo”. Może moje dotychczasowe życie było szukaniem tego nieba, które jeszcze przed moim urodzeniem dano mi na

drogę jako obietnicę. Moja siostra nazywała się Daria. Jej imię zawiera słowo *aria*, „chaos” – rozwalanie i przewracanie wszystkiego do góry nogami, bałaganienie i nieodstawianie na miejsce. Jestem jej zobowiązana: jej chaos zobowiązuje mnie, bym szukała w nim swojego nieba. Może po prostu chodzi jednak o Brillę. O Brillę, której imię w języku mojego dzieciństwa nie znaczy nic. Której imienia jeszcze nie opisano i które nie stygmatyzuje. O Brillę, która sama nadała sobie to imię i tak długo się upierała, żeby ją tak nazywać, aż wszyscy zapomnieli, jak nazywa się naprawdę.

I nawet jeśli nigdy ci tego nie powiedziałam, to z wielką chęcią – z nieprawdopodobną chęcią – pomogę ci, Brillko, inaczej i na nowo napisać swoją historię. Tutaj spisuję ją dlatego, żeby nie tylko ją opowiedzieć, ale też udowodnić. Tylko dlatego.

Zawdzięczam te wersy stuleciu, które wszystkich okłamało i zdradziło. Zawdzięczam te wersy trwającej wiele lat zdradzie, która ciąży mojej rodzinie jak przekleństwo. Zawdzięczam te wersy mojej siostrze, której nigdy nie mogłam wybaczyć, że tamtej nocy wyskoczyła, choć nie miała skrzydeł, mojemu dziadkowi, któremu wyrwała serce, mojej prababce, która tańczyła ze mną *pas de deux*, kiedy miała osiemdziesiąt trzy lata, mojej matce, która szukała Boga... Zawdzięczam te wersy Mirowi, który zainfekował mnie miłością jak trucizną. Zawdzięczam te wersy mojemu ojcu, którego nigdy naprawdę nie poznałam. Zawdzięczam te wersy pewnemu fabrykantowi czekolady i biało-czerwonemu porucznikowi, pewnej więziennej celi, lecz również stołowi operacyjnemu ustawionemu na środku klasy. Zawdzięczam te wersy nieskończenie wielu wylanym łzom, sobie samej, bo opuściłam ojczyznę, żeby się odnaleźć, a coraz bardziej się gubiłam. Ale przede wszystkim zawdzięczam te wersy tobie, Brillko.

Tobie je zawdzięczam, bo zasłużyłaś na ósme życie. Ponieważ mówi się, że liczba osiem oznacza wieczność, rzekę, która ciągle powraca. Ofiaruję ci moje osiem. Dzieli nas jedno stulecie. Czerwone stulecie. Na zawsze i na osiem. Teraz ty jesteś najważniejsza, Brillko. Adoptowałam twoje serce. Swoje cisnęłam daleko. Przyjmij to moje osiem.

Jesteś czarodziejskim dzieckiem. Przedrzyj się przez niebo i chaos, przedrzyj się przez nas wszystkich, przedrzyj przez te wersy, przedrzyj przez świat duchów i świat realny, przedrzyj przez powrót miłości i wiary, skróć odległość, która zawsze oddziela nas od szczęścia, przedrzyj się przez los, który nie był losem. Przedrzyj się przeze mnie i przez siebie.

Przetrwaj wszystkie wojny. Przekrocz wszelkie granice. Poświęcam ci wszystkich bogów i wszystkie wieńce róż, wszystkie pożary, wszystkie nadzieje, którym ścięto głowę, wszystkie historie. Przedrzyj się przez nie. Bo potrafisz. Masz ósemkę, pamiętaj o tym. W tej cyfrze na zawsze będziemy z sobą splecione i przez wieki możemy się nasłuchiwać. Sprostasz temu.

Bądź wszystkim, czym byliśmy i czym nie byliśmy. Bądź podporucznikiem, tancerką na linie, marynarzem, aktorką, producentem filmowym, pianistką, ukochaną, matką, pielęgniarzką, pisarką, bądź

czerwona i biała albo niebieska, bądź chaosem i niebem, bądź nią i mną, a jednocześnie nie bądź, a przede wszystkim nie przestawaj tańczyć *pas de deux*.

Przedrzyj się przez tę historię i pozostaw ją za sobą.

Urodziłam się 8 listopada 1973 roku w wiejskim szpitaliku, niewartym wspomnienia, w pobliżu Tbilisi.

Gruzja to mały kraj. I piękny, nie mogę zaprzeczyć, nawet ty się ze mną zgodzisz, Brilko. Te góry i kamieniste wybrzeże nad Morzem Czarnym. Wybrzeże w ostatnim stuleciu wprawdzie trochę się skurczyło za sprawą licznych wojen domowych, głupich decyzji politycznych, konfliktów podsycanych nienawiścią, ale całkiem ładna jego część jeszcze się ostała. Nawet jeśli dobrze znasz tę historię, Brilko, opowiem ją tu krótko, żeby ci uzmysłwić, dokąd zmierzam. Oto legenda o powstaniu naszego kraju.

Pewnego pięknego, słonecznego dnia Bóg podzielił stworzoną przez siebie kulę ziemską na kraje (musiało to być na długo przed budową wieży Babel). Zorganizował jarmark, na którym ludzie głośno się licytowali, zabiegając o dobra, jakie mogli od niego otrzymać, w nadziei że w ten sposób dostaną im się najlepsze płachcie ziemi (najskuteczniejsi w sztuce wywierania wrażenia byli zapewne Włosi, a najslabsi Czukcze). Pod koniec długiego dnia świat został podzielony na wiele krajów i Bóg był zmęczony. Ale w swej mądrości na miejsce odpoczynku wybrał dla siebie najpiękniejszy zakątek ziemi, bogaty w rzeki, wodospady, w soczyste owoce i – musiał to wiedzieć – w najlepsze wino na świecie. I kiedy podekscytowani ludzie ruszali w drogę do swoich nowych ojczyzn, dobry Bóg skierował się pod cieniste drzewo, by odpocząć. Zobaczył tam chrapiącego mężczyznę (z brodą i słusznym brzuchem, tak w każdym razie zawsze go sobie wyobrażałam). Bóg się zdziwił, bo nie widział go przy podziale świata. Zbudził go więc i spytał, co tu robi i dlaczego nie zainteresował się posiadaniem własnej ojczyzny. Mężczyzna uśmiechnął się łagodnie (może przed chwilą pozwolił sobie na jedną czy dwie szklaneczki czerwonego wina) i rzekł (tu istnieją różne wersje, ale przyjmijmy właśnie taką), że jest mu dobrze – świeci słońce, jest wspaniały dzień, a on zadowoli się tym, co Bogu tam jeszcze zostało. A kochany, dobrotliwy Bóg, ujęty wewnętrzną wolnością i brakiem ambicji owego człowieka, ofiarował mu swój prywatny raj – Gruzję, z której pochodzimy, Brilko, ty, ja oraz większość osób pojawiających się w naszej historii.

Co chcę przez to powiedzieć? Zauważ, że ta wolność (to jest lenistwo) i brak ambicji (to jest brak argumentów) uchodzą w naszym kraju za cechy szlachetne. Zauważ, że głęboka wiara w dobrego Boga (oczywiście Boga prawosławnego i żadnego innego) nie powstrzymuje ludzi z tego kraju przed tym, by wierzyć we wszystko, co choćby tylko trochę jest baśniowe, tajemnicze albo osnute legendą, i wcale nie musi pochodzić z Biblii. Mogą to być olbrzymy w górach, duchy we własnym domu, złe spojrzenia, które człowieka skazują na nieszczęście, czarne koty niosące z sobą przekleństwo, moc fusów z kawy albo prawda, którą odkrywa się tylko dzięki kartom (w dzisiejszych czasach, jak mi mówiłaś, kropi się

auto wodą święconą, żeby uchronić się od wypadku).

Ten kraj, niegdysiejsza złota Kolchida, dał Grekom tajemnicę miłości w formie złotego runa, ponieważ tak rozkazała knąbrna i nieprzytomnie zakochana królewska córka Medea. Ten kraj sprzyja cechom tak miłym, jak wysławiana pod niebo gościnność, i cechom mniej miłym – lenistwu, oportunizmowi i konformizmowi (większość Gruzinów w żadnym razie tak tego nie postrzega, również pod tym względem jesteśmy zgodne). Ten kraj w ostatnim stuleciu, po stu trzydziestu pięciu latach carskiego i rosyjskiego patronatu, zdołał dokładnie w cztery lata zbudować demokrację – została ona obalona przez rosyjskich, ale również gruzińskich bolszewików, którzy proklamowali Socjalistyczną Republikę Gruzji, jako jedną z republik Związku Radzieckiego.

W owym Związku kraj ten pozostał przez kolejne siedemdziesiąt lat. Potem nastąpiło kilka przełomów, krwawo tłumionych demonstracji, kilka wojen domowych, a w końcu przysłała wytęskniona demokracja, chociaż jej definicja pozostaje kwestią perspektywy i interpretacji.

Uważam, że nasz kraj może być całkiem komiczny (chcę przez to powiedzieć, że nie tylko tragiczny). Że w naszym kraju łatwo się zapomina, co idzie w parze z wypieraniem doznanego. Wypieraniem własnych ran, własnych błędów, ale też bezprawnie zadawanego bólu, ucisku, strat. Mimo to wznosi się tu toasty i często słychać śmiech. Robi to na mnie wielkie wrażenie, naprawdę, mimo że ostatni wiek przyniósł tak wiele smutnych spraw, których skutki do dziś są dla wielu powodem cierpienia. (Już słyszę, jak w tym miejscu oponujesz!)

Jest to kraj, który, oprócz wielkich katów dwudziestego wieku, wydał też wielu cudownych ludzi – tych kochałam i Kocham. Niektórzy z nich uciekli, inni zagubili się w swoich poszukiwaniach, niektórzy nie żyją, inni wrócili, niektórzy mają już za sobą najlepsze dni albo jeszcze mają na nie nadzieję, lecz świat o nich nie wie. Jest to kraj, który do dziś oplakuje swą złotą erę między dziesiątym a trzynastym stuleciem, kraj, który wierzy, że pewnego dnia znowu odzyska dawny blask (tak, w naszym kraju progres zawsze oznacza regres).

Tradycje wydają się nikłym odbiciem przeszłości. Dążenie do wolności to bezsensowne poszukiwanie niepewnego brzegu, gdyż w ciągu ostatnich osiemnastu lat nie udało się wypracować wspólnego pojmowania wolności. Kraj, w którym przysłałam na świat przed trzydziestoma trzema laty, podobny jest do króla, który ciągle jeszcze siedzi na tronie w błyszczącej koronie i we wspaniałym płaszczu i wydaje rozkazy, lecz nie dostrzega, że jego dwór już dawno go porzucił.

Nie bądź powodem żadnych nieprzyjemności – tak brzmi pierwsze przykazanie w tym kraju. Powiedziałaś mi to w czasie naszej wspólnej podróży i zapamiętałam twoje słowa (zapamiętałam wszystko, co mi wtedy powiedziałaś, Brillko). Dodam do tego jeszcze: żyj tak, jak żyli twoi rodzice, i rzadko, a najlepiej nigdy nie bądź sama. Samotność jest niebezpieczna i niepotrzebna. Ten kraj ubóstwia wspólnotę i nieufnie traktuje odludków. Pojawiaj się w gromadzie, z przyjaciółmi, we

wspólnotach rodzinnych i w towarzystwie ludzi o podobnych zainteresowaniach – w pojedynkę niewiele będziesz znaczyć.

Rozmnażaj się, bo jesteśmy małym krajem i musimy tworzyć przyszłe pokolenia – to przykazanie jest równie ważne, jak pierwsze przykazanie Dekalogu. Bądź zawsze dumna ze swego kraju, nigdy nie zapomnij swej mowy, zagranica, obojętne jaka, niech sobie będzie piękna, intrygująca i fascynująca, ale niech nigdy, nigdy, nigdy nie będzie lepsza od twojej ojczyzny. Znajdź zawsze takie cechy w ludziach innych nacji, które w Gruzji uznano by za co najmniej skandaliczne: skąpstwo, a więc niechęć do wydawania wszystkich pieniędzy na zabawę, niedostateczna gościnność, a więc odmowa stawiania całego swego życia na głowie z powodu każdych odwiedzin, umiarkowanie w jedzeniu i piciu, a więc niezdolność do picia na umór, a także brak talentu muzycznego.

Manifestuj swoją otwartość i tolerancyjność, interesuj się innymi kulturami, o ile szanują one i podkreślają niezwykłość i wyjątkowość twojej ojczyzny. Bądź (w ostatnich osiemnastu latach znowu) wierząca, chodź do cerkwi, nie kwestionuj niczego, co łączy się z Kościołem prawosławnym. Nie myśl samodzielnie, zawsze czyni znak krzyża, przechodząc obok cerkwi (mówiłaś, że to bardzo *en vogue*), a więc około dziesięciu tysięcy razy na dzień, kiedy znajdujesz się w stolicy. Nie krytykuj niczego, co święte, czyli niczego, co wiąże się z tym krajem.

Bądź radosna i pogodna, bo to cechy Gruzinów: w tym słonecznym kraju nie lubi się ponuraków. O tym też przekonasz się aż za dobrze. Nigdy nie zdradzaj męża, a jeśli mąż cię zdradzi, wybaczone mu, bo przecież jest mężczyzną. Żyj przede wszystkim dla innych. Bo inni tak czy inaczej zawsze wiedzą lepiej, co dla ciebie dobre.

Na koniec chcę jeszcze dorzucić, że mimo wieloletniej walki o ten kraj i z tym krajem nie zdołałam go zastąpić żadnym innym, wyrzucić go z siebie niczym złego ducha, który mną zawładnął. Żaden rytuał oczyszczenia, żaden mechanizm spychania w podświadomość do tej pory mi nie pomógł. Wszędzie, dokąd przyszłam, coraz bardziej oddalając się od swego kraju, szukałam tej roztrwonionej, rozproszonej, zmarnotrawionej, niespożytkowanej miłości, którą w nim pozostawiłam.

Tak, jest to kraj, który w ogóle nie przejawia ambicji, najchętniej wszystko wzięłoby w prezencie, bo jest przecież taki kochany, radosny i pogodny i (w dobre dni) potrafi wyczarować światu uśmiech na ustach.

W tym kraju 8 listopada 1973 roku przyszłam na świat, który był zbyt zajęty swoimi sprawami, żeby moje pojawienie się jakoś specjalnie zauważyć. Afera Watergate, demonstracje przeciwko wojnie w Wietnamie, rządy czarnych pułkowników w Grecji, kryzys naftowy i kariera Elvisa – to wszystko nie dawało spokoju światu na zachodzie, podczas gdy jego część wschodnia pod rządami Breżniewa pogrążała się w głuchej stagnacji. Stagnacji, która oznaczała, że władzy broni się wszystkimi środkami, a przez to odrzuca jakiegokolwiek reformy i coraz bardziej przyrymka oczy na przejawy rozkwitu korupcji

i czarnego rynku.

W obu jednak częściach świata słuchało się po raz pierwszy *The Great Gig in the Sky* Pink Floydów. Na Zachodzie publicznie, na Wschodzie po kryjomu.

A Wysocki miał jeszcze śpiewać o tych czasach:

*Wieczny cyrk,
Gdzie jak mydlane bańki
Pękają obietnice.
Niech świętuje, kto może.
Wielkie zmiany?
To tylko mowa-trawa.
Nie lubię tego wszystkiego,
Rzygać się chce.*

Poza moimi narodzinami i niefortunnym upadkiem mojej siostry nic specjalnego w tym dniu się nie wydarzyło. Może jeszcze to, że moja matka, tocząca nieustającą walkę ze swoim ojcem i ciągle mająca nadzieję, że ojciec kiedyś zrozumie żeńską część rodziny, straciła w tym dniu cierpliwość i zaczęła krzyczeć.

„Jesteś dziwką!”, bluznął dziadek, a moja matka odcięła się, płacząc: „Jeśli już, to jestem dzieckiem dziwki!”.

Dwie godziny później zaczęła rodzić.

W kłótnię uwikłani byli: mój dominujący dziadek, moja infantylna babka i moja coraz bardziej tracąca kontrolę nad swoim życiem matka.

Wyjątkowym zdarzeniem w owym dniu, tuż przed rozpoczęciem porodu, był upadek z konia i wstrząs mózgu mojej o dwa i pół roku starszej siostry.

Kilka dni wcześniej dziadek zabrał ją do pobliskiej stadniny i tak się zachwyciła arabami i konikami dagestańskimi, że dziadek w dniu moich narodzin znowu posadził ją na konia. Koń nagle się poderwał i rzucił dziecko, lekko tylko podtrzymywane przez dziadka w pasie. Wszystko zdarzyło się tak szybko, że dziadek nie zdążył jej złapać. Moja siostra spadła i niczym ciężka dynia uderzyła o ziemię zasłaną wprawdzie słomą, ale i tak za twardą dla jej miękkiego i różowego ciała.

Podczas gdy dziadek rzucił się zrozpaczony ku wnuczce, ciskając oskarżenia pod adresem hodowców koni i grożąc, że zamknie „całe to towarzystwo”, moja matka zaczęła jęczeć, poruszona kłótnią i raniącymi słowami, które długo jeszcze rozbrzmiewały echem w Zielonym Domu, domu mojego dzieciństwa. Moja babka, która w wielu podobnych scysjach między mężem a córką odgrywała rolę arbitra, tym razem nie opowiedziała się po żadnej ze stron, co jeszcze zwiększyło napięcie. Słyszając jęk matki, natychmiast pobiegła do kuchni i bez słowa chwyciła słuchawkę masywnego telefonu wiszącego

na ścianie.

Bóle porodowe trwały dokładnie osiem godzin.

W tym czasie, kiedy matka w towarzystwie mojej babki przybyła do wiejskiego szpitalika, do innego szpitala przywieziono Darię, moją siostrę, najczęściej nazywaną Dari albo Dariko.

„Aua!”, krzyczała Daria. „Aaa!”, krzyczała moja matka. „Mamaaaa!”, łkała Daria, a moja matka jęczała: „Mamaaaa!”. Dziadek wsiał do białej łady swojej córki, ponieważ jego ukochane auto, kolekcjonerska mewa (czyli rosyjska czajka, oficjalnie zwana GAZ 13, zarezerwowana wyłącznie dla radzieckiej elity), o którą dbał i którą kochał jak dziecko, było zbyt wolne na wiejskie drogi. Popędził do najlepszego szpitala w Tbilisi, gdzie u Darii stwierdzono lekki wstrząs mózgu. A moje przyjsie na świat skonstatowano kilka kilometrów dalej i parę godzin później.

Mój głośny wrzask zmusił mą wyczerpaną matkę do podniesienia głowy i przyjrzenia mi się. Stwierdziła, że nie jestem do nikogo podobna, a potem znowu opadła na prowizoryczny fotel porodowy. Pierwszą osobą, która świadomie mnie dotknęła, była babka. Orzekła, że jestem „dzieckiem z ponadprzeciętną potrzebą harmonii”. W końcu przysłałam na świat w epicentrum konfliktu. W kwestii potrzeby harmonii potężnie się jednak myliła.

Dziadek, który przywiózł siostrę ze szpitala do domu – lekarze kazali, by leżała w łóżku – otrzymał telefonicznie wiadomość, że dziecko, „drobne i ciemnowłose”, właśnie się urodziło i jest zdrowe. Siadł na tarasie opatulony w swoją starą kurtkę marynarską, o którą tak często kłóciłam się potem z siostrą, i cały czas kręcił głową.

Podczas gdy jego matka piekła ciasto powitalne, wyciągnęła z piwnicy ulubiony likier owocowy (tym razem z wiśni) i planowała świętowanie moich narodzin, dziadek siedział bez ruchu, porażony ponownym skandalicznym wyczynem swojej córki; nie był zdolny do niczego więcej. Moje narodziny zmusiły go do dania kolejnej wnuczce swego nazwiska – Jaszi, ponieważ zostałam poczęta w związku pozamałżeńskim. Tym razem nie z deztererem i zdrajcą, jak dziadek nazywał ojca mojej siostry, lecz po prostu z kryminalistą, który, gdy się rodziłam, siedział w więzieniu.

„To dziecko jest owocem bezwstydu Elene, jej zepsucia, i przypieczętowuje moją ostateczną porażkę w walce o jej cześć, nie mam więc żadnego powodu do radości czy świętowania. Ta dziewczynka, nawet jeśli niczemu nie jest winna, jest ucieleśnieniem całego zła, jakie jej matka nam wyrządziła”. Takie były jego pierwsze słowa, wypowiedziane wreszcie w odpowiedzi na liczne zachęty swej matki, a mojej prababki, żeby dał wyraz temu, co czuje na wieść o narodzeniu drugiej wnuczki. Tak oceniał sytuację ze swego punktu widzenia – biorąc pod uwagę okoliczności – i nie mogę mu tego brać za złe.

Przez pięć dni, kiedy przebywałam z matką w szpitalu, a babka codziennie przychodziła do swej córki z rosółem i marynowanymi warzywami, dziadek, odchodząc od zmysłów, dyżurował w domu przy łóżku Darii, która nie mogła zrozumieć, dlaczego nie wolno jej wstawać. Dziadek zajmował ją

rozmaitymi historiami, grami, filmami rysunkowymi (specjalnie wstawił telewizor do jej pokoju) i ani ona nie wiedziała o moim istnieniu, ani moja matka o wstrząsie mózgu swojej pierworodnej.

W królestwie naszego potężnego dziadka Daria była dzieckiem ubóstwianym i podziwianym, stworzonym do uwielbienia i zachwytów. Aż – tu uprzedzam fakty, bo upłynie jeszcze wiele lat, zanim to się stanie – brawurowo wcieliła się w rolę ubóstwianego skarbu.

Pomimo tych okoliczności, mimo ekstremalnie krańcowych ról, jakie od początku przydzielił nam dziadek – głowa rodziny, w dniu, w którym przywieziono mnie do domu z wiejskiego szpitala, zapewniłam sobie pewną wieczystą korzyść: bezgraniczną, szaloną miłość prababki Stazji. Ta miłość należała do mnie i tylko do mnie. Prababka obdarowała mnie uczuciem, którego dziesiątki lat skąpiła wszystkim innym, zwłaszcza własnemu synowi, udzielając go oszczędnie, w sposób skryty, trudny do rozpoznania, niemal niezdecydowany. Lecz mnie okazywała je śmiało, głośno, prawie obsesyjnie, z przekroczeniem wszelkich miar. Jakby czekała tylko na moje pojawienie się, jakby dla mnie zachowywała swoją miłość.

Dzień, w którym mnie przywieziono – wątłą, wymiętoszoną i naprawdę nieładną – był dniem, w którym Anastazja, bo tak brzmiało pełne imię prababki, opuściła swój dźwiękoszczelny zamek i wyszła na światło dzienne, by powitać mnie, brzydką kruszynę. Kiedy wzięła mnie na ręce i zamknęła oczy, coś się w niej zmieniło.

I kiedy się obudziła ze swego somnambulicznego stanu na widok drugiej prawnuczki, powiedziała: „To dziecko jest inne. Szczególne. Potrzebuje ochrony i wiele swobody”.

Wszyscy pukali się w głowę i znacząco wzdychali. Zwariowana staruszka obudziła się do życia i nikt tak naprawdę nie wiedział, czy to dobrze, czy źle.

Ja też uwielbiałam moją starszą siostrę.

Kiedy byłam mała, pytano mnie często, czy nie cierpię z powodu jej piękna i powodzenia oraz podziwu, jaki ją otaczał. Ale to nie było tak. Mimo wszystkich trudności, jakie przeszliśmy z Darią w czasach dzieciństwa i dorastania, choć dokuczałyśmy sobie, prawie się zadręczałyśmy i z wielkim trudem wybaczałyśmy sobie błędy, kochałyśmy się do szaleństwa.

To prawda, jako dziecko zawsze milczałam, gdy Daria pojawiała się w pobliżu, gdy się zastanawiała, czy chwycić mnie za głowę, czy połaskotać w nos. Nie potrafiłam inaczej, niż tylko ubóstwiać swoją siostrę, podobnie jak wszyscy wokół. Może powinnam w tym miejscu spróbować wyjaśnić jej oczywisty urok. Daria miała złote włosy – naprawdę złote. Miała też niespotykane, fascynujące oczy: jedno oko krystalicznie niebieskie, a drugie w kolorze laskowego orzecha. Miała zachwycający uśmiech i jak na tak śliczne dziecko dziwnie głęboki, zachrypnięty głos, niczym obrażony, pulchny wyrostek. Lecz to wszystko zbyt by rzecz upraszczało.

Nawet jeżeli mój dziadek tak bardzo kochał Darię, że moje narodziny uznał za rodzaj bezczelności,

ponieważ zagrażały jedynowładztwu jego pierwszej wnuczki, co czułam od początku, nie zmieniało to w niczym faktu, że szukałam i potrzebowałam bliskości mojej siostry.

Byłam brzydkim dzieckiem, które szybko uczyło się wywalczać sobie piękno.

Stazja, jak zawsze nazywano Anastazję, była wytworną kobietą, wprawdzie nie tak nadzwyczajnie piękną jak jej młodsza siostra Kristine, ale w momencie moich narodzin piękno mojej prababki zmieniło się w coś surrealistycznego, somnambulicznego. Zaczęła znowu odkrywać dla siebie balet i przez to odmłodziła.

Tworzyłyśmy naprawdę zwariowany duet.

Tak, Stazji zawdzięczam bardzo wiele, nawet jeśli były w moim dzieciństwie chwile, kiedy wolałabym to jej przebudzenie odwołać. Chwile, w których odczuwałam jej miłość jak przekleństwo i często wolałabym jej nie dostać. Nie dostać tej miłości jako dziwaczego odszkodowania za wiele bolesnych braków mojego dzieciństwa. Lecz ogólnie rzecz biorąc, dzięki niej nauczyłam się żyć, tańczyć na linie, kiedy wszystko wokół mnie stawało w płomieniach. Na linie rozpiętej wyżej niż najwyższe drzewa, wyżej niż wszystkie wieże. Unosiłam się w powietrzu bez lęku, bo w razie upadku mogłam rozłożyć ramiona i pofrunąć. Dzięki niej nauczyłam się przeklinać (w czasach gdy świat zaczyna się chwiać w posadach, umiejętność zdrowego przeklinania to niedoceniana sztuka). Dzięki niej nauczyłam się szukać dróg wyjścia z beznadziejnych sytuacji, wspinać się na ściany, kiedy wałę się mosty, i śmiać się jak ruski żołdat. Zwłaszcza wtedy, kiedy nie było nic do śmiechu.

Dzięki niej mogłam zdjąć z siebie wiele klątw niczym ciężące ubrania i demaskować fałszywe aureole. To wszystko i jeszcze więcej zawdzięczam Stazji, od której właściwie wszystko się zaczęło...

Coś, co dała mi Stazja i co może najtrwalej mnie ukształtowało, to historia dywanu.

Pewnego deszczowego poranka – byłam wtedy w drugiej albo w trzeciej klasie – kiedy zostałam w domu, w Zielonym Domu, bo złapałam katar, zastałam Stazję na poddaszu, które nigdy nie zostało wykończone. Był tam niezabezpieczony balkon, szeroki jak taras, ale bez barierek, na który nam, dzieciom, nie wolno było wchodzić, gdzieśmy się jednak najchętniej zbierali – po kryjomu i dość często. Teraz na tym balkonie stała Stazja i trzepała dywan w cudowne granatowo-czerwone wzory, nadjedzony przez mole. Nigdy wcześniej nie widziałam tego dywanu.

– Stój! Nie podchodź bliżej! – zakomenderowała na mój widok.

– Co tu robisz?

– Postanowiłam odrestaurować ten stary dywan.

– Co znaczy odrestaurować? – spytałam i zafascynowana zatrzymałam się przed nią.

– Odnowię go i zawieszę. Należał do naszej babci, a odziedziczyła go Kristine. Kristine nigdy go nie polubiła, więc mi go podarowała, ale ja też go nie ceniłam, dopóki się nie zestarzałam. To bardzo stary, drogocenny dywan.

– Nie da się przecież ze starego zrobić nowego.

– Oczywiście, że się da. Stary będzie jak nowy, to znaczy inny, już niedokładnie taki, jaki był wcześniej, zresztą nie o to chodzi. Jest ciekawiej, kiedy coś się przeobraża. Odnowimy go, zawiesimy i zobaczymy, co się stanie.

– Ale po co? – chciałam wiedzieć.

– Ten dywan to historia. A w tej historii jest ukrytych mnóstwo innych historii. Podejź tu, ostrożnie, daj rękę, a teraz popatrz. Widzisz ten wzór?

Patrzyłam na ornamenty na czerwonym tle.

– To wszystko są pojedyncze nitki. Pojedyncza nitka jest pojedynczą historią, rozumiesz?

Kiwnęłam głową w skupieniu, chociaż nie byłam pewna, czy rozumiem.

– Ty jesteś nitką, ja jestem nitką, razem stanowimy mały ozdobnik, a z wieloma innymi nitkami tworzymy wzór. Każda nitka jest inna, innej grubości i innego koloru. Trudno objąć wzrokiem cały wzór, ale kiedy patrzy się jednocześnie na wszystkie nici, wtedy ukazują się fantastyczne rzeczy. Popatrz na przykład tu. Czy to nie piękne? Ten ozdobnik jest po prostu bajeczny! Do tego dochodzi grubość tkania i liczba węzłków, a poza tym jeszcze różne układy kolorów. To wszystko tworzy teksturę. Uważam, że to naprawdę dobry wzór. W ostatnim czasie dużo i często o tym myślę. Kilimy są tkane z różnych historii. Trzeba je chronić i dbać o nie. Nawet jeśli ten leżał gdzieś zapakowany, rzucony molom na pożarcie, teraz musi ożyć i opowiedzieć nam swoje historie. Jestem pewna, że my też jesteśmy tam wplecione, nawet jeśli nigdy nie przyszło nam to do głowy.

I Stazja wróciła do trzepania starego dywanu. Nigdy nie zapomniałam tej lekcji.

Nie wiem, czy mam w tym miejscu podziękować Stazji, ponieważ sprawiła, że zawładnęły mną te historie i że przez lata jak opętana szukałam następnych historii, ukrytych za tymi pierwszymi jak kolejne warstwy w cennym dywanie.

Zacznę więc tutaj, pocieszając sama siebie jak przestraszone dziecko, które mocno przytula ukochaną zabawkę. Nie wiem, czy zdołam oddać sobie sprawiedliwość tym, co chcę spróbować ci opowiedzieć, i czy zdołam oddać sprawiedliwość tobie.

Boję się tych historii. Tych historii, które stale toczą się równolegle, chaotycznie, które wysuwają się na pierwszy plan, potem się chowają, wchodzą sobie w słowo. Bo one łączą się i przecinają, omijają się z daleka, nakładają na siebie, szpiegują się i zdradzają, prowadzą na manowce, zostawiają ślady, zacierają je, a przede wszystkim skrywają w sobie jeszcze tysiące innych historii.

Nie wiem, czy sama zrozumiałam i rozpoznałam wszystkie te powiązania, ale muszę w to wierzyć, by w krytycznej sytuacji – kiedy wszystkie liny się zerwą, wszystkie mosty runą – znowu rozłożyć ramiona i pofrunąć.

Zacznę od Stazji, żeby dojść do ciebie, Brilko.

Powiedziano mi, że przyszła na świat w mroźną zimę rozpoczynającego się dwudziestego wieku. Miała na głowie mnóstwo włosów, tak że można jej było zaplatać warkoczyki. I z pierwszym krzykiem właściwie już tańczyła. Śmiała się, kiedy krzyczała, jakby robiła to raczej dla uspokojenia dorosłych: rodziców, położnych, wiejskiego lekarza, a nie dlatego, że musiała. Swoje pierwsze kroki stawiała tak, jakby tańczyła *pas de deux*. I lubiła czekoladę, od zawsze. I zanim umiała powiedzieć „ojciec”, mówiła „madame Butterfly”. I gramofon odkryła dla siebie bardzo wcześnie, i miała najnowsze płyty, i nim umiała pisać i czytać, śpiewała razem z tym, co szło z płyty, i do tego tańczyła. I Eleonora Duse była jej faworytką. I była zwinniejsza i bardziej elokwentna od obydwu starszych sióstr. I najbardziej pogodna, i najbystrzejsza z nich.

Lecz przy okazji takich historii często zmyśla się to czy owo.

Kochała książki i sztuki piękne, ale przede wszystkim chodziła, tańcząc. I tańcząc, zawróciła w głowie porucznikowi Białej Gwardii na balu noworocznym u burmistrza, na swym pierwszym balu. Bezcelnie i młodzieńczo wtedy wyglądała, można by rzec, niemal prowokacyjnie. I warkocze, jej długie warkocze, upięte na głowie, błyszcząły niczym aureola wokół porcelanowego czoła. Emanowało z niej coś, co sprawiło, że się w niej zakochał. Naturalnie na wieki, na zawsze.

Doskonale jeździła konno, po męsku, co wywarło wrażenie na poruczniku. I to jakie! I interesowała się sawantkami, i chciała się kształcić w tańcu w Paryżu, w Ballets Russes. Miała siedemnaście lat, wtedy poprosił ją o rękę, potem przyszła rewolucja, a z nią groźba, że zostaną rozdzieleni. Krótko przed jego wyjazdem do Rosji ogarnął ją strach i zapomniała o Ballets Russes i o sawantkach, i wzięła z nim ślub. W małej cerkwi, w obecności swoich sióstr i ojca Serafima. Noc poślubną spędzili w zajeździe w pobliżu stepu, niedaleko od klasztoru mieszczącego się w skalnych jaskiniach. Tylko ich dwoje, noc, jaskinie, kamienie. Tak to było.

Naturalnie powinna była od razu zająć w ciążę, w takich historiach najczęściej tak się dzieje, tym razem jednak było inaczej. Wcześniej wciąż prosiła swego ojca, fabrykanta czekolady, o pozwolenie na wyjazd do Paryża, żeby tam móc się nauczyć pięknej sztuki tańca, ale on ciągle odpowiadał, że kobiecie nie wypada jeździć na koniu po męsku, a tym bardziej nie uchodzi w obcym mieście wyczyniać wulgarnych wygibasów.

Pojechała więc do męża do Piotrogradu, nie do Paryża.

Dopiero po kilku latach, przemierzywszy wiele dróg i doznawszy wielu cierpień, wróciła do swej ciepłej ojczyzny. Tam, gdzie później miałyśmy się urodzić ja i ty, Brilko.

Tu na razie kończy się legenda, a zaczynają fakty. Dziecko, najstarsze dziecko tych dwojga było mężczyzną i ten mężczyzna spłodził córkę. Córka zmieniła się w kobietę i urodziła Darię i mnie. A Darii urodziłaś się ty, Brilko. Te kobiety, ten porucznik, te córki i synowie już nie żyją, ale żyje legenda, żyjemy ty i ja. Więc musimy spróbować coś z tym zrobić.

KSIĘGA I

STAZJA

*Nie, nie pod obcych miast korowodem,
Nie pod skrzydłami nie ojczystych sił,
Z moim podówczas byłem narodem,
Tam, gdzie mój naród, na nieszczęście, był.*
Anna Achmatowa, *Requiem*,
przeł. Leopold Lewin

Dzwonił dzwonek, lecz żadna z sióstr nie otwierała. Ktoś nieustannie pociągał za sznur przy dzwonku, a ona nadal patrzyła bez ruchu w głąb ogrodu. Padało przez cały ranek, tak jakby jej nastrój rozumiał cały świat. Deszcz, szare niebo, wilgotna ziemia odsłaniały ją i dawały wgląd światu w jej rany.

Ojca jeszcze nie było, a macocha pojechała nowym wspaniałym powozem kupować materiały na suknie.

Zawołała na siostry, żadna nie odpowiedziała. Wtedy powoli się podniosła i zmuszając się do pokonania kilku schodów, otworzyła drzwi.

Za progiem stał młody mężczyzna w białym mundurze. Nigdy wcześniej go nie widziała i nieco zaskoczona cofnęła się od ciężkich dębowych drzwi.

– Dzień dobry. Pani zapewne jest Anastazja? Pozwoli pani, że się przedstawię: Simon Jaszi, porucznik Białej Gwardii i przyjaciel pani ojca. Jestem z nim umówiony. Czy mogę wejść?

A więc nie prosty podoficer ani nie podporucznik, lecz sam porucznik! Bez słowa skinęła głową i podała mu rękę. Był postawny, wysoki, miał szerokie ramiona, szczupłe nogi i kościste dłonie, nieco owłosione, niepasujące do jego zadbanego wyglądu – miało się wrażenie, że to natura przenika przez ten mundur. Zdjął perfekcyjnie leżące nakrycie głowy, które wydało się jej trochę śmieszne, i wszedł do środka. Teraz dopiero zauważyła, że wszyscy gdzieś się ulotnili.

Z kuchni dochodził zapach kawy i ciasta, lecz nikogo nie było. Poprowadziła gościa do salonu. Drzwi do ogrodu były otwarte. Deszcz wpadał do pokoju i białe firanki trzepotały na wilgotnym wietrze. Rzuciła się do drzwi i szybko je zamknęła. Deszcz był dla niej zagrożeniem, na jego widok znowu zbierało się jej na płacz, a płacz w obecności obcego mężczyzny był nie do pomyślenia.

Uświadomiła sobie, że ją rozpoznał i zwrócił się do niej po imieniu, choć była tylko jedną z czterech sióstr. Nigdy jeszcze u nich nie był, poznała to po jego zaciekawionym spojrzeniu, którym wodził po wnętrzu domu. Zastawiono na nią pułapkę. Tak, nie myliła się – teraz zrozumiała nagłą pustkę w domu. Więc to o niego chodziło. On był tym gniewnym bogiem, z którego ręki miała otrzymać karę. Był gwarantem przyszłości. Rzeźnikiem, katem. Zbladła i niepewnym krokiem wyszła z pokoju.

– Wszystko w porządku!? – zawołał za nią.

– Tak, tak! Przyniosę tylko kawę i ciasto. Lubi pan przecież kawę! – odkrzyknęła z kuchni, opierając się o ścianę i ocierając łzy rękawem.

Nic nie będzie już takie, jak było. Pojęła to nagle i w jednej chwili zyskała pewność, że dzieciństwo minęło. Że naraz będzie inne życie i wszystko – jej marzenia, pragnienia, wyobrażenia – sprowadzą się

do tego mężczyzny, do jego białego, rosyjskiego munduru. Pewnie jest podwładnym tego grubego, nieokrzesanego gubernatora Kutaisi. Jakie to straszne! Zrobiło się jej niedobrze, ale z dzbanka dymiła kawa, a mistrzowsko pokrojony tort z cukierni ojca już czekał, żeby zaproponować go gościowi.

I w ten sposób pierwszą daniną, jaką złożyła w ofierze swemu katu, był tort czekoladowy. Do konsumpcji. Tak jakby wszystkie obietnice dotyczące przyszłości, które noc w noc życie szeptało jej do ucha, oddawała pod nóż tego oprawcy, przez to, że zacznie żyć jego życiem, w którym nie będzie dla niej miejsca, w którym będzie obca, w którym do niczego nie dojdzie. Zagryzła usta i opanowała ból, który poczuła.

Na srebrnej tacy przyniosła parującą kawę i porcelanowy serwis. Gość siedział w fotelu ojca z nogą założoną na nogę, wpatrując się w zielony ogród pełen małych wiosennych kwiatków wychodzących z ziemi, ciekawych życia i ciepła. Ogród tonął w ciężkim deszczu.

– Ach, to wyborne. Pani ojciec to prawdziwy geniusz. A jaki dobry człowiek. Taki dyskretny, pokorny mężczyzna. Rzadko się teraz takich spotyka. Dziś, nawet kiedy ktoś sadzi drzewo, wszyscy wokoło muszą o tym wiedzieć. W naszych czasach nikt nie robi dobrych uczynków, żeby nie trąbić o tym wszem wobec. Pani ojciec jest inny. Jestem bardzo dumny, że mogę się zaliczać do grona jego znajomych. A pani *maman* jest czarująca.

– To moja macocha.

– Och.

– Proszę się częstować. Ciasta jest wystarczająco dużo. Słodkiego nigdy tu nie brakuje.

– Tak, znam wyroby pani ojca. Te wyśmienite torciki migdałowe, a jaki smakowity jest mus śliwkowy! Prawdziwe marzenie.

– Skąd zna pan papę, jeśli wolno spytać?

– Ja... Kiedyś wyświadczyłem mu przysługę, jeśli można to tak nazwać.

– Przed chwilą pan powiedział, że nie powinno się mówić, gdy czyni się coś dobrego. To świadczy o prawdziwej szlachetności, jeśli dobrze pana zrozumiałam.

– Ależ pani jest dokładna.

– Zapewne tak.

– Ciasto jest bajeczne. Dlaczego pani nie je?

– Jadam go codziennie wystarczająco dużo. Dziękuję.

– Wyświadczyłem jedynie uprzejmość. Nie powiedziałem, że uczyniłem coś dobrego.

– W przysłudze jest z natury coś dobrego.

– To zależy od sposobu patrzenia, nie uważa pani? Każdy człowiek patrzy na rzeczy z własnej perspektywy, którą niekoniecznie dzieli z innymi.

– Nie o tym myślałam. Są sprawy, w których ludzie powinni być zgodni. Być tego samego zdania.

– A te sprawy to...

– Na przykład, że słońce jest cudowne i że wiosna może sprawić cuda, że morze jest głębokie, a woda miękka. Że muzyka jest magiczna, jeśli ktoś dobrze gra. Że ból zęba jest rzeczą straszną, a balet najpiękniejszą na świecie.

– Rozumiem. Pani kocha taniec nad życie, czyż nie?

– Tak, to prawda.

– I pani mnie nie lubi, ponieważ pani myśli, że nie podzielam jej punktu widzenia?

– Skąd mam to wiedzieć?

– Tak pani sądzi. Tak pani przypuszcza.

– Nie przypuszczam niczego.

– Nie wierzę.

– Proszę posłuchać. Sądzę, że w wielu sprawach jest pan innego zdania niż ja choćby dlatego, że służy pan w wojsku, a ja nie lubię wojska. Co w tym zabawnego?

– Przepraszam. Pani mnie rozbawiła.

– Wspaniale. Przynajmniej jedno z nas ma dobry nastrój.

– Czy jeździ pani konno?

– Słucham?

– Czy jeździ pani konno?

– Oczywiście, jeżdżę.

– Po damsku, jak sądzę?

– Wolę po męsku.

– Wybornie! Czy zechce pani wybrać się ze mną jutro na przejażdżkę po stepie?

– Jutro mam lekcję baletu.

– Zaczekam na panią.

– Nie wiem.

– A może pani się boi?

– Ja miałabym się bać? Pana na pewno nie.

– Jesteśmy więc umówieni?

– Proszę posłuchać. Nie wiem, co powiedział panu o mnie mój ojciec, ale to na pewno nieprawda. Nie wiem, co panu obiecał, ale na pewno nie będę mogła tego dotrzymać. Chętnie zaryzykuję gniew pana i mego ojca, ale nie mam zamiaru niczego przed panem udawać. Nie pokocham pana. Dlaczego znowu pan się śmieje?

– Pani jest jeszcze bardziej rozkoszna, niż opisywał pani ojciec.

– Co ojciec panu obiecał?

– Nic. Powiedział tylko, że od czasu do czasu będę mógł panią odwiedzać.

– Żebym potem za pana wyszła i nie mogła więcej tańczyć?

– Żebyśmy się poznali.

– Pan jest o wiele starszy. To nie jest rozsądne.

– Mam dwadzieścia osiem lat.

– Mimo wszystko jest pan o wiele starszy. Jedenaście lat to duża różnica.

– Wyglądam bardzo młodo.

– Zupełnie nie zna się pan na balecie.

– Widziałem, jak pani tańczyła na prywatnym koncercie u Mikeladzego.

– Naprawdę?

– Tak.

– I?

– Była pani całkiem dobra.

– Całkiem dobra? Byłam bardzo dobra.

– Być może. Uważa pani przecież, że się nie znam.

– No tak. Laik ma ambicję posiadania własnej opinii.

– Och, jak to wspaniałomyślnie z pani strony.

– Pan nie ma wąsów.

– I cóż to oznacza?

– To nie wypada.

– Według najnowszej mody wypada.

– Jestem konserwatywna.

– Nie wygląda na to.

– Pan mnie nie zna.

– Widziałem panią kiedyś. Miała pani wtedy czternaście lat i słuchała koncertu skrzypcowego. Grali bracia Maximowie. Była pani bardzo wzruszona i ocierała łzy rękawem sukni. Nie używała pani chusteczki do nosa, tak jak wypada. To mi się spodobało. A potem wybiegła pani z sali. Kilka miesięcy później zobaczyłem panią w cyrku, który wówczas rozbił na wzgórzach wielki namiot. Jadła pani pieczone jabłko, a potem oblizwała sobie palce. A potem zobaczyłem panią na balu noworocznym, pierwszym pani balu, u burmistrza. Była pani czarująca w pierwszym tańcu, tylko pani partner był ciemną i nie umiał prowadzić. Ciągle deptał pani po palcach, a wtedy twarz pani tężała. Wyszła pani na zewnątrz i rąbkiem sukni wycierała kropelki potu z czoła. Nie chusteczką do nosa. Potem usiadła pani na kamiennych schodach i patrzyła w niebo. Wtedy zrozumiałem, że nadszedł czas, żebym panią poznał.

– Dlaczego ja powinnam chcieć poznać pana?

– Ponieważ jestem kimś, kto też nie używa chusteczki do nosa.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że nie jestem kimś, kto potrzebuje zasłony, choćby jedwabnej chusteczki, pomiędzy sobą a światem, kimś, kto boi się życia, boi się doświadczać spraw, naprawdę je czuć. Uważam, że życie jest zbyt krótkie i zbyt cudowne, żeby go naprawdę nie dostrzegać, żeby się naprawdę w nie nie włączyć.

– Chce pan przez to powiedzieć, że jesteśmy do siebie podobni?

– Nie, myślę tylko, że mamy podobne nastawienie do życia.

– Mimo wszystko nie wyjdę za pana i nie przeprowadzę się do Moskwy.

– Przecież wcale nie jestem w Moskwie. Jestem tutaj.

– Służy pan Rosjanom, a ja nie lubię Rosjan. Mówi się, że wkrótce dojdzie do rebelii. W Rosji jest niespokojnie. Poza tym papa też jeździł do Rosji i przywiózł stamtąd swoją drugą żonę. Wiem, jak w świecie toczą się sprawy.

– Jak?

– No cóż, dla nas, kobiet, nieszczególnie korzystnie.

– Prawdziwa sawantka.

– Cóż to znaczy?

– W Europie są kobiety, które uważają, że są równe mężczyznom. I walczą o swoje prawa. Sawantki, tak się nazywają.

– I mają rację, że walczą. Ale nazwa wybitnie głupia, tak uważam.

– Jeśli tak pani myśli, wybierzmy się na przejażdżkę po stepie. Wtedy zobaczymy, czy mężczyźni są równi kobietom.

– Nie sędzę, że są równi. Sędzę, że kobiety nad nimi górują.

– Tym lepiej. A więc do jutra.

– Proszę zaczekać... Pan przecież nie wie, gdzie biorę lekcje baletu.

– Znajdę panią. I proszę przekazać ojcu ukłony. Nie musi mnie pani odprowadzać. Prawdziwie emancypowana dama nie powinna się podnosić ze swego miejsca.

– Jaka dama?

– Taka, która walczy o swoje prawa.

Wszedł lekkim, szybkim krokiem, z szelmowskim uśmiechem na twarzy. Stazja siedziała nieruchomo i nie mogła uwierzyć w to, co właśnie się zdarzyło. Nie powinno się lubić swego kata, nie powinno się z nim flirtować. Nie należało mu składać więcej darów ofiarnych, niż to konieczne. Nie powinno się jeździć z nim konno po męsku. I wtedy się zaśmiała. Deszcz przestał padać i kwiaty rozchyliły płatki. Wszędzie rozkwitało życie, a z nim słodkie obietnice.

Stazja otworzyła drzwi od ogrodu i wybiegła na dwór. Ziemia rozmiękła i stopy w niej grzęzły. Ale nie powstrzymało to jej od tego, by w grząskim ogrodzie zatańczyć *pas de deux*.

Spotykali się i jeździli konno po stepie, oboje po męsku. Zawsze wyglądała uroczo i była pewna siebie. Od małego uczyła się jeździć na koniu. Najchętniej brała rasowe konie kabardyńskie i jeździła na nich na oklep. Lubiła surowy krajobraz stepu, a stare miasto wykute w skałach znała jak własną kieszeń. Nawet jeśli inni gubili się w tajemniczym labiryncie kamiennych schodów, zawiłym układzie pomieszczeń i schowków, Stazja zawsze znajdowała drogę powrotną. Drogę z miasta jaskiń, wykutego przed wiekami w olbrzymiej górze na rozkaz potężnego króla. Miasta, które z upływem czasu opustoszało i dochodził z niego tylko śpiew duchów. Tak, można było usłyszeć śpiew, jeśli mocno zamknęło się oczy i uciszyło w głowie własne myśli. Porucznik na pewno był pod wrażeniem jej umiejętności. Na pewno wiele rozmawiali, a Stazja domagała się też, żeby się ścigali.

Zaczęli umawiać się codziennie na konne wyprawy. Te wspólne godziny spędzane w stepie tak oczarowały Stazję, że niekiedy zapominała nawet o tańcu. Siedemnastoletnia Stazja zakochała się. Białego porucznika cieszyło jej zaufanie rosnące z dnia na dzień, z przejażdżki na przejażdżkę. I mocno wierzył, że będą mieć na siebie dobry wpływ, że on potrzebuje takiej właśnie nieszablonowej kobiety, a to jego mocne przekonanie niechybnie Stazji pochlebiało.

Simon Jaszi uwielbiał też rodzinę fabrykanta czekolady i sympatię tę ojciec rodziny odwzajemniał. Anastazja przy wyborze kandydata na męża nie spotkała się z żadnym oporem, tak jak to było w wypadku jej drugiej pod względem starszeństwa siostry, która zawsze, kiedy się zakochiwała, mogła się spodziewać dezaprobaty ojca. Biały porucznik natomiast wydawał się jej ojcu wyborem pierwszorzędnym. A ponieważ czasy były niespokojne i nie było wiadomo, czy nie odwróci się karta, trzeba było działać szybko. Również w sprawach miłości.

Biały porucznik pobierał nauki w szkole kadetów w Petersburgu – kiedy istniał jeszcze tamten Petersburg, w którym odbywały się wspaniałe bale i gdzie mówiono ze słodkim, francuskim akcentem. Krótko walczył w wojnie rosyjsko-japońskiej, na której został ranny, mianowany porucznikiem i odesłany do ojczyzny. Odniesione wówczas rany uratowały go przed wysłaniem na front, gdy wybuchła wojna światowa. Kiedy wrócił do sił, w jego sennym miasteczku przydzielono go do administracji, gdzie kontrolował korespondencję wojenną.

Simon nie spieszył się z prośbą o przeniesienie. Sytuacja polityczna była niejasna, a on, nie dość zdecydowany, nie znalazł jeszcze idei, która byłaby mu bliska i która mogła wyznaczyć jego dalszą drogę życiową.

W owym czasie istniało mnóstwo ideologii i ugrupowań, które pojawiały się jak grzyby po deszczu w małych pokoikach na poddaszach, w piwnicach kantyn, ciemnych mieszkaniach oficyn i pretendowały do miana remedium na wszelkie problemy, a ich twórcy uważali, że zapewnią świetlaną

przyszłość uciśnionemu narodowi rosyjskiemu. Krążyły najrozmaitsze teorie spiskowe i legendy o przywódcach tajnych organizacji, którzy w większości zostali już zresztą aresztowani albo uciekli za granicę.

Simon pochodził z zamożnej mieszczańskiej rodziny: jego ojciec był znanym lekarzem i zapewnił synowi dobre wykształcenie. Wcześniej nasiąknąwszy myśleniem demokratyczno-liberalnym, Simon nawiązał kontakty z liberałami w kręgach wojskowych i wziął udział w kilku zebraniach. Stwierdził wtedy, że liberałowie są zbyt słabi i niezdecydowani, by stawić czoło poważnemu zagrożeniu, jakim jest socjalizm. Zauważył też, że socjaliści stawali się coraz głośniejsi, że żądali coraz więcej i byli coraz odważniejsi w działaniu.

Simon nie sympatyzował z socjalistami. Byli, jak na gust tego mężczyzny pochodzącego z dobrego, mieszczańskiego domu, zbyt agresywni, za mało wyrafinowani. Nie chciał jednak znaleźć się ostatecznie po niewłaściwej stronie. Musiał więc działać. Musiał się zdecydować, lecz wciąż się ociągał, nie zdarzyło się jeszcze nic radykalnego, wiele jeszcze wydawało się możliwe.

Już na froncie zetknął się z pewnymi ideami i gdy ranny został odesłany do ojczyzny, założył kółko pod nazwą „Studium pism filozoficznych dawnych Greków”. Nie czuł się ani reformatorem, ani rewolucjonistą. W wojsku służył bez sprzeciwu jako żołnierz oddany zwierzchnikom, uznając jasną hierarchię, dyscyplinę i przejrzysty podział obowiązków. Lubił wyraźne struktury, uporządkowane stosunki, w których każdy zna swoje miejsce. Był racjonalistą. Szarmancki, uступliwy, raczej milczący i skłonny do refleksji, nie był człowiekiem porywających idei i czynów. Nie miał też nic przeciwko carom, może tylko czuł trochę współczucia dla chłopów, tak jak wypadało ludziom wyżej postawionym.

Właścicielowi fabryki czekolady szczególnie mogła się spodobać pewna dziwna cecha Simona Jaszego, która sprawiła, że uznał go za dobrą partię dla swej córki: Simon był mężczyzną sentymentalnym i wielkim miłośnikiem wszystkiego, co dotyczyło przeszłości. Kochał poezję Puszkina, śnił o wielkich napoleońskich balach, rozczulał się wprost, słuchając *Jeziora łabędziego*. W oczach mojego prapradziadka serce Simona zapalało się do wszystkiego, co łączyło się z władcą zesłanym przez Boga, czyli carem, a przez to ze światem jasnym i uporządkowanym.

Jakkolwiek było to osobliwe i zadziwiające w wypadku tak młodego mężczyzny, bardzo odpowiadało obrazowi świata mojego prapradziadka. Serce Simona należało do dawnej Rosji, do europejskiej elity, do pięknego, pełnego blasku życia w dawnych dobrych czasach, a raczej tego, jak sobie te czasy wyobrażał.

Dla mojego prapradziadka świadomość tradycji oznaczała wyznawanie w życiu wartości, jakim hołdowały elity – ważne były znakomite maniery, skromność, nienadmierne uleganie przyjemnościom, ale i wystrzeganie się purytanizmu. A także dokładna orientacja w kwestii, jaka warstwa społeczna do czego jest przeznaczona, jakie miejsce w społeczeństwie może zająć konkretny człowiek. Prapradziadek

wywodził się ze zubożałej, drobnej gruzińskiej szlachty. Arkana sztuki cukierniczej opanował w wytwornym krymskim hotelu, gdzie dość szybko awansował z ucznia na kierownika działu czekolady. Dzięki swym umiejętnościom zyskał w wyższych sferach wielu klientów, których względami się cieszył i których wsparciu zawdzięczał dwuletni pobyt w Budapeszcie u pewnego mistrza wyrobów czekoladowych, praktykującego wcześniej na dworze wiedeńskim.

Mój prapradziadek zbierał doświadczenia w całej Europie, pracował w kilku znakomitych cukierniach, a potem – wbrew oczekiwaniom swych pryncypałów – zdecydował się wrócić do ojczyzny i założyć własny interes.

Miał już wtedy – nigdy się nie dowiedziałam, skąd naprawdę go wzięł – słynny przepis, który zrewolucjonizował smak gorącej czekolady.

Przepis ten, a raczej gorącą czekoladę, która była jego efektem końcowym, powinnam w tym miejscu wprowadzić jako jedną z głównych figur tej historii, Brillko.

Ponieważ nie mogę zdradzić składników tego rarytasu (pod żadnym pozorem, w żadnych okolicznościach, nigdy, przenigdy), muszę znaleźć słowa, żeby opisać to, czego opisać się nie da.

Nie wiem, czy mój prapradziadek dostał ten przepis od kogoś, czy też wymyślił go sam. Jedno jest pewne: wracając do ojczyzny, miał w kieszeni gwarancję przyszłego sukcesu (wtedy jeszcze nie miał pojęcia o skutkach ubocznych swej magicznej czekolady).

Punktem wyjścia był przepis na zwykłą gorącą czekoladę po wiedeńsku. A więc przygotowywaną z czekolady, nie z kakao. Najpierw tę czekoladę się robiło, potem topiło i łączyło z innymi składnikami. W tym połączeniu było coś szczególnego, niespotykanego, zdumiewającego. Już sam zapach był tak kuszący i intensywny, że wabił każdego, kto go poczuł.

Czekolada była ciągnąca się i gęsta, czarna jak noc przed burzą, gorąca, lecz nie wrząca, podawana w małych filiżankach. Jadło się ją małymi porcjami i najlepiej srebrną łyżeczką.

Jej smak był z niczym nieporównywalny, przyjemność jedzenia była niemal duchową ekstazą, nieziemskim doświadczeniem. Jedzący stapiał się ze słodką masą, stawał się jednością z tym boskim eliksirem, zapominał o całym świecie i odczuwał nieopisane szczęście. Gdy miało się w ustach tę czekoladę, wszystko było takie, jakie powinno być.

Prapradziadek wrócił z Budapesztu z przepisem w kieszeni akurat na przełomie wieków. Był dumny z tego, co osiągnął. Uważał, że na gruzińską prowincję można przenieść wytworność i wykwint Paryża i Wiednia, kształtować i zmieniać jej gust.

Niedługo po powrocie ożenił się z absolwentką szkoły Świętej Bożej Matki, prowadzonej przez zakonnice, dziewczyną pobożną, małomówną i rzec można, skłonną do melancholii, imieniem Ketewan. Ketewan nie chciała mieć nic do czynienia z Cesarstwem Rosyjskim, zgodę na aneksję Gruzji przez Rosję uważała za najfatalniejszy błąd w gruzińskiej historii i przez całe życie odmawiała mówienia po

rosyjsku. Nie było to bynajmniej małżeństwo aranżowane – prapradziadek się w niej zakochał, lecz szczęśliwe również nie. Ketewan wyznawała inne wartości, upatrywała w Rosji przyczynę wszelkiego zła, podczas gdy mój prapradziadek widział w Rosji szansę dla Gruzji, był bowiem zdania, że dopiero Rosjanie dali Kaukazowi możliwość kontaktu z kulturą europejską, zlikwidowali analfabetyzm i postawili tamę zachłanności gruzińskiej drobnej szlachty. Prapradziadek miał nastawienie procarskie i korzystał z przywilejów, jakie dzięki tej postawie zyskiwał. Jego żona nigdy jednak nie przestała uważać, że Gruzja jest niczym innym jak kolonią, a kultura słowiańska to upadek kultury kaukaskiej.

– Sami wezwaliśmy naszego wielkiego sąsiada, zaprosiliśmy go – próbował przekonywać żonę w pierwszych miesiącach małżeństwa prapradziadek.

– Zaprosiliśmy ich jako pomocników, nie jako okupantów – odpowiadała Ketewan. – Nasz król był wyczerpany kilkakrotnym zagarnianiem naszych ziem i najezdami muzułmańskich sąsiadów, nie widział innego wyjścia i szukał mniejszego, w swej ocenie, zła, kiedy poprosił cara o układ o ochronie. Układ o ochronie z naciskiem na ochronę, jeśli mogę ci przypomnieć.

– Tak, moja kochana, ale mówiło się przecież, że będziemy podlegali wielkiemu carstwu. Nasz król wiedział o tym, kiedy sprowadzał Rosjan do kraju.

– Owszem, mój drogi, ale nasz król zapewne nie wiedział, że nasi północni sąsiedzi będą korzystać z tego zaproszenia nie przez kilka lat, lecz przez kilka stuleci. – Ketewan nie dawała za wygraną.

– Myślę, że to błąd, moja kochana, i zbyt uproszczenie, posługiwać się stale przypowieścią o Dawidzie i Goliacie i traktować ją jako obraz sytuacji naszego kraju. Bo zbyt wielu Gruzinów czerpie profity z obecności Rosjan, przecież się z tym zgodzisz, Ketewan!?

– Ludzie udają, że się dostosowali. W głębi duszy jednak tęsknią za tym, co z dawien dawna własne. Mam na myśli prawdziwych Gruzinów, a nie zdrajców – odpowiadała Ketewan, rzucając mężowi lekceważące spojrzenie.

Ketewan nie wtrącała się do interesów mojego prapradziadka, była dobrą gospodynią i umiała znaleźć się w towarzystwie. Urodziła dwie córki, lecz miłość i sympatia małżonków wygasły najpóźniej po drugim rozwiązaniu. Ketewan poświęcała się pobożnym praktykom, modliła się i utrzymywała dobre stosunki z Cerkwią i z duchownymi, podczas gdy jej mąż otworzył sklep z czekoladą. Wkrótce wszyscy zaczęli nazywać sklep „fabryką czekolady”, a o moim prapradziadku mówiono „fabrykant czekolady”. Interes kwitł, obroty wzrastały z roku na rok i sława fabrykanta czekolady zataczała coraz szersze kręgi.

Prapradziadek był rozczarowany tym, że żona nie docenia jego sukcesu, nie korzysta z finansowych i społecznych przywilejów rodziny, a wzrastający dobrobyt nie wydaje się jej cieszyć. Spodziewał się z jej strony aprobaty oraz wsparcia, jakie otrzymywał od innych. Pięć lat po swoim powrocie z zagranicy miał znaną w mieście cukiernię i planował filie w całym kraju. Później, u szczytu powodzenia, marzyło mu się, że będzie zaopatrywał w najlepsze wyroby czekoladowe całe imperium carskie.

W fabryce czekolady robiono rajskie torty i ciasta wszelkiego rodzaju. Czekoladę z truflami, gorzką, mleczną z galaretką z moreli, orzechami włoskimi i rodzynkami, ale też egzotyczne delicje, takie jak tarta czekoladowa z czarnym pieprzem, cukierki z likierem wiśniowym w otoczce z czekolady miętowej, keksy czekoladowe z nadzieniem z fig albo czekolada z nugatem i galaretką z melona. Fabryka czekolady stanowiła połączenie francuskiej *pâtisserie* z tradycją wypieków austriackich oraz wschodnioeuropejską wystawnością.

Każdego ranka o godzinie szóstej prapradziadek szedł do swego zakładu i do przygotowanych przez pracowników kadzi z czekoladą przeznaczoną do danego rodzaju specjałów dodawał swoje własne składniki, dzięki którym zyskiwała ona niezwykłą nutę smakową. Nikt nie mógł rozwikłać tej receptury. Wyroby czekoladowe prapradziadka nie miały sobie równych.

Sukces sprawił, że prapradziadek zaczął rozważać plany „czekoladowej ekspansji”. Jednocześnie postanowił, że największe cukiernicze cuda wyczaruje w Tbilisi, Moskwie i Petersburgu dopiero u szczytu sławy i że wtedy pozwoli skosztować klientom swej gorącej czekolady. Przysiągł też sobie, że przepis na nią zostawi w rodzinie, i trzymał go w tajemnicy.

Według Stazji decyzja ta uratowała naszą rodzinę, jeśli nie cały nasz kraj, od katastrofy.

Oprócz wykonywania swego zawodu mój prapradziadek jako honorowy obywatel miasta uczestniczył w jego życiu towarzysko-kulturalnym. Obracał się w kręgach lokalnej polityki, był założycielem jedyne w mieście męskiego klubu (działającego na sposób europejski) oraz mecenasem kilku kółek: literackiego, teatralnego i filozoficznego, zasiadał w zarządzie Towarzystwa Tradycji i Honoru. Oprócz tego był jednym z najbogatszych obywateli tego małego miasta, które chciał uczynić Niceą Kaukazu, skoro Tbilisi uchodziło już za Paryż Kaukazu.

Jego żona niewiele się troszczyła o sprawy światowe, zajmowała się głównie studiowaniem Biblii i surowym wychowaniem córek. Za każdym razem trzeba ją było namawiać, by wzięła udział w jakichś towarzyskich wydarzeniach. Niespecjalnie lubiła też podróże, co fabrykantowi czekolady ani trochę się nie podobało. Drażniła go również jej przesadna religijność. Czuł, że traci kontakt ze swymi córkami, które wzrastały pod surowym nadzorem matki oraz nadmiernie pobożnych, lękliwych guwernantek i żadną miarą nie przypominały europejskich dziewczynek. We własnym domu zdawał się przegrywać – z coraz poważniejszymi skutkami – walkę na kobiecym froncie.

Powinien mieć syna! Przewaga kobiet w domu stała się po prostu zbyt groźna. Potrzebował następcy, mężczyzny, który stałby po jego stronie w walce z kobiecym obozem. Ponieważ małżonkowie od dawna już nie dzielili łoża, prapradziadek wiedział, że zrealizowanie tego pragnienia będzie wymagało od niego wielkiej sztuki przekonywania i zajmie dużo czasu. Poza tym Ketewan ciężko przeszła oba wcześniejsze porody i nie cieszyła się zbyt dobrym zdrowiem.

Chociaż wielokrotnie tłumaczył żonie, że chodzi o kwestię dziedziczenia, bo fabryka czekolady

potrzebuje męskiego spadkobiercy, Ketewan pozostawała głucha na te argumenty, ripostując, że córki kiedyś przecież wyjdą za mąż, a przedsiębiorczy zięć będzie równie dobrym rozwiązaniem problemu.

Musiał więc użyć innych sposobów, by przekonać żonę do urodzenia mu następcy. Postanowił, że ugotuje dla niej najlepszy ze swoich specjałów – gorącą czekoladę.

W obecności kwartetu smyczkowego, który sprowadził specjalnie dla żony do zamkniętej na tę chwilę fabryki czekolady, przy blasku świec, wśród upajającego zapachu czekoladowego napoju, postawił przed nią najpiękniejszą porcelanową filiżankę, jaką udało mu się zdobyć w całej swej karierze cukierniczej, i zachęcił, by skosztowała, tłumacząc przy tym przekonująco, jak nieodzowny jest w jego sytuacji męski następca.

Jak to często miało być potem również z innymi, w Ketewan obudziła się tego wieczoru niepowstrzymana żądza ponownego delektowania się tym specjałem. Przez kolejne dni błagała więc męża, żeby znów przyrzadził jej ten rarytas. I w ten sposób mój prapradziadek mógł w końcu postawić korzystne dla siebie ultimatum: jeśli ona zdecyduje się na jeszcze jedną ciążę, przez dziewięć miesięcy każdego dnia będzie mogła się raczyć przyrządzoną przez niego gorącą czekoladą. Jej opór został złamany – tęsknota za najwspanialszym smakiem na świecie nie pozostawiła jej innego wyboru, jak niechętnie spełnić pragnienie męża.

I tak po dziewięciu miesiącach znowu leżała w swej sypialni w bólach porodu, w otoczeniu lekarza i dwóch położnych. Wiele godzin trwało, zanim wydobyto z niej zdrową, prawidłowo zbudowaną dziewczynkę (rozczarowana matka tylko westchnęła). Myślała, że przetrwała już wszystko, lecz lekarz zawołał, że to jeszcze nie koniec – drugie dziecko w drodze. Na świat przyszła po chwili druga dziewczynka.

Ale ta nie brała się do życia. „Coś jest nie w porządku z jej płucami”, ocenił lekarz. Dziecko było sinawe, nie mogło złapać oddechu, choć lekarz mocno klepał je w plecy. Zmarło kilka minut po urodzeniu.

Pierwsza dziewczynka, której potem na chrzcie dano na imię Anastazja, wydawała się zdrowa i żwawa i krzycząc na całe gardło, domagała się matczynego mleka.

Ketewan nabawiła się w położu zapalenia płuc i w krótkim czasie umarła. Umarła szybko i bez cierpień po tym, jak po raz ostatni dała piersi Anastazji.

Obie te tragedie były pierwszymi w życiu mojego prapradziadka, a nastąpiły tak szybko po sobie, były tak nieodwracalne i ogromne, że prapradziadek na wiele miesięcy przekazał wszystkie interesy zaufanemu pracownikowi, bo nie był w stanie opuszczać domu. Tylko rano wychodził do cukierni ociążałym, wolnym krokiem, by przygotować sekretną mieszankę potrzebną do każdej masy czekoladowej.

Nawet jeśli w poprzednich latach jego miłość do żony nie była już tak świeża i promienna jak na

początku małżeństwa, czuł, że Ketewan zawsze stanowiła ważną część jego życia. Jej strata była dla niego ciężkim ciosem i teraz, gdy został sam, nie wiedział, co począć z trzema córkami. Zaczęły go nachodzić niespokojne myśli. Nie mógł pozbyć się uczucia, że jest winien śmierci żony. Gdyby nie nakłaniał jej do kolejnej ciąży, może pozostałaby przy życiu.

Czy w serwowanym przez niego przysmaku było coś fatalnego? Czy czekolada, którą z takim entuzjazmem przygotowywał dla Ketewan przez wszystkie miesiące, poruszyła jakieś złe moce? Czy była zbyt pyszna, by się nią delectować, nie płacąc za to wysokiej ceny? Czy dawała tak wiele szczęścia i zapomnienia, że później rzeczywistość mściła się tym bezwzględniej? A może była obłożona jakąś klątwą? Jednocześnie wydawało mu się dziecinne wierzyć w coś tak irracjonalnego. On sam nie bał się nawet Boga, kwestionował naukę Kościoła, nie mówiąc o zabobonach, które uważał za religię biedaków.

Żeby się opamiętać, postanowił najcenniejsze, co posiadał, przekazać Anastazji: chciał, by to ona odziedziczyła przepis na gorącą czekoladę. I przyrzekł sobie, że gdy Stazja będzie wychodzić za mąż, przekaże jej tę recepturę w posagu.

Fabrykant czekolady stopniowo budził się z odrętwienia. Przyjął pewną chłopkę, która niedawno urodziła dziecko, by karmiła też małą Anastazję. Wyrzucił surowe, pobożne guwernantki i znalazł młodą kobietę, która zajęła się dziewczynkami serdecznie i cierpliwie.

Najstarsza, Lida, miała już sześć lat. Śmierć matki najmocniej odbiła się właśnie na niej. Była ulubienicą matki i zawsze starała się sprostać jej wymaganiom. Bardzo nieśmiała, milcząca, żyła w lęku przed Bogiem, jakby nie była dzieckiem, lecz dorosłą kobietą. Jej ojciec trochę nawet się bał jej surowego spojrzenia oraz posępnego usposobienia.

Druga, pięcioletnia Meri, nie wykazywała jeszcze cech charakteru, z których dałoby się coś o niej powiedzieć, często natomiast zapadała na zdrowiu i była ze wszystkiego niezadowolona, na co jej ojciec nie mógł znaleźć żadnego lekarstwa.

Obydwu dziewczynkom brakowało matki, a ojciec był im obcy. Do śmierci matki zawsze był zajęty pracą albo obowiązkami towarzyskimi, palił fajkę, był głośny, chętnie pił koniak z przyjaciółmi w swoim gabinecie i mówił o sprawach, które dziewczynek nie interesowały.

Tylko na najmłodszą, Anastazję, którą szybko wszyscy zaczęli nazywać Stazja, te tragiczne wydarzenia nie miały wpływu. Była o wiele za mała, żeby sobie uświadamiać utratę matki, i nie miała żadnych związanych z nią wspomnień. Mimo że jej przyjście na świat wiązało się z ogromną stratą, była wesołym dzieckiem i wczesnie ujawniła swą dominującą naturę, a jej oszałamiającą czuprynę zaplatano w warkoczyki już od niemowlęctwa, o czym zresztą wspomniałam już wcześniej.

Fabrykant czekolady postanowił, że nie zaniedba niczego w wychowaniu najmłodszej córki i nie dopuści, by stała mu się obca jak jej starsze siostry.

Kiedy upłynął pierwszy, najbardziej przygnębiający rok żałoby po pani domu i matce dzieci, mój prapradziadek postanowił ofiarować rodzinie nowy początek.

Przez kolejne cztery lata bardzo się starał o względy córek. Rozpieszczał je i pokazywał im piękne strony życia, pozwalając na to, na co nie pozwalała im matka: mogły się objadać i późno chodzić spać, mogły chodzić na bazar i do cyrku, mogły się bawić z córkami chłopskimi, mogły nie pójść w niedzielę do cerkwi, mogły pobrudzić ubrania i urządzać w domu dzikie harce, mogły chodzić z ojcem do cukierni i jeść tyle czekolady, ile tylko były w stanie, mogły też odrabiać zadania dopiero po zabawie oraz domagać się pięknych sukienek i zabawek jako upominków, kiedy wracał z podróży w interesach.

W tych latach w jego rodzinie zagościła beztroska i swoboda. Nawet drobne niedociągnięcia, które zaczęto zauważać w wymuskany dotąd domu, zdawały się nikomu nie przeszkadzać. Przeciwnie – tworzyły przytulną atmosferę. Stazja zawsze ze wzruszeniem wspominała dni swego wczesnego dzieciństwa i czas „panowania dziewcząt”. Kiedy więc ojciec pewnego dnia, wracając z Kijowa, dokąd pojechał w interesach, przywiózł do domu wysoką kobietę o nieco chłodnej, lecz imponującej słowiańskiej powierzchowności, nierozumiejącą ani słowa po gruzińsku, i przedstawił jako swą nową żonę, wszystko raptownie się zmieniło. Ojciec stwierdził, że dom bez kobiety to nie dom i że ma dość samotnego życia. Prosił usilnie, aby Larysę Michajłownę, którą nazywał Larą, przyjąć z szacunkiem jako nowego członka rodziny, nawet jeśli nie zastąpi dziewczynkom matki.

Lara Michajłowna, pochodząca z moskiewskiej szlachty wdowa po ukraińskim kupcu, który przejawiał pociąg do alkoholu, okazała się osobą niełatwą we współżyciu. Była kobietą apodyktyczną, przyzwyczajoną do zabiegania o nią i nadszkakiwania jej, przejawiającą skłonność do luksusu i traktującą swą przeprowadzkę na gruzińską prowincję jako coś poniżej jej godności. Ojcu, w odróżnieniu od dziewczynek, trudny charakter Lary zdawał się nie przeszkadzać. Albo nocami obdarowywała swego męża nadzwyczajnymi wrażeniami, wartymi tego, by nie pamiętał trudów dnia przy jej boku, albo miała inne, jemu tylko znane zalety duchowe. Bo jak inaczej można wytłumaczyć to, że prapradziadek obsypywał nową żonę najkosztowniejszymi prezentami, wszystko podporządkowywał jej pragnieniom i woli i pozwalał, by go traktowała jak chłopca pańszczyźnianego?

Radosny, swobodny nastrój ostatnich lat ustąpił miejsca przygnębiającemu, hierarchicznemu porządkowi. Lara uznała, że dziewczynki są nie dość grzeczne, i z miejsca zaczęła je temperować. Najpierw dwie starsze, Lida i Meri, zostały posłane do surowej szkoły dla dziewcząt z wyższych sfer, potem zaangażowano nauczycielkę gry na pianinie, która co dwa dni niestrudzenie z nimi ćwiczyła, a następnie prywatnego nauczyciela, który miał pracować nad ich rosyjskim, bo jak oceniła Lara, mówiły z okropnym akcentem.

Sama jednak umiała używać życia u boku swego małżonka i czerpać korzyści płynące z zajmowanej przez niego pozycji. Przedsiębrano więc wyjazdy do wód, organizowano uroczyste przyjęcia, chadzano

na bale, sprowadzano z Francji materiały, szyto kapelusze, zatrudniono dwie nowe służące, kupowano biżuterię, a nawet kilka chińskich waz, które Lara szczególnie lubiła. Lara była bardziej niż towarzyska, umiała korzystać z zalet pieniądza, lubiła skupiać na sobie uwagę, kochała podróże, kosztowności, plotki, do cerkwi chodziła tylko w Boże Narodzenie i Wielkanoc i wiedziała, jak wyrzucić na ludziach, zwłaszcza płci męskiej, odpowiednie wrażenie. Mój prapradziadek rozkwitł – Lara wydawała się kobietą, jaką zawsze pragnął mieć u swego boku. Wolał nie dostrzegać, że jego dzieci coraz rzadziej się śmieją, że są coraz bardziej milczące i za plecami Lary pokazują jej język.

Dwa lata po weselu przyszła na świat Kristine, późna córka. Siedem lat po Stazji.

Fabrykant czekolady ciągle jeszcze pragnął syna i nie stracił nadziei na męskiego potomka. Lecz zarówno on, jak i Lara nie byli już najmłodszy i po kilku kuracjach i miesiącach zachodów Kristine pozostała ostatnim owocem prób mojego prapradziadka powołania do życia następcy.

Kristine stała się klasycznym beniaminkiem – istotą wychuchaną, rozpuszczoną i arogancką. Uznana przez matkę za księżniczkę, a przez ojca po prostu ubóstwianą. Trzeba przyznać, że była wręcz nieziemsko piękna. Każdy, kto przychodził z wizytą, nie przestawał mówić – ku radości i dumie rodziców – o urodzie dziecka. To przecież twarzyczka Madonny, jaki wdzięk, jak doskonale rysy twarzy, jak subtelne rączki i nóżki!

Dziewczynka uosabiała idealne cechy słowiańsko-kaukaskie. Do tego umiała wykorzystywać fakt bycia faworyzowaną i zawsze dostawała to, czego chciała. Życie starszych dziewczynek nie stało się przez to łatwiejsze.

Może zmiany, jakie zaszły w domu rodzinnym, zrodziły w Stazji rodzaj ducha buntu. W odróżnieniu od milczącej, rozważającej wstąpienie do klasztoru Lidy i cokolwiek powierzchownej i ruchliwej Meri Stazja od razu zauważyła, że musi stawiać na swoim, bo w przeciwnym razie pozostanie na zawsze w cieniu młodszej siostry, z którą przypadkowo tylko łączył ją ten sam ojciec.

Szybko nauczyła się więc wyrażać swoje zdanie, skupiać się na własnych pragnieniach i marzeniach, robić rzeczy, które Larze, a tym samym Kristine, zawsze były obce, jak na przykład jeździć po męsku na kabardyńcach, interesować się prawami kobiet, nie nosić biżuterii, mieć za nic luksus, a przede wszystkim brać lekcje baletu, marzyć o karierze tancerki i planować wyjazd do Paryża.

Czas biegł szybko i nastroje polityczne w całym Cesarstwie Rosyjskim z dnia na dzień stawały się gorsze. Fabrykant czekolady zaczynał się martwić o swoją przyszłość i o przyszłość swych dzieci, bo po komunistach, od których w ostatnich ośmiu latach aż się roziło, nie spodziewał się niczego dobrego. Jak wielu reprezentantów gruzińskiej elity, mój prapradziadek obawiał się proletariatu, który wprawdzie chętnie wspierał datkami, lecz wolał trzymać się od niego z daleka.

Mój prapradziadek nie wierzył w socjalistów, nie wierzył w rewolucję ani w radykalne reformy i choć z niepokojem słuchał wiadomości płynących z Rosji, zawsze powtarzał, że w jego kraju bolszewicy

nigdy się nie przebijają (organizacja Mesame dasi działała już wtedy na wysokich obrotach w gruzińskiej stolicy i niecały rok po rewolucji październikowej ogłosiła niepodległość Gruzji).

Postawa Simona Jasziego, w której mieściły się w świetnych proporcjach dawne dobre wartości, tęsknota za stabilizacją i zaangażowanie w umiarkowany liberalizm, stanowiła dla mego prapradziadka rodzaj gwarancji kontynuowania rodzinnego interesu. Do tego Simon był wojskowym i gdyby miało przyjść co do czego, mógł być użyteczny także dla czerwonych, a to gwarantowało rodzinie przyszłość. Fabrykant czekolady, nie posiadając męskiego spadkobiercy, chciał mieć po swej stronie takiego mężczyznę, bo przyszłość stała tuż za progiem i nikt nie wiedział, jaka będzie.

Lida ze swoją małomównością, pobożnością i zapatrzeniem w religię nigdy nie znajdzie męża. Godził się powoli z tym, by oddać Lidę dobremu Bogu, którego ona ze wszystkich stworzeń rodzaju męskiego zdawała się kochać najbardziej. „Czy Bóg właściwie ma płeć?”, zastanawiał się mój prapradziadek, kiedy czasem wieczorem w swoim gabinecie przy dobrym koniaku pogrążał się w myślach.

Meri, wówczas już dwudziestojednoletnia, a więc w odpowiednim do zamęścia wieku, także nie wydawała się łatwym przypadkiem. Mając lat dziewiętnaście, zaręczyła się z pewnym pracowitym synem bankiera. Wydawało się, że nic nie stoi na przeszkodzie obiecującemu sojuszowi obu rodzin, gdy pewnego dnia Meri oświadczyła, że nie wyjdzie za mąż, bo narzeczony ugania się za spódniczkami i po ślubie raczej to się nie zmieni.

„Ależ kochanie, Meriko, mój promyczku, pozwól temu biedakowi na trochę radości. My, mężczyźni, jesteśmy słabymi stworzeniami, potrzebujemy więcej zainteresowania niż wy, kobiety, daj mu choć trochę popatrzeć na lewo i na prawo, komu to szkodzi? Jest wiele pokus na męskiej drodze i trudno im się oprzeć. On cię kocha i szanuje, a to przecież dla kobiety najważniejsze”. Tak fabrykant czekolady przekonywał wówczas swoją drugą według starszeństwa córkę. A ta prychnęła tylko lekceważąco, mówiąc, że nie jest taka głupia. Nie zmarnuje swego życia dlatego, że ojciec chce się jej pozbyć z domu. Rzeczywiście syn bankiera był znanym w mieście kobieciarzem, Meri zaś nie dość stanowcza, by wziąć mężczyznę pod kuratelę i zawrócić go na trwałe na dobrą drogę. Tak naprawdę mój prapradziadek chętnie zostawiłby córkę pod swoim dachem, szukał tylko sojuszników na niespokojne czasy, które nadciągały. Czy było w tym coś złego? Podziwiał jednak u Meri umiejętność samostanowienia o sobie i nie nalegał.

Od tamtej pory minęły trzy lata i nikt nie wydawał się spełniać oczekiwań Meri. Jeden kandydat na męża był zbyt nudny, inny za stary, kolejny miał straszną matkę i tak dalej.

Tą jednak, która sprawiała najwięcej kłopotów, była Stazja. Mimo wszystko mój prapradziadek nie mógł nie kochać swojej przedostatniej córki najszczerzą, pełną szacunku miłością. Stazja była najrozumniejszą, najżywszą, najbardziej upartą z jego córek, najczęściej go wzruszała i najczęściej wywoływała jego złość. Lecz kochał jej szelmowski styl, dziwne marzenia i jej fascynację tańcem. Stazja

wiedziała, czego chce i inaczej niż w wypadku małej Kristine nic nie przychodziło jej z łatwością. Zajmowała się tylko tym, co wydawało się jej ważne. Może to w niej ojciec najbardziej dostrzegał samego siebie. Może nigdy nie pozbył się wyrzutów sumienia względem zmarłej żony i bliźniaczki Stazji, a może Stazja była mu po prostu najbliższa z córek, nie tak obca i dziwna jak dwie starsze latorośle.

Głęboka miłość do niej trzymała jego serce w mocnym uścisku – tak mocnym, że czasami nawet czuł ból – mimo że Stazja i on najczęściej, a także najgłośniej się sprzeczali, Stazja zaś niekiedy postępowała bezczelnie i lekceważąco. Lecz on pragnął, żeby była szczęśliwa, by wiodła życie, które nie przekreśli jej planów, choć ani myślał wysłać jej do Paryża – Sodomy i Gomory Zachodu – by mogła tam zostać tancerką.

Tym bardziej się ucieszył, kiedy Stazja wyraziła chęć kontynuowania znajomości z Simonem Jaszim. Do tej pory nie myślała o mężczyznach, wzbraniała się przed włożeniem niedzielnej sukienki do cerkwi czy przed spacerami w piątek z macochą i siostrami po głównej ulicy (był to rodzaj targu matrymonialnego), a na kilku balach szkolnych i miejskich uciekła od chcących flirtować z nią mężczyzn. Wydawało się, że Simon może naprawdę stać się kotwicą na niezgłębionych wodach natury Stazji.

Lecz tu mój prapradziadek się mylił.

*Rewolucje zawsze wyróżniają się brakiem uprzejmości,
zapewne z tego powodu, że klasy panujące w porę nie zadały sobie trudu, by wpoić ludowi dobre maniery.*

Lew Trocki

Obawy mojego prapradziadka są zrozumiałe, Brilko, bo to były naprawdę niespokojne czasy. Nad wyraz niespokojne.

W momencie, gdy siedemnastoletnia Stazja poznała swojego białogwardzistę, od trzech lat szalała pierwsza wojna światowa. Trwający ponad cztery lata koszmar, który spustoszył pół świata, pochłonął ostatecznie siedemnaście milionów ofiar i pociągnął w przepaść czterdzieści krajów. Do naszego małego kraju i naszego sennego miasteczka straszliwe skutki tej wojny docierały głównie poprzez wielkiego północnego sąsiada i „protektora”: tam problemy gospodarcze, polityczne i społeczne osiągnęły swoje apogeum. Tysiące żołnierzy wracały do ojczyzny, dezercerując z pola walki, rozczarowane wojną i zarażone nową ideologią – socjalizmem.

Biały porucznik Simon Jaszi rozprawiał w tamtych dniach mentorskim tonem w swoim kółku filozoficznym, w zamyśleniu pałac fajkę.

– Jak każdy totalitarny kraj, również Rosja od stuleci cierpi na kompleks niższości. Najbardziej bolesny, a zarazem niebezpieczny jest zapewne własny imperializm, dlatego wrażliwość na socjalistyczne treści i sposób myślenia była i jest w Rosji szczególnie duża. Nawet Petersburg zawdzięcza swoje piękno padającym z głodu, zamęczonym na śmierć chłopom pańszczyźnianym i więźniom, których zmuszano do wznoszenia wspaniałych budowli tego miasta, nieustępującego w niczym Paryżowi czy Wiedniowi. Znam ten kraj. Służyłem mu. Ale ten kompleks ma teraz rosyjska elita. Ma go również gruzińska elita, wierzcie mi. Zbyt piękne jest życie, jakie wiodą wyższe sfery, żeby chcieć je zmienić, lecz zbyt straszny jest widok chłopów, w większości uciemienionych analfabetów. Osobiście nie wierzę, by rewolucja była krzykiem narodu, sądzę raczej, że wzięła się z nieczystego sumienia warstw uprzywilejowanych.

– Uważa pan więc, że nasz wyzwoliciel car Aleksander II, znosząc prawnie poddaństwo chłopów, działał pod wpływem tego kompleksu niższości i nie wziął pod uwagę, że taki krok może się skończyć gospodarczą, a przede wszystkim ideologiczną katastrofą? – zapytał Simona jakiś szczególnie zainteresowany maturzysta.

– Tak sądzę. Bo kiedy car ofiarował chłopom wolność, różnice społeczne jeszcze bardziej rzuciły się w oczy. Nie możemy też zapominać, że w ostatnich latach tysiące młodych ludzi przeniosły się z dużych miast na wieś, żeby oświecać chłopów, a tam trafiły na brak zainteresowania, niezrozumienie i rezygnację.

– I pan myśli, że ten zamach, w którym zginął car wyzwoliciel, był właśnie wyrazem podziękowania?

– Nie mogę na to jednoznacznie odpowiedzieć, byłyby to bowiem jedynie moje przypuszczenia – odrzekł Simon, który bez wątplenia podobał się sobie w roli mówcy, widząc pełne podziwu spojrzenia młodych słuchaczy.

– I uważa pan, że ten Uljanow działa z powodów osobistych? – zapytał rudowłosy anarchista z ostatniego rzędu.

– Jak to rozumiesz? I proszę, wstań, nie widzę cię.

– No, w końcu jego brat był jednym z pięciu spiskowców, których po nieudanym zamachu na Aleksandra II skazano na śmierć.

Kilku młodych ludzi z pierwszych rzędów sapnęło demonstracyjnie, wyraźnie poirytowanych zarozumiałym tonem rudowłosego.

– Nie mogę na to odpowiedzieć z całą pewnością, przyjacielu, mogę tylko przypuszczać.

– A co z Mikołajem II? – zapytał znów zaangażowany uczeń, ignorując psychologiczne motywy działania Lenina.

– Mikołaj II nigdy nie potrafił wybrać między autokracją daną przez Boga a zachodnim liberalizmem i to stało się jego zgubą. Przede wszystkim po naszej klęsce z Japonią popadł w apatię, która oddaliła go od rzeczywistości i w trójnasób pogłębiła agresję towarzyszącą powstaniom chłopskim w całym kraju. Wiem, o czym mówię. Car nie powinien był pozwolić, żeby w 1905 roku podczas wystąpień w Petersburgu strzelano do nieuzbrojonych demonstrantów. Na to jest zbyt wykształcony. Powinien był przewidzieć skutki, bo właśnie tych ponad sto ofiar przyczyniło się do utworzenia pierwszej rady robotników. To była przecież legitymizacja powstania tej rady. On tę kartę sam dał im do ręki, jeśli mnie o to pytasz.

Zaangażowany uczeń pokiwał głową i coś zanotował.

Spodobało się to Simonowi – będzie cytowany. I żeby podtrzymać zainteresowanie, dorzucił:

– Drugim poważnym błędem cara Mikołaja było to, że z braku żołnierzy zaczął na front wysyłać chłopów. Bo nie przewidział, że chłopci zetkną się tam z socjalistycznymi poglądami i zarażą się nimi, a po powrocie do rodzinnych wsi będą je u siebie rozpowszechniać.

Simon ostentacyjnie długo wydmuchiwał dym z fajki, błędząc wzrokiem nad głowami swoich słuchaczy.

Pewne jest w każdym razie, Brilko, że to nie masowe, niedające się kontrolować demonstracje, nie ciągła przemoc ani skutki trwającej od trzech lat wojny doprowadziły w końcu mroźną zimą tego roku, w którym Stazja uznała, że znalazła miłość swego życia, do ustąpienia cara. Bunin zachował w pamięci słowa dorożkarza: „Naród jest teraz jak bydło bez pasterza, wszystko plugawi i sam zmierza ku zagładzie”.

Tak oto w roku miłości mojej prababki ród Romanowów po trzystu latach swego panowania został zastąpiony przez robotników i chłopów oraz prowizoryczny Rząd Tymczasowy.

I to wszystko, Brilko, wydarzyło się dokładnie dziesięć lat po jednym z najbardziej spektakularnych napadów rabunkowych epoki carskiej. Napadzie, który został przeprowadzony pewnego ciepłego

czerwcowego dnia w Tbilisi na pięknym placu Erywańskim (potem Lenina, a jeszcze później Wolności).

Dziesiąta trzydzieści, słoneczny, pachnący kardamonem, kawą, kurzem i goździkami cudownie piękny poranek, jaki zdarza się tylko w Tbilisi. Dwie dorożki z carskimi Kozakami, wiozące ćwierć miliona rubli, roczny prywatny budżet cara, dojeżdżają do placu Erywańskiego.

Kiedy dorożka skręca w prawo, kierując się do dużego klasycystycznego budynku banku, między nogi koni toczą się małe, okrągłe przedmioty. Słychać ogłuszający huk, krzyki, tryska krew. Mężczyźni, którzy wyrosli jak spod ziemi, strzelają z pistoletów maszynowych do straży biegnącej z pomocą na miejsce zajścia. Pośród dymu, hałasu i krwi galopem nadjeżdża mężczyzna na koniu, porywa worki z pieniędzmi i odjeżdża.

Szukano tych pieniędzy w całym cesarstwie, przetrząsnęto całe Tbilisi, przeprowadzano rewizje w mieszkaniach, lecz pieniądze znikły bez śladu. A tymczasem one, zaszyte w materacu, dotarły do Finlandii. W ręce towarzysza Uljanowa, który je tam „wyprał”, a potem znów wysłał do swego kraju, do kasy partii.

Przywódcą bandy napastników był syn gruzińskiego szewca, dwudziestodwuletni były alumn seminarium duchownego, który z niego wystąpił. Uljanow ma o nim dobre zdanie, i to dużo znaczy. Szewski syn ma wiele pseudonimów, bo od dawna poszukuje go carska policja z powodu napadów rabunkowych, podpażeń i agitacji (lista jego przewinień wobec władzy jest długa), ale nie nosi jeszcze najbardziej znanego ze swych przydomków, z którym wejdzie do historii – jeszcze się nie nazywa Człowiekiem ze Stali.

Na początku roku bolszewicy, mający około pięciu tysięcy zwolenników, stanowili mniejszość w morzu politycznych poglądów. Ale już pod koniec października, kiedy Stazja jeszcze szczęśliwie kłusowała po stepie, bolszewicki komitet wojskowy opanował wszystkie piotrogrodzkie urzędy pocztowe, mosty i dworce kolejowe. Dwudziestego piątego października Rząd Tymczasowy obradował w Pałacu Zimowym, chronionym tylko przez kilkuset junkrów, sto trzydzieści kobiet z batalionu kobiecego i kilka setek starych kawalerzystów.

Bolszewicy, w sile około dwóch tysięcy czerwonogwardzistów, chodzili przez cały dzień przed Pałacem Zimowym tam i z powrotem. Wieczorem do żołnierzy dołączyły trzy tysiące marynarzy. Plac przed Pałacem Zimowym się zapełniał.

Z Aurory i Twierdzy Pietropawłowskiej oddano salwy. Junkrzy zaczęli ostrzeliwać marynarzy, których część przedostała się tymczasem niestrzeżonymi bocznymi wejściami do pałacu i aresztowała Rząd Tymczasowy. Była godzina druga w nocy 26 października 1917 roku.

W ten sposób zakończył się tak często przywoływany i chętnie przedstawiany w radzieckich filmach propagandowych „szturm na Pałac Zimowy”. Zginęło w nim sześć osób.

– Rząd Tymczasowy coraz bardziej traci zaufanie. Rośnie inflacja. Gospodarkę dotknęła stagnacja.

Napady, konflikty w armii, plądrowanie, pozbawianie własności właścicieli ziemskich oraz przestępczość wszelkiego rodzaju są, jak słycać, na porządku dziennym. Kończy się żywność, kraj jest na progu bankructwa. I ten oportunista Kiereński, który ma stanąć na czele Rządu Tymczasowego, próbuje umacniać swą pozycję, odwołując się do symboli, a moc jego decyzji i zaufanie do niego słabną z dnia na dzień. Czegóż więcej mogli sobie życzyć czerwoni?

Mój pochylony nad gazetą prapradziadek denerwował się, pijąc poranną kawę w fabryce czekolady, dokąd zaprosił też Simona.

– Podczas wyborów bolszewicy będą się koncentrować na dwóch wielkich miastach, Piotrogradzie i Moskwie, władają prawie całe finanse w uzbrojenie i stworzenie armii. I jeśli zwyciężą, będą przewodzić radzie piotrogrodzkiej. Ten komiczny Trocki, któremu zupełnie nie ufam, ma objąć tę funkcję. Jak zwykle jesteśmy spóźnieni. Podczas gdy Rosjanie przeprowadzili rewolucję, my rozmyślamy nad tym, jak ma wyglądać przyszłość naszego kraju, i to nic dobrego, Simonie, to naprawdę nic dobrego.

Obaj pili czarną kawę, jedli rogaliki migdałowe z nadzieniem czekoladowym i rozmawiali, jak prawie codziennie w ostatnich tygodniach, tylko o polityce.

Gruzińskie życie polityczne uwiędło dokładnie w tym momencie, gdy Gruzja przyłączyła się do Rosji. Po tym przyłączeniu, kiedy mgliście zgodzono się na pozostanie przy własnej narodowej tożsamości, Gruzini zrezygnowali z wszelkich idei politycznych i całkowicie zanurzyli się w potoku rosyjskiego życia.

„Goniec Kaukaski”

Wszyscy białogwardziści, nacjonaści, liberałowie, nawet mienszewicy, którzy spotykali się codziennie w swoich lokalach, a potem przechodzili tłumnie obok gimnazjum Stazji, rozmawiając szeptem, lecz z przejęciem, zdawali się zjednoczeni w jednym celu: wykorzystać sprzyjający moment i ogłosić niepodległość Gruzji. Ten „balkon Europy”, jak ironicznie i poetycko nazywano naszą ojczyznę, miał wreszcie zrzucić niewolnicze pęta i wkroczyć na drogę wyśniewionej wolności.

Ale Stazja nie zwracała na to uwagi. Wzruszała obojętnie ramionami i dalej śniła o karierze w balecie. Nie lubiła tych dyskusji, na świecie było przecież tak wiele spraw pięknych, czarownych – zwłaszcza gdy się doświadczało pierwszych oznak zakochania i marzyło o Paryżu i Ballets Russes. Obojętne, czego chciał jej ojciec, narzeczony czy cały kraj – Stazja pragnęła tylko i wyłącznie wolności w Paryżu, a przede wszystkim tego, żeby tańczyć, tańczyć i jeszcze raz tańczyć. Gdyby jednak ci panowie o posepnych spojrzeniach mieli brać się za łby, ona chciałaby wtedy jak Ida Rubinstein tańczyć w Théâtre du Châtelet partię Szeherazady.

Każdego dnia czekała na to, że jej biały porucznik odprowadzi ją po szkole do domu i że będzie mogła pojechać konno w step, gnana chęcią zmierzenia się z nim w zawodach. Wtedy milkła ta cała gadanina o polityce. Wtedy milkło wszystko i zostawały tylko mocne uderzenia serca, echo i odgłos stukotu końskich kopyt na czerwonej ziemi.

Siedemnastoletnia, po raz pierwszy zakochana Stazja, która w szkole wolała się uczyć łaciny i astronomii niż dziergania na drutach i szydełkowania, dosiadając konia, czuła się wolna, pełna żądy czynu, i ani socjalizm, ani demokracja nie mogły tu niczego zmienić. Rozmyślała wówczas nad tym, w jaki sposób przekona swojego wybrańca do wyjazdu do Paryża i rozpoczęcia nowego, zupełnie innego życia.

I kiedy on, siedząc pewnego wieczoru pod drzewem, zapytał Stazję, czy może sobie wyobrazić, że jako jego żona pojedzie do zimnego, północnego kraju, gdzie czeka na niego piękna przyszłość, Stazja nie wiedziała, co się z nią stało.

W duchu opłakiwała to inne życie, z którego będzie musiała teraz zrezygnować. Czy nie powinno się przychodzić na ten świat dwa, trzy, cztery, nieskończoną ilość razy, żeby móc zrealizować wszystkie swoje pragnienia? Wykorzystać wszystkie możliwości? I jak zawsze w takich chwilach myślała o nieżyjącej siostrze bliźniacze, którą w myślach nazywała Kitty, jak Kitty z *Anny Kareniny*, która po długich miłosnych zawirowaniach znalazła w końcu spokojną przystań u boku Lewina – i ogarniało ją jeszcze większe przygnębienie.

Biały porucznik rozmyślał nad zupełnie innymi sprawami i szukał rozwiązania. Od dawna czuł, że

wpadł w ideologiczną i finansową pułapkę, a jego nadzieja, że liberałowie będą bronić kraju przeciwko komunistom, słabła z dnia na dzień. Dalsze pozostawanie w Gruzji łączyło się ze zbyt dużą niepewnością – nie ufał tutejszym uniom i koalicjom.

Musiał działać, opowiedzieć się po którejś ze stron. Żadną miarą nie chciał pozostawać dłużej w dusznej atmosferze rodzinnego miasta. Gdzie indziej ludzie tworzyli nowe kraje i Simon chciał w tym uczestniczyć, a nie dyskutować z gimnazjalistami w zadymionych pomieszczeniach na prowincji.

Nastał czas, kiedy równie szybko można było zrobić karierę, jak zostać okrzykniętym wrogiem. Tego ostatniego nie chciał za żadną cenę. Gdyby jednak w jego ojczyźnie nie udało się wprowadzić demokracji, gdyby zwyciężyli bolszewicy, wtedy nie będzie miał tu żadnych szans. Z drugiej strony czerwoni potrzebowali każdej pary rąk do pomocy.

Teraz siedział obok dziewczyny, która go zachwycała, i nie miał odwagi się przyznać, że jest bliski decyzji wstąpienia do armii chłopskiej, Czerwonej Gwardii, która miała zostać rozbudowana z rozkazu samego Trockiego.

Tak czy inaczej, Stazja, siedząc pod dębem – a był to na pewno bardzo stary dąb – płakała w głębi duszy. Z całą pewnością. Simon dotknął jej drżących ramion, chcąc ją pocieszyć. Naturalnie ich pierwszy pocałunek był cudowny, jestem o tym przekonana, Brilko, bo pierwszy pocałunek w naszej historii musi być piękny!

Nie wiem, czy Stazja powiedziała „tak” od razu tamtego wieczoru. Pewne jest natomiast, że trzy dni później weszła do ojcowskiego gabinetu, w którym zawsze pachniało czekoladą i lawendą, usiadła w ciężkim fotelu i oświadczyła, że następnego dnia bierze ślub z Simonem Jaszim.

Ojciec spojrzał na córkę znad dokumentów, zdjął okulary i zaczął się śmiać.

Nie koniec na tym, Stazja mówiła dalej: nie chce wesela, a pieniądze przeznaczone na nie i na jej posag chce wykorzystać dla siebie – opłacić kształcenie się w tańcu. „O ile wiem, ojcze, małżeństwo jest po twojej myśli, więc teraz po prostu oczekuję twej zgody”.

Fabrykant czekolady z uśmiechem, ale surowo odrzekł, że o tym w żadnym wypadku nie może być mowy (albo coś w tym sensie, stosownie do tamtego czasu) i że nie chce wystawiać się na pośmiewisko, tylko dlatego że jego córka ma kielbie we łbie. Wszystko ma się odbyć jak trzeba: zaręczyny, okres narzeczeństwa, a potem ślub i stosowne do pozycji rodziców młodych wesele. W końcu po raz pierwszy wydaje córkę za mąż i chce to zrobić w wielkim stylu. Poza tym musi poważnie porozmawiać z przyszłym zięciem. To nie do przyjęcia, żeby taki młody, godny szacunku człowiek, jakim w końcu jest Simon, tańczył, jak mu zagra jego narzeczona.

Stazja słuchała tego zupełnie spokojnie, odmówiła jednak wspaniale pachnącej tureckiej kawy, którą jej zaproponował. W końcu wstała, mówiąc, że albo wyjdzie za mąż w taki sposób, albo wcale, poza tym Simon wkrótce wyjeżdża do Piotrogradu. Musiała to powiedzieć bardzo zdecydowanie, bo choć

ojciec nie wyraził zgody, jednak nie przedsięwziął niczego, by córka następnego ranka nie stanęła przed ołtarzem w prostej białej sukience, którą na swój pierwszy bal uszyła sobie jej starsza siostra Lida.

Fabrykant czekolady długo musiał walczyć z wątpliwościami, nim zdecydował się dotrzymać danego sobie słowa i ofiarować Stazji w posagu tajemny przepis. Może w latach, które upłynęły od śmierci pierwszej żony, zdecydował, że bardziej będzie ufał swej handlowej intuicji niż przesądom. W końcu to tej właśnie recepturze jego rodzina zawdzięczała wiele lat dostatniego życia, mimo że plany rozszerzenia interesu na wielkie miasta się nie powiodły i gorącej czekolady ciągle nie było w ofercie firmy. Ale mała doza mieszaniny składników, którą dodawał do wszystkich swoich czekoladowych wyrobów, wydawała się niegroźna – dawała ludziom radość, pozwalała im na chwilę zapomnieć o wszystkich troskach bez narażania się na klątwę. W noc przed ślubem Stazji myślał o tym, że dobrze zrobił, trzymając pod kluczem przepis na gorącą czekoladę.

Był pewien, że decyzja, by z gorącej czekolady nie uczynić towaru, powstrzymała dalsze nieszczęścia. Choć nigdy się do tego otwarcie nie przyznał, szczególnie przed swymi pracownikami albo żoną, choć sam niekiedy uważał swoje przypuszczenia za śmieszne, to od śmierci Ketewan i bliźniaczki Stazji tliło się w nim pewne przypuszczenie. Wbrew oczekiwaniom nie zniknęło ono przez te wszystkie lata, przeciwnie, z czasem się umocniło i przerodziło w pewność.

Stazja jednak nie była jego pracownicą ani Larą Michajłówną. Była może jedyną osobą w rodzinie, której mógł, bez narażenia się na drwiny, powierzyć swoją tajemnicę. Dlatego w noc przed jej ślubem zebrał się na odwagę, zapukał do drzwi sypialni córki (nie spała, z emocji całą noc nie mogła zmrudzić oka) i poprosił ją, żeby się ubrała. Potem wziął ją za rękę i w milczeniu poszli spacerem w stronę fabryki czekolady.

Otworzył drzwi, zapalił światło elektryczne (wówczas było ono jeszcze rzadkością w tym małym mieście), zaprowadził Stazję do pomieszczenia wytwórni i poprosił, żeby usiadła. Potem zaczął przygotowywać gorącą czekoladę. Stazja miała uważnie obserwować cały proces oraz zapamiętać ingrediencje i powtarzać głośno ich nazwy, w czasie gdy on je mieszał. Zdumiona tajemniczością sytuacji oraz zaufaniem, jakie okazał jej ojciec, Stazja zapomniała o swej powściągliwości, szczególnie kiedy poczuła najbardziej czarodziejski zapach w swoim życiu.

Była dzieckiem znanego cukiernika, przyzwyczajonym do rarytasów wyrabianych w jego zakładzie, ale takiego oszałamiającego zapachu jeszcze dotąd nie znała. Jak zahipnotyzowana wyliczała składniki jeden za drugim i z nabożnym skupieniem powtarzała ich ilość, czując, jak ślina napływa jej do ust. Potem ojciec poprosił, żeby wszystko, co usłyszała, jak najdokładniej sobie zapisała: składniki, czas przygotowania i – bardzo ważne – dokładne proporcje. Dostała ołówek i kartkę papieru i zanotowała starannie, pięknym pismem, tajemnicę ojca. Musiała się przy tym mocno skoncentrować, bo rozpraszał ją zapach wypełniający pomieszczenie.

Potem dostała małą filiżankę o cienkich ściankach, lekką jak piórko, napełnioną gęstą, czarną cieczą, której zaczęła kosztować srebrną łyżeczką. Podniebienie: niezwykła radość, głowa: odurzenie smakiem, język: nieziemska rozkosz. Degustowała czekoladę po łyżeczce i na kilka minut zapomniała o bożym świecie.

– Na Boga, co to było, ojcze? – zapytała, kiedy jak głodny kot wylizała do czysta filiżankę, a potem ostrożnie ją odstawiła. – I czemu do tej pory nigdy nam tego nie przyrządziłeś?

– To sekretna receptura. Niewielką dawkę tej mikstury dodaję do wszystkich moich wyrobów czekoladowych, ale pierwotnie był to przepis na gorącą czekoladę, której teraz skosztowałeś. Ale – urwał, nie odrywając oczu od córki – ona jest niebezpieczna. – Urwał znowu, jakby szukał właściwych słów do wyjaśnienia czegoś bardzo skomplikowanego.

– Co masz na myśli, mówiąc „niebezpieczna”? – spytała Stazja, ciągle jeszcze czując w ustach niezrównany smak.

– Uwierz mi, Stazjo, moja córko. Nawet jeśli to, co mówię, wydaje ci się dziwne, musisz uwierzyć moim słowom, przyrzeknij mi to!

– Ależ ojcze...

– Obiecuj.

– Tak, dobrze, obiecuję. Oczywiście obiecuję.

– Zbyt wiele dobrego może prowadzić do zła. Nie widziałem jeszcze człowieka, który skosztowałby tej czekolady, a potem nie chciał więcej, a właściwie chciwie jej nie pożądał. Lecz pożądanie wraz z przyjemnością może doprowadzić do nieszczęścia. Zapamiętaj to, proszę!

– Oczywiście, że chce się więcej. To przecież diablo pyszne!

– Nie rozumiesz. Ten specjał można jeść tylko w niewielkich ilościach. Jego odrobina zmienia każdy wyrób czekoladowy w prawdziwy przysmak, ale w czystej formie, w tej formie, Stazjo, może spowodować nieszczęście.

Stazja, nienawykła do takich słów padających z ust ojca, nie mówiąc już o podniosłym tonie, jakim je wypowiadał, umilkła zdumiona, próbowała jednak przybrać możliwie rzeczowy wyraz twarzy.

– Musisz mi obiecać na wszystko, co dla ciebie święte, że będziesz strzec tego cennego przepisu jak żrenicy oka. Nigdy nie może on wyjść poza naszą rodzinę. Nikt obcy nie może z niego skorzystać. Nigdy nie wolno ci go użyć lekkomyślnie, na potrzeby jakiejś wesołej biesiady. Ma pozostać czymś niezwykłym, rzadkim. Przez te wszystkie lata mogłem zbić na nim majątek, lecz zdecydowałem, że tego nie zrobię.

– Ale dlaczego ja? Dlaczego mnie go dajesz?

– Bo po twoich narodzinach, przez pamięć na twą matkę, przysiągłem sobie, że to ty go odziedziczysz i...

– I?

– Ponieważ przetrwałaś to nieszczęście i jak się wydaje... – Nie dokończył zdania.

Stazja nie rozumiała, ale nie odważyła się zapytać. Miała zresztą na głowie inne sprawy niż wyimaginowane nieszczęście, wywoływane czekoladową ambrozją.

– Ale czasami...

– Tak, czasami. Pamiętaj, Stazjo, możesz ją przyrządzać tylko na wyjątkowe okazje.

Tej nocy Stazja przysięgła, że nauczy się przepisu na pamięć, a kartkę zniszczy. I kiedy leżała już w łóżku i wszystkimi zmysłami przywoływała wspomnienie smaku, który dziś poznała, była pewna, że boską miksturą ojca można leczyć rany, odwracać katastrofy i obdarzać szczęściem.

Myliła się jednak.

W dniu ślubu Stazji jej druga wedle starszeństwa siostra, Meri, przebywała u chorej ciotki na wsi, a macocha udawała, że ma migrenę, więc tylko nieśmiała Lida i dziesięcioletnia Kristine z entuzjazmem oraz z wielkimi bukietami w dłoniach towarzyszyły siostrze do ołtarza. Ślubu w małej cerkiewce Świętego Gieorgija udzielił młodym mnich Serafim, spowiednik Lidy i bliski przyjaciel rodziny.

Simon pocieszył teścia, obiecując, że wesele, stosowne do jego pozycji społecznej, zostanie wyprawione później oraz że będzie się troszczył o jego córkę. Noc poślubną młoda para spędziła w pewnej gospodzie niedaleko skalnego miasta. Następnego ranka Stazja uśmiechała się najsubtelniejszym ze swoich uśmiechów. Nie był to jeszcze uśmiech kobiety zamężnej, ale uśmiech dziewczyny kochającej wolność i jeżdżącej konno po męsku już gdzieś się ulotnił.

Niecałe dwa tygodnie po ślubie Simon opuścił miasto – najpierw pojechał bryczką na stację kolejową, a potem dalej, pociągiem na północ – a Stazja wróciła do rodzinnego domu.

Wszystko to zdarzyło się na początku pełnego zamętu roku 1918 – roku nominacji naszego krajana, nazywanego wówczas tylko Józefem, Kobą albo czule Soso, na jednego z dowódców powołanej właśnie przez Trockiego Armii Czerwonej. W roku, w którym bolszewicy wydali dekret „Socjalistyczna ojczyzna w niebezpieczeństwie” – którego paragraf ósmy brzmiał: „Wrogich agentów, spekulantów, grabieżców, kontrrewolucyjnych agitatorów, niemieckich szpiegów należy rozstrzeliwać na miejscu”. Był to rok poprzedzający utworzenie Czeka. Czeka, która potem miała zostać przemianowana na GPU, następnie na NKWD, a w końcu na KGB.

„CO TEŻ MOJA AMAZONKA WŁAŚNIE PORABIA KIEDY BĘDĘ MÓGŁ ZNOWU ZAMKNAĆ JĄ W RAMIONACH” albo „GOŁĄBECZKO CZY TĘSKNISZ ZA MNĄ WYSZUKAŁEM DLA NAS BARDZO MIŁE LOKUM W POBLIŻU NEWY BĘDZIE CI SIĘ PODOBAŁO DOBRY BALETMISTRZ TEŻ SIĘ ZNAJDZIE”, telegrafował Simon z Piotrogradu. Tego rodzaju błahostki wywoływały poruszenie wśród pracowników poczty. W mieście rzucano Stazji oburzone spojrzenia – coś takiego było po prostu nie na miejscu.

Później linijki telegramów zmieniły swój charakter, więcej było w nich niepokoju: „GOŁĄBKU TU JEST NIESPOKOJNIE NIE WIADOMO CO JESZCZE SIĘ ZDARZY UWAŻAJ NA SIEBIE” albo „GOŁĄBKU W TYM KRAJU DZIEJĄ SIĘ NIEDOBRE RZECZY ALE JA NIE MOGĘ” – tu treść się urywała.

Dopiero po wielu prośbach udało się Stazji dowiedzieć, czym dokładnie zajmuje się jej mąż: był w Armii Czerwonej, odpowiadał za zaopatrzenie w chleb.

W 1918 roku w Rosji panował wielki głód. Armia Czerwona miała za zadanie konfiskować zboże, tymczasem na wsi już go nie było, a resztki, które chłopci ukrywali, odbierano im siłą.

W maju tego roku została ustanowiona Demokratyczna Republika Gruzji. Fabrykant czekolady odetchnął z ulgą i spotkał się w Tbilisi z nowym ministrem gospodarki, żeby porozmawiać o planach ekspansji swojego przedsiębiorstwa. Wielka cukiernia w stolicy – nic nie stało jej teraz na drodze. W związku z tym fabrykant czekolady urządził uroczyste przyjęcie, zapraszając elitę prowincjonalnego miasta, żeby świętować przyszłość, którą zobaczył w jasnych barwach.

Zgodnie z ustaleniami Stazja miała dołączyć do męża już w lutym. Po kilku miesiącach oczekiwania nie wytrzymała i z nadejściem lata oświadczyła ojcu, że chce jechać do męża. Niech się dzieje, co chce, jej baletowa edukacja może zaczekać. Ojciec, choć poirytowany chęcią poświęcenia się swej zwykle niezależnej córki, próbował ją pocieszać.

W innych okolicznościach życzyłyby sobie oczywiście, by Stazja, jak przystało kobiecie zamężnej, była przy swoim mężu. W istniejącej sytuacji sprzeciwił się jednak jej planom. Długa walka z ojcem o zgodę na wyjazd doprowadziła do tego, że Stazja godzinami siedziała w ogrodzie w starym fotelu bujanym swej matki, ze wzrokiem nieruchomo utkwionym w dal, w nadziei że jej żaloszny wygląd zmiękczy serce ojca.

„O nas zawsze decydują mężczyźni. Co to za życie? Równie dobrze mogłabym się urodzić psem, wtedy nawet miałabym więcej wolności”, skarżyła się Lidzie, która z przerażenia kręciła tylko głową albo ze strachem mówiła, że młodsza siostra dopuszcza się bluźnierstwa.

Kiedy w lipcu przestały przychodzić telegramy, niepokój o męża unicestwił wolnomyślicielskie poglądy Stazji, która poszła do cerkwi Świętego Gieorgija do mnicha Serafima i poprosiła go o radę.

Ponoć przez dwie godziny klęczała w cerkwi i modliła się głośno: „Proszę, o Boże, proszę, proszę, jeśli to Twoja wola, nie będę tańczyć albo będę tańczyć później, ale spraw, by Simon wrócił do mnie albo by mój uparty ojciec zlitował się nade mną i pozwolił mi jechać do męża. Zdaje mi się, że kocham go naprawdę, i to jest takie niesprawiedliwe, Boże, bo przecież nie mogłeś mnie stworzyć ze wszystkimi tymi myślami i marzeniami tylko po to, żebym zawsze była posłuszna innym. Proszę, spraw, żeby spełniła się moja wolna wola, tak jak spełnia się Twoja. Tak, wiem, że powinnam odmówić dziesięć *Ojczy nasz* i w każdy Poniedziałek Wielkanocny przynosić zmarłym czerwone jajka, i rozlewać czerwone wino na grobach. Zanieczyściłam chrześcijańskie obowiązki, ale chętnie wszystko nadrobię, więc proszę, okaż mi trochę wyrozumiałości. Jeśli wszystko stworzyłeś, to taniec chyba też, prawda?”.

W tym momencie mocny podmuch wiatru rozwarł drzwi cerkwi i Stazja podskoczyła z przerażenia (przynajmniej tak to widzę, bo w mojej wyobraźni modlitwy Stazji od razu zostały wysłuchane). W drzwiach stał Serafim w czarnej kapocie. W ręce trzymał kartkę. Podszedł do Stazji i szeptem oznajmił, że pewien handlarz dywanów zgodził się wziąć ją z sobą bryczką na dworzec kolejowy. Jeśli Stazja zdecyduje się w tych niespokojnych czasach na długą podróż koleją, on jej to umożliwi.

Stazja rzuciła się Serafimowi na szyję, zapomniawszy, że to duchowny, i ustaliła z nim dokładny plan działania. Na trzy dni przed wyjazdem była przygotowana do drogi i spakowana. Wyciągnęła kilka banknotów z kieszeni ojcowskich spodni, a potem zabrała nieco biżuterii, którą miała prawo wziąć na poczet swego posagu, i wszyła ją w suknię. Błędym świtem uciekła z domu i wsiadła do bryczki sprzedawcy dywanów. Każdej z siostr i ojcu zostawiła list, w którym prosiła o zrozumienie jej decyzji. O podróży, która prowadziła przez coraz chłodniejsze okolice, niewiele mi wiadomo. Wiem tylko, że ojciec wysłał kilku mężczyzn, żeby sprowadzili Stazję, i że Serafim skrył się w klasztorze w jaskiniach, pod pretekstem ślubu milczenia w okresie postu. Wiem też, że Stazja dotarła do celu podróży. Po trzech tygodniach.

Potężne niegdyś Imperium Rosyjskie coraz bardziej pogrążało się w chaosie: odbieranie dóbr właścicielom i upaństwowienie własności prywatnej, banków, nieruchomości oraz likwidacja wolnego rynku skutkowały fatalnymi konsekwencjami. Tak samo jak zastąpienie lokalnych sądów sądami ludowymi.

W całym kraju zapanował chaos, ponieważ brakowało fachowców do przeprowadzenia tak radykalnych reform. Ogłoszona w lipcu radziecka konstytucja odmawiała wszystkim warstwom społecznym ich praw. Zaledwie dziewięć miesięcy po rewolucji wykształcił się styl rządów, który niechybnie musiał doprowadzić do wojny domowej. Decyzje podejmowało jedynie kilka najwyższych postawionych w państwie osób, w dziedzinie informacji i gospodarki zapanował monopol oraz dyskryminacja określonych kręgów społecznych.

Kiedy Stazja dotarła do Piotrogradu, nie żyli już Mikołaj II i jego rodzina. Ich historia zakończyła się

anonimowo, strzałami w piwnicy w Jekaterynburgu.

Ale o tym Stazja wówczas jeszcze nie wiedziała. Nie miała też pojęcia, gdzie przebywa jej mąż. Pod oficjalnym adresem Simona, gdzie miało być ich „miłe lokum”, w pobliżu Newy, Stazja znalazła tylko pijanych czerwonoarmistów i kwaterę sztabu. Nie było tam żadnego mieszkania, a towarzysz Jaszi nie należał do tej gromady. Błądziła po chłodnych ulicach Piotrogradu, pytając bezbłędnym rosyjskim, jak wypadało wówczas damie ze świata położonego za niekończącym się Jedwabnym Szlakiem, o swego męża.

W końcu uznała, że musi zatelegrafować do domu i prosić ojca o pomoc, nawet gdyby miała przy tym tysiąc razy umrzeć.

Niecałą godzinę później otrzymała od ojca odpowiedź: „O MAŁO NIE UMARLIŚMY ZE ZMARTWIENIA JAK MOGŁAŚ ALE DZIĘKI BOGU MASZ SIĘ DOBRZE IDŹ DO TEKLI ONA JEST KUZYNKĄ MOJEGO KUZYNA DAWIDA Z KUTAISI MIESZKA PRZY FONTANCE POWIEDZ ŻE JESTEŚ MOJĄ CÓRKĄ NUMERU DOMU NIE ZNAM TO JEST DUŻY DOM I ZNAJĄ JĄ W MIEŚCIE ROZPYTAJ SIĘ DAJ ZNAĆ JAK TYLKO BĘDZIESZ BEZPIECZNA”.

Stazja nigdy nie słyszała o Tekli, którą „znają w mieście”. Nie było w tym jednak nic dziwnego, bo nie znała nawet połowy swoich krewnych i poznawała ciągle nowych na urodzinach, ślubach i pogrzebach, w których z polecenia ojca zawsze uczestniczyła. Przez trzy godziny błądziła zdezorientowana i przestraszona po mieście ogarniętym szaleństwem, aż znalazła pijanego Kozaka, który zgodził się zabrać ją i jej skromny bagaż bryczką na Fontankę. Stazja, choć ze zmartwienia i strachu ślepa na piękno miasta, patrzyła z otwartymi ustami na ulice, przez które z łoskotem toczyła się bryczka.

Na niezliczonych mostach stały patrole ludzi w mundurach. Chłopi pchali przed sobą taczki pełne mebli, przed sklepami stały niekończące się kolejki, ludzie gnali gdzieś ze strapionym wyrazem twarzy. Nawet mętna, wzburzona, głośna rzeka wpisywała się w tę dziwną atmosferę. Przed imponującym soborem Świętego Izaaka odbywało się zgromadzenie, tłum stał z transparentami i hałaśliwie wykrzykiwał jakieś hasła.

Na Fontance, nadnewskiej promenadzie z jasnozielonymi i jasnożółtymi willami, ludzie tłoczyli się wokół ognisk, na których przygotowywano strawę. Elegancja carskiego miasta absurdalnie kontrastowała z panującym tu gwarem i chaosem. Kozak, zatrzymawszy się trzykrotnie, by rozpytać o adres, oświadczył w końcu milczącej Stazji, że nie ma czasu szukać jakiegś tam Tekli, właścicielki jakiegoś tam domu, lecz w tym właśnie momencie jedna z dziewcząt stojących w tłumie wokół ogniska krzyknęła, że chodzi pewnie o piękny żółty dom przed nimi po lewej stronie. Stazja nie wiedziała, co by poczęła, gdyby ta dziewczyna nie przyszła im z pomocą.

Zapłaciła Kozakowi, zabrała swój bagaż i zastukała do monumentalnych, żelaznych drzwi klasycystycznej willi, a raczej zaczęła walić w nie kołatką. Musiała, bo promenadą nadciągała kolumna

wykrzykujących coś gniewnie ludzi, i gdyby nie znalazła się zaraz w bezpiecznym miejscu, zostałyby porwana przez tłum. W końcu drzwi uchyliła wylężniona dziewczyna w typowej rosyjskiej chustce na głowie i Stazja bez słowa, pośpiesznie wśliznęła się do środka. Dziewczyna zamknęła drzwi na kilka rygli i zabarykadowała je meblami.

Stazja rozejrzała się ostrożnie: znajdowała się w jednym z najpiękniejszych domów, jakie kiedykolwiek widziała. Z przyjemnego, szerokiego holu na górę prowadziły szerokie marmurowe schody. Podłoga była wyłożona przepiękną białą-czarną terakotą. Stazja została poproszona o zajęcie miejsca w jasnej, przestronnej bawialni, w której oprócz nieskończonego długiego dębowego stołu i dwóch krzeseł nie było innych mebli, co wydało się jej dziwne. Dziewczyna zostawiła ją tam samą. Stazja miała poczekać i nigdzie się nie ruszać.

Po chwili Stazja usłyszała kroki i u szczytu schodów pojawiła się dama, może pięćdziesięciopięcioletnia, a może młodsza, ukrywająca swój wiek pod grubą warstwą szminki. Miała na sobie szlafrok o barwie subtelnego różu ozdobiony boa z piór – frywolny strój odpowiedni raczej dla tancerki z lokalu rozrywkowego, miejsca, przed którym tak często ostrzegał Stazję ojciec.

Na widok Stazji dama rzuciła się w jej kierunku i objęła ją.

– O Boże, nie mogę uwierzyć, córka mojego najukochańszego kuzyna w moim domu! Ostatni raz widziałam się z twym ojcem na balu sylwestrowym w Kutaisi. A teraz odwiedza mnie młoda, piękna kobieta z jego poważnym spojrzeniem!

Dziewczynie, która jako jedyna służąca pozostała w domu, kazała przygotować mocną herbatę i wyjąć trochę ciastek z szafki z zapasami.

– Ciastka są przecież na czarną godzinę – mruknęła dziewczyna z niechęcią.

Pani domu zgromiła ją spojrzeniem.

– A jaką teraz mamy godzinę, twoim zdaniem? W takich czasach przyjechała do mnie z ojczyzny moja krewna... No już! – krzyknęła na służącą.

Tekla nie potrzebowała wiele czasu, by przy gorącej herbacie i bardzo suchych ciastkach, które jednak Stazji wydały się ósmym cudem świata, opowiedzieć historię swojego życia. Stazja zrozumiała wtedy, dlaczego nigdy wcześniej nie słyszała o „Tekli, którą znają w mieście”.

Tekla, pochodząca z drobnej szlachty z dolin środkowej Gruzji, od zawsze wiedziała, czego chce od życia. Ponieważ w plotkarskim Kutaisi, jej rodzinnym mieście, nie znajdowała dla siebie swobodnej przestrzeni, wcześniej wyszła za mąż za bogatego kupca z Tbilisi, który zarządzał kilkoma winnicami i sprzedawał do Rosji gruzińskie wino. Nie było jej trudno znaleźć męża, bo przy bliższym wejrzeniu, kiedy oko przyzwyczaiło się już do warstw pudru, ujmowała subtelną twarzą o miękkich rysach oraz łagodnością, która świadczyła o marzycielstwie. Do tego miała bujne, apetyczne ciało, w którym wzrok przyciągał niepospolicie wysoki biust. W jej małżeństwie brakowało jednak namiętności, bo mąż

bardziej kochał winorośl niż ją, jak to ujęła. Podczas jednej z podróży do Piotrogradu, wówczas jeszcze Sankt Petersburga, zakochała się w Aleksandrze – nieodwołalnie, potężnie, kolosalnie. Aleksander Olenin, potomek bogatej petersburskiej rodziny, która wydała mecenasów i kolekcjonerów sztuki oraz założycieli Biblioteki Petersburskiej, był wolnomyślicielem, a do tego wykształconym, eleganckim i „nieprzyzwoicie przystojnym” mężczyzną, który służył w carskiej armii.

Po powrocie do Tbilisi Tekla oświadczyła mężowi, że rezygnuje z wszelkich przywilejów i opuszcza dom bez złotej obrączki, bo nieodwołalnie, potężnie i kolosalnie kocha innego mężczyznę. Oczywiście wybuchł skandal. Jej mąż uznał to za hańbę i latami odmawiał rozwodu. Ponieważ nie mieli dzieci, Tekla mogła jednak, choć oficjalnie była jeszcze zamężna, wyjechać bez obrączki do Petersburga i grać w mieście carów rolę Anny Kareniny.

Olenin musiał być mężczyzną honoru, bo w odróżnieniu od hrabiego Wrońskiego pozostał przy ukochanej i wprowadził ją jak prawowitą żonę na petersburskie salony. Mimo początkowego bojkotu towarzyskiego Tekla szybko zyskała znajomych, a nawet przyjaciół, i w końcu skupiła wokół siebie prawdziwą socjetę, co zawdzięczała swemu niekonwencjonalnemu, pełnemu temperamentu charakterowi. „Nieprzyzwoicie przystojny” Aleksander kupił niesytej wrażeń Tekli piękny dom i wraz z nią zaczął zażywać uroków życia. Środków ani możliwości im nie brakowało. Zapraszali artystów i „wszelkiej maści wariatów” – jedni i drudzy byli „okropnie interesujący” – i kontynuowali w ten sposób tradycję mecenatu Oleninów. Podróżowali po Europie i napawali się bolesnym pięknem, jakie oferuje ten świat, kiedy bezwarunkowo się kocha i jest się kochanym.

– Zaledwie dwa lata byliśmy z Aleksandrem małżeństwem – rzekła Tekla ze smutkiem.

Gruzin zgodził się na rozwód dopiero po długim czasie, a wtedy Tekla i Aleksander mogli wreszcie przypieczętować ślubem swoją miłość.

– Byliśmy szczęśliwi jak dzieci. Używaliśmy życia. Wiem, miałam bardzo dużo szczęścia.

Od tamtego czasu jednak Tekla nigdy nie odwiedziła już swej ojczyzny.

W przeklętym roku 1904 Aleksander zginął śmiercią bohatera na wojnie japońskiej. Po jego śmierci w Tekli coś pękło. Potrzebowała lat, żeby dojść do siebie, a potem, by zapewnić szacunek nazwisku męża, pomagała, gdzie tylko mogła, przeznaczając na tę pomoc sporą część otrzymanego po nim spadku. Podtrzymywała u siebie tradycję salonu towarzyskiego, organizowała spotkania kółka literackiego i muzycznego, przedsięwzięła wyprawy do wód, zawierała nowe przyjaźnie, a nade wszystko korzystnie lokowała pieniądze.

– Aleksander i ja zapłaciliśmy jednak wysoką cenę za nasze szczęście: Bóg nie pobłogosławił nas dziećmi.

Tak zakończyła Tekla swą opowieść i łyknęła herbaty z cennej porcelanowej filiżanki, którą z kuchni przyniosła służąca.

Stazja, wyczerpana i zziębnięta, w krótkich słowach opowiedziała o swej podróży do Piotrogradu, o świeżo poślubionym mężu i jego niewyjaśnionym zniknięciu oraz o swoim rozpaczliwym położeniu.

– Gdybym mogła tu zostać choć przez kilka dni, wie ciocia, dopóki nie znajdę Simona. Nie będę sprawiać kłopotów. I chętnie pomogę w pracach domowych – bąkała przestraszona, lecz zamilkła, gdy Tekla wybuchła śmiechem.

– W jakich pracach domowych, kochanie? Oczywiście, możesz zostać. Dom jest wystarczająco duży. Wprawdzie te bydlaki zabrały wszystko, co wpadło im w łapy, ale pozwolono mi zostać w domu. Są jeszcze dwa wolne łóżka. I myślę, że tak czy inaczej, to przejściowa sytuacja. Ci durnie nie mogą przecież trwać wiecznie u władzy, opór jest zbyt duży, a później... Później wszystko będzie po staremu. Cieszę się, że tu jesteś, Anastazjo. Odkąd zapanował ten zamęt i wielu moich przyjaciół uciekło za granicę, a inni siedzą schowani po domach, doskwiera mi samotność. Znowu jednak możemy mieć przyjemność z życia! Wspaniale! – wykrzyknęła Tekla triumfująco.

Przenikliwość tych czasów... Na ślepy zaułek nie trzeba więcej. Zatem wypada nie myśleć rozpływać się w drzewach, lecz plwociną na ścianie. I nie z księciem wieść spór: z dinozaurem.

**Josif Brodski, *Koniec pięknej epoki*,
przeł. Stanisław Barańczak**

Dom był naprawdę niesłychanie obszerny. Bez mebli sprawiał jednak wrażenie dziwnego, niefunkcjonalnego pałacu. Jak zniekształcone wspomnienie miejsca z minionych czasów.

Stare tapety, kilka cennych zasłon, które pozostały w wysokich oknach, i pojedyncze ocalałe meble pozwalały domyślać się dawnej świetności domu. Tekla miała też wielką, tajemną piwnicę, której nie odkryli bolszewicy, pełną wspaniałości: ostrej papryki marynowanej na sposób wenecki, karczochów z Grecji, czekoladowych cukierków z Moskwy, marmolady z Krymu, hiszpańskiej szynki, angielskich herbatników, a także butelek drogiego wina, koniaku, a nawet szampana.

Masza, wiejska dziewczyna, która bardziej z braku nadziei na coś lepszego niż z lojalności pozostała ze swą panią, wyczarowywała każdego dnia niewielką porcję dodatków do codziennej racji chleba oraz dwa, trzy jajka, które zdobywała podczas wypraw do miasta. Tylko ona opuszczała dom.

Tekla większość czasu spędzała w swojej na wpół pustej sypialni na drugim piętrze. Od czasu do czasu dochodził stamtąd jej śpiew albo płynęła muzyka z gramofonu – były to zawsze francuskie *chansons* lub rosyjskie pieśni miłosne. Czasem zawinięta w koc siadywała w obszernej bawialni i czytała jeden z romansów, których miała całe mnóstwo, a którymi bolszewicy widocznie się nie zainteresowali.

Herbaty było w domu wystarczająco dużo, a w szczególne dni – o tym, które z nich są szczególne, decydowała Tekla – była również kawa.

Stazja zauważyła, że Tekla często wciskała służącej do ręki a to łańcuszek, a to pierścionki, coś jej przy tym szepcząc, kiedy ta wybierała się do miasta. Potem Masza przynosiła coś więcej niż tylko jajka i chleb.

Stazja zamieszkała w byłej garderobie Tekli, tak dużej jak jadalnia w jej rodzinnym domu w Gruzji. Dostała od Tekli różne ubrania, pachnące mydła i parę pięknych skórzanych trzewików. Robiło się coraz zimniej i Stazja była wdzięczna za ten prezent.

Pani domu nie chciała nic wiedzieć o toczącej się wokół wojnie domowej. Tekla ubierała się i malowała, jakby każdego wieczoru miała się u niej odbyć uroczysta kolacja, jakby w każdej sekundzie mogło zapachnieć pysznymi potrawami, jakby miały się otworzyć wielkie drzwi wejściowe, wpuszczając do środka rzekę wytwornego towarzystwa, i jakby za chwilę miała zacząć grać orkiestra, a eleganckie damy i panowie ruszyć do walca, tak jak dawniej.

Dom wprawdzie został splądrowany kilka miesięcy wcześniej, Tekli jednak udało się przekupić bolszewików, by w nim mogła pozostać. Kosztowało ją to zapewne sporo pieniędzy albo cennych przedmiotów, bo podczas tej brutalnej wojny wywłaszczeniowej wszystkim właścicielom odbierano domy.

Dzięki Maszy utrzymywała kontakt ze światem zewnętrznym. Lecz kiedy służąca zaczynała opowiadać o zdarzeniach, których była świadkiem, Tekla gestem białej, wypielegnowanej dłoni dawała jej znak, by zamilkła. Żyła iluzją, że trzeba tylko przeczekać, przetrwać ten czas, a wkrótce idiotyczny pucz się skończy i wszystko będzie tak, jakby nic się nie zdarzyło. Nie chciała uciekać z Petersburga (w żadnym wypadku Piotrogradu!). Choć wielu jej przyjaciół opuściło już kraj, wzbraniała się nawet przed rozważeniem takiej możliwości. Wciąż żyła nadzieją i potrzebowała jej jak powietrza.

Ponieważ brakowało jej towarzystwa, głośnych spotkań, gry na gitarze i pianinie, cygańskich pieśni i bujnych nocy w towarzystwie pięknych i bogatych tego miasta, wdzięczną rozrywką stała się młoda krewna o samich oczach. Wieczorami grała z nią w karty, ignorując dochodzące z ulicy hałasy, kroki, hasła, pogroźki, stukoty i – tak, tak – od czasu do czasu strzały. W długie wieczory stopniowo się do siebie zbliżyły: małomówna Stazja i rozmowna Tekla, prosto ubrana dziewczyna z długimi warkoczami i wystrojona dama nosząca boa z piór. Połączyło je czekanie, czyniąc je milczącymi uczestniczkami wspólnego spektaklu o niewiadomym zakończeniu. Podczas gdy na zewnątrz setki tysięcy robotników protestowały przeciwko „dyktaturze komunistów”, gdy zamykano fabryki, a głód napędzał do miasta coraz więcej kryminalistów, gdy na porządku dziennym były pogromy, a racje chleba zmniejszono do stu gramów dziennie, gdy operująca już skutecznie Czeka dokonywała aresztowań i egzekucji, one siedziały, piły herbatę i kładły pasjansy, czując się bezpieczne, przekonane, że okropności wojny nie będą miały wstępu do ich domu.

Po jakimś czasie Stazja nie wytrzymała i mimo kategorycznego zakazu Tekli, zaczęła się wymykać do miasta. Przeczesała rozmaite bazy czerwonych w poszukiwaniu Simona Jaszego, ale nikt go nie znał ani nie miał o nim żadnych informacji.

Jesień nadciągnęła nagle. Nie była łagodna i subtelna jak ta, którą Stazja znała ze swej ojczyzny. Czekanie na wiadomości od Simona przeciągało się. Ta jesień paraliżowała, czyniła ciało ociężałym, a ducha lęklwym. Stazja nienawidziła tego czekania. Godzinami siedziała przy oknie w swoim pokoju i patrzyła przez dziurkę w prześcieradle, którym zasłonięte było okno, mając nadzieję nie wiadomo na co. Jedyne regularny kontakt, jaki utrzymywała ze światem zewnętrznym, stanowiły telegramy do domu i z domu.

W niektóre dni ogarniała ją histeryczna niemal euforia, zbiegała wtedy na dół, do kuchni, szerokimi schodami, zapalała świece albo lampę naftową, hałasowała, próbowała wydawać z siebie dźwięki, by się upewnić, że jeszcze żyje, że nie jest już tylko duchem. Biegła do bawialni przez pokój gościnny, do łazienki dla gości, potem znowu schodami w górę, schodami w dół, a później, naładowana osobliwą ochotą, zaczynała tańczyć. Wirowała, skakała, fruwała i na kilka chwil zapominała o całym świecie. O świecie za drzwiami domu i tym wewnątrz niego.

Zimno, które nastąpiło, sprzyjało zgorzknieniu i okrucieństwu. Tu i tam w sąsiedztwie stały w ogniu

domy, płonął też budynek władz miasta. Odgłosy strażaków były na porządku dziennym.

W wielkim domu na Fontance panowała groźna cisza izolacji, lodowaty spokój i konserwatywna przeszłość, ale na zewnątrz, na ulicach, na wspaniałych promenadach i brzegach Newy trwała teraźniejszość – ponura, krwawa, niebezpieczna, pełna głodu i niedostatku.

Kiedy październik chylił się ku końcowi, Teklę opanowała dziwna apatia. Zamknęła się w swojej sypialni i nie wychodziła z niej przez kilka dni. Masza i Stazja próbowały ją stamtąd wywabić różnymi sposobami, lecz nie przyjmowała nic poza odrobiną jedzenia, które Masza stawiała pod drzwiami jej pokoju. Stazja długo się zastanawiała, jak ją rozweselić i przywrócić jej siły. Przyszła jej na myśl czekolada ojca, na którą przepis wrył się jej w pamięć. Po raz pierwszy od czasu, gdy zamieszkała w tym domu, poprosiła Maszę o klucz do piwnicy z zapasami. Masza tylko wzruszyła ramionami i dała jej klucz. W spiżarni Stazja znalazła wszystko – oprócz cukru i masła – czego potrzeba do przyrządzenia czekolady, poprosiła więc Maszę, by resztę zdobyła na czarnym rynku. Obiecała jej za to jeden ze swoich jedwabnych szali, który kiedyś dziewczynie się spodobał.

W nocy obudził Teklę niebiański zapach, zeszła więc spiesznie do kuchni, której progu dawno już nie przestępowała. Zobaczyła Stazję mieszającą na piecu czarną masę i w tym momencie uzależniła się od tego widoku i tego zapachu, od zawartej w nim obietnicy, która pozwalała o wszystkim zapomnieć. W tym zmierzającym ku katastrofie świecie, w którym tkwiły, czar ten musiał wyrzucić nieodparte wrażenie. I kiedy Tekla dostała wreszcie tę czekoladę, przepadła z kretesem.

Od tej pory – skomląc jak pies, krzycząc, tupiąc trzewikami w marmurową podłogę albo płacząc jak dziecko – domagała się gorącej czekolady.

Sylwestra obchodziły za oknami zabarykadowanymi blatami stołów przy gałązce jodły, butelce szampana i resztki herbatników, marmoladzie z truskawek i trzech plastrach szynki. Mróz, który przenikał ściany domu, sprawiał, że atmosfera stawała się coraz bardziej napięta, a do tego w pierwszy dzień nowego roku Masza oświadczyła, że wyjeżdża do Carycyna do narzeczonego. Ma dość „nadludzkiego wysiłku”, którego nikt tu nie docenia.

Stazja i Tekla nie wiedziały, ani jak trzeba się zachowywać w tych żałośnie długich kolejkach, żeby dostać chleb, ani jak coś zdobyć na czarnym rynku. Bez Maszy umrą z głodu, zginą, a na pewno zwariują, tego były pewne.

Wtedy jednak przyszła krótkotrwała ulga, która jednocześnie wywołała w Stazji dziką wściekłość. Nadszedł list od Simona.

Moja gołąbeczko, tak nędznie się czuję, że przysporzyłem Ci takiej udręki, i tak bardzo się trapię, odkąd wiem, że tu jesteś. Jakąż wspaniałą amazonkę pojąłem za żonę, że tak odważnie pokonała długą drogę do mnie! Kłaniam Ci się nisko, moja gołąbeczko. Uważaj na siebie. Twój ojciec pisał mi, że znalazłaś schronienie u krewnej. My z trudem posuwamy się naprzód, opór ma

wielu zwolenników, a przez to i wiele pomocnych rąk, ale wierzymy w ostateczne zwycięstwo, bo racja jest po naszej stronie! Chciałbym, żebyś skorzystała z pierwszej okazji i wróciła do domu. Jedź przez Odesę, to najpewniejsza droga. W Piotrogradzie jest niebezpiecznie, przyjadę odwiedzić Cię tak szybko, jak to będzie możliwe. Kocham Cię i w marzeniach jestem z Tobą.

Twój Simon

Stazji chciało się krzyczeć, kiedy czytała ten list. Powinien być z nią nie w marzeniach, lecz w rzeczywistości. Powinien był co najmniej napisać, że wszystko rzuca i do niej spieszy. To byłaby stosowna rekompensata. Odpisała mu drżącą ręką, przedstawiając tortury ostatnich miesięcy, i zażądała, by przyjechał choć na kilka dni. List podpisała: „Twoja żona”, czego nigdy wcześniej nie czyniła.

Natychmiast poczuła głęboką ulgę, jakby kamień spadł jej z serca, i kiedy usłyszała dochodzącą z sypialni Tekli piękną, melancholijną melodię, zaczęła tańczyć.

Jej ciało obudziło się do nowego życia, ciepło rozlało się w jej piersiach, zapomniała o ciągłym głodzie, o zimnie, które bardziej niż głód dawało się we znaki, i wirowała, podskakiwała wysoko, okręcała się, na zmianę to prężyła się, to stawała się giętka i w głos się przy tym śmiała. Tekla, która wyszła akurat z kuchni i to zobaczyła, zaczęła głośno klaskać. Stazja zatrzymała się i zmieszana usiadła na najniższym stopniu schodów. Choć Tekla niewiele wiedziała o balecie, czuła jedno: to było piękne.

– Zapomnij o tym człowieku, on ma w głowie tylko tę chorą politykę. Pozwolić, żebyś tu tkwiła, to beczelność, akurat ty, popatrz na siebie, co za widok! Z czekania rzadko wychodzi coś dobrego. Powinnaś tańczyć, kochanie!

I teatralnie popłynęła schodami na górę w płaszczu w kolorze lila.

Trzy dni później Stazję odwiedził Piotr Wasiljew, dżentelmen z poprzedniej epoki, były solista Baletu Królewskiego. Podał Stazji rękę i rzekł:

– Tylko Tekli mogło przyjść do głowy, żeby w takich czasach zamawiać nauczyciela tańca, ale sądzę, że i dla mnie będzie to rozrywka.

Duże puste pokoje domu stanowiły idealne pomieszczenia do ćwiczeń, a Wasiljew przyniósł z sobą nowe płyty gramofonowe.

Miał siwe włosy, był wysoki, światowy i władczy. Stazja uwielbiała go od pierwszej chwili i codziennie od rana nie mogła się doczekać jego przyjścia.

Opanowała wprawdzie podstawy klasycznego baletu, ale Wasiljew był bardzo wymagający. Znał wyłącznie najlepszych w swojej dziedzinie i tańczył już na kilku znakomitych scenach. Stazja myślała, że gdyby nie rewolucja, kierowałby z pewnością najlepszą szkołą baletową w Petersburgu.

Dzięki jego nieubłaganej dyscyplinie, talentowi, budzącemu respekt sposobowi bycia oraz dzięki determinacji Stazji, by mimo dotkliwego zimna godzinami ćwiczyć, obudziła się w Stazji nadzieja na Paryż. Wszystko znowu wydawało się możliwe. Z Simonem albo bez niego.

W ten sposób Stazja przetańczyła zimę, zawieje, lodowate wichry, mroźne dni i noce, demonstracje i starcia, powstania, strajki i ciągły chłód. Simon nie przyjechał.

W marcu 1919 roku zaczęły strajkować niemal wszystkie wielkie fabryki Piotrogradu. A Masza ostatecznie wypowiedziała służbę. Wcześniej jednak wprowadziła we wszystko Stazję. Wzięła ją z sobą parę razy do kolejki po chleb oraz przedstawiła pewnej dziewczynie z Syberii, znającej nielegalnych handlarzy, która mogłaby jej pomóc w nagłej potrzebie. Wtajemniczyła ją w technikę pchania się, krzyczenia i zwracania na siebie uwagi – czego umiejętność była w tamtych czasach niezbędna. A potem, nie okazując prawie żadnego wzruszenia, pożegnała się z łkającą Teklą i wyszła z małym węzełkiem na plecach przez drzwi, które Stazja zamknęła za nią na kilka rygli.

W kolejnym liście przysłanym w kwietniu Simon donosił Stazji, że jego przyjazd do Petersburga nadal się odsuwa. Ciągłe nie może dostać urlopu, bo spodziewany jest atak na Moskwę i on ma zostać tam wysłany. Prosił, by Stazja poczekała do lata.

Fabrykantowi czekolady udało się w jakiś sposób wysłać córce duże pudło z żywnością. Bóg jeden wie, kogo musiał przy tym przekupić. Żywność ta razem z wiosenną pogodą, która nareszcie się zaczęła wbrew chłodom zimy, sprawiła, że przez kilka tygodni Stazja z Teklą nie musiały martwić się tym, jak przeżyją kolejny dzień.

Stazji nadal pomagał taniec, wyczerpujące, monotonne ćwiczenia i małe sukcesy. Po każdej godzinie ćwiczeń czuła się nieco bardziej szczęśliwa i swobodna. Gdyby nie samotna, ale nieodczuwająca tragizmu ogólnej sytuacji Tekla i pracowity Piotr Wasiljew, który wytrwale trzy razy w tygodniu

odwiedzał dom na Fontance, Stazja już nieraz dałaby za wygraną i albo wsiadła w pierwszy lepszy pociąg jadący na południe, albo po prostu położyła się do łóżka i więcej nie wstała.

Stojąc w niekończących się kolejkach po chleb, przysłuchiwała się, co ludzie mówią o przyszłości kraju. Front nad Donem, front wokół Charkowa, front w Nowogrodzie, front koło Mińska, front koło Irkucka – już na samo słowo „front” robiło się jej słabo. Chłopi chcieli tylko, żeby władze zostawiły ich w spokoju. Kozacy chcieli niezależności i bronili swojej własności. Monarchiści nie chcieli współpracować z mienszewikami, ponieważ ci kolaborowali z czerwonymi, a mienszewicy coraz bardziej zbliżali się do bolszewików, by przeciwdziałać chaosowi wywoływanemu przez monarchistów i liberałów, podczas gdy anarchiści i kryminaliści wykorzystywali zamieszanie, by zbijać majątek na nielegalnym handlu.

– Może powinniśmy razem pojechać do Gruzji, Teklo. Wszędzie jest niespokojnie, ale tam byłybyśmy bezpieczniejsze i nie zabrakłoby nam jedzenia – rzekła Stazja pewnego ranka, pijąc z Teklą w kuchni słabą herbatę.

Dobrej, mocnej herbaty nigdy nie udało jej się zdobyć, zawsze ją okpiono.

– Ach, kochanie, jestem za stara, żeby rozpoczynać wszystko od nowa – odparła Tekla.

– Co ty opowiadasz! Nie jesteś stara, Teklo. Poza tym nikt tu nie mówi o nowym początku, chodzi raczej o przezimowanie, jak to nazywasz, dopóki to wszystko się nie skończy.

– Czy kiedykolwiek tak będzie? – spytała Tekla poruszająco smutnym głosem.

Stazja zrozumiała, że Tekla nigdy nie opuści tego miasta i tego domu, i wiedziała też, że ona nie zdobędzie się na to, żeby zostawić Teklę samą.

I tak Stazja i Tekla nadal mieszkały razem w cienistej i wilgotnej izolacji wielkiego domu, trzy razy w tygodniu budzone do życia wizytą Piotra Wasiljewa i lekcjami tańca. Lecz nieustanny lęk oraz ciągła konieczność obrony przed hałastrą, która dobijała się do drzwi w poszukiwaniu schronienia lub łupu, tak nadszarpnęły nerwy Stazji, że nachodziła jej ochota, by wymierzyć Tekli policzek, że zostawia ją samą z obroną domu, jakby nie był on ukochanym domem Tekli.

W lecie minął drugi rok piotrogrodzkiego uwięzienia Stazji. Z kilku dni zrobiły się pełne dwa lata, od kiedy opuściła ojczyznę i rodzinę, żeby dołączyć do męża. Była jego żoną tak krótko, że zdawała się już nie pamiętać, dlaczego w ogóle tu przyjechała.

W jeden z gorących, rojących się od komarów lipcowych wieczorów w drzwiach niespodziewanie stanął Piotr Wasiljew. Pod koszulą miał zawiniętą w gazetę butelkę. Twarz mu promieniała.

– Chodźcie, moje panie. Chciałbym się z wami pożegnać i wznieść toast! – wołał, idąc triumfalnie do kuchni.

Tam do trzech kieliszków nalał krymskiego szampana i poinformował Stazję i Teklę, że pojutrze opuszcza kraj, w związku z czym lekcje tańca się kończą.

– Mam kuzynkę w Baden-Baden. Jej mąż, przedsiębiorczy bankier, zaproponował, że mi pomoże. Są tam już moje dwie siostry. Nie wytrzymam tu dłużej. Przysłali mi pieniądze na podróż i załatwili papiery. Jestem szczęśliwy, że dołączę do moich żydowskich krewnych.

Wiele lat później, kiedy Stazja usłyszała o Auschwitz i Birkenau, często myślała o Piotrze Wasiljewie, którego miękko brzmiące nazwisko było pseudonimem, i miała gorącą nadzieję, że Izaak Eibinder nie znalazł się pośród miliona Żydów, którzy tam zostali zgładzeni.

Po odjeździe Piotra Wasiljewa wszystko nagle wydało się pozbawione sensu i smaku. Tekla prawie już nie opuszczała sypialni, a Stazja błąkała się po domu. Początkowo próbowała tańczyć bez wskazówek Piotra Wasiljewa, ale szło jej coraz trudniej i marzenie o tańcu znowu zbladło. Stazja straciła sprzymierzeńca, by to marzenie urzeczywistnić. Zaczęła teraz kupować na czarnym rynku mocny marynarski tytoń, z którego skręcała cienkie papierosy (nałóg palenia miał jej towarzyszyć przez całe życie i nawet wtedy, gdy stać ją było na lepsze papierosy, nie wyrzekła się taniego, mocnego tytoniu).

Pewnego razu, kilka tygodni po pożegnaniu z Piotrem Wasiljewem, po bezsennej nocy Stazja w szarówce poranka weszła do pokoju Tekli i usiadła na brzegu jej łóża. Tekla leżała odwrócona do niej plecami i spała albo udawała, że śpi. Stazja dotknęła jej ramienia.

– Tak dalej być nie może, Teklo. Oni tak czy siak odbiorą ci ten dom albo jacyś ludzie włamią się tu i po prostu zostaną. Za ledwie wczoraj musiałam znowu grozić nożem, kiedy dwóch takich chciało się dostać do domu przez piwnicę. Gdybym przynajmniej miała broń, bo jej boją się bardziej niż noża... Nie mam już sił stać godzinami w kolejkach i ciągle się bać, że ktoś się włamie i poderżnie nam gardła. W twojej szkatułce został już tylko srebrny pierścionek i łańcuszek. Papiery wartościowe, które masz, nie są nic warte, a car nie żyje. Przez cały ten czas nie chciałaś mi wierzyć, Teklo. Ale tak to wygląda. Zawsze mówiłaś, że car Mikołaj wróci, że nie zostawi kraju tym pożałowania godnym opojom, lecz tak nie jest. Zastrzelili go przed prawie dwoma laty. W Jekaterynburgu. Jego dzieci, żona, wszyscy są martwi. Jest wojna. Wszędzie jest wojna. Nigdy nie będzie tak jak kiedyś. Nigdy. Przykro mi. Musimy coś zrobić, Teklo. Wracam do domu.

Z początkiem września 1920 roku Stazja zaczęła przygotowania do powrotu. Napisała do męża na adres kwatery sztabu w Moskwie i chłodno poinformowała go o swych planach, nie kończąc listu zwrotem: „Z miłością – Stazja”. Tekla sprzedała ostatnie kosztowności, nawet futro z karakułów. Po wielotygodniowym oczekiwaniu pod koniec października udało się, po przekupieniu kogo trzeba, zdobyć dwa bilety na pociąg do Odessy, skąd statkiem zamierzały dostać się do Gruzji. Zdobywszy ciężką walizę, bo droga, ręcznie wykonana walizka Tekli już dawno została sprzedana, Stazja, przemoknięta i zmarznięta, lecz szczęśliwa z powodu sukcesu, wróciła do pudrowożółtego domu na Fontance.

– Udało się, mamy bilety, możemy jechać w przyszły poniedziałek! – zawołała i raptem umilkła, bo odpowiedziała jej dziwna, lodowata cisza.

Ostrożnie weszła do kuchni. Unosił się w niej upajający aromat. Niczego nie znalazła, zapach jednak był znajomy, nawet bardzo.

Cicho poszła na górę. Zapach prowadził do sypialni Tekli. Stazja zapukała. Nie było odpowiedzi, nacisnęła więc klamkę i zajrzała do środka. Tekla, odwrócona plecami do drzwi, wyglądała tak, jakby spała. Obok łóżka na podłodze stała cynowa filiżanka z resztkami czekolady. Ile tygodni upłynęło, odkąd Stazja po raz ostatni przyniosła Tekli gorącą czekoladę? Wieczność cała! Tekla musiała wtedy zachować resztkę i teraz ją podgrzała. Stazja podniosła filiżankę i powąchała. Czekolada pachniała pysznie, odurzająco, ale z jej słodkim zapachem mieszała się jakaś inna, metaliczna woń.

Stazja powoli odstawiła filiżankę na podłogę. Kolana jej drżały. Tekla leżała na łóżku bez ruchu. Coś zostało wmieszane do czekolady, coś ostatecznego. Zimny pot spłynął Stazji po plecach. Przypomniła sobie podniosłą twarz swego ojca, gdy w fabryce czekolady w noc poprzedzającą jej ślub mówił o nieszczęściu. O czymś, co wówczas wydało się jej urojeniem niespokojnego i poruszonego posiadacza tajemnej receptury. Teraz „nieszczęście”, słowo, które wówczas z niczym jej się nie kojarzyło, wróciło do niej ze złowrogą siłą. Czy ojciec wybrał to słowo na określenie czegoś tak definitywnego jak śmierć? Czy mówił o przerażeniu, bólu i lęku, jaki teraz odczuwała, patrząc na nieruchome plecy Tekli? Czy sama wywołała nieszczęście, uważając, że sprawi Tekli nieco przyjemności, i czy Tekla wiedziała, jakiej ceny zażąda od niej czarna rozkosz? Czy przeczuwała, że gorąca czekolada doprowadzi do takiego finału?

Minęła wieczność, zanim Stazja odważyła się podejść od drugiej strony łóżka, żeby zobaczyć twarz Tekli. Spodziewała się czegoś straszliwego, ale Tekla wyglądała tak, jakby spokojnie spała. Obok niej leżała biała kartka papieru.

Kochanie, będę zawsze z Tobą. To, że los zetknął nas w tak niezmiernie trudnym czasie, to był

dar od Boga. Takie życie – życie, które teraz ku nam idzie – jest nie dla mnie, nie ma w nim dla mnie miejsca. Wiedziałam, że car nie żyje. Wiedziałam to od początku, ale dziękuję Ci, że tak długo trzymałaś to przede mną w tajemnicy. Jestem niewypowiedzianie zmęczona. Nie bierz mi tego za złe. Zostawiłam Ci trochę pieniędzy w cukiernicy w kuchni. Musi wystarczyć na mój pogrzeb. Mam nadzieję, że starczy również na Twoją podróż powrotną. Uważaj na siebie i pamiętaj, że jeśli istnieje coś jeszcze poza snem wiecznym, będę stamtąd nad Tobą czuwała. Przebac mi i przyjmij ode mnie ten ostatni podarunek.

Pod kartką leżał zegarek. Niewyobrażalnie piękny złoty zegarek na rękę. Dopiero po paru minutach Stazja zauważyła, że list został napisany w ich języku ojczystym, pismem pełnym zawijasów, które dla nieznających gruzińskiego wygląda jak tajny szyfr. Pismem, które Stazja prawie zapomniała. Pismem, przy którym w szkole dla dziewcząt tyle się namęczyła, bo nie udawało się jej pisać tak, jak przystało damie. Z Teklą prawie zawsze rozmawiały po rosyjsku i ten ostatni list uświadomił jej boleśnie, że nigdy już nie będzie mogła porozmawiać z krewną w języku pasującym do tego pisma.

Stazja nie wiedziała, ile godzin spędziła przytulona do martwego ciała Tekli. Po jakimś czasie zaczęła wołać pomocy i jacyś ludzie hurmą wdarli się do domu. Obcy ludzie.

Trzy dni później Tekla została pochowana bez ceremonii pogrzebowej i bez popa. Duchowni z obawy przed pogromami zamknęli drzwi cerkwi. Stazja długo stała nad grobem i płakała bez opamiętania. Przedtem nie potrafiła płakać. Nawet wtedy gdy leżała obok martwego ciała Tekli. Ale teraz, gdy stała nad grobem z jej listem pożegnalnym i złotym zegarkiem w torebce, łzy popłynęły obficie.

Kiedy następnego dnia szła w dół po schodach z walizką, ludzie wtargnęli już do środka domu. Jak dzicz rzucali się na wszystko, co można było jeszcze zabrać, i kłócili się o pokoje.

Na dworcu dowiedziała się, że na wyjazd do Odessy potrzebne jest pozwolenie. Zupełnie wyczerpana, pokazywała, drżąc, wszystkie papiery, jakie miała, także kopię dokumentu potwierdzającego służbę Simona w Armii Czerwonej, którą ten przysłał jej przed kilkoma miesiącami dla bezpieczeństwa. Błagała ze łzami w oczach o miejsce w pociągu, ale nic nie pomogło. Kasjerka zlitowała się nad nią w końcu, informując ją, że jako żona porucznika Armii Czerwonej Stazja ma prawo jechać do miejscowości, w której stacjonuje jej mąż. Taki bilet wolno jej nabyć.

– Gdzie stacjonuje pani mąż? – zapytała.

– W Moskwie – odpowiedziała wyczerpana Stazja i zniechęcona usiadła na walizce.

– O szóstej rano odjeżdża pociąg do Moskwy. Wymienię pani bilet. Tam małżonek może zdobyć dla pani pozwolenie na wyjazd. Proszę dać mi swój bilet.

Stazja podała jej nieprzytomnie oba bilety.

– Kto jeszcze ma z panią jechać? – spytała kasjerka.

– Ona już nie pojedzie.

W pociągu Stazja milczała, słuchając monotonnego stukotu kół wagonu. Ciągłe wracała myślami do sztywnego ciała Tekli i prostej koszuli, jaką Tekla wtedy na sobie miała. Prostej, skromnej, białej koszuli nocnej, którą włożyła jakby po to, żeby pojechać w swoją podróż – w sen o przeszłości.

W Moskwie wszędzie wisiły plakaty propagandowe, na których żołnierz w białym mundurze pokazywał palcem kogoś, kto był poniżej: „Dlaczego nie jest pan w armii?”. Na innych plakatach, rozwieszanych przez czerwonych, żołnierz w czerwonym mundurze wskazywał palcem na czytającego: „Czy jesteś już wśród ochotników?”.

Stazja miała szczęście. Pod podanym adresem wszyscy znali Simona. Były to koszary na obrzeżach miasta, do których dotarła dorożką. Wyczerpana, przemarznięta (w trzewikach wypchanych papierem z powodu dziur) usiadła na korytarzu. Dwóch młodych żołnierzy przyniosło jej kubek z gorącą herbatą i trochę wódki. Powiedzieli, że to jej dobrze zrobi. Wypiła wódkę, zatkawszy sobie nos, i rzeczywiście poczuła ulgę. Simon był na zebraniu załogi w jakiejś fabryce i miał wrócić wieczorem. Zaprowadzono ją więc tymczasem do jego pokoju, który dzielił z dwoma innymi żołnierzami, i przykryto wszystkimi kocami, jakie się znalazły.

Spała długo i mocno.

Zbudził ją jakiś mężczyzna. Siedział u jej nóg. Obejmował jej uda i złożywszy głowę na jej brzuchu, płakał. Stazja, zmęczona, pusta w środku, nie potrafiła dać żadnego wyrazu swym emocjom. Z roztargnieniem głaskała Simona po włosach. Był to dziwny stan. Tyle czasu czekała na tę chwilę. Wyobrażała sobie tę scenę setki razy ze wszystkimi szczegółami. W myślach codziennie rozmawiała z Simonem, a teraz, mając za sobą tę niekończącą się, straszną, zimną i głodną podróż, właściwie nic nie czuła. Jakby wyczerpały się wszystkie jej uczucia i słowa. Jakby wszystko, co miała nadzieję zachować dla męża, zabrały lata spędzone w Piotrogradzie, Piotr Wasiljew i przede wszystkim Tekla. Obejmowali się, nie mówili wiele. On grzał jej stopy, przyniósł gorący barszcz i cały bochenek chleba, coś, czego Stazja nie miała w ustach od dwóch lat. Zjadła łączywie i zapadła w głęboki sen.

Kiedy zbudziła się rano, byli w pokoju sami. Simon leżał wyciągnięty obok niej i spał. Usiadła i długo mu się przyglądała. Tak wiele miała mu do powiedzenia, o tyle spraw chciała go zapytać, tak dużo wyjaśnić, ale nie wiedziała, jak i od czego zacząć. Spał spokojnie, jego szary wełniany płaszcz z naszytą na nim czerwoną gwiazdą wisiał porządnie powieszony na haku na ścianie. Buty, stare i znoszone, ale czyste, stały na podłodze.

Jego twarz, mimo trzydziestu lat, które przekroczył, wydała się Stazji bardzo młodzieńcza. Gęste brązowe włosy, gęste rzęsy, bujne brwi, długi, prosty nos, pełne usta i przede wszystkim broda, którą zapuścił. Patrzyła na niego i czuła, że bardzo trudno będzie jej zapomnieć lata rozłąki, przewyciężyć je. Będzie jej trudno stać się dawną Stazją, która w głowie miała głupstwa i marzenia. Czuła się pusta

i pozbawiona pragnień, znużona. Choć uśmiechnęła się na widok jego śpiącej twarzy, była bezbrzeżnie smutna.

Na zewnątrz usłyszała kroki i krzyki żołnierzy, którzy, jak się zdawało, maszerowali.

– Simon, obudź się, chyba powinienes wychodzić.

Usiadł, spojrzał na nią wzrokiem pełnym niedowierzania i potrząsnął głową.

– Poradzą sobie beze mnie – powiedział i pocałował Stazję w usta.

To zdanie wprowadziło ją w złość. Jej smutek zamienił się we wściekłość. Dlaczego ani razu nie przyjechał!? Jeśli mogli się tu bez niego obejść, jeśli akurat nie ratował żadnego ludzkiego życia, co mogło usprawiedliwić to, że tak długo zostawiał ją samą, w niepewnej sytuacji?

Czuła, że łzy napłynęły jej do oczu – łzy, które miały smak rozczarowania. Ale nic nie powiedziała, nie robiła mu wyrzutów, nie podniosła głosu, stłumiła w sobie złość i pozwoliła mu się rozebrać. Początkowo nie potrafiła się odprężyć, nasłuchiwała kroków na korytarzu, wołań i rozmów na podwórzu, wydawała się nie pamiętać, jak to jest, gdy jest się miękka, gdy czuje się tę szczególną radość, nie jest się napiętą i pełną lęku. Spanie z mężem wiele ją kosztowało. Teraz nie było tak jak w noc poślubną, w gospodzie, gdzie czuła euforię, radosną ekscytację. Teraz leżała tylko cierpliwie, cicho, z zamkniętymi oczami. Ale i w ten sposób nie mogła znaleźć ukojenia. Ciągle widziała przed sobą sztywne plecy Tekli w prostej bawełnianej koszuli nocnej, białą kartkę i zegarek, który potem wszyła w halkę.

– Chcę wrócić do domu. Potrzebuję pozwolenia na wyjazd. Z Odessy można wypłynąć statkiem – powiedziała w końcu, kiedy leżeli nadzy obok siebie, oddychając wspólnym rytmem.

Przez krótką chwilę miała nadzieję usłyszeć, że on nie chce, żeby odjechała, że uczyni wszystko, co w ludzkiej mocy, by mieć ją przy sobie, ale Simon odrzekł:

– Tak, czas, żebyś wróciła do domu.

– Jak długo musisz tu jeszcze zostać?

– Co masz na myśli?

– Jak długo to jeszcze ma trwać? Po co wzięliśmy ślub?

– Stazjo, jest wojna i u nas nie jest lepiej, wierz mi. Otrzymuję regularne informacje i...

Mówił dłuższą chwilę o potrzebie zwycięstwa bolszewików, o różnych frontach, gdzie należało się jeszcze bronić albo wyrwać białym, o kilku awanturach, jakie on i jego załoga muszą przetrzymać, i o trudnościach w przywództwie partii. Stazja prawie nie słuchała, trudno jej było za nim nadążyć. Nie rozumiała, dlaczego jej to opowiada, wątpiła też w jego socjalistyczne przekonania. Wszystko, co mówił, brzmiało jak wyuczony na pamięć, bezmyślnie recytowany wiersz. W jego głosie było wielkie znużenie, pustka, brak pragnień – stan, który wydał się jej znajomy. Ale do tego się nie przyznał, chciał być nadal w jej oczach pewnym siebie porucznikiem.

„A byłoby o wiele łatwiej – myślała Stazja – gdyby któreś z nas powiedziało prawdę. Wtedy pojawiłaby się może jakaś szansa spotkania. Gdybyśmy tylko spróbowali”.

Pod koniec 1920 roku, po prawie trzech latach nieobecności Stazja ujrziała wreszcie rodzinne miasto. Powitali ją najstarsza siostra Lida, która większość czasu spędzała w cerkwi Świętego Gieorgija, posiwiaily i smutny ojciec, wymalowana macocha, która się roztyła, i nieprawdopodobnie piękna Kristine, która nieco wcześniej obchodziła czternaste urodziny. Meri, druga pod względem starszeństwa, znalazła wreszcie odpowiedniego narzeczonego, notariusza z Kutaisi, i wyjechała. Wracając w rodzinne strony, Stazja nie wiedziała jeszcze, że poza wymienionymi członkami rodziny był z nią ktoś jeszcze w tym rodzinnym kręgu – nowa istota w jej ciele. W tym momencie spodziewała się właśnie swego pierwszego dziecka – mojego dziadka.

Cukiernia jeszcze istniała, choć każdego dnia obawiano się wywłaszczenia i utraty pozostałego majątku. Demokracja w Gruzji opierała się na chwiejnych podstawach. Codziennie dochodziło do protestów robotników i chłopów, do strajków w fabrykach, rząd bojkotowali socjaliści. Nikt nie wiedział, co przyniesie następny dzień, a ludzie byli zdezorientowani z powodu niejasnych linii działania różnych partii i ugrupowań. Nikt nie wiedział, kogo należy wybrać, bo codziennie zmieniały się prawa, żądania i obietnice.

Powrót Stazji na łono rodziny świętowano jak należy. Płakano, rzucano się sobie na szyję. Nawet Lara, zazwyczaj oziębła, uroniła kilka łez, a Stazja, inaczej niż wobec męża, w którego obecności nie otworzyła ust, wyczerpująco i z detalami opowiedziała rodzinie o trudnych momentach i zmaganiach w Piotrogradzie. Tylko koniec na razie przemilczała. Nie wspomniała o czekoladzie i truciznie. Nie chciała ojcu przysparzać zgryzot, obawiała się, że oceni, iż postąpiła lekkomyślnie, niegodnie wykorzystала wiedzę, którą jej przekazał, a zwłaszcza że nie dotrzymała słowa, które mu dała. Ale nie wyjawiała tego głównie z tego powodu, że nadal nie знаła odpowiedzi na pytanie, czy w istocie gorąca czekolada była jednocześnie trucizną, i bała się poznać prawdę.

Najważniejsze, że znowu była w domu. Przeżyła. Chociaż Paryż wydawał się daleki, Tekla ją zawiodła – czy może odwrotnie – a mąż został w Moskwie, ona przetrwała i tak było dobrze.

Tydzień później Stazja odkryła powód swego sentymentalnego nastroju i przewrażliwienia: spodziewała się dziecka...

Odkrycie to wprawiło ją w stan dziwnej irytacji i zarazem podekscytowania. Tak naprawdę nie wiedziała, czy się cieszyć. Ponure wspomnienia uciszyły się dzięki trosce Lidy i ojca. Jej siostra była w rodzinie kimś w rodzaju gołąbka pokoju. Przemierzała dom niezgrabnymi krokami, załatwiała wszystkie sprawunki, pomagała w cukierni, odrabiała z Kristine zadania domowe, czuła się odpowiedzialna za atmosferę w rodzinie. W głębi serca dokonała zaślubin z Bogiem, choć pójście do klasztoru odwlekała z powodu protestów ojca.

Wieczorami Stazja siadała w gabinecie ojca, czasami z gazetą albo z książką, podczas gdy on zagłębiał się w swoje papiery. Jego obecność dawała jej poczucie bezpieczeństwa.

– Wcześniej zawsze myślałem, że jesteś zbytnią marzycielką, żeby poważnie kochać, ale się pomyliłem. Żadna kobieta nie powinna dla męża wyjeżdżać tak daleko i żaden mężczyzna nie powinien na tak długo zostawiać swej żony – powiedział do córki pewnego wieczoru i zapytał, czy chce gorącej czekolady. W drodze wyjątku przygotuje jej porcję.

Stazja wybiegła i zwymiotowała.

Podczas gdy jej brzuch niepowstrzymanie rósł, czerwony front przesunął się do Azerbejdżanu. Kiedy bolszewicy uroili sobie, że Anglia z pewnością wycofa się z rywalizacji o Orient, a więc o ropę, rozpoczęli na tym terenie działania wojskowe. Wojna zakończyła się ostatecznie zwycięstwem czerwonych i sowietyzacją Azerbejdżanu. Także sąsiedni kraj, Armenia, osłabiony wojną z Turkami, nie stawiał oporu. Krym był teraz zajęty, Kijów od lutego poprzedniego roku znajdował się w rękach bolszewików. Pytanie brzmiało, jak długo Gruzja, do tej pory uznawana przez bolszewików za niezależną, utrzyma się jako kraj suwerenny. Ale już w lutym 1921 roku padły ostatnie bastiony. Pod dowództwem gruzińskiego bolszewika Filipe Macharadzego proklamowano Gruzjińską Socjalistyczną Republikę Radziecką, a radziecki Komitet Centralny poprosił o wsparcie militarne przeciw Mesame dasi i mienszewikom.

Jedenasta Armia potrzebowała tylko dziewięciu dni, żeby zająć stolicę, tak że już dwudziestego piątego lutego opór został złamany i kraj znalazł się pod władzą czerwonych. Przywódcy Mesame dasi uciekli do Kutaisi, a wkrótce w ogóle opuścili kraj.

Kiedy Stazja była w ciąży, wszystkie zapasy zboża i broni, jakie posiadała Gruzja, oraz cała sieć kolejowa przeszły w ręce czerwonych. Ludzie w trzydziestu siedmiu rosyjskich guberniach umierali z głodu, a w prasie zachodniej pojawiły się informacje o kanibalizmie i tysiącach zabiedzonych dzieci. Życie człowieka zagrożonego rozstrzelaniem można było wykupić mniej więcej czterema litrami oleju słonecznikowego i trzema litrami wódki.

Tak, to wszystko działo się wtedy, gdy mój dziadek rósł sobie w brzuchu swojej matki, a kiedy przyszedł na świat w gorący sierpniowy dzień, kraj nosił już nazwę Gruzjińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Dwa tygodnie później dziadek został ochrzczony w cerkwi Świętego Gieorgija, jednej z niewielu czynnych w mieście. Otrzymał imię Konstantin i nazywano go odtąd Kostią.

Niecały rok po narodzinach Kostii, na krótko zanim po raz pierwszy ujrzął go jego ojciec, posiadłość fabrykanta czekolady przeszła, tak jak się obawiano, w ręce państwa i obszerny dom w centrum miasta podzielono na dwie części. Na piętrze i dużym poddaszu zakwaterowano dwóch robotników z manufaktury drewna i ich rodziny. Fabryka czekolady miała pozostać zakładem cukierniczym, z tym że upaństwowionym, a mój prapradziadek był już odtąd tylko pracownikiem zatrudnianym przez

państwo.

Od tego momentu prapradziadek na znak protestu przestał dodawać swą tajemną miksturę do masy czekoladowej, co wkrótce doprowadziło do utraty znacznej części klientów. Zmuszono również prapradziadka do zmiany dekadentckiego, kapitalistycznego wystroju lokalu i dostosowania go do stylu socjalistycznego, co zraziło resztę klientów. Przychodzili tu przecież po to, żeby napawać się atmosferą Paryża czy Wiednia, a nie beznadziejną rzeczywistością okupowanego radzieckiego miasteczka. Prapradziadek był teraz zmuszony odprawić służbę, w nowym, proletariackim życiu nie było też miejsca na guwernantkę, więc wychowaniem Kristine zajęły się Stazja i Lida. Rzadko udawało się Stazji uciec od codzienności i pocwałować w step na kabardyńcu wynajętym ze stadniny.

Wachlarz pożywienia kurczył się z każdym dniem w odczuwalny sposób, blakły barwy ubrań, a jedyna szkoła tańca w mieście – i nadzieja Stazji – została zamknięta. Jej miejsce zajął Komsomoł, Wszechzwiązkowy Leninowski Komunistyczny Związek Młodzieży, partyjna młodzieżówka, której celem było „wychowanie komunistów wiernych partii” i gdzie nieustannie śpiewano pieśni narodowe oraz czczono rewolucję październikową.

*Rozwijajcie się w marszu!
W gadaniach robimy pauzę.
Ciszej tam, mówcy!
Dzisiaj ma głos
towarzysz Mauzer!*

**Włodzimierz Majakowski, Lewą marsz,
przeł. Antoni Słonimski**

Simon Jaszi zobaczył swego syna dopiero wówczas, kiedy ten umiał już powiedzieć *deda*, „mama”. Wtedy po raz pierwszy dostał urlop. Jego brygada stacjonująca gdzieś nad Donem, gdzie chłopci ciągle wzniecali bunty, zajmowała się ich „reedukacją”. Stazja i Simon chodzili na spacer i jedli ciasto czekoladowe jej ojca, które nie smakowało już jak dawniej. Bawili się z synem. Poszli do pierwszego w mieście kinoteatru. Wyjeżdżali nawet razem w step, ale Stazja nie mogła nic na to poradzić, że czuła się tak, jakby to nie było już jej życie, i nie traktowała Simona jak swojego męża. Kiedy odjechał, poczuła ulgę. Będąc sama, mogła znów marzyć o życiu, jakie niegdyś chciała wieść, a które nie miało nic wspólnego z życiem, jakie wiodła obecnie.

Pewnego marcowego ranka Simon przyjechał znowu, niespodziewanie – przed drzwiami domu stał wychudzony porucznik z długą brodą i wołał swą żonę. Przebył zator płuc spowodowany złamaniem trzech żeber, który nie został dobrze wyleczony. Przeżył, lecz teraz kulał i drżały mu ręce. Simona, zmaltretowanego łopata przez jakiegoś chłopca, wysłano na kilka miesięcy do domu.

Gdy zadzwonił dzwonek, Stazja mieszała właśnie zupkę dla syna. Otworzyła drzwi, trzymając łyżkę w ręce i kiedy ujrzała zmienionego i wynędzniałego człowieka, zaskoczona zaczęła uderzać nią w udo. Na progu stał mężczyzna, który był ojcem jej syna i który, jak zawsze uważała, powinien był bardziej kochać ją niż swoje obowiązki. Żadne z nich nie wyrzekło słowa. Tkwili naprzeciw siebie i nie wiedzieli, od czego zacząć.

Mój prapradziadek zaproponował nowożeńcom – bo jak inaczej można nazwać parę, która tylko parę razy wspólnie dzieliła łóżko – żeby przenieśli się na wieś, by mieć czas dla siebie i dziecka. Przyjaciół prapradziadka, któremu nie odebrano jeszcze prostego, tradycyjnego, gruzińskiego wiejskiego domu położonego blisko miasta, lecz z dala od jego zgiełku, zaoferował im to lokum. Chodziło o to, by małżonkowie zbliżyli się do siebie, a Simon wrócił do sił. Właściciel domu obiecał im nie przeszkadzać, mieli tylko w zamian dbać o kilka kur, dwie krowy i rośliny w ogródku.

Prostota domu, idylliczna natura, oddalenie od polityki, codzienne zajęcia, przyjaźni gospodarze w sąsiedztwie – wszystko to bardzo parze sprzyjało. Nawet praca w polu i przy zwierzętach z początku przynosiła Stazji radość. Mimo wszystko była to jakaś odmiana, a ona chciała koniecznie zacząć od nowa. Gdzieś jeszcze musiały w nich przecież istnieć resztki dawnego, dziecinnego, wariackiego uczucia. We wsi były konie, które można było pożyczać. „Dobry początek”, myślała Stazja, bo konna jazda była ich wspólną pasją. Ale Simon był tak wątki, tak słaby, że przejażdżki zupełnie go nie interesowały. Przez

większość czasu milczał, patrząc apatycznie w dal, od czasu do czasu uśmiechał się do syna, a jadł tylko wtedy, kiedy Stazja mu o tym przypominała. Stazja nie potrafiła przyjąć do wiadomości, że coś nieodwołalnie w nim zgasło.

Tymczasem w Rosji mnożyły się protokoły sądowo-medyczne: „Zwłoki nr 1: Czaszka całkowicie zgruchotana, dolna część żuchwy złamana. Zwłoki nr 2: Czaszka rozbita dwoma strzałami. Zwłoki nr 3: Czaszka roztrzaskana metalowym przedmiotem. Zwłoki nr 4: Sądząc po odzieży, żołnierz, dwie rany postrzałowe. Zwłoki nr 5: Pewnie biskup, choć trudno ocenić; jak się wydaje, został pogrzebany żywcem”.

Simon Jaszi wystarczająco tego doświadczył. Bardziej niż wystarczająco. Ani piękne konie, ani energia żony, ani miłość syna nie potrafiły sprawić, by zapomniał.

Starania Stazji, żeby codziennie pokazywać miłą, promienną twarz, obojętne, czy robiła pranie, sprzątała stajnię, obierała ziemniaki czy opowiadała małemu Kostii jakąś historię – zajęcia, które traktowała równie poważnie, jak ratowanie życia małżeńskiego – nic nie dawały. Simon przyjmował to obojętnie. Wstawał późno, siedział długo przy mocnej kawie, którą co trzy tygodnie przysyłał im z miasta teść. Czytał gazetę, która docierała na wieś z dwudniowym opóźnieniem. Jadł, co żona położyła mu na talerz, jakby nie miał żadnych życzeń ani potrzeb. Potem wychodził na spacer i wracał późnym popołudniem. Po kolacji szedł na karty do gospodarza w sąsiedztwie, a kiedy wracał w nocy, Stazja leżała, najczęściej jeszcze nie śpiąc, lecz z zamkniętymi oczami, i miała nadzieję, że Simon zechce ją zbudzić, że zwierzy się jej ze swoich myśli i zgryzot, zapyta o jej troski, będzie miał jakieś plany na następny dzień, ale nic takiego się nie działo. Pusty i pozbawiony pragnień, obojętnie i cicho Simon kładł się do łóżka obok żony, odwracał się plecami i natychmiast zasypiał.

Zdawało się, że w tym czasie żył jedynie Kostia, który rósł i cieszył się każdym nowym odkryciem. Kostia biegał, śmiał się i płakał, a mała wioska zastępowała mu cały świat. Kiedy się zdarzyło, że jego rodzice, zwykle zatopieni w swych myślach, się roześmiali, było to jego zasługą, bo zrobił coś śmiesznego albo powiedział coś, co nie pasowało do małego dziecka.

Chociaż małżonkowie planowali pozostanie na wsi tylko przez kilka miesięcy i mówiło się, że Simon czeka na rychłe przeniesienie, nic się nie wydarzało. Z jakiegoś powodu Simonowi nie spieszyło się z zapowiadającym przeniesieniem i również jego przełożeni nie tęsknili za nim specjalnie. W ten sposób jego urlop ciągnął się w nieskończoność, tak przynajmniej wydawało się Stazji. Otrzymywał regularnie skromny żołd, więc przy wsparciu jej ojca, nie mając właściwie żadnych wymagań, nie czuli żadnych braków. Czas mijał powoli i sennie, a przede wszystkim milcząco.

Stazja bardzo rzadko wyjeżdżała z Kostią do rodziny w mieście i za każdym razem bliska była tego, by nie wracać już do sennego drewnianego domu. Jednak w mieście, w domu fabrykanta czekolady, nie było już tak jak dawniej. Na wiele rzeczy nie starczało pieniędzy. Gruzję dosięgła inflacja. Powierzchnia

mieszkania ojca bardzo się zmniejszyła. Robotnicy z manufaktury drewna i ich rodziny nie żyli w zgodzie z rodziną fabrykanta czekolady i stale dochodziło do kłótni żon robotników z Larą. Ciągłe przykrości powodowały, że Lara coraz bardziej przybierała na wadze.

Ojciec w obliczu sytuacji politycznej i społecznej degradacji, jaka go dotknęła, wyraźnie podupadł na zdrowiu i zmienił mu się charakter. Stał się porywczy, zrzędlivy i niecierpliwy. Wprawdzie Lida dbała o atmosferę w rodzinie, lecz nie udawało jej się to tak jak dawniej. Mąż Meri stracił posadę, więc ta ciągle przyjeżdżała z Kutaisi do rodzinnego domu i spała w swoim dawnym pokoju.

W tych pozbawionych nadziei czasach kwitła tylko najmłodsza Kristine. Z każdym dniem piękniała i odkąd skończyła szesnaście lat, nie można jej było pozwolić wyjść z domu bez opieki. Gimnazjaliści i żonaci mężczyźni, młodzi komsomolcy z młodzieżowych obozów pracy i starsi mężczyźni – wszyscy zatrzymywali się na jej widok, niektórzy za nią gwizdali albo pisali do niej anonimowe miłosne listy. Kristine śmiała się z tych listów, pokazując je koleżankom.

W końcu melancholia Stazji osiągnęła swój szczyt. Każdy talerz, który zmywała, i każde jajko, które musiała przynieść z kurnika, wydawały się jej niezasłużoną karą. Czuła, że jej uraza do Simona rośnie, bo jego milczenie odbierała jak drwinę, jego odsunięcie od niej jak czystą prowokację. Nieraz kładła się w stajni na sianie i płakała, aż zabrakło jej łez. Jej agresja przenosiła się na małego Kostię, który ignorował chłód panujący między rodzicami i domagał się nieograniczonej miłości i uwagi ich obojga.

– Nie wytrzymam tego dłużej. Nie wiem już, kim jesteś. Chciałabym stąd odejść, duszę się, nie pomagasz mi i jeśli wkrótce czegoś nie zmienimy, zacznę cię nienawidzić.

Stazja znowu leżała w łóżku, nie mogąc zasnąć, i wypowiedziała te słowa, kiedy Simon, śmierzący alkoholem, wrócił od sąsiada po grze w karty i kładł się obok niej, odwracając się do ściany.

– Co konkretnie chciałabyś zmienić? – spytał.

– Nie jestem chłopką, nie jestem stworzona do takiego życia, w ogóle nie chciałam tak żyć. Nigdy! – wybuchła.

– Zabiłem człowieka – usłyszała nagle.

– Przecież była wojna.

– Nie na wojnie, to nie była obrona.

– Co powiedziałaś? – spytała Stazja, powoli pojmując, co usłyszała od swego obcego męża.

– To było na Krymie. Posłano nas tam, niedaleko od Taganrogu, do małego, ładnego miasteczka. W tamtej okolicy bunty nie miały końca. Było ich mnóstwo, wybuchały ciągle. Władza chce wytepić kułaków jako klasę. Chce upaństwowić całe rolnictwo. Reforma gospodarki oznacza, że chłopci mają sprzedawać zboże poniżej jego wartości, a państwo je skupi i sprzeda z zyskiem, zysk zaś zainwestuje w przemysł zbrojeniowy i w budowę fabryk. Ale władza nie zastanawia się nad tym, że chłop nie ma w tym żadnego interesu, by sprzedawać tak tanio swe produkty. Chłop woli raczej nie siać i nie zbierać,

bo wie, że i tak będzie biedny. Woli być biedny, niż harować. Władza już przed nami wysłała kilka oddziałów wojska, ale chłopci chcieli ziemię zachować dla siebie i sprzedawać towary za odpowiednią cenę. Dlaczego mieli sprzedawać państwu za grosze własne produkty? Tylko dlatego, że to jest państwo? A więc chodziło o to, żeby ich opór stłumić, wywłaszczyć ich, przesiedlić. Byliśmy tam akurat dwa dni, kiedy zostaliśmy posłani na wieś, gdzieś w głąb kraju. Tą wsią zarządzała miejscowa wspólnota, która nie dopuszczała komisarzy do wykonywania ich pracy. Przywódcą tej wiejskiej wspólnoty był chłop, do którego wcześniej należały największe pola kukurydzy i zbóż. Byliśmy w czwórkę: dwóch cywili, pewien brygadier i ja, mieliśmy najpierw zbadać sytuację, zanim przyjdzie wojsko. To wszystko miało być załatwione bez większego rozgłosu, w okolicy było dosyć niepokojów. Próbowaliśmy spokojnie rozmawiać z tym człowiekiem. Był to raczej niedźwiedź niż człowiek, kolos, lata pracy na wsi wychodziły z niego wszystkimi porami. Był jednak nieustępliwy. Przemawiałem do niego, tłumaczyłem, że na darmo się stawia, że jego ziemia została już skonfiskowana i że tak czy inaczej nie będzie mógł sprzedawać swych produktów gdzie indziej, a stawiając opór, naraża całą wieś. Ale on tylko powtarzał, że sra na tych przeklętych komunistów i nie ma zamiaru tej świńskiej bandzie oddać owoców swej wieloletniej pracy. Brygadier, który mi towarzyszył, a był to jeden z ochotników, wyraźnie tracił już cierpliwość. Nie mieliśmy przy sobie żadnej broni, inaczej nie wpuszczono by nas do wsi. Przedstawiłem się jako komisarz i o wojsku nie było mowy, ale mój towarzysz wyciągnął nagle mały pistolet, Bóg jeden wie, skąd go wziął, i znaleźliśmy się na polu walki. Wiedziałem, że zaraz w ruch pójdą łopaty i sierpy i w ułamku sekundy popłynie krew, wyrwałem więc brygadierowi pistolet z ręki i skierowałem go w stronę olbrzyma, żądając, żeby się uspokoił. Myślałem, że już nic nam nie grozi, i od nowa zacząłem pertraktacje. Ale ten brygadier wyzywał mnie i nazwał zdrajcą. I kiedy rzucił się do mnie, nacisnąłem spust. Nie wiem, dlaczego on, nieuzbrojony, rzucił się w moim kierunku, a ja wystrzeliłem. Jeszcze tej nocy wróciłem do Taganrogu i poinformowałem o tym dowódcę. Na wszystko byłem przygotowany, tylko nie na to, co postanowił. Moja relacja niemal go ucieszyła, uścisnął mi rękę i pogratulował. Wyobraź to sobie, Stazjo. On mi gratulował. Zrozumiałem to dopiero następnego dnia: wojsko pomaszerowało do wsi i urządziło tam piekło, bo nazywało się, że czerwonoarmista został zastrzelony przez chłopów. Teraz mieli prawo tak się zachowywać. Tych, którzy się bronili, rozstrzelali, a tych, którzy ocaleli, przesiedlili. Dlatego mogłem do ciebie wrócić. Dlatego tak długo mogę tu z tobą być, bo zabiłem człowieka, Stazjo.

Objęła go i położyła głowę na jego ramieniu, przytuliła się mocno i w końcu położyła się na nim. Współczuła mu, chociaż jej zdolność współczucia w ostatnich latach i miesiącach została znacznie nadszarpnięta. Przez cały ten czas czekała na to, żeby zaczął mówić, tak jak czekała na pierwsze słowa swojego syna, ale teraz, kiedy mąż mówił, czuła głównie złość.

„Nie, nie, nie chcę tego wszystkiego słuchać, dlaczego opowiadasz mi to wszystko? Co mam poczuć

z tą historią? To ta przeklęta wojna, mogłeś tu zostać, przy mnie, mogłeś uniknąć tej wojny, mogłeś znaleźć sobie inną pracę. Nie musiałbyś skazywać mnie na tułaczkę i na piekło, w którym wylądowałam, na przyglądanie się samobójstwu istoty, którą kochałam. Ty tego chciałeś. Nie musiałeś skazywać mnie na to położenie, trzy lata milczeć. Przykro mi, że to cię spotkało, ciebie i tych chłopów, i przykro mi, że cały świat postradał rozum, ale co ze mną? Nie tak to sobie wyobrażałam. Wyszłam za mąż za szarmanckiego, spokojnego i pewnego siebie młodego człowieka, a teraz jestem z milczącym, przybitym, starym mężczyzną, który stracił zdrowie i któremu powinnam pomóc się wykurować, ale nie wiem, co dalej, po prostu już nie mogę. Nie sprowadziłeś mnie do Moskwy ani nie przyjechałeś do mnie do Piotrogradu. I nie zapytałeś mnie, gdy wróciłeś, czy nie jest już może za późno!?” To wszystko chciała mu powiedzieć, lecz zamiast tego całowała go w skronie, głaskała po torsie i zaczęła rozbierać. A on pozwalał się pocieszyć. Całymi miesiącami się nie dotykali i teraz ulgę przyniosło to, że jego słowa przełamały przynajmniej barierę fizyczności.

Spowiedź Simona przyniosła zmianę w ich relacjach i zaowocowała kolejną ciążą Stazji. Osłabiła wzajemne uprzedzenia i przerwała milczenie. Lecz z małomównego, cierpiącego człowieka Stazja nie mogła, niestety, uczynić dowcipnego, szarmanckiego i pewnego siebie młodego mężczyzny, jakim Simon był dawniej. I kiedy w roku śmierci Lenina przyszła na świat ich córka Kitty, Stazja i Simon ciągle jeszcze nie umieli sobie poradzić ze swymi ranami, rozczarowaniami i samotnością.

W roku 1924, kiedy urodziła się Kitty, w samej tylko Moskwie istniało dwanaście obozów pracy i pięćdziesiąt sześć więzień. Bucharin ogłosił: „Na nowo wyprodukujemy sobie inteligencję, jak w fabryce”. A Trocki, traktowany jako następca Lenina, był jeszcze zbyt zajęty ideą „permanentnej rewolucji”, by zauważyć, że niegdysiejszy rabuś bankowy pochodzący z naszej ojczyzny zaczął skupiać władzę w swoim ręku.

Lecz Kitty, która nosiła imię zmarłej bliźniaczki swej matki, było dane żyć zachłannie i głośno, jakby żyła za dwoje.

Spacery Simona stały się krótsze, a niekiedy ofiarowywał nawet żonie przelotne spojrzenia pełne wdzięczności. I kiedy Stazja była już przekonana, że rysują się widoki na poprawę sytuacji, najpierw przyszło kilka oficjalnych listów, a pewnego zimowego wieczoru zjawił się komisarz, który chciał rozmawiać o przyszłości Simona Jasziego. Mężczyzna w nieco przyciasnym, wełnianym, brązowym garniturze siedział w małym pokoju i pił wino, którym poczęstowała go Stazja.

– Przed dwoma miesiącami zmarł towarzysz Lenin. Ojciec nas wszystkich i najjaśniejsza gwiazda na radzieckim niebie. Za Lenina! – Podniósł kieliszek.

Porucznik musiał z nim wypić.

– Zawsze wypełnialiście swój obowiązek. Posiadamy informacje na ten temat. Możecie liczyć na awans, towarzyszu Jaszi. Chcecie przecież nadal służyć ojczyźnie? Oczywiście, że chcecie. Widzę to

w waszych oczach. – Mężczyzna zapalił papierosa. – Dokładne miejsce waszego przeniesienia poznacie dopiero w Moskwie, gdzie jesteście oczekiwani pierwszego dnia przyszedłego miesiąca.

Stazja zamknęła oczy i zrobiło się jej słabo. Przez kilka sekund, które upłynęły, zanim jej mąż dał odpowiedź, miała jeszcze nadzieję. Ale już słyszała głos Simona:

– Tak jest!

– A my? – Stazja nie mogła się powstrzymać.

– Co macie na myśli, towarzyszeko?

– Mam na myśli, że on znowu zostanie posłany Bóg wie gdzie, a ja tu będę musiała czekać na niego latami z dwojgiem małych dzieci. W nadziei że może kiedyś dzieci ujrzą ojca na własne oczy.

Simon rzucił jej spłoszone spojrzenie, ale Stazji było wszystko jedno.

– Wy, towarzyszeko, jako żona mężczyzny, który tak godnie służy ojczyźnie i budowie naszego socjalistycznego kraju, powinniście mu pomagać, a nie utrudniać.

– To nie jest jego ojczyzna – wyrwało się Stazji, która teraz odwróciła głowę do ściany, żeby nie musieć dłużej znosić spojrzenia Simona.

– Jak mi się widzi, jesteście jeszcze, towarzyszeko, za bardzo zdezorientowana. Rozumie się, z powodu ciężkiego porodu w deszczową noc...

Stazja zamarła. On wiedział wszystko i choć przez ostatnie trzy lata roili sobie, że są bezpieczni, nigdy bezpieczni nie byli. Simon nigdy im się nie wymknie, dokądkolwiek pójdą. Jej mąż zabił i musi to robić nadal, Stazja uświadomiła to sobie nagle z ponurą jasnością. Udowodnił kiedyś – nawet jeśli tylko wskutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności – że ma talent, a oni teraz sobie o tym przypomnieli. Spojrzała na Simona, który siedział przy stole cokolwiek blejszy niż zwykle i nie bronił się, nie opierał, nie okazywał żadnych emocji.

Zamrugnęła powiekami. Poczuła, że zaczyna ją boleć głowa. Próbowwała znaleźć jakieś wyjście. Dla siebie, dla dzieci. Starła się wyobrazić sobie przyszłość – przyszłość, która od tej pory będzie przedłużeniem terażniejszości, tej smutnej codzienności oraz zredukowanej do minimum miłości i uwagi, tej małżeńskiej banalności.

Rozejrzała się wokół i zobaczyła biedny pokój urządony starymi meblami. Zobaczyła szydełkowy obrus. Zobaczyła swoje zniszczone buty, niedbale rozrzucone zabawki swego synka. Zobaczyła pranie rozwieszzone na podwórku, białe flagi powiewające w nocnej ciemności. I zobaczyła się za dziesięć lat, przypuszczalnie dokładnie tam, gdzie była teraz, w jeszcze bardziej zdartych butach, z grubszą warstwą tłuszczu na udach i wyraźniejszą siwizną w kasztanowobrązowym warkoczu.

Stazja pakowała rzeczy Simona i czując przy tym osobliwe zadowolenie, powiedziała do niego jakby od niechcienia:

– Nie będę cię odwiedzać w Moskwie czy gdzie tam będziesz. Tym razem to ty będziesz musiał do nas przyjechać, jeśli zechcesz zobaczyć mnie i dzieci. Ja tu też nie zostanę. Zatrzymam się u ojca, dopóki nie dostanę mieszkania z przydziału. Słyszałam, że mieszkań nie można już wynajmować prywatnie, ale ponieważ jesteś poważanym towarzyszem, może będę miała większe szanse. Muszę stąd wyjechać. Nienawidzę tego podwórka, tych śmierdzących stajnią rąk i tej zabłoconej podłogi.

– Stazjo, nie miałem wyboru. Obawiam się, że nie ma innej drogi. Ta, którą obrali inni, prowadzi na Sołowki, a stamtąd nikt jeszcze nie wrócił. Chętnie bym ci tego wszystkiego oszczędził, wierz mi, chociaż nie umiem ci tego okazać.

Cztery dni później biało-czerwony porucznik pojechał pociągiem do Tbilisi, a stamtąd do stolicy socjalizmu. Został skierowany do obozu szkoleniowego, gdzie miał uczyć młodych, zdecydowanych i honorowych mężczyzn na potrzeby Czeka, która właśnie zmieniała się w najpotężniejszą i budzącą największy lęk w kraju organizację specjalizującą się w „wykrywaniu i zwalczaniu kontrewolucjonistów i sabotażystów”.

W tym samym czasie nasz krajan Józef, zwany Soso albo Koba, który dwa lata wcześniej, mimo ostrzeżeń ciężko chorego wówczas Lenina, został wybrany na sekretarza generalnego partii, rozbił wewnętrzną opozycję partyjną Trockiego i na XV Zjeździe umocnił swoje przywództwo.

Stazja przeprowadziła się z dwojgiem dzieci do podzielonego na pół domu ojca. Zwolnił się pokój Kristine. Krótco przed narodzinami Kitty Kristine wyszła za mąż za Ramasa Jozebidzego, starszego od niej o dwadzieścia lat, potrafiącego zabawić każde towarzystwo znawcą sztuki, smakosza i jednego z najbogatszych i najbardziej wpływowych wolnych mężczyzn w stolicy.

Jozebidze był poza tym pracownikiem Czeka i bezpośrednim podwładnym innego naszego krajana noszącego ekstrawaganckie binokle oraz najczęściej typowy mundur czekistów: bryczesy i lnianą marynarkę, małego, łysiego człowieka, który kilka lat wcześniej na całym Zakaukaziu i w Rosji czynił wszystko, żeby wyrobić sobie nazwisko w partii bolszewickiej, a teraz powrócił do Gruzji. W tym czasie zajmował jeszcze skromne mieszkanie na Gribojedowskiej, lecz wkrótce potem dwie ulice dalej wystawił sobie wspaniałą willę. W przeciwieństwie do niego Ramas Jozebidze był mężczyzną postawnym, z imponującym brzuchem, łysiną, dużymi, przyjaźnie patrzącymi ciemnobrązowymi oczami, wielkimi dłońmi i posturą, która robiła wrażenie, miał bowiem metr dziewięćdziesiąt trzy wzrostu. Oprócz politycznych ambicji jeszcze jedna cecha łączyła Ramasa z jego przyjacielem: obaj doceniali kobiece piękno.

KSIĘGA II
KRISTINE

Ramas przyjechał do jej małego miasta służbowo. Zorganizowano dla niego przyjęcie i oprowadzono go po instytucjach najbardziej godnych pokazania. Na końcu razem z całą delegacją został zaproszony do fabryki czekolady na kawałek tortu i filiżankę gruzińskiej herbaty (narodowe produkty miały wówczas pierwszeństwo). Fabrykant czekolady miał przyjąć delegację i osobiście ją obsłużyć, co uczynił, choć z umiarkowanym zachwytem. Kiedy goście po wygłoszeniu kilku pochwał rzucili się na czekoladowe specjały, a potem nasyceni szykowali się do wyjścia – pociąg do Tbilisi odjeżdżał późnym wieczorem – i trwało właśnie solenne ściskanie sobie dłoni, do lokalu ojca weszła siedemnastoletnia Kristine.

Chciała prosić ojca, żeby pozwolił jej pójść na wyścigi konne. Miała na sobie żółtą letnią sukienkę i czarny baskijski beret, który według francuskiej mody nosiła lekko przechylony na lewe ucho. Po szkole zawsze się przebierała – smutny szkolny mundurek był ujmą dla jej urody. Lekko płynąc, nie zauważając żadnego z gości, zmierzała prosto ku ojcu, uśmiechając się uwodzicielsko (nie wolno jej było chodzić na wyścigi). Goście jak na komendę odwrócili głowy w jej stronę. Niektórzy rozdziawili usta i przerwali rozmowę, inni nerwowo się zaśmiali – reakcja, którą fabrykant czekolady znał aż za dobrze, bo ta uroda dana przez Boga zdumiewała ludzi za każdym razem równie mocno. Ojciec spojrzął na córkę i musiał się uśmiechnąć: była olśniewająco piękna.

Miała delikatną, nieskazitelną, porcelanową cerę (pozostałe córki były śniade), szczupłą, elegancką figurę, atlasową skórę na rękach i nogach. Jej twarz była niemal doskonale symetryczna: mały, prosty nos, wysokie kości policzkowe, pełne usta koloru czerwonego wina, do tego długa, łabędzia szyja, a przede wszystkim ciemnozielone oczy w kształcie migdałów, ocienione gęstymi rzęsami. W tych oczach zebrały się, jak się wydawało, niezliczone małe chochliki, które rozniecały w nich ogień. Uwagi mojego prapradziadka nie uszła reakcja wysokiego mężczyzny, kierownika delegacji, któremu wszyscy nadskakiwali. Mężczyzna dosłownie pozerzał Kristine wzrokiem, a na jego surowej twarzy pojawiły się rumieńce. Chciał coś powiedzieć, lecz się nie odważył.

Kristine, przyzwyczajona do takich reakcji, ignorowała go z wyrefinowaną obojętnością. Wzięła ojca pod rękę.

– Moja córka Kristine – przedstawił ją fabrykant czekolady.

– Pani nie jest aktorką, prawda? – zapytał szeptem jeden z panów.

Zaśmiała się i przecząco pokręciła głową.

– Dopiero za kilka miesięcy skończy gimnazjum dla dziewcząt – wyjaśnił jej ojciec.

Padło kilka komplementów, które Kristine przyjęła jako coś najzupełniej oczywistego i czekała, aż towarzystwo opuści cukiernię.

Jako ostatni pożegnał się kierownik delegacji Ramas Jozebidze, całując Kristine w rękę.

Trzy dni później Kristine dostała olbrzymi bukiet czerwonych róż, w którym tkwiła pachnąca karteczka.

Te kwiaty nie są godne Pani urody, Kristine. Ale moim zdaniem Pani zasługuje na najwyższe hołdy. Proszę zaliczyć mnie do swoich wielbicieli, których, jak mniemam, jest nieprzebrana mnogość. Będę się starał w stosowny sposób wyrazić mój podziw.

Ramas Jozebidze z Tbilisi

Kristine zwykle nie pokazywała rodzicom licznych kartek i listów, które otrzymywała ostatnimi czasy. Stroiła sobie żarty z młodych mężczyzn z sąsiedztwa, z koleżankami ze szkoły naśmiewała się z ich beznadziejnych miłosnych wyznań i wszystkie niszczyła.

Ale bukiet, który dostarczono na adres ojca, trudno było ukryć. Dlatego Kristine czuła się zmuszona pokazać mu bilecik. Ojciec tylko się uśmiechnął. Szykowała się raczej na to, że zacznie się złościć i wzburzony wyrzuci liścik wielbiciela. Ale nie – pocałował ją nawet w czoło.

Kwiatów i innych prezentów w kolejnych miesiącach zaczęło przybywać. Kristine, przygotowującej się do egzaminów końcowych, coraz częściej przerywała naukę wizyta kuriera, który przywoził bukiety bzu lub francuski szampan, egzotyczne perfumy, włoskie boa z piór, szale z kaszmiru, kolię z czarnych pereł albo jedwab na bieliznę.

Dziewczyna właściwie nie pamiętała mężczyzny, który przysyłał jej te prezenty. Wiedziała tylko, że jest starszy i wysoki. Kristine, tak jak jej matka, ceniła luksus, nie pociągała jej skromność starszych siostr. Kochała gale i życie towarzyskie, lubiła, kiedy poświęcano jej przy tym uwagę. Podobało jej się wszystko, co sprawiało radość i dodawało życiu lekkości, była wybredna i nie martwiła się zbyt o swoją przyszłość. Nie miała ani wielkich marzeń, ani natury kontestatorki. Rosła kochana przez wszystkich, podziwiana i uwielbiana i nie pragnęła niczego poza tym, by nadal tego doświadczać. Najbardziej lubiła malować akwarelami, nienawidziła tortów jabłkowych i bułeczek z cynamonem, kąpała się w różanej wodzie, w pianie z kwiatami brzoskwini, nacierała ręce miodem i godzinami oglądała się w lustrze. Studiowała żurnale, które pojawiały się coraz rzadziej i w których prezentowana moda była cokolwiek anachroniczna, i myślała o pięknych sukniach, które mogłaby nosić.

Miała jeszcze jedną namiętność: ponad wszystko kochała dzieci, a przede wszystkim swojego siostrzeńca Kostię. Kostia zdawał się odwzajemniać jej miłość – kiedy ją widział, milkł i patrzył w nią jak w obraz. Godzinami potrafili razem się bawić, śmiać i pleść głupstwa. Kristine nie znosiła ciasnoty swego domu, odkąd wprowadzili się tam nieokrzesani robotnicy i ich rodziny. Irytowała ją pobożność Lidy i jej uwagi, że ubiera się zbyt ekscentrycznie. Denerwował ją przesadny dozór ze strony matki, a przede wszystkim jej prowincjonalność, umysłowa ciasnota. To wszystko przychodziło jej na myśl, gdy wertowała takie pisma jak „Modna Pani” albo w ulubionym kinoteatrze oglądała zagraniczne filmy, w których wszystkie kobiety były eleganckie, dobrze ubrane i wyniosłe. Mimo to Kristine kochała swój

dom.

W czerwcu, kiedy miała już w kieszeni świadectwo ukończenia szkoły, nadszedł rozstrzygający list: zaproszenie dla całej rodziny do Tbilisi na uroczystość z okazji trzydziestych szóstych urodzin Ramasa Jozebidzego. Po długich dyskusjach Kristine, ojciec, matka i Lida pojechali do Tbilisi. Zostali umieszczeni w pięknym zajeździe zaraz koło świętej góry Mtacinda. Przyjęto ich po królewsku.

Następnego wieczoru odbyło się uroczyste przyjęcie w domu Ramasa, na prawym brzegu rzeki, w starej części miasta, Werze. Wspaniała dziewiętnastowieczna willa obrośnięta bluszczem i otoczona bujnym ogrodem kwiatowym, dostojni goście, przyjaciele Ramasa, jego zapał, humor, widoczna sympatia, jaką się cieszył, bogactwo i imponująca feta wywarły na rodzinie mojego prapradziadka dostatecznie duże wrażenie, żeby się nie sprzeciwiać staraniom Ramasa o Kristine.

„Taka gruba ryba jak on zagwarantuje mej córce beztróską przyszłość”, myślał fabrykant czekolady. Po rozczarowaniu Simonem i Stazją i ich przedwczesnym małżeństwem oraz po klęsce małżeństwa Meri byłaby to świetna szansa dla Kristine i całej rodziny (Meri, zgorzkniała i długo upokarzana w swym małżeństwie, pisała do ojca rozpaczliwe listy z Kutaisi, w których prosiła, by jej pomógł i dał zgodę na rozwód). Fabrykant czekolady nie życzył sobie dla swych córek takich mężów jak Simon i notariusz. Przede wszystkim bolały go przygaszone oczy Stazji, bolały go jej zgrubiałe od pracy w gospodarstwie ręce i to, że zrobiła się milcząca.

Kristine była jego ostatnią nadzieją, więc nie mógł sobie pozwolić na kolejny błąd.

Jeśli chodzi o Kristine, to nie sędzę, żeby w ogóle miała czas zastanowić się nad tym, co to wszystko dla niej oznaczało. Nie miała nawet czasu, żeby się w kimś zakochać, a zwłaszcza w o wiele starszym Ramasie Jozebidzem. Była jednak pod wrażeniem imponujących prezentów, wylewnej gościnności, jego tęsknych spojrzeń, jego postury oraz jego posiadłości. I zachęcana przez rodziców, a także perspektywą przeprowadzki do stolicy, powiedziała „tak”, gdy w środku lata Ramas poprosił ją o rękę. Wesele było odpowiednie do pozycji obu stron, z nieskończone długim welonem panny młodej i tysiącem białych róż, niezliczoną ilością gości i przyjaciół z północy i z południa, ze wsi i z miast, z długim stołem pełnym najróżniejszych przysmaków i naturalnie z najlepszym tortem czekoladowym na świecie. Wizerunek młodej pary został odlany w czekoladzie i umieszczony na torcie – choć pan młody ze swą długą brodą, imponującym obwodem brzucha i łysiną nie odpowiadał postaci na torcie. Jedzono, pito, tańczono, śmiano się, obejmowano i składano sobie gratulacje. Orkiestra przygrywała wesoło.

Po zmroku Stazja opuściła salę weselną i wyszła do ogrodu. Chciała odetchnąć świeżym powietrzem i zebrać myśli. Z przyjemnością usiadła w ciemności na ławce i położyła ręce na swym widocznym już brzuchu.

Było chłodno i barwne listowie zasłało ziemię. Poczowała na plecach lekkie dotknięcie i zobaczyła Kristine stojącą obok niej w śnieżnej bieli.

– Ja też musiałam wyjść na chwilę na świeże powietrze. Śluby są takie wyczerpujące – rzekła niczym doświadczona, starsza osoba i z ciężkim westchnieniem usiadła obok Stazji.

– Kochasz go? – wymknęło się nagle starszej siostrze i nim jeszcze te słowa wybrzmiały, już ich żałowała.

Kristine zerwała się i z lekceważeniem spojrzała na Stazję, która przy niej wyglądała jak prosta dziewczyna. Długi warkocz dyndał jej na plecach, mimo uroczystej okazji była nieumalowana i miała na sobie prostą bawełnianą sukienkę, niebieską w białe kropki.

– Wystarczy, że on będzie kochał za dwoje. Poza tym zdążyłam już polubić to życie, które będę prowadziła – odparła Kristine rozbrajająco szczerze.

– Jesteś za młoda, żeby tak mówić.

– Ach, Stazjo, nadal jesteś romantyczką. A ja też chcę wkrótce mieć dzieci, najlepiej chłopca, takiego ładnego jak twój Kostia. – Kristine położyła rękę na brzuchu Stazji.

– Życzę ci w każdym razie dużo szczęścia, moja młodsza siostrze – powiedziała Stazja, uśmiechając się.

– Jakież szczęście tobie, siostrze, serce moje, przyniosła twoja piękna miłość?

To pytanie przeraziło Stazję i sprawiło, że odruchowo odsunęła się od Kristine. Wtedy jednak pannę młodą zawołano do środka. Kristine pozostawiła więc siostrę i spieszenie wróciła na salę weselną, w chwili gdy orkiestra grała po raz ostatni tego wieczoru. Poszła w swoje nowe życie, zostawiając Stazję samą. A Stazja patrzyła smutno na wysoko świecące gwiazdy i zastanawiała się, co też teraz porabia Piotr Wasiljew, jakim dziewczętom udziela lekcji baletu i kim by dziś była, gdyby nie nabiła sobie głowy słodkimi obietnicami Simona Jaszego. Nawet jej młodsza siostra okazała się mądrzejsza i bardziej wyrachowana od niej, która wkrótce po raz drugi miała zostać matką.

I tak oto Kristine wyprowadziła się do stolicy, do swego wpływowego męża, a Stazja przeniosła się z dziećmi do jasnozielonego pokoju młodszej siostry, podczas gdy w ich rodzinnym mieście nadal wywieszano plakaty z takimi hasłami, jak: „Szpieg dąży do zdobycia legitymacji partyjnej” albo „Wróg pod maską dyrektora”.

W rodzinnym domu Stazja mieszkała przez kolejne trzy lata. Czekala zawsze na urlopy swego męża, który za każdym razem dostawał je z początkiem czerwca, by spędzić z rodziną cztery tygodnie. Był wprawdzie rozmowniejszy niż wcześniej, lecz dawny Simon, którego Stazja ciągle jeszcze kochała i nadal starała się odnaleźć, już się w nim nie obudził.

Ojciec, od kiedy został zdegradowany do drugiego zastępcy dyrektora, coraz rzadziej przychodził do fabryki czekolady. Kristine pisała pachnące wodą różaną listy, w których wychwalała swoje wspaniałe życie i bajeczne podróże albo skarżyła się na służące. Od czasu do czasu posyłała małą paczkę pełną rzadkich i drogich towarów, takich jak armeński koniak dla ojca, cenna wełna dla Lidy, cukierki

karmelowe i piękne materiały na spodnie dla Kostii, cudowne kolczyki dla matki i tak dalej.

A Stazja cerowała skarpety i rozmyślała o niepewnej przyszłości. Często widywało się ją na małym drewnianym balkonie, którego rozmiary jakby się skurczyły i który wychodził teraz na zarządzany przez władze miejskie targ owocowy i sklepy z tkaninami. Niekiedy, bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby, pisała do swego czerwonego porucznika listy, których treść najczęściej dotyczyła dzieci i spraw finansowych. Co sześć miesięcy chodziła do fotografa zrobić dzieciom zdjęcia i do listów wysyłanych do męża dołączała brązowe fotografie przyklejone do sztywnego kartonu.

Tego małego mężczyznę w binoklach, który był na dobrej drodze, by stać się wielki, muszę w tym miejscu przedstawić nieco bardziej obszernie, Brillko.

Otóż mały mężczyzna pochodził z biednej rodziny z Mercheuli, abchasko-gruzińskiej wsi. Do tego nie miał oszałamiającego wykształcenia – po zdobyciu zawodu technika inżynierii znalazł posadę w Baku nad Morzem Kaspijskim, w rozbudowującym się wówczas przemyśle wydobywczym, który rozwijali dwaj bracia Noblowie (tak, tak, bracia tego Nobla!).

Plotka głosi, że posadę zawdzięczał azerbejdzańskiej organizacji Musawat, podporządkowanej brytyjskim tajnym służbom, którym w oko wpadło Zakaukazie. Do partii wstąpił jako dwudziestolatek, a więc w 1919 roku, choć utrzymywał, że był komunistą „pierwszej godziny”, to jest od 1917 roku. Zawsze niekonwencjonalnie pojmował prawdę. W odróżnieniu od swego słynnego krajana nie miał przeszłości kryminalnej ani – co najbardziej zdumiewające – nie przejawiał ambicji politycznych. Ci, którzy go znali z wcześniejszego okresu, twierdzili, że zawsze chodziło mu tylko o to, żeby do czegoś dojść, nadrobić braki w wykształceniu, awansować społecznie, móc zapewnić utrzymanie żyjącej w biedzie matce i głuchoniemej siostrze oraz wywierać wrażenie na pięknych kobietach. Absolutnie banalne ambicje, jeśli spojrzeć na nie z perspektywy czasu.

Jednocześnie rozwinęło się w nim jednak chorobliwe niemal pragnienie wejścia do lepszego towarzystwa. Z początku to się nie udawało, ponieważ nie był wystarczająco wykształcony, subtelny i szarmancki. Lecz pewnego dnia ten niewielkiego wzrostu człowiek, kochający operę i urodę kobiet, jednak coś osiągnął: w 1922 roku przyjechał do Tbilisi jako kierownik tajnej jednostki operacyjnej gruzińskiej CzeKa, by rozprawić się z tamtejszą kontrrewolucyjną bandą. Rezultat jego działań po upływie roku był taki, że dostał Order Czerwonej Gwiazdy. Rok po rozpoczęciu szkoły przez Kostię człowiek ten zajmował już zupełnie inną pozycję i pracował na osobiste spotkanie ze swoim krajaniem – tym, który w efekcie wywołującej zawrót głowy kariery rozbił wewnątrzpartyjny triumwirat i był na najlepszej drodze, by stanąć na czele olbrzymiego kraju, a zwano go już nie Józefem, Soso czy Kobą, lecz Człowiekiem ze Stali, a wkrótce Wodzem i Generalissimusem.

Któregoś ranka Stazja dostała ze stolicy telegram od Kristine, zapraszający ją na bal sylwestrowy. Kristine donosiła również, że Ramas został mianowany zastępcą pewnego mężczyzny niewielkiego wzrostu i że będą razem świętować to wydarzenie. Od Stazji oczekuje tylko fantazyjnego przebrania, wszystko inne zapewnia.

Lida podjęła się opieki nad dziećmi, Stazja zdecydowała się więc zapomnieć na kilka dni o codziennych kłopotach i pojechać do stolicy, o której opowiadano, że kwitnie dzięki Komunistycznej Partii Gruzji i że odwiedza ją rekordowa liczba obywateli.

Podróż pociągiem trwała całą noc. Stazja zawsze chciała jechać do Paryża, a teraz przyjechała do Paryża Kaukazu. Zawsze coś. Przyjechała do miasta targów z przyprawami, nowych kawiarni i starych domów oraz długich, brukowanych, zakurzonych bulwarów. Miasta z koszernymi jatkami, ze wspaniałymi dorożkami, które wraz z lakierowanymi samochodami zdominowały wygląd ulic, z handlarzami zwierząt, wina i dywanów, z gmachem opery, kołami literackimi, tanecznymi i teatralnymi, z budującymi się właśnie domami mieszkalnymi utrzymanymi w nowym, socjalistycznym stylu, z wielowiekowymi twierdzami i niezliczonymi wieżami kościołów, z krętymi uliczkami żydowskich i armeńskich dzielnic, z basenami siarkowymi, z zaniedbanymi podwórkami i imponującymi willami.

Ludzie na dworcu kręcili się jak mrówki, sprzedawczynie w białych fartuchach zachwalały ciepły chleb z glinianych pieców, Cyganki z papugami oferowały przepowiadanie przyszłości. Stała tam teraz Stazja z czarną walizką, z którą kiedyś przyjechała z Petersburga, i czekała na siostrę. Była w stolicy wiele lat temu, jako dziecko, ale dziś miasto wyglądało inaczej.

Zamiast Kristine podszedł do Stazji starszy mężczyzna i poprosił, by wsiadła z nim do jednego z samochodów, do których ona, która kochała konie, nigdy nie mogła się przyzwyczaić. Koło dawnej rezydencji wicekróla kierowca skręcił w przecznicę i pojechał w górę stromym zboczem. Niezliczonymi krętymi uliczkami dotarli na wzgórze, z którego rozciągał się wspaniały widok na stare miasto.

Zatrzymali się przed wytworną willą. Bramę otworzył chudy młodzieniec i Stazja weszła do pięknego ogrodu, pośrodku którego znajdowała się mała fontanna z sikającym Amorem. Zanim Stazja ochłonęła ze zdumienia, usłyszała odgłos kroków – szła ku niej siostra w lazuruwiebieskiej sukni sięgającej zaledwie kolan. I jak zapewne było przyjęte w mieście, złożyła po jednym pocałunku na każdym z jej policzków.

– Stazjo, cudownie, że przyjechałaś! – wykrzyknęła Kristine i poprowadziła siostrę do dwupiętrowego domu w pastelowym kolorze, z licznymi zdobieniami.

Wewnątrz znajdowały się sofy z Teheranu, ręcznie tkane dywany, siedemnastowieczne szafy,

ciemnozielone pluszowe zasłony, bujane fotele z bambusa. I niezliczona ilość obrazów na ścianach. Były pokojówka i kucharka, dwa perskie koty, aparat radiowy (Stazja czytała o czymś takim w jakiejś gazecie), kilka gramofonów, połączone flakony. Stazja dostała obszerny pokój ze wspinałym widokiem i królewskim łóżem ze śnieżnobiałą pościelą, ze stojącym przed nim chińskim parawanem i posrebrzanymi lustrami na ścianach.

Kristine i jej mąż byli znakomitymi gospodarzami. A piękni i bogaci z wyższych tbiliskich sfer umieli to docenić. Rodzina Ramasa wywodziła się z małej wioski na południowym zachodzie. Była znana już za cara, trudniła się bowiem eksportem jedwabiu i od pokoleń prowadziła na południu dwie tkalnie. Ramas, syn jedynek, otrzymał doskonałe wykształcenie i w młodości podróżował po Europie. Mówił płynnie pięcioma językami. W Niemczech, gdzie zatrzymał się na pewien czas, zetknął się, ku przerażeniu rodziny, z ideami Marksa i po powrocie do ojczyzny został członkiem partii komunistycznej, gdy tylko ta powstała. Krótco potem został aresztowany z powodu antycarskiej agitacji i skazany na wygnanie do Turuchańska, skąd, ułaskawiony, powrócił po dwóch latach. Opowiadano, że jego towarzyszem w celi był krajan Józef, zwany Soso albo zdrobniale Koba, ale fakt ten nie został potwierdzony (może tylko tak opowiadano, żeby sobie jakoś wyjaśnić błyskawiczną karierę Ramasa, który odnosił sukces za sukcesem i korzystał z wielu przywilejów – tak iż miało się wrażenie, że chroni go czyjaś ręka).

Ojciec Ramasa, mężczyzna starej daty, nienawidził komunistów i sympatyzował z gruzińskim ruchem narodowym Mesame dasi. Ponoć z początku wspierał go finansowo, przez co miał pewien wkład w powołanie do życia Demokratycznej Republiki Gruzji. Kiedy bolszewicy zajęli kraj, a fabryki zostały zamknięte, rodzina Ramasa wyemigrowała do Paryża, idąc za przykładem wielu ojców założycieli Demokratycznej Republiki. Ramas pozostał w Gruzji.

Ponieważ dużą część rodzinnej spuścizny Ramas ofiarował partii, przez co silnie ją wsparł, pozostałe dobra pozwolono mu zachować. Dzięki temu, mimo że był bolszewikiem i czekistą, prowadził wykwintne i hedonistyczne życie. Nigdy z nikim nie rozmawiał o swych interesach, a zwłaszcza z żoną, która też niespecjalnie o to zabiegała. Był zagorzałym komunistą, wierzył w słuszność oraz w szybki sukces socjalizmu i jak Trocki był zwolennikiem zasady permanentnej rewolucji, uważał bowiem, że wcześniej czy później zrewolucjonizuje się cały świat. Jedyłą pozostałością burżuazyjnego wychowania Ramasa była jego miłość do sztuki. Niekoniecznie bolszewickiej czy socjalistycznej, której tworzenia żądała partia.

Kochał i kolekcjonował obrazy, głównie impresjonistów, symbolistów oraz młodych i niekonwencjonalnych malarzy, a dzieła twórców zakazanych przechowywał w małym, tajnym pokoju, do którego wchodziło się przez szafę w jego gabinecie. Lubił tam przebywać i godzinami podziwiał swoje zbiory.

Wcześniej miał w mieście opinię Don Juana. Przypisywano mu kilka afer z aktorkami, lwicami salonowymi, wdowami, Macedonkami, a nawet służącymi. Ale z żadną się nie ożenił. Kiedy w Tbilisi rozeszła się wieść, że pojął za żonę młodziutką dziewczynę z prowincji, stało się to głównym tematem w salonach i podczas rozmów przy stole w całym mieście. Nachodzono jego dom pod najbardziej absurdalnymi pretekstami, by móc podziwiać jego żonę. I choć wszyscy zgodnie twierdzili, że Ramas przy wyborze towarzyszki życia przeszedł samego siebie, wróżyli, że małżeństwo długo się nie utrzyma i że Ramas najpóźniej za rok znów będzie gonił za spódniczkami.

Ramas nigdy jednak nie opuszczał domu bez żony, chyba że udawał się do pracy. Zabierał ją, gdy wyjeżdżał w interesach, chodził z nią na premiery, na wernisaże i organizował w domu na jej cześć kolacje i przyjęcia.

Byli niezwykłą parą. On wielki, potężny, łysiejący, o szerokich ustach i serdecznych, jakby wilgotnych oczach. Ona filigranowa, subtelna jak figurynka z kości słoniowej. I choć sięgała mu zaledwie do ramienia, wydawał się przy niej mały, prawie niepozorny.

Spodziewany skandal we wspaniałym domu Ramasa Jozebidzego nie wybuchał. Przeciwnie, małżeństwo wydawało się szczęśliwe. Naturalnie, panowało przekonanie, że ta mała poślubiła Ramasa tylko dla jego pieniędzy, lecz za każdym razem, gdy Kristine pojawiała się z nim publicznie, sprawiała wrażenie wpatrzonych w męża. Nie widziano, by zerkała na przystojnych młodzieńców albo żeby się nudziła w towarzystwie męża, i w końcu miastu nie pozostało nic innego, jak uwierzyć w ich szczęście.

Stazja, która również nieufnie patrzyła na małżeńską idyllę siostry, musiała przyznać, że Kristine naprawdę znalazła swoje miejsce. Kiedy spacerowała po ulicach (zdecydowanie odprawiła szofera, choć Kristine próbowała ją przekonywać do samochodu), odwiedzając różne miejsca targowe, parki i kawiarnie, jej siostra przygotowywała bal sylwestrowy, który zapowiadał się na wydarzenie roku.

Ostatniego dnia 1927 roku obie siostry zawarły znajomości, które na zawsze miały odmienić ich życie. Dywan naszej historii, Brillko, będzie tkął się dalej: ukażą się w nim wzory pyszne, karnawałowe, mieniące się, lecz również ciemne i groźne.

Może właśnie tej nocy los po raz pierwszy zwrócił na nas uwagę. Może bez niej dywan byłby utrzymany w tonach jasnych, pastelowych. Może potem nie nabrałby już żadnych ciemnych barw. A może po prostu przypadek albo nieubłagany kaprys losu przywiódł różnych ludzi w to samo miejsce.

Żaden z uczestników tego, co miało się wydarzyć, nie wiedział jeszcze, w jakim spektaklu wystąpi. Jeszcze trwał piękny, uroczysty wieczór sylwestrowy.

Kristine zmobilizowała tłum kucharzy, zaangażowała służbę, kelnerów i orkiestrę, a cały dom udekorowała kwiatami. Stazja nie mogła zaprzeczyć, że podziwia siostrę. To, z jaką łatwością, energią i naturalnością Kristine w tak młodym wieku weszła w rolę gospodyni domu, niczym *grande dame*, która prowadzi salon i czyni wszystko, by jej goście mogli przeżyć coś wyjątkowego.

Stazja zadawała sobie pytanie, jak to możliwe, że choć otrzymały to samo wychowanie i miały tego samego ojca, były tak różne. Jakby Kristine istniała tylko po to, by zachwycać innych i być podziwiana. Stazja nie mogła też nie zauważyć, jak piękna była jej siostra w całym tym harmiderze, jak opanowana, swobodna, uprzejma i w sposób tylko sobie właściwy pociągająca. Pociągająca jakby niespiesznie, mimochodem, niemal nonszalancko.

Kiedy Kristine pojawiła się przebrana na bal, Stazji na widok oszłamiająco wyglądającej tego wieczoru siostry wyrwało się głośne „och!”.

Kristine wybrała dla siebie i swego męża kostiumy Króla Słońce i Marii Antoniny, ale Ramas uznał to za zbyt dekadentkie (nie chciał ryzykować posądzenia o prowokację) i poprosił żonę, żeby wymyśliła coś skromniejszego. Kristine zaproponowała więc strój z czasów starożytnego Rzymu – może ten będzie dostatecznie skromny? I ta propozycja nie znalazła uznania w oczach Ramasa: nie chciał, by półnagie, boskie ciało jego żony było wystawione na spojrzenia mężczyzn (jeszcze trudniej przychodziło mu wyobrazić sobie siebie w kostiumie Spartakusa). W końcu oboje zgodzili się na wytworny, prosty wariant – eleganckie weneckie maski. Ramas uważał, że nie zawiodą oczekiwań gości, a jednocześnie nikt nie będzie się w nich doszukiwał drugiego dna.

Kristine w cudownym jedwabiu w kolorze turkusowym wyglądała naprawdę skromnie: suknia była wąska, lecz nie za wąska, bez rozcięcia z boku i bez dekoltu. Tylko kolor był nietypowy jak na kreację wieczorową. Jediną jej ozdobę stanowił sznur czarnych pereł – prezent od męża z czasów, gdy się o nią starał.

Lecz kiedy Kristine się odwróciła, Stazja o mało nie parsknęła śmiechem: na plecach suknia miała nadzwyczaj śmiałe wycięcie. Utrzymywał ją tylko mały kołnierzyk zapięty wokół szyi, nic więcej. Dekolt sięgał tak nisko, że w miejscu, gdzie zaczynają się pośladki, odsłaniał dwie małe fałdki.

– I co? – uśmiechnęła się szelmowsko Kristine, patrząc na siostrę.

– A kim, według ciebie, jesteś w tym stroju?

– Kiedy mnie ktoś spyta, powiem, że jestem kurtyzaną, która ma szczęście do swoich wielbicieli: arystokratów i kupców. A jeśli nikt nie spyta, będę po prostu sobą w przepięknej sukni – odparła i skierowała się do sąsiedniego pokoju, żeby się umalować. – Pospiesz się! – krzyknęła jeszcze do Stazji.

Okolo dziewiątej wieczorem dom zaczął napełniać się głosami. Kristine dwa razy posłała służącą na górę, po siostrę.

I wtedy Stazja zrobiła coś dziwnego: zaczęła zasłaniać wszystkie wypolerowane lustra w garderobie Kristine. Zakrywała je prześcieradłami, kocami i płaszczami. Może dlatego, by jej marzenie pozostało marzeniem, a nie rzeczywistością, która okaże się klęską. Może też dlatego, żeby się odważyć na włożenie kostiumu łabędzia.

Ściągnęła włosy do tyłu i związała je, zdjęła ślubną obrączkę, która nie pasowała do umierającego

łabędzia, i jeszcze raz, zanim opuściła garderobę, zamknęła oczy. Wyobraziła sobie wielki, pusty, zimny pokój w willi Tekli, usłyszała muzykę z gramofonu i uwagi Piotra Wasiljewa. Zobaczyła siebie unoszącą się nad parkietem i zanim sfrunęła po schodach, dołączając do wytwornych gości, wykonała kilka tanecznych *pas*.

Na dole zaś, pijąc szampana, śmiali się piraci i muszkietierowie, czarownice i królowe, złodzieje i kobiety węże, lecz przede wszystkim chłopcy i żołnierze. W ten wcale nie zimny sylwestrowy wieczór rozpoczynającego się 1928 roku orkiestra grała coś lekkiego, pięknego, tak przynajmniej to sobie wyobrażam. Może nawet trochę swinga rodem z kapitalistycznego, wrogiego kraju? Dlaczego nie...

I wtedy po schodach sfrunęła nasza Stazja, kobieta łabędź, biała postać ze snów, nie tak elegancka jak Kristine, ale czarująca, bo to był sen, który nosiła w swoim ciele jako myśl, ideę, możliwość... Choć jej nogi po wielu konnych przejażdżkach w stepie były nieco krzywe i trochę za chude, choć jej twarz zdradzała niepewność, choć ręce odrobinę jej drżały, a koniuszek nosa był lekko zaczerwieniony, tego wieczoru Stazja była szczęśliwa. Szczęśliwa, że wszyscy na nią patrzą i uśmiechają się do niej, że przez chwilę może poczuć, iż ten sen jest prawdziwy.

Może właśnie to szczęście pchnęło ją w ramiona Sopio. W sensie dosłownym. Kiedy pytałam Stazję o to spotkanie i wyciągałam z niej więcej szczegółów, niż chciała zdradzić, w końcu uciniała sucho: „Schodziłam po schodach, ona stała na dole, spojrzała na mnie, ja na nią, w tym momencie się potknęłam, a ona mnie podparła. To było takie zwyczajne”.

A więc łabędź, sfruwając po schodach chwiejnie i niepewnie, potknął się, a tam stała ona. Wysoka kobieta w męskim stroju, w meloniku i z laseczką (tego wieczoru było to chyba najbardziej skandaliczne przebranie, bo bal nie odbywał się w berlińskich złotych latach dwudziestych, a Sopio nie była Marleną Dietrich), zielonooka i dumna, z charakterystycznym nosem *à la géorgienne* i wewnętrznym blaskiem. Kosmyk włosów uwieczonych pod kapeluszem wysunął się i znalazł sobie drogę przez wysokie czoło. Wysoka, mocna sylwetka pasowała do jej przebrania. Spotkały się – Sopio Eristawi jako mężczyzna i Stazja Jaszi jako niespełnione marzenie...

– A potem, co było potem? Opowiadaj, babciu, nie daj się prosić.

Stazja odpowiadała krótko, jak zawsze:

– Było tak, jak jest, kiedy się spotyka dwoje ludzi. Przedstawiłyśmy się sobie, poczułyśmy do siebie sympatię, a nawet więcej: oczarowanie, i wiedziałyśmy, że będziemy przyjaciółkami. Wzięłyśmy płaszcze i wyszłyśmy do ogrodu, który był pusty i zimny. Ale dla nas to było nieważne, piłyśmy szampana, paliłyśmy i opowiadałyśmy sobie o swoim życiu.

W wyobraźni czułam zapachy wszystkich przysmaków, słyszałam swinga, widziałam lampiony, którymi był udekorowany dom, olbrzymią choinkę z czerwoną gwiazdą na szczycie (miałyśmy taką przez całe nasze dzieciństwo), dwie kobiety, które uśmiechają się do siebie, siedząc w wiklinowych

fotelach, i jeszcze żarzące się końce ich papierosów.

Stazja już pierwszej nocy ich znajomości dowiedziała się, że Sopio pochodzi z rodziny arystokratycznej. Jej panięskie nazwisko brzmiało Eristawi, co znaczy „głowa narodu”. Dzieciństwo spędziła w kurorcie carów znanym z leczniczych wód, a potem w internacie dla dziewcząt w Lozannie. Tam zetknęła się z kilkoma interesującymi kobietami, które organizowały regularne spotkania poświęcone prawom kobiet i przewodziły kilku wiecom protestacyjnym. Stazja dowiedziała się też, że Sopio jeszcze chętniej od angażowania się w walkę o prawa kobiet pisze wiersze i jest wielbicielką symbolizmu. Wymieniła nazwiska kilku poetów, o których Stazja nigdy nie słyszała, i wyrecytowała kilka wersów, które Stazji nic nie mówiły.

Rodzina Sopio została wywłaszczona i wyemigrowała do Szwajcarii. Sopio pozostała jednak przy mężu, wysublimowanym duchowo Gruzinie, który przypominał jej wcześniej zmarłego ojca i podobno śpiewał nie gorzej niż sam Szalapin.

Mieli syna, ponieważ jednak mąż zaczął ją zdradzać, już kiedy była w ciąży, i przepił swój spadek, postanowiła wystąpić o rozwód i dać synowi własne nazwisko, co wówczas znaczyło, że w opinii ludzkiej dziecko będzie bękartem.

„Moim rozwodem całe Tbilisi wycierało sobie gębę. Nie znam żadnej innej kobiety, która by się odważyła na taki krok. Ale nie żałuję. Mój Andro i ja dobrze się rozumiemy. Wcześniej nauczyliśmy się sztuki przetrwania. To kształtuje”. Sopio z uśmiechem spojrzała na Stazję.

Ten uśmiech pozwolił Stazji przez całą noc wierzyć w spełnienie marzeń.

Lecz w tym momencie nie tylko szczęście sypnęło się na Stazję niby złote konfetti, lecz także otwały się jakieś drzwiczki. Były to drzwiczki po drugiej stronie czasu i drugiej stronie losu, po drugiej stronie wszelkiego prawdopodobieństwa. Na moment obudził się świat duchów, księżyc stał się bladozielony, stopniały sopte lodu i śnieg w ogrodzie, a w szampanie eksplodowały małe bąbelki. Wszystko zmieniło się w chaos, świat na ułamek sekundy dostał czkawki, wirował i stękał, lecz nikt tego nie dostrzegł. Były to tylko niewłaściwe drzwi, które się otwały na mgnienie oka i znowu się zamknęły, ale to wystarczyło, by wpełzło przez nie coś czarnego. Może zresztą wcale nie było czarne, tylko bezbarwne i prawie niewidoczne, lecz na pewno ponure, lodowate i złowróżbne. W tamtej chwili narodziła się zdrada. I zaczęło się, uwolniło coś bezimiennego – coś zostało wypuszczone na świat, żeby wszystkich zarazić szaleństwem, opanować mózgi i znieczulić dusze. By zagarnąć życie, nienasycenie i potężnie.

Drzwi się rozwarły i ktoś wszedł.

Krótko przed północą, zanim wystrzeliły korki od szampana i sztuczne ognie, a obie świeżo zaprzyjaźnione panie wciąż jeszcze siedziały w wiklinowych fotelach przy fontannie, opowiadając sobie swoje życie, przez tłum gości przeszedł szmer. Ludzie szeptali sobie coś do ucha i rozstępowali się, ponieważ zapowiedziano przybycie Małego Wielkiego Człowieka – zwierzchnika czekistów,

najpotężniejszego mężczyzny w kraju. Do wytwornego grona miał dołączyć przełożony i osobisty przyjaciel gospodarza, by wspólnie świętować rozpoczynający się rok 1928. Cóż za zaszczyt!

Kristine pospieszyła do kuchni i postawiła całą obsługę w stan najwyższej gotowości: trzeba migiem podać na stół wszystko, co zostało przygotowane. I oto przybył Mały Wielki Człowiek z orszakiem, w binoklach, z błyszczącą łysiną, w swoim zwykłym mundurze, który przy strojach przebranych gości wyglądał niemal jak przebranie. Otoczony był mężczyznami w mundurach, którzy kroczyli obok w milczeniu. Wszedł do holu, uśmiechając się, i od razu zażyczył sobie gruzińskiego wina. Od kiedy na Kreml dostarczano chwanczkare, ulubione wino nowego Wodza, preferował je również Mały Wielki Człowiek. Podano mu je, a on wypił za pomyślność partii i wszystkich gości, a szczególnie gospodarzy.

Kiedy go spytano, jakiej muzyki chciałby posłuchać, poprosił o preludium Rachmaninowa. Życzenie natychmiast spełniono. Za kolację uprzejmie podziękował – już jadł, a kiedy w skupieniu słuchał preludium, zamknął oczy. Jedynymi osobami, które nie były obecne na tym widowisku i nawet nie zauważyły przybycia ważnego gościa, były Sopio i Stazja.

Na pokaz fajerwerków zamówionych przez Ramasa specjalnie w Moskwie wszyscy wyszli do ogrodu i na ulicę. Wznoszono toasty, padano sobie w ramiona i nawet Mały Wielki Człowiek odesłał swoją gwardię na stronę, manifestując rzadką radość i otwartość.

Stazja, gdy na moje prośby opowiadała mi tę historię, zawsze podkreślała, że Mały Wielki Człowiek od progu skupił swoją uwagę na Kristine. Kristine, w odróżnieniu od swego małżonka, nadal nosiła na twarzy wenecką maskę, także wtedy, kiedy stała naprzeciw ważnego gościa i czymś go częstowała. Ten już po pierwszym kieliszku obsypał ją komplementami, chwalił jej kostium, kunszt gospodyni oraz urodę i nieustannie podkreślał, jak niezbędnym pracownikiem i wiernym przyjacielem jest dla niego Ramas. Krótco po tym, jak zgasły fajerwerki, poprosił panią domu, by zechciała pokazać mu willę. Zapewne przy okazji chciał dokładniej przyjrzeć się Kristine. Jej maska niewątpliwie wzmagала jego ciekawość.

Kristine oprowadzała go po domu, rozmawiali o ogrodach, a on słuchał jej porad dotyczących uprawy roślin, chciał bowiem założyć duży ogród wokół swej willi na ulicy Maczabeli. W pewnej chwili stanęli na balkonie, z kryształowymi kieliszkami w dłoniach, i tręcili się: za Wodza, za partię, za jej męża, za miłość. Ramas, który bez sprzeciwu spełniał polecenia swego przełożonego, tego wieczoru pozostawił swą czarującą żonę do jego dyspozycji. Znał umiejętność Kristine wywierania wrażenia na ludziach, przede wszystkim jednak znał jej obojętność wobec wielbicieli, graniczącą z nonszalancją. Wiedząc o nieposkromionym przymusie zdobywania kobiet, jaki kierował jego przełożonym, Ramas miał nadzieję, że Kristine będzie umiała taktownie wybrnąć z sytuacji.

Był to, jak się okazało, największy błąd w jego życiu.

Po toaście wzniesionym za wielką socjalistyczną rewolucję Mały Wielki Człowiek mimochodem

poprosił Kristine, by zdjęła z twarzy maskę. Drażniło go, że cały czas ją nosiła, choć bez wątpienia maska sama w sobie była dziełem rzemiosła wysokiej klasy.

Kristine odmówiła. „Postanowiłam być dziś tajemnicza i nie pokazywać twarzy. Przykro mi”, odrzekła. Na co Mały Wielki Człowiek skinął głową, jakby akceptował tę odpowiedź, a potem poprosił na górę Ramasa i w jego obecności powtórzył swoją prośbę. Zapadła pełna konsternacji, lodowata cisza.

Uczestnicy tego zdarzenia mieli świadomość, że napięcie niebezpiecznie rośnie. Po krótkim wahaniu Ramas z uśmiechem odwrócił się do żony i sam ostrożnie zdjął maskę z jej twarzy. Mały Wielki Człowiek utkwiał zachłanny wzrok w Kristine, uśmiechając się władczo. Podobno chrząknął i przeprosił za ciekawość. Kristine była wściekła, nie dała jednak tego po sobie poznać i z uśmiechem wypiła jeszcze jeden kieliszek za przywódcę partii w Moskwie.

Kiedy nad ranem małżonkowie kładli się do łóżka, ledwie żywi ze zmęczenia, z opuchniętymi nogami i pachnący dymem z papierosów, Kristine, odwróciwszy się do męża, spojrzała na niego z pogardą i chłodem i rzuciła mu w twarz: „Nie powinienes był tego robić”.

*Bracia, połączmy dłonie,
Bracia, wyśmiana śmierć!
Na zawsze koniec ciemności,
święty ostatni nasz bój!
pieśń socjalistyczna*

Stazja znów pozwoliła ożyć swoim marzeniom i oddała się miłości. Wypytywała Sopio o Paryż. Dzieliła się przemyśleniami ze swą wolnomyślną i swobodną przyjaciółką. Nie chciało się jej opuszczać mieszkania Sopio na wzgórzach Awlabari z kolorowymi balkonami, głośnymi gospodarzami i starymi twierdzami, wesołym pospólstwem i armeńską muzyką. Towarzyszyła Sopio na zebraniach kobiet, odbywających się regularnie w tkalniach, pralniach i farbiarniach. Na tych zebraniach przyjaciółka uświadamiała kobiety na temat ich praw, co dziwnym trafem było inicjatywą wspierającą linię partii.

Stazja zakochała się w mieście, które dawało tyle swobody. Było to miasto, które poznawała oczyma Sopio, zupełnie inne niż miasto jej siostry: miasto zamiataczy ulic, praczek, szewców, wróżek, szwaczek, sprzedawców owoców i sztukmistrzów. Wesoła, rozkrzyczana gromada, gnieźdząca się na wzgórzach, w małych, podupadających domach budowanych jeszcze w poprzednim stuleciu, nieodnawianych, ze wspólnymi prysznicami i z drewnianymi wychodkami na podwórkach, społeczność, która do późnej nocy śpiewała swobodne piosenki, grała na akordeonie i wróżyła z kart.

Ci ludzie żyli tu od zawsze. Pamiętali czasy królów i carów oraz tratwy na rzece kierowane przez *karaczochele*, zaciągających się na nie, by zdobyć serca swych wybranek. Byli to ludzie, którzy już dawno nauczyli się żyć chwilą, bo nie wiadomo, co stanie się jutro. Nowy dzień, który przychodził, był najczęściej głośny, zakurzony, przynosił znowu za mało pieniędzy, za to szorstkie łajania albo głośne kpiny i obsceniczne historyjki.

Ponieważ Sopio nie miała pieniędzy, a z rodziną w Szwajcarii nie mogła utrzymywać kontaktów, nie mówiąc już o przyjmowaniu od niej pomocy finansowej, bo natychmiast zostałaby oskarżona o szpiegostwo, zamieszkała w tej biednej dzielnicy, którą szybko pokochała, tak jak tę kurdyjską kobietę, która paplając i chichocząc, przesiadywała każdego dnia na podwórzu, rzekomo czesząc wełnę, w rzeczywistości obserwując podwórko i to, co się na nim działo. I ciotkę Nataszę, sześćdziesięcioletnią Rosjankę, nazywaną przez Kurdyjkę puszczałską, która jednak kochała dzieci i deklarowała, że w każdej chwili zaopiekuje się synem Sopio, jeśli ta nie zdąży wrócić do domu o zwykłej porze. I gruzińskie małżeństwo, które żeby wyżywić sześcioro dzieci, sprzedawało owoce na ulicy, a mimo to potrafiło w niedziele zapraszać sąsiadów na sute biesiady.

Stazja zakochała się w poczuciu, że znów jest młoda i pełna życia.

Szwendały się więc razem po ulicach, wsiadały do przepelnionych tramwajów, piły piwo, w żydowskiej dzielnicy jadły koszerne potrawy, chodziły do łaźni z wodami siarkowymi i pozwalały się tam szorować grubym, silnym kobietom, chichocząc przy tym jak uczennice. Wchodziły do pustoszejących cerkwi starego miasta i wiele godzin spędzały z Andrem w parku oświetlonym

lampionami, patrząc, jak chłopiec rozgryza pestki słonecznika, a potem łąpczywie je zjada. Było to miasto innych ludzi – labirynt ukryty za starymi miejskimi murami, którego uliczki Sopio tak dobrze znała i które teraz otwierały się przed Stazją.

Stazja lubiła małego Andra, który odziedziczył po matce słomiane blond loki i wielkie niebieskie oczy. Dziecko to poruszało ją w szczególny sposób i w stosunku do niego zupełnie porzuciła surowość, z jaką traktowała własne dzieci. Może wzruszała ją skromność, którą miał w sobie ten chłopiec, jego umiejętność cieszenia się prostymi rzeczami. Bo Sopio stale brakowało na ubrania i zabawki dla synka, tak że musiała się wykazać godną podziwu fantazją, by mały nie odczuwał braków.

Kręciła mu kogel-mogel i podawała jako największy przysmak na świecie, a on przyjmował go z wdzięcznością, przekonany, że dostał rarytas. Godzinami opowiadała mu o mrówkach i motylach, o małych kotach i jeżach, zastępując tymi opowieściami piękne książki dla dzieci. Wymyślała dla niego bajki na dobranoc, robiła czapki na drutach i z własnych starych sukien szyła dla niego ubranka, które nosił dumnie i wszystkim się nimi chwalił. Dzieci Stazji nie były rozpieszczone, a jednak Stazja czuła niemal wyrzuty sumienia, patrząc na Sopio i Andra.

Sopio zdobywała wszystko sama i to budziło podziw Stazji, zbyt bogatej jak na proletariat i zbyt biednej jak na elitę. Stazja należała do dziwnej warstwy pośredniej, czym tłumaczę jej wyrzuty sumienia.

Dwa tygodnie, podczas których Stazja niewiele czasu poświęciła siostrze i szwagrowi, minęły w mgnieniu oka pod znakiem małych wystaw, przedstawień w piwnicach i wieczorów poezji, na które chodziła z Sopio. Nowa przyjaciółka sprawiła, że Stazja odczuwała niechęć, a nawet niemoc na myśl o powrocie do domu, do monotonii małego miasteczka.

– Potrzebuję twojej pomocy! – powiedziała przy śniadaniu, na dzień przed swoim wyjazdem, do Kristine, która właśnie nalewała sobie mleko.

– O co chodzi? – spytała Kristine swym zwykłym, znudzonym tonem.

– Chciałabym się do was sprowadzić. Nie chcę wracać do domu. Przywiozę tu dzieci, znajdę pracę i zostanę.

– Co powie na to Simon?

– Napiszę do niego. Straciłam już tyle czasu, czekając, aż inni zaaprobują to, czego ja pragnę...

– Ciągle jeszcze nie chcesz wydorośleć, prawda, Stazjo?

– To byłoby tylko na jakiś czas, wiesz, ze względu na dzieci, dopóki nie znajdę czegoś własnego. Albo wy weźmiecie dzieci, a ja zamieszkam u Sopio.

– Powinnaś się uwolnić od fascynacji tą kobietą. Nie uważam, żeby była dziwaczką, ale jak na mój gust brak jej ogłady. Nie mam pojęcia, jak znalazła się na naszym przyjęciu sylwestrowym, prawdopodobnie ktoś ją przemycił. Píše wprawdzie ładne wiersze, ale jest osobą niepewną.

– Jak to jest, że jesteś taka młoda, a jednocześnie taka stara, Kristine?

– Stara? Jeśli już, to jestem tylko dojrzała od ciebie, Anastazjo. I myślę o przyszłości.

– Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że będę tu tak szczęśliwa.

– I naprawdę chciałabyś pracować?

– Tak.

– Simon nie przysyła już pieniędzy?

– Przysyła, ale chciałabym zarabiać własne.

– To Sopio Eristawi nabiła ci tym głowę?

– Nie, ona mi tylko pokazała, że to jest możliwe. Sopio uczy języków, daje prywatne lekcje i troszczy się o syna i o siebie.

– Ty nie jesteś taka jak ona.

– Pojadę jutro, a kiedy już wszystko przygotuję do przyjazdu do Tbilisi na dłużej, przyślę wam telegram. Tymczasem zgłoś nas na listę mieszkaniową.

– Cieszę się, że będę mieć blisko siebie Kostię.

– Dlaczego nie macie jeszcze dzieci, Kristine? Myślałam, że nie będziesz z tym zwlekać.

– Pewnego dnia urodzi nam się cudowny syn, równie ładny jak Kostia, zapewniam cię. Wybacz, muszę teraz wydać dyspozycje w kuchni co do obiadu. – Kristine westchnęła z dramatyczną przesadą.

Zanim Stazja przekonała ojca, że dla niej i dla dzieci wyjazd do Tbilisi to właściwy krok, nim spakowała swój dobytek w skrzynie i kufry, nim odnalazła męża w jakichś koszarach i poinformowała go, że odtąd będzie ją odwiedzał w Tbilisi, nim przekonała lękliwą Lidę, że nie jest rzeczą niestosowną mieszkanie w stolicy bez męża, nim zapakowała złoty zegarek Tekli przechowywany w sypialni w szklanej szkatułce i nim wsiadła z dziećmi do pociągu, minął miesiąc.

W lutym 1928 roku Stazja z Kitty i Kostią przybyła do Tbilisi.

Sopio i Andro czekali na nich u Kristine, która przygotowała prawdziwe przyjęcie na ich powitanie. Kostia, odwzajemniający bezgraniczną miłość swojej ciotki, rzucił się jej na szyję i nie chciał jej puścić, dopóki nie przyszła pora snu. Kitty i Andro, wówczas niespełna czteroletni, z miejsca się porozumieli i zaczęli się ścigać wokół fontanny. Wszystko zdawało się układać jak najlepiej. Ogród był dla dzieci małym rajem, pójście Kostii do szkoły przebiegło bez tarć – dzięki rekomendacji Ramasa Kostia mógł uczęszczać do najlepszej szkoły w mieście. Oczywiście rosyjskiej.

Podczas gdy Kristine ze wzruszającą troską zajmowała się dziećmi, Stazja rozkwitła u boku przyjaciółki o złotych lokach. Całymi nocami przyglądała się, jak Sopio, siedząc przy okrągłym stole, pisze wiersze przy świetle lampy naftowej – w tej części miasta elektryczności jeszcze nie było – i od czasu do czasu odrywa się od kartki papieru, zapala papierosa albo, jeśli napisze coś dobrego, rzuca się jej z radości na szyję.

– Czasem się boję. Bardzo się boję – rzekła Sopio w zadumie pewnej wietrznej nocy.

Zwiesiła głowę i znieruchomiła.

Stazja, zaskoczona nagłą zmianą nastroju przyjaciółki, dotknęła lekko jej dłoni. Na dworze wiatr uderzał w szyby.

– Czego się boisz? – zapytała i poszła postawić wodę na opalonym drewnem piecu, żeby zrobić mocnej herbaty, którą Sopio tak chętnie piła.

– Boję się, że oni mnie dosięgną.

– Jacy oni? I dlaczego, kto miałby tego chcieć? Nie zrobiłaś przecież nic złego. Nie należysz wprawdzie do partii, ale...

– Na jakim świecie żyjesz, Stazjo? Nic nie widzisz, nie czujesz? Dziś dowiedziałam się w galerii, że trzeba się starać o pozwolenie, jeśli chce się wyjechać za granicę, obojętne dokąd. I że nie dają zezwolenia na wyjazd do krajów, które nie są „bratnimi krajami”.

– Widzisz to wszystko w zbyt ciemnych barwach.

– Raczej nie dość ciemnych, Tazo.

Sopio wzbraniała się skracać imię Anastazja na słowiański sposób – Stazja, i używała gruzińskiego zdrobnienia – Tazo.

– I ten sen – ciągnęła Sopio. – We śnie idę ulicą. Pustą, opuszczoną ulicą, której nie znam. Wiem jednak, że ona jest gdzieś tutaj, za rogiem. W tym śnie jest także dom, duża willa, skromna i jasna, z okrągłymi łukami nad drzwiami i krętymi schodami. Jest piękna i chcę do niej wejść. Nie wiem, czego tam szukam. Zmęczona długim chodzeniem docieram do bramy. Stoi w niej piękny, zadbane mężczyzna i zaprasza do środka. Nigdy go jeszcze nie widziałam, nigdy nie słyszałam jego głębokiego, uspokajającego głosu. Ufam mu, idę za nim, bo on zna drogę, drogę nie wiem dokąd. Idziemy przez park, który wygląda jak miejsce biblijne, jak raj. Są tam róże, takie czerwone, takie czerwone, Tazo, i cudowne wodospady, jak w ogrodzie botanicznym, psy i koty, które przeciągają się w słońcu, egzotyczne rośliny i drzewa. Ogród zdaje się nie kończyć. Idę i idę, a mężczyzna mnie prowadzi. A potem prowadzi mnie do studni na wzgórzu, tak zielonym, że aż boli. I mówi, że doszliśmy i że wszystko będzie dobrze, że jestem w domu, i prosi mnie, żebym weszła do wody, a ja go słucham, wcale nie chcę uciekać ani się oddalić, wymachuję nogą nad brzegiem cembrowiny i... Ze studni dochodzi miły, wilgotny zapach, nie boję się, choć studnia jest głęboka i nie widzę dna. A on czeka i patrzy, jak schodzę w dół, nawet się uśmiecha, a ja ze strachu, że mógłby mnie popchnąć, robię to w końcu: skaczę i spadam, i nigdzie nie ląduję. I kiedy tak spadam i spadam, budzę się.

Woda zagotowała się w chwili, gdy Sopio ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać. Stazja rzadko widywała kogoś płaczącego w takiej beznadziei, tak roztrzęsionego, tak zdruzgotanego. Objęła przyjaciółkę, nie wiedząc, co powiedzieć.

W drzwiach, ubrany w białą pizamkę, stanął mały Andro i ze łzami w oczach zapytał, co się stało

maman. Tak ją nazywał, po francusku, i tak miał ją nazywać do końca życia. Z akcentem na ostatniej sylabie.

Sopio otarła oczy, roześmiała się znowu serdecznym, głośnym śmiechem i odpowiedziała:

– Chciałam się tylko dowiedzieć, czy jeśli ktoś bardzo długo płacze, to jego łzy wysychają. Już dobrze, moje słońce.

– I co, wysychają? – zapytał Andro, wycierając sobie nos rękawem.

– Tak, wysychają, skarbie, łzy też kiedyś się kończą.

W pierwszym roku pobytu Stazji w Tbilisi, w upalnym lipcu, gdy Kristine pojechała z mężem nad morze, dzięki czemu Stazja miała dom do swej dyspozycji, odwiedził żonę czerwony porucznik.

Stazja dała wolne służącej, kucharce i ogrodnikowi i cieszyła się z Sopio aksamitnymi wieczorami. Grała z dziećmi we wszystkie możliwe gry w piłkę i chodziła z Sopio na zebrania kobiet, choć myślami była gdzie indziej. Poznała przyjaciół Sopio, z których żaden nie śmierdział groszem i nie gardził alkoholem, i była bliska przyznania, że czuje się szczęśliwa.

Z dworca przyjechała z mężem tramwajem. Po rocznej rozłące ponowne spotkanie pełne było dystansu i chłodu. Żadnych pocałunków na peronie, jedynie krótkie przytulenie. Żadnych wymówek. Na razie mąż został powitany, ugoszczony posiłkiem i pozostawiony z dziećmi.

Jednak już następnego wieczoru – Sopio i jej synek na ten czas się usunęli – między czerwonym porucznikiem i jego żoną wybuchła pierwsza kłótnia. Musiała być gwałtowna, bo mieszkający w pobliżu sąsiad, profesor, był bliski wezwania milicji. Padły wszystkie nagromadzone i niewypowiedziane słowa, Stazja wykrzyczała wszystko, co tłumiała w sobie przez dziesięć lat, również to, że powoli umierają jej marzenia.

Nad ranem, kiedy kłótnia ucichła, Simon Jaszi powiedział do żony:

– Życie nie składa się tylko z marzeń, Anastazjo. Stańmy się prawdziwą rodziną, bo jestem zmęczony. Bardzo zmęczony. Szarpię się każdego dnia, ale nie spełniam twoich oczekiwań. Pragniesz czegoś, co należy już do przeszłości. Boję się nawet naszych spotkań, bo nie mogę znieść twoich wyrzutów i spojrzeń pełnych rozczarowania. To musi się skończyć, jeśli chcemy być dobrymi rodzicami dla naszych dzieci. Brakuje mi ich i brakuje mi ciebie. Ciebie z czasów, kiedy jeszcze nie karałaś mnie każdym gestem. Potrzebuję rodziny, mojej rodziny, Stazjo.

Jednak Stazja wiedziała już wtedy, że jej miłość pękła jak sucha gałąź.

Kristine i jej mąż wrócili, a dzieci znowu pałaszowały pyszne czekoladki sprowadzane specjalnie z moskiewskiej firmy Jelizejewskiego.

Na krótko przed wyjazdem Simona Stazja spacerowała z Sopio po parku. Była gorąca sierpniowa noc i spalone upałem miasto zdawało się zmęczone i spragnione wody.

– Dlaczego kłamiesz? Czy to cię nie męczy? – spytała nagle przyjaciółkę Sopio.

– O czym mówisz?

Stazja świetnie umiała udawać nieporuszoną i głupią, a najlepiej jednocześnie jedną i drugą.

– Wiesz, o czym mówię. Chcesz być wolna? Bądź wolna. Chcesz tańczyć? Tańcz. Chcesz być mężatką? Bądź mężatką. To nie jest hańba. Ale wszystkiego naraz robić się nie da. Mieć wszystko, to jak nie mieć niczego. Zrozum, Tazo. Chciałaś tańczyć, ale jednocześnie chciałaś być dobrą żoną dla swojego męża. Chcesz mieć przyjaciół wśród poetów, a jednocześnie chcesz jadać na partyjnych przyjęciach. Chcesz samodzielnie żyć i pracować, a jesteś tu od pół roku i ciągle mieszkasz u siostry. Chcesz mieć dzieci, a odczuwasz je jako ciężar. Czego chcesz naprawdę? Przed kim udajesz?

Stazja milczała, przyglądając się sforom psów włóczących się po parku. Często potem wracała do tych słów i wiele razy zadawała sobie pytanie, dlaczego nie powstrzymała niepowstrzymanego i nie zapobiegła nieszczęściu.

Porucznik odjechał bez podjęcia decyzji. Pozostali przy tym, co było, bo ze względu na dzieci nie widzieli innego wyjścia. Stazja próbowała, bez wiary, że uda się coś załatwić, podpytywać w komisji do spraw mieszkaniowych, czy w mieście są wolne lokale. Oświadczyła, że jest żoną porucznika walczącego po stronie czerwonych. Musiała się też jednak przyznać, że jest szwagierką Ramasa Jozebidzego, który był posiadaczem luksusowego i nader obszernego domu.

W tych latach Mały Człowiek przerósł samego siebie i stał się Małym Wielkim Człowiekiem. A na dźwięk słowa „Czeka” ludzi ogarniał strach. Opozycja polityczna już nie istniała, drogę oczyszczono z wrogów, wygnano ich za granicę albo zesłano do obozów pracy, zwanych potem gułagami. Uprzemysłowienie kraju wymagało siły władzy i mnóstwa ludzkich ofiar. Od nowych fabryk i tworzonych przemocą kołchozów oczekiwano rekordowej produkcji. Dokonywano przebudowy miast, a przede wszystkim jak kraj długi i szeroki zmieniano dawne nazwy na nowe, niszcząc pamięć o przeszłości, jak gdyby przed rewolucją nie istniało życie. Epokę carów obwołano czasem morderców i złodziei – propaganda pracowała na pełnych obrotach.

Zawsze gdy Sopio skarżyła się Stazji na braki w sklepach, ta przeszukiwała spiżarnię Kristine. I czuła się z tym dobrze, a nawet była z siebie trochę dumna, że dzięki temu jej przyjaciółka nieco mniej odczuwa niedostatek. U Kristine można było znaleźć wszystko, czego potrzebowała Sopio i czego nie można było dostać w mieście.

Kiedy Sopio opowiedziała jej, jaki szok przeżyła z przyjaciółmi, gdy w kinie przed projekcją *Białego orła* zafundowano widzom prelekcję na temat poprawnego rozumienia tego filmu, Stazja nie uznała tego za działanie propagandy, lecz za artystyczną wolę reżysera.

I podczas gdy wszelka wolność w tym radosnym i szczęśliwym kraju rozpadała się jak rwąca się pajęczyna, w odległym i wolnym Paryżu został rozwiązany Ballets Russes i Siergiej Diagilew zabrał z sobą do grobu część marzeń Stazji.

Stazja dowiedziała się o tym przypadkowo. Ktoś usłyszał o tym od kogoś, kto miał znajomego w Paryżu i ten ktoś powiedział o tym Sopio, a ona – po cichu – przekazała wiadomość Stazji. Stazja położyła się do łóżka i nie wstawała przez wiele godzin. Myślała o Piotrze Wasiljewie i o duchach z niespełnionych marzeń, skazanych na to, by ciągle kogoś dręczyć. Wyobraziła sobie siebie po raz ostatni, jak unosi się nad sceną w Théâtre du Châtelet, pożądana, kochana, entuzjastycznie przyjmowana, i uśmiechnęła się do siebie. Do swego utraconego życia, pełnego wolności, nieposkromionych namiętności i prowokacji, prowadzonego w kręgu ludzi wybranych i nieprzeciętnych. Potem wstała, bo Kitty i Kostia znowu się kłócili, a Kristine nie potrafiła przemówić im do rozsądku.

Pewnego popołudnia, kiedy Stazja odwiedziła maleńkie mieszkanie w Awlabari, po raz kolejny zastała Sopio wpatrującą się nieruchomo w filiżankę z gorącą herbatą. Sopio poskarżyła się, że trzy z jej czterech uczennic odwołały lekcje. Stazja zerwała się, poprosiła przyjaciółkę, żeby na nią chwilę poczekała, i wybiegła na ulicę.

Chciała dodać Sopio odwagi, chciała, żeby ta znowu przeczytała jej swoje wiersze albo opowiedziała o nowym cudzie psychoanalizy, tym lekarzu psychicznych ran, który nazywa się Freud i pochodzi z Wiednia, albo o impresjonistach i symbolicznych sztukach Maeterlincka. Żeby recytowała perskie wiersze o miłości i mówiła o nowym nurcie w poezji gruzińskiej, lansowanym w piśmie „Błękitne Rogi”, które Sopio tak lubiła czytać.

Stazja wiedziała, co mogło sprawić, żeby Sopio zapomniała o kłopotach i znowu była sobą, lecz na samą myśl o tym czuła lęk. W Piotrogradzie, gdy ugotowała gorącą czekoladę, spełniła się przepowiednia jej ojca. Stazja nigdy nie zapomniała widoku sztywnego ciała Tekli. Ale czy mogła mieć pewność, że śmierci Tekli była winna czekolada? Czy to nie trucizna ukołysała Teklę do wiecznego snu? A może powodem były czasy, wojna i beznadzieja? Może ojciec się mylił, może było to czyste urojenie łączyć nieszczęście z czekoladowym napojem? Może to przemawiało jego nieczyste sumienie, bo przed laty zmusił żonę do urodzenia kolejnego dziecka, podając jej codziennie gorącą czekoladę? Lecz przecież sam mówił, myśląc o porodzie Ketewan, że Stazja „przetrwała nieszczęście”. Co z tego wynikało? Jeśli ona, Stazja, przeżyła, to tym bardziej nic nie mogło się stać jej odważnej i walecznej przyjaciółce. Nie, byłoby nazbyt dziecinne poważnie traktować tak absurdalne, pozbawione wszelkiej logiki przypuszczenie.

U spekulantów Stazja dostała cynamon, w dzielnicy żydowskiej najlepsze kakao w mieście, w kredensie Kristine znalazła brązowy cukier i goździki oraz masę innych potrzebnych składników. Dwie godziny później wróciła z pełną po brzegi torbą i po raz pierwszy od śmierci Tekli zaczęła gotować czekoladę.

Stanała przy czarnym od spalenizny piecu i po kilku minutach zapach zaczął wypełniać mieszkanie, klatkę schodową i podwórko.

– Co robisz? – zapytała zdumiona Sopio.

– Gotuję dla ciebie gorącą czekoladę.

– Gotujesz dla mnie czekoladę?

– Właśnie.

– Nigdy jeszcze nie widziałam, żebyś przyrządzała czekoladę.

– To przepis, którego nikomu nie mogę zdradzić. Musi zostać w mojej rodzinie. Przysięgam to ojcu.

– Przestań, mam uczucie, że chodzi o tajne sprzysiężenie, a to przecież tylko czekolada.

Sopio się roześmiała. Po raz pierwszy od wielu dni.

I oczywiście ona również uzależniła się od czekolady Stazji. Tylko czekolada przeganiała ponury nastrój Sopio i przywracała jej uśmiech, więc mimo że coraz trudniej było zdobyć konieczne składniki i były one coraz droższe, Stazja dwa razy w tygodniu przyrządzała jej ten niezwykle napój.

Kristine przygotowywała się do wizyty ważnego gościa. Dzieci miały na sobie odświętne ubrania, cały dom udekorowano bżem, z kredensów wyjęto srebra, a z szafy najdroższą suknię Kristine. Z targu przyniesiono świeże warzywa i zamówiono wino z Kachetii. Przez dwa dni w domu niezmiernie zajętego sekretarza partyjnego Ramasa Jozebidzego, mężczyzny z nadwagą i już niemal całkiem łysogo, oraz jego wciąż pięknej żony Kristine panował stan wyjątkowy.

– Co tu się dzieje? Przyjeżdża ktoś z Moskwy? – spytała siostrę Stazja, wpadłszy rano jak śliwka w kompot w wir przygotowań.

Kristine, z plastrami ogórka na twarzy i oliwą z oliwek we włosach, jęknęła tylko podenerwowana i potrząsnęła głową.

– Ty naprawdę niczego nie zauważasz, co?

Była podminowana i Stazja zaniechała odpłacenia siostrze tą samą monetą. Simon wprawdzie co miesiąc przysyłał pieniądze, ale za mało, by mogła żyć na poziomie, do którego tymczasem przywykła.

Potem dowiedziała się od kucharki, że czekano ni mniej, ni więcej tylko na szefa tajnej policji – przyjaciela rodziny, oraz na kilku kolegów męża Kristine. Przełożony Ramasa był miłośnikiem dobrej kuchni i dobrego wina, opery i sztuk pięknych, zupełnie jak Ramas. Chyba po raz pierwszy zastanowiło Stazję, czym zajmuje się szwagier i z jakimi ludźmi się przyjaźni. Zrobiło się jej nieswojo, zaczęła drzeć. Nie potrafiła ubrać tego w słowa – tak opowiadała mi to wiele lat później – było to coś, co sprawiało, że przez dłuższą chwilę nie mogła zaczerpnąć powietrza.

Pobiegła do Kostii i Kitty, którzy właśnie kłócili się o jakiś przysmak, i kazała im iść z sobą. Chciała przenocować z dziećmi u Sopio. W tej chwili jednak na korytarzu pojawiła się Kristine i spojrzała na siostrę w osłupieniu.

– Co ty wyprawiasz?

– Nie będziemy przeszkadzać w przygotowaniach. Zanocujemy dziś u Sopio.

– Straciłaś rozum?

– Do czego ci jestem potrzebna? Takie przyjęcia niewiele dla mnie znaczą.

– Czy ty w ogóle wiesz, kto u nas będzie? Jeśli chodzi o mnie, to ty możesz iść, ale dzieci tu zostaną.

Poznają go i pewnego dnia podziękują mi za to. Kostia, Kitty, chodźcie do cioci!

I rzeczywiście, dzieci w kokardach i lakierkach niemal z ulgą pobiegły do swej ładnej cioci, która mimo plastrów ogórka na twarzy wcale nie wyglądała śmiesznie.

W tym momencie Stazja musiała wydać się sobie samej niewyobrażalnie podła. Została i była na przyjęciu. Patrzyła, jak Mały Wielki Człowiek raczy się przepiórkami w sosie kolendrowym, pije gruzińskie wino, wygłasza mowy na temat ojczyzny i rarytasów miejscowej kuchni, opowiada anegdoty. Była świadkiem, jak wszyscy obecni przy stole płaszcą się i wykrzykują: „Fantastyczne!”, „Och, to bajeczne!”, „Niewiarygodne!”, nerwowo mnąc obrus. Mężczyzna w binoklach przyglądał się jej siostrze, jakby była zwierzyną, którą koniecznie chce upolować. Jego spojrzenia stawały się coraz bardziej aroganckie i natarczywe. Patrzył na pełne usta, małe piersi i wąskie dłonie Kristine, kiedy wznosił dziesięciminutowy toast za gruzińskie piękności, ani na sekundę nie spuszczał z niej wzroku. A mąż Kristine siedział obok, kiwał głową i dobrodusznie się uśmiechał, choć drżał mu podbródek.

I chyba właśnie wtedy Stazja zrozumiała, że pięknie powłoka świata, ziemia zwymiotuje i ukażą się ruiny, a przez stulecia pójdzie głęboka jak otchłań szczelina – otworzy się w ziemi i odsłoni krwawą przepaść.

Później, kiedy Mały Wielki Człowiek stał z Kristine i jej mężem w ogrodzie, paląc fajkę, i zupełnie już swobodny powiedział coś pikantnego, małżonkowie poczuli się zobowiązani, żeby się zaśmiać.

Stazja patrzyła na tę scenę przez okno odświetnione przystrojonej jadalni. Obserwowała każdy gest tego mężczyzny, to, jak przelotnie dotyka łokcia jej siostry. Widziała jego zęby, które lśniły w mdłym świetle ogrodowych lamp, kiedy podpity śmiał się z własnych dowcipów. I nienawidziła się za to, że nie biegnie, by go odciągnąć od swej małej siostry. Siostry, która okazała zresztą wspaniały talent aktorski i niczego nie dawała po sobie poznać. A może nawet jej się podobało, że była adorowana przez tego straszego człowieka? Była to myśl, którą Stazja szybko przegoniła.

W 1931 roku Kitty chodziła do drugiej klasy rosyjskiej szkoły dla dziewcząt. Zwracała ogólną uwagę swymi pełnymi ustami, kasztanowobrazowymi kręconymi włosami i miodowobrazowymi oczami w kształcie migdałów. Kostia stał się wysokim, przystojnym chłopcem o takich samych jak siostra kasztanowobrazowych, ale prostych włosach, i jako najlepszy uczeń w klasie sprawiał wrażenie dojrzałego i poważniejszego niż większość jego rówieśników. W tym właśnie roku Mały Wielki Człowiek został pierwszym sekretarzem Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Gruzji i mianował Ramasa Jozebidzego swoim osobistym sekretarzem.

Sopio prawie nie opuszczała mieszkania i egzystowała tylko dzięki wsparciu przyjaciół. Nie miała już

uczniów, a po tym, jak związek pisarzy uznał, że pisze w duchu sprzecznym z normami społecznymi i moralnością wielkiej socjalistycznej republiki, zakazano publikowania jej wierszy.

Pewnego popołudnia do domu Ramasa Jozebidzego zadzwonił pierwszy sekretarz partii. Rozmawiał z panią domu. Rozmowa trwała kwadrans. Potem Kristine wsiadła do czarnego bugatti. Miała na sobie czerwoną szyfonową suknię z pająkami, długie, czarne, aksamitne rękawiczki i czarny kapelusz ze strusimi piórami. W operze powitał ją sam pierwszym sekretarz, zapraszając do swej łoży. Dawano *Normę Belliniego*, dziwnym trafem niezabronioną albo jeszcze niezabronioną.

Podczas arii *Casta Diva* posłyszano dochodzące z łoży szmery i szepty.

Niezliczone głowy obróciły się dyskretnie w kierunku królewskich miejsc: w przytłumionym scenicznym świetle można było rozpoznać kobiecą postać, która w żadnym razie nie była żoną pierwszego sekretarza. Potem długo nic nie było widać. Przy „*Ah! bello a me ritorna*” zauważono rękę kobiety w czarnej rękawiczce zaciśniętą na barierce wyłożonej czerwonym aksamitem. Przy „*Del fido amor primiero*” usłyszano, że na podłogę upada coś ciężkiego. Przy „*E contro il mondo intiero*” rozległ się stłumiony krzyk, a przy „*Difesa a te sarò*” ręka znikła, powoli i z oporem.

Para z łoży opuściła widownię jako ostatnia.

Szybko rozeszła się pogłoska, że pierwszemu sekretarzowi przedstawienie się nie podobało, bo niezbyt entuzjastycznie je oklaskiwał. Doprowadziło to do łez w ansambli. Była to jednak tylko plotka. Pierwszy sekretarz oznajmił potem oficjalnie, że przedstawienie było porywające. Prawda zaś była taka, że szyfonowa suknia Kristine się pomięła, a szminka na jej ustach rozmazała i dlatego długo czekali z wyjściem, aż sala opustoszeje, by wyjść z teatru bez świadków.

Ramas przebywał wtedy na posiedzeniu w Kijowie, zajmując się rozwiązywaniem problemów rolnictwa, i Kristine, wróciwszy do domu, usiadła w holu i kazała sobie podać likier wiśniowy.

Stazja, zbudzona hałasem i trzaśnięciem drzwi, zeszła na dół i zobaczyła siostrę, która duszkiem, wprost z butelki, piła jakiś trunek.

– Coś się stało? Coś z Ramasem?

– Och, nie, z nim wszystko w porządku. W najlepszym porządku. Chodź, napijemy się.

– Ale gdzie byłaś?

– To było tylko małe i nic nieznaczące spotkanie.

Po kilku próbach wyciągnięcia z siostry czegoś więcej, Stazja dała za wygraną i zaczęła się raczyć słodkim i lepkiem likierem, próbując dotrzymać kroku siostrze.

W następnych dniach telefony się powtarzały, po czym za każdym razem Kristine zniknęła z domu na kilka godzin.

W kolejnych miesiącach wyjazdy służbowe Ramasa Jozebidzego, osobistego sekretarza Małego Wielkiego Człowieka, stały się dwukrotnie częstsze niż wcześniej, a nagłe wyjścia z domu Kristine – trzykrotnie częstsze. Ramas zajmował się kwestiami szpiegostwa, zezwoleniami na wyjazdy zagraniczne, kontrolą prasy, zarządzaniem łagrami, a Mały Wielki Człowiek zaspokajał swój nienasycony głód kobiecego piękna.

Nie wiem, co powodowało Stazję, ale pewnego popołudnia udała się za czarnym bugatti, do którego wsiadła jej siostra po jednym z telefonów (jak moja prababka ją śledziła – na koniu, z tramwaju czy innego pojazdu, nigdy się nie dowiedziałam).

Kristine pojechała do najświetniejszej willi w mieście, z pięknym ogrodem, którego bujne, egzotyczne rośliny oraz palmy przypominały krajobraz w Ameryce Południowej i osłaniały dom przed ciekawskimi spojrzeciami. Wszyscy wiedzieli, kto jest właścicielem tej willi i że często goszczą tam najpiękniejsze damy w mieście. Stazja zobaczyła, że czarne auto wiozące jej siostrę wjechało na teren posiadłości przez pozłacaną bramę.

Po powrocie do domu Stazja usiadła w kuchni przy długim stole i nie ruszyła się stamtąd aż do późnego wieczoru, do powrotu Kristine. Personel dostał wychodne, a dzieci poszły wcześniej na górę do swoich pokojów. W tonie Stazji było coś, co im uświadomiło, że tym razem protesty będą daremne.

Kristine weszła do kuchni, zrzuciła buty, wyjęła butelkę z likierem i przysiadła się do siostry. Siedziały obok siebie: Stazja, która wskutek lat głodu w Piotrogradzie i gorzkiego smaku miłości porucznika czerwonych stała się istotą niemal pozbawioną płci, oraz Kristine, w pełnym rozkwicie kobiecości. Stazja w prostej bawełnianej sukience sięgającej łydek, z małą guziczkami, i Kristine w żakiecie w kolorze czerwonego wina ze zdobiałym go haftowanym kołnierzem oraz jedwabnej spódnicy do kostek.

Stazja zaciągnęła się papierosem, szklanym wzrokiem patrząc w podłogę. Kiedy Kristine zaczęła paplać o pogodzie, planach na wakacje i trudach życia w mieście, przerwała jej.

– Śledziłam cię – powiedziała.

Kristine długo się nie odzywała, pociągając likier. Potem wyszeptała:

– Dlaczego?

Siedziały jak dwa krety, przestraszone i oślepięte światłem, patrząc na siebie, jakby widziały się po raz pierwszy.

– Nie chciałam, nie mogłam uwierzyć, że naprawdę to robisz...

– Co ja takiego robię!? – wybuchła Kristine.

Stazja zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu usłyszała, jak jej siostra podnosi głos.

– Ty... – zaczęła znowu Stazja i głos jej się załamał.

- Muszę to robić.
- Dlaczego musisz?
- Ktoś musi kłaść głowę pod topór, żeby inni dalej mogli świętować.

W głosie Kristine było tyle lekceważenia, jadu i agresji, że Stazja się przelęknęła i mimowolnie odsunęła od niej razem z krzesłem.

- Brzydzę się tobą.
- A wygodne życie, bajeczne jedzenie i piękne ubrania, wycieczki, prywatne lekcje i dobre szkoły dla dzieci? To cię nie brzydzi?
- Nigdy cię o to nie prosiłam. Dlaczego, dlaczego, Kristine? Ramas ma przecież dosyć pieniędzy.
- Kiedy słyszę twoje argumenty, chce mi się krzyknąć! Nie pojęłaś jeszcze, kim on jest i co może?

Ciągle jeszcze nie widzisz, gdzie żyjemy?

Kristine nagle umilkła, pociągnęła spory łyk prosto z butelki i wyszła.

Przyszłość stała się terażniejszością.

Wszystko wywołało podejrzenia, słowa zostaną zniszczone tak jak serca. Będzie się szło jak w tunelu bez wyjścia. Stazja miała poczucie, że powinna walczyć, ale o co walczyć, jeśli nagle wszystko zaczęło mieć smak beznadziei? Na co skierować wzrok, żeby uciec przed widokiem twarzy Małych Wielkich Mężczyzn, którzy żyją tak cynicznie? Jak mocno trzeba będzie odtąd zaciskać powieki, żeby nie widzieć ruin, które się odsłaniają? Ile trudu będzie kosztował śmiech, kiedy pod stopami czuć tyle ludzkich ciał?

Stazja zamknęła oczy i zobaczyła zaróżowioną, śmiejącą się Teklę, która wyciągała do niej rękę, wołając ją. Więc szybko znowu otworzyła oczy, żeby uciec przed marami, lecz rzeczywistość też była pełna mar.

W pierwszym tygodniu stycznia 1932 roku Mały Wielki Człowiek objął kierownictwo partii komunistycznej w całej Republice Zakaukaskiej i przeniósł swego osobistego sekretarza do nadzoru partyjnego do Baku, tak że Ramas widywał się z żoną tylko w ostatni weekend miesiąca. Trwała nowa fala deportacji chłopskich oraz masowych egzekucji, w miastach jeszcze niewidoczna, lecz powoli do nich zmierzająca. Słyszało się o plądrujących bandach dzieci, które ciągną przez Rosję, o beznadziejnie długich kolejkach przed sklepami spożywczymi, o żonach robotników, które się sprzedają, żeby wyżywić rodzinę. Słyszało się o aresztowaniach redaktorów, którzy przestali pisać w gazetach o „radosnym, szczęśliwym życiu”. O milionach chłopów deportowanych w ostatnich dwóch latach z Ukrainy do Kazachstanu albo powieszonych. Widziało się drukowane przez władze plakaty, na których można było przeczytać: „Zjadanie własnych dzieci jest aktem barbarzyństwa!”.

Niewiele z tego czuło się na słonecznym południowym Kaukazie, najwyżej znało się kogoś, kto znów znał kogoś, kto sam to przeżył, ale jeszcze się tego osobiście nie doświadczyło.

Stazja martwiła się nie tylko o Kristine, ale też o Soppio, która często nie nocowała w domu i mało co

z nią rozmawiała.

Zagadnięta o przyczynę, Sopio wykręcała się od odpowiedzi. Od pierwszej nocy, kiedy Sopio znikła, Stazja wiedziała, że przyjaciółka skończyła z dobrowolnie nałożoną na siebie ascezą i samotnością, więcej: Sopio, zgodnie ze swą naturą, zaczęła się buntować. Stazja cierpiała z powodu niezdecydowania, wątpliwości, lęku przed niespełnionymi marzeniami i lęku przed życiem bez marzeń. Cierpiała z powodu milczenia Sopio i z powodu wypalenia się miłości do męża, a także z powodu objawiającej się ostatnimi czasy zatwardziałości młodszej siostry, lecz nie potrafiła się zdobyć na żadne działanie.

Krwawa marcową noc, o której opowiedziała mi dużo później, też jeszcze nie zmobilizowała jej do czynu.

Gdy tej nocy Stazja wróciła z mieszkania Sopio w oficynie do willi Kristine z Andrem na rękach, bo jego matka znowu ją poprosiła, żeby go z sobą wzięła, usłyszała krzyki dochodzące z pokoju siostry.

Kazała chłopcu iść na górę i pobiegła do sypialni Kristine. Ramas był nieobecny. Zastąpiła tam swą siostrę, która otoczona zapachem lawendy i suszonych kwiatów postawionych na komodzie, zapewniających dobry sen, leżała na białym łożu z baldachimem w białej, wykrochmalonej pościeli, osłonięta moskitierą, a pod nią czerwieniła się kałuża krwi.

Kristine jęczała i krzyczała, zaciskając zęby i trzymając się kurczowo ramy łóżka. Stazja podbiegła do niej, wołając, że wezwie lekarza, wtedy jednak Kristine zawyła jak zwierzę.

– Żadnego lekarza, żadnego lekarza!... Nikt nie może o tym wiedzieć. Służbie dałam wychodne. Nikt nie może...

– Wykrwawisz się! Co zrobiłaś?

– W czarnym notesie na stole na ostatniej stronie u dołu jest adres. Musisz sprowadzić tę kobietę. Ona wie, jak zatamować krwawienie.

Stazja, oblana zimnym potem, przyniosła kompresy, z ręczników zrobiła naprędce rodzaj podpasek, po czym wezwała dorożkę i kazała się zawieźć na przedmieście, gdzie w blaszanej budzie mieszkała stara, pomarszczona kobieta, babka trudniąca się spędzaniem płodów. Stazja przywiozła ją do siostry. Kristine dostała do wypicia mieszankę ziół wywołujących poronienie.

Stazja przez dwie doby czuwała przy łóżku siostry, potem zeszła na dół do kuchni. Odesłała kucharkę do domu i przygotowała Kristine gorącą czekoladę. I kiedy Kristine ją piła, a dzieci, dotąd trzymane z dala od jej sypialni, przybiegły zwabione zapachem, uśmiechnęła się i z oka spłynęła jej łza.

– Nigdy nie będę mieć dzieci z Ramasem. Byliśmy już u kilku lekarzy – powiedziała Kristine cicho i znów łyknęła czekoladowego napoju.

Stazja siedziała na brzegu jej łóżka, milcząc i próbując odwrócić wzrok od siostry, która chorobliwie blada, z głębokimi cieniami pod oczami i bezkrwistymi ustami wyglądała na wątłą i słabą.

– Byłam przekonana, że przyczyna tkwi we mnie... Czy to nie kiepski żart?

– Myślałam, że nie chcecie dzieci. Mówiłaś mi przecież, że chcesz jeszcze nacieszyć się życiem i...

– Okłamałam cię. Miałam nadzieję, że nam się uda. Kiedy myślałaś, że jesteśmy nad morzem, byliśmy

w Warszawie u słynnego lekarza. Dlaczego teraz, dlaczego tak, dlaczego?

Stazja próbowała powstrzymać łzy, by nie pogłębiać rozpaczony Kristine.

– Skończ z nim, proszę. Nawet jeśli się boisz, zakończ to. Proszę – wyszeptwała w końcu i podała

siostrze szklanek wody.

– Wiesz, że to niemożliwe.

– Ale ta sytuacja jest jeszcze bardziej niemożliwa, Kristine, nie rozumiesz tego?

– Nie da się, Stazjo!

– Wyjedźmy. Zniknijmy gdzieś.

– Nie bądź śmieszna. Poza tym on mnie znajdzie, gdziekolwiek będę.

– Nie jest przecież Bogiem, Kristine!

– Boga już nie ma, żaden Bóg nie wyciągnie nas z tej biedy, tak to wygląda. On jest... on jest...

uzależniony.

– Uzależniony?

– Ode mnie.

– Co ty opowiadasz? On jest...

– Pst. On ciągle będzie tego potrzebował, ciągle, zrobi dla tego wszystko, on jest mi posłuszny.

– Tego? Mówisz o sobie i...

– Pozwól mi teraz zasnąć, Stazjo. Jestem zmęczona. I powiedz im tam, na dole, żeby wyprasowali mi

na jutro moją zieloną suknię, tę z krochmalonym kołnierzem. A, i niech wyczyszczą klamrę do włosów,

tę z motylem. Jest srebrna, więc niech użyją soli.

– Kristine!

– Powiedz im to! Nie chcę jutro usłyszeć, że suknia jeszcze niegotowa.

– Powiedz o wszystkim Ramasowi.

Kristine prychnęła i odwróciła się na drugi bok.

Tego lata Stazja pojechała ze swoimi dziećmi, Andrem i mężem do swego rodzinnego miasta i spędzała tam czas z coraz bardziej pobożną Lidą, z macochą, która po zamążpójściu Kristine wydawała się nie mieć nic innego do roboty, jak tylko jeść, oraz z ojcem, który stawał się coraz bardziej roztargniony i melancholiczny, coraz chudszy i coraz bardziej kruchy.

Stazja po raz pierwszy zadawała sobie pytanie, czy życie, które toczyło się zwyczajnie, w ogóle ma sens i czy marzenia nie są po prostu przeszkodami, które odciągają od tego, co istotne.

Podczas gdy porucznik codziennie umawiał się z dawnymi przyjaciółmi na tryktraka, Stazja szła z ośmioletnią Kitty do stajni. Wynajmowała kabardyńca i uczyła córkę jeździć konno. Po męsku, oczywiście. Pokazywała jej miejsca swojego dzieciństwa. A Kitty, o wiele bardziej rozgarnięta, energiczna i głośna niż obaj chłopcy, śmiała się i pischczała z zachwytem. To dziecko miasta, które było wożone autem swojej ciotki, rozkwitło i kojarzyło się Stazji z barwą brzoskwiń, czymś pięknym, pełnym życia. I wzruszało ją do głębi. Stazja pokazała córce dąb (zgódźmy się, że stary), pokazała skalny klasztor, pokazała surowy krajobraz. Oglądały gwiazdy świecące oślepiająco jasno, żółty księżyc i wahały starą matkę ziemię, która tak wiele wiedziała, a tak mało ujawniała.

Tymczasem Kostia próbował trzymać na wodzy zazdrość o Andra i zbliżyć się do ojca, którego, choć ten wydawał się daleki, bardzo potrzebował. Wkraczając w wiek dojrzewania, Kostia zagubił się, uwięziony w waśniach, między frontami tworzonymi przez dorosłych, między nienasyconą tęsknotą za ojcem a dziwnym dystansem, jaki odczuwał wobec matki. Zagubił się we wściekłości, jaką czuł do trudnych do zrozumienia, niestałych kobiet, które go otaczały. Tęskniąc za stałością i porządkiem, odczuwał brak Kristine, królowej swego małego świata. Kristine się zmieniła. Już nie spędzała z nim tyle czasu co dawniej. Przestała go wyróżniać, przestał być jej królewiczem. Często znikwała, a potem siedziała samotnie w kuchni przy zgaszonym świetle. Piła z butelki słodki, lepki płyn i patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem. Uciekała w milczenie, które dla niego było niezrozumiałe.

Od swego ojca pragnął uznania, lecz od Kristine miłości.

Chciał od niej słyszeć, jaki jest przystojny i wyjątkowy, jaki mądry i jak mało trosk przysparza dorosłym. Jakie dobre ma maniery i jaki jest do niej podobny. To wszystko zawsze mu mówiła, odkąd pojawił się na świecie. Nie jego matka, lecz Kristine była tą, która najbardziej zdawała się go potrzebować, która umiała patrzeć na świat jego oczami, która pozwalała mu wierzyć, że któregoś dnia będzie królem.

Tęsknił przede wszystkim za byciem faworyzowanym. Kristine zawsze go wyróżniała i uważała za lepszego od innych dzieci. Kostia najbardziej ze wszystkiego nie chciał być taki jak wszyscy. A już najmniej taki jak jego młodsza siostra. To, że w godnym pożałowania zrównaniu z siostrą i z Andrem musiał z nimi konkurować, walczyć, by zostać zauważonym i zaznaczyć swoją odmienność, niemal go

obrażało.

Ten kędzierzawy Andro! Chorowity i wąły, bez żadnych ambicji poza czytaniem książek albo słuchaniem, gdy ktoś mu czytał. Który śpiewał, kiedy czuł się samotny, i umiał recytować wiersze w trzech albo czterech językach, a najchętniej strugał jakieś bezsensowne figurki z drewna. A ile zbierał za to pochwał! I za to, że rzekomo był taki miły, taktowny, skromny i wyrozumiały, jakby w życiu najważniejsze było być miłym, taktownym, skromnym i wyrozumiałym.

A siostra, która z Kostią nie miała nic wspólnego oprócz nazwiska i kształtu paznokci! Doprowadzała go do białej gorączki swoim głośnym sposobem bycia i brakiem wrażliwości. Była niepozbita, w głowie miała same głupstwa, była leniwa w nauce, a największym talentem, jakim mogła się wykazać, było udawanie klauna i wygłupianie się, czym zresztą zdawała się bawić wszystkich dorosłych i zyskiwać ich sympatię. Stale chichotała, mlaskała i stroiła miny. W pończochach zawsze miała dziury. I w dodatku uczepiła się Andra jak rzep psiego ogona.

Kostia zawsze po cichu obwiniał matkę za to, że jest daleko od ojca, człowieka, który dostał tyle medali! On też chciał je mieć i w swoim późniejszym życiu dostał ich bardzo wiele. Jeszcze przez kilka lat Kostia miał błąkać się w wewnętrznych krajobrazach siebie samego. Aż w końcu jasno ustalił swą pozycję w rodzinie, umocnił swoje przekonania i wybrał własne metody postępowania.

W życiu Sopio pojawił się nowy mężczyzna, tak przynajmniej Stazja tłumaczyła sobie jej nastroje, długie nieobecności i tajemniczość, gdy na jesieni wróciła z rodzinnego domu do Tbilisi. W życiu Sopio rzeczywiście wkroczył pewien mężczyzna. Był to architekt, który lata studiów spędził we Florencji, sporządził już kilka znakomitych projektów i zaczął też je realizować, dopóki nie uznano go za dekadenta poddanego wpływom Zachodu i nie skazano na zawodowy niebyt. Na końcu przeniesiono go do mieszkania komunalnego, w którym łazienkę i kuchnię musiał dzielić z handlarzami kartofli.

Mężczyzna ten nie obudził jednak w Sopio tego rodzaju miłości, o jaki podejrzewała przyjaciółkę Stazja, lecz omotał ją cienką, subtelną nitką, której końce mocno wiązały się z jego ideami. Mimo że był architektem, musiał pracować w fabryce konserw i swoje projekty – najpierw domów, a potem świata w ogólności – rysował odtąd w pogniecionym zeszycie, który ukrywał pod materacem w swojej komunalce.

Zeszyt ten pokazał Sopio, kiedy ta pewnego dnia zjawiała się w fabryce, żeby uświadamiać robotnice w kwestii praw kobiet. Większość robotnic gapiała się w nią bez zainteresowania albo drzemała, a potem wróciła do roboty. Lecz architekt został. Siedział w ostatnim rzędzie i Sopio cieszyła się z powodu słuchacza mężczyzny. Tak doszło między nimi do rozmowy.

„Ten człowiek wygląda na alkoholika!” To było pierwsze, co przemknęło Stazji przez myśl, gdy zobaczyła przyjaciela Sopio. Obrzmiały, blady, pogrążony we własnych myślach. Z początku irytował Stazję, kiedy pojawił się w mieszkaniu i sączył czarną herbatę przygotowaną przez Sopio.

„Gdyby przynajmniej był interesującym mężczyzną, gdyby rzeczywiście był niezwykły”, myślała.

Kiedy wreszcie sobie poszedł, zaczęła wypytywać o niego przyjaciółkę. Czy Soppio naprawdę chce się narazić na plotki sąsiadów, czy chce otwarcie z nim się spotykać? I wtedy Soppio odparła, że to smutne, że Tazo znowu zamyka oczy na wszystko, co jest jej obce, a poza tym, nie o to chodzi.

– Po pierwsze, nie łączy mnie z nim nic, z czego musiałabym się publicznie tłumaczyć. Po drugie, inwigilują go, a mnie nie wolno narażać Andra. Po trzecie, ty też niekoniecznie mi to ułatwiasz, i po czwarte, nie mogę go zostawić samemu sobie – odpowiedziała szorstko i poszła otworzyć drzwi, do których pukał wracający ze szkoły syn.

Andro chodził do zwykłej gruzińskiej szkoły, położonej bliżej niż elitarne, rosyjskie szkoły Kitty i Kostii.

Krótko po tym, jak Stazja poznała architekta Soppio, Kristine poprosiła siostrę do gabinetu swego ciągle nieobecnego męża i postawiła przed nią likier wiśniowy.

Patrząc na Kristine, trudno było się domyślić, że ma kłopoty: nienagannie ubrana, trzymała się prosto jak świeca, włosy miała upięte w efektowny, artystyczny węzeł, w jej uszach i na rękach błyszcząca biżuteria, usta lśniły karminową czerwienią. Kristine była dla Stazji zagadką.

Usiadły, wypity po kieliszku likieru i wymieniały banalne uwagi. Kitty dostała wczoraj zły stopień z matematyki i nauczyciel ją upomniał. Kostia okazał się najlepszy w klasie z kaligrafii. Kucharka przesoliła omlet, powoli się starzeje. Mówią, że cena zboża ma iść w górę. I tak dalej.

Stazja patrzyła na palce swej siostry ozdobione horrendalnie drogimi pierścionkami i bezskutecznie próbowała sobie wyobrazić, jak by to było być Kristine.

– Chciałam porozmawiać z tobą o twojej przyjaciółce – powiedziała nagle Kristine i jej ton raptownie się zmienił, stał się ostrzejszy i bardziej zdystansowany, jakby wyszła z roli siostry i brawurowo przyjęła rolę żony polityka.

– Co masz do niej?

– Obraca się w środowisku dysydentów, a jej nowy przyjaciel... No tak, jest obserwowany. Soppio sympatyzuje z niewłaściwymi ludźmi. To może jej przysporzyć wielkich kłopotów. Ten człowiek ma niewłaściwe poglądy, jeśli rozumiesz, co próbuję przez to powiedzieć. Powinna jak najszybciej się z nim rozstać.

– Ten człowiek jest nieszkodliwy. Jeśli w ogóle, to ma problemy psychiczne albo alkoholowe, skoro już chcesz wiedzieć. On nie jest zdolny do tego, żeby mieć jakiegokolwiek poglądy – odparła Stazja beczelnie.

– Ja tylko mówię. Wiele razy wstawiałam się już za Soppio. Ale na dłuższą metę jej nie pomogę, jeśli sama nie będzie na siebie uważać. Musi być ostrożna i ty też.

– Dlaczego ja?

- Jesteś jej przyjaciółką.
- Ale ja jestem twoją siostrą.
- Oczywiście, że jesteś. Dlatego nie chcę, żebyś miała kłopoty. Nie jestem wszechmocna, Stazjo.
- Ale jesteś przecież jego...
- Kim? Kurtyzana? Kochanką? Dziwką? Co chciałaś powiedzieć?
- Nic.
- No wyduś to z siebie wreszcie!
- Czego ode mnie chcesz?
- Ja!? Ja tylko chcę, żebyś dalej mogła wieść życie bez trosk. Potraktuj, proszę, poważnie moje słowa, to wszystko.

Stazja wyszła z pokoju wzburzona. Poszła do ogrodu, do fontanny, która od miesiący była sucha i w której zbierały się tylko opadające liście, i zapaliła długiego papierosa. W słowach Kristine było coś, co głęboko ją dotknęło.

Może to ta cała sytuacja, która wywoływała w niej dziwny wstręt. Położenie jej siostry, którego ona, Stazja, nie próbowała zmienić, a nawet ciągnęła z niego profity. Może to też było już uzależnienie, w którym trwała od kilku lat. Może była to ta osobliwa atmosfera, która nagle zaczęła się rozprzestrzeniać w jej kraju jak wirus, atmosfera, która napawała ją lękiem i o której wolała zapomnieć. Czuła się nędznie. Nie potrafiła się przed sobą przyznać, że zawiodła, i to na całej linii.

Energicznym krokiem weszła do pokoju Kostii i zmusiła go do wstania. Położył się właśnie do łóżka i czytał *Wyspę skarbów*, którą bardzo lubił. Wściekając się i ziewając, poszedł za matką do jadalni i nalał sobie mleka do filiżanki.

Stazja spojrzała na syna i zdziwiła się – wydał się jej taki obcy. Poważny, nieprzypominający dziecka, gniewny i jakoś zagubiony w tej swojej dorosłości. Dziwiła się, że tak rzadko bawi się z rówieśnikami, że najczęściej szuka bliskości dorosłych, że ciągle sprzecza się z Andrem i z Kitty, a z siostrą tak ostro, że niekiedy dochodzi do rękoczynów.

- Wszystko u ciebie w porządku? – zaczęła Stazja.

Kostia, jeszcze bardziej poirytowany, skinął głową i pociągnął duży łyk mleka, podczas gdy Stazja zapaliła kolejnego papierosa.

- Co się dzieje, mamó? – zapytał.
- Zastanawiałam się, jak tam twoje sprawy. Wiesz, nie rozmawiamy z sobą za dużo.
- O czym mielibyśmy rozmawiać?
- Ach, o wszystkim. O wszystkim, co tylko możliwe, o tobie, o mnie, o Kitty, o twoim ojcu,

o Kristine.

- Co się dzieje z ciocią?

– Dlaczego o to pytasz?

– No, ostatnio jest jakaś podminowana.

– To prawda. Nie jest jej lekko. Na pewno tęskni za wujem Ramasem.

W tym momencie poczuła złość na samą siebie za to kłamstwo.

– A może wcale za nim nie tęskni, tak jak ty nie tęsknisz za papą – odparł Kostia i wbił wzrok w filiżankę z mlekiem.

– Czemu uważasz, że nie tęsknię?

– Nie bardzo to po tobie widać, *deda*.

– A ty tęsknisz za ojcem?

– Tak, czasami.

– Piszesz do niego?

– Czasem.

– I co takiego mu piszesz?

– Że za nim tęsknię i że chciałbym go odwiedzić.

– A co on na to?

– Że niedługo chciałby mnie wziąć do siebie, kiedy będę w wyższej klasie.

– Chciałbyś tego?

– Chciałbym po prostu zobaczyć, jak tam u niego jest. I chciałbym spróbować strzelania. Tata mnie nauczy.

– Po co?

– Jak to po co? Po co się strzela? Żeby walczyć i bronić się, oczywiście.

Stazja czuła narastający dystans między sobą a synem. Czuła, że brakuje mu wyrozumiałości i empatii dla otaczających go ludzi. Chęć ratowania wieczoru próbą zbliżenia się do syna spełzała na niczym i Stazja poczuła jeszcze większe zagubienie i bezradność.

Kiedy zasnęła bladym świtem, przyśnił się jej strzelający dokoła siebie Kostia i obudziła się złana zimnym potem.

Myszę, że Stazja wielokrotnie próbowała rozmawiać z Sopio. Pytana o to przeze mnie, odpowiadała, że wiele razy ją ostrzegała, ale dlaczego skuteczniej tego nie uczyniła i nie przekazała Sopio słów Kristine, do dziś nie potrafię wyjaśnić. Przypuszczam, że winna temu była umiejętność Stazji wypierania problemów.

Koniec zaczął się od samobójstwa drugiej żony Wodza, Nadieżdy Allikujewej, matki dwojga jego dzieci, którą mąż kazał kontrolować tak samo jak cały kraj i która pewnego dnia miała mu powiedzieć, że dręczy ją tak, jak dręczy cały naród. Nadieżda zadawała sobie wiele trudu, by być dobrą żoną, dobrą matką i dobrym członkiem partii. W prawie wszystkich socjalistycznych książkach historycznych aż do

końca lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku jako przyczynę jej śmierci podawano tuberkulozę. Tamtego zimnego listopadowego dnia pokazała się na uroczystej paradzie z okazji piętnastej rocznicy rewolucji październikowej i machała, uśmiechała się, promieniała. Wieczorem wzięła udział w przyjęciu wydanym dla członków politycznej elity, poróżniła się z pijanym mężem, wróciła do domu i się zastrzeliła.

Niecałe dwa miesiące później, w ledwie rozpoczętym 1933 roku, aresztowano zastraszonego i zaszczutego architekta. Od dwóch lat szykanowano go i przesłuchiowano. Oskarżono go o zdradę kraju oraz działalność kontrewolucyjną i skazano na śmierć. Sopio, która dotychczas protestowała ostrożnie i cicho, teraz zaczęła burzyć się publicznie...

Mówiono, że chodziła po ulicach i urągała ludziom, że napisała cykl wierszy pod tytułem *Święto krwi*. Zaledwie po czterech tygodniach od rozstrzelania przyjaciela została zabrana z domu w środku nocy przez dwóch mężczyzn w mundurach wojskowych i umieszczona w klinice psychiatrycznej. W uzasadnieniu decyzji napisano, że zagraża współobywatelom, bo wszystko wskazuje na to, że ma objawy hysterii i obłądu.

Andro był świadkiem, jak wyciągali matkę z mieszkania, jak się opierała, przeraźliwie krzycząc, jak przeklinała, pluć na mężczyzn, a do syna wołała, że nie wolno mu nigdy bać się takich jak oni bestii, niczego i nikogo! Lecz Andro bał się straszliwie. Wybiegł z domu, pokonał nocą drogę stromymi ulicami Wery i tak długo dobijał się do żelaznej bramy willi, aż zaspana Stazja mu otworzyła, a w oknie sypialni Kristine zapaliło się światło. Cały czas lkał i nie od razu mógł wydusić z siebie logiczne zdania.

Stazja wzięła go do siebie. Pocieszała, powiedziała, że Sopio wkrótce wróci. Okłamywała go, mówiąc, że jego matka przekazuje mu pozdrowienia i że dochodzi do zdrowia.

Jego podporą i źródłem energii stała się Kitty. Była mistrzynią w sztuce przetrwania. Nadal się śmiała i szturchała Andra, mijając go, szczypała go w ramię, a w brata rzucała pestkami dyni. Mimo przygnębiającego nastroju panującego w domu ciągle słuchała muzyki z radia. Spotykała się z przyjaciółkami i grała w piłkę nożną na szkolnym boisku, choć często ją upominano, że to nie wypada. Nadal stroiła miny i każdy nowy dzień rozpoczynała od gimnastyki w rytm komend płynących z radia. Robiła to wszystko jednak ciszej i ostrożniej niż przedtem.

Im bardziej zachowanie Kitty drażniło jej brata, tym bardziej Andro szukał jej bliskości. Kitty intuicyjnie czyniła wszystko, żeby Andro znowu się śmiał i pokonał swoje lęki. Malowała jego nauczycieli na nocnikach albo w postaciach zwierząt, pluć ziarnami słonecznika z okien w dachu na głowy przechodniów, kradła cukierki, obcięła sobie włosy. Robiła to wszystko, żeby uciec od niemoty dorosłych. Robiła to, choć stawiano ją do kąta, upominano, wlepiano jej kary i kazano zostawać po lekcjach, choć matka prawiała jej kazania, a ciotka nazywała ją chłopcem. Choć grożono, że zostanie wysłana do swego ojca do Rosji, gdzie będzie mieszkała w koszarach, dostawała codziennie tylko gęstą

breję albo kaszę i gdzie w końcu poczuje twardą rękę.

Andro zaś znajdował pocieszenie w książkach. Zdawało mu się, że są pomostem łączącym go z matką. Ona często mu czytała i nazywała literaturę „kotwicą w czarnym jeziorze życia”. Chciał mieć poczucie, że jest blisko niej, że jej nie zawiedzie. Czytał wszystko, co mu wpadło w ręce. Ramas miał wspaniałą bibliotekę – były w niej także książki, których we wzorowym socjalistycznym domu niekoniecznie należało się spodziewać.

Od samego początku Andro i Kitty stanowili zgrany duet. Zawsze lepiej się z sobą zgadzali i bawili niż Kitty z bratem. Lecz teraz to przymierze zmieniało się we front. Front przeciw Kostii.

Sopio Eristawi została zesłana do obozu pracy na początku 1935 roku, wraz z rozpoczęciem „wielkiej czystki”, w roku uroczystego uruchomienia słynnego moskiewskiego metra. Została zesłana do Azji Centralnej. Miały upłynąć miesiące, zanim Stazja, dzięki pomocy Kristine, dowiedziała się, że chodzi o obóz NKWD w Uzbeckiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Łagier nazywał się SasLag. Uprawiano tam bawełnę i Sopio przydzielono do obróbki tego surowca.

Dopiero po żenujących wizytach na milicji, po wielu prośbach, staniu w kolejkach i upokorzeniach Stazja mogła wysłać swej przyjaciółce niewielką paczkę z żywnością. Włożyła do niej także długi list, zdjęcia dzieci, własnoręcznie uszytą spódnicę – czy tam Sopio w ogóle będzie mogła ją nosić? – pocztówki od Kitty i Kostii oraz rozdzierający serce list od Andra.

Rozpoczął się rok pełen emocji. Rok, w którym utworzono Luftwaffe, w którym odbyła się prapremiera *Porgy and Bess* i śpiewano *Summertime*, rok, w którym w Niemczech zakazano jazzu, rok, w którym zaczęła się epoka grających szaf, w którym Billie Holiday podczas *jam session* w zabawny sposób zaśpiewała *What a Little Moonlight Can Do*. Rok, w którym radziecki Wódz napisał nową konstytucję – kosztowała ona życie wielu milionów ludzi.

Był to również rok, w którym niejaki pan Majranowski (też zresztą urodzony w naszej słonecznej ojczyźnie) przeszedł pod skrzydła Małego Wielkiego Człowieka i założył Tajne Laboratorium nr 12. Laboratorium to, podporządkowane NKWD, a tym samym Małemu Wielkiemu Człowiekowi, zajmowało się produkcją trucizn i testowaniem ich na więźniach. Praca laboratorium miała pomagać rosyjskim szpiegom w krajach kapitalistycznych. Główną zasługą Majranowskiego było wynalezienie tak zwanego zatrutego krzesła, które zresztą do dziś jest stosowane, ale to tylko uwaga na marginesie.

Tak, był to rok ekscytujących wydarzeń. Rok, w którym w Tupelo w stanie Missisipi przyszedł na świat Elvis Aaron Presley (on też, jak nasza Anastazja, urodził się jako bliźniak).

Rok, w którym w radzieckim sądownictwie wprowadzono ustawę, zgodnie z którą każde działanie zmierzające do osłabiania władzy podlegało karze jako kontrrewolucyjne.

Co to znaczy „osłabianie władzy”, nie było jasne i dlatego ustawę można było zastosować w odniesieniu do każdego czynu, który nie podobał się partii. Ustawa głosiła również, że oskarżony o terroryzm traci wszelkie prawo do obrony i jedyną karą może być dla niego kara śmierci. Każdy, kto kiedykolwiek zaśmiał się z dowcipu o antysocjalistycznym wydźwięku albo przeczytał książkę o treści antysocjalistycznej, kto był kiedyś na Zachodzie albo ofiarował kobiecie zachodnie perfumy, mógł zostać zabrany z domu przez funkcjonariuszy NKWD bez żadnego ostrzeżenia i wyjaśnienia – ulubioną porą były przy tym szare godziny wczesnego poranka.

Z dwudziestu jeden mężczyzn, którzy w 1917 roku utworzyli Komitet Centralny, w roku 1938 w ZSRR przy życiu pozostał tylko jeden jedyny: Człowiek ze Stali.

Zagorzały komunista Ramas Jozebidze znalazł się w głębokim tunelu, tak ciasnym i ciemnym, że wyjście dla siebie widział tylko w nieskończonym mroku.

Kiedyś dla ideologii opuścił dom rodzinny. Teraz ten otyły, hojny hedonista, który nade wszystko czcił komunizm, partię i swoją piękną jak obrazek żonę, wszystko to tracił. Bo te trzy sprawy zdawały się nierozdzielnie z sobą związane, stopione w jedną całość.

Zaczął się od rozczarowania w pracy. Ramas widział, że metody działania władzy stają się coraz ostrzejsze, coraz twardsze, coraz krwawsze, rzekomo po to, żeby wzmocnić partię, służyć sprawie. Ale sprawa nie była już tą, w którą kiedyś wierzył i której tak wiele poświęcił, a ci, którzy mogli z nim pójść do nowej walki przeciwko aparatowi śmierci, albo byli martwi, albo znajdowali się na wygnaniu. Partia

wysuwała coraz bardziej absurdalne oskarżenia, podejrzliwie traktując każdego, i skutek był taki, że co godzina znajdowano zdrajcę. Przyjaciel donosił na przyjaciela, sąsiad na sąsiada.

Ramas wierzył w marksizm. Był komunistą w czasach, kiedy można było za to zapłacić życiem. Sprzeciwił się własnemu ojcu. Wierzył, że to, co należy się jemu, należy się też innym. I uwierzył w Małego Wielkiego Człowieka.

Już podczas owego fatalnego balu sylwestrowego zobaczył wszystko w jego oczach: żądę, nieokiełznaną żądę zdobycia chłopięcych bioder Kristine, jej łabędziej szyi, małych, dziewczęcych piersi, bujnych włosów, jej czci.

Nie był to ten rodzaj żądy, ten rodzaj pragnienia, których wielu mężczyzn, patrząc na Kristine, nie umiało ukryć. Spojrzenia innych mężczyzn budziły dumę w sercu Ramasa. Dumę, jaką czuje kolekcjoner posiadający dzieło sztuki, którego inni mu zazdroszczą. Nie, ta żądza była inna. Była to żądza mordercy.

Tego Ramas nie umiał wtedy jeszcze ująć w słowa. Nie miał odwagi myśleć w ten sposób, nie dał sobie tego prawa. Zbagatelizował to, bo w końcu zawsze dawał swemu przełożonemu dowody wierności i lojalności.

Ten tymczasem bez wahania wysyłał ludzi do izby tortur i celi śmierci. Ramas wiedział o tym, bo już wtedy to przeczuwał, a teraz sam był tego świadkiem. Wiedział też, co to oznaczało dla niego i Kristine. Mały Wielki Człowiek wziął ją sobie – mimo wszystko Ramas nie mógł uwierzyć, że jego żona, jego Helena, najpiękniejsza kobieta we wszechświecie, na to przystała.

Domyślał się tego dawno, odkąd jego podróże służbowe stały się częstsze, odkąd stwierdzał, że ani w Baku, ani w Erywaniu czy nawet w Taszkencie nie ma wiele do zrobienia, przeciwnie – był wręcz niepotrzebny. Jego wątpliwości potwierdziły się, kiedy Kristine zaczęła go wabić, gdy wracał do domu. Nigdy wcześniej nie okazywała chęci zbliżeń. Obowiązki małżeńskie pojmowała jako rodzaj nieuniknionego przymusu, choć Ramas zawsze miał nadzieję, że z czasem odkryje w nich przyjemność. Nie martwiło go to zbyt, ponieważ jej inercja, jej nieobecność była częścią jej uroku, a jako wytrawny znawca kobiet wiedział, że urok ów szybko przeminie, jeśli będzie od żony zbyt wiele żądał. Był realistą i poślubiając dużo młodszą i niezwykle piękną kobietę, wiedział, że ona nigdy nie będzie go pragnąć tak jak on jej, że w inny sposób będzie musiał wywalczyć sobie jej miłość.

Kristine już w pierwszych latach małżeństwa pojęła, że znalazła właściwego mężczyznę, przy którym będzie prowadzić życie, o jakim zawsze marzyła i do jakiego czuła się stworzona. Nie odtrącała go, kiedy wsuwał rękę pod jej długą koszulę nocną. Nie ignorowała go już, kiedy przy tym szeptał jej czułości. Nie patrzyła na niego poirytowana, kiedy podniecony i zaczerwieniony obsypywał ją pocałunkami. Zaczęła nawet, leżąc w łóżku, przesuwać niekiedy stopę na jego stronę. Nie krępowała jej jego nagość, bywały też poranki, że uśmiechała się do niego porozumiewawczo. A on uważał się za

najszczęśliwszego mężczyznę na świecie.

Aż do tamtego wieczoru sylwestrowego, od którego zaczął mieć coraz więcej wyjazdów służbowych. Potem znalazł przypadkiem stary bilet do teatru, na którego odwrocie widniało: „Szaleję za tobą” skreślone dobrze mu znanym, nierównym pismem.

Wtedy załamał się świat Ramasa Jozebidzego i rozpoczął się patetyczny, wstrząsający epilog z towarzyszeniem antycznego chóru. Ramas bowiem był człowiekiem wielkich form. W każdym sensie. Tak z zebra życia rodziło się wówczas jego nieszczęście, krwawe, bolesne i podłe. Z zebra życia, marzeń i nadziei Ramasa Jozebidzego, wyjętego przemocą. Wiedział, że nigdy nie powinien był zostawić jej z nim sam na sam, że nie powinien go lekceważyć, a jej przeceniać, że nigdy nie powinien być pewien, iż ona okaże się dostatecznie silna, i wiedział również, że nigdy nie będzie jej mógł tego wybaczyć. Jego podziw i uwielbienie dla niej były wcześniej tak ogromne, że teraz sprawa musiała uzyskać wymiar dramatu bogów greckich.

Ciągle jeszcze ją kochał i pragnął jej, i tym większy odczuwał do niej wstręt. Wmawiał sobie, że jest jeszcze nadzieja na ratunek, i szukał rozwiązania. Gdyby choć oddała się jakiemuś młodemu królowi, dorównującemu jej prezencją i urokiem osobistym! Realia były jednak o wiele bardziej ponure.

Życie zostawiło śmierci wolną rękę. Wielu zręcznym katom.

Stazja już dawno przestała błagać siostrę, by Kristine nie wsiadała do czarnego bugatti. Pogodziła się z tym, że okłamuje szwagra, że zataja przed otoczeniem romans swej siostry. Nawet pouczyła dzieci, by nie wypaplały przypadkiem Ramasowi, że ich ciotka często znika. Dbała o to, by tak układać pracę pulchnej kucharki i bladej dziewczyny służącej, żeby nie było ich w domu, kiedy Kristine wyjeżdżała. Wszystko to robiła ze strachu. Bała się, że mogliby odebrać jej Andra, bała się o męża, choć wyglądało na to, że dobrze mu się wiedzie, i choć regularnie przysyłał pieniądze na dzieci, jednak przede wszystkim bała się o swoją młodszą siostrę.

Kristine zawsze wracała. Nigdy nie wyjeżdżała na dłużej niż trzy godziny. Stazja nigdy też nie rozmawiała z Kristine o tym, co ta czuje, kiedy w eleganckiej sukni wsiada do samochodu. O tym, jak to możliwe, że rozkwita, pięknieje, staje się coraz śmielsza, coraz bardziej nieprzystępna. O tym, jak to możliwe, że nigdy nie uroniła ani jednej łzy, że nigdy się nie poskarżyła. Bo Stazja przede wszystkim bała się pytania, które wypowiedziane głośno i szorstko, brzmiałoby: „Czy znalazłaś w tym przyjemność?”.

– Musisz zapobiec nieszczęściu – powiedziała w końcu cicho Stazja.

Sączyła likier wiśniowy i patrzyła na ogród, który pięknie się rozrastał, ciesząc oko swym widokiem.

– Robię, co w mojej mocy, i to od miesięcy. Mam nadzieję, że o tym wiesz. Ale nie jestem wszechmogąca. Jestem tylko jedną z wielu.

– Faworyzuje cię.

– Phi, faworyzuje! Ale to określiłaś!

„Co czujesz w jego ramionach? Kim on jest i kim ty jesteś? Kim jestem ja, jeśli nie mogę ratować tego, co kocham? Co ze mnie za człowiek, kobieta, matka? Dlaczego zachowujemy się tak, jakbyśmy wszyscy ślubowali milczenie? Gdzie podziało się nasze dzieciństwo? Dlaczego bez kwitnie tak krótko? Widziałaś drzewo wiśni, musimy coś z nim zrobić, bo nie rodzi tak jak wcześniej. Gdzie jest Ramas, co myśli? Co się stanie, kiedy nikt nie będzie protestował przeciwko wszystkim zakazom i ograniczeniom? Co znaczą te plakaty propagandowe wszędzie na ulicach? Dlaczego, mając trzydzieści sześć lat, wciąż czuję się tak, jakbym musiała się wszystkiego uczyć, jakbym nie miała w sobie żadnej wrodzonej, naturalnej wiedzy? Dlaczego ptaki nie spadają z nieba, kiedy umierają? Czy nie można umrzeć z rozpostartymi skrzydłami? Wierzysz w cuda? Gdzie jest Sopio? Czy przeżyje? Do czego się nas zmusza? Zostawiłam ją samą. Nie poznałam jej. Jeszcze nigdy życie nie smakowało mi tak jak przy niej. Nie może mi się przytrafić nic gorszego, niż jej się przytrafiło. Tęsknię za czekoladą, ty też? Może powinnam odwiedzić ojca? Lida chce iść do klasztoru, na zawsze. Słyszałaś? Ojciec pisał. Prawie nie tęsknię za mężem, śmieszne, co? Niepokoję się o Kitty. Jest zbyt impulsywna jak na te czasy. Czuję się ostatnio potwornie zmęczona, właściwie dlaczego? Tak mało robię. W niczym nie jestem dobra. Ty naprawdę jesteś piękna. Ciągłe to przyznaję. Nawet twoje brwi, twój język, twoje włosy na ręce, nawet twoje stopy i prześwitujące pod skórą żyłki są kształtne i piękne. Mój syn cię ubóstwia. Myślę, że jest łatwiej, gdy jest się tak piękną jak ty. Nie trzeba wiele robić, by zaspokoić ciekawość innych. A twój mąż naprawdę cię kocha, widzę to cały czas. Szanuję go, jest mądrym człowiekiem. Powinniśmy zmienić obrus, jest poplamiony”.

Stazja chętnie powiedziałaaby to wszystko swojej siostrze. Zamiast tego rzekła:

– Wyjdę do ogrodu.

Powstawały wyspy niemożności. Zbierały się chmury, niebo traciło swój blask i zmieniało się jak kameleon. Wierzba nad rzeką pochyliła się i głaskała ziemię, żeby ją pocieszyć: miało być jeszcze gorzej i natura musiała się na to przygotować.

W deszczowej wodzie zebranej w ulicznych wyrwach tworzyły się małe zmarszczki, zielone i głuche. W gardłach rodziły się krzyki, wstrzymywane i przetykane jak gorzki lek.

Na ścianach pojawiały się szare cienie, zjawy szeptały, chrypiąc, nikt niczego nie słyszał. Słowa miały jeszcze przez wiele lat więznąć w ustach. Jeszcze przez wiele lat miało pachnieć na ulicach śmieszną rozpaczą pomieszaną z poczuciem zdrady, pozbawioną godności.

W rynnach i zakurzonych kątach domów leżały się armie niespokojnych insektów. Syczały i rozdzierały skrzydła, by było je słychać, lecz nikt tego nie zauważał.

Ludzie tłumili swą wolę i odpędzali marzenia, i na twarz wychodziły im plamy.

Potem Kristine powiedziała Stazji, że Andro musi jak najszybciej zmienić nazwisko i że Stazja

z Simonem powinni go oficjalnie adoptować.

We wrześniu 1936 roku, który zaznaczył się w Tbilisi morderczym upałem, przyszedł jeden jedyny list. Pismo Sopio było takie samo jak zawsze – zamaszyste i szerokie, ale wszystko inne się zmieniło: myśli się rwały, z każdej linijki wyzierał lęk, czuło się obecność cenzury, przez którą przeszedł list.

Kochana Tazo, mój najukochańszy Andro, moja cudowna Kitty, mój mądry Kostio, jakąż radość sprawiła mi Wasza paczuszka i listy! Mam się dobrze. Dużo pracujemy. Tęsknię za Wami do utraty zmysłów, ale wiara mnie nie opuszcza, trzymam się jej mocno. Wiele się zmieniło i na pewno wiele jeszcze się zmieni, ale jedno wiem na pewno: kocham Was z całego serca. Trzymajcie się razem, bo w ten sposób wszystko przetrwamy.

Wasza na zawsze Sopio

Nie wiem, czy Stazja płakała, czy się wstydziła albo czy obgryzała paznokcie z emocji. Ale jestem pewna, że ten list i to, co stało się krótko potem, na długo znieczuliły jej serce...

Wiadomość o śmierci Sopio dotarła do Tbilisi z dwumiesięcznym opóźnieniem. Dokładnych okoliczności śmierci nie podano. Ani miejsca pochówku. Była to informacja klinicznie rzeczowa i jasna, jakby śmierć Sopio była faktem nieuniknionym, jakby cierpiała na nieuleczalną chorobę i jej smutny koniec dawno był do przewidzenia.

Jedynym widowym przejawem żalu Stazji było to, że pewnego ranka – gdy dzieci były jeszcze w szkole, a Kristine siedziała przy toaletce w swoim pokoju i malowała się – poszła do ogrodu i stratowała wszystkie kwiaty. Podeptała lwie paszcze, begonie, zniszczyła promiennie żółte słoneczniki i bladożółte bidensy. Wrywała je z korzeniami, rozgniatała. Zmasakrowała piękno, które kochała.

Przed Andrem, który w szkole uczył się śpiewać hymn na cześć ojczyzny, nie wiedząc, że jego matka w imieniu ojczyzny została uśmiercona na brudnym podwórzu kulą wielkości trzyrublówki, wiadomość tę ukryto. Chciano go chronić, lecz przede wszystkim nie wiedziano, jak wytłumaczyć mu to straszliwe wydarzenie, i obawiano się wyrazu jego oczu.

Krwistoczerwone flagi pozdrawia promień słońca,

Krwistoczerwone flagi wzywają przed sąd!

Krwistoczerwone flagi zwyciężą,

W świat poniosą nową nadzieję.

pieśń socjalistyczna

Wyższa Szkoła Marynarki Wojennej imienia Frunzego oferowała cztery specjalności. Kostię najbardziej interesowała nawigacja.

Dla Kostii jako klasowego prymusa dostanie się na tę uczelnię – również dzięki znakomitym rekomendacjom, a także kontaktom Simona – było dziecinnie proste. W ostatnich dwóch latach pracował nad sobą i swoim ciałem jak opętany, trzy razy w tygodniu przepływał po kilkaset metrów, podnosił ciężary i chodził na kurs atletyki w pałacu młodzieży.

Stazja, która przeczuwała, co jest marzeniem Kostii, nie ubolewała już, że nie sprawdziła się jako matka. Pogodziła się z tym, że Kostia chce przejść pod opiekę uwielbianego ojca. Napisała do męża kilka listów, rozmawiała z nim nawet telefonicznie, prosząc, by uważał na syna. Dodała, że chłopiec jest wrażliwszy, niż się na pierwszy rzut oka wydaje, i że porucznik nie powinien dać się zwieść jego tężyźnie fizycznej. Simon był dumny z syna i obiecał uczynić wszystko, by pobyt Kostii w nowym miejscu dobrze mu służył.

Przeprowadzka została przygotowana bez wielkich ceregieli, a pożegnanie na dworcu odbyło się szybko i bez łez.

– Naucz się wreszcie czerpać z życia trochę przyjemności! – wołała za nim Kitty, kiedy wsiadał do pociągu, a on w odpowiedzi zamruczał pod nosem, że w końcu powinna się nauczyć zachowywać jak dziewczynka.

Stazja pocałowała go w czoło, wcisnęła mu do ręki torbę łakoci, a kiedy pociąg ruszał, odwróciła głowę.

I tak jak nie można było cofnąć śmierci Sopio i zniszczenia kwiatów, tak samo nie dało się uniknąć katastrofy, która jak burza nadciągnęła z początkiem 1937 roku, najkrwawszego i najbardziej obłąkanego roku w radzieckiej historii.

Któregoś jesienno, łagodnego, październikowego wieczoru, zaledwie kilka tygodni po wyjeździe Kostii, Ramas Jozebidze wrócił do domu wcześniej niż zazwyczaj. Był piękny, pełen blasku wieczór. Jeszcze jadło się melony na deser, jeszcze było wystarczająco ciepło, żeby przesiadywać na zewnątrz po zmierzchu. Tak się złożyło, że dzieci pojechały na tydzień do rodziny Stazji, do sennego, przygranicznego miasta. Stazja siedziała w ogrodzie i rozwiązywała krzyżówkę. Kucharka i służąca poszły już do domu. Kristine natomiast wcześniej niż zwykle położyła się do łóżka – bolała ją głowa.

– Ramas? – zdziwiła się Stazja i podniosła się na jego widok.

Uśmiechnął się. Wydawało się, że jest w sentymentalnym nastroju, ponieważ ją objął, co czynił rzadko, i usiadł z nią na chwilę w ogrodzie. Miał przy sobie teczkę z dokumentami i opowiadał Stazji

o trudach podróży. Spytał też o dzieci.

Przez wiele następnych lat Stazja myślała, że to nieobecność dzieci stała się ostatecznym bodźcem, który popchnął Ramasa do tragicznego czynu. Ja jednak myślę, że Ramas planował to już od miesięcy i tak czy inaczej, zrobiłby to, co zamierzył. Może nie w ten październikowy wieczór, lecz w innym sprzyjającym momencie.

Ramas wstał, mówiąc, że jest zmęczony, i poszedł na górę, do sypialni. Stazja też postanowiła iść spać.

Wszedł do pokoju, położył się obok żony i przytulił do niej.

– Ramas? Co tu robisz? Kiedy przyjechałeś?

– W tej chwili. Musiałem cię zobaczyć. Nie wytrzymałem.

– Wyjechałeś bez pozwolenia? Czy to nie wbrew przepisom? Żebyś tylko nie miał kłopotów.

– Tak cię pragnę...

Zaczął ją rozbierać.

Kristine dała za wygraną. Oczywiście miała poczucie winy – czuła się podle. I zdjęła z siebie koszulę, bo ostatnie miesiące nauczyły ją, że na widok jej nagiego ciała mężczyźni nieco tracą impet.

Ramas położył się na plecach i nakłonił ją, żeby na nim usiadła. Tak się jeszcze nie kochali. Spoglądała na niego, na jego wykrzywioną grymasem twarz, i nie wiedziała, czy to jest ból, czy przyjemność. Musiała na niego patrzeć, bo on nieprzerwanie się w nią wpatrywał. Nie widział jej białych, szpiczastych piersi, nie przyglądał się jej nieskazitelnemu ciału, nie szukał dotykiem jej najtajniejszych miejsc, tylko przez cały czas obserwował jej twarz.

Poruszała się najpierw wolno, z wahaniem, z irytacją, zaskoczona własnym pożądaniem, opierając się na jego rękach, które jej podsunął. Czuła się zbita z tropu, bo to, co robiła, zaczynało jej się podobać.

Jej oddech stał się szybszy. Ramas widział małe kropelki potu na jej czole i uśmiechał się do niej, był całkowicie przy niej, tak jakby to, co właśnie robiła, nie dotyczyło jego ciała. Jakby stanowili dwa odrębne istnienia, nie zjednoczone, lecz osobne w swojej rozkoszy.

Kristine chciała, żeby przestał się w nią tak wpatrywać, chciała zakryć twarz, ale on mocno trzymał jej rękę, podtrzymywał ją. Jęknęła, choć zwykle była cicha w grze miłosnej – chrześcijańskie wychowanie wygrywało dotąd zawsze z tbiliską światowością. Najchętniej by przerwała, położyła się obok niego, pogłaskała go po czole, bo odczuwała coś, co wywoływało w sercu ukłucia – małe, bolesne ukłucia. Czuła wzruszenie. Najchętniej głośno by się rozplakała, poprosiła go o wybaczenie, wyjechała z nim gdzieś daleko, żeby zaczęli od nowa. Była gotowa, by nawet bez pieniędzy, bez władzy być jego żoną.

Pojęła to w momencie, kiedy poczuła coś, czego nigdy wcześniej nie uznałaby za możliwe, i kiedy zaczęła stawać się coraz głośniejsza, zapominając o swych oporach, o Biblii i o dobrych manierach. Zrozumiała, że poszłaby za nim wszędzie, za tym łagodnym człowiekiem o oczach pełnych głębokiego

smutku, ale i przenikliwości, które zdawały się wszystko widzieć.

„On o wszystkim wie”, pomyślała, a wtedy on zaczął się głośno śmiać, nie szyderczo, lecz życzliwie, śmiał się nieopisanie pięknie, delikatnie, serdecznie, jakby nie wierząc w szczęście, które go spotkało.

– Tak, tak, jesteś cudownie piękna, tak, moje słońce, proszę, tak, proszę.

Nie umiała przełamać wstydu, było jej nieprzyjemnie, że na nią patrzy i mówi do niej, lecz rozkosz była taka mocna, a zapomnienie takie piękne. Tym razem to ona wzięła ciało mężczyzny i nie była tą, która musi się oddawać. Zawsze myślała, że nie ma się innego wyjścia, kiedy jest się czyjąś żoną, kurtyzana, metresa, tak, dziwką, tak, w tym momencie tak właśnie pomyślała. Najchętniej by to wszystko wykrzyczała, otulona jego uczuciem.

„Dlaczego nigdy wcześniej tego nie doznałam?”, pomyślała i zamknęła oczy. Niezwykle ciepło wypełniało jej wnętrze, coś łagodnego, nieskończenie czułego napełniało jej pierś, coś w niej wzbierało, znowu poczuła bolesne ukłucie i wtedy jej usta ułożyły się w słowa, których nie chciały powiedzieć nigdy wcześniej:

– Kocham cię.

Była zakłopotana, zawsze odpowiadała tylko „ja też”, kiedy on tak do niej mówił. Nigdy się nie zastanawiała, co znaczą słowa, których wszyscy tak chętnie słuchali, a które dla niej nigdy nie były szczególnie ważne. Bizuteria, przyjęcia, podziw, uznanie zawsze były ważniejsze. Tego od niego chciała, takiego życia, tak, właśnie takiego. Miłość wydawała się jej czymś, co jej się po prostu należy. Wystarczyło przecież, że istniała i uszczęśliwiała ludzi swoją obecnością. Nigdy nie zapytał: „Kochasz mnie?”. Zadowolął się tym „ja też”, niczego od niej nie żądał.

Nienawidziła siebie. A jego kochała. Ta sprzeczność rozrywała jej pierś, domagała się wykrzyczenia. Usłyszała jej słowa i z jego oczu popłynęły łzy. Nie miała wątpliwości – on płakał. Nie wiedziała tylko dlaczego. Miała nadzieję, że były to łzy radości, ale nie była pewna. Jej biodra stały się szybsze, on dopasował się do niej, poddawał jej ociążałe, a teraz tak upragnione ciało, istniał tylko po to, żeby zaznała szczęścia, tego uczucia bezkresnej wolności.

Stazja obudziła się w swoim pokoju, usiadła i nasłuchiwała. Słyszała swoją siostrę i ze zdumienia otworzyła usta. Kristine spała ze swoim mężem, Kristine robiła coś, co robią inni ludzie, Kristine stała się ludzka, z krwi i kości. Stazja nie wierzyła własnym uszom, parsknęła śmiechem i pomyślała, że przy najbliższej okazji podroczy się z nią na ten temat. Do Stazji docierały odgłosy miłosnego szaleństwa, po raz pierwszy słyhać było w tym domu coś tak pięknego.

A potem doszedł ją krzyk, tak głośny, że zdawało się, że odbija się echem po wszystkich korytarzach i zakamarkach. Krzyk podobny do krzyku porodowego, podobny do hymnu, zwińczający namiętność i bliskość, wznoszący się, jakby rozpoczynała się aria – dzwoniący w uszach, czysty głos.

Stazja pokręciła głową, znowu usiadła na łóżku. „Co oni tam robią, do diaska”, pomyślała,

powstrzymując uśmiech.

Kristine krzyczała, a jej mąż się śmiał, śmiał się ze szczęścia i wdzięczności. Kristine przymknęła oczy i wiała się jak wąż do tonów fletu zaklinacza na bazarze. Coś w niej wybuchło i małe gwiazdy skrzyły się przed jej oczyma.

Nie widziała, że jej mąż jedną ręką sięgnął po flakonik stojący obok łóżka.

– Robię to dla nas. Tylko dla nas. Dla ciebie i dla mnie. Nie ma innej drogi – powiedział i mocno ścisnął przegub jej ręki.

Kristine, wciąż jeszcze oszołomiona, otworzyła oczy. Zobaczyła mały, elegancki flakonik, który wyglądał jak buteleczka perfum, i uśmiechnęła się.

– Co to jest, kochany? – spytała i przeciągnęła się.

– Przykro mi, że zostawiłem cię na pastwę losu. Nikt nie dał mi tyle szczęścia co ty. To nie twoja wina.

Kristine oprzytomniała, zaskoczona dziwnie spokojnym tonem męża. Próbowwała się od niego oderwać, lecz poczuła żelazny uścisk.

– Co robisz? – spytała ze strachem.

– Inaczej to się nigdy nie skończy. Będziesz musiała zapłacić życiem, jeśli powiesz „nie”. Nie ma wyjścia.

Po plecach przeszedł jej dreszcz, wpatrywała się we flakonik i nic nie rozumiała. Nie było wątpliwości: wiedział o wszystkim. Walcząc z resztkami miłosnego uniesienia, napięła ciało. Czuła teraz tylko bezmierną wdzięczność, pokorę i wzruszenie.

– Ramas, o co chodzi? – wyjąkała.

W tym momencie chlusnął jej w twarz zawartością flakonika. Poczuła na skórze tylko kilka kropli. Najpierw myślała, że to woda, ale naraz coś zaczęło piekielnie parzyć. Rozszedł się smród palonego ciała. Nie zdawała sobie sprawy, że to ona się pali, póki ból w lewej połowie twarzy się nie rozlał i nie zagłuszył wszystkich innych odczuć, nie sprawił, że zaczęła tracić świadomość i wic się z bólu. Krzyczała. Coraz głośniej. Tym razem krzyk był nieludzki.

Ramas, na którego rękę spadło kilka kropli żrącej substancji, też zawył jak zwierz. Nie patrząc na żonę, wyskoczył z łóżka, chwycił spodnie i pędem wypadł na zewnątrz.

Stazja rzuciła się ku sypialni na górze i ze zdumieniem skonstatowała, że drzwi są otwarte na oścież. W ciemności widziała tylko, że jej siostra leży na łóżku, tak jak ją Pan Bóg stworzył, i wije się jak oszalą. Stazja pomyślała, że coś musiało się stać z Ramasem, może z rozpaczy coś sobie zrobił, i że krew, którą dostrzegła, należy do niego. Ale potem Kristine odwróciła się w jej stronę i Stazja zobaczyła, że lewa połowa twarzy siostry jest krwawiącą raną, która wydziela odór spalonego mięsa.

Następnego ranka zwłoki Ramasa Jozebidzego ubrane tylko w buty i spodnie znaleziono w lesie koło

Kojori. Strzelił sobie w głowę z pistoletu Walter PPK. Pistolet był prezentem urodzinowym od jego przyjaciela, mentora i przełożonego.

Oko Kristine cudem ocalało. Jednak lewa połowa twarzy była potwornie zdeformowana.

Jedynym pocieszeniem w długich tygodniach – spędzonych w łóżku przy zaciągniętych zasłonach, z zakrytą twarzą, wśród na pół tłumionych krzyków, które dawały nieco ulgi w cierpieniu – tym, co potrafiło wywołać cień uśmiechu na ustach Kristine, była gorąca czekolada.

KSIĘGA III
KOSTIA

Kostia przybył do Leningradu, do Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej imienia Frunzego, żeby zdobyć szlify marynarza.

Uczelnia mieściła się w starym budynku położonym na pięknej Wyspie Wasiljewskiej na Newie i dopiero co została odznaczona Orderem Czerwonej Gwiazdy za panującą w niej dyscyplinę i za poziom nauczania.

Kostia znalazł się w najbardziej chyba europejskim mieście Rosji. Wzniesionym z ambicji, by zyskać uznanie Zachodu, przez robotników i więźniów, z których wielu zapłaciło za jego piękno własnym życiem. Samo tylko złożenie kopuły soboru Świętego Izaaka, o wysokości dwudziestu sześciu metrów, pochłonęło osiemdziesiąt ofiar. Powstało dumne białe miasto nad Newą, z wyspami i mostami, z mnóstwem przepięknych czarnych kotów i nieustraszonych kruków, majestatycznych i zadowolonych z siebie, które pozwalały się wszystkim karmić. Miasto ciemnych, łączących się z sobą podwórek i tajemnych przejść. Miasto mające w sobie wyrafinowanie francuskiej narzeczonej i wspaniałość włoskiej wdowy.

Potem Leningrad stał się sercem ustroju komunistycznego. Tutaj padła salwa z Aurory, tu na Dworzec Fiński przybył Lenin, żeby ratować naród. Tu rozpoczynały swą działalność tuzy partii. Tutaj zdecydowano o zmianie kalendarza!

Gdy pociąg wjechał na Dworzec Moskiewski, pierś Kostii wypełniły duma i respekt, ponieważ za honor uważał znalezienie się w mieście, w którym krajowi służył jego ojciec.

To, że ojciec zajmuje tak skromne lokum – maleńkie mieszkanie na Wyspie Piotrogradzkiej, w klasycystycznym dziewiętnastowiecznym budynku, którego pomieszczenia przebudowano na mieszkania komunalne i przeznaczono dla wojskowych i ich rodzin – Kostia uznał za rzecz chwalebłą. Żadnego przepychu i luksusu, jakie znał z domu ciotki, żadnych zbytecznych przedmiotów, żadnej zmarnowanej siły roboczej.

Pękał z dumy, gdy ojciec oprowadzał go po mieście i nawet pozwolił mu z nim i kilkoma swymi kolegami napić się wódki. Był pewien, że wkrótce dostarczy ojcu dosyć powodów do dumy. Udowodni mu, że jest prawy, pilny, zdyscyplinowany i z oddaniem służy ojczyźnie.

A potem to wielkie szczęście, kiedy ujrzał te wszystkie statki! Wreszcie uciekł z Kaukazu, tak bardzo osobnego w swej orientacji, i znalazł się w wirze światowych wydarzeń. Nawet maleńki pokój napełniał go dziecięcą wręcz radością. Prosta prycza, stary wełniany koc, niewielki stolik, szafa pachnąca stęchlizną – to wszystko, czego będzie mu trzeba w najbliższych latach. I znajdzie przyjaciół myślących tak samo jak on, którzy będą z nim dzielić entuzjazm dla marynarki.

Pierwsze rozczarowanie przeżył już pierwszego dnia w akademiku, kiedy się przekonał, że jego

współlokator nie jest wcale wytwornym leningradczykiem, lecz wątlym, małym i niepozornym Gruzinem o rzadkich włosach i dziwnie wąskich ramionach, mówiącym z południowogruzińskim akcentem, który powodował, że wszystkie słowa brzmiały miękko, co w ocenie Kostii było obrzydliwe. Georgi Alania, bo tak się nazywał, sprawiał wrażenie niepewnego i przestraszonego i w żaden sposób nie odpowiadał wyobrażeniom Kostii o idealnym koledze z pokoju.

Kostia poskarżył się nawet ojcu, pytając, czy jest tu w zwyczaju dobierać współlokatorów według narodowości. Ojciec się roześmiał, powiedział, że nie, że to pewnie przypadek i Kostia powinien się cieszyć, że nadal będzie mógł rozmawiać w języku ojczystym. Wkrótce wojskowy dryl panujący na uczelni, rozpoczynające się nordyckie zimno i chorobliwa ambicja, by być najlepszym i udowodniać to wszystkim wokół, sprawiły, że Kostia zapomniał o swoim problemie.

Wstawał o szóstej rano, gimnastykował się w pokoju, jadł śniadanie w kantynie, szedł na wykłady, a potem do biblioteki, gdzie zgłębiał technikę inżynierijską, by brylować na zajęciach i zdobywać przychylność wykładowców. Pełen radości, z utęsknieniem czekał na pierwsze manewry w Zatoce Fińskiej, a ponieważ był człowiekiem czynu, wiedział, że ćwiczenia nie sprawią mu żadnych trudności. Wkrótce większość kolegów zaczęła go nazywać *krasawczik*, czyli „piękniś”, i nawet chłopcy z wyższych lat szukali jego towarzystwa. Mówiono, że jest „prawdziwym mężczyzną”, i opowiadano sobie, że jest dobry zarówno w nauce, jak i przy kieliszku.

Ale im bardziej Kostia starał się o względy ojca, tym bardziej ojciec zdawał się zdystansowany i zajęty. Jego fizyczna ociężałość, ciągłe zmęczenie, blada skóra, uciekający, niespokojny wzrok paradoksalnie budziły w Kostii coraz więcej śmiałości, brawury i chęci do odnoszenia sukcesów. Nie był gotów tak szybko podważyć wizji ojca jako bohatera, którą przez wiele lat pielęgnował w wyobraźni. Im więcej zadań przydzielano Kostii, tym więcej przejawiał energii. Im bardziej wyczerpujące okazywały się ćwiczenia na morzu i zajęcia sportowe, tym bardziej był nimi zachwycony. Nigdy nie skarżył się na surowość nauczycieli, nigdy nie czekał na niedzielę czy ferie. A jednocześnie nigdy nie opuszczał żadnego spotkania w pokojach bursy czy w mieszkaniach komunalnych. Pił, śpiewał i wodził rej na każdym towarzyskim wieczorze. To wkrótce pozwoliło mu zyskać sławę niezniszczalnego i wzbudziło respekt kolegów.

Georgi Alania był jego przeciwieństwem. Wyglądał na dziwaka. Widziało się go zawsze zatopionego w książkach. Koledzy nie zapraszali go na spotkania. Nigdy nie pił ani nikogo nie zaczepiał, nigdy nie słyszano z jego ust złośliwych żartów. Miał widoczne trudności ze spełnieniem wysokich wymagań akademii pod względem sprawności fizycznej. W przedmiotach teoretycznych natomiast, a przede wszystkim w matematyce, mógł się pochwalić znacznymi osiągnięciami. Wkrótce zaczęto patrzeć na niego z zazdrością i za plecami przezywać kujonem. Koledzy szukali z nim kontaktu tylko wtedy, gdy na sprawdzianach potrzebowali jego pomocy. Pomagał chętnie i bez wykrętów. Ale żeby z tego powodu

zapraszać go na cotygodniowe zakrapiane alkoholem spotkania, nikomu nigdy nie przyszło do głowy. Kostia początkowo też konsekwentnie go ignorował. Ich rozmowy nie wychodziły poza banalne sprawy codzienne. Czasami pożyczali sobie książki albo razem czytali „Prawdę”, nic więcej. Wspólnie uczęszczali tylko na obowiązkowe kursy, Alania zdecydował się szybko na budowę okrętów, z czego Kostia tylko się ucieszył.

Lecz pewnego wieczoru, kiedy Kostia odłożył książkę, bo nie mógł się skupić i potrzebował chwili przerwy, przyjrzał się lepiej swemu koledze. Ten zajęty był właśnie krojeniem ogórka. Robił to tak precyzyjnie, że na Kostii wywarło to wrażenie. Jakby ten ogórek był bombą, którą należało rozbroić.

– Co tam robisz? – spytał z zaciekawieniem. Zwykle mówił do Alanii po rosyjsku.

– Matka przysłała mi paczkę różnych specjałów. Kupiłem jeszcze ogórki, żeby uzupełnić posiłek. Jeśli masz ochotę, z serca zapraszam, zjedz ze mną – odpowiedział swoim miękkim gruzińskim.

Kostii pocięła ślinka, kiedy zobaczył, jak Alania nakrywa mały stół. Czarny chleb, kasza i chudy barszcz na dłuższą metę były zbyt skromną strawą dla jego żołądka i nawet jeśli nie chciał się przed samym sobą do tego przyznać, brakowało mu obfitych dań, jakie jadał w domu.

Alania przygotował wszystko z niezwykłą starannością: pokroił chleb, nałożył aromatyczną adżikę do małych miseczek – Bóg jeden wie, skąd je wziął – wędzony ser pokroił w cienkie plastry, cierpliwie doprawiał w misce sałatkę z ogórków, na talerzach położył kiszony czosnek i otworzył butelkę saperawi.

Na widok tej uczy Kostia porzucił swoją rezerwę. Przypomniawszy sobie o gruzińskiej tradycji i wygłosił toast za wspólną kolację. Wino rozwiązało chłopcom języki i Georgi opowiedział Kostii o swoim dzieciństwie w Macharze, małej wiosce nad Morzem Czarnym, i o tym, że jest jedynakiem, co w tamtym regionie należy do rzadkości. Z wielkim szacunkiem i w samych superlatywach mówił o swej matce, miejscowej nauczycielce. Nie wspomniawszy ani słowem o ojcu.

Kostia dziwił się w duchu, jak Alanii, prostemu wiejskiemu chłopakowi, udało się dostać do Szkoły Marynarki Wojennej. Szybko jednak doszedł do wniosku, że jego współlokator musiał należeć do tego odsetka młodzieży kołchozowej, który miał otwartą drogę na niemal każdą wyższą uczelnię. Poza tym Alania posiadał imponującą wiedzę z przedmiotów przyrodniczych i matematyki, można więc było przypuszczać, że rekomendował go dyrektor szkoły albo kierownik kołchozu.

Potem w nocy śpiewali gruzińską pieśń *Suliko* i poklepywali się po plecach.

Kostia stał się jedynym przyjacielem Georgiego. Nie przeczuwał wtedy, że Alania okaże się najlepszym i najwierniejszym przyjacielem w jego życiu.

Bo przyjaźń, która zawiązała się tego wieczoru, Brilko, pokazuje najciekawszy może i najbardziej nieprawdopodobny wzór naszego dywanu. Na końcu zgodzisz się ze mną, że bez niego nie połączyłyby się pozostałe fragmenty naszej historii i nie można by jej było tak opowiedzieć, jak właśnie ją opowiadam.

Zanim w 1922 roku Georgi Alania przyszedł na świat, uchwalono pierwszą konstytucję radziecko-gruzińską i wprowadzono w życie dekret o ziemi. To jednak zdawało się nie przeszkadzać w niczym pewnej siedemnastoletniej uczennicy, która właśnie ze złotym medalem ukończyła wiejską szkołę i robiła plany na przyszłość. Ta przyszłość rysowała się obiecująco: dziewczyna miała widoki na miejsce na studiach, a to wiele znaczyło dla kogoś, kto pochodził z zapadłej wsi nad Morzem Czarnym.

Perspektywa studiowania o wiele mniej cieszyła jej rodzinę. Dziewczyna, zwłaszcza z takim wyglądem jak ona, powinna wyjść za mąż, amatorów znalazłoby się dosyć. W tej rolniczej okolicy uważano, że kobiecie wystarczy czytać, pisać, zliczyć kilka rubli. A także być dobra dla męża i nie bać się pracy, bo roboty na rozciągających się jak okiem sięgnąć plantacjach herbaty było więcej niż dość.

Ale Gulo, Serduszko, nie chciała o tym słyszeć. Wytłumaczyła rodzicom, z których jedno skończyło trzy klasy, a drugie pięć, że plantacja herbaty to nie dla niej, bo ją interesuje matematyka wyższa, a poza tym na świecie istnieją sprawy o wiele ciekawsze niż sprzątanie obór i zbieranie herbaty. Ma przecież dwie starsze siostry, dawno wydane za mąż, które będą się zajmować przychówkiem i gospodarstwem, oraz brata, który wcześniej czy później wszystko odziedziczy i który już poszedł w ślady ojca, powinni więc pozwolić jej wydostać się z rodzinnych objęć.

Matka skarżyła się na niewdzięczną córkę, ojciec przytaczał okropne historie, które, jak słyszał, zdarzają się w mieście: morderstwa, gwałty, wykorzystywanie. Ale Gulo czy Guliko, jak najczęściej ją nazywano, kręciła uparcie głową i powtarzała, że prędzej zastrzeli się z ojcowskiej strzelby, niż wyjdzie za mąż za wiejskiego prostaka i będzie wędła w wiejskiej monotonii.

Jednak dopiero gdy nauczyciele Gulo, przekonani o jej zdolnościach do przedmiotów ścisłych, złożyli wizytę jej rodzicom i namówili ich, by pozwolili córce studiować, rodzice skapitulowali.

Już w następnym miesiącu Gulo jako pierwsza kobieta w historii uniwersytetu otrzymała zezwolenie na uczęszczanie na fakultet matematyczny w Kutaisi. Gdyby z sukcesem ukończyła tam cztery lata nauki, ze świetnym dyplomem w kieszeni mogłaby się starać o przyjęcie do Instytutu Astrofizycznego w Moskwie. Bo to o astrofizyce marzyła – śniła o karierze badaczki. Gulo nie miała wątpliwości: da z siebie wszystko, żeby osiągnąć ten cel. Jediną rzeczą, którą – ku zdumieniu wszystkich – uważała za swoją wadę, był jej wygląd. Do dziewczyny, która namiętnie interesowała się fizyką i matematyką, niezbyt zdawały się pasować ponadprzeciętnie miła buzia, nieskazitelna cera, wielkie oczy w kolorze jeziora jesienną porą, bujne blond włosy i mocna, wysoka sylwetka o kobiecych krągłościach.

I rzeczywiście, gdyby nie ten przykuwający spojrzenia wygląd, jej życie od jesieni zmieniłoby się zupełnie i – być może – potoczyło zgodnie z jej planami.

Miesiąc po egzaminach końcowych Gulo dostała zaproszenie na wycieczkę do Baku, miasta ropy, wraz z innymi wyróżniającymi się w nauce dziewczętami z regionu. Podróż, finansowana przez władze, miała służyć zbliżeniu narodów.

Propozycja wycieczki do Baku zachwyciła Gulo, która do tej pory tylko jeden jedyny raz była na wycieczce klasowej w Suchumi. Baku intensywnie się rozrastało – zmieniała je finansjera, Rothschildowie i Noblowie. Gulo cieszyła się, że będzie mogła pooddychać atmosferą wielkiej aglomeracji, zanim zacznie studia. Nie chciała w niczym ustępować swoim przyszłym kolegom studentom, nie chciała wyglądać na dziewczynę ze wsi.

Pierwsze dni upłynęły jak w bajce. Gulo była oczarowana miastem, barwnymi, orientalnymi bazarami, uprzejmością ludzi i nawet nachalne spojrzenia mężczyzn na ulicy zdawały się jej nie przeszkadzać. Delektowała się mocną herbatą, nasączonymi miodem baklawami i gorączkowym życiem Baku z tramwajami i dorożkami na ulicach. Czuła się dorosła – był to przedsmak wolności, która czekała na nią w Kutaisi i która już teraz napełniała ją euforyczną radością.

Dziewczęta mieszkały w centrum młodzieży robotniczej i wspólnie zajmowały obszerną sypialnię. Lato było suche i upalne, a noce długie. Dziewczęta, pełne wrażeń, szeptały po nocach, rozmawiając o nowym życiu, które miało się rozpocząć wraz z początkiem jesieni.

Czwartego dnia pobytu w Baku ich opiekunka, nauczycielka, zagorzała komunistka, uważając, że dziewczętom nie zaszkodzi zastanowić się nad kwestią poprawy warunków życia klasy robotniczej, co było tematem zebrania miejscowej partii komunistycznej, wymogła na swych podopiecznych, że pójdą z nią do Biblioteki Narodowej. Sala pękała w szwach, ludzie w skupieniu słuchali trzech mężczyzn, którzy, jeden po drugim, po rosyjsku, lecz z ciężkim kaukaskim akcentem, powoli i nużąco mówili o środkach, jakie należy przedsięwziąć dla poprawy warunków pracy w kołchozie.

Nauczycielka klaskała entuzjastycznie jeszcze długo po tym, jak ucichł obowiązkowy aplauz, i energicznie ruszyła w kierunku jednego z mężczyzn, który akurat kierował się do wyjścia. Pociągnęła za sobą Gulo, stojącą obok niej. Mężczyzna w okularach był Gruzinem i z pewnością kimś ważnym, skoro mógł tutaj wygłosić przemówienie, wyjaśniła dziewczynie nauczycielka. Trzeba wykorzystać okazję i go poznać.

Nauczycielka przedstawiła się, wyjaśniła, że przyszła tu z grupą wyróżnionych uczennic, komplementowała przy tym słowa mówcy i propozycje, które przedstawił w swoim wystąpieniu. Mężczyzna słuchał wszystkiego cierpliwie, kilkakrotnie z powagą potakując, a kiedy już chciał podać jej rękę i się pożegnać, jego wzrok padł na stojącą obok w milczeniu Gulo. Nagle przeszedł z rosyjskiego na gruziński i zapytał o wieś, z której przyjechały. Nauczycielka ucieszyła się jego niespodziewanym zainteresowaniem i zaczęła opowiadać jak najęta. Pochodzą z małej wsi, niewartej wspomnienia, z Machary, ich wycieczka służy umacnianiu przyjaźni narodów, a ją i dziewczęta niezmiernie cieszy, że miały zaszczyt wysłuchać wykładu.

Okazało się, że prelegent pochodzi z Mercheuli, sąsiedniej wioski. „Cóż za radosny zbieg okoliczności!”, wykrzyknął i dodał, że fakt ten koniecznie trzeba uczcić. Jeśli panie odbyły tak długą

podróż, to trzeba je należycie podjąć, tak by została przypieczętowana przyjaźń między narodami. Są tu różne lokale, w których można dostać wspaniałą jagnięcinę, przyrządzoną na różne sposoby, i wyśmienite desery, dziewczęta lubią przecież słodczyce, nieprawdaż?

Nauczycielka, która z trudem ukrywała swój zachwyt, przywołała do siebie dziewczęta, i kiedy ten krępy mężczyzna narodził się z kolegami, wszyscy, w towarzystwie dwóch czerwonoarmistów, poszli do wyjścia. Grupę podzielono na trzy części i zawieziono dorożkami do pewnego lokalu tuż przy promenadzie.

Dziewczęta były onieśmiałe nieznaną im dawką męskiej uprzejmości, nie wiedziały, jak mają się zachowywać, i ciągle spoglądały na nauczycielkę, która mimo zachwytów była równie skonsternowana jak jej podopieczne.

Przyniesiono słodkie wino, i choć nauczycielka protestowała przez chwilę, i zabroniła dziewczętom skosztować, nalewano go do pełna. Szybko sprowadzono orkiestrę dętą, atmosfera stawała się coraz weselsza i bardziej swobodna. Wkrótce niektóre z dziewcząt tańczyły z podchmielonymi czerwonoarmistami.

Gulo była nieufna: kierownik grupy wyraźnie poświęcał jej zbyt wiele uwagi. Usiadł koło niej i ciągle dolewał jej wino, zabawiał ją anegdotami i komplementował. Nauczycielka nie zauważyła, że mężczyzna trącał ją pod stołem kolanem.

Zrobiło się późno, i choć nauczycielka ponaglała do wyjścia, mężczyzna w okularach ignorował to, zamawiając kolejne butelki wina. Jedna z dziewcząt zwymiotowała w toalecie. Inna zasnęła z głową na stole.

W końcu zajechały dorożki i znowu podzielono się na trzy grupy. Mężczyźni obstawali przy tym, że odwiozą dziewczęta do centrum młodzieży. Gulo, uspokojona, wsiadła do jednej z dorożek, mając nadzieję, że męczący wieczór zbliża się ku końcowi, lecz mężczyzna w okularach usiadł znowu obok niej. Jednej z dziewcząt jeszcze brakowało i Gulo zaczęła ją wołać, bo w żadnym wypadku nie chciała jechać sama z tym mężczyzną. Nelly, którą przywołała Gulo, miała wesołe usposobienie, dużo tańczyła i bardzo głośno się śmiała. Była córką komisarza partii w ich rodzinnej Macharze i zawsze nosiła sukienki, które podkreślały jej pełny biust.

Nelly nie była wcale głupią gęsią, jak Gulo wcześniej sądziła. Ale tego wieczoru wypiła za dużo wina i czerwonoarmista musiał ją wnieść do dorożki, bo ledwie trzymała się na nogach.

Najpierw jechali w ślad za innymi dorożkami i niepokój, jaki towarzyszył Gulo w pierwszych minutach jazdy, zaczął ją opuszczać: wkrótce znajdą się w centrum młodzieży i wszystko się skończy. Lecz kiedy nagle ich dorożka skręciła w prawo, podczas gdy dwie pierwsze pojechały prosto, Gulo poczuła, że ogarnia ją panika. Mężczyzna w okularach zapewnił ją, że nie ma powodu do obaw – jadą okreśną drogą, bo musi jeszcze coś załatwić. Nelly zaśmiała się głupawo i położyła głowę na ramieniu

Gulo.

W końcu dorożka zatrzymała się w ciemnej uliczce i mężczyzna w okularach poprosił, by dziewczęta wysiadły. Gulo czuła, jak wali jej serce, ale chwyciła jęczącą Nelly za rękę i starała się nie pokazać po sobie, że ogarnia ją panika. Poprowadzono je przez podwórko do oficyny. Mężczyzna cały czas uspokajał Gulo: wszystko jest w porządku, niech się nie boi, zrobią tu sobie tylko krótką przerwę, a Nelly może pójść do łazienki i się odświeżyć.

Gulo pomogła Nelly wejść kręconymi schodami na drewnianą galeryjkę. Stamtąd weszły do małego mieszkania o niskich sufitach, z wieloma kilimami na ścianach. Czerwonoarmista wyczarował kosz pełen owoców i mężczyzna w okularach zaproponował Gulo lemoniadę cytrynową, Gulo jednak odmówiła. Mieszkanie było ciemne, paliły się tylko dwie świece, a panująca w nim cisza wzmogła jeszcze lęk dziewczyny. Mężczyźni śmiali się, próbowali przywołać wesoły nastrój z lokalu, opowiadali dowcipy i dalej prawili dziewczętom komplementy.

Gulo przeprosiła, wzięła Nelly pod rękę i zaciągnęła do małej łazienki z bidetem i miską do mycia. Nelly nie wiedziała dokładnie, gdzie jest, i bełkotała coś bez związku. Gulo zaczerpnęła trochę wody z miski i chlusnęła Nelly w twarz. Nelly odepchnęła Gulo, lecz ta chwyciła ją za nadgarstki, przysunęła twarz do jej twarzy i zmusiła Nelly, by na nią spojrzała.

– Posłuchaj, musimy uciekać. Obmyj twarz i oprzytomnij. Musimy uciekać. Drzwi są na końcu korytarza, niezamknięte na klucz, tylko na łańcuch. Weź się w garść i bądź cicho. Zrozumiałaś?

– Niedobrze mi!

Gulo jeszcze raz chlusnęła jej w twarz wodą. Nelly już się nie broniła.

– Zrozumiałaś mnie? – powtórzyła Gulo.

Tym razem Nelly przytaknęła gorliwie i wytarła sobie usta rękawem sukienki.

Przeszły kilka kroków korytarzem. Gulo wstrzymała oddech. Zdjęła łańcuch i powoli otworzyła drzwi, ostrożnie, żeby nie zaskrzypiały. Odwróciła się do Nelly, położyła palec na ustach i puściła ją przodem. I wtedy Nelly potknęła się i upadła, całym ciężarem ciała uderzając o podłogę. Przez moment Gulo miała ochotę przeskoczyć ją i nie odwracając się, zbiec schodami na dół, byle dalej od tych mężczyzn i ich szyderczego śmiechu. Lecz nie mogła tego zrobić. Widziała leżącą na podłodze Nelly, zamroczoną alkoholem, słabą i nieprzytomną. I choć nie miała pojęcia, co dokładnie oznacza pozostanie, wiedziała, że nie może uciec sama, zamknęła więc drzwi, zanim przybiegli mężczyźni zwabieni hałasem.

Leżał na niej tak ciężko, że sofa pod naporem ciężaru ich ciał zapadała się coraz głębiej. Gulo koncentrowała się na skomlaniu Nelly, które dochodziło do niej z korytarza. Słyszała dyszenie nad sobą i ciągle te same słowa: „Jesteś taka piękna, taka piękna!”.

Ręką trzymała się kurczowo oparcia sofy i starała się nie odwracać głowy, by nie musieć na niego patrzeć. Zamknęła oczy i próbowała wyrzucić z głowy widok Nelly, leżącej w korytarzu na podłodze jak

szmaciana lalka, z rozłożonymi szeroko nogami, i klęczącego przed nią czerwonoarmisty, który coraz mocniej przyciągał jej nogi do siebie, podniósł jej biodra i wbijał się w jej łono.

Próbowała myśleć o Kutaisi, o dniu, kiedy pakowała walizkę. Próbowała myśleć o rodzinnym domu, o gospodarstwie, siostrach, szkole, nawet o zwierzętach, o krowach i świniach, o wyspie wiertniczej w Baku, o zielonych krajobrazach, które widziała z okien pociągu. Próbowała nie myśleć o bólu w podbrzuszu i skupiła się na niewdychaniu zapachu mężczyzny w okularach nad sobą, by nie krzyknąć z rozpacz i obrzydzenia. Nie chciała słuchać skomlenia i wołania Nelly o pomoc.

Kiedy w szarości poranka zostały wysadzone przed centrum młodzieży, nic już nie było takie jak przedtem, choć ich ciała nie zdradzały tego, co je spotkało. Żadnych śladów krwi, żadnych rozerwanych sukienek, żadnych sińców. Gdy kładły się do łóżka, wszyscy jeszcze spali.

Dlaczego ich nie szukali? Dlaczego nie przyszli im z pomocą? Dlaczego?

Przy śniadaniu nauczycielka wygłosiła mowę o znaczeniu wczorajszego spotkania. Nikt nie zapytał, o której wróciły. Nauczycielka unikała wzroku Nelly i Gulo. Poglaskała je w przelocie po policzku i nie spytała o nic, gdy obie zgłosiły, że czują się źle i nie wezmą udziału w kolejnych atrakcjach.

– Wczoraj wypilo się parę kieliszków za dużo? – skomentowała ironicznie jedna z dziewcząt, kiedy Nelly i Gulo zostawały w stołówce, podczas gdy reszta grupy wyruszała do miasta.

Potem wróciły do sypialni i położyły się na łóżku.

– Powinnyśmy iść na milicję – powiedziała Gulo, wpatrując się w sufit i przysłuchując regularnemu oddechowi swej towarzyszki w biedzie.

Nelly tylko się zaśmiała. Jej śmiech był drwiący i sprawił, że Gulo poczuła się jeszcze nędzniej i bezsilniej.

– Chyba nie sądzisz, że można ich postawić przed sądem?

– Dlaczego nie? – spytała Gulo.

– Poślą nas do domu wariatów i tak nafaszerują jakimiś środkami, aż uwierzymy, żeśmy to same wymyśliły.

Trzeźwa, nieskomląca i niebełkocąca Nelly sprawiała wrażenie nad wiek dojrzałej. Jej ton był niemal złośliwy.

– Więc co proponujesz?

– Co proponuję? Że będziemy milczały, żyły dalej swoim życiem i zostaniemy starymi pannami.

– Dlaczego?

– Myślisz, że mężczyźni będą się ustawiać w kolejce, kiedy my...

– Ale...

– Zapomnij o wszystkim, Gulo, i nikomu ani słowa, ani słowa, przysięgnij mi!

– Nelly...

– Przysięgnij!

– Przysięgam.

Dwa dni później wróciły do swych rodzinnych domów.

Gulo wyjechała do Kutaisi i zaczęła studia. Stancję znalazła u starszej pani, która dawała lekcje gry na pianinie i wobec Gulo odgrywała rolę przyzwoitki. Miesiąc później Gulo odkryła przyczynę swego dziwnego rozdrażnienia i sentymentalnego nastroju: była w ciąży. Zrozumiała, że to koniec.

Ponieważ nie miała dość pieniędzy, żeby szukać kobiety trudniącej się spędzaniem płodu, próbowała tego sama, stosując mieszanki ziół wywołujących poronienie. Kiedy to nie pomogło, weszła na drabinę i skakała w dół, mając nadzieję, że w ten sposób pozbędzie się problemu. Problem jednak się nie rozwiązał, a ją dopadły straszliwe wyrzuty sumienia.

Co noc płakała w poduszkę, tłumiąc szloch, żeby jej gospodyni niczego się nie domyśliła i nie wyrzuciła jej na ulicę.

Gulo przeklinała sprawcę swego nieszczęścia, przeklinała swoją płęć, swoją bezsilność, przeklinała mężczyzn, którymi była otoczona i od których nie mogła się spodziewać żadnej życzliwości, bo wielu studentów uznawało jej obecność za obrazę i demonstrowało to przy każdej okazji. Do tego jeszcze opuściła się w nauce.

Po trzech miesiącach poszła do swego profesora i przedstawiła mu swoją sytuację. Profesor, gładząc kozią bródkę, chrząknął, pokiwał głową i powiedział, że nie widzi żadnej możliwości zachowania dla niej miejsca na uczelni.

– Sama widzicie teraz, towarzyszeko Alania, dlaczego tak niechętnie pozwalamy tu studiować kobietom. Kobiety, koniec końców, zawsze mają coś lepszego do roboty niż zajmowanie się matematyką. Myślałem, że pani jest wyjątkiem, ale teraz widzę, że nie. Cóż, szkoda – dodał na koniec z udawanym współczuciem.

W szóstym miesiącu ciąży Gulo zwinęła manatki i wyjechała z Kutaisi. Przysięgła sobie, że kiedy odchowa dziecko, będzie się starać o miejsce na wszystkich uniwersytetach w kraju.

Wróciła na wieś, z której kiedyś tak bardzo chciała się wyrwać.

Rodzina zasypała ją gradem pytań. Kim jest ojciec dziecka, czy to ktoś ze wsi, czy nie wiadomo skąd, czy to w ogóle chrześcijanin? Trzeba go znaleźć i zmusić do ożenku, i tak dalej.

Gulo przyjmowała wszystko ze stoickim spokojem. Po tygodniach lekceważenia, pomstowania i tyrad, ostracyzmu i brutalnych nacisków rodzina zrezygnowała z wyciągnięcia z niej, kim jest ojciec dziecka. Gulo wysłano do jej starszej siostry, która wyszła za leśniczego i mieszkała w oddaleniu, na skraju lasu. Tam miała zająć się prowadzeniem domu, bo siostra pracowała na plantacji herbaty. Gdy nie będzie jej we wsi, rozumowali rodzice, ludzie zapomną i przestaną o niej gadać.

Kiedy nadszedł czas porodu, nie wezwano położnej, bo byłby wstyd, rodziła więc bez pomocy,

samotnie, w pokoiku na poddaszu. I tak na świat przyszedł Georgi.

Gdy dziecko skończyło dwa lata, Gulo zaczęła na nowo starać się o przyjęcie na studia na różnych uniwersytetach w kraju, lecz zewsząd otrzymywała odpowiedź odmowną. Przyjęła więc posadę nauczycielki matematyki w wiejskiej szkole. Ponieważ nie miała nikogo, kto by pilnował jej syna, zabierała go z sobą na lekcje. Georgi, zanim poszedł do pierwszej klasy, umiał już czytać, pisać i liczyć.

Choć wcześniej w to nie wierzyła, jej miłość do syna okazała się nieobciążona historią, która poprzedziła jego narodziny, tak jakby Georgi był owocem miłości, a nie gwałtu. Gulo przekazywała mu wszystko, co wiedziała i umiała. Opowiadała mu o swoich pragnieniach i o rzeczach, które chciała odkryć i zbadać. Spętała go tymi marzeniami jak łańcuchem, który nowe pokolenie przejmuje od poprzedniej generacji.

Kiedy Georgi przeszedł do siódmej klasy, dyrektor szkoły zaproponował dla niego szkołę nauk przyrodniczych w Suchumi. Tam Georgi zakochał się w morzu, co było jedyną miłością, której nie dzielił z matką. Szkołę skończył już w wieku lat piętnastu, a jego nauczyciele i przewodniczący Komsomołu dali mu rekomendację do Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej w Leningradzie.

O swego ojca Georgi zapytał po raz pierwszy, kiedy miał pięć lat. Kiedy miał siedem, złościł się, że matka zbywa jego pytania. Gdy miał dwanaście, płakał i błagał, żeby mu wreszcie powiedziała. Gulo powtarzała jednak niezmiennie: „Dowiesz się, kiedy będziesz wystarczająco dorosły”.

Nie pozostało mu zatem nic innego, jak czekać. Nie wiedział jeszcze, że to czekanie będzie bardzo długie.

Po wielu latach Nelly, której Gulo nie potrafiła zostawić tamtej koszmarnej nocy, niespodziewanie odwiedziła rodzinną wieś i przysłała z wizytą do swej dawnej koleżanki. Kiedy skończyło się tamto lato, Nelly wyprowadziła się do Batumi, białego miasta portowego, i słuch o niej zaginął. Gulo często myślała o swej towarzyszce w cierpieniu, mając nadzieję, że tamta noc nie skończyła się dla Nelly takimi konsekwencjami jak dla niej.

Lecz teraz zobaczyła przed sobą ekstrawagancko umalowaną kobietę i wpatrując się w jej rysy, próbowała odnaleźć w nich tamtą dziewczynę. To się jej jednak nie udało. Stała przed nią wulgarnie ubrana kobieta o pełnych kształtach, która nienaturalnie głośno się śmiała, głośno mówiła i przesadnie gestykulowała. Przywiozła Gulo złote pudełko pralinek. Na cały głos zaczęła się przechwalać, że powodzi się jej „bajecznie”, Batumi jest wspaniałym miastem, a ona mieszka tuż przy promenadzie. Siedziały w ciasnym, biednym mieszkanku Gulo, piły lemoniadę cytrynową, a Gulo starała się nie patrzeć na swego gościa. Byłoby jej trudno spojrzeć w oczy kobiecie, w którą przeobraziła się dawna Nelly, bo wcześniej chciała wierzyć, że przynajmniej ona znalazła swoją drogę i miała więcej szczęścia.

– Masz tu łyk wina albo czegoś mocniejszego? Nie trawię tej okolicy bez alkoholu. Naprawdę – powiedziała naraz Nelly i znowu sztucznie się zaśmiała.

– Niestety, nie mam. Nie piję. Chęć picia dawno mi przeszła – odparła Gulo i na ułamek sekundy zapadła cisza.

Potem Nelly znów zaczęła mówić, równie głośno jak wcześniej.

– Bardzo mi przykro. To chłopiec, co?

– Słucham?

– No, to twoje dziecko.

– Tak, wspaniały chłopiec. A ty masz dzieci?

W tym momencie Gulo zdała sobie sprawę, że ta obca kobieta jest oprócz niej jedyną osobą, która wie, kto jest ojcem jej dziecka. Zrozumiała, że już na zawsze będzie z nią złączona tą tajemnicą jak niewidzialnymi kajdanami, i poczuła się nieswojo.

– Nie, nie. Dzieci to nie dla mnie! Za bardzo kocham życie, wiesz. I mężczyzn. Te bardzo egoistyczne stworzenia domagają się całej uwagi dla siebie.

W sposobie, w jaki Nelly wypowiedziała słowo „mężczyźni”, było coś, co sprawiło, że Gulo zrobiło się niedobrze.

– Może mnie kiedyś odwiedzisz, wtedy zabawimy się we dwie! Mam wielu wpływowych przyjaciół, wierz mi! – rzuciła Nelly na koniec i podniosła się z miejsca.

Na zewnątrz czekało auto. Gulo zobaczyła jeszcze, jak czerwonoarmista otwiera Nelly tylne drzwi. Przez chwilę Gulo sądziła, że to *déjà vu*, i przymknęła powieki. Mężczyzna dał Nelly lekkiego klapsa w pośladek, na co Nelly obruszyła się równie nienaturalnie, jak nienaturalnie się śmiała, a w końcu usiadła na tylnym siedzeniu.

„A taka młoda, piękna i lekka była dawniej”, pomyślała Gulo i znowu zamknęła oczy, żeby uciec od widoku, który prześladował ją od lat: Nelly wnoszonej przez czerwonoarmistę do dorożki i opierającej ciężką głowę na jej ramieniu z ufnością, z ulgą, bez cienia przeczucia, co wkrótce nastąpi.

Gulo zacisnęła powieki, żeby przepłoszyć myśl, która najczęściej szła w ślad za tym obrazem: myśl o tym, jak to możliwe, że własnoręcznie zatrzaskała wtedy przed sobą drzwi, a one już nigdy nie miały się przed nią otworzyć.

Można powiedzieć, że pierwsze dwa lata, które Kostia spędził w mieście białych nocy, były dwoma latami szczęścia. Kostia dawał z siebie wszystko, zarówno na uczelni, jak i na manewrach w Zatoce Fińskiej. Wiele nocy spędził też na rozmowach z Alanią o świecie i życiu. Poza tym spacerował z przyjaciółmi po moście Aniczkowski, śpiewając, gdy trochę wypił, frywolne piosenki, i gwizdał za pionierkami. Próbował wszystkiego, co było w jego mocy, by wyrzeć wrażenie na ojcu, a resztę świata ignorował z właściwą młodości obojętnością i pewnością siebie. W czasach rozstrzeliwań, w czasach przymusowych przesiedleń i aresztowań, w czasach samobójstw Kostia kwitł i uważał, że znalazł cudowne miejsce na świecie. W kulminacyjnym punkcie swej młodości żył radośnie i pełną piersią.

Nie chciał wtedy jeszcze nic wiedzieć o tym, jak bardzo podobne są do siebie partytury życia i śmierci.

Historie czasami się powtarzają, Brillko, i nakładają na siebie. Życiu także czasem brakuje fantazji, nie sądzisz? Dlatego teraz muszę ci opowiedzieć o dwóch dalszych jednoczesnych powiązaniach we wzorze naszego dywanu.

Wszystko zdarzyło się tej samej styczniowej nocy: Kostia poszedł na doroczny bal marynarzy, a jego czternastoletnia siostra ścięła sobie włosy na zawadiackiego boba i w małym mieście, które kiedyś miało się stać Niceą Kaukazu, czekała na kogoś w parku. Kitty i Andro spędzali zimowe ferie u dziadka Kitty, fabrykanta czekolady. Kristine nie czuła się jeszcze na siłach, żeby wychodzić między ludzi, i całkowicie zdała się na Stazję. Tego późnego wieczoru Kitty siedziała w parku, obgryzała paznokcie, marzyła i czekała.

Była to gra: Kitty, wystawiając miłość Andra na próbę, ukrywała się, a on miał ją znaleźć. Niekiedy przeganiała go przez całe miasto, zostawiając mu wskazówki na skrawkach papieru wkładanych do kieszeni jego spodni.

Chowała się w dawnym budynku szkoły za piekarnią, czasem w pustej fabrycznej hali, czasem w ogrodzie zamkniętej cerkwi Świętego Gieorgija, a nawet pod własnym łóżkiem. Ale wiedziała, że Andro w końcu ją znajdzie, bo jeszcze nigdy nie zgubił jej tropu, zawsze trafiał po śladach. Tak będzie też dziś, choć już się denerwowała, że powinna była siedzieć gdzieś w cieple, a nie skazywać się na to przeklęte zimno, bo Andro się dziwnie nie spieszył.

Choć Andro od czasu zniknięcia matki nie był tak chętny do zabaw, w które bawili się wcześniej, w tę grę grał zawsze. Nie chciał się z nią ścigać, nie dotykał też kart i odmawiał wspólnego śpiewania, ale kiedy go zachęcała, żeby jej szukał, szukał jej i ją znajdował.

Od dłuższego czasu wycinał z drewna figury aniołów, co martwiło Kitty. To stało się już jego prawdziwą obsesją. Tak jak wcześniej strugał zwierzęta i małe domki, tak teraz rzeźbił same anioły: stare i młode, z rozpostartymi albo złożonym skrzydłami. Armia aniołów zaludniała nie tylko dom fabrykanta czekolady – w domu Kristine były ustawione szeregiem na gzymsie kominka, na parapetach i na

komodach.

Nagle Kitty dojrzała go. Biegł. Nie mógł złapać tchu. Dziadek powiedział, że będzie padał śnieg, a teraz całe miasto było spowite gęstą mgłą. Ta mgła czyniła ludzi milczącymi i ostrożnymi, bardziej lękliwymi niż zazwyczaj. Usiadł przy niej, uśmiechnął się porozumiewawczo i pocałował ją prędko w oba policzki w nagrodę, że ją znalazł. Nie spieszyło się im do powrotu do przytłaczającej atmosfery domu fabrykanta czekolady, który od czasu gdy przeszedł na emeryturę, oddawał się już tylko wspomnieniom, oglądał stare zdjęcia albo wpisywał tajemne receptury do notesu. Również afiszująca się ze swą pobożnością Lida nie czyniła tego domu bardziej gościnnym, podobnie jak dziwaczna Lara, która nie rozumiała, dlaczego własna córka nie odwiedza jej od dwóch lat, więc przez większość czasu smażyła marmoladę i chowała w książkach banknoty, których potem nie mogła znaleźć.

– Chcę wyjechać. Ale nie bez ciebie – powiedział nagle Andro i czubkiem buta zaczął wiercić dziurę w zmarzniętej ziemi. – Pojedziesz ze mną?

– Dokąd chcesz jechać, wariacie? Nie masz pieniędzy, a poza tym musisz czekać na matkę.

– Moja matka nieprędko wróci.

– Skąd wiesz?

– Wiem.

– Dokąd chcesz jechać?

– Do Europy. Pokazywałem ci ostatnio mapę świata. Zazaczyłem na niej miejsca, które chciałbym zobaczyć, pamiętasz? Chcę pojechać do Rzymu i Paryża, do Madrytu i Wiednia, przede wszystkim do Wiednia, tam podobno jest pięknie. Tam by ci się spodobało, Kitty.

– Ale nie możemy przecież sami...

– Pojedziesz ze mną?

– Nie wiem.

– Boisz się stąd wyjechać?

– Co chciałbyś robić w Wiedniu? Tam są tylko biedni i bogaci, którzy nie dają biednym niczego i biedni umierają na ulicach z głodu i zimna. A poza tym ci, którzy nie są blondynami, dostają kopniaka w tyłek – powiedziała i parsknęła śmiechem.

– Opowiadasz bzdury.

– No tak, dobrze, jasne, że pojedę z tobą. Przecież wiesz.

I wtedy Andro o najpiękniejszych na świecie oczach w kształcie migdałów pochylił się nad swoją Kitty i pocałował ją w usta. Było tylko miasto otulone mgłą, pomalowane na zielono parkowe ławki, wysoki, tyczkowaty, cichy Andro i niespokojna, rozgorączkowana Kitty, oboje zeszywniali z zimna i podniecenia jednocześnie.

Gdy Kitty po raz pierwszy poczuła na swych wargach prawdziwy pocałunek i próbowała wyczuć

smak ust Andra, jej o trzy lata starszy brat właśnie stracił niewinność. Nie wiem, czy obie te rzeczy naprawdę zdarzyły się w tym samym momencie, ale wyobrażenie, że tak właśnie było, jest piękne, więc niech tak zostanie.

Po balu marynarki przyjaciele przyszli z Kostią na starą klatkę schodową domu na Wyspie Wasiljewskiej. Wąskim, ciemnym korytarzem podprowadzili go pod drewniane drzwi i zaczęli w niego walić z całych sił, a potem z prędkością błyskawicy ze śmiechem zostawili go i uciekli. Kostia, który miał już dobrze w czubie i wszystko robił w zwolnionym tempie, zrozumiał, że nie zdąży uciec tak jak oni, postanowił więc zostać, niech się dzieje, co chce, chociaż serce waliło mu tak głośno, że zdawało mu się, iż słychać je w całym domu.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich ciemnowłosa, wysoka kobieta w długim szlafroku, z pierścionkiem na każdym palcu. Spojrzała na zaczerwienionego Kostię w granatowym mundurze, wyraźnie niewiedzącego, co z sobą zrobić.

– Co to ma znaczyć? – zachnęła się kobieta i zrobiła krok w jego stronę.

– Och, proszę wybaczyć, ja nie wiem, zostałem... – wyjąkał Kostia po rosyjsku.

– Jeśli przyszedłeś do tej, hm, damy, to ona już tu nie mieszka. Teraz ja mieszkam w jej mieszkaniu.

Kobieta, mniej więcej czterdziestoletnia, miała oliwkową cerę. Jej oczy były czarne jak smoła, tak samo jak włosy, które spięła kłami w luźny kok. Koledzy spłatali mu figla i Kostia musiał natychmiast zdecydować, jak wybrnąć z tej kłopotliwej sytuacji, a potem jak im odpłacić. Twierdzili, że marynarz jest prawdziwym marynarzem, jeśli jest równie dobry na morzu, jak w objęciach kobiety. I Kostia pozwolił, żeby go z sobą zabrali, i poszedł z nimi zaśnieżonymi ulicami do domu, w którym miała mieszkać pewna dama, chętnie za kilka rubli wprowadzająca w sztukę miłości.

Już chciał się odwrócić i odejść, gdy zatrzymała go, pytając:

– Jak masz na imię?

– Konstantin. Kostia.

– Witaj, Konstantinie. Ile masz lat?

– Siedemnaście.

– Aha. A skąd pochodzisz?

– Z... z... Gruzji.

– Z Gruzji. Ach, to pięknie. Jako dziecko spędziłam tam raz lato nad morzem. I jadłam tam mnóstwo granatów. Bardzo lubię granaty. A ty?

– Mogą być.

– Chciałbyś się napić herbaty, Konstantinie? Zdaje się, że przemarzłeś.

Obca kobieta miała w sobie coś, co przyciągało Kostię. Sam nie wiedział, czy był to jej lekko sarkastyczny ton, czy łobuzerski uśmiech, czy pierścionki, które błyskały na jej palcach.

Mieszkanie, do którego wszedł, było zaledwie resztką mieszkania – wcześniej musiało być obszerne, teraz podzielono je cienkimi ścianami. Składało się z jednego tylko pokoju z wydzieloną w nim niszą kuchenną. Łazienka, wspólna dla wszystkich lokatorów, mieściła się na korytarzu. Cały kąt pokoju zajmowały bujne rośliny, na stole piętrzyły się książki, wszystkie otwarte. Pokój rozjaśniała tylko jedna lampa. Pachniało tu przyjemnie i Kostia poczuł się dobrze. Rzeczywiście, dostał mocnej herbaty, a jego płaszcz został powieszony nad ciepłą blachą pieca. Teraz Kostia mógł przyjrzeć się dokładniej pani domu: była prawie tak samo wysoka jak on, miała szczupłą sylwetkę i nieco za szerokie w stosunku do niej biodra. Wąskie i kruche przeguby rąk wyglądały tak, jakby należały do małej dziewczynki. Jej twarz zdawała się coś ukrywać, co Kostię zafrapowało. Długi, ostry nos, wąskie usta i lekko zapadnięte policzki. Ale przede wszystkim ciemne oczy, które uwodzicielsko błyszcząły w przyćmionym świetle, jakby były pociągnięte warstwą lśniącego lakieru. Jej piękno było pięknem chorobliwym i zaczynało przemijać.

Kiedy go spytała, czy chciałby się z nią napić wina, Kostia zrozumiał, co najbardziej intrygowało go w tej kobiecie – był to jej głos. Głęboki, ciemny głos, który jednocześnie zawierał w sobie coś kruchego, jakby przy kolejnym słowie miał się załamać.

Wyjęła butelkę wina, wręczyła mu korkociąg i poprosiła, żeby ją otworzył. Przyniosła dwa kieliszki, wzięła od niego butelkę, przez chwilę trzymała ją pod światło, a potem po trochu im naląa. Zapachniało czerwonym winem.

– To bordeaux. Bardzo stare. I bardzo dobre. Wino to szczególny trunek, powinieneś o tym przecież wiedzieć, Gruzinie. Wystarczająco długo przechowywałam tę butelkę. Ale teraz ją wypijemy. Czekałam na szczególną okazję.

Kostia, jeszcze spięty i przez cały czas skupiony na tym, żeby nie dać tego po sobie poznać, posłuchał bez sprzeciwu. Obok łóżka zauważył stare pianino okryte białą narzutą. Kiedy wznieśli toast, kobieta opróżniła kieliszek jednym haustem, wstała, podeszła do gramofonu, który stał na podłodze obok pianina, i położyła na nim płytę. Rozległa się pieśń Wertyńskiego.

Po czym podeszła do Kostii i podała mu dłoń.

– Czy zatańczysz ze mną, Konstantynie? – zapytała z uwodzicielskim uśmiechem.

Kostia zerwał się niezgrabnie, podekscytowany, ujął jej rękę, drugą objął ją w talii.

Uczucie tego dotyku było miłe. W dziwny sposób dobrze znane. W środku tańca kobieta zatrzymała się nagle, zdjęła jego rękę ze swojej talii, uwolniła się od niego i rzuciła się na małe metalowe łóżko przykryte kocem w kratę. Po chwili zakryła twarz obiema rękami i zaczęła rozpaczliwie płakać.

Kostia stał jak zdrtwiał na środku pokoju i nie miał odwagi spojrzeć na płaczącą. W końcu podszedł do niej i poruszony przyklęknął, delikatnie kładąc rękę na jej nodze. W tym samym momencie kobieta rzuciła mu się na szyję i pociągnęła go na łóżko. Przywarła do niego, zaczęła rozpinać mu guziki

munduru. Nie zastanawiając się, co się z nim dzieje, Kostia poddał się instynktowi. Jednym ruchem ręki rozchylił jej szlafrok i zaczął ją całować, a ona upierścienionymi palcami przeczesywała mu włosy i delikatnie skierowała jego głowę ku sobie. Nie przeszkadzało mu, że nim kieruje. Zanim się obejrzał, rozebrała go, a on drżącymi rękami pomagał jej rozpiąć pas do pończoch i zdjąć halkę. Zobaczył małe piersi, gładką, miękką skórę i ciemny trójkąt na podbrzuszu.

Chociaż była szorstka, zaborcza, stanowcza i demonstracyjnie okazywała swe pożądanie, Kostię wzruszały jej reakcje. W jej zaborczości było jakieś zagubienie. Jej namiętność była delikatna, jakby w każdej sekundzie mogła równie szybko zgasnąć, jak szybko wybuchła.

Przez chwilę Kostia miał wrażenie, że z rozkoszy straci przytomność, kiedy nieznajoma całowała każde miejsce na jego twarzy i uśmiechała się, a z kącików jej zamkniętych oczu płynęły łzy.

Po tym spotkaniu Kostia przez wiele dni chodził jak odurzony, jak we śnie, zaskoczony, że los pchnął go nie w ramiona prostytutki, lecz w objęcia pierwszej miłości. Żył w rozdarciu między dniami na uczelni, panującą tam dyscypliną, a nocami, gdy zapominał o całym świecie w mrocznym mieszkaniu na Wyspie Wasiljewskiej.

W obecności ojca udawał wzorowego syna, na biesiadach z kompanami z zapalem grał rolę wodzireja, myślami cały czas był jednak z nowo poznaną, a jej bliskość i jej przepaści, które zaczął badać z takim oddaniem, przyprawiały go o zawrót głowy.

Ida. Jego usta bezgłośnie układały się w jej imię podczas zajęć na uczelni i na okręcie w Zatoce Fińskiej, a w bezsenne noce powtarzał je w myślach jak zaklęcie. Chwytał się tych trzech liter, kiedy tęsknota za jej skórą, za głębokim głosem, szelmowskim uśmiechem stawała się zbyt wielka i gdy nie wiedział, jak ukoić bolesne pragnienie.

Bywały noce, że nie wytrzymał, wyskakiwał z łóżka, chwytał płaszcz i jak szalony wybiegał na ulicę, by chwilę potem bez tchu dobijać się do jej drzwi, w nadziei że mu otworzy i przyjmie jak głodne, bezdomne zwierzę, nakarmi i przytuli, da ciepło i bezpieczeństwo.

Robiła to. Nigdy nie zostawiła go za drzwiami.

Uśmiechając się łobuzersko, uchylała drzwi, czasem w wałkach na głowie albo z otwartą książką w rękę, i kiwając głową, mówiła: „Konstantin, a to co znowu? Spodziewałam się ciebie dopiero jutro wieczorem”. Mówiła to z udanym wyrzutem, ale czuł przecież, jak się cieszy, że nie dotrzymał umowy i przyszedł wcześniej. Do Idy mógł mówić ciałem, nie potrzebował słów. Ze smaku jej skóry odgadywał głębię jej smutku, ze sposobu, w jaki go dotykała, jej kłopoty, z jej pocałunków wnioskował, jak dalece zapomni się tej nocy.

Podczas codziennych ćwiczeń w strzelaniu mocno zaciskał powieki, by nie mrugać, znowu otwierał oczy i jeszcze raz je zamykał, aż z jego głowy znikły obrazy ostatniej nocy i mógł się skupić na strzeleckich oznakowaniach.

Przez całe życie miał nie przestać szukać takiego piękna, jakie znalazł w Idzie, i jego zdolność kochania była uzależniona od tego, w jakim stopniu znajdował je w późniejszych kobietach. Jak gdyby mógł pożądać tylko wtedy, gdy miał poczucie, że w swej namiętności idzie na zatracenie. Jakby musiał wyławiać perły z największych morskich głębin, ryzykując utonięcie.

Ida przed laty zamierzała zostać pianistką. Ćwiczyła pod okiem wybitnego ucznia Rubinsteina. Pochodziła z zamożnej rodziny żydowskich intelektualistów z Petersburga. Jej ojciec był lekarzem, a matka przymierzała się do kariery koncertującej pianistki, lecz ciężka choroba umysłowa przekreśliła te plany. Ida pół życia spędziła w Paryżu, gdzie po rewolucji październikowej i fali antysemityzmu, która

potem załała Rosję, osiedliła się jej rodzina. W młodości miała nerwowe usposobienie, anemię, silną skłonność do wybujałych namiętności i genialne palce, stworzone do tego, by zrobić światową karierę. Lecz przecięła pępowinę swego przeznaczenia, gdy oświadczyła rodzinie, że śmiertelnie zakochała się w pewnym skrzypku, emigrancie, który z żoną i dwojgiem dzieci mieszkał w małym paryskim mieszkaniu na poddaszu, zarabiał, grając w podejrzanych lokalach, i ledwie wiązał koniec z końcem. Nie zważając na prośby i groźby rodziny, Ida postanowiła uratować udręczoną duszę skrzypka, którego oczywiście uznała za genialnego, i nawet przeszła na prawosławie, w nadziei że skrzypek po legalnym rozwodzie ze swą żoną zechce ją poślubić.

Tak się jednak nie stało.

Zamiast tego jej skrzypek zamieszkał z nią w zaniedbanym pokoju w paryskim akademiku. Pozwalał, by mu gotowała i rozpieszczała go, chętnie brał od niej pieniądze, które zarabiała lekcjami fortepianu, i nie myślał żądać od żony rozwodu. Pewnego dnia oznajmił Idzie, że ma problemy – masę długów – i musi uciekać do Rosji. Wszystkie próby zatrzymania Idy ze strony rodziny spełzły na niczym i Ida wróciła ze swoim męczennikiem do Petersburga, który tymczasem przestał się nazywać Petersburgiem i w którym nic nie było takie jak dawniej.

Wprowadzili się do mieszkania komunalnego na obrzeżach miasta. Ida dawała lekcje fortepianu i ćwiczyła sztukę przetrwania w powojennych latach. Utrzymywała swego skrzypka i chwilami go nienawidziła. Wymyślała mu, skarżyła się na swoje cierpienia, tęskniła za Paryżem i zachodnim luksusem, czyniła sobie wyrzuty i wstydziała się swojej nędznej egzystencji. Skrzypek zniknął na całe dni, podczas gdy Ida, spętana masochistyczną miłością, szalała z trosk i nienawidziła socjalizmu, który budził w niej głęboki wstręt. Za swoje nieszczęście ukarała najcenniejszą rzecz, jaką miała – zasłoniła narzutą pianino, jedyny wartościowy przedmiot, jaki kazała sobie dosłać z Paryża. Skrzypek podwoił ilość wypijanego alkoholu, jego długi rosły, między innymi u rzeźnika z Syberii, który kontrolował czarny rynek mięsa. Kiedyś doszło do bójki z rzeźnikiem, skrzypek został brutalnie skopany, uderzył głową o ścianę i na czworakach pełzył ulicami do domu. Dowłókł się na korytarz, blisko mieszkania. Zmarł w wyniku wewnętrznych obrażeń, zanim zdążył przyjść lekarz. Idzie udało się załatwić na Wyspie Wasiljewskiej jeden pokój, który wcześniej zamieszkiwała, jak już wspomniano, pewna dama z Dniepropietrowska zarabiająca na życie swoim jędnym ciałem, dopóki nie doniesiono o tym urzędnikom i jej nie wykwaterowano. Jedynym meblem, jaki Ida zabrała ze swojego dawnego życia, było pianino. Znalazła posadę bileterki w teatrze. Dwa razy złożyła prośbę o zgodę na wyjazd za granicę, lecz jej podanie załatwiono odmownie. Zerwała kontakty z ludźmi ze swego poprzedniego życia, ale nie szukała nowych znajomości, mieszkała w otoczeniu płyt i książek i piła mocną czarną herbatę.

Żyła tak, dopóki pewnego dnia w drzwiach jej mieszkania nie stanął Konstantin Jaszi.

Kiedy los złożył w jej ręce młodość Kostii i jego chętne ciało, Ida rzuciła się na niego wygłodniała,

nie panując nad sobą.

Choć w tym czasie była pozbawiona wszelkich romantycznych iluzji, dzięki Kostii – wbrew jej woli, niezamierzenie, zupełnie niechcący – odżyła w niej nadzieja. Brak nadziei był do tej pory jedyną stałą w jej życiu i obecna zmiana budziła jej lęk. Lęk, że ta nowa nadzieja jest dla niej niebezpieczna.

Każdego dnia jednak beznadzieja topniała. Każde nowe słowo, jakie kierował do niej Kostia, każde jego dotknięcie zdrapywało grubą warstwę beznadziei z jej skóry i zarażało ją jego młodością, radością, pożądaniem i nienazwaną przyszłością.

A Kostia, przestraszony i niepewny, pragnący jej bliskości, jej nocnych czarów i tajemnic, spełniał nocami jej pragnienia, by następnego dnia się za to karać. Nie przyznał się przed kompanami do swojej miłości, wstydził się jej, bo przeczuwał, że naraziłby się na śmieszność. Czynił sobie wyrzuty, że nigdy nie zaprosił Idy do lokalu, nie poszedł z nią na spacer, że istniała dla niego tylko w nocy, że za dnia przepłaskał ją ze swoich myśli i swych codziennych zajęć, że zachowywał się tak, jakby jej nie było.

Ida umiała dobrze ukrywać swoje uczucia – doskonale opanowała tę sztukę, wiele lat zmagając się z życiem albo ściśle mówiąc, z tym, czego życie jej odmawiało. Nauczyła się, że słowa nie zawsze są obietnicą, że muzyka nie jest ratunkiem, że zdolności nie wystarczą, by osiągnąć upragniony cel, że miłość czasem jest tylko maską skrywającą coś niedobrego. Nauczyła się znosić rozczarowania z odrobiną szminki na ustach i dlatego Kostia nigdy się nie dowiedział, jak bardzo Ida cierpi, czekając na ich wspólne noce, jak pali ją tęsknota, ilu słów nie wypowiedziała, ilu oszczędziła mu wyrzutów, ile wyrozumiałości wymagał od niej z powodu swego podzielonego na dwoje życia, jak niemożliwe w pewne dni wydawało się jej bycie częścią jego świata. I jak bardzo ją wzruszało, że poznał siebie i miłość dzięki niej, choć zarazem bardzo się tego bała.

Ida była dobrą nauczycielką i wszystkiego, czego wiele lat wcześniej próbowała nauczyć swoich uczniów na czarno-białych klawiszach, teraz uczyła Kostię, zaangażowana w to całkowicie duchem i ciałem. Uczyła go przyrządzać z resztek jedzenia pożywną zimową zupę, uczyła go perfekcyjnie prasować mundur, uczyła zachowywania tajemnic i mowy bez słów.

Tańczyli ciasno objęci przy pieśniach Wertyńskiego z jej płyt, za każdym razem inaczej. Tańczyli powoli i szybko, opanowani i nieposkromieni, frywolnie śmiejąc się na całe gardło, w zapomnieniu i w smutku, tańczyli razem i każdy dla siebie, tańczyli i tańczyli.

Opowiadała mu historię każdego ze swoich pierścionków, całując przy tym opuszki jego palców. Śmiała się z niego, kiedy robił jej nudny wykład o sterowaniu okrętem, laskotała go we śnie i budziła, żeby pokazać mu pełnię, podczas której księżyc był szczególnie żółty i przybierał chorobliwy wygląd. Oglądała z nim zdjęcia ze swego dawnego życia i pozwalała sobie masować stopy. Mówiła, że rośliny w jej pokoju są jej przyjaciółmi, i przedstawiając je Kostii, wymieniała ich imiona. Chichotała jak pensjonarka, kiedy ją rozbierał, i z miną surowej nauczycielki domagała się, żeby też się rozebrał.

Obdarowywali się nawzajem szczęściem. Dawali sobie terazniejszość i przyszłe wspomnienia.

Prężyla się i przeciągała na skrzypiącym metalowym łóżku niczym perski kot. Kostia prasował koszulę. Za niecałą godzinę miał się stawić na uczelni. Nagle, jak dźgnięta szydłem, wyskoczyła z łóżka, podbiegła do Kostii, kurczowo objęła go od tyłu i tak zastygła.

– Co się dzieje? – zapytał ze śmiechem, odwracając się i szybko licząc w pamięci, czy ma jeszcze dość czasu, żeby ją pocieszyć krótkimi pieszczotami.

Ida popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

– Będzie wojna – powiedziała cicho i cofnęła się.

– Nie boisz się chyba tych głupich faszystów?

– Włącz radio, przekonasz się.

– Boisz się, że Niemcy wejdą aż do nas, bo się szykują, by wkroczyć do Polski? – Roześmiał się i pocałował ją w czubek nosa. – Mieliśmy na ten temat długi wykład. Dziś w nocy przyjdę i opowiem ci, jak mądrze postępuje nasz Generalissimus z Niemcami. Generalissimus dziewiętnastego sierpnia zwołał tajne posiedzenie Biura Politycznego. Powiedział, że Związek Radziecki odrzuci sojusz francusko-brytyjski przeciwko Niemcom i sprzymierzy się właśnie z Niemcami. W czasie pokoju nie da się krzewić komunizmu w Europie, ale jeśli Anglicy i Francuzi wypowiedzą Niemcom wojnę, to obie strony szybko się wykrwawią, a wtedy nasz kraj bez przeszkód zaszczepi w Europie komunizm. Uważam, że to niezwykle dalekowzroczne myślenie, nie sądzisz? Ido, czy ty w ogóle mnie słuchasz?

– Nawet jeśli zbrata się z Niemcami, to wcale jeszcze nie znaczy, że Niemcy wyrzekną się myśli o naszych terenach, Kostio. Nieustannie trąbią przecież o braku przestrzeni życiowej.

Ida zamilkła i utkwiała wzrok w jednym punkcie na ścianie, jakby tam właśnie zobaczyła przyszłość.

– Dobrze, uważaj, zdradzę ci tajemnicę. Słyszałaś chyba o umowie handlowej Mołotowa z Ribbentropem? Było o tym we wszystkich gazetach. Wiesz, co nam powiedziano? Że do tej umowy jest dołączony tajny dokument, o wiele ważniejszy niż ona sama. – Kostia zniżył głos. – I w tym dokumencie zapisano, że w razie wojny w Europie nasz kraj zachowa neutralność. No, czy teraz moja Ida jest uspokojona? Generalissimus wie przecież, jak postępować z faszystami. Chyba w to nie wątpisz!

Idę nagle ogarnęła wesołość. Zwijała się ze śmiechu i aż uderzała rękami po udach.

Kostia patrzył na nią zdumiony.

Ida wyjęła z torby egzemplarz „Prawdy” i podsunęła Kostii pod nos.

– Czy to nie przekomiczne, w jakim świecie żyjemy, mój aniele? Największa gazeta w kraju nazywa tę umowę, cytuję, „instrumentem pokoju”. Chodzi przy tym o dwóch szaleńców, którzy stoją naprzeciw siebie i wykorzystują świat oraz swoje ideologie, którzy przed niczym się nie cofną, czy to nie jest naprawdę komiczne? Dwaj szaleńcy nie pozwolą przecież, żeby jeden z nich był większy od drugiego.

– Jacy szaleńcy? Uspokój się w tej chwili! Popatrz na mnie. Jestem przy tobie, nic ci nie grozi. Nie

pozwolę, żeby coś ci się stało.

– Pytanie tylko, jak długo – mruknęła Ida i wróciła do łóżka.

– Co jak długo? Co masz na myśli?

– Ubieraj się. Nie chcę, żebyś się spóźnił.

Wiadomość o oszpeceniu Kristine Stazja utrzymywała przed Kostią w tajemnicy przez dwa lata i dotarła ona do niego razem z wieścią, że w Europie rzeczywiście wybuchła wojna. Tego samego dnia, kiedy cały Leningrad mówił o wkroczeniu Niemców do Polski, Kostia dowiedział się wreszcie, z jakiego powodu w ostatnich dwóch latach matka prosiła, żeby nie przyjeżdżał na lato do Tbilisi, lecz spędzał wakacje w Rosji. W swoim liście Stazja ze szczegółami opisywała tragedię Kristine, nie wymieniając jednak nazwiska jej kochanka, list bowiem mógł się dostać w niepowołane ręce. Stazja pisała o kwasie, o pobycie Kristine w szpitalu, o jej głębokiej depresji i w końcu o utracie mowy. Donosiła o pogrzebie Ramasa, zorganizowanym po cichu dla uniknięcia skandalu, o sprzedaży jego książek, a zakończyła wiadomością o śmierci swojej macochy. Tragedia Kristine spowodowała u Lary wylew krwi do mózgu.

Kostia przyszedł do mieszkania Idy późną nocą, położył się na łóżku i przez ponad trzy godziny nieprzerwanie płakał.

Ida o nic nie pytała, pozwoliła, by chłopak dał upust łzom, bo dobrze знаła smutek. Przez wiele lat smutek był jej najwierniejszym towarzyszem. Wiedziała, że świat, a przede wszystkim kruchy świat Kostii, oraz bliskość, w której się zapominali, są skazane na zagładę, lecz patrzyła tej zagładzie prosto w oczy, czekała na nią ze stoickim spokojem, na baczność, wyprężona jak ołowiany żołnierz.

Do Kostii wojna przyszła na długo przed atakiem Niemiec na Związek Radziecki. Wstrząsająca wiadomość o nieszczęściu ciotki rozpałała w nim konflikt wewnętrzny, stawiając przed nim pytanie, jak pogodzić uczucia z obowiązkiem.

Próbował wyobrazić sobie oparzoną twarz Kristine i widział przed sobą oliwkową cerę Idy, czerń jej oczu. Był wściekły na matkę, że trzymała go z daleka od ciotki i jej tragedii, i próbował domyślić się tego, czego nie powiedziała mu Stazja. Bo Stazja nie napisała, kto jeszcze, oprócz Ramasa i Kristine, był wplątany w ten dramat. Zaczął się zastanawiać, który ze znanych komunistów bywających w domu Kristine wchodzi w grę. Który z nich miał taką władzę, że Ramas nie odważył mu się przeciwstawić? Przed kim Ramas mógł ochronić żonę, jedynie posuwając się do czegoś tak potwornego?

Kostia nie miał żadnych wątpliwości, ale nie znajdował też w sobie odwagi, by choćby w myślach wypowiedzieć nazwisko Małego Wielkiego Człowieka, któremu od ponad roku podlegało NKWD w całym radzieckim imperium.

W liście do Kostii Stazja przemilczała też wiele innych spraw.

Nie napisała mu na przykład, że jego uwielbianej ciotce od czasu tragicznego zdarzenia wypłacano hojną rentę należną wdowie po Bohaterze Związku Radzieckiego, bo taki tytuł przyznano pośmiertnie

Ramasowi. Nie napisała też o pachnących różach, które były kochanek przysyłał Kristine co tydzień przez cały rok – najpierw do szpitala, a potem do domu – a które ona wyrzucała. Nie napisała również, że Mały Wielki Człowiek ani razu nie odwiedził najważniejszej kobiety swojego haremu, z obawy że jej zrujnowane piękno okaże się zbyt przerażające.

Kiedy Kitty zadzwoniła do brata, by mu złożyć życzenia z okazji osiemnastych urodzin, zauważyła, że był zdenerwowany, rozkojarzony i apodyktyczny.

– Georgi, mój przyjaciel i współlokator, dostał urlop i właśnie pojechał do Gruzji. Dałem mu paczuszkę dla Kristine. Są tam rzeczy, które ona bardzo lubi. Chciałem, żeby przesyłka szybko dotarła, a on zaproponował, że ją przekaże. Jutro będzie miał przesiadkę na waszym dworcu. Odbierzesz paczuszkę i prześlesz dalej, wtedy nie potrwa to długo.

Kitty była zła, że nie zauważył niemal jej serdecznych życzeń, właściwie nie okazał radości ani wdzięczności i nie zapytał o nią ani o Andra. Zdawało się, że wcale go nie dziwi to, że ona i Andro od miesięcy mieszkają u dziadka. Że musieli zmienić szkoły i że są daleko od Stazji i Kristine.

– Bardzo mi przykro, że Lara tak nagle zmarła. Czy dziadek jakoś się trzyma? – To jedyne, czego Kostia był ciekaw.

– Próbuje – odparła Kitty niechętnie i obiecała, że odbierze od Georgiego paczuszkę i pośle ją dalej, choć wolałaby, by przesyłka była dla niej i by starszy brat o niej nie zapominał.

Tego samego wieczoru poszła na dworzec. W małej poczekalni, która była niemal pusta, siedział niepozorny młody człowiek w okularach i mundurze marynarza. Przedstawił się jako Georgi Alania. Powiedział, że jedzie na urlop do Abchazji, do matki, która podupadła na zdrowiu. Jechał przez Ordżonikidze, wysiadł tutaj, żeby wręczyć Kitty paczuszkę, a potem ma złapać nocny pociąg na wybrzeże Morza Czarnego.

– To przecież dla pana wielka fatyga tak nakładać drogi z powodu głupiej paczki – zauważyła Kitty, która ciągle była zła na swego nieokazującego uczuć brata.

– To żaden kłopot. Pani brat dużo dla mnie znaczy. Wiele bym dla niego zrobił, proszę mi wierzyć.

Kitty zachodziła w głowę, jak jej brat egoista mógł zdobyć takiego przyjaciela.

Młody człowiek zapytał ją, czy nie zechce wypić z nim kawy albo herbaty. Ma jeszcze trochę czasu do odjazdu pociągu i jej towarzystwo sprawi mu radość. Ale Kitty taktownie odmówiła, wymawiając się nauką.

Młodzieniec wydawał się rozczarowany, nadal jednak był uprzejmy i od razu przekazał pakunek. Kitty życzyła mu szczęśliwej podróży, odwróciła się i wyszła. Na ulicy jednak, mając przed oczyma jego zawiedzioną twarz, zatrzymała się i wróciła do poczekalni. Stał tam z małą walizką w dłoni i czekał jakby na coś więcej niż tylko na pociąg. Widząc, że Kitty wraca, uśmiechnął się do niej z wdzięcznością. Kitty zaproponowała, żeby pospacerowali. Mogą usiąść w parku, bo kawiarnia dworcowa jest już nieczynna,

a otoczenie dworca mało zachęcające. Zgodził się chętnie i spojrzał na nią tak promiennie, jakby właśnie przyjęła jego oświadczenia.

Wyszli na ulicę i Kitty zaprowadziła go do położonego w pobliżu małego parku, w którym często spotykała się z Andrem. Georgi nie robił wrażenia człowieka przyzwyczajonego do towarzystwa kobiet i ciągle dziękował za czas, jaki Kitty mu poświęciła.

Wymienili kilka banalnych uwag. Kiedy zaczął mówić o Kostii, Kitty zmieniła temat. Rozmawiali o polityce, która Kitty nie interesowała, o swoich matkach i o szkole marynarki, którą on właśnie z sukcesem kończył. Śmiali się nawet z tego i owego, a później Kitty odprowadziła młodzieńca na peron i czekała, dopóki nie wsiądzie do pociągu. Objęła go i poczuła, że Georgi lekko drży. Na pewno nie z zimna. Machała do niego z peronu, a on wystawił głowę przez okno i też machał, aż pociąg znikł na horyzoncie, rozpląnął się w zapadającym mroku.

Ósmego września wojska Wehrmachtu dotarły pod Warszawę. Dziewięć dni później wschodnią granicę Polski przekroczyła Armia Czerwona w liczbie ponad ośmiuset tysięcy żołnierzy. Dwudziestego drugiego września Niemcy i Rosjanie zorganizowali wspólną paradę wojskową w Brześciu Litewskim, a dwudziestego ósmego Ribbentrop i Mołotow podpisali kolejny układ – o przyjaźni i granicy. W listopadzie ZSRR powiększył swoje terytorium o zachodnią Ukrainę i Białoruś – tereny wcześniej należące do Polski.

Na Kremlu wiedziano, że samym prawem i przymusem nie uczyni się mieszkańców tych ziem wzorowymi obywatelami radzieckimi. Należało więc w szybkim tempie dokonać tu „reedukacji”, która gdzie indziej trwała kilka lat. Trzeba było zaostrzyć problemy etniczne – w końcu ta metoda sprawdziła się w wielu innych regionach. Napaść na Polskę przedstawiono więc jako wyzwolenie ludności białoruskiej i ukraińskiej spod polskich wpływów. Radziecka prasa wychwalała „ponowne zjednoczenie narodów” ze Związkiem Radzieckim, przyjacielem i zbawcą uciskanych narodów.

Działania te szybko wywołały pożądany skutek: w Nowogrodzie i w Łucku ukraińscy chłopcy napadli na polskich oficerów, w Prużanie białoruscy chłopcy ukamienowali kolejnego oficera, a NKWD przyglądało się temu z milczącą aprobatą. Gdy opór przyjmował poważniejsze rozmiary, sięgano po prostsze metody: w trybie przyspieszonym, bez wyroku, rozstrzeliwano dowódców niepodporządkowujących się rozkazom oraz partyzantów.

W końcu września w niewoli znalazło się ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy polskich żołnierzy. Zbudowano dla nich obozy przejściowe, ponieważ część jeńców miała zostać oddana Niemcom – już w listopadzie przekazano im prawie czterdzieści trzy tysiące jeńców pochodzenia żydowskiego.

Estonia, Litwa i Łotwa zostały zmuszone do militarnego wsparcia ZSRR i stworzenia na swych terytoriach rządów sprzymierzonych. Ponieważ w tym czasie w krajach nadbałtyckich stacjonowało około sześćdziesięciu tysięcy czerwonarmistów, krajom tym nie pozostawało nic innego, jak zgodzić

się na przyłączenie do ZSRR. W lecie 1940 roku ZSRR zaanektował kraje nadbałtyckie. W tym samym roku powiększył się również o Socjalistyczną Republikę Mołdawii. Rumunia została zajęta, Ukraina się rozszerzyła. Rosjanie aresztowali prezydentów Estonii i Łotwy. Pierwszy zmarł w więzieniu, drugi w klinice psychiatrycznej, uciec udało się tylko prezydentowi Litwy. W szybkim tempie wznoszono posterunki graniczne między terytoriami zajętymi przez Niemcy i Rosję. Konfiskowano nawet radia – na terenach przygranicznych ludność otrzymywała tylko te informacje, które aprobowala partia.

W marcu 1940 roku Generalissimus otrzymał list od Małego Wielkiego Człowieka z planem rozstrzelania „dwudziestu pięciu tysięcy siedmiuset polskich oficerów, urzędników, posiadaczy ziemskich, policjantów, szpiegów, żandarmów i strażników więziennych”, przetrzymywanych w obozach i więzieniach. Plan ów wspierał argument, że „wszyscy są śmiertelnymi wrogami władzy radzieckiej, zięjącymi nienawiścią do radzieckiego porządku”. Chodziło o czternaście tysięcy siedmiuset urzędników państwowych przebywających w obozach i jedenaście tysięcy „szpiegów i kontrewolucjonistów” zamkniętych w więzieniach.

Jeszcze tego samego dnia Generalissimus zaaprobował ten plan i zmusił trzech wysokich rangą funkcjonariuszy partyjnych, by również złożyli podpisy pod rozkazem w tej sprawie. Przeprowadzenie akcji powierzono „trojce”, trzem zaufanym ludziom Małego Wielkiego Człowieka. Zaczęto działać z początkiem kwietnia. Najpierw w obozach i więzieniach rozpowszechniono pogłoskę o rychłym uwolnieniu więźniów, zwiększono im racje żywnościowe, zaszczepiono ich przeciw tyfusowi, a potem kazano ich dostarczyć w określone miejsca. Pociągami przewożono ich do Kalinina, Charkowa i do lasu pod Katyniem. Wielu funkcjonariuszy NKWD specjalnie przyjechało na tę operację ze stolicy z pistoletami w walizkach. W piwnicy więzień w Kalininie i Charkowie dwóch mężczyzn trzymało więźnia, trzeci zabijał go strzałem w tył głowy. Na każdą egzekucję przeznaczano maksymalnie dwie minuty. Potem zwłoki wywożono ciężarówkami i grzebano w pobliskich lasach.

W operacji brali udział dyrektorzy więzień i prokuratorzy z tamtych rejonów, a także Wasilij Błochin, zaufany człowiek Stalina do zadań specjalnych, komendant Łubianki, który już nieraz udowodnił swoją lojalność. Dokonując egzekucji, nosił skórzany fartuch, rękawice i gumowce. W trakcie swojej kariery osobiście wyprawił na tamten świat około piętnastu tysięcy ludzi. (Błochin kazał swoim pracownikom i podwładnym podpisać dokument nakazujący wobec skazanych na śmierć stosować „środki wychowawcze”, by zapobiec sytuacji, w której przed egzekucją będą oni wykrzykiwać imię Generalissimusa, co równałoby się jego obrazie. Środkami wychowawczymi były ciosy w głowę zadawane więźniom przed egzekucją).

Po zakończonej sukcesem operacji, na wniosek Małego Wielkiego Człowieka, ludzie Błochina otrzymali dodatkowe wynagrodzenie.

Roman Rudenko, zastępca prokuratora z Ukrainy, oddelegowany do obserwowania w Charkowie

przebiegu egzekucji, tak by mógł sprawdzić, czy wszystko idzie według planu, zaledwie pięć lat później na procesie norymberskim był jednym z głównych oskarżycieli ze strony Związku Radzieckiego. Podczas całego procesu odpowiedzialność za samowolną orgię śmierci zrzucił na faszystów.

Błochin natomiast został obwieszony medalami, a potem mianowany generałem. Przez prawie trzydzieści sześć lat wiernie i z oddaniem służył machinie mordów i spokojnie odszedł na emeryturę. Został pochowany na cmentarzu Dońskim w Moskwie, gdzie wcześniej palono ciała jego niezliczonych ofiar, a ich prochy sypano wiadrami do anonimowych grobów.

Modliłam się, żeby mój syn dobrze się uczył

i stał się samodzielnym człowiekiem!

Ketewan Dżugaszwili, matka Generalissimusa

Andro skończył szkołę średnią z przeciętnymi stopniami, a ponieważ przyszłość była trudna do przewidzenia, poradzono mu, żeby wyuczył się porządnego zawodu, i oddano go na naukę do stolarza, Armeńczyka. Drewniane figurki Andra zapełniały już wszystkie pomieszczenia domu. Młody stolarski czeladnik, który naukę zawodu traktował z taką samą zdyscyplinowaną obojętnością jak wcześniej naukę w szkole, pomału zrozumiał, że jego matka nigdy już nie wróci.

Andro nie przyjmował tej prawdy ze strachu. Za matką tęsknił nieprzerwanie. Szukał jej w snach, gdzie jawiła mu się wolna i odprężona, nie zdradzając jednak swojej tajemnicy. Kiedy pytał ją o miejsce pobytu, odpowiadała tylko uśmiechem pełnym czułości. Za każdym razem, kiedy się budził, dopadał go historyczny niepokój, i na długo zamykał się w łazience, żeby dojść do siebie. Tak, bał się chwili, w której miałoby się okazać, że jego nadzieja prysła. Czasami nieoczekiwanie wpadał we wściekłość i zaczynał niszczyć swoje drewniane figurki, bo coś w nich – może ich naiwność i uroda – doprowadzało go do białej gorączki. Roztrzaskiwał im głowy i kończyny, wydłubywał oczy. Tylko uczucie do Kitty i absolutne zaufanie do niej pozostawały niezmiennie. Andro wiedział, że niezależnie od tego, jak bardzo będzie zły, smutny czy zrozpaczony, Kitty zawsze go rozśmieszy, zagra z nim w swoje gry, obejmie go mocno, tak że zabraknie mu tchu. Przy Kitty wierzył, że wkrótce przyjdą lepsze czasy, że wyjadą stąd i zaczną nowe, inne życie. Była pełna życia, pełna siły, a on tego potrzebował. A przede wszystkim Kitty niczego się nie bała. To, czego jej zabraniano, robiła i tak. To, za co ją karcono, powtarzała z jeszcze większą energią, i ten upór Andra fascynował. Kitty dawała mu energię, która pozwalała zapominać o smutnej rzeczywistości.

Były to szalone i śmieszne zabawy, zupełnie bezsensowne i dziecinne, ale Andro we wszystkich brał udział: czy kiedy Kitty postanowiła, że cały dzień będzie się przed nim chować, aż on ją znajdzie, czy gdy chodziło o ratowanie trzech bezdomnych kociąt, które wpadły do dołu, o wyścigi albo o to, kto najszybciej zje swój chleb z marmoladą. Andro w tym wszystkim uczestniczył, bo były to jedyne wesołe i swobodne chwile w ich codzienności pomiędzy rekonwalescencją Kristine a powolnym upadkiem fabrykanta czekolady. Między gorącym tbiliskim latem a mroźną zimą w małym mieście.

I podczas gdy Niemcy wkraczali do Holandii, Belgii i Luksemburga, gdy mój dziadek ukończył Wyższą Szkołę Marynarki Wojennej ze złotym medalem, a Georgi Alania przygotowywał się do egzaminów z konstrukcji okrętów, Andro pustym wzrokiem patrzył w przyszłość, która tak mało zdawała się mieć w sobie tego, co mogłoby go cieszyć.

Owego łagodnego czerwcowego dnia, kiedy Włochy przystąpiły do paktu z Niemcami, na cztery dni przed zajęciem Paryża przez 18. Armię Wehrmachtu, Kristine odzyskała mowę, a Ida po raz pierwszy odwiedziła mego dziadka w jego pokoju. Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy Ida zobaczyła Kostię poza

swoim małym, przystrojonym kwiatami mieszkaniem.

Portierowi powiedziała, że jest krewną towarzysza Jaszięgo, poszła na drugie piętro i zapukała do drzwi Kostii i Georgiego. Mój dziadek akurat był sam w pokoju, przygotowywał się do końcowej defilady radzieckiej marynarki. Kiedy otworzył drzwi i zobaczył Idę, zeszytniał.

– Co tu robisz? – wyjąkał i szybko wciągnął ją do środka.

– Musiałam cię zobaczyć. Musiałam zobaczyć cię w świetle dnia. Twoją skórę, oczy, usta, bez tej przeklętej nocnej lampki, tego mroku, bo chcę cię zachować we wspomnieniach tak jak teraz: jasnego.

– O czym ty mówisz?

– Odchodzę. Chcę odejść przed tobą. Nie chcę zostać porzucona. Pozwól mi cię opuścić, Konstantinie.

– Nie rozumiem cię.

– Musimy przestać się widywać. Niedługo pójdiesz na okręt, a ja bez ciebie sobie nie poradzę. Za bardzo jestem już uzależniona od chwil, które mi przeznaczasz, a które będą coraz rzadsze, coraz krótsze. Nie wytrzymam, Konstantinie.

– Tak, dostałem wyróżnienie specjalne i prawdopodobnie... – Kostia urwał, bo zrozumiał, co zamierzał powiedzieć.

– Szkoda cię na wojnę.

– Nie toczymy przecież żadnej wojny, a gdyby nawet, jestem więcej niż gotów, wierz mi. Będę zatapiał okręty jak małe kamyki, pach, pach, pach!

– Jesteś szczęśliwy, bo twoja niewiedza chroni cię przed samym sobą, przed tym, co cię czeka i przed tęsknotą za mną. Ale to doznanie przyjdzie. Ono przychodzi najczęściej nie w porę, mój Konstantinie, i nie chcę, żebyś czuł się rozdarty, żebyś się zmienił. Musisz mi to obiecać, dobrze?

– Ido, co ty opowiadasz? Ja nigdzie nie jadę, jestem tutaj, a nawet jeśli zostanę zamustrowany, to przecież wrócę. Popatrz, moi rodzice...

– Nie mogę, wybacz mi i daj mi ten przywilej.

– Jaki przywilej? Nigdzie nie odejdziesz! Znowu dopadły cię ponure myśli. Powinnaś się jakoś od nich oderwać, częściej wychodzić z domu.

– Chcę teraz spać z tobą.

– Słucham?

– Chodźmy do łóżka.

– Ale to nie jest noc i poza tym...

Ida zaczęła się śmiać. Śmiała się rzadko, ale jeśli już, to cała się trzęsła ze śmiechu. Ocierała łzy z oczu, skręcała się ze śmiechu, uderzała dłońmi w kolana i uda. Kostia patrzył na nią i w duchu nie mógł nie przyznać, że budziła jego podziw i fascynowała go. Poczuł, że w jego ciele narasta lękliwe pożądanie.

Podszedł do niej i położył jej rękę na ustach. Lekko ją ugryzła. To pobudziło go bardziej. Przycisnął ją mocniej, jeszcze niepewnie, bo była w tym świecie, do którego nie należała. Objął ją i uniósł. Broniła się, ciągle jeszcze się śmiejąc. Przyparł ją do ściany, śmieiej, niecierpliwiej. Chciał, by przestała się śmiać, bo się bał, że może śmieje się z niego. Patrzył na nią spod półprzymkniętych powiek. Jej oczy były tak czarne, że przyszło mu na myśl, iż ona widzi wszystko wokół siebie jak przez czarną folię. Wskazujący palec włożył jej między zęby. Znowu ugryzła. Naraz, w jednej chwili, ucichła, jakby jej śmiech przerwała na zawsze jakaś straszna myśl. Wsunęła dłonie w jego gęste włosy i przyciągnęła do siebie jego głowę, oddychając przez chwilę spokojnie i równomiernie, jakby wciągała w siebie jego zapach. Pocałował ją.

Tak łatwo było zapomnieć, że na zewnątrz coś istnieje, kiedy była blisko. Tak łatwo było strząsnąć z siebie każdą myśl, kiedy go dotykała. W takich chwilach był pewien, że w ogóle nie potrzebuje zewnętrznego świata. Jej obecność wystarczała, by odpłynęła daleko cała radziecka flota, parady, wrzaskliwi koledzy z akademii, jego własne imponujące osiągnięcia i plany na przyszłość. Jakby świat bez Idy był ułudą.

Podciągnął jej sięgającą łydek spódnicę. Przywarł jeszcze mocniej do jej ciepłego, gibkiego ciała. Byli prawie jednakowego wzrostu. Patrzył jej prosto w oczy, ciemniejsze niż zwykle. Ich gorączkowe spojrzenie budziło w nim lęk. Próbował zębami rozpiąć guziki jej szarej bluzki, a kiedy mu się to nie udało, dwa odgryzł.

Na jej twarzy pojawił się dobrze mu znany uśmiech. Jakby znała jego słabość i swoją siłę, jakby jedno było uzależnione od drugiego. Szeptała coś, z jej ust płynęły słowa, ale nie słyszał ich. Był odurzony jej zapachem, jej niebezpieczną bliskością, możliwością, że ktoś ich tu zaskoczy. Może nawet za tym tęsknił, może nawet chciał, żeby ktoś ich znalazł, znieruchomiących w pozie, która nie pozostawiała wątpliwości – znieruchomiących w ukrywanej przed światem miłości. Żeby wreszcie mógł odetchnąć i wykrzyknąć: „Tak! To jest kobieta, która opanowała każde włókno mego ciała, każdą myśl. Kobieta, która jest tak piękna, że czuję ból, bo nie mogę jej uratować, ani przed nią samą, ani przed światem. Kobieta, która nauczyła mnie zapominać i czuć rękoma i oczyma, miejscem pod kolanami, kostkami, czubkiem nosa i płatkami uszu. Tego właśnie chcę!”.

Może rzeczywiście Kostia chciał właśnie tego. Może.

Całowała jego szyję i mocno trzymała jego głowę, ściskając ją coraz mocniej. Jego uszy były zatkane, nic nie słyszał. Izolowała go od czegoś, może od tego, co miało przyjść, jakby była jego wyrocznią, jego przepowiednią, jego Kasandrą, skazaną na to, by znać przyszłość, chociaż nie daje jej wiary.

Kostia zgął jej nogę, a ona dopasowała się do niego. Zrobiła się mała i okrągła, ułatwiała mu to, by mógł ją kochać nawet tutaj, nawet teraz, przyciśniętą do zimnej ściany. Nie mogła inaczej. Może nie mogła inaczej, niż tylko pójść za swoim postanowieniem, które dla niego było fatalne w skutkach.

A może doskonale wiedziała, że ten mężczyzna, ta chwila, ta smutna bliskość, budząca niemal wściekłość, była ostatnią chwilą szczęścia, która jej przypadła – i Ida chwyciła ją ze zwierzęcą siłą.

Nie wiem tego, Brilko, i nigdy nie będę mieć pewności. Ale jakie to ma znaczenie? Przypuszczenie, a nie pewność, jest godne opowieści.

Dysząc, ukrył twarz na jej szyi. Czuł, jak jej ręka trzyma go mocno za głowę, czuł coś brutalnego, straszego w jej uścisku. Rodziło to w nim lęk, ale pożądanie pozwalało mu się na ten lęk znieczulić, nie myśleć o nim. Nagle serce zabiło mu gwałtownie: ktoś pukał do drzwi. Kostia zastygł, zapominając o oddechu. Ida go nie puszczała.

– Tak!?! – zawołał, chrząkając, żeby ukryć podniecenie w głosie.

– Hej, pora iść, *krasawczik!* Pospiesz się, chłopaki czekają na dole!

– Już idę! – odparł Kostia z wysiłkiem.

– Nie, nie, zostań ze mną, proszę! – jęknęła Ida.

– Nie mogę. To defilada na zakończenie studiów, ćwicyliśmy przez kilka tygodni. Przyjdę do ciebie dziś wieczór. Przyjdę, jak tylko defilada się skończy, i o wszystkim porozmawiamy.

– Nie zostawiaj mnie tak, proszę, nie, posłuchaj mnie!

Ida uchwyciła się jego ramion, przycisnęła jego głowę do swojego podbródka, muskała ją policzkiem. Ale on, zataczając się, uwolnił się z jej objęć, oszołomiony i niezaspokojony. Chwiejnym krokiem podszedł do łóżka i nerwowo zaczął wkładać koszulę.

Ida powoli obciągnęła halkę, a potem spódnicę i odwróciła się do niego plecami. Przywarła twarzą do ściany, czołem naciskając mur, jakby chciała go rozsadzić, jakby знаła wejście, tajemne wejście do innego świata przez tę właśnie ścianę.

– Naprawdę muszę iść. Będzie tam też mój ojciec i... Przyjdę dziś w nocy, Ido. Przyjdę do ciebie i zostanę, jak długo będziesz chciała, dobrze? Porozmawiamy o wszystkim, o czym zechcesz. Opowiesz mi o tym, co cię niepokoi.

Przez chwilę się nie poruszała. Nie wiedział, co się z nią dzieje, czy płacze, czy go przeklina, czy pragnie stać się niewidoczna, czy żałuje. Potem jednak odwróciła się i popatrzyła na niego, uśmiechając się. Jej włosy były w nieładzie, węzeł się rozwiązał, kilka ciemnych pasm spadało jej na twarz i Kostia znów zapragnął zrzucić mundur, podbiec do niej, wziąć ją w ramiona i zamknąć drzwi na klucz, ale pocieszył go jej uśmiech. Nie jest tak źle, niedługo przecież do niej przyjdzie.

– Już dobrze, Konstantynie, mój piękny chłopcze. Uważaj na siebie.

– Ej, nie jestem już chłopcem, zapamiętaj to sobie!

Pocałował ją pospiesznie w usta i wypadł z pokoju.

W czasie defilady Kostię opanował potworny lęk. Zobaczył swego ojca stojącego na chodniku i machającego w jego kierunku, lecz ten widok nagle przestał być dla niego ważny. Maszerował

z innymi marynarzami w równym rytmie, wykrzykując wyuczone na pamięć hasła, i próbował patrzeć bez lęku, jak nad Zatoką Fińską oddawano salwy armatnie. Ale nie czuł niczego poza strachem, który wydawał się trzymać w kleszczach jego trzewia.

Gdy tylko defilada się skończyła, pobiegł przed siebie. Pędził, aż w końcu zabrakło mu sił. Stał na środku chodnika, dysząc, lecz po chwili znów zaczął biec, jak strzała pokonał schody i już był pod jej drzwiami. Gwałtownie chwycił powietrze. Dobijał się do drzwi, ale nikt nie otworzył. Zszedł znowu na dół, stanął na ulicy, spojrzął w górę na trzecie piętro, lecz okno było ciemne. Wrócił pod drzwi, pukał, walił w nie i wołał.

Przychodził jeszcze przez trzy dni i trzy noce, aż w końcu jeden z mieszkańców domu powiedział mu, że osoba spod tego numeru wyjechała, z dwoma walizkami. Widział ją z okna, ale nie wie, dokąd pojechała. Nie była specjalnie rozmowną sąsiadką.

Kilkadziesiąt lat później, Brilko, w obcym kraju, w domku nad brzegiem morza, dowiedziałam się od pewnego starszego mężczyzny, że Ida nigdzie nie wyjechała, lecz poprosiła sąsiada, żeby skłamał, i wcisnęła mu w rękę parę rubli. Przez wszystkie te dni i noce stała za zamkniętymi drzwiami, ręką zasłaniając usta. Nie chciała, żeby zdradził ją głos i tęsknota. Tymczasem mój dziadek dobijał się do drzwi, wołał ją i nie pojmował, co się dzieje.

Szybki i wielki sukces militarny Niemców na początku drugiej wojny światowej ułatwiła uprzejma neutralność ZSRR, bo Generalissimus wsparł Hitlera nie tylko paktem o nieagresji, lecz również zgodą na niemiecki import i eksport przez teren radzieckiego państwa. Zajęcie przez czerwonych Rumunii było dla Niemców zaskoczeniem. Żeby Stalin nie wpadł na pomysł pójścia jeszcze dalej, Hitler rozkazał umieścić w Rumunii oddziały Wehrmachtu. W lipcu 1940 roku, podczas spotkania dowódców sztabów w Berghofie, małym rajku Hitlera, wyrażono pewien niepokój, kiedy doszło do rozmowy na temat Związku Radzieckiego. Zgodnie z relacją generała Haldera Hitler optował za wcześniejszym, niż planowano, rozpoczęciem „akcji na Wschodzie”. W listopadzie Mołotow ponownie przyjechał do Berlina, tym razem jednak pertraktacje okazały się bezskuteczne. Nie było już zgody w kwestii dalszych podziałów terytorialnych. Dla Hitlera żądania Stalina były zbyt bezczelne: Stalin zażądał Finlandii, Bułgarii, Turcji i niektórych terytoriów południowego Kaukazu aż do Zatoki Perskiej.

Osiemnastego grudnia 1940 roku Hitler podpisał Plan Barbarossa i ustalił datę ataku na 15 maja 1941 roku. Wojna o Bałkany zmusiła go jednak do przesunięcia tej daty o kilka tygodni. Radzieckie służby wywiadu zagranicznego informowały Generalissimusa o planach Hitlera, lecz ten uważał je za wymysł wywiadu brytyjskiego. Śmiał się z ostrzeżeń, mówiąc, że ci, którzy w to wierzą, mają mózdzki wielkości jego palca.

Wojna z Niemcami hitlerowskimi wydawała się Stalinowi nierealna. Związek Radziecki ściśle przestrzegał umowy handlowej z Niemcami, dostarczając im w pierwszych dwóch latach wojny wiele

ton zboża, oleju i stali. W tamtym momencie Armia Czerwona liczyła pięć milionów ludzi, ustępowała jednak Niemcom pod względem wyposażenia, nie mówiąc o organizacji. Kilka lat wcześniej na rozkaz Generalissimusa aresztowano albo rozstrzelano prawie wszystkich wybitnych generałów oraz wielu oficerów armii. Tymczasem Hitler i jego ludzie ośmieleni sukcesem wojny błyskawicznej planowali szybkie podbicie Rosji. Hitler nie wiedział tylko, że przerażenie i bieda, które Wehrmacht miał z sobą przynieść, od dawna były w Rosji chlebem powszednim. Że okrucieństwa stalinowskie bardzo dobrze przygotowały ludzi na okrucieństwo rządów, które zamierzał zaprowadzić w tym kraju niemiecki przywódca.

Kostia Jaszi, który tymczasem został podoficerem radzieckiej marynarki, poprosił o przeniesienie w trybie pilnym, po tym jak jego dobijanie się do zamkniętych drzwi Idy okazało się daremne. Prośba została przyjęta i w kwietniu Kostię przeniesiono na Krym, do Sewastopola, na okręt ćwiczebny.

Dwudziestego drugiego czerwca 1941 roku trzy grupy armii Wehrmachtu przekroczyły granicę radziecką: Grupa Armii „Północ” weszła na tereny bałtyckie i posuwała się w kierunku Leningradu, Grupa Armii „Środek” zmierzała na Mińsk i Moskwę, a Grupa Armii „Południe” – w stronę Kijowa. Rozpoczęła się jedna z największych inwazji w historii tej wojny. Od Bałtyku aż do Karpat ogromny kraj Generalissimusa atakowały niemal trzy miliony niemieckich żołnierzy. Po wydaniu rozkazu uderzenia na ZSRR Hitler „odtajał”, „zeszło z niego całe zmęczenie”, zanotował Goebbels w swoim dzienniku. Napaść unieważniła wszystkie dotychczasowe porozumienia wojskowe, oficjalnie przyjęte ustalenia i zasady.

Kula ziemską przyspieszyła swoje obroty.

Generalissimus, który mimo ostrzeżeń nadal trwał w przeświadczeniu, że koncentracja oddziałów niemieckich przy granicy jest wymysłem tajnych służb, zaszył się w swym letnim domu w Kuncewie i dopiero po prawie dwóch tygodniach zwrócił się do narodu z dramatycznym apelem radiowym. Tydzień później ogłosił Wielką Wojnę Ojczyźnianą.

Kostia, występując o przeniesienie, nie przeczuwał, że niemiecki atak na jednostki floty radzieckiej stacjonujące w Sewastopolu przyjdzie tak niespodziewanie i że on sam, wcześniej, niż tego chciał, znajdzie się w epicentrum wojny. Manewry szybko przerodziły się w prawdziwe działania wojenne i Kostia Jaszi wziął udział w trwającej trzy dni bitwie, w której wszystkie statki cumujące w porcie zostały zniszczone i Niemcy rzucili Sewastopol na kolana.

W końcu czerwca Grupa Armii „Północ” zajęła tereny nadbałtyckie i Flota Bałtycka musiała się wycofać do Kronsztadu. Grupa Armii „Środek” szesnastego lipca zajęła Smoleńsk. W pierwszych tygodniach wojny w ręce niemieckie wpadł Mińsk. Nowogród padł szesnastego sierpnia, ósmego września Niemcy przebili się aż do jeziora Ładoga i otoczyli Leningrad.

Czerwony porucznik tydzień po rozpoczęciu wojny został powołany na front pod Mińskiem.

Sukcesy Wehrmachtu były kolosalne. Sztab Generalny czerwonych, nadal niezdecydowany, zachowywał postawę pasywną, znajdował się bowiem w kleszczach – z jednej strony obawiał się reakcji Kremla, z drugiej dostrzegał konieczność podejmowania szybkich działań. Paraliż na Kremlu położył się cieniem na całym kraju. W pierwszych miesiącach wojny jego ofiarą padła niezliczona ilość ludzkich istnień. W lipcu 1941 roku Goebbels triumfalnie napisał w dzienniku: „Nie ma wątpliwości co do tego, że Kreml padnie wcześniej czy później”.

Georgi Alania, uzyskawszy znakomite oceny i dyplom w dziedzinie budowy okrętów, został wysłany

do Stoczni Amurskiej nad Morze Japońskie. Nie cieszył go ten przydział. Nie chciał jechać na koniec świata, nie chciał się rozstawać ze swoim najlepszym przyjacielem. Miał nadzieję, że pozostanie tam nie dłużej niż rok, dwa. Z perspektywy czasu okazało się jednak, że Morze Japońskie było dla niego ratunkiem. Dzięki pracy w Stoczni Amurskiej los oszczędził Georgiemu bezpośredniego udziału w wojnie, gdyż ludzi pracujących w przemyśle ciężkim nie wysyłano na front.

Kiedy Niemcy wkraczali na tereny nadbałtyckie i na Ukrainę, nikt nie wierzył w powrót bolszewików i Niemców witano jak wyzwolicieli. Wjeżdżający na czołgach i ciężarówkach na Ukrainę żołnierze Wehrmachtu byli witani przez chłopów stojących wzdłuż dróg chlebem i solą.

Tymczasem NKWD z największym pośpiechem dokonywała swojego dzieła: w więzieniach wykonywała wyroki śmierci, a w zakładach psychiatrycznych zabijała pacjentów. Palono wsie i miasta, by nic nie wpadło w ręce Niemców. Informacje radzieckiej prasy na temat zbrodni hitlerowców oraz pogłoski, jakoby wielokrotnie spędzano Żydów w jedno miejsce i dokądś ich wywożono, skąd żaden z nich nie wrócił, były przyjmowane jako kłamstwa radzieckiej propagandy. Z tego względu wielu Żydów zrezygnowało z ucieczki. Wszyscy byli przez lata karmieni kłamstwami i zmyśloną wizją rzeczywistości, jednak pewna wiadomość, rozpowszechniana przez okupantów, była jeszcze bardziej nieprawdopodobna: na Kaukazie i na Ukrainie Wehrmacht werbuje członków mniejszości etnicznych, którzy pełnią potem „dobrowolną służbę”.

Ponieważ w pierwszych miesiącach wojny wielu funkcjonariuszy partyjnych, dyrektorów, komisarzy w panice porzucą sprawowane funkcje i urzędy, obywatele czuli się wystawieni do wiatru i postępowali tak, jak w innej sytuacji nigdy nie odważyliby się postąpić: odmawiali wykonywania swoich obowiązków, dokonywali grabieży, nawet grozili przełożonym. Nienaruszalność władzy bolszewików została zakwestionowana.

W sierpniu tego samego roku Generalissimus wydał rozkaz numer 270 stanowiący, że żołnierz, który pozwoli się wziąć do niewoli, będzie uważany za zdrajcę. Czerwonoarmiści mieli tylko dwie możliwości: dać się zastrzelić Niemcom albo zostać później rozstrzelanym przez swoich.

W dniu, w którym Kostia Jaszi po raz pierwszy wziął do ręki broń, żeby strzelać do ludzi, jego siedemnastoletnia siostra skończyła szkołę dla dziewcząt i z radości rzuciła się w ramiona Andra, który nadal wytrwale strugał z drewna anioły i który ściał już swoje loki.

Tej samej nocy spokojnie umarł we własnym łóżku mój prapradziadek, po tym jak przejrzał w czarnym notesie swe trzymane w tajemnicy przepisy. Wydało mu się, że jest w swojej fabryce czekolady, która nie istniała już od trzech lat, zamieniona na państwową kantynę oferującą purée ziemniaczane i tanie kotlety mielone. Umierał, sądząc, że przebywa w słodkiej przeszłości, owiewany kuszącymi zapachami świata, snując plany dotyczące przyszłości rodzinnego miasta, które chciał uczynić Niceą Kaukazu. Umierał w otoczeniu czterech córek, uroczych, pełnych nadziei, wolnych od smutku,

jaki niósł socjalizm. Stary, słaby, niedołężny, z niewydolnymi nerkami, pozbawiony uznania i dostojnego zapachu wzniosłości, żegnał się z terażniejszością, która stała się cienka i przezroczysta, aż w końcu się rozdarła. Wielki smutek tworzył wokół niego skorupę, nieprzeniknioną, niemożliwą do zmiękczenia. Jego upadek był dla rodziny trudny do zniesienia. I mimo wysiłku Lidy i Kitty, by trzymać starego człowieka z dala od złych wieści płynących ze świata, nie udało im się uwolnić go od smutku. Ciągłe pytał o Kristine, która od czasu swego oszpeceenia nie odważyła się przyjeżdżać na jego urodziny. Nie mówił nigdy o tym zdarzeniu, nie wspominał o Ramasie. Jakby Kristine nigdy nie wyszła za mąż, jakby nie uczyniono jej tego, co uczyniono. Pozostała dla niego młodą dziewczyną, przed którą życie stoi otworem, która wszystko ma jeszcze przed sobą. Lida i inni musieli podjąć tę grę, w której przeszłość była terażniejszością, i nauczyć się ukrywać przed nim własne uczucia.

Zapalono woskowe świece, które Lida trzymała schowane w jego pokoju. Lida klęczała przy łóżku umarłego ojca i modliła się przez wiele godzin. O świcie wysłała Andra na pocztę, by nadał telegram do Tbilisi.

Potem siedzieli wszyscy przy oknie, patrząc w dół na pogrążoną we śnie ulicę, i Andro zapytał Kitty, czy zechce zostać jego żoną i czy pojedzie z nim do Wiednia. „Do naszego, tylko naszego Wiednia”, dorzucił.

Kristine, z umiejętnie upiętą woalką zasłaniającą twarz, cała ubrana na czarno, zajęła miejsce w przedziale przy oknie obok swej starszej siostry, która zawsze służyła jej pomocą, i oparła głowę o szybę. Dworzec był przepelniony, ludzie biegali we wszystkie strony jak oszalałe mrówki. Wyrostek, który sprzedawał gazety, wołał na całe gardło: „Wojna, wojna! Faszyci napadli na Związek Radziecki!”.

Kristine próbowała nie słuchać tych słów. Ale Stazja, która układała walizki jedna na drugiej, obróciła się gwałtownie, wytknęła głowę przez okno, skinęła na chłopca, podała mu kilka kopiejek i wzięła do niego gazetę. Czytając wiadomości, chwyciła powietrze, jakby dostała ataku astmy, i opadła bez sił na siedzenie.

– Kostia – powiedziała tylko, jakby zobaczyła go przed sobą, i chwyciła swą milczącą siostrę za nadgarstek. – Simon wziął do siebie naszego jedyne go syna i nie będzie mu bronił iść na wojnę. Będzie nawet z tego dumny. Och, mój Boże, Kostia, mój jedyne go Kostia!

– Przecież niczego nie wiemy. Jutro z samego rana zatelefonujemy do Simona i Kostii. Uspokój się.

Kristine wyglądała przez okno, wpatrując się w zielony, pagórkowaty krajobraz.

Wczesnym rankiem siostry przyjechały do rodzinnego miasta. Było ono wszystkim, tylko nie Niceą Kaukazu. Wiadomość o wojnie dotarła i tu, ludzie chodzili po ulicach jak błędni. Starzy mężczyźni stali na rogach ulic z fajkami i wspominali okropności poprzedniej wojny. Kobiety wystawiały przed domy małe stoliki, gromadziły się wokół radiodbiorników, piły kawę nalewaną z dzbanków i kiwały głowami. Tylko dzieci dalej grały w piłkę, bawiły się w chowanego, biegały, czyniąc ogłuszającą

wrzawę.

Lida, robiąca wrażenie osoby pozbawionej płci, odziana w czarną bawełnianą sukienkę i w czarnej chustce na głowie, siedziała w milczeniu przy trumnie ojca. Kitty i Andro objęli się na klatce schodowej, ale ujrzawszy zakrytą twarz Kristine, jak na komendę wybuchli płaczem. Udawali jednak, że płaczą za dziadkiem, który w ostatnich latach prawie nie uczestniczył w ich życiu, tak jak zresztą w niczym, nawet własnym.

W domu pozdejmowano lustra ze ścian, wokół trumny ustawiono ikony, Lida zamówiła nawet popa, oczywiście w cywilnym ubraniu. Meri przyjechała z Kutaisi z zastygłym grymasem pretensji na twarzy, który zdawał się już na stałe z nią zrosnięty, jakby obwinięła za nieszczęście swoje siostry. Wokół trumny ustawiono krzesła, kobiety usiadły, mężczyźni tłoczyli się w przedpokoju i witali przychodzących żałobników. Przez trzy noce bez przerwy paliły się światła, otwarte były wszystkie drzwi, biednym rozdawano jedzenie przygotowywane na stypę, rozdzielano rzeczy należące do zmarłego.

Kitty i Andra stale wysyłano po chleb i wino. Nikt nie miał głowy, by dostrzec błyszczące oczy Kitty, domyślić się, że kolana Andra miękną z niepokoju, ani zauważyć ich wzajemnych przelotnych dotknięć.

– Tak, dobrze. Więc pobierzemy się – powiedziała Kitty do Andra w dniu, w którym jej brat po raz pierwszy wycelował z broni do człowieka, a jej dziadek zmarł.

Kiedy czuwali przy zmarłym, cały czas rozmawiali szeptem o przyszłości, bo miłość Kitty, w przeciwieństwie do miłości Kostii, nie radziła sobie bez słów.

Zawołowana Kristine co chwila przywoływała ich oboje do siebie i głaskała jak małe dzieci.

– Nie bójcie się, wszystko będzie dobrze – powtarzała.

Tymczasem sama się bała. Bała się niezmiernie samotności, którą była spętana, ciemności, z której nie znalazła jeszcze wyjścia, chwili, kiedy Stazja wróci do swego dawnego życia i będzie ją musiała zostawić z samą sobą i z otaczającymi ją zjawami. Bała się wojny, ale przede wszystkim tego, że nie wie, jak dalej żyć z połową twarzy i z sercem, które należało do samobójcy.

Piątego lipca, wtedy gdy Sewastopol wpadł w ręce niemieckie, rodzina pochowała fabrykanta czekolady między jego żonami: rosyjską i gruzińską, i usiadła przy dużym drewnianym stole, żeby wypić kawę i porozmawiać o przyszłości rodu Jaszich.

– Muszę ściągnąć Kostię – oznajmiła nagle Stazja i zapaliła papierosa.

– Uspokój się, Stazjo. Bóg będzie nad nim czuwał, to dzielny chłopak – szepnęła Lida.

– Milcz! – krzyknęła Kristine i naląła sobie wódki, którą ktoś zostawił na stole w kuchni.

Zanim Lida się przeżegnała i zdążyła przeprosić Boga za bezczelność siostry, Kitty oznajmiła:

– Pobieramy się.

Spojrzała dumnie na Andra, który milcząc, siedział ze spuszczoną głową i patrzył w ziemię.

– Proszę? – Kristine zaśmiała się nerwowo.

– Chcemy się pobrać i wyjechać – powtórzyła Kitty.

Lida się przeżegnała, a Meri prychnęła lekceważąco, jakby te słowa osobiście ją dotknęły.

– Jesteście przy zdrowych zmysłach? – spytała wreszcie bardzo spokojnie Stazja.

– Wiem, powinienem był z tobą porozmawiać, ale nigdy nie było na to czasu, kiedy przyjeżdżałaś... – zaczął wolno Andro.

– Święta Panienko! – wyszeptala Lida.

– Moja matka nie żyje, prawda? – spytał nagle Andro i nie usłyszał odpowiedzi, zobaczył tylko umykające spojrzenia.

Lida znowu się przeżegnała.

– Jest wojna. Nie pora na ślub – powiedziała Stazja.

– A może dlatego właśnie pora – odparł Andro.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Ale to wasze życie. Tak czy inaczej, teraz jest najgorszy moment na kram z dziećmi – rzekła Stazja i wyszła z pokoju.

Wróciła dopiero następnego dnia wieczorem. Lida chciała już iść jej szukać, lecz Kristine ją powstrzymała, domyślając się, że Stazja pożyczyła kabardynca i pojechała konno do skalnego miasta. Na pewno dosiadając konia po męsku.

Kiedy Wehrmacht przekraczał Don, Lida wyjechała do klasztoru w Raczy, gdzie miała przebyć lata wojny. Mieszkanie zostało zamknięte, a Kristine, Stazja, Kitty i Andro wsiedli w pociąg do Tbilisi.

Zamieszkali razem w domu Kristine. Willa, poza imponującą fasadą, sprawiała wrażenie opuszczonej, bo w ostatnich latach wszystko, co było cenne i rzadkie, znikło, sprzedane na czarnym rynku. Posyłano telegramy do Leningradu, lecz odpowiedzi nie było. W Tbilisi krążyły pogłoski, że faszyci planują tajną operację na Kaukazie i że Hitler uznał ten teren, a przede wszystkim kaspijską ropę, za jeden z najważniejszych celów.

W mieście panowały niepokój i przygnębienie, ludzie zachowywali się ciszej, ostrożniej, lecz mimo wszystko życie toczyło się dalej. Zakłady wytwarzające żywność i fabryki pracowały na pełnych obrotach. Kołchozy musiały podwoić produkcję. We wrześniu przyszła pierwsza wiadomość o blokadzie Leningradu. Wkrótce potem Stazja dostała od męża list (tak, małżeństwa trwają znacznie dłużej niż miłość, Brillko), w którym donosił, że Kostia jest zdrowy, bohatersko walczył w Sewastopolu, a teraz służy we Flocie Bałtyckiej i broni Leningradu. Niech się Stazja nie martwi, on z Kostią koresponduje, wie, że niczego mu nie brak. Sam jest w Moskwie, dowodzi 36. batalionem strzelców i czeka na kolejne przeniesienie.

Kiedy przerażona Stazja chodziła po pokoju w tę i z powrotem, paląc papierosy, złorzecząc i – by nie płakać – próbując wywołać w sobie gniew, Andro i Kitty spacerowali w ogrodzie botanicznym.

Chodzili po wyludnionych tajemnych ścieżkach, wspinali się na strome skały. Kiedy się ściemniło, usiedli koło wodospadu i gdy Kitty zapytała, czy nie czas iść do domu, bo zaraz zamkną ogród, Andro odparł, że mogliby zostać tu na noc. O wszystkim pomyślał. W domu powiedział, że idą na wieczorne zebranie, więc się ich prędko nie spodziewano. Rozłożył koc, wyciągnął z torby trochę chleba i sera, do tego butelkę wina i puścił do niej oko.

Na pewno słuchali szumu małego wodospadu, do którego chętnie skakałam jako dziecko, i na pewno dziwili się wielkości bladego wrześnieowego księżyca. Na pewno byli odurzeni powrotem do wielkiego miasta, ale przede wszystkim sobą oraz przyciąganiem, które po raz pierwszy otwarcie przeżywali i na które oboje sobie pozwalali. I Kitty na pewno bolały plecy od twardych skał wokół wodospadu, lecz jak sądzę, nic sobie z tego nie robiła, bo całowała swego Andra tak jak nigdy wcześniej. Pozwoliła się rozebrać i dotykać, smakować i wąchać, pozwalała badać swoje ciało, zapomniała o wstydzie i o wojnie. Zapomniała o armii aniołów z drewna, które miały ich chronić przed czymś, co nadciąga. I potem na pewno wskoczyli, wyczerpani emocjami, pod wodospad. Tak bym się zachowała, Brillko, gdybym spędzała tam swoją pierwszą miłosną noc.

Trzy dni później Stazja zebrała domowników w obszernym salonie, z którego nie korzystano od śmierci Ramasa i którego zimą nie można było dogrzać, taki był duży, i zapalając papierosa, oświadczyła:

– Dłużej tego nie wytrzymam. Nie mam zamiaru z powodu głupiej wojny znowu zrujnować sobie życia. Muszę go znaleźć. Kostię oczywiście. Będę namawiała Simona, żeby wykorzystał swoje stosunki i żeby go przeniesiono. Bo czego Gruzin może szukać nad Bałtykiem? Powinni go odesłać do nas. Tu jeszcze jest spokojnie, a Flota Czarnomorska nie jest flotą wojenną. Kostia nie może tam zostać. Jeśli to będzie konieczne, własnoręcznie go zwiążę i przywiozę z powrotem. Nie mam zamiaru stracić syna. Wystarczy nieszczęść. A wy – spojrzę na Andra i Kitty, którzy przestraszeni siedzieli w kącie – wy ślubu nie weźmiecie. To nie jest dobry czas na zawieranie małżeństwa. Andro, zrób coś ze swoim życiem, bo czasy są ciężkie. A ty, Kitty, co z ciebie będzie? Ciągłe te tańce, śpiewy i figle. Uważasz, że z tego można żyć? I słuchajcie Kristine. Macie już swoje lata. Nie mam ochoty traktować was jak małe dzieci, tylko dlatego że tak się zachowujecie.

Potem każdego z nich ostrożnie pocałowała w policzek, wzięła starą walizkę, z którą swego czasu przyjechała z Piotrogradu, i pojechała na dworzec. Wszystkie prośby i groźby Kristine, wszelkie próby powstrzymania Stazji przed niebezpieczną podróżą przez Rosję okazały się daremne. Nie chciała słuchać, że jej plan jest bezsensowny.

Wiele dni podróżowała pociągami osobowymi, towarowymi, autobusami, a nawet – jak mi opowiadała – wózkami zaprzężonymi w osły, aż wreszcie pod koniec września dotarła do Moskwy. Łał deszcz i miasto tonęło w błocie. Brodząc w nim po kostki, Stazja doszła do miasta i znalazła się w wirze

wojny. Tak samo jak przed wielu laty, kiedy idąc pietrogradzką ulicą w nadziei, że odnajdzie swego świeżo poślubionego męża, weszła w sam środek wojny domowej. Tym razem nie chodziło jednak o wojnę domową, lecz europejską. Tym razem nie szukała męża, lecz syna. I postanowiła sobie, że go znajdzie i że nie będzie czekać trzy lata. Tym razem jej podróż dobrze się skończy, nawet gdyby miał zginąć cały świat.

Stazja jeszcze wtedy nie wiedziała, ponieważ Sowinformbiuro nie podało tej informacji, że na radzieckiej ziemi zginął już milion radzieckich obywateli.

Simon Jaszi nie wierzył własnym oczom, kiedy w starych koszarach ujrzał Stazję. Mrugał ze zdumienia, jakby chciał się upewnić, że to nie jej duch. Zmieniła się. Skurczyła w ramionach, zmaląła przez nieszczęście siostry, rozłąkę z dziećmi i z nim. Mocne niegdyś łydki straciły swą muskularność, plecy nie były tak proste jak kiedyś, wargom brakowało koloru, a wokół ust zaczęły tworzyć się zmarszczki. Simon próbował ją mocno przytulić, lecz wyrażenie czułości okazało się trudniejsze i było bardziej sztuczne, niż sądził. Zapomniał już, jak to jest, dotykać kobietę.

– To, co chcesz zrobić, to zupełne szaleństwo! – rzekł, kiedy Stazja wyjawiała mu swój zamiar. – Stazjo, zrozum, jest wojna. Czy to jeszcze do ciebie nie dotarło? Ani mi się śni wystawiać Kostii fałszywe zaświadczenie. Jesteśmy w końcu Armią Czerwoną, a nie towarzystwem amatorów. Jeśli przegramy, zginiemy wszyscy, nie pojmujesz? Wszyscy staniemy się niewolnikami, stracimy to, co mamy. Nie tylko wolność, ale przyszłość, kraj i ojczyznę.

– Wolę być niewolnicą, wiedząc, że mój syn żyje, niż kobietą wolną, która straciła syna! – wykrzyknęła teatralnie Stazja.

– Stazjo, posłuchaj! Kostia służy ojczyźnie. To marynarz z krwi i kości. Marzył o marynarce. Jest dorosły. Poza tym nikt nie pośle takiego marynarza na placówkę strategicznie drugorzędną, jaką jest Morze Czarne. Niedługo powołają wszystkich młodych mężczyzn. W Gruzji też. Nie łudź się, tak szybko to się nie skończy. Musimy zrobić wszystko, żeby wygrać tę wojnę.

– On nie jest dorosły, nie jest dorosły... – Stazja potrząsała głową, jakby jedynym zdaniem, które pojęła z tego, co usłyszała, było zdanie dotyczące wieku Kostii.

– Da sobie radę. Będzie walczył. Nie pozwoli się wziąć do niewoli, jest przykładem dzielności i lojalności. Powinnaś go była widzieć, jak na defiladzie wieńczącej studia...

– Nie rozumiesz – przerwała mu Stazja. – To ty niczego nie rozumiesz, nie ja. – Zaciągnęła się papierosem i dłonią rozpędziła dym.

– Musisz natychmiast stąd wyjechać, Stazjo. Czynimy, co w naszej mocy, lecz Moskwa może zostać ewakuowana. Musisz, dopóki to jeszcze możliwe, wrócić do Tbilisi.

Simon spróbował ponownie objąć Stazję. Tym razem poszło mu lepiej. Stazja, pozwalając się przytulić, zadawała sobie pytanie, dlaczego nie martwi się o męża tak jak o syna. Zawstydzila ją ta myśl i wysliznęła się z jego objęć.

Czerwony porucznik nadal przekonywał żonę, próbując ją namówić do powrotu do domu, lecz Stazja nieustannie powtarzała, że najpierw musi przynajmniej raz zobaczyć Kostię. Przynajmniej raz z nim porozmawiać. Kostia był jednak na jeziorze Ładoga i chronił konwoje żywności na drodze wojskowej numer 101. Był to szlak przez jezioro, który miał wejść do historii jako „droga życia”.

Stazja pozostała w Moskwie.

Została w koszarach i w tamtejszej kuchni gotowała dla żołnierzy zupełną ziemniaczaną.

Letni zwycięski pochód Niemców wydawał się niemal nierzeczywisty. Sukces Planu Barbarossa utwierdził Hitlera w przekonaniu, że Niemcy wkrótce zdobędą Kreml. Grupa Armii „Środek” zaczęła się zbliżać do Moskwy. Na jesieni 1941 roku Armia Czerwona przegrupowała się, przygotowując się do kontrataku. Pod rozkazy generała Żukowa oddano siedemdziesiąt nowych dywizji. Rosyjscy dowódcy otrzymali rozkaz, by wszystkich dezertersów i maruderów rozstrzeliwać na miejscu. Jesienne błota utrudniające szybkie przemieszczanie się wojsk nieprzyjaciela uratowały Moskwę i całą Armię Czerwoną. Marsz Niemców na Moskwę przedłużył się o kilka tygodni, podczas gdy paliwo, amunicja, wszelkie zaopatrzenie, a przede wszystkim odzież zimowa dla niemieckiego wojska utknęły gdzieś po drodze.

W poszczególnych dzielnicach Moskwy czekały już bataliony robotnicze. I kiedy Stazja nadal liczyła na to, że uda jej się zobaczyć Kostię, kartę powołania dostał Andro Eristawi. Większość gruzińskich żołnierzy zmobilizowanych zimą 1941 roku została wysłana na front zachodni i znalazła się w Kerczu na Krymie.

Kristine od czasu wyjazdu Stazji do Moskwy wykazywała zadziwiającą dyscyplinę, jakby tylko czekała, żeby zostać sama z dwojgiem niepełnoletnich. Wyszła ze swego podziemia, gdzie królowały arie operowe i likier, i wkroczyła w szarą rzeczywistość pełną trosk. Codziennie ustalała plan dla trzyosobowej rodziny, w którym rozdzielała zadania: prace domowe, kupowanie żywności na kartki, zbieranie datków na potrzeby żołnierzy. Podczas gdy Andro pracował na poczcie jako ochotnik, Kitty pomagała Kristine zbierać środki opatrunkowe dla żołnierzy na froncie oraz uprawiać warzywa w ogrodzie, bo kartkowe przydziały żywności były bardzo skąpe. Wydawało się, że wojna przywróciła Kristine sens życia. Andro i Kitty byli nierozłączni, zrosnięci z sobą jak bliźnięta syjamskie. Chichotali, szczykali się i ciągle urządzali ulubione zawody: kto szybciej dobiegnie do najbliższego skrzyżowania albo domu, kto posadzi więcej warzyw, kto zbierze więcej darów.

– Dla naszych żołnierzy! Dary dla naszych żołnierzy! Potrzebna jest ciepła odzież, skarpety, bielizna, koszule. Przyda się wszystko!

Pewnego razu, kiedy Kitty złapała grypę, Andro stał sam przed sklepem z herbatą z wielkim kartonem, głośnymi okrzykami i miłym uśmiechem zachęcając przechodniów do składania datków. Naraz stanął przed nim wytworny mężczyzna i wyciągnął do niego rękę.

– Szacunek, młody człowieku! Co za zapał! Oto prawdziwa wierność ojczyźnie. Wielu twoich rówieśników leniuchuje i ma w głowie tylko figle, bo nie rozumieją, co to znaczy prowadzić wojnę, ale ty... Moje uznanie! – Ukłonił się uroczyście, wyciągnął z aktówki swój dar zawinięty w papier i ostrożnie włożył go do kartonu Andra.

Mężczyzna wyglądał na cudzoziemca, choć świetnie mówił po gruzińsku. Miał na sobie doskonale

skrojony garnitur w jodełkę, a na głowie oryginalnie wyglądający kapelusz z ciemnozielonym otokiem. Przedstawił się jako Dawid.

– Imię na razie wystarczy – powiedział.

Okazał zainteresowanie rzeźbami, które Andro miał przy sobie, i długo mówił o nowoczesnych tendencjach w sztuce, zwłaszcza europejskiej, wymieniając nazwiska, które Andro słyszał pierwszy raz w życiu. Wytworny mężczyzna wydał mu się człowiekiem z innej planety.

– Na świecie jest wiele ciekawych rzeczy, lecz niestety, niewiele z nich tu do nas dociera, nieprawdaż, Andro? – Mężczyzna zakończył swój monolog.

Andro zamarł ze zdumienia. Skąd tamten znał jego imię?

Zanim zdążył o to zapytać, mężczyzna położył na kartonie pudełko zapalek i nie pożegnawszy się, odszedł. Andro wziął pudełko do ręki i przyjrzał mu się. Na spodzie znalazł adres skreślony maleńkimi literami.

Andro miał poczucie, że staje się uczestnikiem jakiejś tajemnicy. Przez trzy dni nosił pudełko w kieszeni spodni i nawet Kitty nie powiedział o zagadkowym spotkaniu. Wyobrażał sobie różne historie, w które mógł być wplątany ten wytworny mężczyzna. Zastanawiał się, czego mógł od niego chcieć taki światowiec i skąd znał jego imię. Po trzech dniach nie wytrzymał i poszedł pod wypisany na pudełku adres.

Do małego mieszkania na poddaszu prowadziły kręte schody. Przywitał go Dawid, teraz ubrany w granatowy garnitur i z kieliszkiem brandy w ręku – alkoholem, który Andro znał tylko z książek.

– Jesteś subtelnym młodzieńcem. Masz w sobie wiele pożytecznych cech: intuicję, ciekawość świata, dobre maniery, dążysz do rzeczy wyższych i jesteś lojalny. Niestety, żyjemy w czasach, w których te zalety nie są w cenie. Gburowatość, nielojalność i pazerność, oto co jest na porządku dziennym.

Dawid szybko przeszedł do rzeczy, jak na gust Andra – zbyt szybko. Usiedli przy starym kaflowym piecu i Andro wypił pierwszy łyk brandy.

– Zdradzono myśl socjalistyczną. Zdradzono nas – zaczął Dawid. – A teraz mamy wojnę, chociaż chcieliśmy pokoju. Mamy niewolnictwo, które zamierzaliśmy zwalczyć, i dyktaturę, choć tęskniliśmy za wolnością. Pogwałcono nasze ideały, mój chłopcze. – Pokiwał głową, jakby chcąc przydać swym słowom znaczenia.

Andro milczał ze wzrokiem wbitym w podłogę. Wydawał się sobie nędzny i głupi, nie chciał wypaść jak niedoświadczony, niezorientowany w temacie chłystek. Milcząc, mógł przynajmniej pozorować, że poważnie zastanawia się nad wywodem swego rozmówcy.

– Lecz nadal istnieje nadzieja. – Dawid podjął wątek, mówiąc teraz tak, jakby wygłaszał mowę przed publicznością. Wstał i podszedł do Andra. – Istnieje szansa, by zwyciężyć tę przemoc i utworzyć wolną Gruzję, z której jak niegdyś będzie można swobodnie jeździć do Paryża czy Wiednia. Do tego

potrzebujemy jednak odpowiednich ludzi. Chcesz jeździć do Europy, nieprawdaż? – Do kieliszka Andra hojnie dolał rozgrzewającej brandy. – Potrzebujemy ludzi, którzy wiedzą, o co chodzi, a ty, chłopcze, wydajesz mi się jednym z nich. Jeśli wygramy tę wojnę, to wszystkie nasze nadzieje zostaną pogrzebane, nasze ideały szczyzną, granice zostaną zamknięte. Rozumiesz mnie?

Andro, oszołomiony nieco alkoholem, przytaknął. Podniósł wzrok i odwzajemnił szeroki uśmiech gospodarza.

Mieszkanie było urządzone po spartańsku, zupełnie nie pasowało do światowca, jakim wydawał mu się Dawid. „Może to rodzaj kamuflażu”, pomyślał Andro. Czuł się powołany do czegoś ważnego i nawet jeśli nie wiedział dokładnie, na czym miałyby polegać jego zadanie, było to ekscytujące. Coś mu podpowiadało, że nie wolno mu rozczarować Dawida.

A Dawid perorował na temat wolności i wartości, na temat granic i ucisku. Mówił o Europie, wymieniał nazwy i miejsca, które w uszach Andra brzmiały jak czysta magia, nieosiągalnie i romantycznie. Nazwy miejsc, które zawsze chciał zwiedzić, o których tak często z zachwytem opowiadał Kitty, w ustach Dawida brzmiały swojsko, wcale nie obco, wcale nie nieosiągalnie. Jakby właśnie wrócił ze spaceru przez Montmartre i teraz proponował, by Andro towarzyszył mu w kolejnym.

Słuchając Dawida, tak łatwo można było sobie wyobrazić stoły do gry w kasynie w Baden-Baden, lokale taneczne w Paryżu czy kawiarnie w Wiedniu. Elegancki mężczyzna nadal przemawiał do Andra, podsycając jego wyobraźnię kuszącymi wizjami i obiecując mu Wiedeń, wolność i cudowne perspektywy. Andro mógłby rozwinąć swój talent i zrobić karierę jako rzeźbiarz. Mógłby studiować w Europie.

– Niemcy zabiegali o wolność dla Gruzji. Dobrze wiedzą, że kolebka naszej rasy i cywilizacji znajduje się na Kaukazie. – Mężczyzna zniżył głos do szeptu. Usiadł znowu naprzeciw Andra i utkwiał w nim wzrok. – Słyszałeś może o Legionie Gruzińskim, mój chłopcze?

Andro przecząco pokręcił głową.

– Są to mężczyźni, którzy za granicą, przede wszystkim w Berlinie, walczą o wolną Gruzję. W ostatnich latach prowadzono tajne rozmowy z Niemcami, którzy obiecali, że kiedy Związek Radziecki zostanie pokonany, my odzyskamy wolność. Jako część wielkiej Rzeszy Niemieckiej utworzymy niezależne państwo i dostaniemy to, co nam się należy, rozumiesz mnie?

Andro przytaknął ostrożnie, choć nie był pewien, czy pojął dokładnie słowa mężczyzny.

– Możesz nam pomóc, Andro. Pomóc wygrać tę wojnę. Pomóc kształtować przyszłość tego kraju. Możesz stać się wolny, mój chłopcze. Zostałeś powołany na front, czy tak?

Andro, zdumiony, skąd ten człowiek tyle o nim wie, skinął głową.

– Zostaniesz posłany na Krym. Tam nawiązesz kontakty i otrzymasz zadanie. Ponieważ nie masz doświadczenia wojskowego, najprawdopodobniej zostaniesz skierowany do działu łączności radiowej.

To bardzo ważne zadanie, mój chłopcze. Za kilka miesięcy ściągniemy cię do Europy. Tam będziesz mógł z nami współpracować. Nasze komórki są wszędzie, w całej Europie Zachodniej, a wkrótce powstaną na całym świecie. I jeśli to wszystko kiedyś minie, będziesz mógł jeździć, dokąd ci się spodoba.

Andro, podchmielony i zaczerwieniony na twarzy, odsunął się nieco i opierając się o poręcz krzesła, opróżnił kieliszek brandy.

– Uch, ależ to mocne – rzekł z uśmiechem. – A co z moją kobietą?

– Masz żonę? – zapytał ze zdziwieniem elegancki mężczyzna.

– Wkrótce będzie moją żoną.

– Rozumiem. Miłość nie powinna nigdy stać służbie na drodze. Mogę cię zapewnić, że gdy tylko znajdziesz się w Europie i podejmiesz swoje obowiązki, wyślemy ją do ciebie. To wszystko wymaga jednak czasu. Tkwimy w oku cyklonu. Jest jeszcze wiele do zrobienia i każda para rąk jest ważna, Andro. Twojej żonie załatwimy fałszywe papiery i, rozumie się, z zachowaniem najwyższej ostrożności, pomożemy jej wydostać się z kraju.

– Jesteście jakimiś szpiegami, tak? – zapytał Andro i uśmiechnął się niepewnie.

Rozbolała go głowa. Próbował pojąć słowa mężczyzny. Próbował rozważyć jego propozycję.

Dawid poklepał Andra po ramieniu.

– Robimy po prostu swoją robotę na rzecz wolnej Gruzji.

– Ale to przecież znaczy, że współpracujecie z faszystami. Dlaczego właśnie faszyci chcą uczynić Gruzję wolnym krajem?

– Posłuchaj mnie, Andro, uważnie – powiedział mężczyzna nieco ostrzejszym tonem i znowu usiadł na oparciu fotela Andra. – Słyszałeś o Szałwie Magłakelidzem? To gruziński generał i prawdziwy demokrat. Przed rewolucją był generalnym gubernatorem Tbilisi. Po zajęciu Gruzji opuścił kraj i wyemigrował do Berlina. Tam w 1924 roku założył organizację oporu, Komitet Gruzjiński. Organizacja pracuje na rzecz oswobodzenia Gruzji z rąk okupanta. Na początku wojny założył jeszcze Gruzjiński Komitet Narodowy i zawarł umowę z Ministerstwem Spraw Zagranicznych Rzeszy, zgodnie z którą pod rządami wielkiej Rzeszy Niemieckiej Gruzja uzyska status wolnego państwa. Magłakelidze zgromadził na emigracji najlepszych gruzińskich żołnierzy i przyłączył ich do Wehrmachtu. Legion Gruzjiński liczy prawie trzysta tysięcy żołnierzy podzielonych na dwanaście batalionów. Do Legionu codziennie dołączają dezercerzy z Armii Czerwonej i jeńcy wojenni. A Magłakelidze został mianowany generałem brygady.

– Wydaje mi się, że powinienem już iść...

Andro się podniósł i zaczął szukać swego kapelusza. Mężczyzna nie ruszył się z miejsca ani nie spuścił wzroku z Andra.

– Twoja matka nie żyje, Andro. Zastrzelono ją jak tanią prostytutkę. Mogę przedstawić ci szczegóły na piśmie, jeśli cię to interesuje. Podam ci nawet cenę naboju, których użyto podczas egzekucji. Zastrzelono ją, bo chciała żyć wolna, w niepodległym kraju.

Andro, stojący już w drzwiach, odwrócił się powoli i spojrzał w twarz mężczyzny. Przypuszczenie, które stało się pewnością, zmieniło go i jego przyszłość na zawsze.

Kilka dni przed końcem roku Andro miał wraz z innymi żołnierzami opuścić Tbilisi i udać się w kierunku Krymu. Charków był już w rękach Niemców i coraz głośniej mówiono, że Wehrmacht na pewno dotrze na Kaukaz, że to tylko kwestia czasu.

W nocy przed wyjazdem Andro wśliznął się do pokoju Kitty, zbudził ją i zdradził jej swoje plany. Kitty, o krok od hysterii, błagała go, by nie podejmował tego ryzyka, bo zbyt się naraża, on jest niedoświadczony, a jeśli czerwoni go zdemaskują, nie będzie dla niego ratunku. Kitty nie chciała, by faszyci wygrali tę wojnę, nie chciała autonomicznej Gruzji pod kuratelą Rzeszy Niemieckiej.

– To przecież mrzonka, że zwycięstwo faszystów da wolność Gruzji. Błagam, nie bądź naiwny, opamiętaj się! Narazisz siebie i całą rodzinę na ogromne niebezpieczeństwo.

– Zobaczysz, jeszcze się okaże, że miałem rację – upierał się Andro. – Przecież Dawidowi też zależy na tym, żebym nie wpadł.

Kitty nie dała się przekonać i w końcu Andro zaczął na nią krzyżeć, ścisnął ją za łokcie, zaczął nią potrząsać i powtarzać, że musi mu wierzyć, musi mu zaufać. W tym kraju, w którym jego matkę zabito jak chore zwierzę, i w tym systemie nie ma już dla niego przyszłości. Woli raczej zaryzykować życie, ale mieć nadzieję, niż tonąć w tym bagnie.

Kitty patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie. Przytuliła wreszcie jego głowę do swojej piersi, jakby był małym dzieckiem. Próba pocieszenia przeszła w namiętne pocałunki i skończyła się w łóżku.

– Gdy tylko to będzie możliwe, ściągnę cię do siebie – powiedział cicho Andro, leżąc obok Kitty nago, w pozycji embrionalnej. – Przyjedziesz, prawda? No? Obiecuj mi! – Patrzył na nią wyczekująco.

– Przyjadę za tobą – powiedziała, kładąc mu palec na ustach.

Po raz pierwszy w życiu jego plany budziły w niej lęk.

Świat tańczył swój obłądny taniec. Rytm podawały szkielety pod ziemią. Rosły tylko czarne róże. Wszystkie drogi wydawały się chwiejnymi wiszącymi mostami, które w każdej chwili mogą się zerwać. Nawet śnieg miał niebieskawy odcień. Niebo było jak przedziurawione. Na horyzoncie widniały jakby otwory po pociskach, a znużone słońce nie dawało ciepła. Drzewa umawiały się z sobą szeptem i wieszały wzajemnie na swych konarach. Ptaki spadały z nieba, bo patrząc na taniec ziemi, zapomniały, jak się lata, a dzieci w mgnieniu oka stawały się dorosłe i zaczynały czyścić karabiny. Łzy były cenne i rzadkie. Tylko wykrzywione twarze były za darmo.

Czekolada stała się jedynie wspomnieniem z innej epoki, bez czekolady zapominało się słodycz, bez słodyczy zapominało się dzieciństwo, bez dzieciństwa zapominało się początek, a bez początku nie rozpoznawało się końca.

W eterze rozbrzmiewał głos Związku Radzieckiego, głos Sowinformbiura – był nim aksamitny bas Jurija Borysowicza Lewitana informujący niezmordowanie o grozie wojny, która w jego relacjach zawsze wyglądała trochę mniej przerażająco. Sam Generalissimus uważał, że ten głos przywraca narodowi ufność. Lewitan mówił:

Niemcy zostali wyparci z Rostowa. Sukcesy nad jeziorem Ładoga, „droga życia” jest znowu przejezdna. Mróz sprawia, że zamarły działania frontowe. Niemcy atakują z południa, przekraczają Wołgę. Niemcy zbliżają się do Stalingradu. Wydano rozkaz: ani kroku w tył! Dwieście czterdzieści tysięcy niemieckich żołnierzy zostało wziętych w kocioł.

A śnieg padał, duchy wędrowały po wzgórzach i odmawiały różaniec za zamarzniętych na śmierć.

W końcu września czerwony porucznik został wysłany nad Wołgę, do Kamyszyna, a Stazja zatelegrafowała do Kristine do Tbilisi, że nie może wyjechać z Moskwy, bo drogi są nieprzejezdne, i że Kostia stacjonuje w Leningradzie. Stazja została w moskiewskich koszarach i powoli zaczęła do niej docierać absurdalność jej planów. Niemądre wydało jej się teraz starać się dostać do Kostii. Zachodziła w głowę, jak mogła działać tak nierozważnie i zostawić samych Kitty i Andra.

Simon obiecał jej przed wyjazdem, że jeśli tylko nadarzy się okazja, pomoże jej wrócić do Gruzji. Ale i to w obecnej sytuacji wydawało się nierealne: nikt nie mógł jej zagwarantować bezpiecznej podróży. Znowu została schwyta w kleszcze wojny, zawładnął nią strach o rodzinę, musiała znosić zimno i głód. Zadawała sobie pytanie, jak mogła być tak głupia i dlaczego wszystkie jej próby scalania rodziny zawsze kończą się tym, że trafia na wojnę.

Tym razem jednak była lepiej przygotowana niż w Piotrogradzie. Wiedziała, do kogo może się zwrócić, żeby zdobyć towary na czarnym rynku, wiedziała, jak postępować z żołnierzami, którzy zostali w koszarach, jakich przełożonych miał Simon i który z nich ma wobec niego zobowiązania. Osiągnięciem było to, że w koszarach dostała pokój tylko dla siebie. Była przydatna w kuchni. Cerowała też i szyła płaszcze, koszule i mundury. Ale już kiełkowała w niej myśl o ucieczce.

Kristine nie napisała jej o powołaniu Andra do wojska, lecz Stazja wiedziała, że w każdej chwili można się tego spodziewać. W odróżnieniu od Kostii Andro nie był typem wojownika. A Stazja prosiła w myślach Sopio o przebaczenie, że nie została w Tbilisi i nie zatroszczyła się bardziej o jej syna.

Kiedy zaczęły spadać pierwsze bomby, a Stazja po raz pierwszy w życiu znalazła się w schronie urządzonym na stacji metra, uświadomiła sobie, że nie tylko nie uratowała własnego syna i nie ochroniła syna adoptowanego, lecz jeszcze sama siebie naraziła na niebezpieczeństwo. Ogarnął ją śmiertelny lęk.

Zrozumiała, że już od dawna nie jest widzem, lecz uczestnikiem tego przerażającego spektaklu, a od jej piotrogrodzkiego egzaminu z przetrwania minęło sporo czasu.

Pół miliona ludzi, głównie kobiet, wznosiło umocnienia na przedpolach Moskwy. Dla zmylenia pilotów niemieckich bombowców malowano na nich maskujące detale. Stazja śmiała się z samej siebie brutalnym śmiechem – była taka naiwna, sądząc, że można odciąć się od wojny. Teraz już wiedziała, że człowiek w sposób nieunikniony staje się jej częścią.

Rozpoczęła się powszechna mobilizacja. Wraz z innymi kobietami Stazja taszczyła worki z piaskiem, wznosiła barykady i zaciemniała okna. Niektóre żony czerwonoarmistów przenosiły się z dziećmi do koszar. Ich mężowie byli na froncie. Stazja siedziała podczas tych ponurych nocy w koszarowej kuchni przy kapuśniaku albo zupie ziemniaczanej i nie mogła oprzeć się uczuciu, że nigdy się stąd nie wydostanie, już nigdy nie zobaczy dzieci ani męża.

Wielki deszcz ustał, błoto wyschło i Niemcy maszerowali na Moskwę. Kiedy rozpoczęła się ewakuacja, wybuchła panika. Ludzie rozpalali na ulicach ogniska i palili dokumenty. Mężczyzn niezdatnych do służby wojskowej zapędzano do zaminowywania ważnych budynków. Widziało się ich, jak szli ostrożnie trotuarem, niczym żonglerzy, niosąc w rękach materiały wybuchowe, jakby byli częścią elegijnej, a zarazem makabrycznej choreografii (kiedy w 2005 roku rozbierano hotel Moskwa, w jego piwnicach znaleziono prawie dwie tony materiałów wybuchowych).

Z mauzoleum usunięto zmumifikowane zwłoki Lenina, a Kreml pomalowano na zielono. Na ulicach wyjazdowych z miasta mocowano na uwięzi balony, by utrudnić ataki nurkujących samolotów. W archiwach palono dokumenty. Wszystkie fabryki, szkoły i instytucje zostały zamknięte, a w końcu przestała też działać komunikacja.

Dworce były przepełnione. Pociągi jechały do Kirgizji, Tatarstanu, Kazachstanu, w miejsca, o których dotychczas nigdy się nie słyszało, daleko, jak najdalej. Jazda pociągiem trwała wiele dni, a podróż statkiem – wiele tygodni. Tworzono listy grup zawodowych, które ewakuowano do wyznaczonych miejscowości. Pociągi przewoziły do nich członków partii, związku pisarzy, akademii nauk, jak również lekarzy, botaników, inżynierów, chemików, fizyków, maszynistów, a nawet całe orkiestry dęte. Uprzywilejowani wyjeżdżali szybciej, a ci, którzy do nich nie należeli, musieli czekać, a potem pchać się do wagonów i walczyć o miejsce, choćby stojące.

Stazja wmieszała się w tłum, tak jak inne kobiety z koszar, po chwili jednak się zgubiła, potem znowu wynurzyła się z ludzkiej masy, ktoś chwycił ją za rękę, każąc jej iść naprzód. Dokument ewakuacyjny do Tatarstanu ukryła w paszporcie w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Na Dworcu Kazańskim ciżba ludzka utworzyła jedno olbrzymie cielsko o dwóch nienaturalnie wielkich ramionach i dwóch nogach, nieforemnym tułowi i monstrialnej głowie. Stazja zatrzymała się, odłączając się od innych kobiet, które spieszenie podążały z dziećmi i walizkami na perony, zauważyła bowiem niewielką grupkę ludzi różniącą się od innych i zaczęła się jej przyglądać.

Ludzie ci wsiadali do wagonów dziwnie powoli i elegancko, pomagając sobie wnosić bagaż, i nieustannie rozglądali się wokół siebie, jakby trudno im było opuścić miasto. Stazja zapytała jakiegoś mężczyznę, co to za grupa, a ten odparł zniecierpliwiony, że to tancerze Teatru Wielkiego.

Stazja nie mogła oderwać od nich oczu. Filigranowa tancerka spostrzegła Stazję i skinęła na nią ręką. Stazja podeszła bliżej.

– Z jakiego pani jest teatru? – spytała młoda kobieta i posłała jej serdeczny uśmiech.

Pytanie tancerki Teatru Wielkiego wywołało w Stazji dziecięcy dreszcz radości, a jej pierś napełniła się dumą. Została wzięta za tancerkę! Potem z zawstydzeniem zwiesiła głowę i wymamrotała nazwę prowincjonalnego miasta.

– Wszystko jedno. My, artyści, szczególnie w tych strasznych czasach, musimy trzymać się razem,

prawda? – ośmielała Stazję młoda tancerka, czyniąc ręką zapraszający gest. – Pani ma zapewne przy sobie dokument ewakuacyjny? Na pewno znajdziemy dla pani miejsce, proszę się nie martwić.

Stazja była bliska skorzystania z zaprosin i już-już miała wejść do pociągu, którym jechać nie miała prawa. Przez moment poddała się iluzji, że znów ma siedemnaście lat, że czeka na nią Paryż i Ballets Russes, że jeśli tylko odpowiednio się przyłoży i weźmie dostatecznie dużo lekcji tańca, na pewno będzie mogła zatańczyć partię Szeherezady w Théâtre du Châtelet. Jej ręka powędrowała na piersi, gdzie pod koszulą miała coś ciężkiego, co stale przy sobie nosiła i co dziwnie ją uspokajało – złoty zegarek Tekli. Cofnęła się o krok, zobaczyła zniecierpliwione spojrzenie tancerki, pokręciła z uśmiechem głową, dziękując za zaproszenie, i wmieszała się w tłum.

Spostrzegła ją żona oficera z koszar i zaczęła do niej machać.

– Pospiesz się, Stazjo, w pociągu już tłok, no chodźże!

Ale Stazja poczuła w sobie nagle przerażającą ciszę, obejmującą wszystko obojętność. Ciągłe oglądała się za siebie, na tamtych tancerzy, lecz zasłaniało ich zbyt wielu ludzi.

„Dlaczego miałabym jechać do Tatarstanu?”, pomyślała.

Jedynym rozsądnym celem był dom. Ale ona nie chciała wsiadać do pociągu, który zawiezie ją do rodzinnego miasta, by żyć tam nie swoim życiem. Powinna była wieść życie, które doprowadziłoby ją do pociągu z tancerzami, nie do Kamy ani Tatarstanu. Nie tam. Tam nie było jej życia. Tutaj też nie.

Żona oficera machała i wołała, ale Stazja odwróciła się do niej plecami i torując sobie drogę przez tłum w dworcowej hali, wyszła na świeże powietrze. Jak lunatyczka szła przed siebie, byle dalej od dworca i przepelnionych pociągów. Niosła niewielką torbę niczym zdetronizowany król berło. Kiedy doszła do szerokiej, przerażająco pustej alei, syreny zaczęły wyć na alarm, ale nic zrobiło to na niej wrażenia.

Skreśliła w boczną ulicę i usiadła przed wejściem do pustego domu. Wyciągnęła z torby papierosa i zapaliła. Popatrzyła w niebo. Nie było widać bombowców. Też dobrze. Zawsze coś.

W tym samym momencie pewna kobieta w innym mieście usiadła na wilgotnej ziemi i spojrzała w niebo. Miasto było od miesięcy odcięte od świata, a przeżycie w nim zakrawało na cud. Kobieta była chuda jak Stazja, tylko wyższa. Miała oliwkową cerę i wyglądała na starszą, schorowaną, a w jej czarnych jak noc włosach srebrzyły się siwe pasemka. Nosiła połatany jesienny płaszcz, miała zapadnięte policzki, usta suche i spierzchnięte, a palce pozbawione pierścionków i pobrudzone ziemią. Wraz z innymi kobietami zbierała w jednym z publicznych parków warzywa i teraz zmęczona odpoczywała. Ostatniej zimy schudła jedenaście kilo, a najcenniejszą rzecz, jaką posiadała – pianino – sprzedała. Nie po to, by na nim grano, lecz na opał. Pozbyła się też prawie wszystkich płyt, bo od czasu blokady nie mogła słuchać żadnej muzyki. Muzyka otwierała jej rany, a tego nie chciała. Już nie.

Przeżyła widok masowych śmierci. Przeżyła głód. Przeżyła zmniejszenie racji chleba do dwustu gramów dziennie. Przeżyła widok zamrożonych ciał ludzi, którzy na ulicy umarli z głodu. Widziała

takich, którzy jedli własne buty, psy, koty, klej albo wrony. Przeżyła tysiące bomb, które od czasu oblężenia miasta zostały na nie zrzucone. Ale muzyki by nie przeżyła. Muzyka sprawiłaby – była o tym przekonana – że serce, które teraz jeszcze jakoś w niej kołatało, ścisnęłoby się tak, że padłaby martwa.

Ponieważ nie miała męża ani dzieci, nie była kaleka ani ranna, znalazła się na bardzo dalekim miejscu na liście osób przewidzianych do ewakuacji. Musiała się przygotować na nadchodzącą zimę z siedmiuset tysiącami innych ludzi, którzy zostali w mieście. Ostatnia zima wryła się w pamięć mieszkańców Leningradu w sposób tak okrutny, że mechanicznie i bez emocji przygotowywali się na nadejście kolejnych koszmarnych miesięcy. Bo że koszmar powróci, z całym jego powalającym majestatem, nie wątpił nikt. Patrzyła na swe odmrożone, spierzchnięte ręce, w które wżarł się brud. Żyła terażniejszością. Chwilą. Zadawała sobie pytanie, tak jak czyniła to wcześniej, czy właściwie wie, dlaczego tak zawzięcie, tak konwulsyjnie walczy o to, by pozostać przy życiu.

Dwudziestego szóstego października Niemcy zajęli Istrę, miejscowość oddaloną od Moskwy o sześćdziesiąt kilometrów. Termometr pokazywał minus trzydzieści cztery stopnie. Dzień wcześniej Generalissimus wydał rozkaz rozpoczęcia kontrofensywy pod dowództwem Żukowa. Szóstego listopada Generalissimus wygłosił w moskiewskim metrze uroczyste przemówienie, w którym chwalił nieustępliwą postawę narodu radzieckiego oraz siłę oporu Armii Czerwonej. Dzień później na placu Czerwonym zorganizowano nawet defiladę z okazji rocznicy rewolucji październikowej. Armia radziecka maszerowała w mundurach zimowych i letnich, niektórzy żołnierze byli w hełmach, inni z gołą głową. (Gdy po wojnie generał Eisenhower w obecności marszałka Żukowa powiedział, że oburza go zupełny brak szacunku Rosjan dla życia własnych obywateli podczas tej wojny, ten uśmiechnął się tylko i odparł: „Rosyjskie kobiety urodzą nowych”).

Pod koniec listopada Niemcy zbliżyli się do Moskwy na odległość dwudziestu kilometrów. Drugiego grudnia niemiecki batalion pancerny wdarł się na przedmieścia stolicy, a Niemcy przez lornetki widzieli już Kreml. Symboliczna wymowa tego faktu spowodowała wśród niemieckich żołnierzy wybuch euforii – w obliczu spodziewanego wkrótce zajęcia Moskwy niebezpieczeństwa rosyjskiej zimy schodziły na drugi plan. W Moskwie mówiło się o muzyce marszowej, przygotowanej na specjalne zamówienie Hitlera, która miała rozbrzmiewać podczas defilady na ulicach radzieckiej stolicy.

Ponieważ NKWD zdobyło informacje, że Japonia nie planuje ataku na Związek Radziecki, niektóre dywizje z północy kraju zostały wycofane i wysłane do stolicy. Piechota maszerowała na nartach albo w butach zimowych w kierunku Moskwy. W nocy z 4 na 5 grudnia radzieccy spadochroniarze wylądowali koło Juchnowa. Ubezpieczano i zajmowano tory kolejowe oraz ważne drogi. Jednocześnie rozpoczęto kontrofensywę na zachodzie.

Wehrmacht nie liczył się z tak mocnym przeciwuderzeniem, reagował z opóźnieniem i w sposób nieskoordynowany. Wieczorem piątego grudnia armia niemiecka otrzymała rozkaz odwrotu.

Siódmego grudnia Sowinformbiuro podało kolejną sensacyjną wiadomość, tym razem z innego miejsca na świecie: Japończycy zaatakowali bazę amerykańskiej marynarki Pearl Harbor koło Honolulu. W odpowiedzi Stany Zjednoczone wypowiedziały Japonii wojnę i tym samym stały się uczestnikiem powszechnej apokalipsy. Hitler, z obawy że straci Japonię jako sojusznika, wypowiedział Amerykanom wojnę.

W połowie stycznia Hitler wydał rozkaz całkowitego odwrotu spod Moskwy, lecz do tego czasu armia niemiecka poniosła już wielkie straty nie tylko za sprawą rosyjskich kul i granatów, lecz przede wszystkim niezwykle niskich temperatur panujących owej zimy. Niemieccy żołnierze musieli, wycofując się, pozostawić niemal cały sprzęt wojenny, ponieważ nie dysponowali ani końmi, ani maszynami, by zorganizować jego transport. Przemarznięci, pozbawieni werwy opuszczali miasto. Prześladowała ich piosenka:

*U wrót Moskwy batalion stał
Trzydziesty Czwarty, tak się kiedyś zwał.
Choć Kreml z dalaśmy widzieli,
Uciec nagleśmy musieli.
Napoleon kiedyś też tak wiał.*

Kitty szła pod górę, w kierunku Willi Kristine. Weszła do zaniedbanego ogrodu otaczającego willę i położyła się na wilgotnej ziemi. Zamknęła oczy i liczyła świecące robaczki tańczące pod powiekami i zmieniające się w gwiazdki. Kristine, wróciwszy właśnie ze szpitala, w którym pełniła służbę pielęgniarstwa w pełnym wymiarze godzin i do którego, oprócz wielu radzieckich rannych, trafiało w ostatnim czasie coraz więcej niemieckich jeńców, zatrzymała się przed oszklonymi drzwiami i zobaczyła siostrzenicę, która wyciągnęła się na trawie i nieobecny wzrokiem patrzyła w niebo. Wzięła mały stołeczek i usiadła obok Kitty.

– Jakie plany ma Andro? Widzę przecież, że jesteś niespokojna. Powiedz.

– Wszystko w porządku, Kristine. Naprawdę. Tylko tak strasznie za nim tęsknię. I martwię się o ojca...

– Nie okłamuj mnie.

– Ja naprawdę nic nie wiem.

– To ważne, żebyś mi powiedziała, co wiesz. Możemy mieć kłopoty, Kitty. I to wielkie. Gdzie on jest? I dlaczego nie można go znaleźć przez komisariat wojskowy?

– Nie wiem, gdzie jest Andro, choć bardzo chciałabym wiedzieć.

Gęste rzęsy Kitty ukrywały prawdę. Kristine obserwowała ją spod oka. Jej siostrzenica często udawała istotę niczego nieświadomą. Przed czym Kitty chciała teraz chronić Andra? Czego się bała? Może Andro przyłączył się do partyzantów? Dopóki było to tylko przypuszczenie, ani Kristine, ani Kitty nic nie groziło. A może Andro już dawno poległ? Coś jednak mówiło Kristine, że nie o to chodzi.

Oczywiście wyobraźni ujrziała swego siostrzeńca, choć w ostatnich miesiącach wołała o nim nie myśleć. Widziała jego starannie obcięte paznokcie, ciemne oczy, wyprostowaną sylwetkę, słyszała, jak ładnie się wysławia. Tak chętnie wzięłaby go w ramiona, czule ucałowała w policzki, jak to czyniła zawsze, kiedy był mały i kiedy wszyscy mieszkali w jednym domu. Zmierzyłaby mu czuprynę, wetknęła po kryjomu do ręki słodycze i wszystko byłoby jak dawniej. Ramas pojawiłby się w drzwiach, zawołał ją...

Kristine zaczęła wyjmować z włosów spinki, którymi była przypięta woalka zasłaniająca jej twarz, twarz złożoną jakby z dwóch zupełnie różnych części...

„Jak mało wiemy – pomyślała. – My, którzy pozostaliśmy, my, niemi, jak bardzo boimy się tego, co czeka nas na końcu. Jak bardzo nienawidzimy, gdy nasi bliscy nas pozostawiają, i jak mało możemy uczynić, żeby tak się nie stało”.

Dotknęła pleców Kitty, która ciągle leżała bez ruchu, odwrócona twarzą w drugą stronę.

– Kitty, popatrz na mnie.

– Kristine, proszę...

– Spójrz na mnie!

Kitty posłuchała, odwróciła się i z ociąganiem usiadła. Nagle zasłoniła sobie usta dłonią, żeby nie krzyknąć. W jej szeroko otwartych oczach pojawiło się przerażenie. Kiwała głową rytmicznie niczym wańka-wstańka.

– Popatrz na mnie spokojnie: przeżyłam nawet to. Teraz już się nie boję. Obie sobie poradzimy – powiedziała Kristine, próbując rozciągnąć wargi w uśmiechu.

Kitty ciągle jeszcze trzymała dłoń przy ustach.

– Gdzie jest Andro?

– Proszę?

– Powiedz mi, gdzie on jest. Może nie jest jeszcze za późno. Stazja jeszcze nie wie, że zniknął. Myśli, że jest na Krymie.

– Na pewno tam jest. Tam go wysłano.

– Ale nie miał zamiaru tam zostać, prawda? Kim oni są? Partyzantami, anarchistami, liberałami? Do jakich szaleńców się przyłączył?

– Nie wiem.

– Mów!

– Nie mogę...

Kitty zaczęła szlochać. Płakała niepowstrzymanie. Płakała i nie pozwalała się pocieszyć.

Kristine patrzyła na nią bez słowa, czekając, aż się uspokoi.

– Czego nie możesz? – zapytała po chwili.

Kitty naraz uniosła sukienkę i odsłoniła wyraźnie zaokrąglony brzuch.

Kristine podniosła się ze stołka. Przez krótką chwilę Kitty wydało się, że widzi w oczach Kristine wściekłość i obrzydzenie. Poczowała się zdradzona. Czekwała na słowa, które potwierdziłyby to odczucie, lecz Kristine tylko skinęła głową i w milczeniu weszła do domu. Kitty poszła za nią.

W kuchni Kristine rzekła:

– Mam jeszcze składniki akurat na jedną porcję. Przechowałam je na najgorsze czasy. A może na najlepsze. Myślę, że to, co mamy teraz, to jedno i drugie. I dlatego zrobię ci gorącą czekoladę. Po śmierci ojca znalazłam jego notes. Stazja nie chciała mi zdradzić receptury. A jakie przytaczała bzdurne argumenty! „Czekolada jest niebezpieczna, przynosi nieszczęście, ojciec nie bez przyczyny strzegł tego przepisu jak źrenicy oka”. No, naprawdę!

– O czym mówisz?

– Zobaczysz.

I tak Kristine ugotowała Kitty pierwszą gorącą czekoladę. Nie przeczuwała, że nieszczęście, którego obawiał się jej ojciec i które spadło na Stazję, gdy wróciła do domu Tekli z dwoma biletami na pociąg,

nie oszczędzi również Kitty.

Tego samego wieczoru Stazja miała sen na jawie. Przyszła do niej Tekla, wzięła ją za rękę i poprowadziła przez pokoje swojej petersburskiej willi, pustej, jeśli nie liczyć stojących przy ścianach luster, więc Stazja szła za nią, lecz kiedy już jej się wydawało, że jest na tyle blisko, by dotknąć rękawów jej szlafroka, Tekla się oddaliła i zawołała ją z innego pokoju. W końcu Tekla zatrzymała się przed jednym z wielkich luster, którego Stazja nigdy wcześniej nie widziała, i ostrożnie zdjęła z niego pokrowiec. Stazja zobaczyła w lustrze dwa odbicia – siebie i zadowoloną twarz Tekli, ale kiedy się odwróciła, żeby na nią spojrzeć, Tekli już nie było.

Stazja została w Moskwie. Nie było jeszcze drogi, którą można by bezpiecznie opuścić miasto. Trwała więc i czekała na znak życia od męża, od syna, od siostry. Kristine na prośbę Kitty przemilczała jednak najważniejszą wiadomość: że pośród umierania powstaje nowe życie i że swoje przyjście na świat zapowiada nowy obywatel.

Konstantin Jaszi każdego ranka budził się z krzykiem punktualnie o piątej czternaście, wyrывая z snu trzech kolegów, z którymi dzielił kwaterę. Współlokatorzy patrzyli na niego z łagodnym uśmiechem, zapewniając, że wszystko jest w porządku i nie ma niebezpieczeństwa, że wszyscy jeszcze żyją – czy na szczęście, czy na nieszczęście, tego Kostia nie mógł odczytać z ich twarzy.

Od września uczestniczył w operacji na jeziorze Ładoga, a tym samym, choć o tym nie wiedział, dzieliły go od Idy zaledwie trzydzieści dwa kilometry. Ida tymczasem wraz z innymi kobietami i mężczyznami wznosiła wysokie na metr barykady w sześciu sektorach podzielonego Leningradu. Brała udział w patrolowaniu ulic, budowała pasy zapór przeciwczołgowych. Resztki rozsądku podpowiadały jej, że stale musi mieć zajęcie. Kostia nie wiedział, że kobieta, której nie mógł zapomnieć, której zapach go prześladował, już w pierwszym roku blokady przeżyła ostrzał trwający bez przerwy przez osiemnaście godzin, przeżyła siedemdziesiąt tysięcy bomb, jakie spadły na miasto, przeżyła głód, choroby i zimno. A Ida nie wiedziała, że Kostia, pływający w konwoju „drogą życia”, przerzucił do Leningradu na holownikach i motorówkach ponad czterdzieści cztery tysiące ton żywności i ponad sześćdziesiąt tysięcy ton ropy. Że wśród długotrwałego ostrzału ewakuował pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Kostia nie wiedział również, że Ida tak samo często jak on myśli o ich milczącej i aż do śmieszności niemożliwej, a jednak dającej im siłę przetrwania bliskości. A Ida nie wiedziała poza tym, że piechota morska i żołnierze 54. Armii dobrowolnie ograniczali własne racje żywnościowe na rzecz uwięzionych mieszkańców Leningradu, żeby choć trochę złagodzić im piekło straszliwej zimy. Tak, Ida nie przeczuwała, że jadła chleb, którego zrzekł się Kostia.

Zima była bezlitosna. Jezioro zamarzło. Dostawy przychodziły nieregularnie i z trudnościami. Ludzie nosili wodę z Newy. W mieście ciągle wybuchały pożary, paliły się meble, płonęły mieszkania. Każde z nich słuchało w radiu tych samych ostrzeżeń. Każde z nich wypilo kieliszek wódki na zakończenie

1941 roku. Dzieliły ich trzydzieści dwa kilometry „drogi życia” albo – jak dla kogo – „drogi śmierci”.

Żadne z nich nie wiedziało, co czeka na końcu tej drogi. Jednostka Kostii stacjonowała na południowym brzegu jeziora, po stronie Szlisselburga. Sam nigdy nie był w tym mieście. Listów właściwie nie pisał. Rok wcześniej otrzymywał jeszcze rozpaczliwe listy od matki, pocztówki znaczone wiśniowymi odciskami ust od siostry i podtrzymujące na duchu telegramy od ojca. Ale jakiś czas temu korespondencja się urwała i on też nie zadawał sobie trudu, żeby podtrzymać kontakt z rodziną. Wojna odebrała mu język i uczucia. Nie mógł uwolnić się od widoku martwych ciał – a widział już wiele śmierci. Wyrzekł się wspomnień.

Nie odchodziło tylko to jedno wspomnienie – upierścienionej kobiety z Wyspy Wasiljewskiej. Szedł za nim zapach Idy. Silniejszy od zapachu śmierci. Jej wspomnienie wryło mu się w pamięć, we włosy, w skórę, nie mógł go pomylić z niczym innym ani się go pozbyć. I było niebezpieczne – osłabiało, otwierało się niczym rana.

Na wiosnę Hitler wydał rozkaz, by Grupa Armii „Południe” podeszła pod sam Stalingrad. W lecie 1942 roku Stalingrad stał się dla Hitlera – ze względu na swe położenie geograficzne i strategiczne – celem priorytetowym. Przez Stalingrad przepływała Wołga, jedna z najważniejszych dróg zaopatrzenia dla radzieckiego wojska. Miasto miało też wymiar symbolu: w 1918 roku Generalissimus został w nim mianowany „pełnomocnikiem do spraw masowych rozstrzeliwań sabotażystów i partyzantów”. Tu rozpoczęła się jego polityczna kariera.

*Mój Boże, mam do Ciebie jedną tylko prośbę:
Zniszcz mnie, rozetrzyj na pył,
strąć do piekieł, nie pozwól mi
zatrzymać się w pół drogi,
ale odbierz mi nadzieję
i zniszcz mnie szybko, na zawsze.*

Danił Charms

W lipcu rozpoczęła się operacja Edelweiss będąca kontynuacją operacji Fall Blau. Wehrmacht zajął właśnie Noworosyjsk, jeden z najważniejszych punktów strategicznych radzieckiej marynarki, w sierpniu zaś zdobył Krasnodar w Kubaniu. Wkrótce potem Niemcy opanowali drogę, którą przemieszczały się gruzińskie wojska. Na szczycie Elbrusu zawisła flaga Rzeszy.

Dziecko Kitty miało przyjść na świat w listopadzie, dwa tygodnie przed operacją Uran, na kilka miesięcy przed przeniesieniem Andra na front francuski, do Legionu Gruzickiego, w szczytowym punkcie masowych zgonów w Leningradzie, którym Kostia niezmordowanie próbował zapobiec. Ale pewnego ciepłego, wrześnieowego popołudnia przypominającego lato, po niespełna dziewiętnastoletnią Kitty, która z powodu rozmiarów brzucha musiała zrezygnować z ochotniczej służby w szpitalu, przyjechało trzech czerwonoarmistów.

Kitty wsiadła z nimi do auta, nie stawiając oporu. Możliwe, że myślała, że chodzi o znak od Andra, o wiadomość o nim, na którą tak długo czekała. O cień nadziei. Zapowiedź przyszłości. Po dwugodzinnej jeździe wysiedli na wsi na południe od Tbilisi – jej dokładnej lokalizacji niestety nie znam – i weszli do opuszczonego budynku szkoły. Podczas jazdy panowało milczenie, pytania Kitty o cel podróży pozostawały bez odpowiedzi. Weszli do pustego pokoju z wiszącym na ścianie kiepskim, ponadnaturalnej wielkości portretem Generalissimusa i dwiema opuszczonymi ławkami szkolnymi, zniszczonym krzesłem i karafką z wodą.

Tam przez prawie godzinę kazano jej czekać, choć była zmęczona i miała spuchnięte nogi. Kitty raz po raz wyglądała na zewnątrz, wołała, żeby ktoś wreszcie z nią porozmawiał, ale nikt nie odpowiadał. W końcu do klasy weszła kobieta w mundurze Armii Czerwonej w towarzystwie niskiego mężczyzny w cywilu. Usiedli naprzeciw niej i zaproponowali jej szklanek wody. Kobieta uśmiechała się uprzejmie, mężczyzna unikał wzroku Kitty.

– Towarzyszko Jaszi. Przepraszamy, że zostawiliśmy was samą na tak długo. Wiemy, że w waszym stanie przy tym upale to trudne. Spieszymy więc wyjaśnić, o co nam chodzi. Jak sama wiecie, w naszej ojczyźnie trwa wyniszczająca wojna. Generalissimus próbuje wszystkiego, co możliwe, by bronić wolności i niezależności naszych narodów. W tej morderczej wojnie walczą najlepsi obywatele, a wy niewątpliwie rozumiecie, jak ważna w takim czasie jest lojalność, wierność ojczyźnie i wiara w socjalizm, prawda? I wiecie też, co oznacza zdrada. Zgadzacie się z nami, towarzyszko Jaszi? – Kobieta mówiła z moskiewskim akcentem.

Miała subtelną twarz i wargi pomalowane na czerwono. Szminka wprawdzie w upale trochę się rozpułyła i usta przypominały usta klauna.

Kitty przez cały czas jak zahipnotyzowana wpatrywała się w te usta. Niepozornie wyglądający mężczyzna zaczął chodzić po pokoju. Zapadał mrok. Nie zapalano światła.

– Czego ode mnie chcecie?

Może właśnie wtedy Kitty pojęła, że ta podróż nie przyniesie wiadomości, na jaką czekała. Lecz nie przeczuwała też, do czego to wszystko zmierza. Nie miała niczego do ukrycia. I była w zaawansowanej ciąży. Nie czuła się zagrożona. Nie знаła jeszcze ceny swoich złudzeń.

– Ojciec waszego dziecka zdradził nasz kraj. Związał się z faszystami i walczy przeciwko nam. Przeciwko swojej ojczyźnie. Przeciwko swoim przyjaciołom. Bez ogródek pytam was jak kobieta kobietę, jak towarzyszką towarzyszkę: gdzie teraz znajduje się wasz narzeczony, jesteście przecież zaręczeni, nieprawdaż? Proszę powiedzieć, gdzie obecnie przebywa, a bez zwłoki odwieziemy was do domu.

Kitty wpatrywała się w usta kobiety. Jej głos był przyjemny, miękko brzmiący. Chociaż wymawiała słowa energicznie i stawiała żądania, brzmiało to tak, jakby jej schlebiała. Słowa nie pasowały do brzmienia jej głosu.

– Od momentu powołania do wojska nie miałam od niego żadnych wiadomości. Nie wiem, niestety, gdzie teraz jest. Wątpię też bardzo, by Andro zdradził ojczyznę – powiedziała cicho Kitty i objęła brzuch rękami. – Czy mogą państwo zapalić światło? Ja pani prawie nie widzę.

– Proszę nam wierzyć, towarzyszko Jaszi, my też chcemy wracać do domu, ale musicie zacząć z nami współpracować. Inaczej długo tu jeszcze posiedzimy.

Kitty widziała już tylko zarys sylwetki kobiety. W głosie tamtej słyhać było już zniecierpliwienie. Kitty miała jednak nadzieję, że rozmowa zaraz się skończy i pozwolą jej wrócić do domu. Z jakiegoś powodu pocieszająca wydała się jej myśl, że przesłuchuje ją kobieta.

– Ja naprawdę niczego nie wiem. Andro nie jest zdrajcą, zapewniam was, on by nigdy... – Kitty czuła się bezradna, nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć.

– Jeśli będziecie ukrywać fakty, nigdy stąd nie wyjdziemy. – Kobieta oparła twarz na prawej ręce i lekko przechyliła się w stronę Kitty.

– Ale ja naprawdę nic nie wiem.

I tak to trwało godzinami, które Kitty wydawały się długie niczym dni. Spokojny, przyjazny głos blondynki i zawsze te same odpowiedzi Kitty. Milczący mężczyzna w tle. Ciemność. Błady blask księżycy, wlewający się do wnętrza przez pozbawione firanek okna. Nerwowe ruchy Kitty, jej huśtanie się na krześle, kiwanie głową, ogryzanie paznokci. Wzdychanie. Spokojny, łagodny ton kobiety, który naraz wydał się Kitty wcale nie uspokajający, lecz przerażający. Ten głos wprowadził Kitty w błąd, dał

jej złudną nadzieję. Stopniowo traciła poczucie czasu. Kiedy niebo za oknem poszarzało, Kitty zaczęła płakać. Płacz przeszedł w histeryczny szloch. Była głodna, bała się, czuła gwałtowne ruchy dziecka, jego strach.

Błagała, żeby ją wypuszczono, zawieziono do domu, ona nic nie wie, ona nic nie wie, ona nic nie wie. Kobieta ignorowała jej rozpaczliwe prośby i mechanicznie powtarzała pytania, aż Kitty zaczęła wzywać pomocy. Wtedy przesłuchująca, która dotąd siedziała nieporuszona, jakby była z marmuru, zerwała się i wybiegła. Do klasy weszło dwóch czerwonoarmistów, chwyciło Kitty pod łokcie i wywlokło ją na korytarz. Potem zaciągnęli ją do ciemnej piwnicy i zamknęli. Kitty szarpała za klamkę i biła pięściami w drzwi, wykrzykiwała dzikie obelgi, groziła, przeklinała, a w końcu błagała, żeby ją wypuszczono, odwoływała się do ich sumienia, wołając, że dziecko, które nosi pod sercem, jest niespokojne, lecz nikt nie reagował. Kompletnie wyczerpana położyła się na zimnej posadzce i zasnęła.

Kiedy się obudziła, leżała na noszach, skórzane pasy unieruchamiały jej łydki i górną część ciała. Znajdowała się znowu w tym samym pomieszczeniu, w którym poprzedniego wieczoru odbywało się przesłuchanie. Odsunięto tylko ławki i zdjęto portret Generalissimusa – stał na podłodze, odwrócony i oparty o ścianę. W miejscu, z którego go zdjęto, pozostał jasny prostokąt, proporcjonalny i zdumiewająco czysty.

Nie miała siły krzyczeć. Nie próbowała też uwolnić się z pasów, wiedziała, że to daremne. Przesunęła się trochę w lewo, szukając wygodniejszej pozycji, w której rzemienie nie wrzynałyby się tak w ciało. Nieosłonięta żarówka pod sufitem osłepiała ją zimnym, jaskrawym, prawie białym światłem. Kitty zamrugała i odwróciła głowę na bok.

W kącie siedziała kobieta w mundurze. Kitty spojrzała w jej stronę. Tym razem też nie mogła oderwać wzroku od jej czerwonych ust. Były perfekcyjnie umalowane. Kobieta miała piękne, harmonijne rysy, niewielki nos, który wyglądał niemal jak namalowany, i elegancką, wysoko upiętą fryzurę, która dziwnie nie pasowała do tego miejsca. Jakby przybyła tu z jakiejś wytwornej uroczystości, żeby załatwić uciążliwą i nieprzyjemną robotę, a potem jak najszybciej powrócić do świętowania.

Kim była? Skąd przyszła? Z jakiego świata? Jak ten świat pachniał? Czy była w nim kochana? Czy sama kochała? Czy była czasami smutna? Czy lubiła pomidory, a może wolała ogórki? Kochała góry czy raczej morze? Chodziła późno spać, miała dzieci? Czy miała matkę, która śpiewała jej kołysanki? Czy jej skóra pachniała trochę słodko?

Kitty przyglądała się jej przez chwilę, choć było jej trudno odwracać głowę w tym kierunku, bo pasek na łydce wrzynał się wtedy w ciało. W jakiś niezdrowy sposób cieszyła się, że znowu widzi tę kobietę. Ona jeszcze istniała. Jeszcze czegoś od niej chciała. Jeszcze patrzyła na nią z opanowaniem, ze współczuciem, więc nie przekaże jej temu prymitywnemu, milczącemu mężczyźnie, nie posunie się do ostateczności. Ale czym właściwie była „ostateczność”? Czarną, ciemną i głuchą dziurą bez końca? Czy

cełą z odgłosami kapiącej wody? Kolejnymi rzemieniami? Czy tylko powtarzającymi się w nieskończoność pytaniami o miejsce pobytu Andra? Skóra blondynki połyskiwała w niebieskawym świetle niczym porcelana. Nie pasowała do tego opuszczonego, prymitywnego miejsca. Nie, ta kobieta nie posunie się do ostateczności, Kitty nie miała co do tego wątpliwości. Była na to zbyt piękna, zbyt schludna. A poza tym była kobietą. Kobieta, tak jak ona.

Pot wystąpił Kitty na czoło, była głodna, miała spierzchnięte usta. Kobieta podniosła się, podeszła do niej wolno i zbliżyła karafkę z wodą do jej ust. Kitty piła łapczywie. Połowa wody spłynęła jej po twarzy, ale i tak choć na chwilę przyniosła jej ulgę.

– Rozumiem, że niełatwo wam to wszystko znieść, ale musicie z nami współpracować.

Blondynka wytarła Kitty pot z czoła wytworną chusteczką wyciągniętą z wewnętrznej kieszeni żakietu munduru. Chusteczka pachniała słodkawo, tak jak Kitty domyślała się, że musi pachnieć skóra tej kobiety. Słodkawo, uwodząco, nawet nieco znajomo. To spostrzeżenie przeraziło Kitty.

– Jestem głodna... Chcę do domu. Proszę. Ja nic nie wiem – mechanicznie mamrotała Kitty.

Jej oczy były zwrócone na jasny prostokąt na ścianie. Było przedpołudnie czy popołudnie? Czy Kristine już jej szukała? A jeśli tak, jakie miała szanse, że ją znajdzie?

– Zdradźcie mi miejsce pobytu narzeczonego, nazwisko tego, kto go zwerbował, jakiś adres, informację, która coś nam da, a osobiście odwiozę was do domu. Ale coś musicie mi powiedzieć, Ketewan!

– Czy myślicie, że naraziłabym dziecko na coś takiego, gdybym coś wiedziała? Tak długo czekałam na wiadomość od niego, nie wiem nawet, czy on żyje, a on nie wie, że będziemy mieć dziecko, które urodzi się już za dwa miesiące. Andro nie jest zdrajcą, on tylko chciał pojechać do Wiednia...

– Do Wiednia, dobrze, dobrze, to już jakiś początek. Kogo znał w Wiedniu? Czego tam szukał?

– Nie znał nikogo, chciał po prostu jechać do Wiednia, bo tam są piękne kawiarnie, bo to kolebka psychoanalizy i można... Andro chce być rzeźbiarzem. Proszę. Ja nic nie wiem. Dziecko się niepokoi, czuję to.

– Wy sama jesteście dzieckiem, moja mała. Rodzice powinni was byli lepiej chronić.

– Mój ojciec jest w Armii Czerwonej, brat służy we Flocie Bałtyckiej. Służą ojczyźnie, służą Generalissimusowi...

– To wiemy, wiemy, i tym bardziej godne pożałowania jest to, że właśnie wy wybraliście zdrajcę na ojca swego dziecka.

To zdanie długo dźwięczało Kitty w uszach. Sposób, w jaki blondynka je wypowiedziała, miał w sobie coś wstrętnego.

Kitty wróciła do piwnicy, potem znowu została wyprowadzona i przypięta pasami do noszy. Mijały godziny. Straciła rachubę dni i godzin. Bolało ją całe ciało, czuła niepokój swego dziecka. Dwukrotnie

dano jej do jedzenia niesłoną breję. Trzy razy wsunięto jej pod pośladki nocnik. Łapały ją skurcze rąk i nóg. Brakowało jej sił, miała halucynacje, cały czas zaciskała mocno powieki, bo jaskrawe światło uniemożliwiało sen. Za każdym razem, gdy czuła kopanie dziecka, wpadała w panikę, zaczynała wzywać pomocy i dopiero gdy dziecko się uspokajało, milkła wyczerpana.

W pewnej chwili blondynka stanęła tuż przy noszach. Miała w ręku strzykawkę i przyglądała się jej zawartości w białym świetle żarówki.

– Jeśli nie uzyskam od ciebie żadnej konkretnej informacji – przejście na ty wydało się Kitty groźniejsze niż strzykawka w ręce kobiety – sztucznie wywołamy poród i urodzisz martwe dziecko.

Przesłuchująca ją mówiła z namysłem, afektownie przeciągając każde słowo. Ton jej głosu pozostał miękki, niemal przypoehlebny, jakby przekazywała Kitty informację o radosnej niespodziance.

Kitty z całej siły zaczęła napierać górną częścią ciała na krepujący ją pas, chcąc się wyswobodzić. Dziwiła się, skąd naraz wzięła się w niej ta siła. Jednocześnie wydała z siebie krzyk, przeraźliwy i nieludzki, który na chwilę ją ogłuszył. Kobieta stała obok niej wyprostowana, kiwając współczująco głową. Kitty wyciągnęła rękę pod paskiem i dosięgła końca żakietu munduru kobiety. Blondyna nie ruszała się z miejsca, nie próbowała też odepchnąć ręki Kitty. Dalej trzymała strzykawkę uniesioną pionowo w górę.

– Nie mówi pani serio, prawda? Chce mnie pani tylko nastraszyć, wiem przecież, widzę to po pani. Jesteście mili, czujecie do mnie sympatię. Zgadza się? Nie chcecie mi nic zrobić, chcecie mnie tylko przestraszyć, a w strzykawce jest tylko woda, nie, nie mówi pani poważnie! – Kitty wypowiadała szybko, bez tchu jedno słowo za drugim.

Blondyna zdawała się przez chwilę uwięziona między ręką Kitty chwytającą jej żakiet a widokiem strzykawki. Między decyzją, by dalej grać w tę złowrogą grę albo uwolnić Kitty. Tak przynajmniej się wydawało. Tak, ta kobieta, dziesięć albo piętnaście lat starsza od Kitty, na pewno miała dzieci. Na pewno nigdy nie zrobiłaby tego, czym groziła, chciała tylko pokazać swemu przełożonemu, że w pracy nie ustępuje swoim kolegom. Jednak w tej samej chwili blondyna przywołała kogoś.

Do pokoju weszła dziewczyna w białym fartuchu. Była mniej więcej w wieku Kitty i bała się, bardzo się bała – to było widać. Drżące ręce schowała w kieszeniach fartucha. Unikała wzroku blondyny, nie patrzyła też wprost na Kitty. Woląa pewnie, żeby nie było tego miejsca, tej klasy, tych ludzi.

Na pewno pochodziła ze wsi. Miała rumiane policzki i spaloną słońcem skórę. Może jej rodzice albo mąż mieli gospodarstwo. Kiedy zatrzymała się przed blondyną, nie mogła już zignorować Kitty i zaczęła cicho odmawiać *Ojczyzna nasz*, co blondyna skwitowała wzgardliwym spojrzeniem.

– Towarzyszka Jaszi nie chce nam pomóc, Mariam. Zdradza nasz kraj. Kryje zdrajcę ojczyzny i jak widzisz, ma zamiar urodzić kolejnego zdrajcę. Czy uważacie, że to słuszne? Uważacie, że to dobre, Mariam?

Słuchając tych słów, Kitty poczuła, że robi jej się niedobrze. Próbowwała skoncentrować się na Mariam, zaleźnionej dziewczynie, którą wmanewrowano tu w coś, co przerastało jej wyobraźnię, sprawiało, że kolana miała jak z waty, że zbladła.

„Mariam, Mariam, Matka Boska”, pomyślała Kitty i gdyby mogła, głośno by się roześmiała. Zawsze podejrzliwie traktowała świętych, których nadal czczono w jej kraju, nawet w czasach kwitnącego komunizmu. Nigdy nie rozumiała, dlaczego ludzie godzili się na męki i ból w imię Boga, który nie wybawił ich swoim cierpieniem. Mariam jako świętą można by jeszcze przełknąć, w tym białym fartuchu, z drżącymi rękami, niewinnymi oczami cielęcia. Jednak nawet ona nie mogła uratować Kitty ani samej siebie.

Blondyna wcisnęła Mariam strzykawkę do ręki, chwyciła ją za nadgarstek i spojrzała w oczy. Mariam pisnęła, próbując coś powiedzieć, ale zamilkła i cofnęła się pod naciskiem wzroku kobiety. Palce Mariam objęły strzykawkę. Kobieta cofnęła się kilka kroków i skinęła na towarzyszkę. Dziewczyna zaczerpnęła powietrza, jej usta otwierały się i zamykały jak pyszczek ryby wyłowionej z wody.

– Zaczynaj!

Kitty usłyszała polecenie blondyny i poczuła, jak Mariam dotyka jej łokcia. Zaciśnęła powieki. Zdawało się jej, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. Próbowwała w myślach rozmawiać z dzieckiem, próbowała je uspokajać. Nie chciała, żeby się bało. Zaciśnęła palce na noszach. Poczuła na twarzy coś mokrego i zobaczyła pochyloną nad sobą Mariam, której łzy kapały na jej twarz. Po raz pierwszy spojrzała tamtej prosto w oczy. Jaskrawe światło żarówki tworzyło aureolę wokół jej głowy. Kitty oblizła wargi i poczuła słony smak łez Mariam.

– Boże, zmiłuj się nade mną, Boże, zmiłuj się nad nią, Boże, zmiłuj się nad nami – szeptała Mariam pochylona nad Kitty.

Blondynka podeszła z tyłu do swojej pomocnicy i powiedziała jej coś na ucho, a wtedy twarz dziewczyny wykrzywił grymas.

Kitty zdała sobie sprawę, że Mariam szuka żyły na jej przedramieniu, a potem poczuła coś zimnego i nieodwołalnie rozchodzącego się po jej ciele. Blondyna opuściła pomieszczenie i zostawiła Kitty sam na sam z Mariam.

Dziewczyna zwolniła zapięcia pasów. Na rękach i udach Kitty widniały krwiaki.

Mariam ciężko westchnęła, łzy płynęły jej po twarzy, nie starała się ich nawet wycierać. Nieprzerwanie się modląc, pomogła Kitty się podnieść.

Wszystko ją bolało i Kitty jęczała przy najmniejszym ruchu, obejmując swój brzuch.

– Co było w tym zastrzyku? – Mówienie przychodziło jej z trudem, nogi zwisały bezwładnie z noszy.

Zamiast odpowiedzieć, Mariam pokręciła głową.

– Co tam było? Co!?

Kitty podniosła głos, wyciągając rękę w kierunku dziewczyny, lecz zanim zdołała chwycić ją za rękaw kitla i przyciągnąć do siebie, niewyobrażalny ból w podbrzuszu rzucił ją na nosze.

– O Boże, nie, nie! To niemożliwe, to niemożliwe, o Boże! – Kitty zaczęła krzyczeć.

Ból owładnął nią z potworną siłą, rozrywał ciało. Kitty była pewna, że go nie przeżyje – odbierał jej jasność umysłu. W rzadkich momentach, kiedy znikał, próbowała przygotować się na śmierć, próbowała przypomnieć sobie łagodną twarz martwego dziadka. Jego usta miały niebieskawy odcień. Może i jej się uda odejść łagodnie i bez lęku, zasnąć głębokim, zdrowym snem. Wszystko będzie lepsze niż to tutaj, lepsze niż ten ból, lepsze niż ta klasa i ten jasny prostokąt na ścianie.

Mariam znowu chwyciła jej rękę, zachęcając Kitty, żeby parła. Raz po raz namawiała ją, żeby głęboko oddychała. I kiedy Kitty była już pewna, że za moment umrze, poczuła, że spomiędzy jej nóg wyslizguje się coś dużego, coś okrągłego, poczuła rękę Mariam wyciągającą jej dziecko i opadła na nosze. Ból raptownie ustał. Kitty zamknęła oczy.

– Módl się dalej. A ja z tobą... – Kitty nie miała odwagi otworzyć oczu.

Mariam rozpoczęła modlitwę. Kitty powtarzała za nią.

– Ojczy nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...

Nie było słyhać żadnego krzyku. Żadnego. Żadnego dźwięku.

– ... Przyjdź królestwo Twoje. Bądź wola Twoja...

Dziecko milczało. Może ono po prostu urodziło się nieme, na pewno tak.

– ... jako w niebie, tak i na ziemi.

Jakiś szelest. Mariam się poruszyła. Może dziecko się poruszyło, może oddychało.

– ... Chleba naszego powszedniego...

Kitty nie wytrzymała dłużej, otworzyła oczy, zobaczyła plecy Mariam, fartuch popraskany krwią. Zobaczyła, że Mariam trzyma w ramionach jej dziecko.

– ... daj nam dzisiaj. I odpuść nam...

Kitty podłożyła sobie pięści pod kość ogonową i podparła się na łokciach, żeby lepiej widzieć.

– ... nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym... – Mariam się odwróciła. Nie odmówiła modlitwy do końca. Nie było już o co prosić Boga.

– Mów dalej, mów dalej!

Kitty zaczęła krzyczeć, ale Mariam tylko potrząsnęła głową, tuląc mocno w ramionach maleńkie, martwe, zakrwawione ciało.

– Przywiąż ją znowu pasami! – rzuciła blondyna przez drzwi.

Lecz Kitty zsunęła się z noszy i nie patrząc na swoje dziecko, zaczęła na czworakach czołgać się do drzwi. Zanim zdołała je otworzyć, do pomieszczenia wpadł czerwonoarmista, jeden z tych z samochodu, chwycił Kitty, przeniósł z powrotem na nosze i znowu ją przywiązał.

– Musi jeszcze urodzić łożysko! – krzyknęła przestraszona Mariam. – Co z was za ludzie! – Jej rosyjski był ciężki i urywany, a głos gardłowy i ochrypły.

Kitty nic więcej nie słyszała. W jej głowie zapadła zupełna ciemność. Nie widziała więc, że Mariam zawinęła martwe ciało w fartuch i wyniosła z pomieszczenia.

Kiedy Mariam wróciła i znalazła nieprzytomną Kitty, zaczęła wołać pomocy, na co w sali zjawiła się blondyna.

– Ona się wykrwawia! Tyle krwi, Matko Boska, Jezu, święta Nonno, musimy zatrzymać krwawienie, inaczej umrze...

Blondyna przez chwilę patrzyła na zalane krwią podbrzusze Kitty, potem zwróciła się do Mariam.

– Zatrzymaj krwawienie. Wszystko, co potrzebne, znajdziesz w piwnicy w metalowych szafkach. Trzeba usunąć jej macicę. Inaczej umrze, a tego przecież nie chcesz. A tak nie wpadnie już na pomysł, by wydać na świat kolejnych zdrajców. Potrafisz przecież operować.

– Nie! Nie potrafię! Nigdy jeszcze sama nie operowałam, nie jestem przecież lekarzem, pomagałam tylko w poliklinice, umiem tylko zakładać i wyjmować szwy.

– Mówią, że jesteś dobra. Dlatego cię sprowadziłam. Więc staraj się dobrze wykonać zadanie. Każę przynieść ci morfinę. Środki dezynfekcyjne też są w piwnicy. Możesz rozpocząć natychmiast!

– Nie potrafię. Nie potrafię! – Mariam protestowała coraz bardziej histerycznie.

– No cóż, w takim razie ta kobieta wykrwawi się na śmierć.

– Nie, nie... Nie możecie tego ode mnie żądać. Zadzwońcie po lekarza. Proszę!

– Jeden z moich ludzi będzie ci asystował. Nie zemdleje, to pewne. A gdybyś wpadła na jakiś głupi pomysł, wiesz, jakie to będzie miało skutki.

– Dobrze, spróbuję.

– Jeśli przeżyje, weźmiesz ją z sobą na wieś, a kiedy będzie mogła znowu chodzić, wyślesz ją do domu. A ty masz trzymać język za zębami, jasne? I przekaz jej: gdy tylko narzeczony nawiąże z nią kontakt, ma się zgłosić na najbliższy komisariat, jeśli nie chce, żeby... No, ona już zrozumie.

Mariam wezwała czerwonoarmistę, kazała mu umyć ręce spirytusem i podawać narzędzia. Podczas operacji nie przestawała rozmawiać z Kitty.

– Nie wolno ci się poddać. Jesteś silna. Damy sobie radę, ale nie możesz przestać walczyć. Ja wiem, trudno mi zaufać, bo nie jestem lekarką. Zawsze chciałam wykonywać ten zawód. W poliklinice był bardzo dobry lekarz, a że nie mieliśmy we wsi prawdziwego szpitala, to on operował, i to całkiem nieźle. Wszystkich pacjentów stawiał na nogi. Porody, żółtaczkę, artretyzmy, gruźlice, wszystkim się zajmowałam. Mieliśmy też poronienie, kobieta do dziś żyje i jest zdrowa. Dam sobie radę. Jestem dobra. Wierzysz mi? Wierzysz czy nie?

Mariam rozmawiała tylko z Kitty. Nie z Bogiem. Usunęła Kitty macicę w klasie, która z sali tortur

przemieniła się w salę operacyjną. W klasie, w której zdjęto portret Wodza, by nie obrażać jego oczu haniebnym widokiem porodu martwego dziecka i zalanej krwią kobiety. Mariam dotrzymała słowa. Uratowała życie Kitty i swoje. Dziecka Kitty nie mogła uratować.

Kiedy blondyna i jej grupa opuścili wieś, Mariam przeniosła Kitty do szopy za wsią i zaczęła ją pielęgnować. Ze szkolnej piwnicy wzięła potrzebne leki, postarała się o czysty materac i świeżą pościel dla Kitty, przyniosła jej ciepłego mleka i chleba, a nawet zarznęła kurę, którą upiekła na ognisku. Przemycowała zaczerwienione rany pooperacyjne i głaskała Kitty po głowie. Trzeba było zbić gorączkę, łagodzić ból, karmić Kitty, przygotowywała więc różne mieszanki ziołowe, kładła się koło Kitty na materacu i wpatrywała w nicość, w którą zwrócone były oczy jej podopiecznej.

Po kilku dniach Kitty zapytała:

– Gdzie jestem?

– W szopie mojego brata. On jest na froncie, gdzieś na północnym Kaukazie. Nie chciałam cię brać do swego domu, do rodziców. Byłoby zaraz niepotrzebne gadanie, ludzie na wsi się boją. Ci z NKWD byli już we wsi parę razy i porządnie wszystkich wystraszyli. Oni wykorzystują stary budynek szkoły na... W każdym razie ludzie tu są podejrzliwi, nikt nie chce kłopotów. Ale teraz jesteśmy bezpieczne.

– Dlaczego mnie wzięłaś?

– A co innego miałam zrobić? Umarłabyś. Już dobrze. Wypij mleko. Mamy krowy, więc zawsze jest świeże. Miałaś wysoką gorączkę, ale to normalne.

– Muszę wracać do domu. Muszę zadzwonić do Kristine. Jak długo tu jestem?

– Dokładnie od tygodnia. Nie możesz jeszcze wstawać, chodzić też nie.

– Co zrobiłaś?

– Musiałam to zrobić, inaczej zastrzeliliby nas obie. Kiedyś wzięli jedną pielęgniarkę z sąsiedniej wsi, nie wróciła już, bo nie chciała operować. W ostatnim tygodniu przywieźli tu trzech mężczyzn, zastrzelili ich w lesie i spalili. – Mariam ukryła twarz w dłoniach, drżała.

Kitty usiadła, patrząc na nią skamieniała.

Po chwili Mariam odważyła się objąć Kitty, ale ta nawet nie drgnęła.

– Ja wiem... To, co się stało, jest nieodwracalne. – Mariam jęknęła, przytuliła się do pleców Kitty i wtuliła twarz w zagłębieniu jej karku.

– Co masz na myśli? – Słowa przychodziły Kitty z trudnością.

– Nie możesz... Twoja macica... – jąkała się Mariam.

Przez kolejne noce Mariam czuwała przy Kitty, leżała obok jej materaca na zwykłej derce i dopiero nad ranem zasypiała głębokim snem i nic jej się nie śniło. Po kilku dniach Kitty wstała i wsparta na Mariam wyszła na dwór, na słońce. Było cicho, cykały tylko świerszcze. Szopa znajdowała się obok pola kukurydzy, na końcu wąskiej ścieżki wysadzonej wysokimi cyprysami. Dalej było widać zielone

garby wzgórz.

Kitty mrużyła oczy. Miała wysuszone usta. Słoneczne ciepło koło, przynosiło ciału ulgę. Wstała, poruszając tylko lekko głową w jedną i drugą stronę, powoli podniosła ręce do góry, ostrożnie przebierając palcami. Poruszała się, jakby robiła to po raz pierwszy, jakby dopiero uczyła się chodzić, myśleć, żyć.

W nocy Mariam rozpałała ognisko. Noc była jasna, niebo pełne gwiazd, biały jak marmur księżyc świecił zielonkawym światłem.

– Co takiego zrobiłaś? – zapytała Mariam ledwie dosłyszalnym głosem, grzebiąc kijem w popiele. – Jesteś taka młoda, co uczyniłaś, że tak z tobą postąpili?

– Nic.

– Co zrobił twój mąż?

– Chciał po prostu pojechać do Wiednia... To był chłopiec, prawda? – zapytała nagle Kitty, patrząc w żar ogniska.

– Tak.

– Jaki był? Duży, mały, miał śliczne małe piąstki? Włosy?

– Był piękny. Nie cierpiał. Nawet nic nie poczuł. To krótko trwało.

– Gdzie teraz jest?

– U aniołków.

– Przestań gadać bzdury. Gdzie go zaniósłaś?

– Pochowałam go. W ogrodzie za szkołą.

– Nie zaczynaj znowu płakać, proszę cię. Weź się w garść.

– O Boże, Kitty... Lepiej by było, gdyby nas zastrzelili.

– Przestań. Nie becz. No, nie rycz, mówię. Nie miałaś wyboru. Uratowałaś mi życie.

– Wcale nie. Wszystko zniszczyłam.

Kitty wstała i zaczęła powoli kręcić się w kółko. Z głową odrzuconą do tyłu, ze wzrokiem w gwiazdach. Jej usta rozchyliły się jakby w uśmiechu.

– Ostrożnie, nie możesz się jeszcze poruszać, uważaj na szwy!

– Kiedy to wszystko się skończy, wszystko jedno jak i kiedy, dojdę, kim ona jest, i zabiję ją. – Kitty powiedziała to opanowanym głosem, zaczerpnąwszy głęboko powietrza.

Mariam nie odpowiedziała. Wróciły do szopy.

Kiedy Kitty odzyskała siły i mogła chodzić bez pomocy Mariam, poszła do opuszczonego budynku szkoły, który mimo wybitych okien wyglądał tak zwyczajnie i nie kojarzył się z niczym groźnym. Wędrowała zimnymi korytarzami, wchodziła do pustych klas, szukając pomieszczenia, w którym wyrwano dziecko z jej brzucha. Portret Generalissimusa znowu wisiał na ścianie. Patrzyła długo, bardzo

długo na twarz wąsatego mężczyzny, jakby widziała go po raz pierwszy. Wyszła na zewnątrz i usiadła na suchej ziemi. Gołębie gruchały, grzebiąc w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Ziemia była ciepła, obojętnie świeciło słońce. W oddali słychać było traktor.

Kitty uważnie badała wzrokiem teren – to gdzieś tutaj Mariam musiała pochować jej synka. Gdzieś tutaj musiało leżeć jego ciało. Pod dębem, prawie na końcu terenu należącego do szkoły, zauważyła mały kopczyk. Podeszła tam, osunęła się na kolana i zaczęła go rozgrzebywać gołymi rękami. Ziemia stawiała opór, jakby chciała odwieść Kitty od jej zamiaru. Po pewnym czasie Kitty na coś się natknęła. Wyczuła ciało. Zrobiło jej się słabo. Zamknęła oczy, macała dalej. Pachniało czymś nieodwołalnym. Kitty krzyknęła. Krzyk przeciął powietrze tylko raz, krótko. Potem zapanowała cisza i zdawało się, że ta cisza jest święta. Był to dobry dzień, by zacząć żyć, dzień, w którym w powietrzu fruwały delikatne biedronki i leniwe trzmielce, dzień, w którym powinno się leżeć w cieniu, jeść dojrzałe figi i miękkie owoce kaki. Dzień, który całkowicie należał do życia.

Ręce Kitty rozpoznawały nos i owal twarzy, maleńkie brwi, usteczka. Wewnętrznym, trzecim okiem zobaczyła jego twarz. Twarz, której wtedy nie widziała, której ani razu nie pogłaskała, której nie zobaczy ani płaczącej, ani śmiejącej się, ani śpiącej, ani czuwającej. Na zawsze zachowa synka w swoich snach, w świecie równoległym, będzie istniał pod jej zamkniętymi powiekami. Tam będzie z nim żyła, z nim będzie zasypiała i budziła się. W myślach dała mu imię i na powrót usypała kopczyk.

Szarpnęło nią, jakby miała zwymiotować, lecz nie miała czym. Nad jej głową przefrunęło stado ptaków. Ciągnęły ją szwy.

Delikatnie głaskała kopczyk ziemi. „Możesz przychodzić do mnie w snach, będziesz to robił, prawda? Będę śpiewała ci piosenki, wszystkie piosenki świata, i to będzie nasz znak, że cię wołam. Będę cię wszędzie z sobą zabierała, dokądkolwiek pójdę. Będziesz wiedział, że jestem, i ja będę wiedziała, że jesteś. To wystarczy, musi starczyć na całe życie”.

Wyciągnęła się na ziemi, przywarła do niej twarzą, poczuła na języku jej smak. Jakby połknęła gorycz, zakosztowała właściwego: miłości do swego dziecka – kruchej, bolesnej, fizycznie odczuwalnej, a zarazem miękkiej, odsuwającej w cień wszystkie inne.

Miłości, której nie sposób było z niej wyrwać. Która rozrywała ją od wewnątrz, która szarpała przy lada poruszeniu, tysiąc razy mocniej niż szwy.

Niepewne promienie jesiennego słońca przesuwają się po wzgórzach, schodzą w dolinę, ku wsi, na podwórko szkoły, głaskały kości Kitty. Światło miało barwę starej cegły. Gdzieś zaskrzeczała wrona. Kitty zmusiła się, żeby wstać. Z drzewa obok spadła na trawę ostatnia dojrzała figa. Wokoło brzęczały muchy.

W tym samym czasie Kostia prznosił ciężki wór z mąką i podał go następnemu marynarzowi, a ten postawił wór na platformie ciężarówki. Nagle wydało się Kostii, że czuje intensywny, upajający,

znajomy zapach. Zastanawiał się, skąd go zna. Był to zapach wytwórni czekolady dziadka. Kostia otarł pot z czoła i nie wiadomo czemu pomyślał o swojej młodszej siostrze, od której od dawna nie miał żadnych wieści. „Nie tęsknisz za bratem? Twoje myśli są ciągle przy Andrze? Gdzież on teraz jest? Posłali go na północny Kaukaz?” Te myśli przebiegały mu przez głowę, ale nie zastanawiał się nad nimi długo i chwycił następny wór z mąką. Od północy dochodziły odgłosy strzałów, lecz Kostia nauczył się je ignorować – były dostatecznie daleko.

Kitty przygotowywała się do powrotu do domu. Pociągi jeździły nieregularnie, chodziły też słuchy o bandach złodziei grasujących na dworcach. Byłoby bezpieczniej, radziła Mariam, gdyby poprosiła któregoś z gospodarzy o zawieszenie do miasta. Poczta we wsi od dawna była zamknięta, nie można było wysłać telegramu do Kristine.

Kitty czuła się niezręcznie, biorąc od Mariam pieniądze na drogę, lecz nie miała wyboru.

– Co będziesz robiła dalej? – zapytała Kitty przyjaciółkę przy pożegnaniu. Przyjaciółkę, która nie powinna nią być.

– Wrócę do domu, do rodziców, i rozejrzę się za pracą u lekarza w sąsiedniej wsi. Naszą poliklinikę zamknęli kilka miesięcy temu.

– Przyjedź do Tbilisi.

– Wolne żarty. Co miałabym robić w wielkim mieście?

– Wszędzie brakuje lekarzy. Ja też pracowałam w szpitalu.

– Nie jestem lekarzem, Kitty.

– Jesteś najlepszą lekarką, jaką znam.

Kitty mocno przycisnęła do siebie swoją świętą Mariam, a ta po chwili odgarnęła jej kosmyk włosów z czoła.

– Proszę, wybacz mi, jeśli możesz – wyszeptła Mariam na pożegnanie.

Kristine odruchowo zakryła usta ręką, widząc w drzwiach Kitty. Kitty bez brzucha.

Wynajęty woźnica wysadził Kitty przy Dużym Targu i stamtąd doszła piechotą do Wery, stromymi ulicami wiodącymi pod górę.

Kristine uklękła przed nią i zaczęła całować jej ręce. Kitty nigdy jeszcze nie widziała ciotki tak wzruszonej. Kristine głaskała jej twarz i dłonie, ramiona, gładziła ją po włosach, całowała w czoło, policzki, szyję. Wcześniej przez wiele dni zwracała się do władz, obeszła wszystkie komisariaty w mieście, wypytywała o siostrzenicę starych znajomych, ale bezskutecznie. Nikt nie potrafił jej powiedzieć, co się stało z Kitty.

– Co oni ci zrobili, co oni ci zrobili? – pytała raz po raz Kristine.

Kitty pozwalała się całować i głaskać, lecz jej wzrok był pusty. Nie była rozmowna.

– Chce mi się jeść, jestem zmęczona, muszę coś zjeść, a potem spać, tylko spać.

Kristine zaczęła gorączkowo otwierać szafki kuchenne i wyjmować na stół wszystko, co znalazła. Postawiła na gazie garnek i rozgrzała patelnię.

– O mało nie umarłam z niepokoju. Nie wiedziałam, co mam robić. Co się stało, Kitty?

Krojąc chleb, Kristine skaleczyła się w palec wskazujący i znieruchomiała na widok cieknącej krwi. Zafascynowana patrzyła na czerwoną ciecz.

Kitty wstała, zaprowadziła Kristine do umywalki i opłukała koniuszek jej palca wodą.

– Już dobrze, nic złego się nie stało – powiedziała i spojrzała na ciotkę.

Na twarzy Kristine malowało się przerażenie.

W nocy Kristine czuwała przy Kitty, zwrócona do niej połową twarzy, która nadal była piękna. Kitty wolałaby być sama, ale Kristine wydawała się tak przestraszona, że Kitty nie miała odwagi jej poprosić, żeby sobie poszła.

– Gdzie jest dziecko? – spytała nagle Kristine.

Pokój zalegała ciemność. Kitty widziała zarys pięknego profilu Kristine i poczuła nieprzepartą chęć dotknięcia jej twarzy. Chodziło jej jednak o lewą stronę, tę z bliznami, wyżartą kwasem, którą Kristine nie tak dawno jej pokazała, by jej powiedzieć, że razem dadzą sobie radę, że przetrwają, cokolwiek nastąpi. Ale stało się inaczej.

– Co robisz?

Kristine drgnęła i cofnęła się, kiedy Kitty dotknęła ręką jej policzka, a potem nosa, by przejść na lewą stronę, przysłoniętą białą woalką.

– Zostaw, proszę.

Lecz Kitty nie posłuchała ciotki i dalej dotykała jej pomarszczonej skóry. Skóra pod palcami była twarda niczym u jakiegoś prehistorycznego zwierzęcia, ostatniego okazu wymarłej rasy.

Po chwili Kitty zaczęła opowiadać, spokojnie i ze szczegółami, co zaszło w budynku szkoły, o blondynie, o pasach, którymi była przywiązana, o zastrzyku, o Mariam, o pytaniach, o ciągle zadawanych pytaniach, na które nie знаła odpowiedzi. Opowiadała o bólach porodowych, o narodzinach martwego dziecka, o operacji, o dniach spędzonych w szopie, w której pielęgnowała ją Mariam. Opowiadając, przesuwała nieustannie ręką po bliznach Kristine. Wymacywała ich nierówności i zagłębienia i łudziła się, że poznając mapę Kristine, stworzy sobie własną. Mapę, która wskaże jej, jak żyć dalej. Mapę przetrwania. Mapę, która pomoże jej wyjść z klasy w opuszczonej szkole, z białym prostokątem na ścianie, pomoże jej przebyć własną pustynię, w której nie było niczego poza palącym słońcem i małym kopczykiem pod drzewem.

Jej palce wyczuły oczodół. Znalazły miejsce, gdzie kiedyś była brew, miejsce, w które – być może – każdego ranka po obudzeniu Ramas całował Kristine albo w które może uderzyła się jako dziecko i rodzice, chcąc ją ukoić, scałowywali jej ból. Miejsce, które miało swoją historię, a które już nie istniało

i nie potrafiło pisać na tej twarzy żadnych innych historii. Miejsce zniekształcone ciemnym uderzeniem skrzydła trującego ptaka, który przeleciał nad Kristine. Lecz miejsce wydarte w ciele Kitty nie było widoczne. Jej ciało nie nosiło żadnych jawnych śladów zniszczenia. Nikt nigdy ich nie zobaczy.

– Gdzie jest Andro? – zapytała Kristine, kiedy Kitty przerwała swoje zwierzenia i przestała dotykać jej twarzy.

– Proszę, nigdy o to nie pytaj. Nigdy, nigdy, słyszysz!?! – Kitty podniosła głos, potem odwróciła się na łóżku plecami do Kristine i podkuliła nogi. – Nie wiem, gdzie jest, i nie chcę wiedzieć!

Dowódcą 6. Armii, która dysponowała dwustu pięćdziesięcioma tysiącami żołnierzy i kilkoma batalionami pancernymi oraz jednostkami wojsk sprzymierzonych, mianowano generała Paulusa. Dwudziestego trzeciego sierpnia 1942 roku pierwsze niemieckie czołgi dotarły do linii Wołgi na północ od Stalingradu. Tego samego dnia Luftwaffe zaatakowała miasto.

W początkach sierpnia, kiedy dowódcą obrony Stalingradu był generał Czujkow, porucznik Jaszi dowodził 36. batalionem strzelców. W lecie 1942 roku, w pierwszych dniach niemieckiej ofensywy, z ponad sześciuset tysięcy mieszkańców Stalingradu życie straciło czterdzieści tysięcy. Ani masowe umieranie ludności, ani głód i bombardowania w trakcie stu sześćdziesięciu dziewięciu dni bitwy o to miasto nie były dla Kremla argumentem za ewakuacją mieszkańców. Przeciwnie, dwudziestego piątego sierpnia Generalissimus ogłosił, że „zamieni Stalingrad w niezwyciężoną twierdzę”.

Tego późnego lata z wierzchołków i wielkich konarów dębów rozlegał się historyczny rechot duchów.

Dwunastego września do miasta wdarły się oddziały niemieckiej 6. Armii – flaga na Dworcu Głównym zmieniała się trzy razy w czasie trzech godzin. Za sprawą Luftwaffe miasto przypominało krajobraz księżycowy. Paliwo ze zniszczonych aut i ścieki z uszkodzonej kanalizacji płynęły wprost do Wołgi, przez co stalingradzkie inferno nabrało dodatkowego dramatyizmu. Dziesięć dni później Niemcy opanowali dworzec, który już wcześniej z piętnaście razy przechodził z rąk do rąk. Rozpoczęła się potworna walka o każdy dom, każdą ulicę. Liczyła się każda piędź ziemi. Po czterdziestu dniach Stalingrad zamienił się w śmiertelny labirynt bez wyjścia. Rozpoczęła się – jak mówiono – „wojna szczurów”, bo większość mieszkańców ukrywała się w kanałach. Miasto bombardowały dwa tysiące stukasów Luftwaffe. W listopadzie prawie całe znalazło się w rękach Niemców. Osiemdziesiątego pierwszego dnia walk, kiedy zaczęła się ostatnia niemiecka ofensywa, tylko nieliczne rosyjskie punkty oporu dotrzymywały Niemcom pola. I tu z pomocą przyszło Rosjanom bezlitosne zimno. Ponieważ Luftwaffe z powodu złych warunków atmosferycznych nie mogła dokonywać nalotów, a drogi dojazdowe, którymi planowano dostarczać zaopatrzenie dla niemieckiego wojska, były zablokowane, generał Czujkow zyskał czas na przygotowanie kontrofensywy – operacji Uran. Czujkow ściągnął prawie milion żołnierzy z południowej i północnej linii frontu i zaczął zaciskać pętlę wokół Stalingradu. Dywizje północna i południowa spotkały się dwudziestego trzeciego listopada i zaczęły otaczać miasto, a tym samym niemiecką 6. Armie.

Chociaż niemiecki sztab generalny słał do Berlina rozpaczliwe meldunki, prosząc o pozwolenie na cofnięcie się z zajmowanych pozycji, bo w przeciwnym razie trzeba się będzie liczyć z wielotysięcznymi stratami, Hitler krzyczał do słuchawki: „Pozostać na linii Wołgi!”. Göring zaś zapewniał, że Luftwaffe dostarczy zaopatrzenie z powietrza. Feldmarszałek von Manstein miał bezzwłocznie odpowiedzieć

kontrofensywą.

Boże Narodzenie 1942 roku Niemcy spędzili w ziemiankach, marznąc, głodując i fantazjując o choinkach i pachnących ciasteczkach. Duchy wojny wdrapywały się na barykady, pogwizdując *Cichą noc*, i wpełzały w marzenia żołnierzy. Tam przybierały twarze matek, ojców, sióstr, braci, żon i ukochanych, ogrzewały im ręce i szeptały do ucha zapewnienia o miłości. Dla duchów czas się nie liczył, snuły więc w głowach barwne iluzje. Marzenia miały cudowny, nierealny smak, a powrót do rzeczywistości był nieludzko trudny.

Ranni i głodujący Niemcy w desperacji czepiali się samolotów startujących do ojczyzny, byle ująć z tego piekła, i po kilku chwilach, sztywni z zimna, poddawali się śmierci. W Stalingradzie śmierć prowadziła swój dziki korowód. Radzieccy dowódcy kazali nadawać przez głośniki w całym mieście specjalnie skomponowaną pieśń śmierci: „Co siedem sekund niemiecki żołnierz pada trupem. Stalingradzka ziemia staje mu się grobem”.

Tymczasem zupełnie już posiwiąły czerwony porucznik siedział w kwaterze dowództwa w pobliżu Zakładów Metalowych „Barykady” i pisał do żony drżącą ręką, nie mając pewności, czy kiedykolwiek uda mu się wysłać ten list: „Moja Anastazjo, jak bardzo marzę o dawnych czasach...”.

Dziesiątego stycznia zaczęła się rozstrzygająca kontrofensywa Armii Czerwonej przeciwko niemieckiej 6. Armii i doprowadziła do jej rozdzielenia. Zaopatrzenie Niemców zawiodło na całej linii.

W tym właśnie dniu urywa się wszelki ślad po biało-czerwonym poruczniku. Widziano go jeszcze trzydziestego pierwszego stycznia w budynku domu towarowego, gdzie mieściła się kwatera sztabu 6. Armii, zdobyta szturmem przez jego dywizję. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Simon Jaszi znajdował się w budynku w chwili jego wysadzenia. Ale może było zupełnie inaczej, może zginął inną śmiercią w innym miejscu.

Często wyobrażałam sobie ten zniszczony dom towarowy. Przed oczyma miałam szkielet budynku i poruszające się po nim wychudłe cienie, które dawno już zapomniały, jak to jest być człowiekiem. Wyobrażałam sobie, jak Simon Jaszi grzmi, gdy obok niego, niczym zabiedzone stado wiedzione tępym instynktem przetrwania, bezrozumnie, bez celu miotają się żołnierze. Jak z sufitu opada kurz, a przez wybite okna, drzwi i przestrzeloną fasadę budynku wpada przejmujący wiatr, który się rozprzestrzenia, dociera wszędzie, rozwiewa wszystko, rozwiewa czas, aż do tego jednego jedyne momentu, w którym Simon Jaszi się zatrzymuje. Może słyszy jeszcze wołanie młodego żołnierza: „Wychodzić, natychmiast wychodzić!”, ale nie jest już w stanie zrobić ruchu. Stoi i obserwuje przez roztrzaskane szkło, przez otwór w ścianie to wielkie cmentarzysko ludzkości, apokaliptyczny krajobraz, to przerażające piękno czasów ostatecznych. Widzi ogrody wśród popiołów i kamieni, architekturę szczątków, wzory pisane krwią, rzeźby rozerwanego żelazobetonu i dziwi się, że nikt oprócz niego nie dostrzega tej symfonii zniszczenia. Simon Jaszi stoi jak skamieniały i nie pojmuje, dlaczego nie może zrobić kroku. Minęły

zaledwie sekundy, ale Simonowi wydaje się, że czas dziwnie spowalnia, że wszystko toczy się w zwolnionym tempie. Wyobrażałam sobie zawsze, że w tym momencie Simon zapomniał o wojnie, o śmiertelnie chorej przyszłości, o dniach pozbawionych nadziei, o tym, że czuje się przegrany, o rozczarowaniu w spojrzeniach swojej żony, której nie potrafił uszczęśliwić, zapomniał o carze, o Leninie, ojczyźnie i Generalissimucie, zapomniał nawet o stepie, który mógł być początkiem lepszej przyszłości. A potem ten ogłuszający grzmot i z jego uszu zaczęła płynąć krew. Wiedział, że nastąpią kolejne detonacje, że nie ma już czasu, ale nie myślał o tym, bo nie chciał i nie mógł się już poruszyć.

Jak na ironię, syn Simona Jasziego świętował swoje największe zwycięstwo kilka dni po ostatniej bitwie o Stalingrad, w której przypuszczalnie zginął jego ojciec: osiemnastego stycznia Rosjanie oczyścili cały brzeg jeziora Ładoga i stworzyli korytarz szerokości jedenastu metrów, łączący ich ze stałym lądem. W obronie Leningradu Konstantin Jaszi wyróżnił się szczególnie. Kiedy podczas operacji Iskra pewnej nocy zerwano łączność radiową i dowódca nie mógł rozsyłać dalszych rozkazów, Konstantin przejął komendę na jednym z okrętów w Zatoce Fińskiej.

Zwycięstwo świętował z kolegami. Wódka, której nie pił od miesiący, rozgrzała żołądek, zaszumiła w głowie i nastroiła go tak euforycznie, że wspiał się na maszt i zaczął krzyczeć, że faszyci przegrywają.

Zaledwie czterdzieści kilometrów od miejsca, w którym świętował Kostia, wlokła się ulicą wychudzona, zgarbiona, ciemnowłosa kobieta o fioletowych dłoniach i zapadniętych oczach, z włosami w nieładzie, w dziurawych butach. Szła, słaniając się. Wyszła z ciemnej klatki schodowej na ulicę brukowaną kocimi łbami i chwiejnym krokiem zaczęła iść w kierunku alei 25 Października, zatrzymując się często i ciężko łapiąc powietrze. Chciała dotrzeć na pocztę, gdzie niedawno utworzono punkt meldunkowy dla ewakuowanych.

Ostatni miesiąc pozbawił ją resztek sił. Często była zbyt słaba, by wyjść z mieszkania, pokonać schody, wystawać w długich kolejkach po racje żywności. Lecz wiadomość o przerwaniu okrażenia przywróciła jej uśmiech na usta i postanowiła pójść do punktu meldunkowego. Sam jej widok powinien być wystarczyc, by można ją było umieścić na początku listy osób wyznaczonych do ewakuacji.

Od pewnego czasu pluła krwią, ale teraz nie chciała o tym myśleć. Chciała przebyć tę drogę, chciała dotrzeć do poczty.

Może rzeczywiście straciła rozum, jak ten zamiatacz ulic, który w ostatnim miesiącu wychodził na ulicę, wykrzykując obsceniczne słowa. Nie wiedziała, ani jaki jest dzień, ani co się dzieje na świecie. Czasem w snach na jawie wydawało się jej, że reszta świata nie istnieje, że Leningrad jest ostatnią wyspą tych, którzy przeżyli. Ale tego dnia starała się przegnać deprymujące myśli i skoncentrować na dojściu do poczty.

Niebo nie było tak zasnute chmurami, jak zazwyczaj o tej porze roku. Przebijało się nawet parę promieni słońca i Newa nie leżała w dole nieruchomo skuta lodem. Obok Idy przebiegło kilkoro obdartych dzieci. Przed nią szła kobieta, pchając dziecięcy wózek, jakby to był normalny dzień w normalnym mieście. Ale kiedy Ida podeszła bliżej, zobaczyła, że wózek jest załadowany kamieniami. W oddali usłyszała samochód. „Dobry znak – pomyślała – to znaczy, że mają jeszcze benzynę”.

Mały sklepik z tandetą na jej ulicy znowu był otwarty, też dobry znak, choć nie było w nim nic do kupienia.

Można było odnieść wrażenie, że trwa zwyczajny dzień w całkiem zwyczajnym mieście. Może

powinna to sobie wmówić. Może byłby to najlepszy sposób na zachowanie resztek zdrowego rozsądku, lecz przerażająca cisza, jaka panowała wokół, nie pozwalała poddać się temu złudzeniu. Zatrzymała się, nabrała głęboko powietrza, przełknęła ślinę. Miała sucho w ustach, oczy ją piekły, odzwyczaiała się od światła słonecznego. W swoim mieszkaniu najpierw zasłaniała okna z powodu nalotów, potem robiła to z przyzwyczajenia, a później nie potrafiła sobie wyobrazić, że może być inaczej.

Podczas ostatnich trzech nalotów nie schodziła już do schronu, nie miała ani siły, ani nadziei. Nawet w pierwszym roku blokady byli w mieście starzy ludzie, którzy podczas alarmu zostawali w mieszkaniach. Wtedy to ją irytowało, wtedy miała w sobie jeszcze optymizm i wspomnienia, teraz stała się taka jak oni. Była jedną z mumii, obok których życie przepływało tak samo jak wojna.

Stała na Newskim Prospekcie, przemianowanym na aleję 25 Października. Zobaczyła własne odbicie w oknie wystawy starego sklepu, od dawna zamkniętego. Tak dobrze знаła tę ulicę, kiedyś, w dawnym życiu, a teraz za nic nie mogła sobie przypomnieć, jaki sklep był tu dawniej. Może był to ten wytworny sklep z materiałami, może księgarnia, ale jaki sens miała próba odtworzenia sobie czegoś, co nigdy już nie wróci?

Pytanie to przepędziło mgliste wspomnienie, wspomnienie jego twarzy. Czy ciągle wyglądał tak wzruszająco młodo w granatowym mundurze z biało-złotymi ozdobami na ramionach i rękawach? Czy nadal miał gęste, falujące włosy? Czy umiał się jeszcze śmiać do rozpuku jak dziecko, swobodnie, niewymuszenie, zapominając o wyuczonych powadze? Czy ciągle jeszcze chciał się tak bardzo podobać, być akceptowany przez ważnych tego świata? Czego się obawiał? I czy ona sama jest dla niego niezatartym wspomnieniem?

W czarnych chwilach Ida wyobrażała sobie śmierć Kostii. Że już nie żyje. Czowała się bezpieczna w tej fatalnej, ponurej pewności. Wyobrażała sobie straszliwe scenariusze: Kostia trafiony pociskiem wpada do morza, topi się zastrzelony, wykrwawia na jakimś dalekim brzegu.

W lepsze dni wyobrażała go sobie u boku młodej dziewczyny z ogromnymi sarnimi oczami i warkoczem sięgającym łydek. W wyobraźni widziała, jak Kostia z tym samym oddaniem uczy ją tego, czego ona go kiedyś uczyła.

Skreśliła w przecznice. Tabliczka z nazwą ulicy dawno znikła. Znała tę ulicę, ale zapomniała jej nazwy. Nagle zatrzymała się, słysząc znajomy dźwięk. To była muzyka. Ktoś grał na pianinie. Znany utwór, którego tytułu Ida nie mogła sobie przypomnieć, tak jak nazwy ulicy. Ale szła w stronę, skąd dochodziły dźwięki. Z każdym jej krokiem wyraźniejsze, głośniejsze.

Skąd znała tę melodię? Co to było? Ach tak, w innym życiu – może był to tylko sen – grała na pianinie. Pod gołymi, przezroczystymi, już dawno pozbawionymi pierścionków palcami czuła kość słoniową, chłodny, przepiękny dotyk klawiszy. To wszystko kiedyś istniało, i nie tylko to. Teraz pozostały jedynie skorupy, odłamki szkła, głód i metronom, który zapowiadał naloty bombowe.

To był Grieg, tak, teraz Idzie się przypomnio. Grieg. „Romantyk zagady”, pomylaa, podazajac za muzyka. Wesza na podworoko. Stara kamienica z powybijanymi szybami przetrwaa bombardowania, na pierwszym pietrze byo otwarte okno: stamtad dochodziy dzwieki pianina.

Ida wesza na ciemna klatke schodowa, pokonaa kilka schodow i dosza do drewnianych, uchylonych drzwi. Jej mozg probował przez cay czas wydobyc z niepamieci tytuł utworu. Bezskutecznie. Zapukaa, ale ktos nieprzerwanie grał. Przez szpare w drzwiach zajrzaa do rodka i przekroczya prog mieszkania.

Znalaza sie w obszernym przedpokoju, pustym i wilgotnym, z szarymi, stechlymi plamami na cianach, i idac za Griegiem wesza do pokoju z parkietem w brazowo-rudym kolorze i nagim matercem w kacie. Pianino stao pod oknem, niezniszczone, zachwycajace, dobrze nastrojone. Siedziaa przy nim modziutka dziewczyna i w zapamietaniu graa *Ballade na fortepian g-moll*, tak nazywał sie ten utwor, przypomnia sobie w koncu.

Grajaca nie obejrzaa sie, nie poruszya. Patrząc z tyłu, mozna byo sadzic, że miała nie wieczej niz pienascie lat.

– Przepraszam, uslyszalam muzyke i przyszalam. Przepieknie grasz.

Ida zbliazaa sie ostroznie do pianina. Dziewczyna graa dalej, ledwie skinawszy glowa.

– Przynajmniej bede miała sluchaczke. Prosze, prosze podejsc. Nie mam niestety adnego krzesa. Wszystkie meble spalilimy, kiedy nastay mrozy.

Dziewczyna nie odwrocia sie, jej palce nadal bezblednie tanczyly po klawiaturze. Ida poczua dreszcze na rekach i byo to dla niej dziwnie obce wraenie, jakby jej skora oduczyla sie czuc. Ostroznie stanea przy pianinie i spojrzawszy po raz pierwszy na twarz grajacej, przerazia sie. Wstrzymaa oddech, by nie pokazac po sobie, jakie wraenie wywarł na niej ten widok: dziewczyna zamiast oczu miała dwa ciemne oczodoy. Ale sie usmiechaa.

Miała na sobie szary, zniszczony ubior roboczy, a na nogach grube waloneki. Na plecy splywał jej jasnobrazowy, gruby warkocz.

– wicze do trzeciego konkursu dla modych pianistow, powinnam bya pojechac do Londynu, zanim... – powiedziaa i zakolysaa sie w rytm muzyki.

– Chcesz zostac pianistka? – spytaa Ida, nie ochlonawszy jeszcze z wraenia.

– Marze o tym. – Przerwaa naraz, pozostawiajac palce na klawiaturze, nagle pozbawione zadania, nieruchome.

– Na pewno tak sie stanie, jesli nadal bedziesz wiczya.

– Dlugo nie mogam. Matka mi zabronia, odkad...

– Odkad?

– wiczyalam, nie zdazylimy do schronu i dostaam odlamkiem, o tu, widzi pani... – Dziewczyna

zwróciła twarz ku Idzie, jakby i bez tego nie można było zauważyć, że nie ma oczu. – Teraz mama nie żyje i znowu mogę grać.

Dziewczyna oznajmiła to takim tonem, jakby chodziło o śmierć domowego zwierzęcia, kota albo psa.

– A twój ojciec?

– Poległ. Pod Mińskiem. Mój brat jest na froncie, ale jeszcze żyje. Wiem. Siergiej jeszcze żyje i wróci.

Na pewno.

– Z pewnością. Z pewnością. – Ida zauważyła, że głos dziewczynki, gdy mówiła o bracie, zabrzmiał ciepło, niemal czule. – Kocham muzykę. Kiedyś też chciałam być pianistką...

– I co stało się na przeszkodzie? Wojna?

– Niezupełnie. Ale coś podobnego – odpowiedziała Ida i się zaśmiała.

Dziewczynka podniosła się ze stołka. Była wysoka, chuda, lecz nie wyglądała na niedożywioną. Wyciągnęła rękę w kierunku Idy.

– Czy mogę?

Ida się zgodziła i dziewczynka dotknęła jej twarzy. Lekko przesuwając po niej palcami, starając się wyczuć jej rysy. Dotknęła ust, nosa, oczu. Idę przeszedł dreszcz. Dawno nie czuła ludzkiego dotyku. Zdała sobie sprawę, jak sterana i okropna, jak stara musiała się wydać. Ale dziewczynce zdawało się to nie przeszkadzać.

– Muszę dotknąć, żeby wyobrazić sobie twarz. Często też umiem odgadnąć wiek. Mam powiedzieć, ile pani ma lat?

– Ależ proszę!

– Pomiędzy czterdzieści a pięćdziesiąt?

– Sama nie wiem, przestałam liczyć.

– Ja mam czternaście.

Dziewczynka powiedziała to z dumą w głosie, jakby ta liczba była wielkim osiągnięciem. Może rzeczywiście tak było. Może skończenie czternastu lat w tym mieście stanowiło wielki sukces.

– Czyżbyś mieszkała tu sama?

– Czasem przychodzi moja kuzynka. Ale ona musi opiekować się chorym dziadkiem. I pracuje w szkole. Daję sobie radę. Znowu mogę grać. Na szczęście nie porąbaliśmy pianina na opał. Mama miała taki zamiar, ale ja protestowałam.

– Czy mogłabyś grać dalej? Proszę. Tak dawno nie słyszałam żadnej muzyki.

– Może zagra pani ze mną? Coś na cztery ręce.

– Nie, nie, nie poradzę sobie, moje ręce są jak widły, to byłoby okropne, a ja bym chciała, żeby brzmiało pięknie.

– Jak pani uważa. Moja nauczycielka mówiła, że mam dobrą rękę do kompozytorów francuskich. Czy

zagrać coś Debussy'ego? Tak go lubię. Może coś z preludiów?

– Zagraj to, co lubisz.

Dziewczynka skupiła się, roztarła dłonie i chuchnąwszy w nie, uderzyła w klawisze. Ida stała oparta o ścianę i słuchała jak zaczarowana. Podążała za grą dziewczynki, która z każdą nutą wymiatała wojnę z jej rąk, ciała, głowy i przenosiła ją w inny świat. W świat, w którym istniały oświetlone kawiarnie i słoneczne bulwary, pełny spacerujących, sytych ludzi. W miejsca z fioletowymi lampionami i porządnymi bramami domów, w których były umeblowane mieszkania, w miejsca, gdzie do herbaty można było zamówić szarlotkę i gdzie pachniało francuskimi perfumami. Gdzie ludzie nosili ciepłe płaszcze i skórkowe rękawiczki. Gdzie można było chodzić do kina albo słuchać koncertów. Gdzie grająca na pianinie dziewczynka miała matkę i zielone, roziskrzone oczy. Cóż to za świat, który zrabował dziewczynce wzrok i w którym nie ratowano jej przyszłości?

– *Taniec sakralny*. Tak Debussy nazwał ten utwór.

Głos dziewczynki przerwał strumień jej myśli. Ida gwałtownie wróciła do rzeczywistości. Wyjrzała przez okno na puste podwórko. Przypomniała sobie, że miała iść na pocztę, i potrząsnęła głową, jakby chciała się obudzić ze swego stanu.

– Dlaczego jeszcze tu jesteś? Dlaczego cię dotąd nie ewakuowano?

– Wtedy nie byłam jeszcze inwalidką – powiedziała dziewczynka z rozbrajającą szczerością, w której było coś okrutnego.

– Ale...

– Moja matka pracowała dla „Ulicy”, wiązaliśmy jakoś koniec z końcem.

– Chodź ze mną.

– Dokąd?

– Na pocztę, tam wywieszają nowe listy tych, którzy będą ewakuowani. Nie słyszałaś o przerwaniu pierścienia wokół miasta?

– Nie wychodziłam od wielu dni, a moja kuzynka nie mogła przyjść.

– Kiedy ostatnio jadłaś?

– Moja sąsiadka, towarzyszka Czakowa, oddaje mi trochę swojego jedzenia, bo gram jej synowi. On jest niedorozwinięty umysłowo i muzyka go uspokaja.

– Wstawaj i chodź.

– Nie mam płaszcza. Nie mogę wyjść.

– Dam ci swój.

– Ale...

Ida pociągnęła dziewczynkę do góry i włożyła jej swój płaszcz, a sama owinęła się szalem i wyszły. Dziewczynka głośno niczym pies zaczęła wciągać nosem powietrze.

Ida wzięła ją za rękę, lecz dziewczynka wyrwała ją, mówiąc:

– Potrafię iść sama. Nie widzę już dwieście trzydzieści cztery dni. Uczę się.

Ida już z daleka zobaczyła czekający tłum. Musiały ustawić się w długiej kolejce ludzi stojących na zewnątrz budynku. Kiedy weszły do środka, zapadał zmrok.

Za małym stołem, a raczej ławką szkolną, siedzieli starsza kobieta i młody czerwonoarmista. Ida wymieniła swoje nazwisko.

– Proszę poczekać.

Kobieta zaczęła przerzucać kartki w wielkim segregatorze.

„Pianina pali się bez oporów, ale akt nikt nie rusza”, pomyślała Ida.

Po kilku minutach kobieta znalazła na liście nazwisko Idy, która musiała przedłożyć swój paszport oraz wyświechtane i zmięte świadectwo zdrowia. Nie było w nim dobrych informacji. Świadectwo wystawił lekarz, który sam był niedożywiony. Kobieta dalej szperała w stosie akt.

– Dwunastego lutego. Ogród Michajłowski. Tam będzie podstawiony transporter. Wolno wam zabrać tylko jedną walizkę. Proszę nie zapomnieć paszportu. A tego dokumentu, który wam teraz wystawię, macie strzec jak źrenicy oka.

Na dźwięk tego wyrażenia Idzie zrobiło się słabo. Niewidoma dziewczynka stała obok niej, tak jakby niczego nie słyszała.

– Ta dziewczynka musi ze mną jechać – zaczęła Ida nieśmiało. – Straciła wzrok podczas bombardowania, jej matka nie żyje. Nie ma żadnych krewnych, jest inwalidką pierwszego stopnia.

Ida starała się nadać głosowi taki ton, by dziewczynka nie miała wrażenia, że się nad nią lituje.

Kobieta podniosła powoli głowę, patrząc na małą długo i surowo.

– Niestety, nic tu nie mogę zrobić. Ona, jak wszyscy inni, musi najpierw dostać się na listę. Ludzie czekają od miesięcy, jeśli nie od lat.

– Nie szkodzi – powiedziała dziewczynka, nie dając po sobie poznać rozczarowania.

– Nie, właśnie że szkodzi! – krzyknęła nagle Ida i sama się zdziwiła, jak donośny jest jej głos. – Bardzo szkodzi. Proszę na nią spojrzeć! Ta przekłeta wojna wszystko jej odebrała, a ona mimo to tkwi zapomniana przez Boga w pustym, zimnym mieszkaniu i gra na pianinie. Mogłaby zostać świetną pianistką. Ona musi żyć, musi mieć coś do jedzenia, musi grać. Ma dopiero czternaście lat!

Starsza kobieta spojrzała na Idę obojętnie, przyzwyczajona do takich wybuchów. Nikt z kolejki nie odważył się poprzeć Idy, każdy myślał o sobie. Sytuacja była dla dziewczynki wyraźnie nieprzyjemna, bo zmieszana zwiesiła głowę.

– Proszę, chodźmy stąd...

– Nie! – krzyknęła znowu Ida. – Musisz się stąd wydostać.

– Do licha, obywatelko, więc oddajcie jej swoje miejsce, a sama wpiszcie się na koniec listy! –

krzyknął z tyłu jednonogi mężczyzna, zdenerwowany, że sprawa się przeciąga.

Na moment zapanowała cisza. Ida w milczeniu popatrzyła na dziewczynkę.

– Nie, nie trzeba – wyrwało się małej, która zwróciła ku Idzie swoją pozbawioną oczu twarz.

Ida pochyliła się nad szkolną ławką i rzekła do kobiety:

– Proszę wystawić dokument na jej nazwisko, a mnie wpisać na koniec listy.

Dziewczynka złapała Idę za rękę, próbując ją odciągnąć.

– Proszę, nie! Pani ma chorobliwie zimne ręce, czuję to. Pani nie jest zdrowa. Pani musi wyjechać.

– Przestań i rób, co ci się mówi! – powiedziała do niej ostro Ida.

– Nazwisko! – rzuciła kobieta przy stole.

– Jak się nazywasz? – powtórzyła Ida, uświadamiając sobie, że do tej pory nie zapytała o to dziewczynki.

– Ida – padła odpowiedź.

– Twoje imię, chodzi o twoje imię – powtórzyła Ida.

– Nazywam się Ida. Ida Jefremowa.

– O, to wygodnie. Wystarczy zmienić tylko nazwisko i datę urodzenia – skwitowała kobieta przy stole.

Pod starszą Idą ugięły się nogi.

Czas przed wyjazdem małej obie Idy spędzały razem. W zaciemnionym mieszkaniu dużej Idy na Wyspie Wasiljewskiej i w pustym mieszkaniu Idy Jefremowej, którego położenie nie jest mi dokładnie znane.

Duża Ida po raz pierwszy od czasów blokady znowu słuchała muzyki. Mała Ida była zawsze gotowa zagrać coś dużej Idzie. Duża Ida najpierw ogrzewała jej ręce, wkładając je pod swoje pachy, i obie trwały tak przez pewien czas, dopóki mała Ida nie uwolniła dłoni i ze śmiechem nie usiadła przy pianinie. Potem grała z zapamiętaniem, a duża Ida stała obok z zamkniętymi oczyma i tropem muzyki wracała w przeszłość.

Mała Ida mówiła nieustannie o przyszłości. O wspólnym mieszkaniu, gdzie będzie ciepło, o lekcjach pianina, bo była pewna, że duża Ida, kiedy tylko skończy się wojna i zimno, znowu będzie chciała grać. Mówiła o kurach, które mogłyby chować i które codziennie znosiłyby jajka, mówiła o konkursach, w których będzie brać udział, i wyobrażała sobie, jak w towarzystwie Idy zwiedzi świat.

Pewnego popołudnia, kiedy na podwórku grzały się przy ognisku, które rozpałił jeden z sąsiadów, mała Ida dotknęła ramienia dużej Idy i zaproponowała, żeby ta ją adoptowała.

– Nie masz dzieci, a na pewno chcesz mieć, byłoby więc idealnie. Poza tym jestem już prawie dorosła i nie trzeba mi zmieniać pieluch ani wstawać do mnie w nocy. Miałabyś gotowe dziecko, które będzie ci grało piękną muzykę. Czego można chcieć więcej?

Ida, słysząc te słowa, brzmiące tak bezpośrednio i przemyślnie, uśmiechnęła się tylko i delikatnie pocałowała ją w policzek.

Zanim dziewczynka zajęła miejsce Idy na platformie transportera, chwytając niepewną, drżącą szansę życia, zapytała dużą Idę, czy nie chciałaby komuś, tam na zewnątrz, przekazać przez nią jakiejś wiadomości – krewnemu czy komuś z przyjaciół.

– Zanim dojedziesz do mnie – dorzuciła.

– Może znajdziesz oficera marynarki, Jaszi jego nazwisko, Konstantin, zwany też Kostią. Jeżeli jeszcze żyje. Kształcił się tu, w Leningradzie, w Wyższej Szkole Marynarki Wojennej, i służył, o ile wiem, we Flocie Bałtyckiej.

– I co mam mu przekazać?

– Jeśli...

– Jeśli go znajdzie.

– Że życzę mu szczęścia.

– To wszystko?

– I że go nie zapomniałam.

– I?

– Że... Powiedz mu coś pięknego, co ci przyjdzie na myśl.

– Dobrze. – Mała Ida energicznie skinęła głową.

Padły sobie w ramiona i trwały nieruchomo w uścisku, a ludzie mijali je niecierpliwie, tłocząc się, i rzucali swoje walizki na ciężarówkę.

– Najpóźniej w maju zobaczymy się w jakiejś kazachskiej wsi. Do tego czasu postaram się zdobyć pianino i znaleźć brata i twojego marynarza. A ty musisz na siebie uważać. Dobrze?

Dziewczynka przycisnęła koniec swego nosa do nosa Idy i wciągnęła w nozdrza jej zapach. Końcami palców badała twarz Idy i Ida czuła, że w tym momencie ją widzi, że naprawdę zobaczyła ją taką, jaka była we wszystkim – z marzeniami i błędami, z tym, co kochała i co straciła, z tym, czego szukała i co znalazła, z dążeniami i niepowodzeniami, z tym, czego pragnęła, lecz nie osiągnęła, na co jeszcze miała nadzieję i czego się bała.

Nagle duża Ida poczuła, że po jej policzku spływa coś ciepłego, wilgotnego. Mała Ida płakała. Nie myślała, że to jest możliwe, ale ciemne otwory zbudziły się do życia i wytrysnęły z nich łzy.

Ida umarła po zaledwie dwóch miesiącach. Przed drzwiami jej własnego mieszkania znalazła ją sąsiadka. Przed drzwiami, które niegdyś tak niepewnie otworzyła Kostii i w które on na koniec z rozpaczą bił pięściami. Przewróciła się, pokonawszy schody do mieszkania. Nie zdążyła już wejść do środka, nie doszła do swego łóżka, gdzie kiedyś celebrowała z Kostią święto miłości i gdzie wszystkie przeszkody wydawały się możliwe do pokonania.

Ida Jefremowa została słynną pianistką. Szczyt jej kariery przypadł na czas od końca lat pięćdziesiątych do końca sześćdziesiątych. Pozostała w Niemczech Zachodnich po którymś *tournée* i po trzech latach ściągnęła tam swego męża, altowiolistę poznanego na studiach w Konserwatorium Moskiewskim. Sławę przyniosły jej przede wszystkim wyważone interpretacje kompozytorów francuskich. Jej znakiem rozpoznawczym stały się ciemne okulary o podłużnym kształcie, które nosiła na koncertach. W zdobyciu informacji na temat Idy pomogła mi autobiografia Jefremowej wydana w Niemczech w 1982 roku. Autobiografię tę dedykowała właśnie jej.

Miały upłynąć lata, zanim Ida Jefremowa odnalazła mego dziadka. Lecz w końcu jej się to udało.

Duże straty poniesione przez Niemców pod Stalingradem i wyniszczające skutki operacji Edelweiss sprawiły, że dowództwo niemieckie wydało rozkaz wycofania Grupy Armii „A” z Ordżonikidze, i trasa, którą poruszało się wojsko, z końcem roku znowu stała się przejezdna. Stazja mogła wyruszyć wreszcie w drogę powrotną do domu. W marcu 1943 roku dotarła do Tbilisi. Ostatni, nieoczekiwanie sentymentalny list Simona obudził w niej złe przeczucia, ale zakazała sobie myśleć o najgorszym. Od Kristine wiedziała, że Kostia żyje i że zasłużył się na froncie pod Leningradem. Stazja dotarła do wytwornej willi na wzgórzu, której ogród zdziczał, fontanna wyschła, a skarby dawno zostały wyprzedane na czarnym rynku. Rzuciła się Kitty na szyję i próbowała płakać, żeby dać upust swemu napięciu, ale nie potrafiła. Dopiero stopniowo Kitty i Kristine opowiedziały jej, co się działo podczas jej nieobecności, opowiedziały o zniknięciu Andra, o smutnych i pełnych trosk, lecz mimo wszystko wolnych od odgłosów strzałów miesiącach w Tbilisi. Kitty znacznie później wspomniała jakby przypadkiem o swoim poronieniu, nie wtajemniczając matki w szczegóły.

Przesiadwały w kuchni, piekły chleb kukurydziany i patrzyły na siebie, nie dowierzając, że znowu są razem.

Kristine masowała jej plecy, robiła maseczki na twarz z łupin ogórka, parzyła herbatę z hibiskusa, żeby siostra wróciła do sił, grzała wiadrami wodę na kąpiel, podarowała jej nowe pończochy i buty i podcięła jej włosy.

Pierwsze tygodnie upływały w stanie przypominającym przebywanie w półmroku. Stazja nie mogła się przemóc, żeby wyjść do miasta, nie mogła się skupić na rozmowach. Oczy ciągle jej się zamykały i raz po raz ziewała. Kitty i Kristine zajmowały się sprawami codziennymi: kupowały żywność na kartki, chodziły do szpitala, sprzątały, gotowały, cerowały kurtki i płaszcze żołnierzy z frontu, zbierały drewno na opał i z wypiekami na twarzy słuchały audycji ze starego radia marki Blaupunkt.

Zdarzały się noce, kiedy Stazja słyszała krzyk rozlegający się w domu, słyszała, jak otwierają się drzwi sypialni Kristine i jak jej siostra schodzi na dół, do dawnego pokoju dziecięcego, w którym spała Kitty. Słyszała skowyt swej córki, a potem uspokajające słowa Kristine. Słyszała, siedząc na łóżku, że Kristine perswaduje coś Kitty, potem głosy cichły i Kristine wracała na górę do swojej sypialni. W takie noce w Stazji budziło się pragnienie, by mieć w sobie siłę i moc zejść na dół, przytulić Kitty. By szeptać jej do ucha słowa przynoszące ulgę, zapytać, skąd bierze się jej rozpacz i lęk, ale bała się tajemnicy, którą Kitty dzieliła z Kristine, bała się nocnych koszmarów córki, ponieważ mogły zacząć nawiedzać także ją.

Wiosną ludzie zaczęli wylegać na ulice, do parków, na szerokie bulwary i w wąskie zaułki. Znowu słyhać było sprzedawców lodów zachwalających swoje wyroby, sąsiadki wymieniające się na ławkach najnowszymi plotkami, słyszało się turlanie kostki do tryktraka. Na podwórkach znów wisiało świeże pranie, które zmieniało je w białe przestrzenie wolne od wojny.

Starszy mężczyzna, który dawniej miał na rogu duży stragan z owocami, teraz sprzedawał z cynowych wiader jabłka i śliwki. Gruba żona uczonego z akademii znowu nosiła pióra przy kapeluszu, ulicami tłumnie ciągnęły Cyganki, przepowiadając przyszłość, oczywiście tylko tę szczęśliwą, jasną, niosącą nadzieję. Głoszenie złych wiadomości mogło skończyć się siniakami w tym wojennym czasie.

W takie słoneczne dni Kitty, Kristine i Stazja chodziły na spacer na wzgórze Wery, jadły pestki słonecznika, piły piwo słodowe. Ponieważ w maju ciągle nie było jeszcze żadnej wiadomości od porucznika Jaszego, Stazja zwróciła się do ludowego komisariatu wojskowego z zapytaniem o losy swego męża. Kiedy Stazja straciła już nadzieję, otrzymała list ze stemplem poczty w Moskwie. Wiadomość była krótka: według wszelkiego prawdopodobieństwa porucznik Jaszi poległ w zaszczytnej i zwycięskiej walce o Stalingrad. Należy zwrócić się z tym pismem do odpowiedniego komisariatu w Tbilisi, gdzie będzie można uzyskać pomoc, zwłaszcza w kwestii renty po mężu.

W komisariacie młoda kobieta w mundurze poinformowała Stazję, że jej mąż nie widnieje wprawdzie na żadnej z list poległych, jednak z tego, co jej wiadomo, w Stalingradzie armia poniosła szczególnie duże straty w ludziach.

– To znaczy, że nie znaleziono ciała? – zapytała Stazja głosem, w którym nie było nawet cienia zdenerwowania.

– Kontaktowaliśmy się z jego dywizją. Wasz mąż nadal ma status zaginionego. Należy jednak przyjąć, że zginął w ostatnich dniach wojny. Walczył bohatersko, a pośmiertnie znalazł się na liście oczekujących na odznaczenie medalem za odwagę.

Stazja jej przerwała.

– Dopóki nie ma zwłok, nie zginął. – Po czym odwróciła się i lekkim krokiem wyszła z budynku.

Kristine i Kitty były wstrząśnięte, kiedy Stazja ze spokojem przekazała im to, co usłyszała w komisariacie. Kitty przygryzała nerwowo dolną wargę, a oczy Kristine wypełniły się łzami. Wyraz jej twarzy mówił, że pogodziła się już z wiadomością o śmierci szwagra. Kristine zadawała sobie pytanie, czy świadomość, że Simon nie wróci, nie dodaje jej przerażającej pewności, że Andra czeka podobny los.

A Kitty zastanawiała się, czy Kristine płacze nad stratą swego męża i zeszpeceniem swej twarzy i czy Kostia skończy tak jak Simon.

Nagle i Kitty zaczęła łkać.

– Dlaczego płaczecie? – zapytała Stazja. – On przecież nie umarł, tylko zaginął. Ten człowiek pół życia był jak zaginiony i nie inaczej jest teraz. Kiedyś się pojawi, nie martwcie się.

– Ale on nie żyje! – odparła Kitty, pociągając nosem.

– Skoro nie ma ciała, to nie ma grobu i nikt nie umarł. – Ton Stazji nie dopuszczał żadnych wątpliwości.

– Ależ przecież są zmarli, którzy nie mają grobów!

W głosie Kitty zabrzmiało coś ciężkiego jak ołów, coś głuchego, co kazało Stazji wyteńczyć słuch. Podniosła się i niepewnie podeszła do córki. Tajemnica, której istnienie wyczuwała w Kitty, budziła w niej lęk, nie miała odwagi jej poznać. Próbowwała przytulić córkę, lecz ta wysliznęła się z jej objęć.

Konstantin Jaszi przeżył oblężenie Leningradu. W ostatnich dniach walk został ciężko ranny w nogę i musiano go operować. Ponieważ kliniki w Leningradzie były przepełnione, przetransportowano go samolotem NKWD do szpitala wojskowego w Moskwie. Pobyt w szpitalu z dala od kul i granatów, z dobrym wyżywieniem, pod ciepłą kołdrą musiał wydawać mu się rajem. Potem dostał dwutygodniowy urlop – równie cenny jak medal za odwagę, bo czerwonoarmistom urlop nie przysługiwał. Ktoś musiał się za nim wstawić. „Któż to może być?”, zastanawiał się Kostia. Minęło kilka lat, odkąd ostatni raz był w Gruzji. W pierwszych dwóch latach wojny korespondował jeszcze żywo z ojcem i z Alanią. Do Tbilisi słał jednak tylko telegramy. Nie wiedział, jak ująć w słowa to, co przeżywał, żeby było to zrozumiałe dla ciotki, siostry i matki.

Wolał pozostawać w stanie, w którym nie zadaje się sobie żadnych pytań, nie oczekuje żadnych odpowiedzi ani nie doszukuje się sensu zdarzeń. Chciał zapomnieć, że oprócz pewności śmierci istnieje jeszcze coś innego – smutek, radość, rozczarowanie, nadzieja, a zwłaszcza bliskość. Radością był łyk wódki i kawałek czarnego chleba, radością były worki z mąką i puszki konserw, które miesiącami przierzucali do Leningradu, radością były nieuszkodzone statki, radością był sam fakt, że się jeszcze żyje. A wszystko, co poza tym, nie miało znaczenia. Nadzieję, że tamto powróci, Kostia odczuwał jako przeszkodę, a nawet zagrożenie.

Wspomnienia czyniły serce miękkim i przejrzystym, a z przejrzystym sercem nie strzela się celnie, Brilko, człowiek chybia i sam szybko staje się celem.

Minęła długa chwila, zanim Stazja otworzyła i rzuciła mu się na szyję. Drżała na całym ciele i tak mocno przyciskała go do piersi, że o mało go nie udusiła.

Kostia zachwiał się, ale złapał równowagę, opierając się na lasce. Na końcu długiego korytarza pojawiła się Kristine. Dawniej, kiedy wracał ze szkoły, zawsze tam stała, czekając, aż rzuci się w jej kierunku i padnie jej w ramiona. Teraz patrzył jak zahipnotyzowany na odsłoniętą prawą połowę jej twarzy. „Jaka kiedyś była piękna”, myślał. Jej obecna połowiczna uroda napawała go nieskończonym smutkiem. Poczul ucisk w sercu, zwilgotniały mu dłonie. Patrząc na Kristine, pomyślał o Idzie.

Kristine stanęła przed nim i spojrzała na niego tak, jakby całe życie pisali do siebie miłosne listy, a teraz po raz pierwszy się spotkali.

– Kostia, Konstantin, mój piękny Konstantin, wróciłeś, jesteś tu, u mnie!

Stazja wycofała się, pozwalając młodszej siostrze celebrować symbiotyczną bliskość z siostrzeńcem, a Kostii przyjmować tę bliskość, napawać się nią, bo wszystko w jego ciele i twarzy zdradzało najgłębsze

pragnienie żywych emocji. Później, kiedy Kitty wróciła z pracy w szpitalu i gdy usłyszała z kuchni głos brata, zatrzymała się w przedpokoju i opierając o ścianę, głęboko nabrała powietrza w płuca, próbując odzyskać kontrolę nad własnym ciałem. Zanim weszła do kuchni, przez kilka sekund ćwiczyła w wyobraźni swój dawny śmiech, próbując sobie przypomnieć, jak brzmiał jej głos, kiedy była szczęśliwa.

W odróżnieniu od Stazji Kostia dużo opowiadał: niestrudzenie, ze szczegółami opisywał czas spędzony w Sewastopolu i na okręcie Gorki, a zwłaszcza to, co się działo na jeziorze Ładoga. Opowiadając, pochłaniał wszystko, co stawiano przed nim na stole – zdawało się, że nic nie zaspokoi jego głodu. Pił też gorzką czaczę, która jeszcze bardziej rozwiązywała mu język.

Lecz Kitty zauważyła, że wszystko, co mówił o bitwach, atakach, bombach, głodzie i walce, brzmiało sztucznie, neutralnie.

Kristine i Stazja też sporo opowiadały, robiły to jednak bardziej chaotycznie, przerywając sobie co chwila, sprzecząc się o szczegóły, które każda z nich inaczej zapamiętała. Gdy w pewnym momencie rozmowa zeszła na Andra, Kristine ściszyła głos i powiedziała, co wie, a ściśle biorąc, czego nie wie: przypuszcza się, że przyłączył się do ugrupowania partyzantów i walczy po stronie Wehrmachtu. Kitty poczuła się zdradzona słowami ciotki, choć ta przedstawiła tylko fakty; irytowało ją też, że Kostia w kilka godzin zupełnie zawojował Kristine. Historia Andra sprowokowała Kostię do wygłoszenia gwałtownej tyrady. Kostia rozwodził się nad wagą wyznawania słusznej ideologii, nad wiernością i lojalnością, mówił o obowiązkach radzieckiego obywatela i powtarzał, że zawsze przeczuwał, iż Andro wybierze niechlubną drogę i okryje rodzinę hańbą.

Kitty nie odważyła się wtrącać, nie chciała posprzeczać się z Kostią od razu pierwszego wieczoru i rozdrażniać matki i ciotki. Zdawała też sobie sprawę, że jej argumenty są zbyt wątkie. Mimo wszystko trudno jej było słuchać o Andrze jako o zdrajcy ojczyzny.

– Ojciec nie żyje, co?

Pytanie Kostii padło nagle i nieoczekiwanie jak błysk pioruna. Dopiero co opowiadał o swoich przeżyciach w Moskwie.

Kristine spuściła głowę. Stazja chrząknęła krótko i zaczęła się drapać po rękach.

– Musisz wiedzieć, że ojciec został uznany za zaginionego, po prostu znikł. – Stazja starała się nadać swemu głosowi obojętne brzmienie, jakby mówiła o pogodzie.

– Mamo, przestań! – zaprotestowała Kitty.

– Ale on znikł. Nie mamy żadnych dowodów, że nie żyje! – Stazja robiła wrażenie, jakby obraziło ją to, że podważa się jej zapewnienia.

– W ostatnich dniach bitwy o Stalingrad widziano go przed niemiecką kwaterą sztabu, tuż przed eksplozją! – Kitty oddychała szybko.

– Ale nie znaleziono jego ciała!

Stazja trwała w swoim uporze, powtarzała to zdanie jak magiczne zaklęcie, które miało ją chronić przed rzeczywistością.

– Kostia, proszę, powiedz jej coś, musimy uznać ojca za zmarłego, przecież nie można tak dalej żyć – błagała Kitty brata.

– Jutro pójde do komisariatu wojskowego, zdobęde dokładne informacje – odparł Kostia spokojnie.

Z nadejściem upalnego lata cała rodzina pojechała do rodzinnego miasta Stazji i Kristine. Zatrzymali się w starym domu fabrykanta czekolady, który w połowie zamieszkiwała teraz Lida. Poszli na groby rodziców. Patrzyli w zadumie na nagrobki, usiedli na trawie. Kiedy Lida odmówiła modlitwę za zmarłych, wszyscy odpowiedzieli „amen”. Kostia zamówił nowy nagrobek, na którym kazał wygrawerować nazwisko Simona Jaszego, i postawić go między grobami swych dziadków a grobem bliźniaczki matki. Stazja odmówiła pójścia na cmentarz i opłakiwania męża. Zapowiedziała, że dopiero wtedy uzna, że jej mąż nie żyje, kiedy pod nagrobkiem spoczną jego zwłoki.

W tym małym mieście, które niegdyś chciało zostać Niceą Kaukazu, gdzie wszystko było tak sielankowe, niemal prowokująco spokojne, wojna szalejąca gdzieś w świecie wydawała się nierealna.

Kitty i Kostia ze zdumieniem skonstatowali, że ich matka pożyczyla kabardyńca i znikła w stepie. Zdumiona była też Kristine, spacerując zaułkami i małymi uliczkami miasta, po których kiedyś dumnie się przechadzała. Długo stała przed zamkniętymi drzwiami i zabitymi oknami budynku, w którym mieściła się niegdyś fabryka czekolady i gdzie przed wiekami, jak jej się wydawało, poznała swego męża. Kitty unikała w trakcie spacerów po mieście parku z ławkami pomalowanymi na zielono. Unikała w ogóle wszystkich dróg, które przemierzała dawniej z Andrem, i miejsc, w których się przed nim chowała, pragnąc, by ją znalazł.

Wieczorem przed odjazdem Kostia i Kitty przechadzali się krętymi uliczkami w centrum miasta, zatrzymując się przed zamkniętymi sklepami i sprzecząc o to, co mieściło się przed laty w tym czy tamtym budynku. Na rogu jednej z ulic kupili u starszej kobiety watę cukrową i odrywali po kawałku klejącą masę. Kitty wzięła Kostię pod rękę, bo ten raz po raz przystawał – przestrzelona noga dawała o sobie znać.

– Nie boisz się? – zapytała nagle brata.

– Czego mam się bać?

– Że kiedy jesteś tam, daleko, w każdym momencie może przyjść koniec?

– Owszem, czasami.

– Jak to wytrzymujesz?

– Nie zastanawiam się nad tym. Staram się wykonywać swoje obowiązki.

– Obowiązki, czyli to, że zabijasz albo sam zostaniesz zabity?

- Obowiązek, czyli staranie, by zginęło możliwie niewielu z nas. A co się tyczy wrogów, to jeśli ty ich nie zabijesz, to oni zabiją ciebie. Nie ma litości. Tam się nie zastanawiasz...
 - Czy oni nie są ludźmi?
 - To są chorzy faszyści.
 - A my to kto? Chorzy komuniści?
 - Jak możesz mówić coś takiego! Czy to chory pogląd twojego wybranka?
 - Dorastaliśmy przecież we trójkę, Kostia. On był dla ciebie jak brat.
 - Nie. Zdrajca nie może być mi bratem! Nie miał prawa tak postąpić.
 - Zaręczyliśmy się.
 - Zaręczyliście się?
 - Tak. A teraz nie wiem nawet, czy żyje.
 - Wydoroślej, Kitty. Już najwyższy czas. Zaręczona!
 - To, że nie chcę patrzeć na świat twoimi oczyma, nie znaczy, że go nie dostrzegam!
 - Nie żałuj Andra, on nie jest tego wart! Oszukał naszą rodzinę, choć myśmy go uratowali.
 - Uratowali? Oni zastrzelili jego matkę. Co takiego zrobiła? Dziwi cię, że się wzbraniał przed uznaniem tego systemu? Czy sam nie postąpiłbyś podobnie, gdyby mamę albo Kristine...
 - Musieli mieć powody.
 - Jak możesz mówić coś takiego!? Wiesz przecież, że to nieprawda. – Kitty zatrzymała się, patrząc na brata z oburzeniem.
 - Wojna nie będzie trwała wiecznie, Niemcy ledwie zipią. Cały świat jest przeciw nim. Potem wszystko wróci na właściwe tory.
 - Wszyscy czekają, ty czekasz i nikt nie wie, co się wydarzy.
 - Nawet Ameryka zaczęła nas popierać. Dostarczają nam nowych czołgów – mówił dalej Kostia, jakby nie słyszał siostry. – Teraz wszyscy walczymy przeciw Niemcom.
- Stanęli u zbiegu ulic. Cisza, jaka panowała, miała w sobie coś zatrważającego.
- A ty? Co dalej zamierzasz?
 - Jeśli przeżyję, to masz na myśli? Będę robił to, do czego się zobowiązałem.
 - A do czego się zobowiązałeś?
 - Pracować dla dobra kraju. To proste, Kitty.
 - Ale...
 - Jakie ale? Jak myślisz, za co ojciec oddał życie? Dlaczego poświęciło swoje życie tylu bohaterów?
 - Ojciec żył dla armii. Ciągłe nam go brakowało. Tobie, mnie, mamie. Też chcesz tak żyć?
 - Co to ma znaczyć, że nam go brakowało? Masz czelność kwestionować jego życiową drogę?
 - Kwestionuję raczej twoją i moją drogę życiową.

– Postaraj się lepiej czym prędzej wybić sobie z głowy poglądy, które wpoił ci twój narzeczony.

Powinnaś poszukać sobie właściwego męża.

– On ma imię i to imię brzmi Andro. Nie zarazisz się, jeśli je wypowiesz!

Kitty ze złością rzuciła za siebie patyk po wacie cukrowej i szybkim krokiem poszła naprzód.

Po operacjach na Krymie Andro Eristawi znalazł się w batalionie bojowym Legionu Gruzińskiego w Polsce, służąc jako radiotelegrafista we Lwowie, w dziale odpowiadającym za zabezpieczenie kolei. Później wstąpił do batalionu o patriotycznej nazwie „Królowa Tamar” i został wysłany do Francji. W tym czasie uczył się niemieckiego i francuskiego. W Pirenejach otrzymał zadanie rozszyfrowywania informacji wroga. W ostatnim roku wojny został wysłany do Haarlemu w Holandii, gdzie przydzielono go do ochrony kolei w charakterze radiotelegrafisty.

Niewiele niestety wiem na temat ówczesnej kondycji psychicznej Andra. Nie wiem, czy już na Krymie uświadomił sobie, w co wdepnął, i czy żałował swojej decyzji; z czasem zapewne pojął swe beznadziejne położenie. Musiał zrozumieć, że Wiedeń oddala się coraz bardziej, a powrót do ojczyzny staje się niemożliwy. Od 1944 roku wielu żołnierzy Legionu Gruzińskiego zaczęło dezertować i jednostka ta została przez Wehrmacht rozwiązana. Marzenie o wolnej Gruzji dawno już się rozwiało, od tej chwili każdy na własną rękę musiał starać się przetrwać.

Andro nie zdezerterował, pozostał w „Królowej Tamar”. Po prostu nie widział dla siebie innego wyjścia, innej drogi. Gdy myślę o tym z perspektywy czasu, widzę, że jego bezczynność ostatecznie uratowała mu życie. Zagorzały pacyfista Andro Eristawi znalazł się na ostatnim polu bitwy w Europie: został jednym z powstańców z wyspy Texel.

Ta holenderska wyspa wiosną 1940 roku, po jej zdobyciu przez Wehrmacht, stała się niemiecką bazą wojskową na Morzu Północnym. Batalion „Królowa Tamar” odpowiadał między innymi za ochronę linii kolejowej Haarlem–Amsterdam. Na wiosnę 1945 roku Andro otrzymał rozkaz przeniesienia się na Texel. Na wyspie znajdował się obóz dla gruzińskich jeńców wojennych, którzy dostali się do niewoli na froncie wschodnim i byli wykorzystywani przez Wehrmacht jako oddziały pomocnicze. W nocy z piątego na szósteo kwietnia w obozie wybuchł bunt, bo więźniowie dowiedzieli się o nowym rozkazie Wehrmachtu, zgodnie z którym mieli zostać ponownie wysłani na front. Gruzińscy buntownicy przejęli kontrolę nad całą wyspą, łącznie z bazami marynarki. Nawet po niemieckiej kapitulacji w Danii i Holandii nadal toczyła się zacięta walka o wyspę.

Nie wiem dokładnie, kiedy Andro zdecydował się przyłączyć do buntu, lecz przypuszczam, że zobaczył w tym możliwość odpokutowania fatalnej przeszłości i ocalenia swojego życia.

Całymi dniami ukrywał się w polach. Widział, jak płoną chłopskie gospodarstwa. Słyszał krzyki, raz po raz strzały. Słyszał syreny okrętów wojennych. Słyszał zdania wypowiedane po gruzińsku i po niemiecku, jego mózg nie rozróżniał już tych języków. Kto padł, a kto przeżył, nie czyniło różnicy. Znowu strzały. Z której strony? Dokąd miał biec? W którą stronę strzelać? Broń wydawała się tak ciężka i tak wiele siły, zdawało mu się, potrzebował, żeby pociągnąć za spust. Nieopodal dostrzegł leżącą na polu postać. Poczłogał się w tym kierunku, przywarł do ziemi, znowu padły strzały, tym razem tuż-tuż.

Poczołgał się dalej. Pachniało wiosną.

Na ziemi leżał mężczyzna. Żołnierz w mundurze Wehrmachtu. Zgubił gdzieś hełm. Czy jeszcze oddychał? Nie. Jego twarz już zbladła. Ile mógł mieć lat? Broń leżała obok niego jak wierny przyjaciel. Nogę miał wykręconą w nienaturalnej pozycji. Andro położył się obok martwego żołnierza i zaczął wpatrywać się w niebo. Po niebie przepływały białe, miękkie chmurki przeganiane lekkim wiatrem.

Strzały.

Pierwszy, drugi, trzeci.

Andro wyszeptał odruchowo: „*Maman*”. Ale mama nie odpowiadała. Ani niebo, ani martwy żołnierz.

Czwarty, piąty, szósty.

Słyszał strzały, ciągle słyszał strzały.

Siódmy, ósmy, dziewiąty.

Dostrzegł odpływającą chmurę. Uśmiechnął się. Czekał na odpowiedź. Albo na śmierć. Może powinien zazdrościć niemieckiemu żołnierzowi, który nie słyszał już tych strzałów, miał to wszystko za sobą.

Dziesiąty. I jeszcze jeden. Potem znów zapadła głęboka cisza, która nie miała w sobie nic kojącego.

Dwa tygodnie po zakończeniu drugiej wojny światowej oddziały kanadyjskie zakończyły na wyspie rozlew krwi podczas ostatniej bitwy w Europie.

Andro Eristawi wraz z dwustu trzydziestoma innymi Gruzinami przeżył.

Na wyspie pozostał do lata, zatrzymał się w jednym z wypalonych holenderskich gospodarstw z pięcioma innymi Gruzinami.

Do Wiednia nigdy nie pojechał.

Ostatnie miesiące wojny Kostia spędził na Bałtyku, gdzie osłaniał konwoje transportujące broń przez Atlantyk. Stracił ponad połowę załogi, z którą rozpoczynał służbę, i na jesieni 1944 roku sam cudem przeżył bombardowanie w Zatoce Kurskiej.

Stazja kursowała między opustoszałym domem na wzgórzach Wery, między Kristine i swoją córką, oraz podzielonym na pół domem swego dzieciństwa, gdzie była Lida, z którą wspólnie sadyły warzywa i hodowały kury, ponieważ racje żywnościowe w mieście stawały się coraz bardziej skąpe i nawet czarny rynek nie dostarczał już tego co dawniej. W maju 1944 roku Kitty Jaszi zgłosiła się do Państwowego Instytutu Filmu i Teatru w Tbilisi, który wznowił działalność pedagogiczną, na egzamin na wydział aktorski. Została przyjęta i we wrześniu tegoż roku rozpoczęła studia aktorskie. Ani Stazja, ani Kristine nie były zachwycone jej wyborem, nie sprzeciwiły się jednak tej decyzji.

„Wydarzenia minionych dwunastu miesięcy [...] zmusiły mnie, bym całą swoją uwagę i pracę poświęcił jednemu zadaniu, dla którego żyję od wielu lat: walce o los mego narodu [...]. W tej godzinie pragnę z tego powodu jako orędownik Wielkich Niemiec złożyć wobec Wszechmocnego uroczystą przysięgę, że wiernie i niewzruszenie będziemy wypełniać nasze obowiązki także w nowym roku, z niezłomną wiarą, że zwycięstwo przechyli się ostatecznie na stronę tego, kto jest go najbardziej godzien: Rzeszy Wielkoniemieckiej”. Tak powiedział Hitler w przemówieniu noworocznym w 1945 roku, które miało być jego ostatnim. Rok ten nie zaczął się dla niego dobrze, ponieważ pierwszego stycznia zameldowano mu, że pod Koblencją siły niemieckie zostały zmuszone do odwrotu przez jednostki amerykańskie i brytyjskie. Generalissimus tymczasem stanowczo żądał ataku na Berlin. Berlin był dla niego tym, czym kiedyś Stalingrad dla Hitlera. Poza tym Stalin chciał uczestniczyć w nowym podziale świata i tworzyć historię. Wcześniej oddziały radzieckie wyzwoliły Auschwitz. Jednostki ukraińskie znalazły tam sześćset czterdzieści osiem niepogrzebanych zwłok i około siedmiu tysięcy sześciuset żywych kościotrupów. Czuć było ostry smród śmiercionośnego cyklonu B. Trzeciego lutego Berlin przeżył najcięższy nalot amerykańskich sił powietrznych, którego skutkiem były dwadzieścia dwa tysiące ofiar śmiertelnych.

Trzynastego lutego zostało zniszczone Drezno – tym razem było to wspólne dzieło amerykańskich i brytyjskich jednostek powietrznych. Niezliczonych ofiar bombardowań nie można było zidentyfikować, tak spalone były ich ciała. Powstało osiemnaście milionów ton gruzu. W końcu lutego zachodni alianci dotarli do linii Renu.

Niemieckie radio nie przestało jednak nadawać *Das Wunschkonzert* – programu wymyślonego przez Goebbelsa, ze szlagierami i muzyką operetkową, przerywanego meldunkami z frontu.

Szesnastego lutego szwajcarski rząd federalny zamroził wszystkie aktywa narodowych socjalistów

znajdujące się w Szwajcarii. W marcu Amerykanie zajęli Frankfurt. Całe terytorium Niemiec było atakowane z powietrza. Ogłuszający ryk samolotów stał się tej zimy kołysanką dla niemieckich dzieci. W tym samym miesiącu we Francji rozpoczęły się procesy kolaborantów. W wątpliwych procesach skazano i stracono tysiące ludzi, innym odebrano dobre imię, ogolono głowy, wystawiano na widok publiczny i ubliżano im.

Dwunastego marca w Bergen-Belsen zmarła na tyfus dziewczynka, która stała się przezroczysta jak opłatek, a która wcześniej trafiła tam ze swą siostrą z Auschwitz. Jej świadectwo zdrowia stwierdzało, że jest chora, „lecz rokuje wyzdrowienie”. Zmarła, nie wiedząc o tym, że przetrwa jej pamiętnik.

Szesnastego kwietnia armia 1. Frontu Ukraińskiego i 1. Frontu Białoruskiego rozpoczęła atak na Berlin. Dziewiąta Armia została w krótkim czasie rozgromiona. Dwudziestego drugiego kwietnia oddziały rosyjskie dotarły do centrum miasta. W trakcie tych wydarzeń, w nocy z dwudziestego ósmego na dwudziestego dziewiątego kwietnia, Führer sporządził w swoim bunkrze testament, w którym admirała Dönitza wyznaczył na prezydenta Rzeszy, a Goebbelsa na kanclerza. Potem odbyło się najbardziej makabryczne wesele na świecie: Adolf i Eva zostali mężem i żoną. I zaledwie dwa dni później gazeta „Hamburger Zeitung” doniosła: „Dziś po południu poległ za Niemcy na stanowisku dowodzenia w kancelarii Rzeszy nasz Führer Adolf Hitler, walcząc do ostatniego tchu przeciwko bolszewizmowi”. Nigdzie nie było mowy o kuli ani o cyjanku potasu, który zażyła świeżo poślubiona para. Na Reichstagu zawisła wcześniej radziecka flaga. Sto pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy niemieckich wyszło z Berlina do niewoli. Siódmego maja podpisano we francuskim Reims akt bezwarunkowej kapitulacji Niemiec. Zaczął on obowiązywać ósmego maja minutę po godzinie dwudziestej trzeciej.

Wojna się skończyła.

Brakowało słów. Ludzie wiwatowali i pili wódkę.

Czerwonoarmiści plądrowali i zabierali wszystko, co nie było przyśrubowane albo przybite, a nawet i to też.

Duke Ellington grał *I'm Beginning to See the Light*. A pary tańczyły na Times Square i namiętnie się całowały.

Powietrze w Europie pachniało popiołem.

Duchy krztusiły się swymi żałobnymi pieśniami. Motyle wzbraniały się przed wyjściem z kokonów. A Frank Sinatra śpiewał *Dream (When You're Feeling Blue)*. Niektórzy wpadali przy tym w trans.

„Wojna się skończyła”. Słowa te słyszało się raz po raz. Tak łatwo wpadały w ucho, kiedy wszystkie stacje radiowe i ekrany w kinach głosiły tak nieprawdopodobnie zwyczajnie: wojna się skończyła. A potem rozbrzmiewała muzyka marszowa.

Na placu Czerwonym czczono dziedzictwo Lenina i nie puszczano muzyki ani Ellingtona, ani Sinatry, jednak również gorąco się całowano i wielu ludzi traciło z wrażenia zmysły. A Generalissimus

podkreślał: „Przed trzema laty Niemcy miały zamiar poćwiartować Związek Radziecki przez oderwanie Kaukazu, Ukrainy, Białorusi i państw bałtyckich. Stało się jednak inaczej. Niemcy zostały zmuszone do bezwarunkowej kapitulacji. Towarzysze! Wielka Wojna Ojczyźniana skończona! Chwała wielkiemu narodowi Związku Radzieckiego, narodowi zwycięzców, chwała radzieckiej armii, radzieckiej flocie i tym, którzy poświęcili życie za ojczyznę!”. Stalin nie przeczuwał, że razem z zakończeniem wojny rozpoczyna się jego własny powolny koniec: kilka miesięcy wcześniej doznał pierwszego wylewu, a wkrótce lekarze mieli zdiagnozować u niego wysokie ciśnienie krwi, arteriosklerozę, osłabienie mięśnia sercowego i chroniczne zapalenie wątroby. Generalissimus jednak triumfował: wojna sprawiła, że jego kraj wybił się na pozycję światowego mocarstwa.

Andro został przeniesiony z punktu zbiorczego dla dipisów, *displaced persons*, do kacetu Plattling pod Regensburgiem. Miał nadzieję, że otrzyma tam pozwolenie na wyjazd.

Lecz zgodnie z postanowieniami jałtańskimi wszystkich obywateli Związku Radzieckiego należało bezwarunkowo odsyłać do ich kraju. Tej decyzji nie mogła podważyć ani Międzynarodowa Organizacja Uciekinierów, ani pomoc UNRRA. Brytyjczycy już wcześniej zaczęli odtransportowywać tysiące radzieckich jeńców wojennych do ZSRR. Wszystkich odsyłanych czekał podobny los: część z nich bezpośrednio po przypłynięciu statkami do portów w Murmańsku i Odessie rozstrzeliwano, pozostałych wywożono do gułagów albo – gdy powrócili do ojczyzny przed zakończeniem wojny – ponownie wysyłano na front. Najtragiczniejsze zdarzenia związane z przymusowym powrotem do ZSRR rozegrały się w 1946 roku w Dachau: czternastu spośród stu czterdziestu więźniów, których wbrew ich woli miano wysłać do ich ojczystego kraju, podcięło sobie gardła szkłem. Amerykanie określili ten czyn jako „niehumanitarną samobójczą orgię zdrajców-czerwonoarmistów”.

Także Andro Eristawi w sierpniu 1945 roku został odesłany z tysiącem pięciuset innych radzieckich jeńców wojennych z Plattling do ZSRR i trafił na Syberię do obozu pracy w pobliżu Nazino (wioski, która stała się znana przez „tragedię z Nazino”, kiedy to w lecie 1933 roku w trakcie trwania czystek wypuszczono tam „na wolność” sześć tysięcy deportowanych, nie zapewniwszy im dachu nad głową, pożywienia ani żadnych narzędzi umożliwiających przeżycie – po dwóch tygodniach z liczby tej pozostały już tylko dwa tysiące, cztery tysiące ludzi zmarło z głodu albo zamarzło, lecz większość padła ofiarą kanibalizmu).

A Wiedeń, podzielony na cztery części, stał się martwy.

Kilka dni przed oficjalnym zakończeniem wojny, w dniu, w którym Benito Mussolini razem ze swoją kochanką Clarą Petacci został schwytany w trakcie ucieczki i rozstrzelany przez partyzantów, a ich zwłoki zawisły do góry nogami na Piazzale Loreto w Mediolanie, wojna zakończyła się również dla Kostii Jasziego. Został bowiem odwołany ze służby na Bałtyku i wysłany pociągiem do Moskwy.

W urzędzie Komisariatu Marynarki przyjął go elegancki mężczyzna o cichym głosie, ubrany

w ciemny płaszcz z futrzanym kołnierzem. Po chwili Kostia rozpoznał w nim swego najlepszego przyjaciela Georgiego Alanię.

Georgi zaprowadził go do swego obszernego, jasnego mieszkania mieszczącego się tuż przy bulwarze Twerskim i po królewsku ugościł. Wytworne mieszkania, takie jak to, przeznaczone były wyłącznie dla pracowników ministerstw, lecz Kostia nie chciał wchodzić od razu w takie detale, wolał w spokoju zakosztować dobrego jedzenia i luksusu. W rozmowie Georgi wspomniał na marginesie, że awansował w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, MWD. W jaki sposób tam trafił i czym się dokładnie zajmował, nie zdradził, dając Kostii do zrozumienia, że ma zakaz rozmawiania o pracy. Kostia był jednak przeszczęśliwy, czując oddanie przyjaciela, jego podziw dla siebie i dawną gotowość uprzedzania życzeń. Georgi zapraszał go do restauracji na wystawne kolacje, o jakich Kostia nie mógł marzyć w najśmielszych snach, i niestrudzenie chwalił jego odwagę i bohaterstwo. W tajemnicy zdradził mu też, że wkrótce otrzyma nominację na kapitana.

W jaki sposób Georgi Alania ze zwykłej stoczni na końcu świata dostał się do ministerstwa, pozostawało zagadką, Kostia musiał jednak przyznać, że nie doceniał swego przyjaciela.

Niekiedy pomiędzy odgłosem strzelającego korka szampana a odwiedzinami w wytwornych restauracjach i długimi nocnymi rozmowami Kostię ogarniał paniczny lęk, lęk przed tym, że nie powstrzyma swoich wspomnień. Przeżył wojnę, nie padały już bomby, nie słychać było strzałów, lecz Kostia z trudem się do tego przyzwyczajał. Dopiero teraz poczuł się bezbronny, choć jemu samemu zdawało się to niedorzeczne. Nie wiedział, co począć z codziennością. Ale wiedział, że wspomnienia, ta okrutna armia, powrócą i nie będą miały nad nim litości. W jakimś zakamarku jego mózgu mieszkała kobieta z pierścionkiem na każdym palcu, której obrazu nie potrafił od siebie odpędzić, żeby nie wiadomo jak się starał. Obawa, że Ida nie żyje, doprowadzała go do szaleństwa; gubił się, szukając jej cienia.

Georgi Alania zapraszał do swego domu piękne kobiety otulone w futra i obwieszane biżuterią, o ustach pociągniętych krwistoczerwoną szminką. Trzepotały rzęsami, rzucały Kostii tęskne spojrzenia, podziwiałały go i prosiły, żeby dolewał im wina. Kiedy pewnego razu jedna z nich nastawiła płytę i poprosiła go do tańca, Kostia wyszedł z pokoju i zażądał od Alanii, żeby odesłał je do domu. Alania tym razem go usłuchała, jednak po pewnym czasie wizyty kobiet znowu zaczęły się powtarzać. Alania rzadko wracał do domu sam. Pewnego wieczoru, gdy zobaczył Kostię na sofie z pewną blondynką, stwierdził, że Kostia pozwala leczyć swoje rany i przepędzać ponure myśli jej miękkim jak jedwab ustom. Odetchnął z ulgą, wyraźnie ucieszony, że miłość można jeszcze przynajmniej kupić.

Następnego wieczoru Alania usiadł z Kostią na balkonie. Obserwowali z góry ruch uliczny.

– Co zamierzasz robić w najbliższej przyszłości?

– Będę czekał na kolejny przydział do jakiejś jednostki – odparł Kostia i strzelił palcami.

– Zasłużyłeś na coś lepszego i mógłbym ci w tym pomóc.

– W czym?

– W tym, byś został potraktowany stosownie do swoich zasług.

– Czym się dokładnie zajmujesz, Georgi?

– Jestem w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, już ci to mówiłem.

– I co tam robisz?

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Daj spokój, Georgi, przecież się znamy. Nie bądź taki tajemniczy.

– Stworzono tam wiele wydziałów i...

– Wydziałów? Czym zajmują się te wydziały?

– Nasza grupa odpowiada za repatriację obywateli radzieckich z zagranicy. Obecnie przygotowuje się nas do zadań za granicą. Więcej, niestety, nie mogę zdradzić.

– Cóż jest takiego tajemniczego w repatriacji?

– Nic więcej nie powiem, Kostia, i mam nadzieję, że nie sądzisz, że to z braku zaufania do ciebie.

– Nie, no, w porządku. Ale jak mógłbyś mi pomóc?

– Powiem w ministerstwie o tobie dobre słowo.

– Czy to ty kazałeś mnie wtedy sprowadzić do Moskwy? To tobie zawdzięczam urlop w ojczyźnie?

Alania nie odpowiadał.

– A więc to byłeś ty! Jak mogłem na to nie wpaść! Ale dzięki! Cóż mogę jeszcze powiedzieć? Że nie jestem stworzony do pracy przy biurku, to wiesz.

– Wiem. Nie martw się, wezmą pod uwagę twoje preferencje i zdolności.

Alania wstał i nachylił się nad oparciem krzesła. Kostia stanął obok przyjaciela i objął go ramieniem.

– Wiesz, że wiele dla mnie znaczysz. Zrobię wszystko, żeby znowu dobrze ci się wiodło.

– Jest coś, co mógłbyś dla mnie zrobić – rzekł cicho Kostia.

– Mów, o co chodzi.

– Chciałbym poznać miejsce pobytu pewnej kobiety.

Jesienią rozpoczęło się sprzątanie świata po wojnie i rozbudowywanie cmentarzy w miastach. Kostia wrócił do Tbilisi. Pierwsze tygodnie upływały mu na spaniu i słuchaniu radia. Kitty grała w tamtych tygodniach swoją pierwszą główną rolę w przedstawieniu szkoły teatralnej. Wyobrażam sobie, że była to *Antygona*. Prawdopodobnie jednak sztuka ta była w owych czasach zakazana, więc możesz, Brillko, sama wybrać sobie rolę, którą grała wówczas Kitty. Dwa dni po premierze młoda aktorka otrzymała list i od razu poznała pismo Andra Eristawiego. Pobieгла do łazienki i z wrażenia dostała torsji. Nie wiedziała, jak długo siedziała na brzegu wanny, zanim zdobyła się na odwagę, by otworzyć list. Potem poszła do pokoju Kostii, zbudziła go i usiadła na brzegu łóżka.

– Kostia, musisz mi pomóc.

– Co się dzieje? – Kostia, przecierając zaspane oczy, usiadł na posłaniu.

– Andro żyje! Jest w gułagu. Mam jego adres. Musimy go stamtąd wyciągnąć! Musisz dowiedzieć się, co takiego zrobił, i...

– Oszalałaś czy co? Co zrobił? Zdradził ojczyznę! Przeszedł na stronę wroga, jest tchórzem. Dziwi mnie, że w ogóle udało mu się przeżyć.

Na to Kitty po raz pierwszy w życiu uderzyła Kostię w twarz. Ten, osłupiały i wściekły, skoczył na równe nogi i nerwowo zaczął się ubierać.

– Proszę, przebacz mi, musisz mi pomóc! Kostia, błagam cię!

– Zwariowałaś! Narazasz nas wszystkich na wielkie niebezpieczeństwo!

– Może moglibyśmy się przeprowadzić gdzieś w pobliże jego obozu, żebym mogła go odwiedzać...

On tam umrze, Kostia.

Kitty uklękła przed bratem i uczepiła się swetra, który Kostia przed chwilą włożył.

– Nie ponizaj się! Wstawaj! – powiedział głośno, odepchnął ją i wybiegł z pokoju.

Świat po wojnie ogarnął amok – ludzie chcieli cieszyć się życiem i usuwać gruzy, tańczyć pogańskie tańce, radować się, że przeżyli, chcieli pić, świętować, sycić się ponad miarę wszystkim, czego nie dostawało im w ostatnich latach. Chcieli banalnych operetek, frywolnych piosenek, pięknych filmów o ojczyźnie. Chcieli zapomnieć i żyć tak, jakby nie było jutra ani wczoraj. Euforia była zaraźliwa, niebezpieczna.

Również w naszej małej ojczyźnie śpiewano i świętowano do upadłego. I oczywiście wiwatowano na cześć władzy. Ludzie organizowali szalone, krzykliwe wiece, sławiące mądrość i siłę władzy. Wznosili okrzyki na cześć Generalissimusa, Ojca Narodu, który zwycięsko wyprowadził swój kraj z apokalipsy i wprowadził w światło socjalizmu. Tworzyli legendy i mity na jego temat, opiewali jego odwagę i ofiarę, jaką złożył na ołtarzu ojczyzny. Najbardziej poruszająca historia wiązała się z jego synem: w 1941 roku najstarszy syn Stalina, Jakow, dostał się do niemieckiej niewoli. Kiedy faszyci odkryli, kim jest jeniec, zaproponowali Rosjanom, że wymienią go za generała Paulusa, który pod Stalingradem dostał się do niewoli. Odpowiedź Generalissimusa brzmiała – tak przynajmniej głosi fama: „Nie wymieniam generałów na prostych żołnierzy”. Syn Stalina rzeczywiście skończył w żalorny sposób, z niemiecką kulą w potylicy. Historia ta potwierdzała bezinteresowność Wodza i jego bezwzględną wierność ojczyźnie. Jego decyzji nie uważano za nieludzką, przeciwnie – uznano, że Wódz, poświęcając własnego syna, dowiódł, że bohatercko współcierpiał ze swoim narodem, a swym niemal biblijnym gestem okazał nadludzką wprost niezłomność. Związek Radziecki kwitł. Generalissimus był zwycięzcą, a zwycięzcom przebacza się wszystko.

Po wojnie Stazja wróciła ostatecznie do Tbilisi. Najpierw zameldowała się w komisariacie ludowym jako poszukująca pracy. Kristine zaś powróciła do pracy w szpitalu. Kostii nie spieszyło się na kolejną placówkę w marynarce; z przyjemnością zażywał opieki matki i ciotki, przesypiał znaczną część dnia, niemal co dzień brał w miejskiej łaźni gorącą kąpiel siarkową, jakby chciał wyparzyć wspomnienia wojny w porach swego ciała, i flirtował ze studentkami w herbaciarniach. Nastroje Kitty były skrajnie zmienne i czasem wydawało się, że mieszkają w niej dwie zupełnie różne istoty, skazane na nieustanną walkę. Wprawdzie od dnia, w którym wywieziono ją do wiejskiej szkoły, nikt nie widział Kitty radosnej i beztroskiej, lecz resztki radości tliły się w niej jeszcze, niby pojedyncze iskry w dogasającym ognisku. W takie dni cieszyły ją zajęcia w studium aktorskim i role, które przyjmowała tak, jakby przywdziewała nowe sukienki. Cieszyło ją grono kolegów, którzy potrafili tak cudownie, w zapamiętaniu wyrażać radość z tego, że żyją. Do Andra Kitty regularnie słała listy, opisując w nich swoją codzienność, nowe książki, które czytała, premiery teatralne, na które chodziła. Umacniała jego nadzieję, udając radosną istotę. Nigdy jednak nie napisała, jak było naprawdę. Ani razu nie zdradziła się przed nim ze swymi

troskami. Bała się, że Andro nie wytrzyma niekończących się udręk gułagu. Nawet gdyby nigdy nie mieli pojechać do Wiednia, nawet gdyby nigdy nie mieli się już całować na pomalowanych na zielono ławkach i mimo że ich iluzje i nadzieje nieodwracalnie rozprysły się w drobny mak – nigdy nie porzuciłaby nadziei na jego powrót. Odpowiedzi Andra były zwykle nie dłuższe niż pół strony. Korespondencję oczywiście kontrolowano. Andro pisał swoim drobnym, pełnym zawijasów pismem wyłącznie o codziennych zdarzeniach w kamieniołomie, o radości z powodu słonecznego dnia albo gęstszej zupy. Tylko raz, w pierwszym liście, dodał na końcu „wybacz”. Ale Kitty tego nie roztrząsała.

Listy od Andra trzymała w ukryciu. Zawsze wyczuwała nadejście listonosza i sama odbierała od niego korespondencję, a swoje listy do niego zanosila na pocztę. Miała nadzieję, że w sprawie Andra pomoże jej Kostia, ale gdy zrozumiała, że to nie nastąpi, pewnego dnia zwróciła się do Kristine, która podtrzymywała dobre kontakty z wysoko postawionymi funkcjonariuszami władzy. Rozmowa odbyła się w jednej z nowo otwartych kawiarni przy bulwarze Rustaweli. Kitty patrzyła na duży plakat anonsujący nowy sezon operowy.

- Od kiedy o tym wiesz? – Kristine odstawiła filiżankę.
- Od kilku tygodni. Dostałam od niego list. Ale Kostia...
- Jego do tego nie mieszaj!
- Skończ z tym wiecznym osłanianiem Kostii, Kristine!
- Czego właściwie od niego oczekiwałaś?
- Myślałam, że pomoże w przeniesieniu Andra. Tu w okolicy też nie brakuje obozów pracy.
- Uważasz, że nadal musisz kochać Andra?
- Co chcesz przez to powiedzieć? Zawsze będę go kochać, to przecież nasz Andro.
- To, co kochasz, to są twoje wspomnienia. Nie jesteś już taka jak kiedyś, a on tym bardziej nie przypomina chłopaka, którego znałaś. Możesz chcieć mu pomóc, ale ze względu na niego, nie ze względu na siebie.

Kristine wypila herbatę. Kitty umilkła i ogryzając paznokcie, patrzyła na ulicę, gdzie spacerowały zakochane pary i rodzice z dziećmi. Kristine wprawdzie niczego jej nie obiecała, zaczęła się jednak zastanawiać, co może w tej sprawie przedsięwziąć. Gdyby naprawdę zarzucano Androwi zdradę ojczyzny, dawno by już nie żył. Możliwe więc, że w ostatnich latach wojny Andro się opamiętał i w jakiś sposób zasłużył się czerwonym, za co pozostawiono go przy życiu. Kristine poprosiła kilku dawnych przyjaciół Ramasa o radę, próbując się dowiedzieć, czy istnieje jeszcze szansa dotarcia do akt Andra. Powiedziała też Stazji, że Andro nawiązał kontakt z Kitty.

Stazję trawiły wyrzuty sumienia. Zabroniła sobie myśleć, że Andra może spotkać ten sam los co matkę. Nigdy by sobie tego nie wybaczyła. Ona, Stazja, pojechała za swoim synem do Rosji, naiwnie wierząc, że go uratuje, a zostawiła samemu sobie łatwowiernego, niedoświadczzonego syna Sopia, dla

którego wojna była czymś zupełnie obcym. Nie mogła nawet – kiedy głębiej się nad tym zastanowiła – zarzucić Androwi, że dokonał fatalnego wyboru, którego skutki tak dotknęły Kitty. Pakowała więc teraz paczki z żywnością i ubraniami, wciskała urzędnikom ruble do kieszeni, by mieć pewność, że przesyłki dotrą do Andra. Wezwała też na rozmowę Kostię, prosząc, by przez kogoś z urzędów centralnych dowiedział się, dlaczego Andro trafił na Syberię.

Kostia nie wytrzymał atmosfery panującej w domu – wyczekujących, błagalnych spojrzeń siostry, wstawiennictwa Kristine i władczych żądań Stazji – i zadzwonił do Georgiego Alanii do Moskwy. Inaczej niż w wypadku poszukiwania Idy Georgi szybko uzyskał informacje o Andrze. Potem przez telefon poinformował Kostię w szczegółach, co w czasie wojny robił narzeczony jego siostry. Jedynym powodem, dla którego pozostawiono go przy życiu, był jego udział w powstaniu na wyspie Texel.

Po całym domu rozchodził się magiczny zapach. Kostia dokądś wyszedł, a Kitty była jeszcze na próbie. Kristine, która w koszuli nocnej zmierzała do sypialni, zeszła na dół do kuchni. Od tragicznej nocy Stazja nie gotowała dla niej gorącej czekolady. Nie wiedziała zresztą, że Kristine od dawna zna przepis. Siostry usiadły razem przy stole.

– Dawno nie przyrządzałaś czekolady.

– To prawda. Ale pomyślałam, że teraz obie na to zasłużyłyśmy.

Stazja rozlała gęstą ciecz do dwóch porcelanowych filiżanek. Obie zaczęły powoli nabierać ją łyżeczką, rozkoszując się jej smakiem.

– Musisz nawiązać z nim kontakt – powiedziała nieoczekiwanie Stazja.

– Z kim?

– Wiesz z kim.

– Proszę? – spytała Kristine lodowatym tonem.

– Musimy wyciągnąć stamtąd Andra, inaczej nie przeżyje.

– Jak to sobie wyobrażasz?

– Jesteśmy odpowiedzialne za chłopaka. Może kiedyś się pomylił, może podjął złą decyzję. Ale był taki młody, Kristine. To, co się stało z Sopio, nie może powtórzyć się z Andrem. Nigdy byśmy sobie tego nie wybaczyły.

– A czy ja będę mogła sobie wybaczyć, że po tym wszystkim, co przeszłam, zwracam się do tego kogoś z prośbą o pomoc?

Ton Kristine nadal był lodowaty, a jej spojrzenie pełne wstrętu.

– Zrobisz to, Kristine, żeby uratować Andra. Wychowałyśmy go jak własne dziecko. Wyobraź sobie, że chodzi o Kostię...

– Nie mogę, Stazjo, po prostu nie mogę.

– Nienawidzę się za to, że muszę cię prosić o tę przysługę, ale nic innego mi nie pozostało. Z takim

życiorysem Andro nigdy nie będzie miał szansy, chyba że... Nikt inny oprócz ciebie nie może mu pomóc.

– Nie wiem nawet, czy on będzie gotów mnie przyjąć, wysłuchać, no i gdzie w ogóle miałabym się z nim spotkać. Przez większość czasu przebywa przecież w Moskwie.

– Wysłucha cię, na pewno zechce cię zobaczyć.

– Od czasu tamtego wypadku wcale do tego nie dążył.

– Widziałam jego spojrzenie.

– Jakie spojrzenie?

– To, jak kiedyś na ciebie patrzył.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie, Kristine wybierała palcem z filiżanki resztki czekolady.

Potem nagle podniosła wzrok i rzekła:

– Dobrze, ale potem...

– Co potem? Jeśli o mnie chodzi, zrobię wszystko.

– Potem zaakceptujesz śmierć Simona.

Stazja głośno przełknęła ślinę. Wstała, znowu usiadła. Zapaliła papierosa.

– Powiedz to – rzekła Kristine wyczekująco.

– Ja... Dlaczego chcesz, żebym ja...

– Powiedz to głośno!

– On... on...

– Powiedz to na głos, a ja odszukam tego kogoś i poproszę go o ułaskawienie Andra.

– Simon...

– Stazjo!

– Simon nie żyje.

KSIĘGA IV
KITTY

*Nad sobą mam księżyc,
lecz nikogo, kto by mnie kochał.
Gdzie jesteś, o mój ukochany?
fragment piosenki *Lover Man*
śpiewanej przez Billie Holiday*

Po jednym ze studenckich przedstawień ktoś zapukał do garderoby Kitty. Poirytowana Kitty gwałtownym ruchem otworzyła drzwi i zamarła z wrażenia. Przed nią stała jej święta opiekunka i anioł śmierci w jednej osobie, dziewczyna z jej piekła – Mariam. W plisowanej spódnicy i z włosami związanymi w koński ogon. W dłoni trzymała bukiet fiołków. Po chwili wahania Kitty rzuciła się jej na szyję. Żadna z nich nie wiedziała, co ma powiedzieć i co właściwie czuje. Kitty wskazała Mariam krzesło przy toalecie do charakteryzacji, a sama usiadła na niskim taborecie.

Mariam nigdy nie wierzyła, że zostanie przyjęta na studia w Instytucie Medycznym. Dla prostej dziewczyny ze wsi studiowanie medycyny, do tego w stolicy, było czymś niezwykłym. Przyjęto ją jednak, bo w kraju brakowało lekarzy. Opowiadała, jaka jest szczęśliwa i podekscytowana, że może się przenieść do Tbilisi. Nazwisko Kitty zobaczyła na plakacie Instytutu Teatralnego i Filmowego i przyszła na spektakl. Długo się wahała, czy pójść do jej garderoby, bo nie była pewna, czy Kitty w ogóle będzie chciała z nią rozmawiać, ale nie wytrzymała i oto jest.

– Ależ co ty mówisz. Oczywiście, że chcę cię widzieć. Bardzo się cieszę.

Wkrótce potem Mariam zaczęła studia i coraz częściej się spotykały. Kitty pokazywała jej miasto, zabierała ją do znajomych, a w końcu zaprosiła do domu. Przedstawiła ją tam po prostu jako przyjaciółkę. Nic więcej. Ani słowem nie wspominały o tym, co je niegdyś połączyło, chociaż to niewypowiedziane zawsze stało między nimi. W obliczu zdarzeń z przeszłości słowa traciły moc. Jednak to, co o sobie wiedziały, ta wspólna tragedia, było w nich gdzieś głęboko obecne.

W odróżnieniu od innych, normalnych przyjaciół w ich relacji nie było ważne, czy mają wspólne zainteresowania, podobne poczucie humoru, czy lubią plotkować i razem chichotać. Nic nie miało znaczenia wobec tego, co zrodziło tę ich niedobrowolną przyjaźń. Nic jednak nie zmuszało ich teraz do przebywania z sobą. W ich relacji była obopólna sympatia i świadomość widocznych i niewidocznych bliźn, które wyzwały wzajemną miłość, na chwilę znieczulały nienawiść oraz zagłuszały poczucie winy. Owa szczególna miłość niebawem stała się nieodzowna – potrzebowały jej, by poradzić sobie z codziennością i nie dopuszczać do siebie wątpliwości, czy mają prawo żyć.

W chwili ponownego zjawienia się Mariam w jej życiu Kitty odzyskała część swego dawnego ja – bezpowrotnie utraconego, jak jej się zdawało. Wróciła dawna lekkość, skłonność do zabawy, dziecinne usposobienie. Kitty rozkwitła, śmiała się i pełną piersią śpiewała na zebraniach studenckich. Kristine doceniała w Mariam jej skromność i powściągliwość, Stazja zaś dziwiła się, że jej dzika córka znalazła w tej prostej i nieśmiałej dziewczynie najlepszą przyjaciółkę, i brała to za dobry znak.

Mariam była w miły sposób nieśmiała, cicha i zdystansowana, ciekawa wszystkiego, ale nie nachalna,

chętna do pomocy. Wykazywała też absolutny brak egoizmu: zadowolenie innych było dla niej zawsze ważniejsze od własnej satysfakcji.

Najbardziej zachwycała w niej jednak umiejętność okazywania wdzięczności. Nigdy nie oczekiwała, że zostanie za coś pochwalona, czymś obdarowana, że dostrzeże się jej zalety, a jeśli już tak się zdarzyło, była taka szczęśliwa, taka wdzięczna, że sam wyraz jej twarzy wystarczył, by chciało się jej mówić komplementy i obdarzać ją prezentami.

Nic dziwnego, że na Kostii Mariam wywarła zupełnie inne wrażenie niż jego głośna i bezczelna siostra. Przypuszczam, Brilko, że choć nigdy się do tego nie przyznał, nawet przed samym sobą, i choć to trudne do udowodnienia i niezgodne z logiką, Kostia bał się Kitty. Może irytowała go jej nieobliczalność albo dystans, z jakim go traktowała, od kiedy niczym klin wszedł pomiędzy nich Andro, a może nie radził sobie z jej bezrefleksyjną i gwałtowną naturą.

Nie jestem pewna, czy poprzez Mariam chciał poprawić swoje stosunki z Kitty, wiem jednak, że gdy poznał Mariam, bardzo szybko zaczął odwozić je obie po wykładach do domu, zapraszał do restauracji, do kina i na wieczorki taneczne, a Mariam od czasu do czasu dawał kwiaty. Początkowo Kitty traktowała zachowanie brata jako chęć wynagrodzenia jej stanowiska, jakie zajął w sprawie Andra. Im dłużej mieszkała z nim pod jednym dachem, tym trudniej przychodziło jej akceptować jego surowe zasady, żelazną dyscyplinę, nadmierne wymagania wobec otoczenia, rozkazujący, żołnierski ton i jego zamknięcie w sobie. Odkąd wrócił do domu, raz po raz podejmowała próby przeprowadzenia z nim szczerzej rozmowy, niestety, daremne. I kiedy Kostia nagle zmienił swe zachowanie, starając się o jej i Mariam względy, kiedy zaczął się interesować ich sprawami, a nawet przychodzić na zajęcia aktorskie i chwalić jej talent, Kitty, choć nadal irytował ją jego władczy sposób bycia, cieszyła się z ocieplenia ich stosunków. Trochę wprawdzie jej przeszkadzało, że Mariam uległa uwodzicielskiemu czarowi brata – Kostia zawsze wywierał wielkie wrażenie na kobietach i Mariam nie była tu wyjątkiem. Przestała więc go informować o swoich spotkaniach z Mariam i okłamywała brata, kiedy szła z przyjaciółką do kina czy na koncert. Próbowwała ich od siebie odsunąć.

Gdy Mariam i Kitty spotykały się tylko we dwie, rozmowa zawsze schodziła na Kostię. Mariam zachwycała się jego ogładą, rycerskością, troską, uważnością, umiejętnością prowadzenia ciekawej rozmowy. Kitty nic na to nie odpowiadała. Próbowwała odwrócić uwagę przyjaciółki od brata, lecz Mariam chciała się z nim umawiać, chodzić na tańce i nie pozwalała sobie odebrać okazji spędzania z nim czasu. Kitty w duchu dziwiła się zainteresowaniu, jakie Kostia okazywał Mariam. Taka prosta dziewczyna jak ona właściwie nie powinna była mu się podobać. Wszystkie inne kobiety, które Kostia znał i z którymi flirtował, były wytwornymi istotami, wywodzącymi się z lepszych rodzin. Mariam w dodatku nie była ani doświadczona, ani na tyle bezpruderyjna, by pozwolić mu się wprowadzić w sztukę miłości. Ukradkowe trzymanie się za ręce i potajemne pocałunki niedługo przestaną mu

wystarczać, tego Kitty była pewna. Więc wkrótce ją porzuci, nie mówiąc o tym, że w każdej chwili jakiś rozkaz może go wezwać na północ kraju.

Lecz im dłużej Kitty obserwowała przyjaciółkę i Kostię, tym jaśniejsze stawało się dla niej, że z ich początkowego zainteresowania i tego, jak Kostia imponował kobietom, zrodziło się poważne uczucie. Niezobowiązujący flirt wyzwolił łańcuch emocji. Uczucie Mariam, z początku lekkie jak piórko, wynikłe z zauroczenia i tęsknoty za byciem kochaną, zaczęło nabierać ciężaru. Mariam chciała lepiej zrozumieć jego psychikę, poznać jego upodobania, przeniknąć jego myśli. Rozważała każde słowo, z którym się do niej zwracał, zastanawiała się nad wymową każdego spojrzenia, każdemu dotknięciu nadawała wagę. Kitty spodziewałaby się wszystkiego, tylko nie tego, że jej przyjaciółka w tak krótkim czasie straci głowę, ulegnie urokowi Kostii i tak bardzo będzie spragniona jego uwagi.

Pewnego łagodnego kwietniowego wieczoru, kiedy Kitty wróciła do domu z próby, zobaczyła Kostię i Kristine siedzących w ogrodzie, który znów był zadbany, i stanęła jak wryta. W tym obrazie coś jej się nie zgadzało. Gdy patrzyła na tych dwoje, ogarnęło ją niejasne poczucie, że jest świadkiem czegoś, co nie było przeznaczone dla jej oczu, chociaż wydawałoby się, że chodzi tylko o rozmowę ciotki z siostrzeńcem. Sympatyczny widok, pozornie nic nadzwyczajnego. Siedzieli przy starym ogrodowym stole, Kostia, lekko pochylony do przodu, trzymał rękę Kristine w swojej. Kristine, zwrócona piękną połówką twarzy do siostrzeńca, słuchała go jak urzeczona. Śmiała się jasnym śmiechem, odrzucając głowę do tyłu. Ta intymna rozmowa, ten swobodny śmiech, to wspólne przebywanie całkowicie ich angażowało. Byli sobą tak pochłonięci, że Kitty oparła się o ścianę i zakłopotana utkwiała wzrok w ziemi. Za tą zwyczajną sceną kryło się coś, z czego chyba nie zdawali sobie sprawy. „Są idealną parą kochanków”, pomyślała Kitty i porzuciła tę niedorzeczną myśl równie szybko, jak ją powzięła.

„Kostia poddał się nie tyle jej fizycznemu pięknu, ile czemuś, co się za nim kryje, bo w pięknie Kristine jest coś bolesnego. Może potrzebuje tej nieprzystępności, tak wyraźnie emanującej od ciotki, żeby się w niej zanurzyć, zatracić i nie musieć mierzyć się z rzeczywistością? – zastanawiała się Kitty. – Może chodzi o lęk, lęk, że Kostia nie potrafi stawić czoła światu? Może jego dyscyplina, jego tęsknota za siłą były niczym innym jak nieustanną próbą pozbycia się tego lęku? Lęku przed błędami, lęku, że pewnego dnia wszystko wokół niego okaże się bezsensowne. Że pewnego dnia straci wszystko. A może to już się stało? Czy coś stracił? A jeśli tak, to co? Albo raczej kogo?”

Kitty przeszło przez głowę, że na Mariam Kostia nigdy tak nie spojrzy. Bo Mariam przetrwała najgorsze zło tego świata. Poradziła sobie w piekle i świata już się nie bała. Mariam nigdy nie wzbudzi w Kostii takiego pragnienia jak Kristine. Kostia nie zmieni też stosunku do niej, Kitty. I jakkolwiek paradoksalne i niewiarygodne to się wydawało, Kitty uświadomiła sobie w tym momencie, że jej brat i Kristine doświadczają podobnego lęku.

Kitty poszła do swego pokoju, zamknęła za sobą drzwi i położyła się na łóżku. Myślała o tym, że

musi odciąć się od przeszłości, bo patrząc na życie wyłącznie przez pryzmat tego, co ją spotkało, nigdy nie będzie żyła naprawdę.

Zastanawiała się, czy błędem było, że uwierzyła w marzenia Andra. Wiedziała, że niespełnione marzenia mogą stać się dla niej, inaczej niż w wypadku pozostałych członków rodziny, zagrożeniem dla życia. Powinna być sobą, nawet gdyby miało to być bolesne, nawet gdyby trudno się z tym żyło.

Chciała odciąć się od przeszłości, była jednak świadoma, że nigdy nie zapomni o klasie w zrujnowanej szkole i o tym, co jej tam zrobiono. Wyparcie tamtych faktów było ponad jej siły, bo to by znaczyło, że wyrzuci ze wspomnień swoje utracone dziecko. W odróżnieniu od Kostii, który ból po stracie czegoś – cokolwiek to było – potrafił dobrze skrywać, chowając się za maską obojętności i siły, ona codziennie będzie myślała o tym, co się stało. Ale o wszystkim, co się zdarzyło do czasu, gdy w szkolnej sali przywiązano ją pasami, musi zapomnieć. Musi się z tym pożegnać.

W maju Kostia i Mariam ogłosili swe zaręczyny. Kitty zatrzymała dla siebie zarówno komentarze, jak i wątpliwości i życzyła szczęścia uradowanej, rozpromienionej przyjaciółce. Nie próbowała dociec, co sprawiło, że Kostia powziął tę decyzję. Teraz to już nie miało znaczenia. Najprawdopodobniej jej brat chciał myśleć o sobie tak, jak myślała wpatrzona w niego Mariam, która widziała w nim odważnego, wytrwale dążącego do celu, kulturalnego i budzącego szacunek, dotrzymującego słowa, nigdy nienaruszającego czci kobiety i mającego przed sobą świetlaną przyszłość mężczyznę. Kiedy Kitty dobrze się zastanowiła, zrozumiała, że jej brat przez całe życie marzył, żeby być właśnie taki. Lecz taki nie był i nigdy nie będzie. Kitty zaś będzie musiała zachować to w tajemnicy przed przyjaciółką, przyszłą żoną Kostii.

Rodzice Mariam, którzy przyjechali do Tbilisi na zaręczyny, pękali z dumy. Cudem dla nich było już to, że ich córka dostała się na studia medyczne, a teraz jeszcze zaręczyła się z oficerem marynarki! Jej niewiarygodnemu szczęściu nic już zdawało się nie stać na przeszkodzie.

Stazja i Kristine były skonsternowane, kiedy Kostia powiadomił je o swoim zamiarze. Stazja, wykazując typową dla siebie pasywność, nie skomentowała jego decyzji, cmoknęła go tylko w policzek, co Kostia wziął za aprobatę swych planów. Kristine zaś była zbyt delikatna, żeby głośno wyrazić swoje wątpliwości. Wesele planowano na lato.

Po zaręczynach Kostia opuścił Tbilisi. Pojechał na dwa miesiące do Moskwy, gdzie, jak oświadczył, zamierzał się zatroszczyć o swoją przyszłość. W ostatnim czasie przychodziły do niego liczne telegramy, nad którymi siedział pochylony w ogrodzie. Pytania o nie zbywał niecierpliwie, mówiąc, że to jego prywatne sprawy.

Kristine tymczasem dostała list, na który czekała pełna obaw. Otwierała go drżącymi rękami. Na kopercie nie było żadnej pieczętki. Czy ten, kto go nadał, zechce się z nią zobaczyć? Czego zażąda w zamian? A może nadal brakuje mu odwagi, żeby spojrzeć na to, co Ramas własną ręką stworzył na

żywym płótnie jej twarzy? Kristine wyjęła z koperty zwykłą kartkę papieru i powąchała ją. Czy nosiła ślad jego zapachu? Czy go rozpozna? Co przy tym poczuje?

Ale nie czuła nic, tylko potworną pustkę. Nawet nie złość – jedyne uczucie towarzyszące jej wiernie w minionych latach. Nadawca listu informował ją, że po długim namyśle zdecydował się jej pomóc, choć akta wiadomej osoby nie zawierają niczego, co mogłoby gwarantować szczęśliwy koniec sprawy. Mimo to zobaczy, co da się zrobić. I cieszy się, że otrzymał od niej wiadomość, choć dotarła ona do niego z kilkumiesięcznym opóźnieniem. Ma, jak łatwo się domyślić, mnóstwo pracy, ale dla niej zawsze znajdzie czas. List, bez podpisu, kończył się wyznaniem, że o niej nie zapomniał.

Oczywiście nie był gotów jej zobaczyć. Oczekiwać tego, to byłoby zbyt wiele. Jej widok to byłoby zbyt wiele dla jego oczu, tak dobrze skrytych za okrągłymi szklami binokli. Kristine przez cały dzień siedziała w pokoju z listem na kolanach, próbując sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby któregoś dnia go spotkała. Czy czułaby ten sam wstyd i gorycz? Czy z równą obojętnością odpowiedziałaby na jego namietność jak przed laty, w innym życiu?

Usiadła na parapecie, popijając likier wiśniowy. Zrobiło się ciemno, na zewnątrz zapaliły się latarnie. Myślała o jego żonie Ninie, podobnej do anioła, którą tylko raz widziała w operze. Wtedy Kristine była szczęśliwą żoną Ramasa i nie czekała jeszcze z drżeniem na nagły telefon i czarne bugatti. Nina, ubrana w morelową suknię, miała melancholijny wyraz twarzy niczym owieczka, która zaraz zostanie zarżnięta i złożona w ofierze bogom – bogom, w których nie wierzy, a nawet ich nie zna. Skinęła jej głową lekko, prawie niedostrzegalnie, kiedy Kristine z uśmiechem przeszła koło niej, a potem minęła damy plotkujące na temat pięknej żony Małego Wielkiego Człowieka. Jak bezpieczna była, idąc pod rękę z Ramasem, który pewnym krokiem prowadził ją do łoży. Czuła wtedy litość dla Niny, otoczonej stale ludźmi z ochrony. Zapytała o nią swego męża. Nie wiedziała jeszcze, że sama stanie się wkrótce tą, której będzie się współczuć. Czy ta nieśmiała i powściągliwa kobieta, najślynniejsza ze wszystkich kobiet Kremla, przeczuliła tego wieczoru, że pewnego dnia dokładnie w tym samym miejscu, podczas innego przedstawienia, w tej samej łoży, którą teraz zajmowali, jej mąż bezwstydnie i brutalnie posiadzie Kristine i uczyni ją swoją własnością, jak poskromione dzikie zwierzę? Z taką samą oczywistością jak wiele kobiet przed nią i po niej?

W pierwszych latach po śmierci Ramasa Kristine często myślała o cichej Ninie. Gdy leżała w szpitalu, nie wiedząc czemu, często miała przed oczyma jej twarz. Zadawała sobie wtedy pytanie, dlaczego ze wszystkich piękności Mały Wielki Człowiek najmniej wydawał się potrzebować i pożądać delikatnej, marzycielskiej urody swej żony. W odróżnieniu od innych kobiet Kremla Nina żyła w zupełnym cieniu męża. Nigdy nie towarzyszyła mu na oficjalnych przyjęciach czy defiladach. Bardzo rzadko pojawiała się z nim na premierach teatralnych i operowych.

Kiedy w końcu dostał stanowisko w Moskwie, pojechała za nim i przez większość czasu mieszkała

w podmoskiewskiej dacy, podczas gdy on rezydował samotnie w okazałej willi na ulicy Triumfalnej. Opowiadano, że pracowała w małym laboratorium chemicznym – wcześniej studiowała rolnictwo. Niewielu współpracowników stykało się z nią osobiście. Każdego dnia zawożono ją do pracy i przywożono z powrotem autem o przyciemnionych szybach. Cierpliwa Nina. „Dlaczego nawet teraz muszę o niej myśleć”, zastanawiała się Kristine i nie znajdowała odpowiedzi. Nina urodziła swemu mężowi syna, zносиła armię kochanek w jego rezydencji, lecz nigdy niczego od niego nie zażądała, nigdy się nie mieszała do jego spraw, nigdy nie postawiła go w niezręcznej sytuacji. „Co czuje kobieta, która tak postępuje – zastanawiała się Kristine. – Jak to jest, umieć być taką? Nie przyjmować do wiadomości czegoś, co normalnie usuwa ziemię spod nóg? A może Nina naprawdę wierzy w słuszność tego, co robi jej mąż, w jego wspaniałą robotę, w niewiarygodną ofiarę, jaką składa z siebie radzieckiemu narodowi?”

Kiedy pod koniec swego długiego życia, w wieku osiemdziesięciu sześciu lat, żona Małego Wielkiego Człowieka udzieliła, Brillko, swego pierwszego i jedyne wywiadu, na pytanie o skandaliczną niewierność męża odpowiedziała z oburzeniem: „On dniem i nocą pracował, kiedyż więc miał mieć czas, by zaspokoić cały ten legion kobiet?”.

*Oszalałeś!
Mam cię posłuchać?
Posłuszna jestem tylko Bogu.
Nie chcę drzeć,
Czuć lęku.
Mężczyzna we mnie jest katem,
a jego dom – więzieniem.*
Anna Achmatowa

Andro Eristawi wrócił do Tbilisi jesienią 1946 roku. Zwolniono go bez żadnych wyjaśnień i wsadzono do pociągu towarowego jadącego do Moskwy. W Moskwie został przejęty przez kilku funkcjonariuszy NKWD i zawieszony na posterunek milicji, gdzie uświadomiono mu, że jest pasożytem i tak będzie traktowany w przyszłości. Najlepiej, żeby trzymał język za zębami i żył, nie rzucając się w oczy, nie drażniąc władzy swymi przekonaniem i zadowolając się zatrudnieniem gdzieś w górach, w kolchozie. Niech nie liczy na zameldowanie w Tbilisi. Powinien uważać się za szczęśliwca, bo został przy życiu. Gdyby nie jego wpływowi przyjaciele, już dawno zostałby powieszony – dla takiego wyrzutka jak on szkoda nawet naboju.

Kristine do ostatniej chwili nie puściła pary z ust na temat zwolnienia Andra i jego powrotu. Sama odebrała go z dworca autobusowego i zawiozła do małego mieszkania na Nowym Mieście. Dom, w którym znajdowało się mieszkanie, nie był jeszcze wykończony, dlatego stał pusty. Należał do zaprzyjaźnionego z Kristine lekarza, który odstąpił jej to mieszkanie na kilka tygodni.

Andro wyglądał jak starzec – chudy mężczyzna o tak bardzo wystających kościach policzkowych, że można się było o nie skaleczyć.

Kristine zdezynfekowała jego ubranie i przyniosła mu nowe, pomogła mu się umyć, ogoliła jego zawieszoną głowę i zgoiła brodę, gotowała mu lekkie, dietetyczne potrawy. Mówił niewiele, ale dziękował za każdą drobnostkę, co Kristine bardzo irytowało. Zapytała go, czego sobie życzy. Poprosił o kilka książek, które przyniosła mu z domu, i o trochę wódki. Czas spędzał, śpiąc albo słuchając małego radia, które mu kupiła, i czekając na przyjście Kristine z prowiantem.

Dopiero kiedy Kristine uznała, że Andro jest stabilny psychicznie, odebrała Kitty ze szkoły aktorskiej i pojechała z nią na Nowe Miasto, gdzie teraz na każdej ulicy wznoszono budynki, najczęściej rękami jeńców wojennych.

– Dokąd mnie zabierasz? – zapytała podejrzliwie Kitty, kiedy już siedziały w tramwaju.
– Mam dla ciebie niespodziankę. Proszę cię jednak, żebyś w miarę możliwości próbowała się opanować – padła zaskakująca odpowiedź.

Kiedy minęły mrowie identycznych bloków mieszkalnych, Kristine weszła do niewykończonego domu i zapukała do drzwi z surowego drewna.

Nie było łez ani żadnego okrzyku, nie było właściwie niczego. Dwoje ludzi – młoda kobieta

w zielonym płaszczu przeciwdeszczowym i w wysokich trzewikach, o ciemnych włosach obciętych na boba, oraz chudy, przedwcześnie postarzały, przygarbiony mężczyzna, który patrzył w pustkę oczyma krótkowidza i którego ręce drżały tak, jakby był chory na parkinsona – po prostu stało naprzeciwko siebie. Nie dotykali się.

Kristine wyrwała ich z tego skamienienia, prosząc do stołu, który właśnie nakryła.

– Zrobiłam rosół. Zadałam sobie sporo trudu, więc chodźcie i zjedzcie coś. Jest też likier wiśniowy.

Kristine, która cały wieczór próbowała ożywić nastrój, paplała o pogodzie, o dyżurze w szpitalu i knąbnych pacjentach, ale żadne z nich się nie uśmiechnęło ani nie odezwało. Późnym wieczorem Kristine wzięła torebkę i pozostawiła tych dwoje samym sobie.

Przez następne czternaście dni Kitty mieszkała u Andra. Nie wiem, co robili. Może Kitty pielęgnowała go tak jak wcześniej Kristine, gotowała mu i prała. Może po prostu w milczeniu pili likier wiśniowy albo czytali wiersze Byrona, które Andro tak bardzo kiedyś lubił. Może Kitty próbowała go ożywić i opowiadała mu różne historie albo po prostu leżała obok niego i trzymała jego drżące ręce w swoich dłoniach. Wiem, że przyniosła mu pełną torbę jego dawnych narzędzi, które przechowała, żeby znowu mógł rzeźbić.

Po dwóch tygodniach Kitty wróciła do domu, wyciągnęła gitarę, której do tej pory rzadko dotykała, bo grała słabo. Najpierw gitarowe chwytaki nie wydawały pod jej palcami żadnego dźwięku, potem nie tworzyły żadnej harmonii. Kitty próbowała jednak dalej, aż wreszcie wyszła jej prosta, jasna melodia. Następnego dnia zdobyła trochę nut i zaczęła codziennie ćwiczyć.

Dla Kitty już przy pierwszym spotkaniu z Andrem stało się jasne, że czasy, kiedy miało się żywe pragnienia, bezpowrotnie minęły, pogrzebane na niezliczonych polach bitew na zachodzie i wschodzie, południu i północy.

Zamiast Andra zobaczyła cień człowieka niezdolnego opowiadać o grozie wojny. W pierwszych dniach miała nadzieję – ogromną nadzieję – że ją o coś zapyta, że będzie próbował wyczuć to, czego nie wypowiedziała, tę jej piekącą ranę. Nie zrobił tego jednak, a ona nie zdołała wyrzucić z siebie tego, co nagromadziło się w jej wnętrzu. Zapadli się w milczenie jak wszyscy inni członkowie rodziny, pochłonięci przez ciszę, jakby znaleźli się w brzuchu wielkiego wieloryba.

Będąc blisko Andra, Kitty czuła się jeszcze bardziej nędznie niż bez niego. Radziła sobie z jego zagubieniem, nie mogła jednak znieść jego duchowej nieobecności, tego, że nie ma temu światu nic do powiedzenia. Jego oczy przygasły, niebieskie tęczęwki stały się matowe, wodniste. Na zawsze znikła dawna marzycielskość jego spojrzenia. Wojna wybiła mu z głowy marzenia, przestrzeliła je i wdeptała w ziemię.

Widziała, że Andro stara się nie patrzeć na jej jędrne, mocne ciało, że odwraca wzrok, kiedy ona się do niego zbliża, że się wewnętrznie jeży, kiedy go dotyka, jakby miała w sobie mieszankę wybuchową

i przy najbliższym dotknięciu mogła eksplodować.

Raz tylko w najgłębszej rozpaczy dotknęła ręką jego czoła, pocałowała go mocno w usta, nie dając mu umknąć. Nie odwzajemnił jednak pocałunku, a jego ciało nie zdradzało pożądania. Wstał zawstydzony i wyszedł do kuchni, Kitty zaś, ze łzami w oczach, próbowała zmusić się do uśmiechu, żeby nie dać mu odczuć, że uważa go za słabego i niezdolnego do miłości.

Niekiedy, budząc się nocą w łóżku – Andro spał kilka kroków dalej, na sofie – odczuwała przemożną potrzebę, żeby zerwać się i chlusnąć mu wodą w twarz, krzyknąć, żeby się ocknął, żeby pomógł jej opowiedzieć o cenie, jaką zapłaciła za jego marzenia. Ale wiedziała, że wtedy ostatecznie straciłby grunt pod nogami.

Potem opiekę nad Andrem przejęła uszczęśliwiona Stazja, a wizyty Kitty ustały. Ani Stazja, ani Kristine nie zapytały Kitty dlaczego. Dopiero kilka tygodni później Kitty, wracając z jakiegoś przedstawienia, nagle zdecydowała się odwiedzić Andra. Miała na sobie elegancką ciemnoniebieską sukienkę ze śmiałym wycięciem.

Już przekraczając próg mieszkania, żałowała swojej decyzji. Andro przywitał ją bardziej ponury niż zwykle, a kiedy zdjęła płaszcz, gwałtownie się od niej odwrócił, mrużąc coś gniewnie pod nosem. Poszła za nim do wąskiej wnęki kuchennej, gdzie nastawiał wodę na herbatę.

– Kupiłam ci cukierki berbersowe, które tak lubisz – powiedziała szczególnie miłym tonem.

– Daruj sobie to gadanie! – krzyknął i uderzył pięścią w kant stołu. – Wyglądasz przecież tak, że...

– Co takiego zrobiłam? Dlaczego mówisz do mnie tym tonem?

– Przychodzisz do mnie, pokazujesz, że kwitniesz, nosisz coraz śmielsze sukienki, kupujesz coraz słodsze cukierki i oczekujesz ode mnie...

– Czego od ciebie oczekuję? Chcę tylko, żebyś był szczęśliwy.

– Nie potrafię. Przestań się łudzić. Jesteś piękna i gdy patrzę na ciebie, chce mi się płakać. Ale dłużej tego nie zniosę. Twoja obecność nieznośnie uzmysławia mi mój upadek! Nie wytrzymam tego. Nie mam siły i nie wiem, jak przetrwam następny dzień, nie mówiąc już...

– Ależ ja niczego od ciebie nie chcę!

– Nieprawda! Spodziewasz się, że dam ci nadzieję. Czasami zadaję sobie pytanie, czy w ogóle był sens starać się o moje zwolnienie.

– Jesteś niewdzięczny! To, co mówisz, jest tak niesprawiedliwe, że mam ochotę cię zabić!

– Więc zrób to, może wtedy oboje będziemy wolni!

Kitty zaniemówiła i zatoczyła się do tyłu. Papierowa torebka wypadła jej z rąk, zawinięte w kolorowe papierki cukierki rozsypały się po podłodze. Oboje popatrzyli na nie i ich widok przybił ich jeszcze bardziej. W tym obrazie nic się nie zgadzało.

– Przykro mi – wyszeptała Kitty.

- Mnie też.
- Nie kochasz mnie już?
- Jak mam cię jeszcze kochać, jak mogę cokolwiek czuć, kiedy nie jestem już mężczyzną?
- To dla wszystkich były straszne czasy. Powinieneś się cieszyć, że ocalałeś.
- Żeby się cieszyć, trzeba najpierw móc coś odczuwać.
- Wszyscy chcą, żebyś...
- Nie obchodzi mnie, czego chcą inni. Straciłem wszystko, co miałem, zrozum wreszcie!
- Ja też, ty niewdzięczniku! Wyobraź sobie, że ja też wszystko straciłam!

I kiedy Kitty była gotowa wykrzyknąć to, co dotąd tak trudno było jej powiedzieć, Andro wyprostował się i wyszedł z kuchni, mówiąc:

- Nie jestem już mężczyzną, nie jestem mężczyzną na tyle, żeby cię kochać, Kitty. Niczego nie czuję.

Kitty stała ze wzrokiem utkwionym w cukierkach owiniętych w kolorowe papierki i uśmiechała się. Nie wiedziała dlaczego, ale musiała zakryć sobie usta, żeby nie parsknąć śmiechem. „Jakaż idealną parą jesteśmy – pomyślała. – On nie może, jak twierdzi, płodzić dzieci, a ja nie mogę rodzić. Cóż za idealna z nas para w tym idealnym świecie!”

Lecz błędnie go zrozumiała.

W nocy, siedząc samotnie na łóżku w swoim pokoju i paląc papierosa, którego zwędziła matce, wymyśliła słowa: „Cóż za idealna, idealna para, w idealnym, idealnym świecie. Spójrz, czyż nie jesteśmy idealni?”, a za nimi przyszła melodia.

Tę pierwszą w życiu własną piosenkę Kitty komponowała do świtu. Kiedy potem zanuciła ją sobie pod nosem na próbie, reżyser poprosił, żeby zaśpiewała jeszcze raz tę, jak się wyraził, piosneczkę. „Piosneczka” momentalnie przypadła mu do gustu i wykorzystał ją w przedstawieniu w pewnej kiczowatej scenie miłosnej, w której Kitty, z gitarą na szyi i zatroskanym wyrazem twarzy, kokietuje swego partnera.

I rzeczywiście, Brilko, wkrótce potem śpiewały ją wszystkie zakochane pary w mieście, a potem też pary nieszczęśliwe i nawet ludzie opuszczeni. Kiedy po kilku miesiącach nieobecności Kostia wrócił do domu, żeby wziąć ślub z Mariam, usłyszał w radiu głos swojej siostry.

Kostia był w Moskwie dłużej, niż zapowiadał. Jego rodzina, a zwłaszcza narzeczona myśleli już nawet, że wysłano go na Bałtyk, na manewry. Zdawał się czekać na coś wielkiego, coś ważnego, ale te nadzieje zachowywał dla siebie. Nawet Kristine nie wiedziała, co nurtuje jej siostrzeńca.

W lecie, na które zaplanowano wesele, w Gruzji panowała straszliwa susza, uniemożliwiająca wywiązanie się z obowiązkowych dostaw. Nastroje w społeczeństwie były złe, a pogorszyły się jeszcze, gdy w ślad za suszą przyszła fala zwolnień z zakładów pracy. Ludzie cały czas bali się też nagłych aresztowań. Nie było atmosfery do świętowania, przelożono więc ślub na wiosnę.

Dlaczego wspominałam o tym szczególe? Bo przełożenie terminu ślubu Kostii doprowadziło do mojego obecnego spotkania z tobą, Brillko. Jego rezultatem było bowiem wiele ważnych wydarzeń, których konsekwencją jesteśmy ty i ja. Gdyby ślub nie został przesunięty, ty wiele lat później nie wyszłabyś z hotelu w Amsterdamie i nie wsiadłabyś do pociągu do Wiednia, a moja matka nie zadzwoniłaby do mnie, żebym cię odnalazła...

Dzięki piosence, która urzekła swą prostotą i zapadała w pamięć, Kitty z dnia na dzień zdobyła popularność w całym kraju. Ludzie zaczepiali ją na ulicy, a jeden z teatrów zaproponował jej wieczór piosenek autorskich. Kitty była zaskoczona tym sukcesem. Wykorzystała przerwę semestralną, żeby ćwiczyć na gitarze i pisać kolejne utwory. *Idealny, idealny świat* był bardzo osobistą piosenką, powstała z niezdolności do wypowiedzenia tego, co leżało jej na sercu, tamtej jesieni jednak znalazła słowa, których tak długo szukała. Przyszły do niej dzięki muzyce. Tak jakby język Kitty potrzebował czegoś, na czym mógł się wesprzeć.

I znowu ty przychodzisz mi na myśl, Brillko, bo grałaś mi i śpiewałaś te piosenki podczas jazdy autem. Ależ błyszczały ci oczy! Musiałam się bardzo starać, żebyś nie dostrzegła wzruszenia, jakie wywołały we mnie te wersy. Podczas naszej wspólnej jazdy zdarzyło się jeszcze wiele innych małych cudów, Brillko, tak wiele cudów, że raz zacząwszy, mogłabym o nich opowiadać bez końca i wtedy nigdy nie skończyłabym naszej historii. A muszę się nią podzielić z innymi ludźmi, bo nasza historia jest również ich historią, a ich historia naszą. Choć nas jeszcze w niej nie ma...

Wraz z Kostią do domu Kristine wróciła radość. Mariam, która w ostatnich miesiącach raczej unikała Kitty, też wpadała każdego wieczoru. Cała rodzina zbierała się przy suto zastawionym stole w kuchni albo w ogrodzie, choć Kitty nigdy nie siedziała przy kolacji dłużej, niż to było konieczne. Odprężenie nie trwało jednak długo. Po Moskwie Tbilisi wydawało się Kostii małe, ciasne i prowincjonalne. A kiedy jego matka i Kristine w późnowieczornej rozmowie podzieliły się z nim wiadomością, że wrócił Andro, Kostia się wściekł i zarzucił matce oraz ciotce, że podeptały radzieckie wartości i wyzbyły się wszelkiej moralności oraz odpowiedzialności. Choć Kristine zaprzeczała, dla niego było oczywiste, że nagłe zwolnienie Andra nie dokonało się bez interwencji wysokich rangą urzędników. Podniesionym głosem zakazał wpuszczać tego zdrajcę ojczyzny za próg domu.

Zły nastrój Kostii wciąż trwał i wkrótce Mariam doświadczyła go na własnej skórze. Kostia zostawiał ją w domu samą, stał się grubiański i złośliwy, irytowała go jej przesadna troska o niego i promieniująca z niej serdeczność. Uciekał z domu i wracał nad ranem. Odnalazł dawnych przyjaciół z ławy szkolnej, zawierał przelotne znajomości, szukał rozrywek. Jakby na siłę próbował nadać życiu nowy smak.

Potrzebował kobiecego ciała, zapomnienia w nocy, żeby zachować kontrolę za dnia. Potrzebował podziwu w oczach kobiet, gry, flirtu. Nie życia uporządkowanego, nie bezpieczeństwa i stabilności, które zapowiadał związek z Mariam. Był jej zbyt pewien i zaczęła go nudzić. Ta pewność sprawiła, że

przestał się starać. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że gdyby zerwał zaręczyny, uchybiłby jej godności, zniszczył ufność. Mariam nie przeżyłaby skandalu. Byłby to dla niej koniec świata.

Kiedy pewnego wieczoru, zmieniawszy mundur na szykowną marynarkę, wychodził na nocną eskapadę, drogę zagroziła mu efektownie ubrana i wyperfumowana Kitty.

– O co chodzi? – spytał rozdrażnionym tonem.

– Pójdziemy razem. Mam ochotę gdzieś wyjść. Dawnośmy tego nie robili.

– Myślałem, że jesteś zajęta swoją karierą muzyczną.

– Udam, że nie usłyszałam tej idiotycznej uwagi. Będę miła i wezmę cię pod rękę. Oczekuję, że coś zaproponujesz.

– No dobrze, ale zachowuj się przewidywalnie i swoje opinie zachowaj dla siebie. Dom, do którego pójdziemy, jest wytworny i nie chcę, żebyś mnie skompromitowała.

Kitty, zdumiona, że Kostia od razu zaakceptował jej pomysł, skinęła głową. Była też zaskoczona, że jej brat podczas swoich nocnych wypadów przebywa w wytwornym towarzystwie. Sądziła, że przesiaduje w jakiejś knajpie nad rzeką, je wędzoną rybę, pije piwo i wódkę, aż w końcu znika z jakąś cycatą cizią w hoteliku w Awlabari, wciśniętym między tatarską herbaciarnię a armeńską pralnię.

Kostia złapał taksówkę. Pojechali na Mtacminde, Świętą Górę. Auto pięło się coraz bardziej stromymi brukowanymi ulicami, aż w końcu skręciło w ślepą uliczkę, na której końcu królował wielki, nowoczesny budynek. Przed wysoką, czarną bramą parkowały auta, z wnętrza dobiegała głośna muzyka i odgłosy wielkiej ciżby ludzi, którzy pili i rozmawiali. Najwyraźniej gospodarze mieli pieniądze, byli więc działaczami partyjnymi albo dziećmi działaczy. Kiedy Kitty weszła do środka, od razu poczuła niechęć. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy nie wrócić do domu, bo to, co zobaczyła, wystarczyło jej, żeby wiedzieć, że Kostia nocami nie hula, czego wszyscy się obawiali. W tym samym momencie podszedł do niej jednak niski, lekko przysadzisty młody mężczyzna i uśmiechnął się.

Przedstawił wszystkim Kitty i wylewnie ją przywitał. Kitty dowiedziała się, że właścicielem domu i jednocześnie ojcem tego pulchnego młodzieńca jest dyrektor fabryki jedwabiu i że akurat wyjechał na urlop do Karlowych Warów, zostawiwszy dom pod opieką syna i swojej siostry. Dom był pełen złotej młodzieży snobującej się na intelektualistów, nowobogackiej i rozwydrzonej, którą Kostia powinien był pogardzać, gdyby konsekwentnie trzymał się swego systemu wartości. Ale zamiast tego Kostia grał rolę lubiącego się bawić, dowcipnego, uroczego dandysa o wyrafinowanym intelekcie. Kitty otoczyły dziewczyny w krótkich rozkloszowanych spódniczkach, uczesane w wysokie koki, niezwykle podniecone tym, że właśnie ona, Kitty Jaszi, znana wszystkim z radia, jest siostrą najprzystojniejszego młodzieńca w mieście. Wtedy Kitty pojęła, że w tym towarzystwie Kostia nigdy nie wspomniał o Mariam, że udawał kogoś innego, by móc dalej prowadzić swoją grę. Niska, czarnowłosa kobieta, siostra właściciela domu, która śmiała się najgłośniej ze wszystkich i wymachiwała dłońmi o czerwonych

paznokciach, zdawała się Kostią nadzwyczaj zainteresowana.

Kilku aroganckich, zarozumiałych typków, którzy potwornie działali Kitty na nerwy, zaczęło z nią rozmowę, chcąc się dowiedzieć, jakież to szczęśliwiec przyczynił się do powstania jej słynnej piosenki i czy Kitty nadal ma z nim romans. Już samo słowo „romans” wydało się Kitty tak niestosowne, że najchętniej natychmiast by stamtąd wybiegła. Pomyślała o Mariam i o tym, co ona powiedziała by na to wszystko. I co jej przyjaciółka, zachowująca się jak kobieta, której nic nie jest w stanie zranić, może jeszcze w Kostii kochać. Kitty zaczęła się zastanawiać, czy to naprawdę susza była powodem przesunięcia daty ślubu.

– Chodź, coś ci pokażę. – Kostia, wyraźnie poweselały po ciężkim czerwonym winie, wyrwał Kitty z kręgu rozmówców, uroczo się przy tym uśmiechając, i poprowadził ją na taras.

Przed nimi rozciągał się bajeczny widok na oświetlone miasto i zielone, imponujące wzgórza, między którymi wiała się rzeka w kolorze jaszczurki. Miasto, spokojnie zanurzone w zmierzchu, wyglądało na szczęśliwe. Z tej perspektywy pięknie połyskiwało i Kostia bardzo do niego pasował: stał obok niej postawny i dumny, spoglądając w niebo i oddychając świeżym powietrzem.

– Dlaczego tu jesteśmy, Kostia?

– Myślałem, że chcesz się dziś ze mną upić.

– Chodzi mi o to, co ty tu robisz? Wśród tych ludzi.

Zanim Kostia zdążył odpowiedzieć, z mroku wynurzyła się rozćwierkana grupa dziewcząt, prowadzona przez siostrę gospodarza. Otoczyły rodzeństwo wianuszkami.

– Prosimy, zaśpiewaj nam. Specjalnie przyniosłyśmy ci gitarę. Zaśpiewaj *Idealny, idealny świat* – błagały Kitty, trzymając w dłoniach kieliszki z szampanem.

Kitty spojrzała na ich twarze i zobaczyła przed sobą twarz Andra, jego mały pokoik, skuloną postać, zapadłe policzki i ogoloną głowę. Pomyślała, jak bardzo jej brakuje jego złotych loków, które nigdy nie odrosną tak bujne jak dawniej. „Cóż za idealna, idealna para, w idealnym, idealnym świecie. Spójrz, czyż nie jesteśmy idealni?” I wszyscy śpiewali razem z Kitty, wszyscy wypowiadali te same słowa i głosy narastały przy słowach „idealny świat”, a cichły, gdy Kitty szeptała: „... i jak to możliwe, że świat bez nas też jest szczęśliwy?”.

Podczas gdy trwał jeszcze burzliwy aplauz, Kitty wychyliła dwa kieliszki szampana, przeprosiła swoje słuchaczki i wróciła do środka. Szukała w tłumie brata. Chciała mu powiedzieć, że musi wyjść, że nie zniesie dłużej tych ludzi. Ale Kostii nie było. Kitty przemierzyła tam i z powrotem dużą salę, na której tańczyły pary, jasno oświetlony korytarz, zaglądała do różnych pokoi, wołała go, pytała o niego, ale nikt nie wiedział, gdzie jest Kostia.

W końcu zrezygnowała, przekonana, że oddalił się z gospodynią w dyskretne miejsce, gdzie nie będzie go można znaleźć, i nie żegnając się z nikim, wyszła.

Na zewnątrz odetchnęła. Ślepa uliczka, przy której stał dom, tonęła w ciemnościach, tylko światło z okien rzucało blask na bruk ulicy. Po kilku krokach Kitty usiadła na brzegu chodnika. Poczowała ulgę. Nagle usłyszała szmery, na które z początku nie zwróciła uwagi. Rozpoznała ściszony głos swego brata, który z kimś rozmawiał. Czyżby w domu nie znalazł odpowiedniego miejsca na flirt? Kitty poczuła się nieswojo, zdając sobie sprawę, że podsłuchuje, lecz ciekawość przeważyła. Wstała i podeszła do miejsca, skąd dochodził głos. Pod balkonem zobaczyła dwie postacie: brata i obcą kobietę, nad którą pochylał się Kostia, opierając się jedną ręką o ścianę domu, z twarzą niebezpiecznie blisko jej twarzy, jakby się właśnie z nią całował albo miał taki zamiar, a jednocześnie energicznym tonem starał się ją o czymś przekonać. Ale nie była to mała czarnulka, siostra pana domu, tylko wysoka blondynka.

Kitty zmrużyła oczy i wyciągnęła głowę. Któraż to spośród piszczących, śmiesznie umalowanych dziewcząt? Może to jedna z tych, które przyszły na taras, żeby posłuchać jej piosenki? Kobieta wpierała się piersiami w Kostię i zaglądała mu w oczy. Potem delikatnie pogładziła go ręką po policzku, on rozejrzał się czujnie, najwyraźniej nie chcąc, żeby ktoś go z nią zobaczył.

Kiedy wzrok Kitty oswoił się z ciemnością, Kitty skupiła się na kobiecie: elegancka, wysoka, miała wysoko upięte włosy, była ubrana w wąską beżową spódniczkę podkreślającą talię, z wysokim, dodającym smaczku rozcięciem z boku, które odsłaniało długie, muskularne nogi. Lecz przede wszystkim była starsza, starsza od Kostii i starsza od wszystkich obecnych w domu gości.

– Ja też tego chcę... Jak możesz w to wątpić?

Kostia szeptał swej towarzyszce słowa, których Kitty dokładnie nie słyszała. Tamta przyciągnęła go do siebie, dotknęła nosem jego nosa. „Zaraz dotknie jego ust”, pomyślała Kitty. Kostia zbliżył się do niej napięty, ale kobieta nie dopuszczała go do siebie ani go nie całowała.

– Wiesz, że nienawidzę, kiedy muszę czekać, Kostia.

Kitty usłyszała słowa blondynki głośno i wyraźnie. Poczowała nagle, że robi jej się niedobrze, że miękną jej kolana, i osunęła się po ścianie domu.

Ten głos! Znała ten głos! Nigdy go nie zapomni. Nigdy nie pomyli tego miękkiego, przymilnego tonu z żadnym innym.

To była ona. Kobieta z tamtego piekła.

Kitty podniosła się, trzymając się mocno ściany, zrobiła kilka kroków, aż tych dwoje znikło z jej pola widzenia, i znowu znalazła się przed frontem domu. Potem szybko weszła do środka, zamknęła się w łazience, puściła wodę i włożyła głowę pod strumień, aż uspokoił się jej oddech. Ale jej ciało nie było jej ciałem. Kolana jej drżały, ledwie mogła ustać na nogach. Zmusiła się do położenia się na zimnej posadzce i liczyła do stu. Dopiero wtedy poczuła, że ma siłę się podnieść.

Potem poszła do sali, w której trwało przyjęcie, wzięła kieliszek wina i wychyliła go jednym haustem. Kiedy pojawił się Kostia, była sama na tarasie. Wypiła już może ze cztery kieliszki.

– Szukałem cię – powiedział. – Gdzie, do diabła, się podziewałaś? Wyglądasz jakoś tak... Za dużo wypilaś? – Był pogodny, mówił z ożywieniem. – Słyszałem, jak śpiewałaś. Zdaje się, że wywarłaś wrażenie tą swoją wesołą piosenką. Naprawdę, zaimponowałaś mi.

– Kim ona jest?

– Kogo masz na myśli?

– Kim jest ta kobieta?

– Która?

Odwróciła się do niego z udręczoną miną. Na jej twarzy malowało się obrzydzenie pomieszane z fizycznym bólem.

Jego wcześniejsza niefrasobliwość w ciągu sekundy zmieniła się w agresję.

– Ona? To nic poważnego. Nie powinnaś się martwić z powodu Mariam.

– Czy ona wie, że się żenisz? Wie o Mariam? Jak dobrze ją znasz?

Kiedy Kitty to powiedziała, nagle zdała sobie sprawę z nieodwracalnej, ciemnej gry antycznych bogów, w którą oboje zostali uwikłani.

– Czy to przesłuchanie? Daj spokój, Kitty! Jestem już dużym chłopcem. Nie potrzebuję stróża. Akurat ty chcesz mnie uczyć moralności?

– Mnie interesuje tylko to gównu, w które pchasz swoją pychę. Chcę jedynie wiedzieć, jak ona się nazywa.

– Nie waż się...

Kitty była pewna, że blondyna nigdy nie przekroczy progu tego domu. Znikła tej nocy tak samo tajemniczo, jak się pojawiła. Jak się tu znalazła? Gdzie Kostia ją poznał? Czy przyszedł tu tylko po to, żeby się z nią potajemnie spotkać? Ale to nie miało żadnego sensu. Kitty rozbolała głowa, na jej czole pojawiły się głębokie bruzdy. Mocno zacisnęła powieki.

– Powiedz mi, kim ona jest, i zostawię cię w spokoju!

Kitty, zaskoczona swoim własnym tonem i stanowczością, z jaką postawiła żądanie, chwyciła brata za ramiona i z całej siły zaczęła nim potrząsać.

Kostia, zdumiony gwałtownością jej reakcji, zatoczył się do tyłu, ale się nie bronił.

– Kitty, uspokój się, chodź, odwiozę cię do domu, wszystko w porządku, uspokój się. Obiecuję ci, że nie zrobię Mariam krzywdy. To, co widziałaś, nie ma z nią nic wspólnego, no, daj spokój.

– Kto to!?! – wrzasnęła Kitty.

Kilkoro gości pojawiło się już na tarasie i Kostia był wyraźnie zażenowany z powodu tej sceny. Chwycił Kitty za nadgarstki i wciągnął do wnętrza domu, a kiedy złapała się poręczy schodów, nie chcąc iść, podniósł ją, zarzucił sobie na plecy jak worek kartofli i zniósł na dół. Dopiero kiedy miał za plecami Świętą Górę, postawił siostrę na szerokiej jezdni. Kitty klapnęła bezwolnie na chodnik i zaczęła płakać.

Płakała niemal bezgłośnie, ale był to niedobry płacz, płacz Kristine, nieme łkanie kobiet z domu fabrykanta czekolady. Kostia stał osłupiały i patrzył na nią z góry, niezdolny do tego, żeby ją pocieszyć ani zostawić. Po chwili usiadł koło niej i chciał objąć ją ramieniem, lecz odtrąciła jego rękę.

– Oczekuję od ciebie jakiegoś wyjaśnienia, i to natychmiast! – powiedział głośno, kiedy Kitty nieco się uspokoiła i otarła łzy rękawem bluzki.

– Chcę tylko znać jej imię, nic więcej. Nie powiem o niej Mariam, chcę tylko wiedzieć, jak się nazywa.

– Ale po co?

– Kiedyś ją już widziałam.

– Gdzie ty ją mogłaś widzieć?

– Kim ona jest?

– To po prostu piękna kobieta, którą poznałem na pewnym bankiecie. Jest mężatką, dlatego nie byłoby zbyt roztropnie...

– Po prostu piękna kobieta... Po prostu piękna kobieta – powtarzała zszokowana Kitty.

„Po prostu piękna kobieta, mówisz. To nie bolało, nie bolało, bo przecież to była piękna kobieta. Tak piękne usta, myślałam sobie, kiedy śpiewała mi pieśń śmierci. Po prostu piękna kobieta. Ale popatrz na mnie, ja też jestem kobietą, nie tak piękną jak ona, umarłam i zmartwychwstałam, ale jestem kobietą jak ona”.

Wątpię, Brilko, czy ludzie, którzy później śpiewali tę piosenkę i ciągle jeszcze śpiewają, wiedzą, że nie chodzi w niej o zazdrość.

Kostia nie uległ prośbom Kitty. Nie zdradził imienia swojej dulcynei. Kitty nie była pewna, kogo w ten sposób chronił, lecz wiedziała, że uczyni wszystko, co w jej mocy, by je poznać. Z czułością, wykorzystując swój talent aktorski i grając zatroskaną siostrę, próbowała dać mu do zrozumienia, że jeśli się nie złamie i nie wyjawia imienia kochanki, ona powie o wszystkim Mariam. Widać jednak było, że chodzi jej nie tylko o Mariam.

Utrudniała mu życie, śledziła go, nie dawała mu spokoju. „Straci cierpliwość, zmięknie, nie wytrzyma długo tego nagabywania, ograniczania swej wolności – myślała Kitty. – Będę deptać mu po piętach, nie dam mu chwili wytchnienia. Jestem uparta, nawet w najczarniejszych snach nie śniło mu się, jak bardzo”.

Kiedy pod koniec września deszcz całymi dniami bębnił po dachach, co doprowadzało nerwy do niebezpiecznej wibracji, a Kitty coraz złośliwiej docinała bratu na temat jego nocnych eskapad, Kostia stracił cierpliwość, chwycił ją za sukienkę i zaciągnął do ogrodu, gdzie grunt był grząski od deszczu, bo lało jak z cebra. Cisnął ją na ziemię. Nie minęła sekunda, a oboje byli całkowicie przemoczeni.

– Skończ z tym, skończ wreszcie! Rozumiesz!?! – ryknął do niej przez deszcz.

Z nienawiścią spojrział na siostrę, która podniosła się i jak dziki kot zaczęła krążyć wokół niego.

– Powiedz, jak ona się nazywa.

– Oszalałaś, jesteś kompletną wariatką, trzeba cię zamknąć, opamiętaj się!

– Powiedz wreszcie, jak się nazywa, to zostawię cię w spokoju!

– Ona nic ci nie zrobiła! Mój Boże, czemu się jej uczepliłaś!? Miałem z nią tylko romans. Po prostu niewinny romans. Jej mąż jest ważną figurą. I jeśli coś zmalujesz, jeśli zrobisz coś głupiego, to nie wypiję za ciebie piwa, którego nawarzysz. Nie wtykaj nosa w cudze sprawy!

– Pieprz ją sobie do nieprzytomności! Nie ciekawi mnie to! Ja tylko chcę wiedzieć, jak ona się nazywa.

– Gadasz jak tania dziwka! Ojciec przewraca się w grobie!

– On nie ma grobu! Nawet grobu nie ma!

Kostia znowu chwycił siostrę i z całej siły uderzył ją w twarz. Kitty upadła, turlając się w tę i we w tę, a kiedy podniosła głowę, krew ciekła jej z nosa i z rozciętej dolnej wargi. Nie płakała, nie czuła nawet rany, jakby była uodporniona na ból.

Wtedy z domu wybiegła Kristine. Stała między nimi, krzycząc, żeby przestali.

Kostia zastygł. Miał mokre włosy, z jego ubrania ciekła woda. Sam nie mógł pojąć, co zrobił. Ale na twarzy Kitty nie było cienia skruchy czy lęku, patrzyła Kostii prosto w oczy, odważna i pewna siebie. Krew płynąca jej po twarzy mieszała się z deszczem i sprawiała wrażenie barw wojennych.

Stazja przybiegła za Kristine do ogrodu, zagroziła Kostii drogę i chwyciła go za kołnierz.

– Coś ty jej zrobił!? – huknęła na syna.

Lecz on spojrział jej w twarz i rzucił:

– Nienawidzę was!

I te słowa na zawsze nas od siebie oddaliły.

Na początku października Kitty zadzwoniła do Mariam i poprosiła o spotkanie w kawiarni. Mariam, wykończona zachowaniem rozdrażnionego, nieobecnego duchem narzeczonego, a także napiętą atmosferą między nim a Kitty, chętnie się zgodziła.

Spotkały się w nowo otwartej, modnej kawiarni obok Uniwersytetu Technicznego i Mariam zadała sobie wiele trudu, żeby wyglądem nie odstawać od bywającego tu towarzystwa. Przyszła w dwuczęściowym czekoladowym komplecie, który nieszczególnie podkreślał walory jej figury, objęła Kitty na powitanie i zamówiła kawę po turecku, choć zazwyczaj piła herbatę. W takich lokalach jednak należało pić kawę.

– Bardzo się cieszę, że do mnie zadzwoniłaś. Ostatni miesiąc nie był dla nas łatwy, prawda? Przez cały czas miałam nadzieję, że znajdziemy jakąś okazję do rozmowy. Nie chcę, żebyś była na mnie zła. – Mariam zalała Kitty falą słów. – Muszę z tobą porozmawiać. Proszę. W ostatnich tygodniach prawie nie

spalam. Nie chcę, żeby między nami było coś, co nas dzieli. Wszystko się ułoży, jestem pewna. Naprawimy wszystko. Tak dużo razem przeszliśmy, musimy tylko chcieć.

Mariam była zdenerwowana, jej policzki płonęły, chwyciła dłoń Kitty nad stołem i nie puszczała.

– Mariam...

– Odrobimy zaległości. Nie możemy ot tak zrezygnować z naszej przyjaźni, to po prostu niemożliwe. Brak mi ciebie i nie chcę cię stracić. Tak, kocham twojego brata. Ale z tego powodu nie stałaś się dla mnie mniej ważna. – Oczy Mariam napełniły się łzami. – Nie chcę wbijać klina między was, nie chcę, żeby między wami panowała niezgoda, zwłaszcza z mojego powodu. Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła. Jesteście oboje tak fantastyczni, barwni, utalentowani, mądrzy, piękni. Nie, to nie może się zdarzyć, Kitty. – Mariam odwróciła głowę i utkwiała wzrok w gołębiach, które spacerowały po chodniku to w jedną, to w drugą stronę.

– Mari, muszę ci powiedzieć coś ważnego.

– Kitty, kocham cię, ale jego też kocham. Jesteście dwoma częściami całości. To może dziwnie brzmi, ale wiele o tym myślałam i wiem, o czym mówię. Ja...

– On cię zdradza.

– Kitty!

– Ma romans. Widziałam tamtą kobietę, ale nie wiem, jak się nazywa. Chętnie ci pomogę, jeśli się dowiesz, kto to jest.

– Kitty!

– Jeśli mi nie wierzysz, trudno, twoja rzecz. Zgrzyty między mną a Kostią były nie z twojego, tylko z jej powodu. Sprawdź po prostu to, co ci powiedziałam, i jeśli się mylę, zapomnij o wszystkim, ale jeśli nie...

– Ale jeśli nie...

– Wtedy się zastanów, czy chcesz spędzić życie z człowiekiem, który nigdy nie będzie cię kochał.

– Dlaczego chcesz to wszystko zniszczyć? – Po czerwonych policzkach Mariam spływały łzy.

– Nie mogę zniszczyć czegoś, co już od dawna nie istnieje.

Kitty nienawidziła siebie. Ale o wiele bardziej nienawidziła tamtej kobiety.

W nocy Kitty uprosiła ciotkę, żeby jej przyrządziła gorącą czekoladę. Kostia, który późno wrócił do domu, poczuł czarodziejski zapach i też chciał skosztować. Kitty, choć niechętnie, oddała mu połowę swej porcji. Oboje rzucili się na czekoladę. Zwabiona zapachem, przyczłapała do kuchni zaspana Stazja i zobaczyła, że jej dzieci wylizują z filiżanek czekoladowe resztki. Od razu napadła na Kristine – jak się ważyła! skąd ma przepis! – a potem jęknęła, osuwając się bezsilnie na krzesło. Bo Stazja była pewna, że ci, którzy skosztowali czekolady jej ojca, kiedyś za to zapłacą. Chciała ochronić swoje dzieci przed uzależnieniem od tego napoju, bo już wiedziała, że niebezpieczeństwo z nim związane polega właśnie na

tym, że nikt, kto uległ pokusie skosztowania go, nie poprzestaje na jednym razie.

Kristine, trzymając w ręku stalowy garnek, w którym gotowała gęsty czekoladowy płyn, ofuknęła Stazję, że ona też ma prawo do przepisu ojca. Na to siostra wyrwała jej garnek z ręki i rzuciła go na podłogę. Przez chwilę wszyscy spoglądali to na wściekłą Stazję, to na krople brunatnej cieczy, które rozprysły się po podłodze.

Nagle Kostia rzucił się na kolana i jak zahipnotyzowany zaczął zbierać z podłogi resztki czekolady palcem, a potem łapczywie go oblizywać.

Kobiety patrzyły na to w osłupieniu. Kiedy Kostia zebrał ostatnie ślady czekolady, wstał i najspokojniej w świecie wyszedł z kuchni.

– Co to było? – zapytała Kristine i bezradnie spojrzała na Stazję.

– Przypuszczam, że jego pierwsza czekolada – odparła nadąsana Stazja.

*I ja tam byłem, miód i wino piłem,
po brodzie mi poleciało, w ustach mało co zostało.
tradycyjna formułka kończąca rosyjskie baśnie*

Wysoka blondynka o czerwonych ustach miała na imię Ała. Miała czterdzieści lat i była sąsiadką właściciela fabryki jedwabiu, którego dzieci urządzały huczne wieczory towarzyskie w jego obszernym domu. Kostia poznał ją właśnie tam. Gdy Ała studiowała medycynę w Moskwie, wróżyła jej wspaniałą karierę w psychiatrii, dlatego została zwerbowana przez NKWD. Podczas jednej z podróży służbowych poznała swego przyszłego męża, również enkawudzistę, pracującego w Gruzji. Przeniosła się z nim do Tbilisi i podjęła pracę na terenie Kaukazu. Jej mąż był od niej starszy o dwadzieścia lat i szybko jej się sprzykrzył, bo Ała miała apetyt nie tylko na wynajdowanie „szpiegów i kontrrewolucjonistów, sabotażystów i innego motłochu”. Odczuwała głód w całym ciele, a takiego głodu jej pochłonięty pracą mąż nie był w stanie zaspokoić.

W ciągu dwunastu lat spędzonych w służbie najpotężniejszej organizacji w kraju zachodziła w ciążę z różnymi mężczyznami i miała dziewięć skrobanek. To one przyczyniły się zapewne do rozwinięcia się jej talentu do popełniania okrutnych czynów, zwłaszcza że ostatnia skrobanka poszła źle i teraz Ała była bezpłodna. Fundowanie bezpłodności innym stało się jej małą prywatną zemstą, karą dla najbardziej nieugiętych kobiet, które dostały się w jej ręce – i w tym zakresie miała imponujące osiągnięcia. Uchodziła za jedną z najbardziej lojalnych, ale i budzących postrach pracownic NKWD. Podobno Mały Wielki Człowiek osobiście udekorował ją medalem. Ale co do tego nie mam pewności.

Poznanie mojego dziadka rozbudziło jej apetyt i jeszcze tego samego wieczoru zaciągnęła go do swego domu i rozpięła mu rozporek. Kostia, któremu jej zdecydowanie i szybkość działania przypominały Idę, chętnie się jej poddał. Od tej pory regularnie się z nią spotykał.

Nie wiem, jak Mariam się to udało, ale znalazła Ałę. Zniewaga często odbija się rykoszetem od upokorzonego. Mariam musiała przez wiele nocy czatować na Kostię, stać przed domem jarzącym się światłami i czekać. Śmiechy dochodzące z głębi domu i głośna muzyka były dla niej jak policzek. Znalazła jednak tę, której szukała.

Mariam szła za blondyną, która za domem pocałowała na pożegnanie jej narzeczonego, poszła w dół ślepej uliczki i zatrzymała się przed pierwszym budynkiem. Wcześniej w ciemności widziała tylko wysoką postać elegancko ubranej kobiety, ale teraz, kiedy ta postać stała w świetle ulicznej latarni, szukając klucza, Mariam poznała w niej kobietę z piekła.

Te same aksamitne blond włosy, czerwone usta, powolne, miękkie ruchy.

Mariam przejęła niesamowita groza, gdy wyobraziła sobie blondynę w grze miłosnej z mężczyzną, którego chciała poślubić. Łatwo, przerażająco łatwo było wyobrazić sobie, jak blondyna wbija swoje zadbane paznokcie w plecy Kostii. Jak odrzuca głowę kokietyjnym gestem, jak go rozpala wilgotnymi z pożądania ustami. Jak rozgrzewa go łagodnie brzmiącymi słowami, którymi kiedyś skłoniła Mariam do

wzięcia strzykawki z trucizną.

Tej samej nocy Mariam obudziła Kitty, rzucając w jej okno drobnymi kamyczkami. Kitty włożyła płaszcz i wybiegła na ulicę. Kiedy oddaliły się dostatecznie od domu Kristine i usiadły na chodniku, Kitty wiedziała już, że Mariam znalazła tę, której ona sama szukała tak długo i bezskutecznie.

– Chciałaś, żebym ją zobaczyła, prawda? Wiedziałaś, o kogo chodzi, i nic nie powiedziałaś – cicho mówiła Mariam. Nie było w niej złości, tylko pustka. – Dlaczego nie powiedziałaś mi od razu?

– Nie uwierzyłabyś – wybąkała Kitty, niepewna, czy postąpiła słusznie i czy miała prawo milczeć.

– Jak długo to już między nimi trwa?

Mariam zapadła się w sobie jak balon, z którego wypuszczono powietrze.

– Skąd mogę wiedzieć?

– Jak on mógł! To zbyt żalosne, żeby było prawdziwe. Dlaczego ja?

Mariam się podniosła, zrobiła kilka kroków w dół ciemnej, pustej ulicy, zawróciła i znów usiadła. Całe jej ciało zdawało się protestować przeciw tej bulwersującej sprawie. Jakby nie chciało jej przyjąć do wiadomości.

– Nie mogę nawet mieć ci tego za złe. Jakież Kostia musi być zepsuty, żeby w obcym domu umawiać się z kobietą, która wcale nie była zaproszona! – Mariam się zaśmiała, głośno, nienaturalnie.

Kitty ogryzła paznokcie kciuka aż do krwi.

– Nie wiem, dlaczego cię tam wysłałam. Może chciałam, żebyś mi powiedziała, że to nie ona. Ale to ona, nikt inny!

Kitty się zastanawiała, jakiej reakcji spodziewała się po Mariam. Na pewno nie takiej. Może wybuchu łez, hysterii, paniki, lecz nie pustki w jej twarzy i nie tego nieodwracalnego zdecydowania w głosie.

– Poszukam jej i porozmawiam z nią. Ty daj już sobie z nią spokój – dorzuciła.

Podniosła się z chodnika i spojrzała z góry na przyjaciółkę. Chciała, by jej słowa zabrzmiały stanowczo, ale Mariam znowu się zaśmiała. Zaśmiała się jej w twarz.

– Rozmawiać z tą...? Udajesz głupszą, niż jesteś, Kitty, czy jak? I nie mów, proszę, żebym dała spokój. Gdybyś naprawdę tak myślała, nie napuściłabyś mnie na swego brata jak psa gończego. Bądź szczerą i przyznaj, że mam rację.

Kitty nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Oczywiście nie powinna była wysyłać Mariam do tego domu, ale było już za późno.

– Może rzeczywiście masz rację, ale pozwól mi, proszę, samej doprowadzić tę sprawę do końca.

– Doprowadzić do końca? Chcesz na nią donieść? – Mariam znowu szyderczo się zaśmiała.

Kitty coraz bardziej traciła kontrolę nad sytuacją. Mariam kierowała rozmowę w stronę, która budził lęk w Kitty. Żałowała, że tak pochopnie, pod wpływem impulsu, wtajemniczyła Mariam w całą sprawę. Może wtedy blondyna była dla nich aniołem śmierci, lecz dla Mariam, dla której klasa w tamtej szkole

była również czarnym wspomnieniem, była ona teraz przede wszystkim kobietą kwestionującą jej prawo do Kostii. Kitty poczuła, że marznie i zaczęła rozcierać sobie ręce.

– Chcesz doprowadzić sprawę do końca, ale uczyniłaś mnie współniczką. Więc znów tu jestem i zakończymy ją wspólnie. W głębi duszy tego chcesz i jak się wydaje, Bóg też – powiedziała Mariam, odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem poszła w dół ulicy.

Wróciwszy do domu, Kitty siadła na parapecie z papierosem podkradzionym matce. Od czasu letniego wieczoru na Świętej Górze, kiedy na własne oczy zobaczyła coś, czego nigdy wcześniej nie uznalaby za możliwe, zadawała sobie pytanie, czego właściwie teraz chce. Między Kitty a jej aniołem śmierci stały armie, aparat władzy, niezliczeni ludzie w mundurach i Mali Wielcy Mężczyźni. Rozdzielały je góry broni, akt i kości, na które Kitty nigdy nie potrafiłaby się wspiąć.

Gorączkowo rozważała rozmaite scenariusze. Oczywiście, najłatwiej byłoby odkryć wszystko przed wpływowym mężem Ałły i uzmysłowić mu, że jest rogaczem. Lecz żaden mężczyzna nie byłby w stanie dorównać w zemście kobiecie zdolnej do tego, by brutalnie wyrwać z innej kobiety jej nienarodzone dziecko. Ugodzony do żywego mąż mógłby skierować gniew nie przeciwko żonie, lecz przeciw jej kochankowi. A jego zemsta nie byłaby łagodniejsza niż jej czyny. Kitty nie chciała ryzykować i narażać Kostii na niebezpieczeństwo.

Zanim wyczerpana zasnęła, doszła do wniosku, że trudniejsze niż zemsta jest zrezygnowanie z niej.

Mariam przepadła jak kamień w wodę. Nie pokazywała się w instytucie ani w akademiku, nie spotykała się z Kostią, nie reagowała nawet na karteczki, które Kitty wsuwała pod jej drzwi. Zaniepokojony Kostia pytał o nią Kitty, lecz ta zaprzeczyła, że ma cokolwiek wspólnego z jej zniknięciem.

Kitty wkrótce pochłonęły studia, teatr, a przede wszystkim gra na gitarze. Tylko nocą, kiedy była sama, opanowywał ją zimny strach wyciskający na czole krople potu. Przewracała się z boku na bok, szukając rozwiązania. Czuła jednak, że po tygodniach obsesyjnego ścigania blondyny nie może tego tak po prostu zostawić.

Wyobrażała sobie rozmaite przerażające scenariusze dalszych losów Mariam. Zaczęły ją dręczyć senne koszmary, w których znów była w klasie i w szopie, a kiedy nie mogła się uwolnić od tych wspomnień nawet za dnia, pojechała do akademika Mariam i usiadła na korytarzu pod drzwiami jej pokoju. Postanowiła czekać na przyjaciółkę tak długo, jak to będzie konieczne. Mariam musi przecież w końcu do niego wrócić albo z niego wyjść.

Przez pierwsze dwa dni nic się nie działo, drzwi pozostawały zamknięte. Kitty próbowała ustalić, czy Mariam jest w pokoju. Pukała, wsuwała pod drzwi karteczki, błagała Mariam – daremnie.

Na trzeci dzień, kiedy większość studentów pojechała na wykłady i akademik opustoszał, Mariam wyszła z pokoju. Miała długi płaszcz przeciwdeszczowy i świeżo ułożone włosy.

– Chodźmy się przejść – powiedziała, jakby nic się nie stało, jakby ciągle były zwykłymi przyjaciółkami i plotkowały, przechadzając się po wąskich zaułkach i gryząc nasiona słonecznika.

Na ulicy Mariam zdecydowanym krokiem ruszyła w kierunku przystanku autobusowego. Sprawiała wrażenie spokojnej jak zawsze. Tylko ciemne obwódki pod oczyma zdradzały coś z mroczności labiryntu, w którym tkwiła.

– Pojedziemy na Stare Miasto – powiedziała.

Wsiadły do autobusu. Kitty zajęła miejsce obok przyjaciółki. Było mgliście i wilgotno, niebo zasnuwały chmury, choć jesień i przymrozki jeszcze nie nadeszły. Patrzyły na ulice, na przechodniów umykających przed szarością dnia. Kitty położyła głowę na ramieniu Mariam i głęboko westchnęła.

Wysiadły na placu Lenina i poszły ulicą Kirowa. Mariam narzuciła tempo i kierunek. W jednym z beznadziejnie pustych sklepów, w którym na ladzie leżały tylko dwa rodzaje sera i połówka kielbasy, kupiły piwo słodowe i na miejscu je wypiły. Mariam nigdzie nie zatrzymywała się dłużej, ciągle szła naprzód i czuło się w tym jakiś zamiar. Droga prowadziła w górę, na zielone wzgórze. Kitty o nic nie pytała, cieszyła się, że idzie razem z Mariam, i próbowała dotrzymać jej kroku. Zostawiły za sobą duży, okolony płotem ogród otaczający budynek Komitetu Centralnego, skręciły na lewo, przeszły jakimś skrótem, na chwilę usiadły na samotnie stojącej ławce, potem minęły przystanek kolejki linowej, przyglądając się małym wagonikom, do których wsiadali pasażerowie.

Nagle Mariam odwróciła się do Kitty i jednym ruchem zadarła jej kurtkę i sweter. Obrzuciła wzrokiem nagi brzuch Kitty, potem drugą ręką ściągnęła w dół spódnicę i popatrzyła na jej podbrzusze.

– Co robisz? – Kitty była zmieszana i niepewna, ale bez protestu pozwoliła się obejrzeć.

– Chciałam jeszcze raz zobaczyć twoje blizny. Czy rana dobrze się zrosła. Nie widziałam twego brzucha od tamtego czasu.

– Ach, po co do tego wracać...

Mariam odwróciła się gwałtownie od Kitty, zdawkowo ją przepaszając, i znowu szybkim krokiem ruszyła przed siebie.

Kiedy zostawiły za sobą wybrukowaną kocimi łbami ulicę Chitadze i zobaczyły Cmentarz Artystów, Kitty zrozumiała, jaki cel obrała Mariam. Były niedaleko domu fabrykanta jedwabiu.

Kitty przystanąła, pytając przyjaciółkę, dokąd ją prowadzi. Lecz Mariam, nie zatrzymując się, odchrząknęła tylko, że Kitty ma za nią iść i że wszystko w porządku, bo mąż tamtej wyjechał.

Kitty chciała zaprotestować, ale Mariam już była na rogu ulicy i wchodziła na schodki prowadzące do domu z czerwonej cegły. Kitty krzyknęła, by tego nie robiła, lecz w tej samej chwili Mariam uderzyła w drzwi żelazną kołatką z głową lwa. Gdy Kitty wchodziła na pierwszy stopień, w progu stanęła Ała. Z papierosem w uszminekowanych na czerwono ustach, z wałkami na głowie i w białej jedwabnej halce.

– Tak? – zapytała po rosyjsku i obrzuciła je wzrokiem pełnym irytacji.

Kitty chciała odciągnąć Mariam za rękaw, ale jakby wrosła w ziemię, wpatrując się jak zahipnotyzowana w czerwone usta kobiety.

– Tak? – powtórzyła blondynka zniecierpliwionym tonem, jakby przeszkodziły jej w czymś ważnym.

– Moja przyjaciółka przewróciła się i skaleczyła, chciałobyśmy skorzystać z łazienki, jeśli...

Głos Mariam brzmiał przerażająco rzeczowo. Mówiła po gruzińsku. Kitty miała na nogach ciemne wełniane pończochy, więc kobieta nie mogła zobaczyć, czy Mariam mówi prawdę.

Przez moment jakby się wahała. W jej twarzy pojawiło się napięcie. Może poznała którąś z nich, a może obie.

„Tak, to na pewno to”, pomyślała Kitty. Naiwnością było zakładać, że ta przebiegła żmija tak po prostu wpuści je do domu.

A jednak to zrobiła. Skinęła głową i zanim szerzej otworzyła drzwi, i pozwoliła wejść nieproszonym gościom, rzuciła:

– Ale się pośpieszcie, proszę, mam niewiele czasu!

Kitty czuła, że cała drży. Szła za Mariam, którą blondyna prowadziła do łazienki. Kitty nie mogła w to wszystko uwierzyć. To nie mogło pójść tak gładko. Nie tak, nie teraz.

Mieszkanie było przestronne, chłodne i zaciemnione. Pachniało w nim świeżo zmieloną kawą. Blondyna zaprowadziła je ciemnym przedpokojem do łazienki z pięknym bidetem i porcelanową umywalką. Kitty zamknęła za sobą drzwi i nabrała głęboko powietrza w płuca.

– Co to ma być? – szepnęła.

Mariam uśmiechała się, co jeszcze bardziej zaniepokoiło Kitty. Cały czas patrzyła na drzwi i się uśmiechała. Kitty odkręciła kurek z wodą.

– Przecież tego chciałaś, prawda? Więc tu jesteście.

– Na pewno nie mieszka sama. Poza tym, co chcesz zrobić? Jeśli nam się dokładniej przyjrzy, przepadłyśmy. Znikajmy stąd, i to prędko. – Kitty jąkała się ze zdenerwowania.

– Nie. Wszystko jest tak, jak miało być. Ona nas nie poznała, nawet na ciebie nie popatrzyła, na ciebie, Kitty. Ale jeszcze nas sobie przypomni, obiecuję ci! – I Mariam wypadła z łazienki, zanim Kitty zdobyła się na jakąś odpowiedź.

Kitty ogarnął strach, przemożny, paraliżujący, śmiertelny. Stała jak skamieniała, słuchała, jak cieknie woda, i próbowała uspokoić oddech.

Nagle usłyszała, że coś upada na podłogę, potem rozległy się krzyki, nie mogła się jednak zorientować, czyj to głos. Nacisnęła klamkę i ostrożnie się rozejrzała po ciemnym przedpokoju.

Cicho wyszła z łazienki i ruszyła w głąb mieszkania. Na końcu przedpokoju było dwoje drzwi. Otwarte prowadziły do kuchni. Kitty zobaczyła ciężkie, ciemne szafki kuchenne, szeroki stół, kosz na owoce pełen pomarańczy, dwa nieumyte talerze obok zlewozmywaka, na ścianie spłowiwały pejzaż,

niewielki portret Generalissimusa i jeszcze fotografię przedstawiającą panią domu i starszego mężczyznę z ręką na jej ramieniu.

– Mariam?

Było tak cicho, jakby Kitty została zupełnie sama. Nagle zza zamkniętych drzwi dobiegł śmiech. Kitty otworzyła je i znalazła się w pokoju. Pośrodku stała sofa z gobelinowym obiciem, przed nią szklany stolik z żurnalami. Blondyna, ubrana w halkę, siedziała na sofie. Jej oczy były szeroko otwarte i przezroczyste jak szkło. Śmiała się Mariam w twarz, śmiała się tak, jakby ich sytuacja była najzabawniejsza na świecie. Ochrypli, niemal wulgarny śmiech zupełnie nie pasował do jej subtelnego wyglądu.

Mariam stała przed nią. Kitty dopiero teraz zauważyła, że przyjaciółka ma w ręce wielki kuchenny nóż. Musiała go przynieść w torebce. Trzymała nóż pewnie, jakby była z nim zrośnięta, ale jej twarz zniekształcił grymas – śmiech kobiety wyraźnie ją drażnił. Kiedy odwróciła się do Kitty, miała zmałowany wzrok.

– Mariam... Co robisz!?! – Kitty zrobiła niepewny krok w kierunku przyjaciółki.

Mariam zwróciła się do blondyny.

– Chcę, żebyś się jej przyjrzała. No, przypominasz sobie teraz?

Obok sofy leżał rozbity wazon, który spadł na podłogę zapewne wtedy, gdy Mariam przemocą sadzała enkawudzistkę na sofie.

– Przestań się śmiać, przestań się śmiać! – krzyknęła Mariam.

Kitty zrobiło się słabo. Bała się, że zemdleje.

– Mariam, proszę, nie rób nic głupiego... – Kitty wyciągnęła rękę w kierunku przyjaciółki.

– Co? Czy nie tego chciałaś przez te wszystkie lata? Nie marzyłaś o tym? No to masz. Tu, bardzo proszę, rozkoszuj się!

Blondyna sięgnęła nagle po papierośnicę leżącą na szklanym stoliku, wyjęła różowego papierosa i zapaliła. Zgubiła kilka wałków i faliste, gęste pasma włosów opadły jej na twarz. Nawet teraz, nawet w takiej pożałowania godnej sytuacji nie wyglądała źle.

– Skarbie, pakujecie się właśnie w duże kłopoty. Naprawdę duże. Dlatego radzę, żebyś natychmiast odłożyła ten śmieszny nóż, powiedziała mi, co masz do powiedzenia, i zniknęła. Jeszcze nie jestem zła, więc masz szczęście, ale ono zaraz się skończy.

– Ona nic nie rozumie, jaka szkoda! Będziemy musiały jaśniej jej to wytłumaczyć. Chodź tu, Kitty! – Mariam skinęła ręką na przyjaciółkę.

Kitty niepewnie stawiała jedną stopę za drugą, jakby ze strachu zapomniała, jak się chodzi. Mariam chwyciła ją za nadgarstek, przyciągnęła do siebie, zadarła jej spódnicę i odsłoniła bliznę. Kitty, skamieniała z przerażenia, próbowała się wyrwać i cofnąć, ale Mariam mocno trzymała brzeg spódnicy.

Ała patrzyła na obnażoną Kitty zupełnie obojętnie, a ta poczuła, jak coś podchodzi jej do gardła. „Ona udaje, oczywiście już dawno obie nas rozpoznała, niemożliwe, żeby było inaczej”, przemknęło Kitty przez głowę. Ta teatralna poza, ten wyniosły uśmiech, ten chłodny wyraz twarzy – to wszystko było częścią gry, która tę cyniczną kobietę nawet bawiła, sprawiała jej dziwną przyjemność.

Kitty poczuła, że ogarnia ją wstręt narastający między jej bliznami niczym mała eksplozja. Wstręt przechodzący w nienawiść, która zabijała wszystkie inne uczucia, nawet strach.

– Przypominasz sobie teraz!? Świta ci coś!? – krzyknęła Mariam.

Żadnej reakcji. Twarz kobiety pozostała nieporuszona.

– Coś ci się pomyliło, skarbie! – powiedziała po chwili po rosyjsku i strzepnęła na podłogę popiół z papierosa.

– Ale my, my cię pamiętamy! I to cholernie dobrze, prawda, Kitty? I gdybyś nie dotykała Kostii swoimi dziwkarskimi łapami, może by nas tu wcale nie było! – Mariam wpadła w szal.

Kiedy wymówiła imię Kostii, wąskie, namalowane tuszem brwi kobiety uniosły się w górę. Wypuściła ustami okrągłe kółko dymu z papierosa. Jej uśmiech znikł, wydawało się, że nad czymś się zastanawia. Imię Kostii najwyraźniej nie pasowało do tej gry.

Kitty spojrzała na rozpaloną, spoconą Mariam, która w zestawieniu z aniołem śmierci wydawała się zagubiona i słaba, dojrzała jej zmarszczone pończochy i drżące ręce. Poczuła własną niemoc, śmieszność, beznadzieję tej sytuacji, bo zdała sobie sprawę, że Mariam popełniła błąd, wymieniając imię Kostii.

Nie powinna była nigdy wspomnieć Mariam o blondynie. Mariam bowiem opętała myśl, że to właśnie blondyna odebrała jej narzeczonego, który jeszcze nie tak dawno obiecywał jej szczęście o smaku wielkiego świata. Mariam nie rozumiała jednak, że się myli. Nie wiedziała, że ta, której teraz tak nienawidziła, jest tylko jedną z wielu, których Kostia pożądał. A Kitty, stojąc tu ze swoją odsłoniętą blizną jak postać z pełnego grozy surrealistycznego obrazu, myliła się równie mocno w tej śmiesznej próbie wyegzekwowania sprawiedliwości. Ponieważ przekonanie, że coś się zmieni, że zadośćuczynienie niewyobrażalnej winie jest możliwe, było błędne.

Patrząc w krystalicznie niebieskie oczy blondyny, Kitty zrozumiała, że nigdy nie dostanie od niej żadnego zadośćuczynienia, że ta kobieta nigdy nie przyzna się do winy, choćby nie wiadomo iloma nożami jej grozić. Ona wierzyła w swoją misję, w człowieka, któremu służyła, w państwo, które współtworzyła, i ani Mariam, ani Kitty, ani nawet demonstracyjnie odsłaniane blizny i nóż niczego nie mogły tu zmienić. Ktoś, kto jest w stanie odczuwać skruchę, kto jest zdolny do litości, kto człowieka stawia wyżej niż interes państwa, nie pojechałby do wiejskiej szkoły, nie przerobiłby szkolnej izby na izbę tortur, nie uczyniłby pielęgniarce morderczynią, a dziewczyny w zaawansowanej ciąży matką zabitego w niej dziecka.

Kitty pojęła, że niezależnie od tego, jak skończy się to popołudnie, zawsze, każdego dnia będzie

wymacywać kształt martwego ciała swego dziecka. Pojęła, że jej bliźny zawsze będą śladami piekła. Pojęła, że za każdym razem będzie bezbronną ofiarą. Tak było i zostanie na zawsze, bo dni spędzone w tamtej klasie odcisnęły w niej niezatarte piętno. Ta prawda wzbudziła w niej taki wstręt, takie obrzydzenie, że odwróciła głowę, cofnęła się i zwymiotowała.

– Co to ma znaczyć? – zdenerwowała się blondyna i zerwała się na równe nogi.

Koniec noża Mariam musnął jedwabną halkę. Blondyna usiadła.

– No, jak to jest? Jak to z nim jest? Latasz za nim jak goniąca się suka, co? Lubisz tak? – Mariam ciągle kierowała potrzeba osobistych porachunków.

– Co to ma znaczyć? – Twarz Ałły spochmurniała. – Nie znam cię ani tej drugiej. To wszystko zaszło za daleko. Powoli zaczynam tracić cierpliwość i wierz mi, skarbie, nie spodoba ci się to, co nastąpi potem.

– Bliźny nic ci nie mówią, klasa nic ci nie mówi, strzykawka nic ci nie mówi, mnóstwo krwi nic ci nie mówi, martwy noworodek nic ci nie mówi!? Popatrz na te ręce, które wyciągnęły macicę tej tu kobiecie, to też nic ci nie mówi? Ale kutas Kostii jednak coś ci mówi. Fantastycznie!

Kitty zszokował język Mariam, jej sposób przywoływania wspomnień.

– Mariam, proszę, przestań, to przecież nic nie da... Chodźmy. Niedobrze mi. – Kitty wytarła usta rękawem swetra.

– Teraz ci niedobrze, Kitty? A jak się czułaś, kiedy ona kazała mi zabić twojego syna? Wtedy nie było ci niedobrze? Tak niedobrze, że chciałaś umrzeć? Nie wyjdziemy stąd, dopóki ta dziwka...

– Dostyc! Wynoście się z mojego domu! – wrzasnęła Ałła.

„Tak naprawdę jest opanowana – pomyślała Kitty. – Dobrze gra w tę grę”.

Na zewnątrz zapadał wieczór. Pokój ogarnął półmrok. Rysy twarzy stawały się coraz bardziej rozmazane. Wspomnienia kładły się powoli na pięknych, nie do końca umalowanych powiekach kobiety, miękko i niemal przezroczyście jak pierwszy śnieg, tak że Kitty z nienawiści chętnie utoczyłaby śnieżną kulę, wzięła ją do ręki i z całej siły cisnęła jej w twarz. Nienawiść zgruchotałaby blondynę, na zawsze odkształciła jej rysy, przygniotła jej ramiona, rzuciła ją na kolana, Kitty musiałaby rozciąć jej klatkę piersiową, może Mariam by jej w tym pomogła – czyste, precyzyjne cięcie, i pięknie by w niej znikła ta ciężka, krwawa kula. Krew Kitty szumiałaby potem w jej żyłach, złączyłaby się tam z jej krwią i zamieniła w truciznę, a blond włosy kobiety zbielałyby w ciągu sekundy...

– Kitty!

Głos Mariam wyrwał ją z tych rozmyślań.

Blondyna wstała i zbliżała się do Mariam.

– Odłóż ten cholerny nóż! – powiedziała rozkazującym tonem. – Nie wiesz, co robisz albo z kim masz do czynienia! Odłóż to i wynoście się z mojego domu, daję wam ostatnią szansę, mam tego dość!

Debilne kreatury!

Przemieszczała się wolno w stronę Mariam, która cofała się nieco, ale nadal mocno trzymała nóż.

Mimo szybko zapadającego zmroku Kitty dostrzegła łzy na twarzy przyjaciółki. Czy są skazane na klęskę w tej bezsensownej walce?

– Kitty, zrób coś. Pomóż mi, do diabła! – jęknęła Mariam.

– Jesteście skończone, raz na zawsze skończone. Nie powinnam była zostawić was przy życiu, już wtedy powinnam was obie załatwić, wy niewdzięczne wyrodki, potwory, wy...! – Głos Ałły był dźwięczny i ostry.

Kitty zeszywniała, a Mariam na ułamek sekundy rozluźniła dłoń trzymającą nóż. Czas zamarł na mgnienie oka, kula ziemską stanęła, myśli zmieniały się jak w kalejdoskopie. Kobieta z piekła przyznała, że to piekło naprawdę istniało. Potwierdziła, że była w nim władczynią.

To brutalne wyznanie sprawiło, że Kitty poczuła się jeszcze bardziej bezradna niż wcześniej. Twarz Ałły zionęła wściekłością i nienawiścią. Kitty zrobiła krok w stronę Mariam, która zbliżała się do niej odwrócona plecami.

– Co sobie myślałyście, mendy jedne? Że przyjdziecie do mojego domu, pogroziecie mi tym śmiesznym nożem, a ja z wrażenia zaleję się łzami? Wiecie w ogóle, co znaczy kara? Wiecie, co znaczy ból? Zdaje mi się, że nie bardzo, ale przyjdzie czas, że zrozumiecie.

Jej oczy błyszczały chorobliwie w mrocznym świetle, a piękną twarz wykrzywił grymas. Była już blisko Mariam.

– Nie zbliżaj się, nie waż się, stój! – krzyknęła Mariam i w jej głosie był strach.

Posunęły się już za daleko, nie będą mogły tak po prostu opuścić tego mieszkania. Muszą to przetrwać, bez względu na wszystko.

Blondyna stała tuż przed nimi. Doszedł je słodkawy zapach jej perfum, zapach jej kredki do ust.

Teraz Mariam była obserwatorką, jakby zamieniły się rolami. Zrobiła kilka kroków i włączyła lampkę stojącą na stoliku. Dokładnie w tym momencie pierś Kitty rozszerzyła się i wydarł się z niej krzyk. Pochodził z głębi jej ciała, a ona poszła za nim i rzuciła się na blondynę. Ta, zaskoczona, nie bronila się. Upadła i pokaleczyła się na skorupach rozbitego wazonu. Jęknęła cicho, ale była opanowana nawet w chwili bólu.

Kitty dyszała ciężko. Blondyna usiadła i zaczęła oglądać swoje rozcięte kolana, dłonie i łokcie. Zapadła cisza. Po chwili blondyna podniosła się i chwyciła Kitty za szyję, zaciskając wokół niej wypielegnowane, teraz poplamione krwią ręce.

– Już po was, świnie, już po was...

Kitty wczepiła się w jej dłonie, próbując rozerwać uścisk. Brakowało jej powietrza.

Mariam rzuciła się pomiędzy nie, strącając lampę. Zrobiło się ciemno. Chwyciła Ałłę za włosy

i oderwała ją od Kitty, która kaszłąc, wolno odeszła na bok.

– Nie powinnam była się litować. Taką swołocz jak wy trzeba likwidować. Niczego się nie uczycie, jesteście niegodne być członkami tego społeczeństwa – zaskomlała blondyna, obejmując kolano, które teraz mocno krwawiło. – Potrzebuję opatrunku, muszę... Muszę do łazienki – dorzuciła niemal błagalnie.

– Nigdzie nie pójdziesz. Ona wtedy też długo krwawiła.

W dłoni Mariam wyraźnie było widać nóż.

– Czego ode mnie chcecie, szatańskie bękarty!?! – W głosie blondyny po raz pierwszy zabrzmiała nuta niepewności.

– Popatrz, Kitty, ona jeszcze niczego nie rozumiała! Jak myślisz, wytłumaczymy jej? Wyświadczymy jej tę przysługę? No to chodź, nie będziemy ukrywać tej pięknej niespodzianki. – Mariam znowu poczuła się pewnie. – To jest siostra Kostii, rozumiesz teraz? Ta, której kazałaś wyjąć z brzucha dziecko i macicę. Siostra mężczyzny, za którym teraz biegasz jak goniąca się suka. Mężczyzny, dla którego nawijasz włosy na wałki, z którym się parzysz.

– Przestań, przestań, przestań, proszę! – błagała Kitty i zatkała sobie uszy.

Twarz blondyny wykrzywił grymas. W ciemności trudno było poznać, czy jest to grymas obrzydzenia czy strachu.

W chwili kiedy Ała pomału zaczynała rozumieć, co łączy różne zdarzenia w tym ponurym spektaklu, Stazja usiadła w ogrodzie Kristine w starym bujanym fotelu, który stał samotnie na uboczu, i zaciągnęła się papierosem bez filtra. To, co przed sobą ujrzała, sprawiło jednak, że papieros wypadł jej z ust. Kurczowo chwyciła się poręczy fotela i odchyliła do tyłu.

Przy małym drewnianym stoliku, przy którym tak chętnie siadywali Kristine i Kostia, przy którym ona sama tak często piła z siostrą likier wiśniowy na koniec dnia, siedziały teraz Tekla i Sopio i grały w karty. Tekla w różowym szlafroczk i boa z piór, Sopio w smokingu. Siedziały tam absolutnie rzeczywiste, absolutnie prawdziwe, absolutnie żywe i grały w karty! Stazja kilka razy zamrugwała w nadziei, że to tylko sen na jawie, ale zjawy nie znikwały. Nadal siedziały przy stole i najspokojniej w świecie grały w skupieniu. Stazję ogarnął strach.

Ała traciła kontrolę nad emocjami. Zaczęła się bać. Nagle chwyciła Mariam za rękaw i uderzyła ją w twarz. W pokoju zrobiło się tymczasem zupełnie ciemno. Kitty usłyszała odgłos przewracanego mebla, krzyki. Nie widziała, kto kogo uderzył, ale teraz blondyna trzymała Mariam w uścisku. Kitty rzuciła się na blondynę, objęła ją oboma rękoma, ta przyparła ją do szklanego stołu. Kitty z całej siły uderzyła blondynę pięścią w plecy.

Dostrzegła też, że nóż wysliznął się z ręki Mariam. Zobaczyła błysk ostrza i usłyszała stuk noża upadającego na ziemię. Ała obróciła się błyskawicznie i wypuściła Mariam z uścisku. W powietrzu fruwały wałki i wspaniałe, ciężkie blond włosy Ały uderzyły Kitty w twarz. Za chwilę dziewczyna

poczuła na swojej twarzy coś jak długie szpony, w nozdrza uderzył ją słodkawy zapach skóry przeciwniczki, aż zakręciło się jej w głowie. Blondyna odwróciła się do Kitty i uderzyła ją pięścią w żołądek. Dokładnie tam, gdzie wtedy jej syn walczył ze śmiertelnym lękiem, jakby już wiedział, że narodziny w nieunikniony sposób oznaczają śmierć.

Kitty poczuła, że traci oddech. Chwyciła się mocno oparcia sofy, żeby nie polecieć do tyłu. Po chwili odebrała kolejne mocne uderzenie, tym razem trochę wyżej, w przeponę, wymierzone nogą. Z trudem chwyciła oddech.

Mariam skoczyła od tyłu na Ałłę i kurczowo ją chwyciła. Przez moment ta scena przypominała zabawę polegającą na tym, że jedno dziecko obraca innym jak na karuzeli. To jednak nie była zabawa – jedno dziecko osunęło się na kolana, bo drugie trzymało mu nóż na gardle. A trzecie dziecko zobaczyło, jak ostrze coraz bardziej wrzyna się w delikatne miejsce. Ałła szarpnęła głową. Wyciągnęła ramiona – wyglądało to jak akrobacja, tak nienaturalnie zwinna była jej ręka – i wpakowała dwa palce, środkowy i wskazujący, w oczy Mariam. Krew lunęła jak wiosenny deszcz, zapachniało żelazem, czerwona ciecz, ciepła i ciężka, trysnęła na twarz, szyję i piersi Kitty.

A potem Ałła, charcząc, w zwolnionym tempie upadła na plecy. Z ręki Mariam wypadł zakrwawiony nóż, z metalicznym brzękiem uderzając o podłogę. Odpowiedział mu straszliwy krzyk. Kitty nie wiedziała, czy to krzyk Mariam, czy anioła śmierci. Potem zapadła cisza. Żadnego poruszenia. Kitty czuła smak żelaza na języku. Stłumiła odruch wymiotny. I nagle usłyszała, jak Mariam mówi cicho:

– *Arteria carotis communis...* Było o tym niedawno na wykładzie.

Głos Mariam dobiegał do Kitty jakby z dalekiej planety.

*Kończę się, zwierzę w klatce.
Daleko są ludzie,
Wolność, światło.
Za mną hałas i pośpiech,
Lecz nie mogę wydostać się na zewnątrz.
Borys Pasternak*

Ustalono, że śmierć Ałły nastąpiła pomiędzy godziną dziesiątą wieczorem a północą 2 listopada 1947 roku. Jako przyczynę śmierci podano przecięcie tętnicy szyjnej, *arteria carotis communis*. W świadectwie zgonu nie podano, że śmierć nastąpiła z ręki dziewczyny wychowanej w wierze prawosławnej. Dziewczyny, która wkrótce miała wyjść za mąż za oficera marynarki, skończyć studia medyczne i pracować w poliklinice albo, jeśli by dobrze poszło, w szpitalu miejskim. Dziewczyny, która chciała urodzić dzieci, wychowywać je, kochać, rozpieszczać, a ze swoim mężem wznosić toasty szampanem krymskim.

Mariam nie miała odwagi opuścić mieszkania Ałły, zmyć krwi z rąk, uciec stamtąd, nie miała odwagi pomyśleć, że to był wypadek, a przynajmniej działanie w obronie własnej, i że nie użyłaby noża, gdyby Ałła nie włożyła jej palców do oczu.

Kitty, poplamiona krwią, na pół przytomna, poszła do sypialni zamordowanej, wyszukała sobie czyste rzeczy, własne wcisnęła do torby i wyszła z domu.

Przedtem Mariam powiedziała do niej:

– Pójdiesz do Kostii i powiesz mu, co się stało, opowiesz mu wszystko, co powinien wiedzieć, opowiesz mu twoją i moją historię. Ja tu zostanę. Niech Kostia wezwie milicję. Ja tu będę czekać.

Kostia nie patrzył na siostrę. O brzasku, w promieniach wschodzącego słońca, siedząc na łóżku, jeszcze odurzony snem, monotonnie zadawał jej te same pytania. Jak wyuczony na pamięć wiersz bez rymów Kitty wciąż na nowo wymawiała słowa: „dom na Świętej Górze”, „ta kobieta”, „Mariam”. Pukanie do drzwi kołatką z głową lwa. Krzyki. Walka. Nóż. Mariam. Krew.

– Musisz zawiadomić milicję. Mariam tam została. Złożę zeznanie, odpowiem na wszystkie pytania. Teraz chcę tylko spać.

Kitty ledwie trzymała się na nogach, aż w końcu upadła, uderzając głową o kant łóżka. Na czole powstało krwawe rozcięcie. Nie ruszyła się, głowa zwisała jej bezwładnie, jedną dłonią trzymała się materaca.

– Zrobię wszystko, żebyś żałowała, że zostałam przy życiu! – powiedział naraz Kostia i zmusił ją, żeby wstała.

Kitty znów się osunęła, ale on trzymał ją mocno i patrzył jej w oczy.

– Zrobisz teraz to, co ci powiem. Co do joty. Zrozumiałaś mnie?

Kitty przytaknęła jak automat.

Kostia zaczął uderzać pięściami w ścianę, miotać się po pokoju. Rozmawiał sam z sobą, szukał

wyjścia. Był zrozpaczony, przerażony. Kitty, z twarzą ukrytą w kołdrze, zaczęła opowiadać. Bez emocji. Ręce i nogi miała jak z waty, nie widziała na oczy, gdy opowiadała o dziecku, które nosiła pod sercem, o piekielnej klasie i pustych ścianach, o niekończących się przesłuchaniach, o swoim strachu, o zimnych słowach i łagodnych spojrzeniach pewnej pięknej blondynki, opowiadała o pasach i torturach, o Mariam i jej miękkich dłoniach, o zastrzyku i urodzeniu się martwego dziecka, o macicy, którą Mariam jej usunęła, o czasie spędzonym na granicy życia i śmierci w szopie, o brzęczeniu much, o tym, jak wymacała pod ziemią zwłoki swego dziecka. Jej słowa były tak potworne, że Kostia nie umiał wyobrazić sobie do końca tego, co oznaczały.

Stał w odrętwieniu, oparty o ścianę, z szeroko otwartymi oczyma i czuło się, że to wszystko go przerosło, że nie wie, jak z tym żyć. I gdyby Kitty nie opowiedziała mu wszystkiego, nie zdecydowałby tak, jak zdecydował, i – jak często w naszej historii – wszystko potoczyłoby się inaczej i nie wsiadłabyś do pociągu do Wiednia. (Tak, tak, Brillko, wszystko prowadzi do tego dnia i tego wyjazdu!)

– Jej tam nie było. Jej tam nie było. Potwierdzi to zeznanie Mariam.

– Ale...

– Musimy tak zrobić. Was nikt nie będzie wzywał na przesłuchanie. Nie pozwolę, żeby to, co się stało, spowodowało kolejne nieszczęścia na naszą rodzinę, i to tylko dlatego, że Kitty zakochała się w tym zdrajcy. Andro! Zabiję go.

– Jakaż w tym jego wina?

– Jaka wina, *deda*? Zamilknij raczej. Obie się uspokójcie. Nic więcej nie chcę słyszeć.

– Ale ona cały czas powtarza, że chce złożyć zeznania. Gdy zaniiosłam jej dziś herbatę...

– A kogóż interesuje, czego ona chce? Ona ma milczeć i wy o to zadbacie. Postanowione. Mariam wzięła ją z sobą, a nóż pochodzi ze stołówki instytutu Mariam.

– Ale Kostia, są na to przecież dowody, że Kitty była w tym domu, są przecież dowody, że Mariam nie była sama... hm... na miejscu przestępstwa.

– Nie będzie dowodów, już ich nie ma. Nie dopuszczę do tego, żebyśmy wszyscy z jej powodu marnie skończyli. A więc dowodów nie ma. Koniec, kropka.

Kitty nie rozumiała sensu tych zdań, które Kostia głośno, w zdenerwowaniu, czasami posuwając się nawet do gróźb, wbijał do głowy matce i ciotce. Rozmawiali o niej, tymczasem ona nie potrafiła się w tym rozpoznać, nie miała poczucia, że te rozmowy mają z nią jakiś związek. Tylko czasami, gdy Kristine albo Stazja przychodziły do jej pokoju, przynosząc coś do jedzenia, pytała, kiedy ją zabrają i każą zeznawać. Nie otrzymywała jednak odpowiedzi. Słyszała, że ma się uspokoić, ma spać i nie zadawać pytań.

Kitty była pewna, że osiągnie ją kara, i to szybko, bardzo szybko. Może Kostii uda się ją nieco odroczyć, ale kara przyjdzie, co do tego nie miała wątpliwości. Była przekonana, że wkrótce ją zabrają.

Słyszała, że Kostia kilkakrotnie w ciągu dnia wychodzi z domu i wraca, że matka i Kristine biegną mu naprzeciw i szeptem coś tłumaczą. Poza tym jednak nikt nie przychodził. Żadni obcy ludzie ani milicja. Każdego ranka Kitty spodziewała się aresztowania i każdego ranka się myliła.

– Byłem dziś u niej. Pozwolili mi z nią rozmawiać. Dobrze ją traktują. Będą musieli ją jednak przenieść, nie mogą wiecznie trzymać jej w mieście i czekać na ogłoszenie wyroku, bo to jeszcze może potrwać. Zgodziła się ze mną. Mówi, że to wszystko było jej pomysłem. I my będziemy się trzymać tego jej oświadczenia, jeśli nas zavezwą.

Kitty słyszała, jak brat rozmawia w kuchni. Po raz pierwszy od chwili gdy wczesnym rankiem zwierzyła się Kostii z tego, co zaszło w domu Ałły, podniosła się, postawiła stopy na podłodze i chwiejnym krokiem opuściła pokój. Schodziła po schodach. Miała wrażenie, że to schodzenie trwa bez końca, ale udało jej się wreszcie dojść do kuchni, gdzie przy stole zebrała się cała rodzina. Wszyscy jak na komendę odwrócili głowę w jej kierunku, przestraszeni, jakby zobaczyli ducha.

– Wracaj na górę! – rozkazał Kostia.

– Potrzebujesz czegoś? – zapytała Kristine.

Stazja milczała. Oczy miała opuchnięte od płaczu.

– Nie masz racji, Kostia. Ja tam byłem. Jestem tak samo winna. Usłyszałam, czego żądasz od Mariam, i to jest nieludzkie. Ja też chcę odpowiadać przed sądem. I przestań ciągle telefonować do Moskwy, przestań mnie chronić. Oni przecież mają dowody, że tam byłem. Przecież wiedzą, że Mariam nie mogła tego zrobić sama. – Kitty mówiła cicho, ale stanowczo, mobilizując resztki sił.

– Powiedziałem ci, że masz milczeć i pozwolić mi działać. Nie chcę więcej słuchać tych idiotycznych argumentów. Tu nie chodzi o twoją przyszłość, chodzi o całą naszą rodzinę. Wplątałaś nas wszystkich w tę tragedię. Teraz będziesz musiała ponieść konsekwencje. – Kostia spojrzał na nią z pogardą.

– Właśnie o tym mówię. Chcę ponieść konsekwencje, nic innego.

– Więc wyobraź sobie, że nie zawsze dostaje się to, o czym się marzyło!

– Przestań być potworem. Zlituj się. Ona miała zostać twoją żoną. Nie masz sumienia, że tak ją poświęcasz? To, co mówisz, jest kłamstwem. Co ci z tego przyjdzie, że ja uniknę kary? A wy, dlaczego nic nie mówicie, dlaczego tylko siedzicie i nie powiecie, jakie macie zdanie? – Kitty próbowała spojrzeć matce i ciotce w oczy, ale obie unikały jej wzroku.

– Kitty, wracaj na górę. Moja cierpliwość się skończyła. Robię, co mogę. Próbuję ratować resztkę godności naszej rodziny.

– I dlatego chcesz posłać do więzienia kobietę, która cię kocha?

– Kobiety, które mnie kochają, nie są morderczyniami. Ja jej do tego nie namawiałem. Od początku zresztą potwierdza, że ten czyn popełniła z własnej woli.

– Mówi tak, bo wierzy, że to dla twego dobra. Robi to ze względu na ciebie, ty potworze!

Głos odmówił Kitty posłuszeństwa. Oparła się o ścianę, przyciskając twarz do zimnych kafelków.

– Mariam zabiła. To jest istotne. A ty wcześniej jej uświadomiłaś, jak się sprawy mają między mną a Ałłą. To ty ją sprowokowałaś. Teraz musisz z tym żyć, siostrze, czy ci się to podoba, czy nie!

– Kostia, proszę.

Kristine próbowała objąć Kostię ramieniem, ale ten się odsunął.

– Więc pozwól mi z tym żyć! Chcę iść do więzienia. Mamo, powiedz coś, to przecież nie w porządku, nie możemy tak postąpić. Nie mogę tu siedzieć, kiedy Mariam... Mamo, proszę.

Kitty zaczęła szlochać. Cała się trzęsła. Paznokciami drapała kafelki.

– Wciągnęłaś w to nas wszystkich i wierz mi, to wystarczająca kara, że będziesz musiała z tym żyć! – krzyczał Kostia i uderzał dłonią w stół.

– Niczego to nie zmieni, jeśli pójdziesz do więzienia. Na pewno niczego to już nie zmieni. Będzie tylko gorzej. Dla nas wszystkich – dorzuciła Stazja.

– Ty, mamo, nie masz o tym żadnego pojęcia, nie wiesz, jak to było i jak jest. Ty wtedy wyjechałaś, żeby ratować swojego cudownego syna! – krzyknęła do niej Kitty i otarła łzy. – A teraz skazujesz mnie na życie z tym, co się stało? – spytała jeszcze, zwracając się w stronę Kostii, i wyszła z kuchni.

– Więc idź, idź na najbliższy posterunek i złożź zeznania! Przyznaj się do tego, co zrobiłaś! Powiedz, ile istnień ludzkich zniszczyłaś! No, już! – krzyknął za nią, a potem wybiegł z domu.

Kristine położyła głowę na stole i głośno westchnęła. Stazja stała na środku kuchni z dłońmi zwróconymi ku górze, jakby czekała, że sufit się rozewrze i ukaze się anioł zemsty albo anioł wybawienia.

– Kostii zaproponowano wysokie stanowisko, Stazjo – powiedziała Kristine, nie podnosząc głowy ze stołu. – Widziałam pisma w jego pokoju na komodzie. Wszystkie z pieczętką Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ostatnim razem, kiedy otrzymał takie pismo, skakał z radości. Dlatego zdaje mi się, że...

– Że co?

– Sama pomyśl.

– Do czego zmierzasz? Nie rozumiem... – Stazja otrząsnęła się z odrętwienia i usiadła obok siostry.

– Jaka organizacja ma moc, by wypuścić winnego bez kary, w dodatku takiego, który uczestniczył w morderstwie zdolnej pracownicy NKWD? – Kristine wolno podniosła głowę i spojrzała siostrze prosto w oczy.

Stazja ściągnęła brwi, jakby za chwilę miała wybuchnąć.

– To niemożliwe. Kostia jest w marynarce. Kocha morze. Przecież...

– Dla nich można pracować w różny sposób.

– To niemożliwe, niemożliwe.

– Gdyby było inaczej, Kitty już dawno byłaby tam, gdzie Mariam. Jeśli tak na to popatrzeć, jest to

szczęście w nieszczęściu.

– Szczęście w nieszczęściu!? – Stazja najchętniej spoliczkowałaby siostrę.

– Tak właśnie myślę. Co wolisz: żeby twoja córka przez całe życie siedziała w więzieniu albo została posłana do jakiegoś obozu pracy na końcu świata czy żeby twój syn pracował dla NKWD?

Dokładnie trzy tygodnie przed śmiercią Ałły Kostia Jaszi, dzięki mocnemu poparciu Georgiego Alanii, został przyjęty do pracy we wszechmocnym Ludowym Komisariacie Spraw Wewnętrznych, NKWD. Śmierć Ałły i związany z tym skandal, który w Tbilisi przeszedł do historii jako „potworna zbrodnia z zazdrości”, jeszcze przez wiele miesięcy zajmowały ludzi i stanowiły temat rozmów i spekulacji. Wszystkie dokumenty, które ujawniały udział Kitty Jaszi w tym morderstwie, zostały zniszczone w pierwszych dniach przesłuchań. Krążyły różne pogłoski, lecz nazwisko Jaszi nie padło podczas procesu.

Czy rzeczywiście coś by się zmieniło, gdyby Kitty złożyła zeznania i przyznała się do udziału w morderstwie? Kogo mogłaby przez to uratować? Komu by uwierzono? Jej czy potężnym przyjaciołom jej brata? Kitty z wolna umacniała się w przekonaniu, że jej prawda może być inna niż prawda Mariam. Powtarzała sobie, że to nie ona użyła noża, bo na to nie wystarczyłoby jej siły. Utwierdzała się w przekonaniu, że nie jest morderczynią.

W listopadzie Mariam przewieziono do Swierdłowska, do obozu dla kobiet.

Kostia został powołany do Bałtyjska koło Kaliningradu, gdzie znajdowała się główna baza Floty Bałtyckiej, której zadaniem był przede wszystkim transport urządzeń wojskowych. Cumowała tu większość radzieckich okrętów wojennych oraz statków transportowych. Kostii, który awansował na kapitana, powierzono nadzorowanie rozbudowy floty okrętów podwodnych oraz ich wspieranie na Morzu Północnym. Chodziło o stworzenie floty dysponującej okrętami z napędem atomowym.

Ponieważ większą część wybrzeża Morza Bałtyckiego kontrolowały państwa zachodnie, co Związkowi Radzieckiemu zamykało dostęp do Atlantyku, flota radziecka koncentrowała się na Morzu Północnym.

Wstępując do służby, Kostia Jaszi z drzeniem serca podpisał dokument zobowiązujący go do zachowania w tajemnicy wszystkiego, co dotyczyło powierzonych mu zadań i efektów jego pracy. Gdy na Nowy Rok przyjechał do domu, był jak odmieniony: radosny, swobodny, skłonny do żartów. Pozwalał, by mu dogadzano, i wiele czasu spędzał z Kristine. Prężna jak stal sylwetka, wypięta pierś, wyprostowane plecy, pewny krok – wszystko świadczyło o jego głębokim zadowoleniu połączonym z poczuciem własnej wartości i dumą.

Na jego tle Kitty wyglądała na jeszcze bardziej smętną i przygnębioną niż zwykle. Kiedy się śmiała, wokół jej ust tworzyły się drobne zmarszczki, jakby śmiech był dla niej wysiłkiem. Wprawdzie kontynuowała studia, ale jej zapał zgasł. Gitara też poszła w kąt. Jej głos stał się cienki i niepewny.

Zręczny wcześniej sposób poruszania się, płynne ruchy, które niegdyś przychodziły jej bez wysiłku, teraz ustąpiły miejsca dziwnej ociężałości, niepasującej do jej wieku.

Rodzeństwo prawie z sobą nie rozmawiało. Przy śniadaniu i przy kolacji oboje milczeli, nie patrząc na siebie, nie świadcząc sobie żadnych drobnych uprzejmości. Zdawało się, że złożyli jakąś przysięgę, której teraz twardo się trzymali.

Dopiero w przeddzień wyjazdu Kostia poprosił Kitty, by po kolacji zajrzała do jego pokoju. Kiedy Kitty przysła, zobaczyła brata prasującego mundur. Nigdy nie powierzał tej czynności Stazji ani Kristine. Kitty, nie wiedząc, co powiedzieć, nerwowo gładziła ręką zasłony, tak jakby wygładzanie zasłon było jedynym powodem jej obecności w tym miejscu.

– Doniesiono mi, że jeśli pozostaniesz w Gruzji, nie będziesz bezpieczna – zaczął Kostia, w skupieniu przesuwając żelazkiem po spodniach.

– Jak mam to rozumieć?

– Wiesz, ludzie nie są wieczni na swoich stanowiskach. Niektórzy odchodzą, przychodzą nowi, i w każdej chwili może się zdarzyć, że jakiś młody, ambitny śledczy ponownie sięgnie do akt Mariam, bo uzna je za odskocznnię do własnej kariery, i wtedy... wtedy może się zdarzyć, że dojdzie do całkiem innych wniosków niż jego poprzednicy. I w każdej chwili proces może się zacząć na nowo.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że nie będę mógł wiecznie cię kryć. Że robiąc to, narażam siebie i nie tylko siebie. Mam teraz odpowiedzialne stanowisko.

– Tak, wiem. Gratuluję!

– Oszczędź mi swego sarkazmu. Staram ci się pomóc.

– Dzięki, już mi pomogłeś.

– Wcześniej przynajmniej nie byłaś niewdzięczna.

– No cóż, czasy się zmieniają i ludzie też. Kilka razy pisałam do Mariam, ale mi nie odpisała. Rzekomo wprowadzono zakaz korespondencji.

– Nie wezwałem cię po to, żeby rozmawiać o Mariam. Rozmawiamy o tobie i twojej przyszłości, Kitty.

– To w ogóle jakąś mam? Nigdy bym nie przypuszczała.

– To poważna sprawa, do diabła! – Po raz pierwszy oderwał wzrok od deski do prasowania i spojrzał w stronę Kitty.

– Patrzę na ciebie i nie wiem, kogo mam przed sobą. Nie znam cię. Nie wiem, kim jesteś – mówiła Kitty jakby do siebie, jakby nie słysząc słów brata.

– Nie zbaczaj z tematu. To ważne, żebyśmy wspólnie znaleźli rozwiązanie.

– Wspólnie? Od kiedy robimy coś wspólnie?

– Jesteś niemożliwa, jak zawsze.

– Tak? To co według ciebie powinnam zrobić? Uciec? Schować się w lesie?

– No cóż, jeśli ktoś zadaje się z dezerterem i zdrajcą...

– Gardzę tobą.

– Trudno. Jakoś będę musiał z tym żyć. Słuchaj, pomogę ci jeszcze raz, ostatni, a potem chciałbym, żebyś znikła z mojego życia.

– Zrobię to bardzo chętnie, nawet jeśli mi nie pomożesz, Kostia.

Odstawił ostrożnie żelazko, wygładził nogawki spodni i zrobił krok w kierunku siostry. Potem zniżył głos.

– Jeśli dobrze pamiętam, dostałaś kiedyś propozycję recitalu. Taka propozycja niedługo znowu się pojawi i tym razem ją przyjmiesz. Potem przyjdzie zaproszenie na *tournée*, może po całym Związku Radzieckim, może nawet po innych, bratnich krajach. Powiedzmy, po Europie Wschodniej. Pojedziesz na przykład do Pragi. Tam zostaniesz. Załatwimy ci papiery. Nie zostawimy cię na łasce losu: dostaniesz dalsze wskazówki i gdy tylko nadarzy się okazja, wyjedziesz z Pragi na Zachód. Konkretnego miejsca jeszcze nie mam. Nie będziesz utrzymywać z nami kontaktu. Znajdę cię, jeśli to będzie konieczne. Będzie o ciebie dbał jeden z moich przyjaciół.

Kitty oderwała się od parapetu i podeszła do brata. Wciągnęła w nozdrza ostry zapach wody kolońskiej i dotknęła ręką jego twarzy.

– Co ty mówisz? – wyszeptwała.

– Nie ma innego wyjścia, wierz mi.

– A co będzie, jeśli się nie zgodzę?

– Nie chcesz chyba narazić na niebezpieczeństwo swego przyjaciela Andra?

– A co on ma z tym wspólnego? Dlaczego Andro?

– Został wprowadzicie ułaskawiony, ale nadal jest zdrajcą.

– Kostia!

– Nie masz wyboru. Chciałaś kary, to masz.

Przez chwilę milczeli. Kitty nieśmiało położyła dłoń na jego policzku. Chciała się przekonać, jaki jej brat jest w dotyku. Dla Kostii było to wyraźnie nieprzyjemne, ale stał nieruchomo, nie uchylił się.

– Kostia, ale dokąd miałabym jechać? Co ja tam będę robić? – spytała Kitty z rozpaczą w głosie.

– Czy nie marzyliście ciągle o Wiedniu? I o Paryżu?

– Nie ma już żadnych „nas”.

– Ale ty jesteś.

– Nie wierzę ci, nie wierzę, że mówisz poważnie. – Przestraszona Kitty cofnęła rękę, jakby dotknąwszy jego policzka, poznała to, co w bracie najgłębsze.

- To ty sprawiłaś, że moja narzeczona popełniła morderstwo. Ty, nie ja.
- Narzeczona, którą zdradzałeś z morderczynią dzieci.
- Zdrada jest chyba mniejszym przestępstwem niż zabójstwo, nie uważasz?

Kitty przypatrywała się bratu w nadziei, że dostrzeże w nim coś dobrze znanego. Patrzyła na niego, aż przestała widzieć cokolwiek.

Karę śmierci zniesiono w Związku Radzieckim w 1947 roku. W roku 1950 jednak znowu ją przywrócono, jakby władza przestraszyła się swej wcześniejszej decyzji. Mariam jako jedna z pierwszych padła jej ofiarą. Zgodnie z praktyką stosowaną przy rozstrzeliwaniu zdrajców, dezertersów i groźnych przestępców jej rodzina otrzymała rachunek za naboje, których użyto do egzekucji poprzez strzał w tył głowy.

Andro Eristawi pracował w zakładach metalowych w Rustawi, przemysłowym mieście w pobliżu Tbilisi. Ponieważ odmawiano mu zameldowania, co miesiąc zmieniał baraki i pokoje, a w końcu wylądował w domu Kristine, chociaż obiecywał sobie, że nigdy tam nie wróci. Nie miał jednak wyboru.

Wychodził z domu wczesnym rankiem i wracał późnym wieczorem. A kiedy w niedzielę przebywał w swym pokoju na poddaszu, nie wchodził nikomu w drogę. Jego obecność była bezszmerowa i bezwonna. Jadł niewiele i jako dobrze wychowany człowiek uprzejmie dziękował po każdym posiłku. W dużych ilościach pił tylko likier Kristine oraz bimber, który kupował w fabryce. Nigdy nie brał udziału w rodzinnych dyskusjach, a kiedy siedział w ogrodzie z Kristine czy Stazją, wycinał małe figurki z drewna. Jednak nie były to już anioły, lecz dziwne istoty o wielkich głowach i brzuchach, których nikt nie chciał stawiać na gzymsie kominka ani na półkach z książkami.

Kitty początkowo gwałtownie protestowała przeciwko jego obecności w domu, lecz dała za wygraną, gdy zrozumiała, że Andro nie ma innej możliwości – musiał wprowadzić się do Kristine. Jego milczący, bierny styl bycia prowokował ją do uszczypliwości i drwiących uwag. Ale w głębi duszy cierpiała, ukradkiem obserwując Andra, który stał się cieniem mężczyzny.

Pewnego popołudnia zastała go w ogrodzie. Kristine i Stazja wyszły z domu, a on powinien być jeszcze w pracy. Siedział jednak w ogrodzie, a przed nim stała butelka wódki. Właśnie zakładał sobie opatrunek na nadgarstek. Na jego kolanach leżała zakrwawiona wata. Wyglądało na to, że skaleczył się podczas wycinania swoich figurek.

– Witaj, Andro! – powiedziała Kitty i usiadła naprzeciw niego. – Może ci pomóc?

– Nie wiem... Może.

Kitty przyniosła z domu watę i trochę gazy, watę nasączyła wódką i delikatnie dezynfekowała ranę. Twarz Andra pozostała nieporuszona – jeśli czuł ból, nie dał tego po sobie poznać.

– Co się stało?

– Zaciąłem się.

– Jak?

– Czasami trzęsą mi się ręce.

– Zacisnę mocniej opatrunek. Dlaczego już jesteś w domu?

– Powiedzieli mi dzisiaj, że nie mogę u ich dłużej pracować. Dostali polecenie z komisariatu. Teraz mają mnie wysłać do jakiegoś kołchozu w górach.

– Ale cię urządzili! Szubrawcy!

– Wszystko mi jedno. Gorzej nie będzie. Przynajmniej tam, w górach, będę miał jakiś własny kąt.

– Nigdy nie byłeś szczególnym amatorem natury.

– Napijesz się ze mną?

– Czemu nie. Przyniosę kieliszek.

– Zostań, ja przyniosę.

Wrócił szybko i napełnił szkło przezroczystym płynem.

Kitty przeraził ostry smak wódki, ale nie chciała rozczarować Andra i odmawiać mu towarzystwa.

Czuła jego zapach – woń zmęczenia i nieprzetrawionego alkoholu pomieszaną z odorem krwi. Woń ta nie miała nic wspólnego z zapachem jego skóry, który wracał do niej przez wszystkie lata wojny i kojarzył się jej z pamiętną nocą w ogrodzie botanicznym.

– Nie wiecie ci się dobrze – oznajmił rzeczowo Andro i podniósł w górę kieliszek.

– Wcześniej tego nie zauważałeś.

– Co by to dało? I tak niczego bym nie zmienił. Jestem jak inwalida. Nic nie mogę, nic mi nie wolno.

Jak oni nieraz patrzyli na mnie w tej fabryce... Dla nich byłem wyrzutkiem.

– Znowu się nad sobą rozczulasz.

– A nawet jeśli... Nie mam do tego prawa? Twoje zdrowie!

– Ach, Andro...

– Daruj sobie te znaczące westchnienia. Czy mają coś wspólnego z Mariam?

– Nie mogę ci powiedzieć. To by... Zapomnij o tym.

Kitty wypła ostry alkohol jednym haustem. Palilo ją w gardle, ale nic nie dała po sobie poznać.

– Wolałabym, żebyś został przy mnie – powiedziała i podała mu kieliszek do napełnienia.

Na figowcu usiadły dwa gołębie. Kitty chciała dotknąć Andra, znieczulić jego ból swoją bliskością, ale nie potrafiła, i ostatecznie nie uczyniła żadnego gestu. Siedzieli obok siebie w milczeniu tak jak po jego powrocie, w niewykończonym mieszkaniu na Nowym Mieście, czując własną bezsilność.

– Wiesz, dlaczego według nich jesteśmy zagrożeniem? – zaczął Andro. – Dlaczego nas przepędzają, zabraniają kontaktu z innymi ludźmi, chcą się nas pozbyć? Ponieważ widzieliśmy wszystko na własne oczy i dlatego oczy nam się otworzyły. My, którzyśmy przeżyli, wróciliśmy, i oni wiedzą, że nie będziemy mogli dalej żyć w kłamstwie. Nie mają pojęcia, co z nami robić. Stanowimy dla nich wielki problem. Chcą, żebyśmy zapomnieli, żebyśmy nie pamiętali tego wszystkiego, cośmy zobaczyli, ale wiedzą, że to niemożliwe. Nigdy nie zapomnimy o tym, co zatajano przed nami przez te wszystkie lata, i o tym, co nadal przed nami ukrywają. My, których wojna rzuciła za granicę, pojeśliśmy, z jakiego zasranego zakątka świata pochodzimy, jak byliśmy okłamywani i wykorzystywani. Teraz wielu z nas wróciło, wróciliśmy w pustkę, w ciemność i znowu musimy pisać hymny na cześć tego wspaniałego państwa. Jak to znieść? Jak z tym żyć? Najgorsze w tym wszystkim nie jest to, że ta przeklęta wojna uczyniła nas kalekami, zabrała nam przyjaciół, zniszczyła nasze życie, lecz to, że wszystko zalegalizowała. Teraz mówią: patrzcie, nasz wielki Wódz doprowadził nas do zwycięstwa, pokonaliśmy faszystów, przeżyliśmy. Cała ta droga była słuszna. Mówią, że ofiary, które musieliśmy ponieść, były

konieczne. A to przecież jest tak straszliwie głupie, tak niesprawiedliwe.

Po raz pierwszy Andro opowiadał jej o wojnie, o zatrzymanych w pamięci widokach, które go prześladowały, o czasie spędzonym na Krymie, o swoich nadziejach, o Legionie Gruzińskim, opowiadał o listach, które do niej pisał, a potem niszczył, o Texel.

Kitty słuchała go z zapartym tchem. Na łyż było za późno, nie było jej też do śmiechu. Słuchała w skupieniu, wdzięczna za to, że podzielił się z nią wspomnieniami, sama jednak zwalczyła w sobie pragnienie, by otworzyć się przed nim i opowiedzieć o swoich koszmarach.

– Co dokładnie zrobiłaś? – zapytał nagle, patrząc jej prosto w oczy.

Wcześniej nie mógł znieść jej wzroku, który czegoś od niego żądał, lecz teraz wpatrywał się w nią z natężeniem.

– Próbowałam coś naprawić.

– Czy jest to coś, z czym będziesz mogła żyć, Kitty?

– Wiem, że jej śmierć nawet w przybliżeniu nie była taka, jaka mnie by czekała za sprawą jej decyzji. Może kiedyś ci o tym opowiem. Ale nie teraz. Jeszcze nie.

Tej samej nocy Kitty wśliznęła się do pokoju, w którym spał Andro, i położyła się przy nim. Andro zbudził się przerażony i chciał zerwać się z łóżka, lecz ona objęła go z całej siły, przyciągnęła mocno do siebie, przytrzymała, dopóki jego mięśnie się nie rozluźniły, z jego skóry nie odparował lęk, nie dał za wygraną i nie przestał jej od siebie odpychać. Potem położyła głowę na jego piersi i zaczęła go głaskać, dotykając nieznanymi jej zgrubień i blizn.

Mimo że jego ciało wydało się jej twarde, odporne na dotyk, nie poddawała się. Chciała odnaleźć to, co w tej obcości było jej znane. Chciała znaleźć dawnego, ukochanego Andra, ojca jej dziecka. Ten Andro musiał jeszcze istnieć. Uwierzyła w to, słuchając jego zwierzeń tego popołudnia w ogrodzie, bo dostrzegła dawny jasny błękit w jego zamglonych, otępiałych oczach. Ostrożnie głaskała jego skórę, delikatnie całowała go w usta. Nieśmiało przesuwiała ręką po jego ogolonej głowie, co było dla niej najtrudniejsze, bo bardzo tęskniła za dawnymi lokami.

Jego ciało było napięte, ale nie odsunął jej od siebie, nie wyśmiał jej nadziei, pozwolił jej szukać tego, co było w nim dawniej. Kiedy delikatnie go dotykała, niepewnie położył rękę na jej brzuchu. Jego palce wyczuły bliznę. Był drugim człowiekiem po Mariam, który jej tam dotknął.

– Operacja wyrostka – rzuciła od niechcienia i pocałowała go.

Swoim ciałem ofiarowywała mu zapomnienie, a sobie wspomnienia. Lecz oboje wiedzieli, że to, co robią, prowadzi donikąd. Będą czuli tylko swoje ciała, ale nigdy nie przekroczą granicy, nie zaznają ulgi. Mieli tego świadomość i nie oczekiwali tego od siebie. To, co było, wystarczało im, by poddać się iluzji trwającej jedną noc.

– Może niedługo będę musiała wyjechać – mruknęła Kitty w ciemności.

- Dokąd? Co chcesz przez to powiedzieć?
- Może będę musiała.
- Nie rozumiem.
- Kostia tak chce.
- Powiedz mi. Powiedz mi wszystko.
- Nie.
- Dlaczego nie?
- Bo masz słabe serce i ręce ci drżą.

Dwa tygodnie później Andro Eristawi opuścił Tbilisi. Został zesłany do górskiej wioski w Raczy i przydzielony do tamtejszego kołchozu.

Kitty Jaszi skończyła studia i zgodnie z obietnicą brata zaczęła objeżdżać miasta Kaukazu. Występowała w klubach młodzieżowych i domach kultury, śpiewając skomponowane przez siebie piosenki. Nadal nie potrafiła sobie wyobrazić, że pewnego dnia będzie musiała opuścić ojczyznę. Usiłowała myśleć, że była to tylko czcza groźba Kostii, miała nadzieję, że tego uniknie i że brat znajdzie sposób, żeby nikt niepowołany nie dostał prawa wglądu do jej akt. Spodziewała się wkrótce stałego angażu do jednego z prowincjonalnych teatrów, by grać Desdemony, Julie, Masze, co pozwoliłoby jej zdystansować się od własnych problemów i w końcu zupełnie zniknąć za tymi postaciami.

Ale sprawy potoczyły się inaczej. Z początkiem 1950 roku Kitty dostała od Kostii telegram z wiadomością o śmierci Mariam. Gdy go przeczytała, wpadła w taką rozpacz, że Stazja musiała uderzyć ją kilka razy w twarz, by przerwać jej rozdzierający krzyk. Kitty powtarzała bez końca: „Jak to możliwe, jak to możliwe, jak to możliwe, jak to możliwe”...

To właśnie wtedy zrozumiała, że nie może tu zostać.

Tego samego dnia – a przynajmniej wyobrażam sobie, że było to tego samego dnia – Kostia dostał list od Georgiego Alanii. Kostia wiedział, że jego przyjaciel w najbliższych tygodniach miał wyjechać do Londynu, by tam rozpocząć wreszcie służbę, do której przez lata był przygotowywany. Spodziewał się więc sentymentalnego, lecz mimo wszystko pogodnego listu pożegnalnego. Tymczasem list, który trzymał w rękach, był zupełnie inny. W zimnym świetle pokojowej lampy, między portretami Marksa i Engelsa, popiersiami Lenina i Generalissimusa, Kostia przeżył potężny wstrząs: Ida nie żyła. Tylko tyle zawierał krótki list. Kostia stracił tę, dla której jeszcze raz mógłby znieść wszystko – głód, zimno, strzelaninę i bomby, gdyby tylko istniała jakakolwiek nadzieja. Wolaliby nigdy się nie dowiedzieć, że kobieta, której strata niszczyła go w sposób bardziej ostateczny, niż mogła to uczynić jakakolwiek inna śmierć, nie dostała się na żadną z ciężarówek, które wysyłał do jej miasta. Nie żyła, stracił ją. Stracił już wcześniej, z powodu jednej defilady. Poszedł na tę przeklętą paradę, nie potraktował poważnie jej przeczuć. Nie kochał jej naprawdę. To jego głupie pragnienie, by zostać bohaterem! Bohaterem, do

którego nie pasowała czterdziestoletnia Żydówka o upierścienionych palcach i melancholijnym spojrzeniu.

Nie miał prawa odwiedzać Mariam w celi i okłamywać jej, mówiąc, że jeśli chodzi o Ałłę, był to jedynie przelotny romans. Powiedział jej tak tylko po to, żeby kryć własną siostrę. Posłał Mariam na śmierć, obiecując jej, że dzięki tej ofierze ona sama posiada boską moc i zdoła uratować inne ludzkie życie. Ale tak się nie stało. Ani Mariam, ani on nie mieli takiej mocy. Nie wiedział, kim była Ałła i co uczyniła. Nie wiedział, jaką drogę przeszły Mariam i Kitty. A powinien był wiedzieć.

Z Idą umarła też Mariam, a z Mariam umarła jego siostra. W każdym razie umarła dla niego. Umarła też Ałła o karminowych ustach i szansa naprawienia krzywd. Pochylony nad listem przyjaciela Kostia Jaszi zrozumiał, co znaczy utrata. Został śmiertelnie zraniony, a jego agonია będzie trwać całe życie.

Jego wojna nie była bowiem wojną z wrogami, lecz wojną z ludźmi, których kochał.

Kostia wypadł z domu jak burza. Na morzu w oddali lśniły przycumowane statki. Zasnute chmurami niebo było żółtawe. W płuca wpadało zimne, przesywająco ostre powietrze. Biegł w kierunku nabrzeża. Nie miał na sobie płaszcza, ale nie czuł zimna. W ręce trzymał list, który go palił. Gdzieś rozległo się buczenie frachtowca.

Biegł brzegiem morza, które przybrało już zimową szatę i które tam, w oddali, miało jakieś drzwi. Drzwi prowadzące do nieba. Może mógłby dopłynąć do tych drzwi, może by mu się to udało. Może mógłby powrócić do ciemnego mieszkania na Wyspie Wasiljewskiej, w którym będzie Ida.

Błyskawicznie zrzucił ubranie i stanął na plaży w samej bieliźnie. Rzucił się do wody, jakby spieszył na pomoc tonącemu, choć to on tonął.

Nawet ciężkie morze nie potrafiło przywrócić go do życia. Nawet lodowata woda. „Zanurzyć się i nie wypłynąć”, myślał. Jak to było możliwe, że tak się kogoś pragnęło, tak potrzebowało, tak bardzo kochało, a śmierć się z tym nie liczyła?

„Ida!” Wykrzykiwał jej imię wśród zimna i morskich fal, coraz dalej wypływając w morze.

Na brzegu zebrała się grupka ludzi, ktoś krzyczał za nim, jemu jednak wszystko było obojętne. Nie chciał wracać. Na plaży leżały jego spodnie, a w kieszeni jak wyrok bez odwołania tkwił ten list. Nie mógł wrócić. Jedyne, co mógł robić, to płynąć, płynąć, płynąć aż do utraty tchu, dopóki nie znajdzie jakichś drzwi. Gdyby ją wtedy zatrzymał, ona by przeżyła, a on nie pojechałby do Tbilisi, nie poznałby Mariam, nie poznałby też na przyjęciu, gdzie wznoszono przewrotne toasty, pięknej kobiety o blond włosach, która zabijała niemowlęta, a jednocześnie tak bardzo pragnęła jego miłości, że w łazience rozpięła mu spodnie, i nigdy by nie pozwolił, żeby udzieliła mu się jej nagromadzona, niepohamowana żądza. I wtedy Mariam by żyła. A jego siostra nie spotkałaby nigdy morderczyni swego dziecka.

Gdyby Ida nie umarła, on by jeszcze żył.

Nieskończoność rozplynęła się przed jego oczyma. W głębokościach fal również nie było Idy. Tak jak

drzwi do nieba.

Kostia zachłysnął się wodą. Siły zaczynały go opuszczać.

Potem usłyszał krzyki i zobaczył ponton płynący w jego kierunku. Następnego dnia podał do protokołu, że wskoczył do morza, bo zdawało mu się, że widzi tonącego.

Przez następne trzy tygodnie, które z powodu ciężkiego zapalenia płuc spędził w klinice, odrzucił od siebie wszystko, co kiedykolwiek mogłoby go wpędzić w podobny nastrój, i zagłuszył własne sumienie.

W szpitalu, zanim w płomieniu świecy spalił ten straszliwy list, przeczytał go jeszcze raz.

Mój drogi przyjacielu,

nienawidzę się, bo wiem, że słowa tego listu sprawią Ci wielki ból, ale obiecałem Ci coś i nie jest w mojej mocy oszczędzić Ci tego bólu. Więc piszę o tym, co chciałeś wiedzieć, przekazuję wiadomość, na którą długo czekałeś. Sądzę, że się domyślałeś: ona nie żyje.

W trakcie blokady przebywała w Leningradzie. Nie opuściła miasta. W ostatnim roku blokady otrzymała pozwolenie na ewakuację, ale z nieznanых powodów przekazała je komuś, kogo ślad straciliśmy. Umarła w swoim mieszkaniu na Wyspie Wasiljewskiej. Nikt nie wie, gdzie ją pochowano.

Kiedy dostaniesz ten list, nie będzie mnie już w Moskwie. Napiszę do Ciebie znowu, gdy tylko będę mógł, i niecierpliwie będę czekał na Twoje listy. Wiesz, ile one dla mnie znaczą. Bardzo, bardzo mi przykro, przyjacielu. Wiem, że jej nie zapomniłeś, wiem, że ją kochałeś, nawet jeszcze teraz ją kochasz. Będę pamiętał o Twoim innym „trudnym dziecku”.

Ściskam Cię mocno, z głębokim współczuciem

Georgi

Georgi Alania objął oficjalnie stanowisko *attaché* kulturalnego w ambasadzie radzieckiej w Londynie. Nieoficjalnie zaś miał znajdować odszczepieńczych obywateli radzieckich i wdrażać proces ich repatriacji, jak to nazywano. Za pomocą kłamstw, fałszywych obietnic, a jeśli zajdzie potrzeba – przemocą.

Wiosną Kitty otrzymała wiadomość od brata. Wszystko szło tak, jak zapowiadał – jego słowa sprawdziły się co do joty: dostała propozycję wyjazdu do Pragi z recitalem swoich piosenek. Przyjęła ją, bo wiedziała, że nie ma innego wyboru. Wyjechała z kraju w towarzystwie człowieka z tajnych służb. Po jej występie w Pradze człowiek ten wręczył jej fałszywe dokumenty, zaprowadził do wynajętego mieszkania na obrzeżach miasta i kazał czekać na dalsze wiadomości. W Moskwie Kitty Jaszi została uznana za zdrajczynię narodu, za działającego na rzecz kapitalistów szpiega, który teraz uciekł na Zachód.

Stazja wiedziała, dlaczego Kitty wyjechała i kto jej w tym pomógł. Wiedziała, że ciężar ten będzie znosić tak samo jak wszystkie inne nieuchronności w swoim życiu. Najpóźniej tego ranka, kiedy

enkawudziści zabrali ją na przesłuchanie z powodu zniknięcia córki, pojęła, że duchy powróciły, że znowu mają wolną drogę, drogę między różnymi momentami w czasie i wszystkimi możliwymi do wyobrażenia światami.

Kostia został kimś, kim nie stałby się nigdy, gdyby żył z Idą: moim dziadkiem, a twoim pradziadkiem, Brilko.

Tamtego lata wybrał się w rodzinne strony, skąd pojechał na opłacony przez państwo urlop nad Morze Czarne, do Abchazji. Tam poznał moją babcię Nanę. Tę rozsądną, łagodną, jasną Nanę. Nanę, której dziadkowie, językoznawcy z uniwersytetu w Tbilisi, padli ofiarą czystek. Jej ojciec, archeolog, jako syn domniemanych szpiegów i kontrewolucjonistów, trafił do więzienia miejskiego w Ortachali, gdzie zmarł w wieku zaledwie czterdziestu dwóch lat na nieleczone zapalenie płuc. Nanę wychowywała matka i rozpieszczały dwie niezamężne siostry ojca. Nieszczęście, które przetoczyło się przez rodzinę, próbowały załagodzić miłością i przesadną troską o dziewczynkę.

Prostolinijna, otwarta, pozbawiona wszelkiej tajemniczości, nawet nie elegancka Nana nigdy nie powinna była spodobać się Kostii. Nana była zdrowa pod każdym względem. Zbyt zdrowa dla Kostii. Nie można było czymś się od niej zarazić, zmarnieć przy niej. I właśnie to było powodem nagłego zainteresowania Kostii. Jakby swymi obojętnymi, pozbawionymi nadziei oczyma wypatrzył najzdrowszą kobietę na całym wybrzeżu Morza Czarnego i wziął ją za rękę, by wyleczyć się ze swojej choroby.

Może też miał nadzieję, że zerwie ze starymi nawykami, że wyjdzie z cienia zmarłych i zacznie żyć na nowo, inaczej.

Kiedy przyglądam się Nanie na starych zdjęciach rodzinnych, wydaje mi się kimś, kto jeszcze nigdy nie zwątpił w siebie ani w otaczający go świat. Kimś, kto nie zaznał porażki. Widzę wysoką, młodą kobietę, zbyt młodzieńczą i lekkomyślną jak na swój wiek, ale tym pewniejszą siebie, jakby dokładnie wiedziała, jak ma wyglądać życie, które stoi przed nią otworem. Włosy blond, gruby warkocz zapleciony wokół głowy, schludna, dobrze leżąca, dyskretnie elegancka suknia. Nie krzykliwa, ale i nie niepozorna. Jakby wszystko w niej dążyło do zdrowej harmonii, jasnych zasad. Sposób, w jaki gwałtownie gestykulowała albo robiła nadąsaną minę, w jaki marszczyła czoło, kiedy się nad czymś zastanawiała, albo kiedy demonstracyjnie zakładała nogę na nogę, gdy była podenerwowana, miał w sobie coś ekscytującego, lecz nigdy nie był wulgarny. Nana była konserwatywna, wyznawała jasny system wartości i w chwili, kiedy spotkała Kostię, marzyła o tym, o czym marzyła większość dziewcząt w jej czasach: o zdobyciu szacunku otoczenia, harmonijnym rozwoju – w jej wypadku o statecznej karierze uniwersyteckiej – o rodzinie, dzieciach, i to wszystko w możliwie romantycznych okolicznościach, ale nie nazbyt dramatycznych, podniecających, lecz nie wulgarnych. W tamtym roku Nana skończyła studia – filologię gruzińską – i zapaliła się, idąc śladami dziadków, do badań językoznawczych. Chciała napisać pracę doktorską i owego lata, spędzając wakacje z przyjaciółkami nad Morzem Czarnym, gdzie świętowała ukończenie studiów, zastanawiała się nad wyborem tematu.

Do tej pory nigdy nie była poważnie zakochana. Kilka flirtów, jakie zdarzyły się jej podczas studiów, zakończyło się po kilku tygodniach. Nana była skupiona na nauce, bawiła się ze swymi przyjaciółkami, gotowała z matką i ciotkami i snuła plany na przyszłość. Nigdy niczego jej nie brakowało, nie brakowało jej też opiewanej wszędzie miłości. Nie była marzycielką i jeśli książka, którą czytała, wydała się jej zbyt dramatyczna albo zbyt namiętna, bez żalu ją odkładała. Nie chciała marzyć o czymś, czego i tak nigdy by nie przeżyła, a nawet jeśli, to nie tak, jak tam opisywano.

Oczywiście, była to kwestia przypadku, że spotkało się dwoje tak z gruntu różnych ludzi, jak ona i Kostia. W kawiarni hotelu, w którym oboje się zatrzymali, Nana jadła właśnie śniadanie przy stoliku z najładniejszym widokiem, kiedy Kostia, uśmiechnąwszy się miło, zapytał, czy może się dosiąść, bo nie było już wolnego miejsca. Kostia szybko nawiązał rozmowę z przyjaciółkami Nany, a one równie szybko uległy jego urokowi i erudycji. Nana zachowywała dystans, niewiele się udzielała, skupiona na jedzeniu. Tym większe więc było jej zaskoczenie, kiedy Kostia, opuszczając jadalnię, pożegnał jej przyjaciółki pocałunkiem w rękę, ale to ją spytał, czy da się zaprosić na kolację.

Zgodziła się bardziej z ciekawości niż z chęci flirtu.

Tego samego wieczoru Kostia poszedł z nią do restauracji rybnej, na którą Nana nigdy nie mogłaby sobie pozwolić. Serwowano tam schłodzone białe wino i wykwintne leszcze morskie. Kostia długo opowiadał Nanie o morzu w ogóle, a o rybach w szczególności, na końcu zaś degustowali armeński koniak. Nana, która w niczym nie chciała ustępować Kostii, dowiodła dobrej orientacji w kwestii regionalnych kultur i zwyczajów. Przechwalali się oboje swoją wiedzą i podczas tego pierwszego *rendez-vous* właściwie niczego się o sobie nie dowiedzieli. Ale pod koniec wieczoru oboje postanowili, że nadrobią to przy drugim spotkaniu.

Następnego dnia Kostia towarzyszył dziewczętom na plaży, grał z nimi w karty, zabawiał je anegdotkami, zaprosił na kawę i lody i nie odstępował ich na krok. Trzy dni później wybrał się tylko z Naną na tańce, demonstrując swe umiejętności na parkiecie. Po kilku tańcach we dwoje i paru kieliszkach schłodzonego szampana krymskiego Nana uwierzyła w coś tak nierozsądnego jak zakochanie. W drodze do hotelu dała Kostii do zrozumienia, że nie będzie miała nic przeciwko temu, by nadal ją adorował.

Spotkali się znowu w Tbilisi. Zapraszał ją do restauracji, na tańce, chodził z nią do kina i na spacer po parku. Nic nadzwyczajnego, nic obiecującego. Zdobywał ją cierpliwie, tak jak myślał, że kobiety chcą być zdobywane. Nie dotykali się, nie rozmawiali o planach na przyszłość. Na kilka dni przed końcem urlopu, kiedy zbliżał się czas rozstania, Kostia zapytał jasnowłosą, łagodną Nanę, czy zechce zostać jego żoną. Wyszli właśnie z kina, gdzie oglądali – tak przynajmniej to sobie wyobrażam – optymistyczny film o ojczyźnie. Teraz przechadzali się po wybrukowanym kocimi łbami wzgórzu Warazi. Wyraz twarzy Nany nie zmienił się, tak jakby usłyszała banalne pytanie o obejrzący przed

chwilą film. Milczała, idąc wolno obok niego.

– Niczego od ciebie nie oczekuję. Jeśli będziesz chciała zostać w Tbilisi, zostaniesz – dorzucił jeszcze Kostia.

– Ja cię prawie nie znam.

– Znasz mnie wystarczająco.

– Ani razu się nawet nie pocałowaliśmy.

– Chcesz, żebyśmy to zrobili?

Kostia wziął jej twarz w swoje ręce i pocałował ją ostrożnie w usta.

– Teraz się pocałowaliśmy – stwierdził zadowolony i pocałował ją jeszcze raz, tym razem odważniej.

Ale pocałunek ten nie przypomniawszy mu Petersburga ani spędzonych tam pełnych zapomnienia białych nocy, ani kobiety z pierścionkami na każdym palcu. Nie miał smaku śmierci.

– Powiedz po prostu „tak” – nalegał Kostia, nadal trzymając ją pod brodę.

Nana, która czuła się nieswojo z powodu tego, że pozwoliła się mężczyźnie pocałować na ulicy, zgodziła się, chcąc czym prędzej zakończyć tę scenę.

Kostia napisał do przełożonych do Bałtyjska, prosząc o zgodę na dwa dodatkowe tygodnie urlopu. Zgodę otrzymał. Skromna uroczystość weselna odbyła się w domu Kristine. Podano szpinak z pestkami granatu, marynowaną wieprzowinę pieczoną na ruszcie, baraninę w mięcie i świeże kachetyjskie wino. Stazja upiekła ogromny tort weselny z kremem ze skondensowanego mleka, a dekoracją stołu była góra winogron, gruszek, owoców kaki, fig, melonów i owoców granatu. Noc poślubną – Nana weszła w małżeństwo oczywiście jako dziewica – nowożeńcy spędzili w mieszkaniu matki Nany, które wspaniałomyślnie im odstąpiła.

Po wyjeździe Kostii Nana wprowadziła się do wielkiego domu na wzgórzu Wery. Od dzieciństwa była przyzwyczajona do towarzystwa starszych kobiet. Zdecydowanie odmówiła Kostii pojechania z nim na zimną północ i przypomniała mężowi jego słowa, że pozwoli jej zostać w Tbilisi. Zamierzała się starać o asystenturę na uniwersytecie i pisać pracę doktorską.

Tymczasem Kitty zamieszkała na obrzeżach Pragi w dziewięciometrowym pokoju. Nie dostawała żadnych listów ani ustnych poleceń. Miała z sobą tylko jedną walizkę i gitarę. I paszport na nowe nazwisko. Raz w tygodniu ktoś wsuwał pod jej drzwi kopertę. Próby odkrycia, kim jest posłaniec, spełzły na niczym. W kopercie było kilka banknotów, zawsze identyczna suma, wystarczająca, żeby kupić sobie coś do jedzenia. Kitty nigdy nie jeździła do centrum miasta, nie opuszczała swojej dzielnicy, z nikim nie rozmawiała. Kiwnięciem głowy pozdrawiała starszą panią, z którą mieszkała drzwi w drzwi.

Zgodnie z nowym paszportem nazywała się Adrienne Hinrichs i była obywatelką Luksemburga.

Miała wrażenie, że dokonała amputacji samej siebie.

Trzy razy zastanawiała się, czy się nie ujawnić – pojechać na dworzec, na lotnisko albo zgłosić się do

najbliższej siedziby urzędu bezpieczeństwa lub straży granicznej. Izolacja sprawiła, że czasami zdawało się jej, że oszaleje. W starym radiu, które było w pokoju, znalazła stację Voice of America. Słuchała jej po cichu. Nie znała wprawdzie angielskiego, ale jego melodia uspokajała ją swą obcością. Dopiero po trzech miesiącach spędzonych w takiej izolacji w cotygodniowej kopercie z pieniędzmi znalazła karteczkę bez podpisu. Następnego dnia dokładnie o trzeciej miała się stawić na rozmowę międzymiastową w dzielnicowym urzędzie pocztowym.

Kitty wcisnęła się do wąskiej, dusznej kabiny telefonicznej. W słuchawce rozległ się nieznany jej męski głos.

– Zabiorę panią stamtąd. Moim zachowaniem nie zwraca pani na siebie niczyjej uwagi, to dobrze. Bardzo dobrze. Rozumiem pani sytuację, ale musi mi pani zaufać i okazać jeszcze trochę cierpliwości. Gdy tylko będzie to możliwe, wyjedzie pani. Kiedy minie niebezpieczeństwo. Obiecuję to pani.

Mężczyzna miał miękki głos, który budził zaufanie.

– Kim pan jest?

– Jestem pani przyjacielem. Bliskim przyjacielem.

– Ale...

– Więcej nie mogę pani powiedzieć.

– Jak mogę panu zaufać? Skąd mam wiedzieć...

– Nie ma pani innego wyjścia. Co tydzień będę do pani dzwonił w tym samym czasie pod ten sam numer. Od tej pory będziemy w regularnym kontakcie. Czy starcza pani pieniędzy?

– Tak, nie potrzebuję wiele, ale...

– Proszę mi po prostu zaufać.

Dotrzymał obietnicy – dzwonił co tydzień. Zapewniał, że Kitty wkrótce opuści Pragę i pojedzie na Zachód. Uznała, że jest dobrze – była bezpieczna, nikt nie mógł jej nic zrobić, on nad nią czuwał, myślał o niej, był jej przyjacielem. Nie miała wyjścia i uznała go za przyjaciela. Jedyne przyjaciela. Ale kiedy pytała go o imię albo o to, skąd dzwoni, milkł i powtarzał, że nie może jej nic powiedzieć. Przeklinała więc swego brata, swoje życie, swój kraj, swoją przeszłość i przyszłość, ale jej rozmówca nie dawał się wyprowadzić z równowagi. Wysłuchiwał jej i nadal przemawiał do niej uspokajającym głosem.

Opowiadał jej o Gruzji. Nieważne, banalne informacje, które jednak chłonęła z wielką uwagą. Powiedział też, że jej matka i ciotka dzielnie przetrwały przesłuchania tajnych służb, a jej brat szczęśliwie się ożenił. To jeszcze bardziej uzmysławiało jej, że nie ma nic wspólnego z miastem, w którym się znalazła.

– Nikogo tu nie znam. Nie mówię tym językiem. Nigdy nigdzie nie chodzę. Umieram – powiedziała do niego po sześciu miesiącach, w jednej z kolejnych rozmów, psychicznie wyczerpana.

– Jest pani silna. Da sobie pani radę. Razem damy sobie radę. Potrzebuję pani. Nie mówię tego po to,

żeby panią pocieszyć. Naprawdę pani potrzebuję. Niedługo wyjedzie pani z tego miasta, będzie pani mogła wieść wolne życie. Obiecuję to pani. Ale pani też musi w to wierzyć. Ja sam nie dam rady. Musi mi pani pomóc. Obiecałem pani bratu, że nic się pani nie stanie. I dotrzymam słowa. Wierzę, że pani to przetrwa, bo jest pani silna, przetrwała pani gorsze rzeczy.

– Co pan o mnie wie?

– Tyle, ile trzeba.

– Proszę więc mówić mi po imieniu.

– Słucham?

– Pan nigdy nie zwraca się do mnie po imieniu. Jesteśmy dwoma istotami pozbawionymi imion. Nie mamy twarzy. Niech pan wypowie moje imię.

Nastąpiła krótka pauza. Kitty pomyślała, że mężczyzna zignoruje jej prośbę, ale usłyszała to, co chciała usłyszeć.

– Dobrze, Kitty. Wymawiam pani imię. Kitty. Kitty. Kitty. Kitty.

Jej imię brzmiało obco, jakby słyszała je po raz pierwszy, jakby wszystkie historie, które się z nim wiązały, zostawiła za sobą. Ale uchwyciła się tych pięciu liter. Chciała znowu mieć przeszłość – nieważne, jak bardzo jej nienawidziła – bo dopiero przeszłość dawała jej prawo do prawdziwego imienia. A ona chciała je odzyskać. Bardziej niż cokolwiek innego chciała mieć własne imię.

On mówił dalej i jego spokojny, aksamitny głos kołysał ją jak dziecko w ramionach, uspokajał. Otarła łzy rękawem i oparła czoło o ścianę, z całej siły przyciskając słuchawkę do ucha.

Jej izolacja miała trwać jeszcze wiele miesięcy. Kitty spędziła w Pradze prawie dwa lata. Ale od tego popołudnia, kiedy nieznajomy zwrócił się do niej po imieniu, łatwiej jej było znosić samotność. Nauczyła się kilku czeskich słów i czasami rozmawiała z dziećmi sąsiadów albo ze starszą panią z przeciwka. Ponieważ jej rozmówcy nie znali rosyjskiego, nie mogli jej zadawać niepotrzebnych pytań.

Regularnie sobie gotowała, trzy razy w tygodniu chodziła na spacer do parku, słuchała radia, postarała się o słownik języka angielskiego, żeby móc rozumieć audycje Voice of America, i ćwiczyła grę na gitarze. Choć nie była w nastroju do komponowania, próbowała doskonalić technikę. Nie wracała do wspomnień o domu, o ludziach, z którymi była kiedyś tak blisko związana, a przede wszystkim oddalała od siebie wszelkie myśli o blondynie z ustami pociągniętymi czerwoną szminką, o płonących oczach Mariam i o jej śmierci.

Czuła prawdziwą euforię, kiedy zbliżał się wtorek i szła na pocztę. Cieszyła się jak dziecko, że usłyszy jego głos.

Czasami oglądała swój paszport, wyobrażając sobie, jak by to było w Luksemburgu, co by robiła, kogo mogłaby tam kochać. Wymyślała sobie inne życie, inną biografię. Początkowo wpadała w popłoch, kiedy słyszała pukanie do drzwi albo kiedy ktoś zagadywał do niej na ulicy, pytając

o godzinę, ale w końcu się przyzwyczaiła i odpowiadała swoim ciągle jeszcze kulawym czeskim. Pewnemu polskiemu studentowi, którego poznała w parku i który chciał ją zaprosić na piwo, odmówiła, tłumacząc mu, że jest mężatką, a mąż nie aprobuje jej umawiania się z innymi mężczyznami.

Przestrzegała zasad, które narzucił jej nieznajomy. Unikała ludzkich skupisk, tramwajów i autobusów. Żyła najdyskretniej, jak mogła. Niekiedy takie życie wydawało się jej już prawie normalne. Jakby nigdy nie żyła inaczej, jakby zawsze tak było. Nawet to, że miesiącami milczała, nie rozmawiając niemal z nikim, nie wydawało jej się już takie straszne.

Nadal regularnie otrzymywała koperty. Jej jedyny przyjaciel musiał mieć wystarczająco wielu pomocników w tym mieście i jak się zdawało, postarał się, żeby nikt z administracji domu ani z urzędu do spraw obcokrajowców jej nie niepokoił.

Był to dla niej czas społecznej, emocjonalnej i artystycznej abstynencji, rodzaj sprawiedliwej kary za to, co wcześniej zdarzyło się w jej życiu.

Ale kiedy powiedziała to przez telefon swemu anonimowemu przyjacielowi, ten obruszył się, mówiąc, że widzi w tym raczej tragiczną nieuchronność losu, a nie karę.

Emigracja zaczęła się zrastać z życiem Kitty. A ciągła walka ze wspomnieniami stała się cechą jej usposobienia. Ciągłe też towarzyszył jej lęk przed snami, w których mogłaby przyjść do niej Mariam.

Mimo wszystko musiała jednak przyznać, że los oszczędził jej paranoi ostatnich lat życia Generalissimusa, która z nieoczekiwanym impetem ogarnęła jej kraj. Nie musiała patrzeć, jak członkowie partii wyrzekają się swoich żon, bo ich uśmiechy wzbudziły podejrzliwość Wodza. Jak w świadomości zbiorowej ożywa pamięć krwawych lat trzydziestych, gdy liczba ministrów bezpieczeństwa państwowego wzrosła z czterech do siedmiu, i jak organizuje się nagonki. Jak Generalissimus robi ze swych ludzi klaunów, jak stawia ich pod pręgierzem, traktuje jak parszywe psy i każe publicznie składać samokrytykę. Została jej oszczędzona wiadomość, że spiker czytający prognozy pogody został wezwany na Kreml, gdzie otrzymał ostrzeżenie, bo Generalissimusowi nie spodobała się pewna prognoza, a ludzie z jego otoczenia bali się, że zapłacą za to życiem. Nie wiedziała też, że Wódz kierował krajem już tylko ze swej daczy, a swoim ludziom kazał tańczyć i pić do utraty przytomności. Nie wiedziała, jak Chruszczow skomentował te pijackie libacje: „Gdy Wódz mówi tańcz, mądry człowiek tańczy”.

Pewnego dnia, otworzywszy kolejną białą kopertę z banknotami, znalazła w niej również list napisany na maszynie, bez podpisu.

Proszę bardzo dokładnie przeczytać poniższą instrukcję i dobrze ją zapamiętać, a potem zniszczyć. Pojedzie Pani do Londynu. Tam będzie Pani bezpieczna. W najbliższy wtorek o trzeciej wejdzie Pani jak zwykle do kabiny telefonicznej, gdzie znajdzie Pani kopertę z niezbędnymi zezwoleniami i dokumentami. Następnego dnia, w środę, pociągiem odjeżdżającym z Dworca Głównego o 14.20 pojedzie Pani do Drezna. Na peronie będzie na Panią czekał mężczyzna, który

wręczy Pani bukiet kwiatów i pocałuje Panią – Pani musi pocałunek odwzajemnić. Będzie to oficjalnie Pani narzeczony, Jan, pracujący jako inżynier w Drezdeńskiej Fabryce Pras Szybkich. Będzie mówił do Pani językiem migowym i prosił od czasu do czasu potwierdzać lub zaprzeczać ruchem głowy. Musi Pani improwizować i udawać, że zna język migowy. O tym, co dalej, Jan poinformuje Panią, gdy tylko oboje znajdziecie się w bezpiecznym miejscu. Jan będzie towarzyszył Pani w drodze przez granicę. Pojedziecie brytyjskim samochodem wojskowym do Hamburga, a stamtąd polecicie do Londynu. W podróży będzie Pani grać głuchoniemą obywatelką Luksemburga Adrienne Hinrichs.

Kitty często wymyślała sobie historię życia swojego drugiego ja i wyobrażała sobie miłości Adrienne, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że będzie głuchoniemą, choć było to zrozumiałe. Raz po raz czytała list, słysząc przy tym w głowie łagodny, budzący zaufanie głos jej przyjaciela, którego twarzy nie знаła.

Kitty przybywa do Londynu. Słynny angielski deszcz możemy pominąć, prawda, Brilko?

Na Trafalgar Square wyciąga swą brzoskwiniową dłoń w powietrze, które tu jest inne, inaczej pachnie, inaczej smakuje.

Piccadilly i nagła myśl o nożu, o krwi ciekącej z przeciętej arterii. Hyde Park i klasa w tamtej szkole. Tower Bridge i półmrok pokoju na Świętej Górze. Whitehall i głowa Andra na jej piersi oraz pomalowane na zielono ławki w małym mieście, które kiedyś obiecywało przyszłość. Downing Street i pamięć jego dotyku na jej podbrzuszu. City Hall i wspomnienia z ogrodu botanicznego. Andro, ciągle Andro.

Tamiza. Kitty stanęła, spojrzała w dół na imponującą rzekę. Czy tak smakuje wolność? Tak pachnie? Czy teraz powinna być szczęśliwa? Bo przeżyła? I co ze wszystkimi dniami, tygodniami i latami, które są przed nią? Dawno temu chciała jechać do Wiednia razem z Andrem, żeby on, ze swoim spojrzeniem introwertyka, się nie zgubił, żeby nadal mógł rzeźbić anioły i z zachwytem objaśniać jej świat, który ona już dawno przejrzała. Kiedy jej Wiedeń przepadł razem z marzeniami Andra, postanowiła nie szukać nowych światów, nowych kontynentów, nie mieć żadnych wymarzonych miast, bo kiedy przychodzi powódź, burzy zamki z piasku.

Po przyjeździe do Anglii podpaliła zapalką swój paszport i patrzyła, jak zmienia się w popiół. Adrienne Hinrichs przestała istnieć, spalona, unicestwiona, i otworzyła się droga dla Kitty Jaszi. Ale Kitty, chodząc po Londynie, nie mogła się odnaleźć. Miała teraz poczucie, że razem z Adrienne w popiół obróciły się też resztki jej samej. Koło pałacu Buckingham z oczu zaczęły jej płynąć łzy. Płakała bezgłośnie, tak jak płakały kobiety w pozbawionym łez domu na wzgórzu Wery. Jakby się nie płakało po to, żeby uwolnić się od smutku, lecz raczej oplakiwało utratę smutku. Smutku, tego normalnego stanu spadkobierczyń fabrykanta czekolady.

Koło Pałacu Świętego Jakuba Kitty po raz pierwszy poczuła coś na kształt ulgi, jakby myśl o końcu

czegoś strasznego. Spojrzała na swój pocerowany jesienny płaszcz, na brudne, znoszone buty, na wygniecioną plisowaną spódnicę, przejechała dłonią po zmierzwionych włosach, które dawno powinna była podciąć. Na tle dookolnego piękna tym boleśniej odczuła własne zaniedbanie. Chciała się schować. Nagle zatęskniła za widokiem Pragi, za dziewięcioma metrami kwadratowymi swego pokoiku. Potem rozterki szybko minęły i Kitty poszła przed siebie, podziwiając Londyn.

Była wolna.

*Tryska krew i plami podłogę.
Hołota z baru
śmierdzi wódką i cebulą.
Bezsilny, kopnięty buciorem upadam.
Jewgienij Jewtuszenko, Babi Jar,
przeł. Omir*

Kitty jechała kolejką podziemną na East End, szukając adresu, który dał jej niemiecki „narzeczony”. Pod tym adresem był ośrodek dla uchodźców. Po wypełnieniu formularzy, w których określiła się jako nieposiadająca żadnej przynależności państwowej, przydzielono jej pokój. Była tam prycza, umywalka, drążek na ubrania i radio. Długo stała pod prysznicem we wspólnej łazience, potem rzuciła się na łóżko i spała jak zabita ponad dwanaście godzin.

Obudził ją głód. Wyszła z ośrodka, w pierwszej lepszej budce kupiła rybę z frytkami i to jedzenie wydało się jej królewskie. Usiadła na krawędzi trotuaru, obserwując przechodniów i próbując rozpoznać, co czuje. Bezimienny przyjaciel nie oszukał jej. Dotrzymał obietnicy i Kitty wiedziała, że zapamięta go, kimkolwiek jest, i że nadal pragnie słuchać, jak wymawia jej imię. Pewnego dnia go odnajdzie. Zobaczy go, połączy jego twarz z głosem i mu podziękuję.

W ośrodku wystawiono jej tymczasowe dokumenty. Posłano ją do Czerwonego Krzyża po ciepłe ubrania. Zapisano na kurs angielskiego. Nie zadawano jej żadnych pytań, na które nie potrafiłaby odpowiedzieć. Uprzejme panie z opieki społecznej wskazały jej kuchnię dla ubogich, gdzie zaczęła się stołować.

Dwa tygodnie po przyjeździe Kitty do Londynu jedna z pracownic ośrodka, pochodząca z Jamajki, zatrzymała ją na schodach, mówiąc, że kuzyn prowadzi pub na East Endzie i szuka kogoś do pracy. Kuzyn nie przywiązuje wagi do papierów. Niech Kitty się z nim spotka. Mogłaby u niego zarobić trochę grosza, dopóki sprawy się nie rozstrzygną. Kitty, zaskoczona tą niespodziewaną uprzejmością, ale i niepewna, czy może zaufać tej kobiecie o dobrotliwym spojrzeniu, w barwnej chustce na głowie, stała na schodach bez ruchu, obgryzając paznokcie. Dla tamtej taka reakcja nie była najwyraźniej niczym nowym – objęła Kitty ramieniem i zaproponowała, że pójdzie z nią na tę rozmowę.

Następnego dnia Kitty pracowała już w pubie.

Bała się słów. Uprzejmego uśmiechu, do którego musiała się zmuszać, też. Poprzednie lata przyzwyczyły ją do samotności. W dużej grupie ludzi czuła panikę. W pierwszych dniach pracy w pubie często wychodziła do toalety i głęboko łąpała powietrze. Patrząc na siebie w lustrze i wycierając pot z czoła, przywoływała się do porządku. Większość gości nie zwracała na nią uwagi, nie potrzebowała jej słów, chciała tylko alkoholu. Ludzie, którzy tu wpadali, rzadko byli uśmiechnięci. Wszyscy oni – robotnicy budowlani, taksówkarze, handlarze narkotyków, kucharze, fryzjerzy, prostytutki – szukali odprężenia, rozrywki, chcieli na kilka godzin odciąć się od swojej codzienności. Wielu z nich było emigrantami. Pochodzili z Indii, Pakistanu, Maroka, Ghany, Jamajki, Kuby.

Niebawem jednak Kitty poczuła się wśród nich dobrze. Polubiła ich ochryple głosy, żarty, języki i obcy akcent, a nawet ich wulgarność. Nie patrzyli na nią ze współczuciem – byli tak samo powściągliwi, nieokrzęsani i obojętni wobec niej jak wobec swoich przyjaciół, towarzyszy i siebie samych. Mimo wszystko Kitty najbardziej lubiła chwilę, gdy zostawała w pubie sama, odstawiła stolki na stoły i szorowała podłogę, myła kieliszki i sortowała skrzynki. Gdy goście wyszli i drzwi się za nimi zamknęły, a właściciel pubu także pojechał do domu, Kitty czuła się dobrze, pewnie, wrzucała monetę do grającej szafy i słuchała głośnej muzyki, podrygując w rytm różnych piosenek.

Praca była wyczerpująca, lecz Kitty się nie skarżyła, bo potem nie miała koszmarnych snów ani sił na rozpamiętywanie przeszłości. Kiedy dostawała wolne, siedziała w swoim pokoju i grała na gitarze. Beznamiętnie, ale jednak. Oprócz pracy fizycznej gitara była najlepszym sposobem ucieczki od ciężkich myśli.

„Tak długą drogę przebyłam, szukając duchów, które miały na nas czekać. Lecz one odeszły tak jak ty, odeszły daleko. Idę więc przez miasto duchów, idę przed siebie, pytając: »Mam dalej żyć, umrzeć czy śnić, bo nie przeszedłeś tego co ja«”.

Jeśli się nie mylę, była to pierwsza piosenka, jaką Kitty napisała w Londynie. Napisała ją najpierw w swoim języku ojczystym, dopiero później piosenka została przetłumaczona i Kitty śpiewała ją po angielsku ze swoim ciężkim, obcym, trudnym do rozpoznania akcentem. Przypominam sobie, Brilko, jak wspólnie słuchałyśmy jej w aucie, tłumaczyłaś mi wtedy, że ta piosenka to przełom w twórczości Kitty. Lubię ją, lecz przede wszystkim z twojego powodu, Brilko, bo śpiewałaś ją z takim przejęciem, w zapamiętaniu. Lubię ją też, bo nie nastraja tak smutno jak większość piosenek Kitty i dlatego że jechałam wówczas z tobą zakurzonymi, ciągnącymi się w nieskończoność drogami nad morzem i byłam szczęśliwa, choć nie wiedziałam jeszcze, że to, co czułam, to było szczęście.

Miasto już od sześciu tygodni było w bożonarodzeniowej szacie. W Wigilię goście wcześniej opuścili pub. Wyglądało na to, że nawet najbiedniejsi z nich przygotowują się do świąt, że spędzą ten czas w gronie rodziny. Nawet ci, którzy mieli innych bogów i inne zwyczaje, respektowali tradycję i wstrzymywali się od picia alkoholu. Również właściciel pubu opuścił lokal wcześniej niż zwykle, położywszy na ladzie kilka dodatkowych monet i zachęciwszy Kitty, by wypić parę drinków na jego koszt. Zasłużyła na to. Potem życzył jej wesołych świąt i zostawił ją samą. Kitty się nie spieszyło. Boże Narodzenie – to święto obchodzono w jej kraju, zanim przysła na świat. Potem przestano, gdyż Boga zastąpił Generalissimus i świętowano jedynie kolejne rocznice rewolucji albo jego urodziny. Tylko jej głęboko wierząca ciotka Lida w skupieniu zapalała tego wieczoru świece i zamykała się, by się pomodlić w samotności.

Goście, jeden po drugim, wyszli z pubu, a ona szybko uporała się ze sprzątaniami, lecz nie chciała jeszcze wracać do domu. Nie czuła jeszcze zmęczenia, miasto zaś było przeraźliwie ciche i bała się

powrotu wspomnień, które mogły ją dopaść. Siadła przy barze i po chwili wahania nalała sobie szklaneczkę whisky. Nigdy jeszcze nie piła whisky. Mocny alkohol rozgrzał i przyjemnie palił gardło. Pozwoliła sobie na jeszcze jedną szklaneczkę. Alkohol, którego zabraniała sobie w dotychczasowym emigranckim życiu, zaczął działać. W Pradze nie mogłaby sobie pozwolić na takie ekscesy. Konsekwencje mogły być nieprzyjemne. Tu nie musiała się niczego obawiać, mogła się rozluźnić, zwłaszcza że była sama. Nikogo to nie obchodziło.

Czuła się odprężona i melancholia, której się obawiała, nie przyplłynęła. Przeciwnie, rozpierała ją taka radość, że mogłaby tańczyć całą noc. Zaczęła nucić jedną ze swoich piosenek, a po chwili jej głos stał się odważniejszy i śpiewała na całe gardło. Poddała się swemu głosowi, chwyciła butelkę z whisky i udawała, że ma przed sobą mikrofon. Wirowała po pubie, dając upust swemu talentowi, a w końcu przymknęła oczy i skłoniła się przed wymagowaną publicznością.

Nagle od strony ulicy usłyszała oklaski. Za oknem stała wysoka, postawna kobieta w ekstrawaganckim, modnym, czerwonym płaszczu i z entuzjazmem biła brawo. Kitty nagle otrzeźwiała i zawstydzona odstawiła butelkę na bar. Miała nadzieję, że kobieta odejdzie, ale ona nadal klaskała, a potem zapukała w szybę. Kitty nie miała innego wyjścia – musiała podejść do drzwi.

- Zamknięte – powiedziała przez uchylone drzwi.
- Cudownie pani śpiewała, cudownie. Cu-dow-nie! Niewiarygodnie! Co to był za język?
- Słabo mówię po angielsku.
- Czy to był pani język, ten, w którym pani śpiewała?
- Tak, to był gruziński.
- Och, to przecież gdzieś w Rosji.
- Nie, to w Gruzji.

Kobieta się roześmiała i na migi pokazała Kitty, że chciałyby wejść do środka.

- Ale już zamknęliśmy...
- Nie jestem wymagającym gościem.

Kitty wpuściła kobietę do pubu, znowu zapaliła światło nad ladą i postawiła przed nieznajomą szklaneczkę na podstawce. Kobieta też wybrała whisky. Miała miękkie blond włosy, które spinała z boku klamrą, symetrycznie i harmonijnie. Wszystko w niej budziło zaufanie, lecz mimo to Kitty czuła się skrupowana, wstydziła się swej nieznajomości angielskiego i była na siebie zła, że dała się jej podejść. Rozmowa z początku szła opornie, ale nieznajoma się nie zniechęciła. Przedstawiła się jako Amy, po prostu Amy. Nie *miss* Amy ani *missis* Amy. Amy wypytywała Kitty, skąd pochodzi, gdzie nauczyła się tak dobrze śpiewać i co robi w Londynie. Choć jej elegancki wygląd i wyszukany sposób mówienia – takie damy rzadko widywało się w tej okolicy – na to nie wskazywały, piła co najmniej tyle, ile stali bywalcy pubu. I ciągle kazała sobie dolewać. Kitty przestała się denerwować i też pociągała whisky.

Kiedy Amy po raz trzeci poprosiła, żeby Kitty coś zaśpiewała, ta dała za wygraną. Zaczęła śpiewać najpierw cicho, niepewnie, potem pewniej i głośniej. Były to piosenki, których nie zanuciła od dwóch lat, które jednak nadal brzęczały jej w głowie, wszędzie za nią chodziły, w jej myślach pisały się dalej, chciały być śpiewane.

Amy patrzyła na Kitty, a wyraz jej twarzy zdradzał fascynację, skupienie i szczęście. Niekiedy podnosiła w górę brwi lub zamykała oczy, chcąc się całkowicie skoncentrować.

– Może na wielu rzeczach się nie znam, ale wiem, czym jest dobra muzyka. Muzyka jest moją namiętnością i mogę pani powiedzieć, że pani piosenki są dobre, nawet bardzo dobre. Powinna pani coś z nimi zrobić.

Zanim Amy wyszła, wręczyła Kitty suty napiwek, a na podstawce pod kufel napisała swój adres i numer telefonu.

– Jeżeli będzie pani chciała rozwijać się muzycznie, proszę do mnie zadzwonić. Będę się cieszyła, mogąc pani pomóc – rzekła i podała Kitty rękę.

– Mam jeszcze jedno pytanie – odważyła się Kitty. – Dlaczego właściwie nie świętuje pani Bożego Narodzenia? Dlaczego o tym czasie jest pani tutaj?

– Jestem starą ateistką, skarbie.

Nieufność – głęboka, zasadnicza nieufność wobec innych – zakorzeniła się w Kitty. Jakby Kitty pragnęła sobie dowieść, że inni nie życzą jej dobrze, nie dotrzymują obietnic. Pełna tej nieufności na początku stycznia zadzwoniła na numer telefonu Amy i jej nieufność jeszcze się spotęgowała, kiedy Amy, słysząc jej głos, od razu entuzjastycznie zaproponowała spotkanie w swoim domu.

Kitty wsiadła do kolejki podziemnej i pojechała do Kings Cross, dzielnicy, w której dotąd nie była. Kamienny dom przy spokojnej i cichej ulicy był prosty, solidny, skryty za czarną bramą.

Kitty się zawahała. Może powinna się wycofać? Przyzwyczaiła się do East Endu. Mieszkało tam wielu takich jak ona. Tam była niezauważalna. Tu rzucał się w oczy nawet cień jej biednej postaci – zbyt duży, zbyt dziki, zbyt proletariacki w stosunku do tej ulicy, wyglądu tych domów. Zebrała się jednak na odwagę i zadzwoniła. Lakierowane na czarno drzwi ze złotą gałką otwarły się i wyszła ku niej szeroko uśmiechnięta Amy w granatowej sukni. Poczucie Kitty, że znalazła się w niewłaściwym miejscu, wzrosło, gdy przekroczyła próg domu. Spodziewała się, że Amy ma mieszkanie, a nie że jest właścicielką dwupiętrowego domu. Kitty zaprowadzono do salonu, gdzie zaproponowano jej herbatę Earl Grey i szarlotkę. Siedząc na kanapie obitej materiałem w kwiaty, czuła się jak syberyjski ptak, który zabłąkał się w tropiki. Ze wstydu, że ma na sobie używane ubranie, które dostała z Czerwonego Krzyża, skrzyżowała ręce na piersiach, jakby chciała zasłonić jego brzydotę. A kiedy do salonu weszła nieskazitelnie ubrana pokojówka, Kitty opanowała przemożną chęć ucieczki.

Lecz zachowanie pani domu nie harmonizowało z wytworną atmosferą jej rezydencji. Śmiała się zbyt

głośno i zbyt prostacko, pokazywała duże, białe zęby i różowe dziąsła, nie kontrolowała zbyt swojej mimiki. Sposób, w jaki unosiła w górę brwi, kiedy była zdziwiona, w jaki składała wargi, kiedy była czymś zachwycona, albo jak otwierała usta, gdy z emfazą wypowiadała jakieś słowo – to wszystko nie miało nic wspólnego z damą z wielkiego świata, z pokojówką i kanapą w kwiaty. Mimo drogich strojów i zapachu perfum, który przenikał wewnątrz domu, jego gospodyni była zbyt nieokrzesana, nieopanowana.

Tym razem rozmowa znowu szła z trudem, lecz Kitty, stłumiwszy deprymujące myśli, okazała się bardziej pomysłowa niż przy spotkaniu w pubie. Wyciągnęła z torebki rozpadający się słownik języka angielskiego przywieziony z Pragi, jedyną pamiątkę ze swego wygnania, i kiedy brakowało jej słowa, palcem wskazywała wyraz, którego szukała. Amy za każdym razem kiwała ze zrozumieniem głową, zachwycona, jakby to był cud, że w obu językach można znaleźć to samo słowo.

Amy urodziła się w Indiach i mieszkała tam do piętnastego roku życia. Była najmłodszym dzieckiem i jedyną córką *attaché* wojskowego i bogatej córki przedsiębiorcy. Jej ojciec niemal całe życie służył w armii brytyjskiej, z czego dwadzieścia lat jako *attaché* w Kalkucie. Amy i jej trzech starsi, ubóstwiani przez nią bracia długo nie znali żadnej innej ojczyzny. Amy mogła swobodnie wspinać się na drzewa i biegać, grać w krykieta i tarzać się w błocie, skakać na skakance i się ścigać, opowiadać brzydkie dowcipy i pokazywać język, gdy bawiła się z braćmi. Bo tylko dzięki nim mogła uniknąć straszliwego uwięzienia wśród lalek, nudnych wieczorków poetyckich, białych angielskich dziewcząt cierpiących z powodu tropikalnego klimatu, ich anemicznych marzeń oraz lekcji skrzypiec i śpiewu, które chciała fundować jej matka. Potem jednak wszyscy trzech bracia poszli do wojska, rozpaczając, że muszą porzucić to bajeczne indyjskie życie, szalone zabawy i przygody. Piętnastoletnią Amy zapakowano na statek i posłano do szkoły z internatem w Anglii. W Devonshire, w szkole dla dobrze urodzonych dziewcząt, gdzie została umieszczona, wszystko się zmieniło. Dzieciństwo pozostało jej tajemniczym ogrodem. Wspomnieniami tych cudownych chwil mogła się karmić przez całe swoje nieszczęśliwe życie. Dwóch jej braci zginęło na wojnie. Ona sama z powodu wybuchu wojny uniknęła zaaranżowanego małżeństwa i gdy skończyła szkołę, znalazła się w Londynie, niezależna finansowo dzięki znacznemu spadkowi po rodzicach.

Ona i jej jedyny pozostały przy życiu brat John od zawsze mieli wspólną pasję – muzykę. Była ona tajemnym językiem, którym w jej rodzinie porozumiewało się tylko ich dwoje. Od zawsze kochali Chopina i Schuberta, ale słuchali też owianego złą sławą jazzu, w zapamiętaniu tańczyli do prawie nieznanego jeszcze w Europie bebopu, rywalizowali z sobą, kto zna więcej utworów, kto ma lepszy słuch, kto lepiej zna historię muzyki. Ponieważ jednak byli realistami, wiedzieli, że wyrośliby na muzyków zaledwie średniego kalibru, postanowili więc zostać najlepszymi słuchaczami na świecie. W leczącym rany po bombardowaniach Londynie, powoli wracającym do dawnej świetności, Amy

chodziła na tańce, jeździła na East End i szukała nowych lokali, w których występowali najbardziej ekscytujący, najbardziej dzicy i ekstrawaganccy muzycy. Rozwinęła w sobie nieomylnie wycucie dobrej muzyki. Zaprzyjaźniała się z dziwnymi właścicielami klubów. Chodziła do lokali mieszczących się w piwnicach, do których lubiła zaglądać policja obyczajowa, nie bała się najodleglejszych zaułków i najędzniejszych mieszkań na łodziach w porcie, jeśli tam spodziewała się wytropić nieodkryty talent.

W tym czasie spędziła pierwszą noc z kobietą. Brat, któremu otwarcie powiedziała o swoich lesbijskich skłonnościach, poznał ją ze swym przyjacielem Magnusem. Magnus, powściągliwy i wrażliwy, przypominający Amy jej drugiego z kolei brata, był jedynym męskim spadkobiercą w rodzinie. Jego ojciec doszedł do pieniędzy, wielkich pieniędzy, handlując diamentami. Bardzo zależało mu na tym, żeby jego homoseksualny syn zachowywał przynajmniej pozory życia stosownego do pozycji, jaką osiągnęła ich rodzina. Wesele Amy i Magnusa przygotowano w pośpiechu, a świeżo poślubieni małżonkowie poczuli się nareszcie wolni, mogąc czynić to, na co mieli ochotę. Amy kupiła sobie dom z czerwonej cegły w londyńskiej dzielnicy King Cross, który urządziła według gustu swoich rodziców, żeby zachować pozory normalnego małżeństwa. Magnus, jeśli przebywał w Wielkiej Brytanii, większość czasu spędzał w swym wiejskim domu w Walii, który był dla niego rodzajem niedźwiedziej gawry i miłosnego gniazdka zarazem. Amy, respektując prawo męża do własnego życia, nigdy nie przekroczyła progu walijskiego domu. Żyła w Londynie. Magnus odpłacał dyskrecją za dyskrecję i nigdy nie pojawiał się w stolicy bez zapowiedzi. Był zbyt delikatny, by stawiać żonę w niezręcznej sytuacji. Obdarowywali się wzajemnie samym faktem swego istnienia, dziwnym statusem męża i żony oraz tym, czego najbardziej potrzebowali do szczęścia – wolnością.

W jednym z lokali w Soho, mieszczącym się w sąsiedztwie nielegalnych kin wyświetlających filmy porno oraz domów schadzek, Amy poznała rudowłosą czarownicę Friederike. Była to austriacka Żydówka, mało znana malarka, nosząca mieszczańskie nazwisko Lieblich, która brak sukcesów w sferze artystycznej nadrabiała nieprawdopodobnie intensywnym życiem erotycznym. Jej znajomi żartowali, że gdyby Safona żyła, zzieleniałaby z zazdrości. Za dnia niespokojna, chłodna jak kamień, bezczelna i kąśliwa, w nocy stawała się pozbawioną zahamowań, wyzywającą, chorobliwie namiętą, autentyczną erotomanką. Szeptano, że ładne kobiety powinny trzymać się od niej z daleka, bo Fred zdobędzie każdą. Ta przedziwna osoba wszystkim przysparzała kłopotów, nie miała bowiem pieniędzy ani stałego mieszkania, wpadała jak listopadowy wiatr, atakowała wściekle i zagarniała wszystko, co się dało, a potem znikła równie nagle, jak się pojawiła. Przed czarownicą należy mieć się na baczności, powtarzano.

Te wszystkie mało pochlebne pogłoski na temat rudowłosej brzmiały jednak w uszach Amy jak komplementy i kuszące obietnice. I kiedy po raz pierwszy zobaczyła tę szczupłą istotę siedzącą przy barze wśród innych gości, którzy po cichu plotkowali na jej temat, zapragnęła nawiązać z nią rozmowę.

Żeby to zaaranżować, poleciła barmanowi, by postawił przed nią najdroższą whisky, jaką podawano w tym lokalu.

Fred nie certowała się długo i dosiadła się do stolika Amy. Miała okropny niemiecki akcent, wąskie, kocie oczy, a na sobie białą męską koszulę i robocze spodnie z wysoko podwiniętymi nogawkami. Rude włosy połyskiwały ogniście w przytłumionym świetle baru i nie zwiastowały nic dobrego.

Chociaż pierwszego wieczoru Amy opuściła bar, nie odpowiadając na awanse Fred, i nie pojawiała się tam przez kilka tygodni, jej ciekawość została obudzona. Chciała się przekonać, czy osoba zwana czarownicą jest rzeczywiście tak szaloną kochanką, jak opowiadano. Bo Amy, mimo różnych doświadczeń, jakie zebrała z upływem czasu w barach, w łodziach-mieszkaniach, w klubach i na prywatnych fajfach, czuła się ciągle nieporadna w tych sprawach. Wstydziała się swych pragnień i upodobań i nigdy nie wiedziała, jak daleko może się w nich posunąć. Pojechała więc znowu do Soho i trzy kolejne wieczory spędziła, siedząc przy barze i wypijając kilka szklaneczek ginu z tonikiem, z możliwie obojętnym wyrazem twarzy. Czwartego wieczoru doczekała się wreszcie Fred. Tym razem Amy nie musiała fundować jej whisky. Fred skierowała się prosto w jej stronę i podała jej rękę. Powiedziała, że właśnie sprzedała obraz i jest przy forsie. Teraz to ona ją zaprasza i pokaże jej kilka ciekawszych miejsc niż ta spelunka.

Wyszły więc z baru i przemierzały okolicę, ciesząc się, pijąc, całując się publicznie bez skrępowania i w końcu wylądowały w domu Amy. Rudowłosa została tu przez kilka dni, obsługiwana przez pokojówkę i kucharkę, usidlana przez panią domu i adorowana jej pełnym zachwytem spojrzeniem. Potem znikła na długie tygodnie.

Chociaż Amy wiedziała, że nie może oczekiwać, by Fred była kimś innym, niż jest, czuła się wystrychnięta na dudka. Błąkała się po okolicy, wypytywała bywalców nocnych lokali o kochankę, wciskała barmanom banknoty, by zdobyć o niej jakieś informacje – daremnie. Fred była nieuchwytna. Pozwalała się znaleźć tylko wtedy, kiedy sama tego chciała – taką lekcję odebrała wówczas Amy. A gdy wreszcie po długim czasie czarownica jakby nigdy nic zapukała do drzwi kochanki, ta urządziła jej scenę, której potem się wstydziała. Nie mogła jednak wyprzeć się tego, że nikogo na świecie nie pożąda tak jak tej małej, niepozornej kobiety, która mogła przyciągnąć uwagę jedynie kolorem włosów i która nie miała kindersztuby, nie wspominając o guście albo o czymś takim jak wzgląd na innych.

Amy, jak wiele kobiet przed nią i po niej, chciała oczywiście stać się wyjątkiem wśród obiektów miłosnych Fred Lieblich. Atrakcyjnymi propozycjami, cierpliwością i wyrozumiałością, bezwarunkowym oddaniem, łagodnością, ustepliwością i pogodą ducha – Austriaczka miała skłonność do melancholii – oraz nieprawdopodobną brawurą w grze miłosnej miała nadzieję zatrzymać Fred. Miała też coś, czego brakowało jej wybrance, a od czego jest uzależniony każdy człowiek – pieniądze.

Choć fortuna nie znaczyła dla niej tak wiele, jak mogłoby się zdawać, Amy doskonale wiedziała, jaką

władzę daje pozycja mecenasa.

W ciągu kolejnych tygodni wynajęła swej kochance pomieszczenia dawnego magazynu w Soho i kazała je przekształcić na atelier, zadzwoniła do kilku przyjaciół Magnusa, miłośników sztuki, zamówiła kilka obrazów na fałszywe nazwisko i wyposażyła Fred we wszystko, czego w przeszłości dotkliwie jej brakowało. Wtedy jednak Amy jeszcze zbyt słabo znała Fred. Nie wiedziała, że kochanka od młodości doświadczała tylko niedostatku i że brak czy rezygnacja są dla niej czymś najzupełniej normalnym.

Wszystko, czego potrzebowała, zdobywała, przemierzając Soho i następnego ranka opuszczając pokoje do wynajęcia, tanie mieszkania i sutereny, za każdym razem pozostawiając w nich jakąś śpiącą, nagą kobietę. Przez krótką chwilę, dopóki tęsknota znowu nie wypędziła jej na ulicę, miała wtedy wrażenie, że posiada wszystko, co może dać świat. Kiedy kończyły się jej farby, rysowała ołówkiem na serwetce. Gdy nie miała zimowego płaszcza, brała narzutę z łóżka i okrywała się nią. Kiedy nie miała pieniędzy, by zamówić drinka w barze, dopóty wpatrywała się swymi kocimi oczyma w upatrzoną bywalczynię lokalu, dopóty ta nie zapytała, czy wszystko w porządku. Skłonienie jej, by postawiła Fred coś do picia, było już potem dziecinną igraszką.

Amy nie pozostało nic innego, jak zgodzić się na Fred taką, jaka była, razem z jej wybuchami wściekłości, poruszającymi dowodami miłości i przekleństwami. Godziła się na to wszystko, bo ciągle się łudziła, że pewnego dnia tylko ona będzie mogła nazywać Fred Lieblich swoją ukochaną. Amy wychowała się w Indiach i widziała tam rezygnację i niedostatek, sama jednak zawsze dostawała to, co chciała, a chciała Fred, tego była pewna. Chociaż i Magnus, i John, i ich przyjaciele niestrudzenie próbowali wyperswadować jej ten związek, Amy wierzyła, że stanie się swej kochance niezbędną. Pewnego dnia Fred będzie czegoś bardzo potrzebować, bardziej niż przypominających ucieczkę przygód szukanych w zapamiętaniu, bardziej nawet niż samego życia, a wtedy ona, Amy, będzie mogła jej to dać. Obojętne, co by to miało być.

Może rozdartą wewnątrz, zmęczona problemami miłosnymi Amy nie rzuciłaby się tak na oślep w znajomość z Kitty, gdyby ich poznanie nie poprzedziły dwa ważne wydarzenia: ponowne zniknięcie Fred i powrót Johna do Indii. Amy wydało się, że z wyjazdem brata utraciła dzieciństwo. Bała się samotności. Magnus był albo w podróży, albo w Walii. Żył własnym życiem. Zdarzały się dni, że Amy nie wiedziała, przy kim jest jej miejsce. Kto będzie jej przypominał dzieciństwo, któremu tak bardzo chciała pozostać wierna? Czy powinna wyjechać w ślad za bratem? Kitty wydała się Amy ostatnią deską ratunku i uchwyciła się jej z całych sił. Kitty była jej potrzebna.

Uciekinierka z Rosji, do tego jeszcze utalentowana, z pięknym głosem. Mała sensacja. Czarne szpony komunizmu upuściły Kitty w kapitalistyczną utopię. I zanim nowa zdobycz Amy stwierdzi, że ten kraj i to miasto nie są miejscem, w którym spełniają się sny nowo przybyłych, Amy musiała w tę

melancholijną i podejrzliwą istotę tchnąć własną utopię. Musiała ją otoczyć murem marzeń i obietnic – tak jak kiedyś stworzyła z braćmi ogród ze szczęścia, błota, piasku i gałązek – żeby Kitty tu została, nie roztrwonila swego talentu, nie zatekniła za ojczyznę, żeby śpiewała.

Już przy powtórnym spotkaniu Amy zaproponowała Kitty, by wprowadziła się do mieszkania na jej poddaszu, i dodała, że jej męża nigdy nie ma w domu, że najczęściej jest sama i że ma dość pieniędzy, by jej pomóc. Kiedy zauważyła, że Kitty jest zbyt dumna, by tak po prostu skorzystać z jej wspaniałomyślnego gestu, dodała: „Chętnie przedstawię cię kilku moim przyjaciołom. Wszyscy są z branży muzycznej. Jeden jest właścicielem klubu jazzowego, mogę cię tam z sobą wziąć. Chcę tylko, żeby cię posłuchali, może znajdzie się dla ciebie jakieś zajęcie. Wtedy, ale tylko wtedy będziesz mi płacić czynsz”.

Aby jednak Kitty zdecydowała się przenieść do Amy, potrzeba było trochę czasu i perswazji. Gdy wreszcie zjawiała się w domu na Kings Cross z jedną walizką i gitarą, wzruszyła się widokiem przygotowanego dla niej mieszkania na poddaszu.

Nowe łóżko, pachnące świeżą farbą regały na książki, nowe naczynia w wąskiej wnęce kuchennej, nieużywane ręczniki – to wszystko dało jej poczucie, że jest tu oczekiwana. Amy nie szczędziła starań, by odpowiednio przygotować lokum dla nowej lokatorki. Kitty usiadła na brzegu tapczanu i siedziała tak bez ruchu przez godzinę, czując wdzięczność i zdumienie wobec wielkodusznego gestu Amy, a także pewien dyskomfort, że wprowadza się do obcej osoby.

Dom Amy zaczął tętnić życiem. Wpadali przyjaciele, by podziwiać jej protegowaną, to sowieckie cudo. Wszyscy byli ciekawi, w jaki sposób Kitty uciekła, dlaczego w ogóle przyjechała do Londynu i co robiła we wcześniejszym życiu. Wyciągano mapy świata, szukano Morza Czarnego i Gruzji. Nawet Magnus pofatygował się kiedyś z Walii do Londynu, żeby przyjrzeć się nowemu odkryciu swojej żony. Wszyscy podziwiali Amy, że wyrwała Kitty z ośrodka dla uchodźców i wprowadziła ją w londyńskie wolne społeczeństwo. Kitty to rzadki okaz, powtarzali goście, a zwłaszcza Amy, wart wsparcia i podziwu. Kitty obojętnie przyjmowała hymny pochwalne wygłaszane przez Amy oraz zainteresowanie jej przyjaciół. Przydał się jej teraz talent aktorski – na oczekaniu wymyślała różne historie na temat swej ucieczki, łączyła wymysły z faktami i dostarczała gościom Amy tego, co chcieli usłyszeć.

Kiedy zdobyła już pewien rozgłos w kręgu przyjaciół Amy, zjawiała się Fred.

*Cudownie, cudownie!
Na miłość wspaniała to noc.
Oto ty, oto ja – to naprawdę cudowne!*
piosenka z musicalu *Kiss me, Kate*,
przeł. Joanna Dudzińska

Fred wynurzyła się z niebytu pewnego mglistego styczniowego wieczoru, usiadła przy stole w salonie Amy i zapytała, czy mogłaby dostać coś do zjedzenia. Amy, z jednej strony uradowana powrotem ukochanej, z drugiej zaś dotknięta zuchwałością przyjaciółki, która po prostu przysłała i nie tłumacząc się słowem z długiej nieobecności, zażądała ciepłego posiłku, pospieszyła jednak do kuchni – kucharka i służąca miały wychodne – i podała Fred obfitą kolację. Potem usiadła przy drugim końcu stołu, przyglądając się z satysfakcją, jak Fred zaspokaja głód, tak jakby ta była niejadkiem, który ku radości wszystkich nagle oświadczył, że jest głodny.

Z góry dochodziły dźwięki gitary i Fred spojrzała w kierunku sufitu.

– Nie wiesz jeszcze o mojej nowej przyjaciółce – ostrożnie zaczęła Amy.

Słowa „przyjaciółka” użyła celowo.

Fred przecząco pokręciła głową, biorąc dokładkę.

Amy z entuzjazmem zaczęła opowiadać o Kitty, uważnie obserwując reakcję Fred. Chciała wzbudzić jej zazdrość, ale wywołała tylko ciekawość. Zrezygnowała z rozwijania tematu, kiedy Fred podeszła do niej i zaczęła się do niej przytulać, szepcząc słowa, które świadczyły o tęsknocie i cierpieniu.

Niebawem obie wylądowały w sypialni Amy.

Tej nocy Kitty chodziła po głowie pewna melodia. Z nową piosenką, która nie chciała przyjść tak łatwo jak inne, męczyła się jeszcze następnego ranka. Rozgorączkowana odłożyła gitarę i zeszła na dół do Amy, żeby zasięgnąć jej rady. Amy miała fenomenalne wycucie melodii. Kitty ani przez sekundę nie wierzyła, że Amy będzie mogła jej pomóc znaleźć się na rynku muzycznym, musiała jednak przyznać, że to dzięki niej uwierzyła w swój talent.

W salonie nie było nikogo, tylko na stole stały resztki jedzenia. Kitty nie lubiła przebywać na dole pod nieobecność gospodyni, wróciła więc na górę. Nagle z parteru dobiegły wrzaski. Potem Kitty usłyszała nieznanego kobiecego głos, przekleństwa rzucane przez Amy i gwałtowne otwarcie drzwi.

– Więc rób, co chcesz, i radź sobie sama, ja nie będę twoją kucharką, to nie jest moja życiowa rola, co to, to nie!

Ktoś z impetem zatrzęsął drzwiami.

Kitty ostrożnie wychyliła się za próg swego pokoju i rzuciła okiem na dół. Zeszła po schodach i zobaczyła postać zmierzającą do salonu. Postać zatrzymała się na jej widok i podeszła bliżej z wyciągniętą na powitanie dłonią. Kitty zamarła i nie wiedziała, gdzie podziać oczy, bo nieznana kobieta była kompletnie naga.

– Ciągłe jeszcze jestem głodna. Dotrzymasz mi towarzystwa? – zapytała naga rudowłosa, weszła do

salonu i rzuciła się na resztki jedzenia. – A tak przy okazji, jestem Fred – dodała.

Kitty nie chciała być nieuprzejma. W jej ojczyźnie pozostawienie gościa samego przy stole było czymś niesłychanym. Lecz to nie była jej ojczyzna, poza tym w jej kraju goście nie chodzili nago. Niepewnie weszła do salonu, usiadła pod oknem i spoglądała przez nie na małe podwórko, żeby nie patrzeć na nagość tej kobiety.

Fred, głośno mlaskając, wytarła sobie usta, zapytała, gdzie Amy ma whisky, sama znalazła butelkę i naląła sobie szklaneczkę.

– Daj spokój. Nigdy nie widziałaś gołej kobiety? W pośpiechu nie mogłam znaleźć swojego ubrania. Jeśli pożyczysz mi tę dzianinową narzutkę, *my darling*, nie będziesz musiała dłużej znosić widoku mojego boskiego ciała.

Kitty natychmiast zdjęła narzutkę i podała ją nieznamym, nie podnosząc wzroku.

– Dziękuję. – Rudowłosa zaśmiała się i postawiła szklaneczkę z whisky dla Kitty na parapecie. – Na zdrowie!

Dopiero teraz Kitty odważyła się na nią spojrzeć. Tamta stała blisko niej, zbyt blisko. Kitty poczuła na jej skórze zapach Amy. Rudowłosa uśmiechnęła się, ale jej uśmiech był inny niż znajomy, zdawkowy uśmiech – uprzejmy odruch ludzi Zachodu. Był wesoły, lecz wesoły mimo wszystko, a nie z jakiegoś powodu. Jej zielone oczy błyszczały niezdrowo. Wąskie usta nabrały nienaturalnie czerwonej barwy, choć nie były pociągnięte szminką. Ich właścicielka robiła wrażenie kogoś, kto wiele pragnie, a mało dostaje.

Czerwone usta przypomniały Kitty ciemne mieszkanie na Świętej Górze i krew, która ciekła z rozciętej szyi. Jednym haustem wychyliła alkohol i mocno zacisnęła powieki, bojąc się, że za chwilę zacznie krzyczeć.

Ta bliskość, ten zapach, ta ręka oparta na parapecie i druga, trzymająca szklaneczkę z whisky, to wszystko było zbyt peszące.

Może nawet nie nagość wywołała u Kitty taką konsternację, lecz budząca lęk zażyłość. Ta chwila ją przerosła, była niebezpieczna, bo przed nią stał ktoś, z kim, po raz pierwszy, odkąd opuściła swój kraj i swoje życie, czuła się jak równy z równym. Ktoś, kto bez słów zachęcał ją, by nie czuła się gorsza od innych. Ktoś, kto patrząc na nią, nie chciał jej zmieniać.

Czerwone usta i czerwona suknia. Narodziny, które powinny być świętem życia, w wiernej służbie śmierci. Wałki do włosów na głowie i uczucie szarpiących torsji. Mariam, Mariam, Mariam, Mariam.

Kitty zapragnęła, by ta niepokojąca kobieta natychmiast znikła. Nienawidziła jej przewiercającego na wskroś spojrzenia. Nienawidziła jej nagości. Nienawidziła jej obecności w domu, którego spokój zapowiadał wojnę. Nienawidziła roli, jaką musiała tu grać – roli eksponatu wystawowego. Gdy tak milczały, twarz rudowłosej się zmieniła. Spoważniała, kąciki jej ust opadły, a kocie oczy zwięzły się

w szparki.

Kitty marzyła, żeby tamta sobie poszła, lecz jednocześnie w dziwny sposób pragnęła, żeby została. Chciała móc być szczerą. Chciała, żeby ta kobieta stała się dla niej jak lustro, w którym będzie mogła się przejrzeć w świetle jej bezwzględnego spojrzenia. Bez złudzeń. Bez fałszywych żądań i oczekiwań.

Życie ją oszukało czy też ona oszukała życie – wychodziło na to samo. W swoim pokoju na poddaszu, kiedy rano nasłuchiwała budzącego się miasta, Kitty zastanawiała się często, czy jeszcze jest człowiekiem. Czy jeszcze jest sens żyć. I czy te wszystkie piosenki nie są tylko marnymi próbami usprawiedliwienia swej egzystencji.

Teraz zastanawiała się nawet nad tym, czy te miesiące, ci ludzie, te ulice, miejsca i nadzieje nie były tylko snem na jawie. Może wcale nie istniały, może było tylko jej ciało, które co dzień zmuszało się, by wstawać i iść na stację kolejki podziemnej, a wszystko, czym kiedykolwiek było, co je kiedykolwiek stanowiło, umarło albo na noszach w sali lekcyjnej, albo w ciemnym mieszkaniu na Świętej Górze, albo w chwili, kiedy dotarła do niej wiadomość o śmierci Mariam.

W emigracji, zarówno fizycznej, jak i duchowej, najtrudniejsze jest chyba to, że wszystko widać prześwietlone na wylot i niczego nie można upiększyć, że trzeba przyjąć siebie takim, jakim się jest. Nie liczy się ani to, kim byłeś, ani wyobrażenie o tym, kim kiedyś będziesz.

Fred usiadła na parapecie, a jej gołe nogi dyndały w powietrzu. Miała w sobie coś głęboko infantylnego, kiedy tak siedziała i patrzyła na Kitty. Sięgnęła po butelkę whisky i dołączyła do swej towarzyszce. Dla Kitty ich fizyczna bliskość była nieprzyjemna, ale nie miała odwagi jej przerwać. Bo dzięki niej mogła po prostu oddychać, pić, milczeć i patrzeć na ten mglisty dzień. Niczego nie musiała. Rudowłosa emanowała rozbuchaną nonszalancją, która uspokoiła Kitty. Mogłaby tak siedzieć, nawet gdyby przyszło trzęsienie ziemi i dom zaczął się walić.

W chwili kiedy już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, na dole rozległ się odgłos otwieranych drzwi i usłyszała kroki Amy na korytarzu. Zerwała się i zawstydzona ruszyła do drzwi, jakby została przyłapana na czymś zakazanym. Zanim wyszła z salonu, rudowłosa rzuciła za nią narzutkę, jak gdyby odgadła myśli Kitty i grała z nią w tę grę.

Przez następne tygodnie Fred mieszkała w domu Amy. Wspólnie jadły posiłki i słuchały muzyki. Wieczorami wychodziły i wracały dopiero nad ranem. Amy wydawała się szczęśliwa i zadawała sobie wiele trudu, by wyglądać piękniej niż zwykle. Robiła wrażenie młodszej, swobodniejszej, była skłonna do żartów i gotowa zgadywać każde życzenie swej wybranki.

Kitty początkowo nie potrafiła przemóc skrupowania, kiedy prosiły, by dosiadła się do nich do stołu. Po pierwsze, dlatego że taką otwarcie demonstrowaną namiętność między kobietami uważała za coś skandalicznego, a po drugie, nie mogła zapomnieć tamtego milczącego spotkania z Fred przy oknie. Fred grała szarmancką, nadzwyczaj uprzejmą i wpatrzoną w Amy kochankę. Kiedy Kitty wchodziła do

salonu, chcąc pożyczyć od Amy jedną z jej wielu płyt, widziała ją siedzącą na kolanach Fred, zatopioną w ciepłym odurzeniu, z dłonią w jej włosach, które gładziła, albo całującą ją czule w czubek nosa. Wtedy Kitty spuszczała wzrok i powtarzając „przepraszam”, przemykała do wielkiej szafy, w której Amy trzymała kolekcję płyt, a potem czym prędzej znikiała. Amy obecność Kitty zdawała się nie przeszkadzać, przeciwnie – proponowała jej, by została i zagrała z nimi w karty albo poszła z nimi do kina. Kitty za każdym razem uprzejmie odmawiała. Po pracy wołała powłóczyć się ciemnymi uliczkami East Endu, niż wrócić do domu i towarzyszyć tej dziwnej parze.

Stało się to w dniu, w którym Kitty miała wolne. Postanowiła zostać w łóżku i wkuwać słówka do pierwszego egzaminu z angielskiego. Była podekscytowana, bo następnego dnia miał zadzwonić jej anonimowy przyjaciel. Po raz pierwszy na jej prywatny numer. Amy kazała zainstalować w jej pokoju osobny telefon. Teraz Kitty nie będzie już musiała chodzić do budki, może leżeć w łóżku i przyciskając słuchawkę do ucha, rozmawiać w ojczystym języku. Będzie cicho, intymnie, nie trzeba będzie rozglądać się wokół, sprawdzając, czy ktoś nie podsłuchuje.

W domu panowała cisza. Amy i Fred wyszły pewnie do jakiegoś wytwornego lokalu na późne śniadanie. Kitty wzięła do ręki gitarę. Zaczęła grać, przechodząc od melodii do melodii, śpiewała, cichła na chwilę i znowu zaczynała następną piosenkę.

Naraz usłyszała pukanie do drzwi. To nie mogła być Amy – ona nigdy tu nie przychodziła. Jeśli czegoś chciała, dzwoniła z dołu dzwonkiem, a ostatnio nawet wołała. Pod drzwiami musiała stać rudowłosa. Kitty spojrzała w lustro, odrzuciła włosy z twarzy, na nocną koszulę zarzuciła szlafrok.

– Mogę wejść? Nigdy jeszcze u ciebie nie byłam.

Nie czekając na odpowiedź, Fred weszła do środka. Miała na sobie białe lniane spodnie i biały podkoszulek. W bieli było jej do twarzy. Rude włosy, które kręconymi pasmami spadały z jej czoła, efektownie kontrastowały z jej ubiorem.

Rozejrzała się po pokoju. Drażek, na którym wisiało tylko kilka sukienek – Kitty wzbraniała się przed przyjmowaniem od Amy prezentów w postaci ubrań – i dwie pary wyczyszczonych, równo ustawionych obok siebie butów. Pokrowiec na gitarę. Umyte talerze ułożone do wyschnięcia na ścierce.

– Nie przerywaj sobie. Stałam już dobrą chwilę na półpiętrze i słuchałam. Naprawdę nieźle śpiewasz.

Kitty nic nie odrzekła. Przez chwilę się wahała, potem podeszła do łóżka, usiadła na nim po turecku, wzięła gitarę i zaczęła grać. Nigdy nie robiła tego z takim zaangażowaniem jak teraz, choć kiedy Amy ją prosiła, by zagrała, nie protestowała, bo jej gra była formą rewanżu za mieszkanie. Z zapamiętaniem, z przymkniętymi oczami zaczęła śpiewać po gruzińsku. Od dawna śpiew nie przynosił jej takiej radości. Stopiła się z muzyką w jedno. Kiedy otworzyła oczy, Fred klęczała przed nią. Była poważna i skupiona, wpatrzona w twarz Kitty. Nigdy nie zachowywała się tak w stosunku do Amy.

Kitty odłożyła gitarę, wyprostowała nogi i odwróciła głowę. Peszył ją gest Fred i jej natarczywe

spojrzenie.

– Wszystko w porządku? – wybąkała, próbując wstać, bo czuła, że między nimi narasta dziwne napięcie.

Rudowłosa chwyciła ją za przegub i zmusiła do pozostania na miejscu. Potem przycisnęła swój nos do nosa Kitty i tak zastygła.

Zapach rudowłosej był zupełnie neutralny. Kitty nie miała odwagi się poruszyć. Ta bliskość nie dawała ulgi, lecz przytłaczała. Brała się z wiedzy, nie z pożądania. I miała swój ciężar. Sprawiała, że kontury klęczącej kobiety się rozmazały. Kitty nie wiedziała, co powiedzieć, a przede wszystkim jak. Nawet gdyby mogły rozmawiać po gruzińsku, byłoby tak samo. Po raz pierwszy, odkąd przyjechała do Londynu, zrozumiała, że obcy język nie jest żadną barierą.

Lecz zanim zdążyła coś powiedzieć, Fred dotknęła ustami jej warg. Nie poruszała się przy tym, pocałunek był suchy i ostrożny. Jakby obie były dziewczętami, które ćwiczą całowanie z myślą o przyszłym wybranku.

Kitty ruchem ręki odsunęła od siebie Fred, potem przesunęła się na łóżku pod ścianę.

– Nie sądzę, żebym... – Kitty urwała.

Co w gruncie rzeczy chciała powiedzieć? Że to nie w porządku, że Fred ją całuje, będąc związana z Amy, która ofiarowała jej dach nad głową, czy to, że jest kobietą, co stanowi przeszkodę nie do pokonania? Czy po prostu, że czuje, iż kontakt z rudowłosą będzie dla niej fatalny, nie dlatego że tamta jest bezwstydną i pozbawioną hamulców, egocentryczną i bezwzględną, tylko że ze swymi zadrami, ranami i zagubieniem jest do niej za bardzo podobna? Nie знаła wcześniejszych losów rudowłosej i nie chciała ich znać, była jednak pewna, że w jej życiu też zdarzył się potężny wstrząs, brutalne trzęsienie ziemi, które usunęło jej grunt spod nóg.

– Jesteś mi bliska i to mnie przeraża. Zastanawiam się, dlaczego tak jest. Zastanawiam się nad tym od jakiegoś czasu i nie znajduję odpowiedzi – zaczęła nagle po niemiecku Fred.

To zaskoczyło Kitty. Niemiecki wydał się jej bliski, bliższy niż angielski. Uczyła się go w szkole. Ale nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Zrozumiałaś mnie? Rozumiesz po niemiecku?

– Nie.

– Rozumiesz. Wiesz przecież dokładnie, co powiedziałam.

– Nie.

Kitty podciągnęła nogi pod brodę i objęła je rękami. Chciała, żeby rudowłosa sobie poszła. Chciała, żeby rudowłosa została. Może właśnie w tym niezdecydowaniu, w tym rozdarciu mogła uciec od siebie. Nie myśleć o domu na Świętej Górze. Nie śpiewać o śmierci. Nie tęsknić za burzą loków Andra. Niczego nie żałować. Nie nienawidzić brata. Nie nienawidzić siebie za to, że poświęciła Mariam. Że sama

przeżyła i że późniejsze życie było tak nędzne. Nie myśleć o mamie, o ciotce, nie niepokoić się o nie ani o tych, których zostawiła. Nie mieć tylko jednego przyjaciela, w dodatku bez imienia i twarzy. Nie być tutaj. Nie być tam. Nie być sobą.

Fred usiadła koło niej na łóżku. Nie patrząc na Kitty, ujęła jej dłoń, a Kitty jej nie cofnęła. Dłoń Fred wędrowała w górę po jej rękę, ku obojczykowi, potem twarzy, w gęstwę włosów, znowu na dół, do szyi. Tym razem Fred siedziała koło niej, lecz na nią nie patrzyła. Tak było lepiej.

Ten dotyk obudził w Kitty jakąś tęsknotę. Był łatwiejszy do zniesienia niż wzrok Fred. Fred głaskała nieprzerwanie twarz i górną część ciała Kitty, jakby zaklinała tym pogańskie bogi, jakby z jej ciała chciała przepędzić lęk. Myśli odpłynęły. Kitty poczuła w sobie pustkę niosącą ulgę i zupełny spokój. Czuła tylko ostrożne muśnięcia, których głowa nie oceniała ani nie starała się rozumowo uporządkować.

Dalszy ciąg nastąpił szybko i przerażająco łatwo. Rudowłosa była w tym świetnie wyćwiczona. Wrażenie, jakie jej dłonie pozostawiały na całym ciele, miało w sobie coś kojącego. Kitty zastanawiała się, jak to możliwe. Dlaczego jej ciało nie broni się przed dotykiem obcej kobiety? Dlaczego nic się w niej nie burzy? Dlaczego poddaje się w milczeniu i bez walki? Może jej ciało sądziło, że to rytuał uzdrowienia.

Kiedy ręka Fred dotknęła łona Kitty, ta zacisnęła mocno nogi, jakby strzegła jakiejś tajemnicy, i odwróciła głowę na bok. Wszystko zmierzało do jakiegoś nieznanego jej świętowania, lecz Kitty od dawna niczego nie potrafiła świętować. Zwłaszcza niczego obcego.

– Już dobrze – powiedziała Fred i nachyliła się nad Kitty.

Ranek był parny i w pokoju panowała duchota. Z ulicy dochodziły odgłosy przejeżdżających aut.

– Mój ojciec pochodził z Wiednia. Moja matka ze Sztokholmu. Poznali się w Wiedniu. Wtedy był jeszcze studentem medycyny. Potem został psychiatrą. Mama interesowała się psychoanalizą i dlatego znalazła się w Wiedniu. Zakochała się, wyszła za niego za mąż i urodziła mnie. Wychowałam się w Wiedniu.

Fred mówiła cicho, po niemiecku, jedną rękę opierała przy głowie Kitty, drugą nieprzerwanie wędrowała wzdłuż jej blizny na podbrzuszu.

– Miałam młodszego brata. Urodził się osiem lat po mnie. Myślę, że rodzice byli szczęśliwi. Na swój sposób. Nie byli wierzący. To znaczy obchodziliśmy Chanukę i Pesach, mój brat został obrzezany, ale nic więcej. Jedyne, o co się kłócili, to Wiedeń. Mama nienawidziła tego miasta, ojciec je kochał. Ja też je kochałam, ale tylko dlatego, że nie znałam innego, a Sztokholm, gdzie odwiedzaliśmy czasem dziadków, przerażał mnie północnym chłodem.

Oddech Kitty się uspokoił. Zamknęła oczy, próbując wyobrazić sobie Wiedeń, Wiedeń nie jej i Andra, lecz Wiedeń rudowłosej, która próbowała właśnie ją objąć. Kitty nie rozumiała wszystkiego, ale pojmowała całość, umiała wyczuwać i smakować słowa, których nie znała, i w ten sposób odgadywać

ich sens. Jakby obcy język między nią i tą kobietą nie był przeszkodą. Jakby nie wolno mu było stać się przeszkodą.

– Oboje musieli być na swój sposób nieszczęśliwi, lecz ogólnie biorąc, byli bardziej szczęśliwi niż nieszczęśliwi, tak przynajmniej mi się wydaje. Może zresztą tylko chcę tak myśleć. Byli dobrymi rodzicami, kochali nas tak, jak przypuszczali, że chcemy być kochani. I nawet chyba sprawdzał się ten rodzaj zrównoważonej, opanowanej, łagodnej miłości, chyba był dla nas najlepszy.

Ręka Fred macała talię Kitty, wędrując coraz niżej. Kitty czuła, jak Fred bada dotykiem jej bliznę. Nie chciała, by Fred przestała mówić, by przestała głaskać stwardniałą skórę w miejscu szwów. Szwów założonych ręką Mariam. Mariam na zawsze zapisaną w jej ciele.

Ręka Fred znieruchomiła.

– Dobrze pamiętam, jak to się zaczęło. Jak pojawiły się te okropne żydowskie gwiazdy. Zakaz pracy dla ojca. Ataki paniki matki. Chciała wracać do Sztokholmu, przez cały czas mówiła, że chce jechać, ale ojciec powiedział, że to żadne rozwiązanie. Czuł, co nas czeka, nie miał żadnych złudzeń, ale też nie podjął próby ucieczki. Wielu jego przyjaciół zdążyło wyjechać. Gdyby nie czekał tak długo, może udałoby się i nam... Ale ojciec nie wierzył w ucieczkę. Moja matka nie mogła tego zrozumieć. Pamiętam też bardzo dokładnie, jak to było, kiedy przyszli tamci. Ich czarne mundury. Te wrzaski, karabiny. Ten ostry jak sztylet ton. Jakby mówili innym językiem, nie moim ojczystym. Dokumenty, stemple, jazdę pociągiem. Najpierw było getto w Terezynie. Tam zostaliśmy rozdzieleni, mężczyźni tu, kobiety tam. Matka nieustannie krzyczała. Brat się zsiakał, kiedy ojciec chwycił go za rękę i odciągnął od matki, wchodząc z nim w tłum ludzi. Matka błagała jakiegoś esesmana, objęła go za kolana i próbowała go pocałować w rękę, pamiętam jeszcze, jak się za nią wstydziłam, tak, nawet w tych okolicznościach, wiedziałam przecież, że chodzi o mojego brata, ale wstydziłam się, że matka tak się poniża. Błagała go, powtarzała, że syn jest jeszcze taki mały, mój Boże, powiedziała, jest taki mały, potrzebuje matki. Niczego nie pojmowałam. Nie byłam już dzieckiem, powinnam była rozumieć, ale nie rozumiałam. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co znaczy obóz pracy. Obóz koncentracyjny. Obóz, obóz, obóz. Głód sprawił, że zaczęłam rozumieć te pojęcia. Głód był drogą do zrozumienia. Tak, jestem pewna, że bez tego nieustannego głodu dalej nie docierałoby do mnie, co się dzieje.

Na chwilę zamilkła, spojrzała w okno, jakby chciała zaczerpnąć powietrza, przygotować się na to, co miała jeszcze do powiedzenia.

– Co za paradoks, że mój ojciec i brat zostali w Terezynie, a my z mamą zostałyśmy na powrót wysłane do Austrii! Matka nigdy nie chciała tam wracać. Trafiłyśmy do Mauthausen. Znasz tę miejscowość? Nie znasz, to i lepiej. Mauthausen miał kilka podobozów: obóz, gdzie więźniów zatrudniano przy pracach ziemnych, w kamieniołomie, przy wysadzaniu skał i na potrzeby przemysłu ciężkiego. Było tam też kilka burdeli. Obóz miał kategorię trzecią, to znaczy „wyniszczenie przez pracę”.

Jedyny obóz tej kategorii na terytorium Reichu. Zwożono tam asocjalnych, to znaczy uprzednio karanych, kryminalistów i ludzi uznanych za trudnych do resocjalizacji, żeby zaharowali się na śmierć. Dlaczego moją matkę i mnie zaliczono do asocjalnych, nie potrafię wyjaśnić. Matkę przydzielono do pracy w kamieniołomie. Ja początkowo miałam przejąć utrzymanie i dezynfekcję baraków służących za burdele, bo z moją wagą nie nadawałam się do ciężkich robót. Tylko te baraki były niezawszone, czyste. Chodziło o to, że korzystanie przez więźniów z burdeli miało się potem przełożyć na wydajność ich pracy. Przychodziły tam też ciągle, choć im nie było wolno, czysto niemieckie kutasy. Widziałam wszystko. Z przodu i z tyłu. Z góry i z dołu. Większość kobiet, które tam pracowały, przywieziono z Ravensbrück. Po kilku tygodniach pobytu w Mauthausen marzyły o powrocie w poprzednie miejsce. Tam przynajmniej mogły czekać na śmierć, nie przeżywając przedtem tak upadających sytuacji. Nie kazali mi nawet wychodzić, kiedy ładowali się na te kobiety. Było im obojętne, że tam jestem, że na to patrzę. Niektórym nawet o to chodziło i każdego dnia czekałam, każdego dnia liczyłam się z tym, że zawołają mnie i powiedzą: teraz ty się kładź, podciągaj koszulę, rozłóż nogi, liź moją gruchę. Myślę, że ratowały mnie przed tym spojrzenia tamtych kobiet. To brzmi głupio, wiem, ale tak właśnie myślę. Jestem pewna, zupełnie pewna. Kiedy ci faceci się do nich zabierali, odwracały ku mnie twarze, patrzyły na mnie, jakby chciały powiedzieć: robię to, żebyś ty nie musiała. Potem przyszedł Martin. Martin, czystej aryjskiej rasy, był w burdelu ulubieńcem. Bo nie lubił żadnych sztuczek, nie chciał, żeby stawały na głowie i rozkraczały nogi albo pełzały na czworakach po baraku, nie chciał, żeby rozsuwały mu pośladki ani głośno dyszały. Nie chciał takich rzeczy. Chciał się po prostu położyć, przespać z nimi, wstać i iść. Czasem obejmował którąś, jeśli go wzięło i się rozkleił. Kiedyś widziałam nawet, jak miał łzy w oczach, kiedy doszedł. Tak, ten miły Martin był sentymentalny. I przyglądał mi się. Cały czas. Od pierwszej chwili. Najpierw ukradkiem, kiedy mu się wydawało, że na niego nie patrzę, potem coraz śmieiej. A potem, kładąc się na inne, patrzył już tylko na mnie. Bałam się. Nie wiedziałam, co to znaczy. Bo nie nauczyłam się jeszcze czytać w jego wzroku. Inni patrzyli na mnie, żeby urosnąć we własnych oczach. I żeby się przekonać, do jakiej perwersji są zdolni. Chcieli potwierdzenia. A ja nauczyłam się im je dawać. Nauczyłam się tak na nich patrzeć, żeby myśleli, że ich podziwiam. Nauczyłam się tłumić współczucie dla kobiet i trzymałam sztamę z mężczyznami. Z mordercami, gwałcicielami, sadystami, masochistami, chorymi i impotentami. Patrzyłam na nich i dawałam im do zrozumienia, że jestem zafascynowana ich niepohamowaną, chorą żądzą. Uczyłam się tego. W miarę upływu czasu stawało się to coraz łatwiejsze. Ale Martin był inny. Jego spojrzenia były inne. Nie wiedziałam, co zapowiadają.

Fred zamilkła na chwilę.

– Czasami patrzył na mnie z lękiem, jakby bał się mnie i mojej obecności, czasami patrzył na mnie tak samo pożądlwie jak inni, tym samym obłąkanym, mętłym wzrokiem. Niekiedy zdawało mi się nawet, że odczytuję w jego oczach wołanie o pomoc, jakby chciał, żebym podeszła do niego, wzięła jego

rewolwer i uwolniła go od niego samego. Byłyśmy w obozie od czterech miesięcy i dwunastu dni, kiedy po raz pierwszy się do mnie odezwał. Przyszedł wczesnym rankiem, gdy zaczynałam służbę i byłam sama. Stał nagle przede mną, jakby wyrósł spod ziemi, i zapytał, czy jestem dziewicą. Skinęłam głową. Nie wiedziałam, czy to dla mnie wyrok śmierci, czy bilet na wolność. Uśmiechnął się i zapytał, czy jestem gotowa z nim pójść. Usta rozszerzyły mu się w uśmiechu. Nachylił się do mnie. Na jego patce widniała trupia czaszka. Nigdy bym nie pomyślała, że ten normalny Martin do nich należy. Powiedział, że został przydzielony do dozoru obozu pracy w Wiener Neustadt. Więźniowie pracowali tam w wielkich zakładach przemysłu zbrojeniowego Raxwerke nad raketami V-2. Powiedział mi, że może mnie z sobą zabrać, że nie będę musiała tak ciężko harować. Będę jego protegowaną. I będę miała własny pokój i dosyć jedzenia. A nocą będzie do mnie przychodził. Ale tylko on. Nikogo innego nie będę poza tym musiała... Jego znajomy złapał ciężką chorobę weneryczną, on nie może sobie na to pozwolić, higiena w tym obozie to katastrofa, a ja jestem tak piękna i...

Teraz Kitty objęła mocno Fred za szyję. Nachyliła jej głowę i pocałowała ją. Jak małą opasała nogami talię Fred i przywarła do niej. Fred nie mogła jednak przestać opowiadać, jakby słowa płynęły same, bez udziału woli.

– Zgodziłam się. Ale powiedziałam, że nie pojedę z nim sama. Widziałam, że moja matka niknie w oczach, każdego dnia jest jej mniej, wiedziałam, że długo nie pociągnie. Przez chwilę był wściekły i myślałam, że przepadłam. Najpierw mnie obsobaczył, nazwał niewdzięczną dziwką, żydowską świnią, ale potem się uspokoił i jakby nigdy nic powiedział, że sprawdzi, co da się zrobić. I zanim odszedł, jeszcze raz spytał, czy jestem pewna swego dziewictwa. Czy na pewno z nikim się nie zadawałam. Przysięgłam, że może być spokojny. Dotrzymał obietnicy. Zamieszkałyśmy w barakach na zewnątrz obozu. Moja matka i ja. Matka dokładnie wiedziała, jaką cenę będę za to płacić, ale nie rozmawiałyśmy o tym. Tylko nocami, kiedy nie było mojego esesmana, przychodziła do mnie, gładziła mnie po rękach i całowała w skronie. Każdej nocy, kiedy na mnie leżał, tak lubił najbardziej, zapewniał, że mnie kocha. I czasem nawet płakał, jak już doszedł. Mówił mi, że musimy być razem, bez względu na wszystko. Że nie mógłby mi kazać odejść. Że musi ze mną zostać. Kiedy alianci zaczęli bombardowania, zapakował nas do swego samochodu. Pojechaliśmy do Wiednia, pamiętam, jak moja matka zwymiotowała, kiedy znaleźliśmy się w Szóstej Dzielnicy, tam, gdzie dawniej mieszkaliśmy, mój ojciec, brat, ona i ja. Martin wściekł się i zaczął ją przeklinać. Teraz myślę, że zawsze trochę się jej bał, może czasem nachodziła go myśl, że któregoś razu matka wbije mu nóż w plecy, kiedy na mnie leżał. Musiałyśmy siedzieć w aucie i czekać. On specjalnie na tę podróż zorganizował nam cywilne ubrania. Codzienne. Normalne. Tak, można było nas wziąć za zwykłą rodzinę. Niektórym mogło się nawet wydawać, że jesteśmy kochającym się rodzeństwem, które podróżuje z matką. Dwa dni spędziłyśmy z matką ukryte w pustym budynku towarzystwa ubezpieczeniowego. Potem Martin zawiózł nas do Mödling, dziury zabitej

dechami niedaleko Wiednia, do opuszczonego gospodarstwa chłopskiego. Nie miałyśmy nic do jedzenia, ale pojawiła się nadzieja. On wrócił do Wiednia. Miasto było bombardowane i potrzebna była każda para rąk, żeby zabezpieczać składy materiałów wybuchowych. Nawet wtedy, kiedy już się mówiło, że czerwoni zajęli Neustadt i że to tylko kwestia czasu i Wiedeń dostanie się w ręce aliantów, przyjechał i położył się na mnie. Nadal mówił o wspólnej przyszłości w Niemczech. I że mnie kocha. Gdzieś w głębi ciągle jeszcze czułam strach, że zastrzeli nas obie jak dwie sztuki bydła. Żeby zatrzeć ślady. I wtedy mu powiedziałam. Powiedziałam, że go Kocham i że cieszę się na myśl o naszej przyszłości. Tak, tak mu powiedziałam. W obecności mojej matki. Pamiętam, jak matka zeszywniała, ale ja musiałam tak powiedzieć, bo się bałam, że w tych ostatnich dniach nie ujdziemy z życiem z tego piekła. Pocałował mnie, zanim odjechał, i obiecał, że wróci w ciągu tygodnia i zawiezie nas do Niemiec. Zyskałam kilka dni, żeby przygotować ucieczkę i dostać się do czerwonych albo do aliantów. Nie wiem, czy potem jeszcze przyjechał. Uciekłam. Mój ojciec i brat nie wrócili. Obaj umarli w obozie koncentracyjnym. Ojciec na tyfus, a brat z głodu. Moja matka...

Fred nagle urwała, jakby skończył się jej zasób słów. Ukryła twarz na szyi Kitty i posikała się. Kitty chciała, żeby Fred mówiła dalej, zachęcała ją, błagała, ale Fred nie powiedziała już ani słowa.

Miłość była sączącą się powoli trucizną, była podstępna i fałszywa, była zasłoną rzuconą na nędzę świata, była lepka i ciężka, miłość była lustrem, w którym można było zobaczyć, kim się nie było, miłość była zjawą, która dawała nadzieję temu, komu jej od dawna brakowało, była schronieniem, gdy chciało się znaleźć ucieczkę, a znajdowało tylko siebie samego, była niejasnym wspomnieniem innej miłości, możliwością ratunku podobną na końcu do bezlitosnego ciosu, była wojną bez zwycięzców, cennym klejnotem wśród rozbitych skorup, o które się kaleczyło, tak, w tamtym czasie miłość tym właśnie była, Brilko.

Kitty poczuła, że słowa Fred budzą ją jak pocałunki z trującego snu, że w objęciach trzyma ją ktoś, komu drżą powieki, a po policzkach spływają czarne łzy, ktoś, kto ma w sobie natarczywość istoty ocalonej z zagłady.

Szare światło ostatniego dnia lutego przebijało się przez cienkie zasłony. Fred wstała i przeciągnęła się, poruszyła nogami i ramionami. Jej skóra była przezroczytobiała. Tu i tam uwidaczniały się niebieskie żyłki. Trójkąt na podbrzuszu prowokacyjnie rudział. Zadowolona, przymknęła oczy i wyciągnęła się w świetle dnia.

W tej nagości jej ciało wydało się raptem zaskakująco kruche. Kitty utrzymywała je sobie w pamięci, lecz ono nie chciało jej niczego zdradzić, niczego powiedzieć, jakby wszystko, co ważne, zachowywało dla siebie, jakby chciało być tylko ciałem, wolnym ciałem, bez rozpoznawalnej historii, po prostu białym ciałem kobiety. Nic w nim nie wydawało się wulgarnie ani kuszące, wyczerpane poranną miłością. Kitty nie była w stanie sobie wyobrazić, że jeszcze przed kilkoma minutami go pożądała. Ukryła twarz

w poduszce.

W komisariacie marynarki wojennej w Moskwie odbywała się tajna konferencja na temat budowy pierwszej łodzi podwodnej z napędem nuklearnym, o wzniosłej nazwie Leninowski Komsomoł. Pod koniec konferencji na zastępcę szefa tego przedsięwzięcia wybrano kapitana marynarki Konstantina Jasziego. Ten z dumą podpisał dokument zobowiązujący go do przestrzegania tajemnicy i z pozostałymi przedstawicielami marynarki oraz naukowcami udał się na ekskluzywną kolację.

W tym samym czasie Generalissimus wraz ze świtą siedział we wspaniale urządzonej sali kinowej Kremla i jak zwykle zmuszał swoich ludzi do oglądania swych ulubionych amerykańskich westernów lub komedii.

W ostatnich latach jego paranoja osiągnęła niewyobrażalny wręcz wymiar. Samowola, z jaką uderzał w otoczenie niczym smok niepanujący nad ogniem, którym zionie, przerażała i przypominała jego potworne okrucieństwa z lat trzydziestych. Tylko na krótko przerwała je wojna, a teraz się odradzały. Zmieniał decyzje z godziny na godzinę, a jego czołowi dowódcy z dnia na dzień popadali w niełaskę. W dacy w Kuncewie, wsi leżącej na zachodnich peryferiach Moskwy, upokarzał swoich ministrów, kazał im tańczyć i żreć, aż robiło im się niedobrze, i pić aż do wymiotów. Nastrój na Kremlu, a przez to w całym kraju, zależał teraz od tego, w jaki sposób Wódz palił fajkę: jeśli pykał zgasłą fajkę, oznaczało to rychłe aresztowania i egzekucje, jeśli tylko trzymał fajkę w ręce, ale jej nie palił, nadchodził wybuch furii i spadała głowa kogoś z dworaków. Jeśli drapał się fajką po wąsach, to wtedy – ale tylko wtedy – była to zapowiedź dobrego dnia. Odrzucenie zaproszenia na pijacką orgię w dacy Wodza, a tym bardziej nieotrzymanie na nią zaproszenia, znaczyło zbliżające się aresztowanie, deportację albo rozstrzelanie.

Nawet Mały Wielki Człowiek popadł w niełaskę. Został właśnie zdjęty ze stanowiska pierwszego sekretarza partii w Gruzji, jego popleczników aresztowano i z rozkazu Generalissimusa sam miał wytoczyć sobie śledztwo. Wszystko wskazywało na to, że Ojciec Narodu zamierzał położyć kres jego hegemonii w ich wspólnej ojczyźnie.

Po projekcji filmu Wódz w towarzystwie Małego Wielkiego Człowieka i trzech innych wysokich rangą współpracowników pojechał do Kuncewa. W jego dacy czekał już wystawny gruziński zimny bufet oraz obfitość gruzińskiego wina. W trakcie wieczoru rozmawiali o tak zwanym spisku lekarzy – Generalissimus kazał aresztować najważniejszych lekarzy w kraju, wśród nich lekarzy kremlofskich. Większości postawiono zarzut, że jako Żydzi są amerykańskimi agentami planującymi na niego zamach.

Obsługę dacy Wódz zwolnił dopiero około czwartej nad ranem. Pozwolił jej się nawet trochę przespać. Kiedy jednak koło południa się nie pokazał, obsługa się zaniepokoiła. Nikt jednak nie odważył się go budzić, bo za zakłócenie mu spokoju można było zapłacić głową. Dopiero wieczorem porucznik ochrony wszedł do jego pokoju, w którym Wódz sypiał na różowej sofie. Uspokojony odetchnął, bo

Generalissimus był w normalnym stanie umysłu, wydał mu polecenia i nakazał przywieźć pocztę z Kremla. Kiedy porucznik przywiózł pocztę około dziesiątej wieczorem, znalazł Generalissimusa leżącego w piżamie na podłodze, przytomnego, lecz już niezdolnego mówić. I posikanego.

Ochrona przeniosła go do obszernej jadalni, by miał więcej powietrza, i o tym, co zaszło, powiadomiła telefonicznie kilku najbliższych współpracowników Wodza. Ci jednak nie potrafili zdecydować, kto w tej sytuacji ma przejąć dowodzenie. Generalissimus nie wydał żadnych dyspozycji na taką okoliczność. Powiadomieni zostali Mały Wielki Człowiek, Chruszczow i Malenkow – szacowna trójca. Ale Mały Wielki Człowiek był początkowo nieosiągalny, a z jaką damą właśnie spędzał czas, nikt nie wiedział. Kiedy wreszcie zameldował się telefonicznie, rozkazał ochronie, by ta nikogo więcej nie informowała o tym, co się stało. O północy do Kuncewa przybyli Chruszczow, Bułganin i Malenkow. Nie wchodząc nawet do Wodza, powiedzieli personelowi, że Generalissimus jest po prostu pijany i nie należy mu się w tym przykrym stanie naprzykrzać, po czym opuścili daczę.

Później, dopiero wczesnym rankiem, zjawił się Mały Wielki Człowiek. Zwymyślał ochronę. To bezczelność szerzyć taką panikę. Wódz chrapie, to prawda, ale przecież wszystko poza tym jest w porządku. Lecz personel daczy nie dał się uspokoić. Ubłagał Wielkiego Małego Człowieka, aby zawezwać lekarza. Ludzie z obsługi zaklinali się, że nie jest to normalny stan ich szefa.

Zaczęto się zastanawiać, którego lekarza wezwać. Wszyscy najwybitniejsi siedzieli w areszcie, lekarza Żyda tak czy inaczej wezwać nie uchodziło, a w grę wchodził tylko lekarz z tytułem profesora. O siódmej rano do Kuncewa przywieziono kilku profesorów medycyny. Podczas badania chorego ich ręce podobno tak drżały, że nie mogli zmierzyć mu pulsu. Żaden z nich nie wiedział, czy wyjdzie stamtąd żywy. Tego samego ranka konsylium lekarskie ogłosiło diagnozę przed zgromadzonym Biurem Politycznym: wylew spowodowany pęknięciem tętnicy w lewej połowie mózgu. Stan nadzwyczaj poważny.

Ulga, lęk czy bezradność zapanowały wśród zebranych? Tak dawno zrzekli się własnej woli, własnych przekonań, nawet własnych uczuć, że teraz siedzieli jak marionetki opuszczone przez poruszającego nimi Wielkiego Animatora.

Mały Wielki Człowiek sam mianował się wtedy osobą wydającą polecenia. Chciał zyskać na czasie przed nadchodzącą walką o władzę, chociaż oficjalnie prosił lekarzy, by przedsięwzięli wszystko, co w ich mocy, żeby ratować Wodza. Dwóch ludzi z jego osobistej ochrony pilnowało łoża chorego, uznał bowiem, że w ten sposób najlepiej będzie mógł kontrolować sytuację. Dla wszystkich pozostałych stało się jasne, że po wielu latach mąk, strachu, gróźb i upokorzeń ze strony Generalissimusa Mały Wielki Człowiek zdecydował, że nadszedł jego czas, by przejąć ster władzy.

Po pięciu dniach agonii morderca wielu milionów ludzi, otoczony płaczącą świtą sługusów i triumfującym jeszcze chwilowo Małym Wielkim Człowiekiem, odszedł do wieczności.

Pogrzeb, jaki mu zorganizowano, wzbudziłby jego aprobatę. Nawet jako zmarły posiadał władzę uśmiercania ludzi: podczas uroczystości pogrzebowych 9 marca 1953 roku na placu Czerwonym straciły życie, zdeptane lub uduszone w tłumie, setki żałobników.

Jednak nawet więźniowie obozów, którym ten nieżyjący już imperator zniszczył życie i zrabował przyszłość, których uczynił niewolnikami i podludźmi, a ich rodziny unicestwił, w najgłębszej rozpaczycy bili głową w kraty i druty kolczaste.

Pomiędzy Camden High Street a Arlington Road Kitty głośno się roześmiała. Dopiero co rozmawiała przez telefon ze swym nieznanym przyjacielem. Przedstawiła mu swoje plany na przyszłość, w których zrealizowaniu miała jej pomóc Amy.

– Jeśli dziennikarze będą się panią interesować, wolno pani opowiadać prasie, co się pani żywnie podoba, lecz ani słowa o tym, w jaki sposób dostała się pani do Anglii ani w jakim mieście pani wcześniej mieszkała. To chyba oczywiste – powiedział spokojnie człowiek bez imienia.

– Oczywiście, obiecuję – odrzekła Kitty. – Nie chciałabym, żeby miał pan jakieś kłopoty, dlatego chciałam się upewnić... Pan tyle dla mnie zrobił.

– Nie naraziłaby mnie pani na żadne niebezpieczeństwo. Ale proszę uważać na siebie. I gdyby ktoś z pani kraju chciał z panią nawiązać kontakt...

– Wtedy się nie zgodzę, tak, zrozumiałam.

– Pani głos brzmi dziwnie radośnie w tak brzemiennym dniu.

– Brzemiennym dniu?

– To pani nic nie wie? Radio w Londynie od rana nadaje tę informację i pełno o tym w gazetach.

– O czym?

– Hm... Nasz kraj pogrążył się w głębokim smutku.

– Niechże pan wreszcie powie!

– Generalissimus nie żyje.

Kitty zamarła. Jej usta powtórzyły bezgłośnie to zdanie. Słowa roztapiały się na języku: „Generalissimus nie żyje!”.

– Pan naprawdę jest moim aniołem – powiedziała nagle Kitty. Po drugiej stronie słuchawki wyczuła lekką konsternację i usłyszała chrząknięcie. Człowiek, do którego należał ten głos, najwyraźniej tłumił śmiech. – Pan zawsze ma dla mnie fantastyczne wiadomości!

Ostatnie zdanie Kitty brzmiało jak okrzyk.

– Czegoś takiego nie wolno mi słuchać, odkładam słuchawkę i do usłyszenia za dwa tygodnie o tej samej porze.

– Świetnie, dziękuję panu!

Kitty wybiegła na ulicę i zaczęła śpiewać na głos, podskakując, tańcząc, kręcąc piruety, śmiejąc się do

ludzi i klaszcząc w dłonie.

Zacząła sobie przypominać nazwiska ofiar Wodza. Najpierw słynnych artystów, naukowców, inżynierów, prawników. Potem rodziców oraz dziadków kolegów i koleżanek z klasy, lekarzy, którzy pewnego dnia nie pojawili się w pracy, wykładowców i nauczycieli, którzy nagle znikli. Przypomniła też sobie przyjaciół matki i ciotki – ludzi, którym odebrano męża, syna, żonę, matkę, ojca. Lista nazwisk nie miała końca. Nie starczyło długiej Arlington Road, żeby mogła wyliczyć tych, którzy przyszli jej na myśl, a chcąc wymienić ich wszystkich, musiałaby chodzić jeszcze bocznymi ulicami. Na końcu, gdy doszła do dworca, powiedziała na głos:

– Ramas, Sopio, Andro.

Po długiej przerwie dorzuciła szeptem:

– Mariam. I mój syn.

Jeszcze tego samego dnia Kitty w towarzystwie Amy, swojej protektorki, a teraz również tłumaczki, poszła do radia udzielić wywiadu. Zaśpiewała przy tym jedną ze swoich najnowszych piosenek. O twardym losie radzieckiej artystki i uchodźcy. Śpiewała po gruzińsku. Niedługo potem otrzymała propozycję śpiewania dwa razy w tygodniu w klubie jazzowym w Soho, co przyjęła z radością.

Kiedy stenogram jej wywiadu dotarł na Łubiankę, rosyjskie tajne służby zawezwały Konstantina Jaszego, który po długim przesłuchaniu złożył oświadczenie na piśmie, że nie ma zamiaru nawiązywać ze swoją przebywającą za granicą siostrą żadnego kontaktu i oficjalnie się od niej odcina, więcej – uznaje ją za zdrajczynię ojczyzny.

Przygnębienie, smutek i obawy panujące w całym kraju po śmierci Ojca Narodu udzieliły się też Nanie. Niepewnym krokiem szła na wzgórze do domu Kristine, żeby wyjawic długo ukrywaną wiadomość: spodziewa się dziecka. Trudno byłoby zresztą trzymać to dłużej w tajemnicy, bo jej brzuch się powiększał. A im bardziej się powiększał, tym większy lęk czuła przed czekającym ją macierzyństwem. Wiadomość o ciąży, którą usłyszała od lekarza krótko po wyjeździe Kostii, zagroziła jej planom, bo właśnie obiecano jej asystenturę na wydziale lingwistyki.

Wszyscy wokoło wydawali się o wiele bardziej niż ona sama zachwyceni tym, że wyszła za Kostię. Nana nie doświadczała specjalnych emocji. Sama chciałaby czuć się bardziej podniecona, trochę bardziej nierozsądna. Ale nie dostrzegała w sobie żadnych istotnych zmian. Była taka jak dawniej, tyle że wprowadziła się do innego domu. Każdy się o nią troszczył, każdy miał dla niej gotowe rady, jak być dobrą żoną. A ona rozglądała się wokół siebie dużymi niebieskimi oczami i zwyczajnie nie rozumiała, co tak niezwykle jest w małżeństwie. Krótki czas, jaki spędziła z Kostią, nie wystarczył, żeby się upewnić co do siebie nawzajem, żeby wiedzieć, czy się naprawdę kocha.

Wiadomość o ciąży nasiliła tylko jej wątpliwości na temat tego, co wszyscy nazywali małżeństwem i miłością. O tym, że jest w ciąży, nie powiedziała ani przyjaciółkom, ani rodzinie, ani nawet Kostii. Pochłaniając literaturę fachową w dawnym pokoju Kitty, zadawała sobie pytanie, czy wystarczająco dobrze zna swego męża, czy w ogóle wie, dokąd on zmierza. I czy kiedykolwiek będzie mogła mu towarzyszyć na jego drodze.

Drzwi otworzyła jej Stazja.

– Zapomniałaś klucza? – spytała zdziwiona.

– Nie, ale muszę wam coś powiedzieć. Jest Kristine?

Poszły do kuchni, gdzie Kristine przygotowywała kolację. Nana, która mimo wszystkich tygodni wspólnego życia nie wrosła naprawdę w tę rodzinę, wypięła brzuch i zapytała:

– No i co, widzicie coś?

– Chyba nie sądzisz, że zauważyliśmy dopiero teraz – odparła Kristine z łobuzerskim uśmiechem i pokręciła głową.

Nana, nieco rozczarowana, że niespodzianka się nie udała, zaśmiała się kokieteryjnie.

– Od jak dawna się domyślałyście?

– Wiedziałyśmy to chyba wcześniej niż ty. W końcu to już chyba piąty miesiąc?

– To dlaczego nie zapytałyście wprost? Moja matka w takiej sytuacji zasypałaby mnie pytaniami.

– Ona też wie. Wszystkie jesteśmy kobietami, kochaneczko. Coś takiego trudno ukryć.

– Czy mogę cię o coś zapytać? – odezwała się nagle Stazja, patrząc na powolne, rozważne ruchy

Kristine, ostrożnie krojącej chleb i delikatnie rozsmarowującej na nim masło. – Czego ty się boisz?

– Ja? Boję się? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Boisz się, a ja chciałabym wiedzieć czego. Dlaczego chowasz się przed światem? I chowasz swoje dziecko.

– Chowam się...

Nana nie dokończyła.

Tej samej nocy, kiedy Stazja już się położyła, Kristine ugotowała dla żony swego siostrzeńca gorącą czekoladę, żeby ją pocieszyć. „Czekolada odeгна jej lęki”, pomyślała. Stazja wcześniej wielokrotnie próbowała uświadomić Kristine, że za wypicie tego napoju płaci się potem wysoką cenę, lecz ta ją wyśmiała, mówiąc, że to zabobonne i naiwne gadanie.

Po raz pierwszy w życiu Nana skosztowała tej nocy gorącej czekolady według pilnie strzeżonej receptury mego prapradziadka i doświadczyła odurzającego, potężnego, dziwnego szczęścia, żywej, czystej radości, poczucia jedności z otaczającym światem. Ze światem, w którym gdzieś nad zimnym morzem czeka na nią kochający mąż, światem, w którym będzie można zapewnić mającemu przyjść na świat dziecku piękne, szczęśliwe, bezpieczne życie.

Następnego dnia telefonicznie powiadomiono Kostię, że wkrótce zostanie ojcem. Niemile zaskoczenie, że dopiero teraz się o tym dowiaduje, szybko ustąpiło radości. Nanę, jak mówią rodzinne przekazy, otaczała cała armia kobiet, która nie spuszczała jej z oka do 26 czerwca 1953 roku, to jest do dnia narodzin mojej matki. Uprzykrzały jej życie świeżymi jabłkami, kleikiem kukurydzianym, zupami na jogurcie, rosołem z kury, przejrzałymi śliwkami i mnóstwem dobrych rad.

Pewnego ranka Kristine siedziała w ogrodzie z gazetą i nagle zobaczyła w niej zdjęcie. Jego zdjęcie. Na całą stronę. Gazeta wypadła jej z rąk, ale zdjęcie nadal przykuwało wzrok. Było tak, jakby czas się cofnął. Jakby był to jeden z tamtych dni, kiedy czarne bugatti przyjeżdżało po nią na wzgórze Wery. I kiedy żyła w ciągłym strachu, że Ramas niezapowiedzianie wróci do domu.

Żeby odsunąć od siebie natarczywe wspomnienia, wypła duszkiem kawę i wciągnęła w płuca zapach bzu, wszechobecny w mieście o tej porze roku. Jednak nawet bujność natury, która w maju przepięknie odmieniała Tbilisi, nie mogła uratować tego dnia. Kristine sięgnęła po gazetę i zagłębiła się w artykuł zamieszczony pod zdjęciem. Wynikało z niego, że Mały Wielki Człowiek wydaje huczne przyjęcie w najbliższą niedzielę w swojej królewskiej willi na ulicy Maczabeli.

Najwidoczniej zamierzał świętować swój powrót i świetlaną przyszłość. Widział się na drodze ku szczytom władzy. I rzeczywiście, wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że wkrótce zostanie mianowany kolejnym czerwonym władcą radzieckiego imperium. Był wicepremierem, ministrem spraw wewnętrznych, człowiekiem, któremu udało się połączyć Ministerstwo Spraw Wewnętrznych z tajnymi

służbami, miał nawet tytuł marszałka, optował za radziecką bombą atomową i został przyjęty do elitarnego grona członków Komitetu Centralnego. Tak, wszystko wskazywało na to, że wielki Gruzin ustąpił miejsca małemu Gruzinowi, pozostawiając mu w spadku imperium.

Kristine znowu utkwiała wzrok w jego zdjęciu. Rysy i wyraz twarzy, oczy, spojrzenie – to wszystko było tak przerażająco znajome. Zastanawiała się, po ile kobiet podobnych do niej sięgnął, rozgniół na miazgę i wypluł. Próbowwała wyobrazić sobie nowe piękności u jego boku. Przypomniła sobie jego ostatni list, w którym dał jej nadzieję na powrót Andra. Przypomniła sobie swój strach przed tym niepodpisanym listem i to, że potrzebowała sporo czasu, żeby go otworzyć. Przypomniła sobie róże, które przysyłał jej codziennie przez rok, kiedy była przykuta do łóżka i nie mogła spojrzeć w lustro, i to, że Stazja gotowała jej czekoladę... Gorąca czekolada! Na jej twarzy pojawił się szyderczy grymas.

Podniosła gazetę i przycisnęła ją do piersi stroną, na której widniała jego twarz. Jak mała dziewczynka, która dostała nową lalkę i nie wie, czy ją zatrzymać, czy cisnąć nią o ścianę.

Wypuściła gazetę z rąk i wbiegła do domu. Zeszła do piwnicy, gdzie wcześniej stały luksusowe wina Ramasa, a teraz w starych pudłach poniewierały się niepotrzebne rzeczy, stare ubrania i porzucone wspomnienia. Zaczęła otwierać i przeszukiwać pudła, przekopywać góry zakurzonych rzeczy i w końcu znalazła to, czego szukała.

Zbliżając się do czterdziestego szóstego roku życia, może miała za sobą czas rozkwitu, ale wiedziała, jak oszukać czas i w najlepszym świetle pokazać swą połowiczną urodę. Z turkusową, jedwabną suknią w rękach poszła na górę do swego pokoju. Tam, oglądając suknię pod światło, znalazła w delikatnym materiale wszystkie ubytki i zabrała się do pracy. Małe dziurki wygryzione przez mole mógł wypełnić piękny haft, a lśniąca barwę sukni mogło przywrócić pranie z niewielkim dodatkiem barwnika. Najważniejsze, że nie zmieniła się jej figura.

Rozebrała się i włożyła suknię. Po śmierci Ramasa chciała ją pociąć, ale nie zdobyła się na to, by drogocenny materiał, artystyczny krój, a także zapierająca dech elegancja formy także padły ofiarą tamtej tragedii. Kazała więc schować suknię do piwnicy i nigdy nie przyszło jej na myśl, żeby ją stamtąd wyciągnąć. Aż do dzisiejszego dnia.

Teraz, gdy ją miała na sobie, gdy poczuła gładki dotyk jedwabiu na nogach i piersiach, na moment znów poczuła się jak królowa. Odżyło uczucie, jakie towarzyszyło jej niegdyś u boku Ramasa, wtedy tak jej potrzebne, a zupełnie nieważne, gdy Ramas odszedł.

Wtedy nosiła do niej sznur czarnych pereł. Wtedy, ostatniego dnia 1927 roku. Perły dawno zostały sprzedane. Musiał wystarczyć zwykły srebrny łańcuszek.

Suknia leżała doskonale. Jedwabne marzenie w kolorze turkus, z przyprawiającym o zawrót głowy wycięciem na plecach, które niemal odsłaniało rowek między pośladkami. Suknią, na którą zgodził się jej mąż, kręcąc głową z zachwytem, zaskoczeniem i wyrzutem. Na której widok Ramasowi na moment

odebrało mowę. W której jak najcenniejsze dzieło sztuki, jak bogini została przedstawiona jego przełożonemu i przyjacielowi.

A gdyby jeszcze miała na twarzy tamtą wenecką maskę, gdyby zamknęła oczy i znów usłyszała wokół siebie śmiech i dzwonienie kieliszków z szampanem, poczuła zapach wybornych potraw! Gdyby mogła zobaczyć Stazję w kostiumie łabędzia, Soppio przebraną za mężczyznę, Ramasa w drogim smokingu! Wtedy, przynajmniej w wyobraźni, zabroniłaby wstępu ich wyjątkowemu gościowi. Nie oprowadzałaby go po domu, nie rozmawiała z nim, a przede wszystkim jej mąż nie przedstawiłby mu jej, swojego klejnotu, bo doskonale wiedział, że ten człowiek uwielbia kosztowności i zagarnia je łapczywie dla siebie.

Przez całą noc Kristine pracowała nad swym przeobrażeniem. Jeszcze raz zanurzyła suknię w barwniku, wyprała ją i wyprasowała. Następnego wieczoru, gdy zobaczyła się w lustrze, uznała, że gdyby nie mała, czarna, koronkowa maska zakrywająca lewą połowę jej twarzy, wyglądałaby właściwie tak jak przed laty, jak Kristine sprzed pamiętnego balu sylwestrowego.

Potem poszła do kuchni, zapakowała do torby potrzebne jej akcesoria, które ukrywała przed Stazją w sobie tylko znanej skrytce, i z dziko bijącym sercem położyła się spać.

Ochrona willi Wielkiego Małego Człowieka ciągle pytała o zaproszenie. Kristine zaś domagała się uparcie, by przywołano gospodarza domu. Na plecach i biodrach czuła skonsternowane spojrzenia mężczyzn strzegących wejścia i już wiedziała, że zostanie wpuszczona. Miała też pewność, że udało się jej cofnąć czas. Mężczyźni naradzali się, chrząkając niepewnie. Byłoby niezręcznie odesłać taką piękność tylko dlatego, że nie figuruje na liście gości. Jeden z nich poszedł do jasno oświetlonej willi.

Przed willę zajeżdżały limuzyny, wysiadały z nich damy w eleganckich sukniach i mężczyźni w ciemnych garniturach. A pośrodku ona, wprawdzie niezaproszona, lecz ściągająca na siebie wszystkie spojrzenia. W tej sukni tak łatwo jej było czuć się dawną Kristine, za którą wszyscy się oglądali i którą podziwiali, która była kochana i sama kochała, nie zdając sobie z tego sprawy, do bólu. Kochała swego postawnego, smutnego, pozbawionego złudzeń męża. Tak łatwo było jej w tej chwili wierzyć, że on jeszcze żyje...

Potem dostrzegła pana domu nadchodzącego wspaniałą aleją wysadzaną palmami, idącego przez piękny ogród, który z biegiem czasu rozrósł się wokół domu niczym mur obronny. Ogród pełen eleganckich cyprysów i bujnych krzewów, z egzotycznymi roślinami i wąskimi, kamiennymi drózkami. Gdyby nie świadomość, kto tu mieszka, można by uznać, że to prawdziwe Shangri-La.

Po drodze gospodarz witał napływających gości, ścisnął dłonie, rozdawał uśmiechy. Nagle zatrzymał się i utkwiał w nią wzrok. Jego mina zmieniła się, ale z daleka Kristine nie mogła rozpoznać, co wyraża. Przez chwilę myślała, że zawróci i zostawi ją przy wejściu, ale potem, ignorując wchodzących gości, ruszył ku niej, niczym cesarz wśród rozstępujących się tłumów, wiedziony podziwem i obawą. Ochrona

odsunęła się dyskretnie na bok, umożliwiając swemu panu wspaniałe, zdawałoby się – wyreżyserowane, wejście. Kristine uśmiechnęła się najpiękniej, jak umiała, i podała mu dłoń. On ujął ją wilgotnymi, miękkimi palcami, a jego twarz przybrała wyraz najgłębszej pokory.

– Myślałem, że nie zechcesz przyjąć mojego zaproszenia, nie chciałem cię stawiać w niezręcznej sytuacji.

– Teraz zapewne ja postawiłam cię w niezręcznej sytuacji – odparła cicho, nie poruszając niemal ustami. Nie mówiła przeprasząco, lecz dumnie, tonem lekkiego wyrzutu.

– Ależ skąd! Czuj się najbardziej pożądanym gościem – odrzekł, podając jej ramię.

Szybko przyznał jej na nowo rolę cesarzowej. A Kristine ją przyjęła – z satysfakcją zagra tej nocy rolę władczyni. I nie potrzebuje do tego żadnej próby, bo od tamtej nocy, kiedy połowa jej twarzy została zniekształcona, nieustannie się do niej przygotowywała.

Olśniewająco piękna i demonstracyjnie prowokująca, pewna siebie, niedosięgå, szła z nim ogrodową aleją pośród palących, zazdrosnych spojrzeń wspaniałego towarzystwa. Przekroczyła próg sali pełnej gości, z luksusową, marmurową posadzką i ze złotą sztukaterią ręcznej roboty na niebotycznie wysokim suficie. Grała już orkiestra, strzelały korki szampana, płynął alkohol.

Salę wypełniali wyłącznie potężni i piękni. Najpotężniejsi i najpiękniejsze. Mężczyźni, którzy od lat grali wyłącznie rolę bogów, i kobiety, które nie znały niczego innego prócz rauszu, nieustannego rauszu, w którym można się było zapomnieć. Najlepsi śpiewacy i śpiewaczki wykonywali tu swoje arie. Ponieważ pan domu kochał to, co wielkie, wystawne i monumentalne, tak, kochał piękno.

Kristine obserwowała go przez cały wieczór. Przyglądała się Małemu Wielkiemu Człowiekowi, jak stoi pośrodku swego marmurowego pałacu, pije szampana, z ożywieniem podejmuje gości i zachwycony przysłuchuje się śpiewakom i orkiestrze, która ze strachu przed pomyłkami osiągała wyżyny wirtuozerii. Jak rozdaje komplementy, jak w przelocie od niechcenia obrzuca wzrokiem nagie plecy i ramiona, biodra i piersi obciążone lekkimi jak piórko, poruszającymi się przy każdym ruchu materiałami, jak dorzuca w rozmowach dowcipne pointy.

Dziesiątki lat później, Brilko, rezydująca w tym budynku – nazwijmy to ironią losu – organizacja praw człowieka odkryje podczas przekopywania ogrodu ludzkie kości i znalezisko to wywoła długą publiczną debatę, co zrobić z posiadłością. Niektórzy zażądają od władz miasta, by budynek został rozebrany, zrównany z ziemią i by wszystkie okropieństwa, jakie rozegrały się w jego ścianach, usunąć ze zbiorowej pamięci. Inni będą za pozostawieniem tego architektonicznego cudu, a jeszcze inni wzruszą ramionami, nie mając żadnego pomysłu. Nikt nie zapyta o nieżyjących, nikt nie będzie szukał śladów.

*Nie śpiewaj przy mnie, urodziwa
Dziewczyno, pieśni Gruzji smętnej.
Inne się życie w nich odzywa
I widzę w dali brzeg pamiętny.*
Aleksander Puszkina, *Nie śpiewaj przy mnie,
urodziwa...*, przeł. Adam Ważyk

Kristine dołączyła do grupki kobiet z przejęciem słuchających orkiestry, które na jej widok zaczęły nieznacznie trącać się łokciami.

Pan domu podniósł łysą głowę, poprawił okrągłe okulary na krecich oczach i gdy blada dama i mały, opasły mężczyzna w zielonym garniturze zaczęli śpiewać *O soave fanciulla z Cyganerii*, znieruchomiał. Spojrzenia jego i Kristine spotykały się raz po raz, ponad wieloma ramionami, szyjami, głowami, rękami, ustami i oczami zebranych. Podszedł do Kristine, kiedy śpiewaczka, na zapewnienie śpiewaka o miłości, odpowiadała: „*Ah, tu sol comandi, amor!*”. Kristine zrozumiała wtedy, że odniesie zwycięstwo. Dziś w nocy. Ona i jej wystawione na spojrzenia ciało, które nie było oszpecone, które zachowało swe soki. Niby przypadkiem dotknął ramieniem jej ramienia.

Głosy śpiewaków złączyły się z sobą harmonijnie, a on szepnął jej do ucha lepkim, miękkim, zachodniogruzińskim dialektem:

– Zostań, zostań, aż wszyscy pójdą. Jesteś tak oszalamiająco piękna.

Kristine skinęła, lekko odwracając od niego głowę.

Bawiono się szampańsko, każdy chętnie poddawał się bachicznej atmosferze. Kristine zaś królowała, kusząca i zdeterminowana. Nie miała nic do stracenia. Nie musiała zginać w pokorze czoła, niczego ukrywać jak inni goście, nie musiała być przez nich akceptowana. Triumfowała nad tymi, którzy jej zazdrościli, nad ich uzależnieniem zniekształconym lękiem, nad ich palącym pragnieniem, by ich zaliczono w poczet wasali gospodarza domu.

Co chwila dotykała torebki, sprawdzając, czy jest w niej tabliczka czekolady i buteleczki z przyprawami.

Wcześniej nie wierzyła Stazji, nie wierzyła w przekleństwo losu czy bogów – zresztą wszystkich bogów zastąpiła czerwona gwiazda, lecz na tę jedną noc chciała uwierzyć. Uwierzyć, że wesprą ją jacyś bogowie, że czarna ambrozja jej ojca ma złowieszczą moc i stanie się najśłodszy przekleństwem. Dzisiaj musiała w to wierzyć.

Dobrze po północy sala balowa zaczęła pustoszeć, a gospodarz polecił, by orkiestra zagrała walca tylko dla niej i dla niego. Skłonił się przed Kristine i poprosił ją do tańca. Tańczył z nią powoli, nierytmicznie, osłabiony wieloma kieliszkami szampana, lecz z oddaniem. Pomyślała, że nigdy z nim jeszcze nie tańczyła. Jak często za to tańczyła z Ramasem! I może uda jej się, gdy zamknie oczy, wyobrazić sobie męża, jak prowadził ją przez tę salę, tak dumny i szczęśliwy, że ma ją u boku.

Objęła wątłe ramiona swego tancerza. Zgodziła się być na tę jedną noc władczynią w jego ponurym

królestwie. Jedną z tych niezliczonych kobiet, które tak chętnie dawały się omamić i odurzyć, zapominając się i oddalając myśl o odpowiedzialności, bo przecież przyszły na świat dla przyjemności i zachwyków, dla miłości.

Zawsze sobie wyobrażałam, jak poszli na górę szerokimi marmurowymi schodami do jego prywatnych pokoi, jak weszli do ogromnej sypialni, której próg Kristine przekraczała niegdyś tak często. Wyobrażałam sobie, że to ona zatrzymała się przed nim i zaczęła się rozbierać. Wyobrażałam sobie, jak jednym ruchem ręki odpięła guzik u sukni pod szyją i jak śliski materiał zsunął się na podłogę, a on poczuł, że jej pożąda.

W tej chwili odczuła satysfakcję, że na kilka godzin unieważnia czas między teraz a wtedy: czas wypadł ze swoich ram, został odwrócony. Nie, żeby znowu chciała być młoda i piękna, lecz żeby choć przez ułamek sekundy czuć, że Ramas żyje. I jeśli teraz prześpi się z tym mężczyzną, tu, w tym pokoju, na tym łóżku, to będzie mogła sobie wyobrazić, że potem pojedzie do domu i będzie czekać na swego męża. Męża, który od dawna o wszystkim wie, wszystko przejrzał, nawet przyszłość.

Zawsze myślałam, Brilko, że obejmowała swego byłego kochanka tylko po to, żeby stworzyć sobie takie złudzenie. Wszystko było lepsze niż myśl o śmierci Ramasa. Chciała odsunąć od siebie wspomnienie zwłok swego męża, którego nie mogła oplakiwać, bo miała tylko pół twarzy.

Mały Wielki Człowiek nachylił się i pocałował ją w szyję. Jej nienaruszoną szyję. Poczuła w sobie dziwny brak zahamowań, którego się przeleżała, jakby po wielu, wielu latach po raz pierwszy zdjęła z siebie gorset. Gorset stworzony z koszmarów. Położyła się na łóżku. Naga, z zakrytą w połowie twarzą. Gdy nachylił się nad nią, zdjęła mu okulary, popatrzyła w oczy i mocno przycisnęła usta do jego ust. Mocno, mocno, da mu wszystko, by ten jeden jedyny raz wskrzesić w wyobraźni Ramasa i własną nienaruszoną jeszcze twarz. Przy łóżku stało oprawione w ramki zdjęcie łagodnej, cichej Niny, jego żony. Kristine odpędziła od siebie pytanie, ile nienawiści do siebie samego może udźwignąć człowiek, i objęła kochanka.

Tak, zawsze sobie wyobrażałam, jak bez trudu odgrywa przed nim namiętność, żeby móc przywrócić przeszłość. Jak myśli o Ramasie, mając nadzieję – to niepojęte, Brilko – że zbliży się do swego męża przez jego mordercę. Jak decyduje i prowadzi w tej grze, którą on tak doskonale opanował. Wyobrażałam sobie, jak on dostrzega jej przełamane na pół piękno, jak w oszołomieniu poddaje się jej urokowi. Wyobrażałam sobie, jak powoli rozluźnia się kolczasty drut wokół jej serca i Kristine wierzy, że rozetnie pęta rzeczywistości i przejdzie na drugą stronę, tam, gdzie przebywa jej mąż.

Widziałam, jak się nad nim podniosła, niby antyczna bogini, która ukazuje się, by okazać litość albo rzucić klątwę. Przyglądała mu się, ogarnięta euforią na myśl o tym, co miało się stać. Widziałam, jak siada i powoli, rozważnymi, niezwykle precyzyjnymi ruchami zdejmuje maskę. Odsłania twarz. Jej lunatyczne piękno i odpychającą brzydotę. Znajdując przyjemność w tym, że tę upiorną deformację

odkrywa przed tym, kto ją spowodował i kto tyle lat przed nią uciekał.

Przed laty, w tamtą sylwestrową noc chciał zobaczyć jej twarz, chciał z niej zdjąć wenecką maskę. Teraz nie miał wyboru, brzydota była jej nieodłączną częścią, nie mógł zdjąć z niej tej powleczonej jakby surowym mięsem, zmalretowanej połowy twarzy. Kristine po raz pierwszy w życiu odczuła ponurą wdzięczność za to, że ten koszmar wrył się w jej twarz na zawsze.

Nie oszczędziła mu tego widoku.

– Mam jedną prośbę – rzekła potem.

– Co tylko zechcesz – odparł i odwrócił wzrok.

– Coś ci przyniosłam. Muszę to tylko przygotować. Chcę ci podziękować za Andra. Zejdę do kuchni i wkrótce przyniosę ci moją niespodziankę. Chcę, żebyś jej skosztował. Ja też skosztuję – dorzuciła, by nie wzbudzić jego podejrzliwości.

Skinął głową z ulgą, że wychodzi i nie będzie zmuszony dłużej znosić widoku jej blizn.

Zeszła na dół naga, jak ją stworzył Bóg i Mały Wielki Człowiek, i ugotowała gorącą czekoladę.

Na srebrnej tacy podała mu czarny grzech o magicznym aromacie. Siadła obok na łóżku, zwrócona ku niemu prawym profilem, żeby nie psuć mu apetytu, i zanurzyła palec w gęstej masie, ze smakiem go oblizując. Zafascynowany tym widokiem otworzył usta i czekał, aż nakarmi go w ten sam sposób. Kristine cierpliwie i radośnie wprowadzała go w tajemnicę swego ojca. Czekolada znikła w mgnieniu oka.

W czasie posiedzenia Komitetu Centralnego 26 czerwca 1953 roku, w dniu, w którym moja matka przysłała na świat, Mały Wielki Człowiek został aresztowany. Stało się to za sprawą dziewięciu innych członków Biura Politycznego, którymi dowodził Nikita Chruszczow.

Mały Wielki Człowiek wrócił właśnie z letnich manewrów w Smoleńsku, gdzie wysłano go, by zyskać na czasie i starannie przygotować jego dymisję. Tego dnia posiedzenie KC otwarto w jego obecności. Godzinę później na salę wkroczyło pięciu uzbrojonych ludzi z dywizji specjalnej. Na korytarzu przed salą czekało siedemnastu ludzi z NKWD, wasali Małego Wielkiego Człowieka. Nie mieli najmniejszego pojęcia o tym, co się rozgrywa za drzwiami.

„W imieniu prawa należy go aresztować”, ogłosił wicepremier Malenkow, który tak jak Mały Wielki Człowiek był jednym z najbardziej zaufanych Generalissimusa i który w ciągu trzydziestu lat swej działalności sam kazał uśmiercić około stu pięćdziesięciu tysięcy ludzi w Armenii i na Białorusi. Wicepremier, który z powodu swego szerokiego zadu i cienkiego głosu był nazywany Malanią i o którym Mały Wielki Człowiek miał kiedyś powiedzieć: „Gdy nasz Wódz każe sprzątnąć jednego człowieka, Malenkow sprząta tysiące”.

Malania, karykatura przywódcy, stał teraz z Chruszczowem przed człowiekiem, który wzbudzał w kraju postrach i którego sam Wódz nazywał „naszym Himmlerem”. I Malania kazał skierować w niego broń! Potem w aktówce Małego Wielkiego Człowieka znaleziono zmiętą kartkę, na której

widniało kilkakrotnie napisane słowo „alarm”. Wydaje się, że aresztowany przeczuwał coś przed posiedzeniem KC, lecz nie znalazł sposobu, by przekazać kartkę swej ochronie.

W nocy z dwudziestego szóstego na dwudziestego siódmego czerwca w tajemnicy wywieziono z Kremla Małego Wielkiego Człowieka na tylnym siedzeniu auta ZiS-110 i osadzono w areszcie śledczym. Przesłuchania trwały pół roku, zeznań było niewiele, natomiast podsądny wysłał kilka pism o ułaskawienie i wiele prośb o przebaczenie do różnych członków KC, tak że w końcu nałożono na niego zakaz pisania i korespondencji.

Po raz pierwszy wykazała też aktywność jego smutna żona Nina, zwracając się listownie do Malenkowa. Nina pisała, że jest pewna, iż zaszło nieporozumienie, że wierzy w swego męża jako prawdziwego komunistę, który zawsze działał dla dobra ojczyzny, dziedzictwa Lenina i wielkiego Generalissimusa. Na koniec dodała, że jeśli jednak jej mąż złamał prawo, choćby nieświadomie, powinien zostać pociągnięty do odpowiedzialności. Taka wierność wywarła wrażenie na członkach KC, szczególnie na tych, którzy na rozkaz Wodza wyparli się w przeszłości własnych żon, braci, rodziców oraz przyjaciół i kazali ich aresztować. Proces Małego Wielkiego Człowieka, utrzymywany w tajemnicy przed opinią publiczną, zakończył się wyrokiem śmierci ogłoszonym w grudniu 1953 roku. Wyrok wykonano podobno jeszcze tego samego dnia. Oskarżony został rozstrzelany. Zwłoki spalono. Prośby jego żony nie uwzględniono, sama uniknęła jednak śmierci. Było jej dane jeszcze długie życie. Do końca pielęgnowała pamięć o mężu, ślepo dochowując mu wierności.

Akta procesowe liczyły czterdzieści tomów. Zarzuty, które zawierało oskarżenie, obejmowały niezgodne z prawem represje, aresztowania i tortury, także gwałty, nadużywanie swej pozycji, otrucia i rozstrzeliwania. Mały Wielki Człowiek do końca jednak twierdził, że jest niewinny.

Kiedy walka o władzę została wygrana i Malanię także sprzątnięto, wielki kraj rządzony wcześniej przez Generalissimusa przeszedł w ręce chłopskiego syna z Kalinówki, nazwiskiem Chruszczow, który chodził do szkoły tylko przez dwa lata, bo jego ojciec stwierdził, że syn nauczył się już liczyć do trzydziestu i to mu wystarczy – więcej niż trzydzieści rubli i tak nigdy nie zarobi. Syn jednak zrobił potem oszałamiającą, socjalistyczną karierę. W 1937 roku Chruszczow napisał do Generalissimusa, że osobiście wskazał osiem tysięcy pięciuset wrogów systemu, którzy w jego ocenie zasłużyli na śmierć, dlatego „nasza ręka nie może zadrzeć, musimy maszerować po zwłokach wrogów, by osiągnąć dobro ludu”. Został za to nagrodzony. Niezwykle hojnie. I zajął pozycję, o jakiej jego ojcu nawet się nie śniło. Na krótko przed śmiercią Chruszczow przyznał: „Moje ręce aż po łokcie są unurzane we krwi”.

*Zostawił na ziemi potężną spuściznę.
Wydaje mi się,
Że w jego grobie zainstalowano telefon
I on nadal wydaje komuś rozkazy.
Nie, on nie umarł.
Uważa, że śmierć można cofnąć.
Jewgienij Jewtuszenko*

Kitty siedziała w kuchni Amy, pochylona nad „London Evening”, którego stronę tytułową zdobiło zdjęcie Małego Wielkiego Człowieka. Wstrząsał nią płacz. Mijał już trzeci rok, od kiedy straciła wszelki kontakt z rodziną, a teraz jej tęsknota pomieszana z obawami bardzo się nasiliła. Ale też był to dzień, w którym przyznała się przed sobą, że kocha kobietę. Po porannej kłótni z Amy Fred Lieblich wyprowadziła się z domu kochanki i pod pretekstem nieprzeparanej potrzeby malowania wycofała się do swego atelier.

Kitty unikała Fred od ich wspólnego, fatalnego poranka. Wyrzuty sumienia i przerażenie, że dała się uwieść kobiecie, sprawiły, że dłużej niż do tej pory przebywała wieczorami w klubie jazzowym. Po występach siadała przy stoliku i wytrwale piła whisky. Wdawała się z gośćmi w rozmowy i odgrywała rolę radzieckiej sensacji o dużych ambicjach. W rozmowach podtrzymywała obawy i projekcje słuchaczy i dodawała szczegóły potęgujące ich strach. Z czasem zajęcie to zaczęło dostarczać jej satysfakcji. Jej fantazja tworzyła coraz barwniejsze obrazki z komunistycznej przeszłości. Scenariusze obfitowały w coraz więcej dramatycznych treści i coraz silniejsza była w nich atmosfera zagrożenia.

Ale choć Kitty dawała się niektórym mężczyznom zaprosić na drinka albo do kina, czasami przyjmowała od nich prezenty, a nawet pozwalała sobie na pocałunki przed bramą domu Amy, to nic nie pomagało. Także to, że opanowała angielski, nie zmieniło faktu, że ludziom, których spotykała, nie miała nic do powiedzenia. Jedynym człowiekiem, za którego słowami tęskniła, był jej anonimowy przyjaciel. Jedyną kobietą, z którą chciała rozmawiać, była Fred.

Za każdym razem, kiedy z salonu dobiegały ją chichoty i przekomarzania Amy i Fred, Kitty czuła kłującą zazdrość, miała ochotę zbiec na dół i porwać do siebie rudowłosą, zaciągnąć ją na górę i opowiedzieć jej o wszystkim, co się w niej nazbierało. Ale zbyt wstydziła się swej tęsknoty i kryła twarz w poduszce, żeby nie słyszeć tamtych głosów i śmiechu.

Pewnego dnia zebrała się na odwagę i wyszła z domu. Metrem pojechała do Soho i odnalazła adres, który potajemnie przepisała z notesu Amy. W skrytości ducha miała nadzieję, że Fred nie będzie w domu albo że zostanie u niej gości. Fred otworzyła jej jednak drzwi zaraz po pierwszym dzwonku i zaprosiła do środka. Była sama. Kitty zatrzymała się na progu, jakby się bała, że jeśli wejdzie, nikt jej już nigdy nie odnajdzie.

Fred stała w drzwiach i przyglądała się swemu nieoczekiwanemu gościowi z lekko przekrzywioną głową. Potem uśmiechnęła się.

– Daj spokój – powiedziała Kitty.

– Z czym?

– Zawsze tak na mnie patrzysz... Zwłaszcza kiedy jest Amy.

– A jeśli Amy nie ma?

Fred chciała nadać rozmowie lżejszy ton, ukryć swe zakłopotanie, zapaliła więc papierosa i oparła się o ścianę.

– Czyli nie wejdiesz do środka, tak? Nie zdejmiesz kurtki? Nie napijesz się ze mną herbaty? Nie obejrzysz moich obrazów?

Kitty przecząco pokręciła głową. Zaprzeczała raz po raz, jakby chciała się utwierdzić w swojej decyzji. Fred wyciągnęła do niej rękę, pozbawioną pierścionków, o krótko obciętych, bardzo czystych jak na malarkę paznokciach. Znieruchomiła. Czekala. Właściwie była pewna, że Kitty się złamie. Ta jednak nadal się ociągała, więc Fred pobiegła w głąb mieszkania i znikła w wielkim wnętrzu atelier, gdzie Kitty nie odważyła się zapuścić wzroku. Rozległa się muzyka. Potem Fred ukazała się z dwoma kieliszkami wina w ręce. Wino na pewno pochodziło z barku Amy.

– To piękne. Co to za muzyka? – spytała Kitty, nie mogąc powstrzymać uśmiechu na widok Fred rozsiadającej się na podłodze w przedpokoju.

Fred stuknęła dłonią w parkiet, zapraszając Kitty, by zajęła miejsce obok niej.

– Nie znasz Billie Holiday? No chodź, nie chcesz wejść ty, to wyszłam ja. Nie sądzę, żebyś ją znała, choć akurat ty powinnaś ją znać.

Kitty z wahaniem zajęła miejsce obok Fred. Oczarowywał ją nieskończenie smutny głos pieśniarki.

– Potrzebujesz powietrza, piękna kobieto! Więcej powietrza, więcej wolności, musisz znowu być sobą – powiedziała naraz Fred poważnie. Z jej tonu znikła nuta szelmstwa.

– Czego chcesz ode mnie? – zapytała Kitty ostrożnie i podniosła kieliszek do ust.

– Ciebie – odrzekła Fred znowu ze śmiechem. – Tylko ciebie.

– Jesteś kobietą.

– Racja, moja płęć powinna ci być znajoma.

– A co z Amy?

– Amy mnie nie potrzebuje.

– Co ty mówisz! Bardzo cię potrzebuje!

– Dobrana z nas para, wierz mi.

Zanim Kitty zdołała coś odpowiedzieć, Fred zbliżyła się do jej ust. Jej pocałunek nie był ostrożny. Był tym, czym był – pocałunkiem prowadzącym do kolejnego pocałunku.

– Jak to sobie wyobrażasz? – spytała Kitty, odwracając głowę. – Nic o mnie nie wiesz.

– Wiem wszystko, co powinnam wiedzieć. Widzę cię.

– Nie mogę jeszcze raz kogoś zdradzić. Nie mogę.

– Po prostu zamknij oczy. Nic ci się nie stanie. Będę na ciebie uważać.

Trzy miesiące po narodzinach mojej matki pewna kobieta na kaukaskiej wsi urodziła chłopca, któremu dano na imię Micheil. Jego nazwisko brzmiało Eristawi.

Tamtej nocy Stazji przyśniła się jej zmarła przyjaciółka Sopio. Sopio była jasna i delikatna, uśmiechała się przyjaźnie. Siedziała w fotelu w jakimś pokoju i spoglądała przez okno, za którym rozciągał się cudowny ogród. Stazja, oszołomiona pięknym wyglądem przyjaciółki, której upływ czasu zdawał się nie dotyczyć, chociaż od ich ostatniego spotkania minęło już kilkanaście lat, zatrzymała się przy drzwiach.

Sopio przeciągała się w słońcu.

– Podejź do mnie, tu jest cieplej, Tazo! – zawołała, machając do niej ręką. – Nie bój się.

Stazja zbliżała się do niej ze świadomością, że idzie ku zmarłej, i ostrożnie przysiadła na oparciu jej fotela. Słoneczne światło, które wlewało się przez okno, oślepiło ją i rozgrzewało jej policzki.

– Brakowało mi ciebie – szepnęła Stazja przez gorące promienie światła i ostrożnie pogładziła plecy Sopio.

– Minęło już tyle lat, prawda?

– Tak, wiele lat. Gniewasz się na mnie?

– Niczego nie mogłaś zmienić. Tu jest tak ciepło, tak ciepło...

– Sopio, tęsknię za tobą. Moja Sopio!

Naraz Sopio ujęła dłoń Stazji. Jej ręka była w dotyku aksamitna i delikatna, młoda i silna. Stazji odebrało mowę. Chciała coś powiedzieć, wyjaśnić, wyznać swoją winę, ale nie potrafiła, jakby nagle zapomniała słów.

– Opowiedz mojemu synowi o tym dobrym świecie, proszę... Zrób to!

Pogładziła Stazję po głowie i wtedy Stazja się obudziła.

Ojcem chłopca urodzonego w gorący wrześnieowy wieczór był milczący robotnik kołchozowy, który potajemnie wycinał figurki z drewna w oświetlonej lampą naftową pakamerze (elektryczność była w górach rzadkością) i chował je pod łóżkiem, żeby ktoś nie uznał ich za niemoralne albo destrukcyjne.

Ożenił się z pobożną chłopką, z którą pracował na tej samej zmianie w zakładach zbożowych i która przynosiła mu czasem marynowane pomidory i śliwki. Jako jedna z nielicznych pytała go też, jak się czuje, i nie wbijała w niego surowego, nieufnego spojrzenia jak większość mieszkańców wsi, którym ten brodaty i łysy obcy mężczyzna był solą w oku, bo nie umiał pędzić samogonu, nie wznosił głośnych toastów, nie oglądał się za młodymi dziewczętami, nie brał udziału w pogańskich, chrześcijańskich ani państwowych świętach, nie zabijał owcy, żeby udały się żniwa, za to od czasu do czasu jeździł do miasta do biblioteki, skąd wracał z książkami pod pachą.

Odczuwał przy tym głęboką pokorę wobec zwyczajów tych ludzi, których nie dręczyły żadne wątpliwości, którzy żyli w oddaleniu od wszelkiej nowoczesności i mieli własną rachubę czasu. Zarazem jednak nie cierpiał ich zakorzenionej w tradycji bezkompromisowości, ich zabobonów, ich braku potrzeby, żeby wieść życie inne niż przodkowie.

Każdego dnia na nowo czynił wysiłki, żeby nie patrzeć w przeszłość, za siebie. I każdego dnia słabła w nim pamięć o Kitty o migdałowych oczach, dziewczynie, której chciał niegdyś ofiarować swoje spojrzenie na świat. Stopniowo się uczył, że życie składa się z oddychania, jedzenia, trawienia, ciężkiej fizycznej pracy, picia wódki i spania i że nie ma prawa oczekiwać niczego innego. Z narodzinami syna wróciło coś, o czym sądził, że jest dla niego stracone – ludzkie ciepło, które wypełniło jego pierś i rozszerzyło serce. Po raz pierwszy od lat czuł wzruszenie, patrząc na zawiniątko, które trzymał w ramionach. Dzięki temu dziecku miał nadzieję nauczyć się znowu kochać.

Pewnego popołudnia, kiedy zrobiło się już zimniej, wyszedł z domu z niemowlęciem, które spokojnie spało zawinięte ściśle w szal z owczej wełny, przeszedł przez podwórko i skierował się na kamienistą drogę prowadzącą w dolinę. Mijał domy sąsiadów, fabrykę, sklepy, szkołę, spotkał pasterzy, którzy spędzali owce z łąki, pozdrowił czarno odziane wdowy wojenne, które jak co wieczór siedziały przy źródle, starców zbierających się na placu kościelnym, minął bibliotekę, w której nie było żadnych nowych książek, minął bawiące się dzieci, które gonił owczarek, a one z krzykiem, spocone, pędziły z boczem w dół. Zanurzając się w wieczorny mrok, doszedł do kamieniołomu w południowej części lasu otaczającego dolinę. Tam usiadł na dużym kamieniu w pobliżu wodospadu, który z niewyobrażalnym impetem, nie zważając na nic, spadał w dół, i rozejrzał się wkoło. Micha, jak miano w przyszłości skracać imię chłopca, nadal spał spokojnie i nawet głośny szum wody mu nie przeszkadzał. Andro zamknął oczy, mocno przycisnął syna do siebie, odetchnął głęboko i uśmiechnął się. Przyszedł tu, żeby nauczyć się uśmiechać. I kiedy się uśmiechał, zobaczył przed sobą twarz, twarz Kitty, młodej Kitty, z którą na zielonej ławce w sennym miasteczku po raz pierwszy wymienił pocałunek i której poświęcił wszystkie swoje ideały. I przypomniał sobie wojnę. Gułag. Przypomniał sobie, jak jemu i innym odbierano godność i jak zadziwiająco łatwo – tak się wydawało – wszyscy się na to godzili, jakby prawdziwą naturą człowieka była zgoda na to, co nieludzkie.

Brilko, czasami mam wrażenie, że kiedy opowiadam, brakuje mi tlenu. Muszę wtedy zamilknąć, podejść do okna i głęboko zaczerpnąć powietrza. To nie z braku odpowiednich słów, nie z powodów karzących bogów, sędziów i wszechobecnych chórów. Także nie z powodu tych historii, z których każda chce być opowiedziana. Raczej z powodu pustych miejsc.

Historie nakładają się, zachodzą na siebie, są z sobą zrośnięte, a ja próbuję rozsypać ten kłęb, bo przecież rzeczy trzeba opowiadać po kolei. Nie da się ująć w słowa jednoczesności świata.

Wcześniej, kiedy miałam mniej więcej tyle lat co ty, zadawałam sobie pytanie, co by było, gdyby

pamięć zbiorowa utrzymywała jedne zdarzenia, a zapominała o innych. Gdyby wszystkie wojny i wszyscy niezliczeni królowie, władcy, wodzowie i najemni żołnierze zostali zapomniani, a w książkach pozostali tylko ludzie, którzy własnymi rękami budowali domy, zakładali ogrody, odkryli żyrafę, opisali chmury i opiewali urok kobiecej szyi. Zadawałam sobie pytanie, skąd wiemy, że ci, których imię przetrwało, są lepsi, mądrzejsi i bardziej interesujący od innych (czy tylko dlatego, że oparli się upływowi czasu?) i gdzie są ci zapomniani.

To my decydujemy, co chcemy pamiętać, a co nie. Czas nie ma z tym nic wspólnego. Jest obojętny. Ale w naszej historii, Brillko, niesprawiedliwe jest to, że ani tobie, ani mnie nie była dana możliwość przypomnienia sobie wszystkiego. Nawet ja muszę decydować, co jest warte opowiedzenia ci, a co nie. Czasem to niemożliwe. Sama walczę z własną, absolutnie subiektywną pamięcią. Od kiedy zapisuję dla ciebie naszą historię, owo „gdzie”, „jak” i „dlaczego”, jestem samotna. Ale o tym opowiem ci później, kiedy dojdę do opowieści o własnym życiu, kiedy się wreszcie urodzę, kiedy ożyję w tym królestwie słów.

Żeby móc ci o tym opowiedzieć, zrezygnowałam ze wszystkich swoich potrzeb, jeśli w ogóle jakieś miałam, zabroniłam sobie nawet codziennej dawki melancholii i całkowicie poświęciłam się temu zadaniu. Po tym, jak w ostatnich latach zagalopowałam się i zagubiłam w życiu, ta żelazna, niemal klasztorna dyscyplina dobrze mi robi. To moja podróż. Rodzaj oczyszczenia, które mnie zmienia, choć nie wiem, jaka ostatecznie z tego wyjdę.

Dziś wieczorem – jest piątek i ciepło sprowadziło na moją ulicę mnóstwo ludzi – przeczuwałam już, że zrobię sobie przerwę. Hałas, brzęk szkła i butelek, muzyka – to wszystko miesza się pod moimi oknami w jedną uwodzicielską, letnią symfonię, od której nie można uciec i która uniemożliwia skupienie. Współczesność jest zbyt obecna, zbyt natarczywa, nie mogę się przy niej wsłuchiwać w przeszłość.

Więc wstałam, podeszłam do okna, otwierałam je, wpuściłam do pokoju gorące, letnie, gęste od kurzu powietrze i spojrzałam na głowy przechodniów. I wtedy stało się coś dziwnego: w oddali, przy skrzyżowaniu, gdzie codziennie mi się kłania pewien bezdomny próbujący sprzedawać gazety, zobaczyłam Stazję. Nie, nie zwariowałam (abstrahując od tego, że nie wierzę, by człowiek mógł zwariować), ale mimo wszystko...

Wtedy zrozumiałam, że przychodzą do mnie duchy i że dobrze robię, spisując dla ciebie tę historię. Naszą historię. Twoją, moją i wszystkich innych, którzy weszli w nasze życie. Nagle pojęłam, dlaczego to robię, i zrozumiałam, że czyniąc to, postępuję słusznie. Poszłam za głosem obowiązku, podejmując się roli brutalnego narzędzia, które rozpruwa czas – dla ciebie. Naraz wszystkie moje obawy znikły.

Zrozumiałam, że kiedyś zmaterializują się wszystkie te zjawy, które jeszcze zechcą dokończyć swoje historie, i pochylią się nad moimi słowami. I zaśmiałam się. Tak, zaśmiałam się. Myślałam o tobie.

Tęskniłam za tobą nieznośnie, lecz poczułam ulgę.

Doszłam wreszcie do tego czasu-bezczasu, który nie rządził się żadnymi prawami, i chociaż z dnia na dzień tracę kontakt z tamtą rzeczywistością, choć nie wiem, co mnie po tym wszystkim czeka, wiem jednak, jakie pytanie zadam ci na końcu tej podróży, tej historii. Chociaż jesteś jeszcze daleko i nie przeczuwasz, jakie jest to tutejsze życie, chociaż słusznie jesteś na mnie wściekła – ja wrócę. Do ciebie. Zadam ci pewne pytanie, a ty mi na nie odpowiesz.

Opowiadają, że cały czas się śmiała, najpierw jako niemowlę, potem jako dziecko. Moja matka, Elene Jaszi, córka Kostii i Nany, wnuczka Stazji, bratanica Kitty, matka Darii i moja matka. Istota, która nie była do nikogo podobna, nawet do siebie samej. Która w przyszłości, z jakichś niepojętych powodów, miała postanowić, że swoje największe błędy odpokutuje poprzez swe dzieci.

Podobno jako dziecko była bardzo szybka, szybka w myśleniu, w żądaniach, mówiono więc o niej „śmigło”.

Przyszła na świat w roku wstrząsu i zmian, w roku nowej nadziei, w olbrzymim państwie, które dziś już nie istnieje. Jej ojciec przyjechał na urlop ze swej utrzymywanej w ścisłej tajemnicy misji i spędził kilka tygodni w zachwycie i podziwie u boku wyczerpanej żony i ciągle śmiejącej się córki. Oczywiście i spokój, z jakimi Kristine i Stazja towarzyszyły narodzinom Elene, wydały się Nanie o wiele zdrowsze niż chora troska członków jej własnej rodziny. Nana zamykała się w swoim zaciemnionym pokoju, kiedy zmęczyły ją odwiedziny ciotek i matki, udzielających jej dobrych rad. Tutaj czuła się bezpieczna i wbrew namowom krewnych i przyjaciółek nie zdecydowała się pojechać razem z mężem na jego placówkę.

Kiedy Kristine dowiedziała się o śmierci Małego Wielkiego Człowieka, przyniosła ze strychu stary gramofon i nastawiła *Normę*. Stała w oknie i patrząc w głąb ogrodu, słuchała muzyki, która niosła się po całym domu. Jej kamienna twarz nie zdradzała ani bólu, ani przestachu, że spełniło się przekleństwo związane z gorącą czekoladą. Jej siostra miała rację!

Od tego dnia jej obsesją stało się kupowanie nagrań operowych. Nie było sumy, której nie byłaby gotowa wydać na nową płytę. Po niecałym roku, gdy moja matka zaczynała niepewnie stawiać pierwsze kroczki, Kristine dysponowała już imponującą kolekcją od Purcella do Pucciniego. W godzinach wieczornych cały dom wypełniały soprany i basy płynące z gramofonu. Im cieplej było na zewnątrz, tym szybciej głosy te brały w posiadanie całe otoczenie i zdziczały ogród, wlewały się w wąskie, brukowane kocimi łbami uliczki tej części miasta, docierały nawet do szczytu wieży starej, opuszczonej cerkwi.

Kristine słuchała jak zaczarowana i nie ściszała muzyki. Sąsiedzi więc w końcu zrozumieli, że odtąd będzie to stała oprawa każdego ich dnia.

Z nastaniem wolności, z narodzinami Elene i jej pierwszymi kroczkami do domu w Tbilisi wkroczyło rozprężenie.

Rośliny w ogrodzie jak szalone wystrzeliły w górę, a potem z wolna zaczęły wchodzić do domu. Meble zaczęły wydawać dziwne dźwięki, a wszelkiego rodzaju ptactwo urządzało swoje zloty na dachu willi. W domu zagnieździły się motyle i pasikoniki, wokół wałęsały się tabuny kotów, pojawiły się też

wiewiórki i kuny.

Dom ożył. Rozsadzał ciasny gorset, który przez lata go ścisnął. Był pełen odgłosów, gościnny, słyszalny i widoczny.

Dawnym mieszkańcom domu jego nowy charakter zdawał się nie przeszkadzać. Przeciwnie – z radością witali pająki i motyle, nie przycinali roślin w ogrodzie, nawet żaby, które zadomowiły się w fontannie, zostawiali w spokoju. Tynk, który od czasu do czasu spadał z sufitu, leżał nieusunięty. Nie ścierano osiadającego wszędzie kurzu. Do tego wszystkiego Stazja kupiła siwą papugę z domowej hodowli i nadała jej imię Goya. O naczynia i klosze lamp, które padały ofiarą przelotów Goi, nikt się nie troszczył.

Tylko Nanę irytowało to szybko postępujące zapuszczenie domu i wszelkimi środkami próbowała z nim walczyć. Przepędzała hałasujące ptactwo, szorowała i pucowała, co się dało, chowała rozrzucone bez troski płyty, by ukrócić fundowaną wszystkim głośną muzykę. Tępiła robactwo, odganiała koty, a żabom wsypywała do fontanny truciznę. Wypłakiwała się Kostii do słuchawki, skarżąc się na dziwaczność teściowej i prowokacyjną beczynność Kristine. Prosiła, by pomówił z matką i ciotką, bo nie są dla ich dziecka dobrym przykładem. Elene będzie wzrastać w chaosie, co nie skończy się dobrze. Widząc zapuszczenie domu i niedbalstwo teściowej i jej siostry, Nana postanowiła, że nie wróci na razie na uniwersytet, zawiesi pisanie pracy doktorskiej i skupi się wyłącznie na roli matki.

Mój dziadek, będąc daleko, przyjął do wiadomości ten stan rzeczy, lecz niewiele mógł zmienić. Było to brzemie, które Nana dźwigała przez całe życie. Chociaż Kostia, słysząc skargi Nany, zawsze spieszenie posyłał jej pieniądze, a to na nowe tapety w pokojach, a to na naprawę rolet czy kupno mebli ogrodowych w hollywoodzkim stylu, i mimo że Nana zatrudniła ogrodnika do przycinania dziko rozrastających się roślin, dom przeobraził się w krainę elfów, jakby dopiero teraz rozpoznał swoje prawdziwe przeznaczenie i w pełni się nim rozkoszował.

Dla mojej matki miejsce to było w dzieciństwie zaczarowaną krainą. Gdy tylko Nana oddawała ją pod opiekę teściowej i jej siostry (co czyniła niechętnie, jako że nie ufała ich metodom wychowawczym), świat Elene zmieniał się w krainę nieograniczonej swobody, w której mogła bawić się z papugą, tarzać się w błocie, tłuc naczynia, wspinać się, biegać i tupać, pałaszować słodczyce, ciągnąć Kristine za włosy i wyczyniać grymasy, w czym naśladowała Stazję. W tym zaczarowanym domu wszystko było możliwe, wszystko osiągalne.

Na XX Zjeździe w 1956 roku pierwszy sekretarz Nikita Chruszczow w swoim początkowo tajnym, wkrótce jednak znanym na całym świecie przemówieniu poddał ostrej krytyce działania Generalissimusa, używając kilkakrotnie słowa „zbrodnie” w odniesieniu do brutalnych czystek przeprowadzanych z jego rozkazu. Mówił o „masowej zagładzie” i „egzekucjach bez sądu”, mówił też o własnej odpowiedzialności i na końcu zadał pytanie: „Czy możemy zachowywać się tak, jakbyśmy nie wiedzieli,

co się stało?”. Zapadła wtedy porażająca cisza, bo prawie wszyscy obecni, łącznie z pierwszym sekretarzem, z nadzwyczajną gorliwością współdziałali w owych aresztowaniach i egzekucjach. Już samo tylko nazwanie faktów po imieniu było niesłychane, bo podważało obowiązujące dotąd prawa, struktury i wewnętrzne umowy. Przemilczanie i traktowanie jako tabu pewnych praktyk politycznych umożliwiała do tej pory utrzymywanie stabilizacji w kraju. Teraz nikt nie wiedział, jaki skutek wywoła wypowiedź pierwszego sekretarza.

Kiedy jego przemówienie przedostało się do wiadomości publicznej, na ulicach Tbilisi zaczęli demonstrować studenci. Poczuli się oszukani. Oto ich wielki krajan, który przez dziesiątki lat dźwżył ster potężnego radzieckiego imperium, został uznany za przestępcę. Nawet ludzie, których ojcowie i dziadkowie padli ofiarą polityki Generalissimusa, nie mogli się pogodzić z taką oceną Wodza. To, co ogłosił ten ukraiński gbur, było niesłychane. Studenci wylegli na bulwary i ulice, otoczyli uniwersytet, zablokowali skrzyżowania. Buntowali się przeciwko nowej prawdzie, ponieważ ofiary już dawno stały się sprawcami, a sprawcy ofiarami. Ten system nadal domagał się nieustannych danin, panował lęk przed wspomnieniami, przed ujawnianiem faktów z przeszłości, bo niejednemu usunęłyby one ziemię spod nóg, a życie wielu zmieniłoby nie do poznania. Jak miało się teraz żyć z tą przeklętą prawdą?

Kiedy ludzie ze służby bezpieczeństwa – ci sami, którzy jeszcze przed paroma laty strzegli innej prawdy – stanęli przeciw studentom, stało się jasne, że nowa prawda jest w środku pusta, nie niesie z sobą rzeczywistych konsekwencji. Tu i ówdzie coś się wprawdzie poluzuje, odsłoni się kilka miejsc, przez które będzie można spojrzeć na własne życie z innej perspektywy, ale któż tego w końcu chce? Co począć z taką perspektywą, poza tym że przyjmie się za pewnik prawdę, której ciężar powala?

To, czego nie można opisać, ciągle tworzy mur wokół tego, co daje się opisać, Brilko.

Komitet Centralny zaczął od tego, że ogłosił ryzykowną zmianę, która weszła do historii pod nazwą „odwilży”. Uważam, że ten moment w historii Związku Radzieckiego był niezwykle i zdumiewający i w niepojęty sposób nie został wykorzystany. Gdyby jeszcze bardziej umocniono ego Chruszczowa, gdyby pozwolono mu dłużej grać rolę bohatera i wyzwoliciela, oczekiwać głębszej skruchy i aktów pokuty władzy, wtedy, być może, pociągnęłoby to za sobą głębokie reformy. Reformy, które miałyby prawdziwe podstawy, a nie sprowadzały się do śmiesznych zakazów udających początek zmian.

Złagodzone cenzurę, pozwolono wydawać książki figurujące dotąd na indeksie, ograniczono potęgę służby bezpieczeństwa, zabroniono stosowania tortur, pozwolono wykonywać muzykę, jakiej nikt dotąd tu nie słuchał, udzielano głosu ludziom, którzy wcześniej go nie mieli. Likwidowano gułagi, zwalniano więźniów politycznych, setki tysięcy ludzi uznano za niewinnych. Budowano nowe dzielnice mieszkaniowe, wielu wyprowadziło się z prymitywnych mieszkań komunalnych i dostało własne łazienki i kuchnie, co do tej pory było niewyobrażalnym luksusem. Ludzie zyskali wreszcie jakąś sferę intymną. I byli wdzięczni władzy za ten ochłap wolności, który im rzuciła dla uspokojenia nastrojów.

Jednak płachetek wolności został dokładnie odmierzony. I im bardziej w mglistą przeszłość odchodził XX Zjazd, tym silniejsza stawała się dla rządzących pokusa, by znowu pokazać swą siłę, pozwolić jej się ujawnić z nową mocą.

Kiedy fala buntu ogarnęła inne kraje Europy Wschodniej i węgierscy studenci wyszli na ulice, żeby wyrazić swój protest, sięgnięto po dawne, sprawdzone metody i znowu doszło do przelewu krwi. Komunistyczne władze obawiały się utraty wewnątrzpartyjnej kontroli, ściągnęły więc mocno cugle. Padły groźby, przeciw protestującym wysłano wojsko i wszyscy, którzy wierzyli w możliwość reform i wyszli na ulicę, szybko zostali przywołani do porządku. Tak przywrócono „pokój”.

Nana pojechała z Elene na północ, nad zimne morze, jak zawsze nazywała wszystkie morza, które nie były Morzem Czarnym. Po raz pierwszy odwiedziła świat Kostii. Weszła do pięknego mieszkania w starej kamienicy, urządzonego, jak stwierdziła, skromnie, ale ze smakiem. Sprawiały jej przyjemność długie spacery promenadą i widok portu późnym wieczorem. Dziwiła się krzakom malin i jagód porastających obrzeża dróg za miastem, gdy jeździła z Kostią jego wołgą do daczki któregoś z jego przyjaciół albo zakosztować gorąca ruskiej bani. Lubiła koncerty muzyki klasycznej w Kisłowodzku, dokąd oboje jeździli na przedłużone weekendy na kuracje wodne.

Zadowolona była z możliwości, jakie dawało stanowisko Kostii, i poważania, jakim się cieszył. Cieszyła ją uważność męża, prezenty, rzadkie, lecz tym cenniejsze wspólne wieczory spędzane w domu, wspólne śniadania i kolacje. Cieszyła ją jego troska o Elene, jego zachwyty nad nią. Kostia, przepełniony dumą i miłością, zwariował na punkcie pucołowatej, żywej córeczki. Nana zastanawiała się, czy te wieczory we troje, te długie spacery wzdłuż morza można nazwać szczęściem i czy tak właśnie wygląda miłość.

Wiele wysiłku wkładała w to, żeby być dobrą żoną i z szacunku dla męża nie zwierzała mu się ze swej skrywanej awersji do tak jej obcego stylu życia Stazji i Kristine. Chciała też być dobrą matką dla Elene, której stawiała granice, ale też poświęcała wiele uwagi. Próbowwała interesować się pracą męża, choć nie było to łatwe. Od czasu narodzin Elene dopadła ją jednak jakaś melancholia, dotychczas obca jej naturze. Od kiedy zamieszkała z dziwną teściową i jej siostrą, od kiedy weszła w tę rodzinę, czuła w sobie dziwny ołowiany ciężar – nie poznawała się.

Kostia z pewnością był dobrym mężem, w każdym razie wszyscy wokół niej tak uważali. Do niczego jej nie zmuszał, nawet swoje pragnienia podporządkował jej pragnieniom, nie ciągnął jej na siłę do siebie, w dalekie strony, choć miałby do tego pełne prawo. Umożliwiał jej dobre życie, był uważny, szarmancki, dla córki był wymarzonym ojcem, a mimo to niekiedy, gdy wyszedł do pracy, był zajęty w porcie albo na którymś z frachtowców, Nana czuła odrętwienie, jakby rodzina odebrała jej wszelką siłę przeciwstawiania się, jakby żyjąc z teściową i jej siostrą, dwiema oderwanymi od życia istotami, dobrowolnie zrzekła się odpowiedzialności za swoje życie. Jej wysiłki zmierzające do utrzymania

porządku w domu i tęsknota za jasnymi, trwałymi zasadami w życiu codziennym chwilami zdawały się jej pozbawione sensu.

– Nigdy nie rozmawiacie o przeszłości, Kostia. Ani twoja matka, ani ciotka, ani ty. Dlaczego? Niewiele o was wiem. Ostatnio znalazłam na strychu skrzynkę ze starymi fotografiami. Nie macie nawet prawdziwego rodzinnego albumu. To dziwne.

Tego popołudnia spacerowali po plaży. Kostia uśmiechał się do Elene, która była zajęta rysowaniem na wilgotnym piasku, i pochłonięty obserwowaniem córki, nie dosłyszał pytania.

– Jaka ona śliczna! Kolega, którego spotkaliśmy wczoraj na obiedzie, ciągle to powtarzał. Nie uważasz, że Elene jest wyjątkowo ładnym dzieckiem?

– Widzisz, gdy o coś pytam, wy wszyscy zmieniacie temat, wszyscy, jakby to była wasza cecha rodzinna.

– Co chcesz wiedzieć? – Kostia wpadł w rozdrażnienie.

– Jesteś szczęśliwy? Nie wiem nawet, czy jesteś szczęśliwy. Ze mną.

– O to się nie pyta, Nano. Coś takiego się czuje.

– Ale ty jesteś zawsze... hm... opanowany.

– A ty nie jesteś?

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Nie.

– To brzmi nieco naiwnie, nie sądzisz?

– Niech sobie brzmi, jak chce, ale ja po prostu nie wiem. Nie rozumiem tego.

– Widzisz. Problem, który przypisujesz innym, tkwi w tobie. To ty jesteś niezadowolona. Ja ci w niczym nie przeszkadzam, nie ograniczam cię, czyż nie?

– To prawda.

– Więc zapytaj sama siebie, dlaczego tak jest. Mamy uroczą córkę, dobre życie...

– Tak, wiem. Masz rację. Przepraszam.

W tym momencie Elene narysowała okrągłą buzię z dwoma kropkami jako oczami i szerokimi ustami, do tego dodała gęste loki i krzyknęła z zachwytem:

– Kitty!

Kostia i Nana podeszli do córki, która zachwycona i dumna wskazywała na swoje dzieło, spoglądając w górę na rodziców i spodziewając się pochwały.

– Skąd jej to przyszło? – Kostia spojrzał na żonę, która z niedowierzaniem kręciła głową. – Skądś musiała się dowiedzieć. Rozmawialiście może o niej? Mam na myśli dom. Wiesz, że to niebezpieczne, a moja matka powinna to wiedzieć najlepiej. Tyle razy was prosiłem, żeby na ten temat...

– Ja nigdy nie rozmawiam o twojej siostrze.

– Elene sama sobie tego nie wymyśliła, prawda?

– Elene, kochanie. – Nana pochyliła się nad córką. – Kto to jest, powiedz mamie jeszcze raz. Kogo narysowałaś?

A dziecko powtarzało ciągle, zadowolone z siebie:

– Kitty, Kitty, Kitty.

Tej nocy małżonkowie leżeli w masywnym dębowym łożu i milczeli. Kostia odwrócił się do ściany, a Nana zamknęła oczy w nadziei, że odpłyną od niej jej pytania i niezadowolenie. W końcu nie wytrzymała, usiadła na łóżku i zapaliła lampkę nocną.

– Gdzie ona jest? Wiesz przecież gdzie.

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz? Przecież wywiozłeś ją z kraju.

– Nie wiem i daj z tym spokój. Nie chcę, żebyście rozmawiały o tym przy Elene. Zrozumiałaś?

W jego tonie pojawiło się coś nieustępliwego, nieznośnego sprzeciwu, czego Nana jeszcze nie знаła.

– Co ona zrobiła?

– Przestań, powiedziałem!

Ryknął tak, że Nana aż podskoczyła i zasłoniła sobie uszy. Jej mąż nigdy jeszcze na nią nie krzyknął. Przestraszyła się. Przestraszyła się człowieka, z którym dzieliła łóżko, który pewnej ciemnej nocy spłodził z nią dziecko i który żadnej z kolejnych miłosnych nocy nie wydał z siebie dźwięku. Poczowała lęk przed milczeniem, które ją otaczało, i przed własną, narastającą bezsilnością.

– Co się z tobą dzieje? – spytała Nana cicho, wstała, przeszła na jego stronę i usiadła na brzegu łóżka.

– Nie lubię oglądać się za siebie.

– Ależ Kostia, tak nie można żyć.

– Tak trzeba. Wszystko inne prowadzi donikąd.

Nana, przygnębiona tą rozmową, objęła męża za szyję, mając nadzieję, że złagodnieje pod wpływem jej czułości. Ustąpił, pozwolił się całować i przytulać, a w końcu znalazł się nad swoją żoną, która od czasu porodu stała się okrągłejsza, gładsza w dotyku, która pachniała rodzynkami i świeżym chlebem i której włosy sięgały do bioder. Żoną, która była ciągle jeszcze młoda, promienna, w rozkwicie. Jedną ręką podciągnął w górę jej koszulę nocną, druga powędrowała ku komodzie stojącej przy łóżku, by zgasić nocną lampkę, jak zawsze, kiedy chciał się z nią kochać.

– Zostaw światło – szepnęła Nana, lecz w odpowiedzi usłyszała zdecydowane „nie”.

Nie dyskutowała. Dotykał jej brzucha, piersi, szyi, jak zawsze, kiedy z sobą spali, sprawiał wrażenie trochę zdystansowanego, trochę zdecydowanego, trochę nieobecnego. Wcześniej ten rodzaj bliskości traktowała jak coś normalnego, oczywistego, uważała, że tak ma być. Nie miała wprowadzić żadnego

porównania, lecz miała wystarczająco dużo intuicji, żeby z czasem spostrzec, że gra miłosna powinna składać się z czegoś więcej niż tylko z szybkich, przypominających napad ruchów jej męża, z zawsze takiego samego aktu bez słów.

Wyswobodziła się, położyła się na nim, delikatnie odsunęła jego rękę i zaczęła całować jego jędrne i mocne ciało. Posuwała się po omacku, badała każde miejsce, każde zgrubienie, każdy pieprzyk i zagłębienie. Miała nadzieję, że pożądanie wydobędzie z niego jego tajemnice, że to uczucie, które ogarnęło ją nagle tak mocno, jak nigdy wcześniej, udzieli się również jemu. Tak bardzo pragnęła odpowiedzi, tak bardzo chciała poznać go tej nocy, zobaczyć jego prawdziwe oblicze, móc głębiej w niego zajrzeć. Tak bardzo życzyła sobie, żeby raz porzucił swą żelazną dyscyplinę i samokontrolę i razem z nią wyruszył odkrywać nowe, nieznanne drogi. Powinien uwolnić się od siebie, przynajmniej raz zapomnieć się w jej ramionach! Posuwała się dalej, szukając miejsc, które by go na nią otwarły. Przez chwilę zdawało się jej, że znalazła tę drogę, bo nie stawiał oporu. Pozwalał się dotykać, ciężko oddychał, zamknął oczy, potem chwycił ją, bezwzględnie. Przemogła skrepowanie, które nie było wprawdzie wypowiedziane, lecz które wyznaczało trwałe granice, i wyprostowała się nad nim. Coś jej mówiło, że ten rodzaj namiętności, ten brak hamulców jest mu znany i że stoi za tym inna kobieta. To ją przestraszyło. I gdy Kostia z zaciśniętymi powiekami wyładowywał swe pożądanie, które ona przyjmowała w zastępstwie tamtej, innej, Nana obiecywała sobie, że nigdy już nie będzie się z nim w taki sposób kochać, bo teraz nie było już odwrotu od tego, co objawiło jej się tak okrutnie i nieomylnie, że nie ona jest obiektem miłości swego męża.

Tej nocy pojęła, że Kostia w głębi duszy nie był zdolny zapomnieć – kurczowo trzymał się przeszłości i właśnie dlatego zabraniał sobie wszelkich wspomnień. Miało jeszcze potrwać, zanim się dowie, że niezmordowanie szukał punktu między morzem a horyzontem, w którym możliwe byłoby spotkanie przeszłości z terażniejszością, i że niemożliwość znalezienia tego miejsca popychała go w ramiona kolejnych pięknie pachnących kobiet.

Po tamtej nocy nie wywarło to już na niej mocnego wrażenia.

Czuła ukłucia żalu, lecz nie potrafiła rozpaczać z tego powodu ani próbować temu zapobiec. Zdołała zaakceptować obojętność wobec pewnych spraw jako trwałą cechę swej życiowej postawy. I wkrótce zbudowała wokół siebie pancierz, w dosłownym sensie tego słowa: po powrocie od Kostii w swe rodzinne strony Nana zaczęła tyć, po trosze, stopniowo, aż obwód jej ciała stał się murem, który przestał przepuszczać uczucia.

Dzięki wpływowym przyjacielom Amy Kitty udało się szybciej, niż myślała, otrzymać pozwolenie na pobyt stały i na pracę. Grupa jej fanów ciągle rosła, a Amy niestrudzenie rozślawiała swą protegowaną. Wiele klubów dopytywało się o tajemniczą socjalistyczną gwiazdkę. Kitty zaczęła wkrótce zarabiać tyle, że mogła płacić Amy czynsz – wprawdzie znacznie niższy od sumy, jakiej ta mogłaby żądać – lecz i tak

świadomość niezależności była lekiem na nadwątloną dumę dziewczyny.

Po latach praskiej posuchy nadszedł czas muzycznego rozkwitu. Kitty komponowała i śpiewała. Poprosiła Amy o przełożenie swoich tekstów, a w końcu podpisała z nią umowę: Amy została jej menedżerką. Ambicją Amy było, by Kitty nagrała płytę. Nie ustawała w wysiłkach, by przekonać Brytyjczyków, jak szlachetnie jest pomóc utalentowanej i kochającej wolność uciekinierce z kraju politycznego wroga i stworzyć jej możliwości rozwoju. Amy rozwinęła swoje talenty organizacyjne i zaplanowała karierę Kitty w najdrobniejszych szczegółach.

Kitty zaś cieszyła się, że może zajmować się muzyką i zarabiać. Nie oczekiwała niczego więcej i sceptycznie traktowała ambitne próby Amy uczynienia z niej gwiazdy. Jednocześnie jednak z żalem stwierdzała, że odczuwa brak pewnego głosu – jej bezimienny przyjaciel dzwonił coraz rzadziej, bo uznał, że jego pomoc nie jest już jej tak potrzebna. Jeśli rozmawiali, to tylko o rzeczach niezbędnych. Zapewniał ją, że jej rodzinie w kraju wiedzie się dobrze, mówił o ogólnej sytuacji politycznej i – jak zawsze – milczał na swój temat.

Amy przyzwyczała się już do tych rozmów i nie pytała o nic, choć początkowo jej to przeszkadzało, bo był to temat tabu. Kitty nigdy nie wspominała o nich ani słowem. Amy zaakceptowała te rozmowy jako część przeszłości, do której Kitty nie pozwala nikomu zajrzeć. Kilkakrotnie zauważyła też, że Kitty opowiada na swój temat rozmaite i sprzeczne z sobą historie – niczym w akcie świadomej taktyki obronnej. Nigdy nie ujawniła też prawdziwych powodów swej ucieczki z kraju, a jeśli już o czymś mówiła, to z rzadka o rodzinie. Poza tym po tych telefonach była zwykle w dobrym nastroju i od razu zaczynała komponować, co w końcu Amy także przynosiło korzyść.

Również tego wieczoru Kitty zamknęła się w pokoju, czekając na telefon. Jej bezimienny przyjaciel nigdy dotąd nie zawiódł. Lubiała tę jego solidność. Przygotowała sobie szklaneczkę ginu z tonikiem i czekała na łagodny, dobrze znany głos. Czasami przed oczyma stawała jej twarz: wyobrażała go sobie jako pewnego siebie rosnącego mężczyznę o delikatnych rysach i gęstych, falistych włosach. Jego głos zasługiwał na odpowiednie ciało.

– Cieszę się, że pan dzwoni.

– A ja się cieszę, że panią słyszę.

Czuła lekkie zmieszanie na drugim końcu linii.

– Czy nadal będzie pan do mnie dzwonił?

– Ależ właśnie dzwonię do pani.

– Ale czy także wtedy, gdy nie będzie pan musiał?

– Jeśli pani tego chce.

– Chcę. Boję się, że nasze rozmowy kiedyś się skończą.

– Będę do pani dzwonił dopóty, dopóki będzie pani mnie potrzebować.

– Nie chodzi tylko o to.

– A o co jeszcze?

– Nie wiem. Pan jest dla mnie... ważny.

– Dziękuję. Myślę, że powinienem dać pani jeszcze kilka rad związanych z nowym pozwoleniem na pracę...

– Nie chcę teraz o tym rozmawiać. Czy mogę pana o coś zapytać?

– Oczywiście.

– Czy jest pan tu, w tym samym mieście?

– Skąd pani to przyszło do głowy?

– Pan tu jest.

– Pani wie, że nie wolno mi niestety...

– No dobrze. Lubi pan kasztany? Widziałam dziś kasztany. Lubię je. Przypominają mi dom rodzinny, dzieciństwo. Andro i ja... zbieraliśmy je zawsze jako dzieci.

– Tak, lubię kasztany.

– Co jeszcze pan lubi?

– Lubię muzykę. Lubię też pani muzykę.

– Nie zna pan przecież mojej muzyki.

– A jednak znam.

Kitty zastanawiała się przez chwilę. To jasne, że był w Londynie. Żyli pod tym samym niebem, na tych samych ulicach, wśród tych samych stacji metra i tych samych twarzy. Wśród tego samego deszczu, pod tym samym słońcem. Ta myśl była pocieszająca. Może bywał w klubie wśród słuchaczy, choć w gruncie rzeczy nie mogła sobie wyobrazić wytwornego mężczyzny wśród klubowej publiczności.

– Bardzo chciałabym wiedzieć, dlaczego pan to wszystko robi. I jak się pan nazywa.

– Może mnie pani nazywać, jak pani chce, już to pani mówiłem. Z przyjemnością przyjmę imię, jakie pani wymyśli.

– Nic nie przychodzi mi do głowy, żadne imię nie jest dla pana... dostatecznie dobre.

Zaśmiał się, a robił to rzadko.

– Wszystko u pani w porządku, Kitty? – zapytał i jego głos znowu brzmiał powściągliwie.

– Nie wiem. Czuję w sobie zamęt.

– Co skłania panią, by pozwolić na ten zamęt?

– To też w panu lubię. Ten sposób wysławiania się: „Co skłania panią, by pozwolić na ten zamęt?”.

To urocze. Wydaje mi się, że jest pan marzycielem, a tacy zawsze mnie przyciągali.

– To mi pochlebia.

– Zdaje mi się, że jestem zakochana.

– To wspaniale.

W jego głosie nie czuło się radości. Był bardzo poważny.

– Nie jest wspaniale. Wydaję się sobie śmieszna i głupia. Nie mogę sobie na to pozwolić.

– Dlaczego nie? Czy istnieją okoliczności niesprzyjające?

„Teraz na pewno uśmiecha się pod nosem”, pomyślała Kitty. Nie chciała ciągnąć tego tematu, choć czuła potrzebę porozmawiania z nim o tym.

– Tak wiele bym dała za to, by móc zobaczyć pana twarz – powiedziała.

Znowu irytujące milczenie po drugiej stronie.

– Proszę robić, co uważa pani za słuszne, i nie myśleć o przeciwnościach losu. Prawie wszystkie niesprzyjające okoliczności, które za takie bierzemy, po jakimś czasie wydają się nam tylko śmieszne, nie uważa pani?

Owego somnambulicznego popołudnia z Billie Holiday jako motywem w tle Kitty opuściła atelier Fred, mówiąc wyraźnie „nie”. Kiedy zaczynała myśleć o rudowłosej Fred, czuła, że dochodzi do jakiejś wewnętrznej granicy. Zaplątała się. Owego popołudnia wybiegła, nie chcąc przekroczyć kolejnej. Pokonując granice państw, Kitty skapitulowała przed innymi granicami. Bała się konsekwencji swego „nie”, a jeszcze bardziej możliwego „tak”. Bała się, że opuści świat, który był uważany za jedyny słuszny i podzielony na mężczyzn i kobiety. Bała się utraty życzliwości Amy.

Tego popołudnia Kitty postanowiła zatrzymać się i już nie eksperymentować, zapewne czując, że ta, od której właśnie się odwróciła, wcale nie chce się zatrzymać. Wiedziała, że miała do czynienia z osobą pozbawioną wszelkich hamulców, z kuglarką, z tancerką na linie.

Wróciła pod opiekę swojej protektorki, której sensem życia stała się pomoc w jej karierze. A Kitty nie chciała jej tego odbierać.

Dwa tygodnie po wizycie w atelier Fred Kitty zobaczyła Amy w jej obszernym, przeładowanym meblami salonie łkającą na sofie. Kiedy ostrożnie zapytała o przyczynę płaczu, Amy powiedziała, że Fred wyjechała do Ameryki i nie wiadomo, kiedy wróci. Przyjęła zaproszenie pewnego bostońskiego wytwórcy tekstyliów, który potrzebował pomocy przy zakupie dzieł sztuki oraz stworzeniu nowej galerii i zaproponował Fred, by wystawiała w niej swoje obrazy. Przyjaciółka zlikwidowała więc atelier i zostawiła Amy wiadomość na serwetce. Napisała, że wkrótce się odezwie i że może będzie w stanie, dzięki nowemu źródłu dochodów, zaprosić ją na weekend do Hampton. W postscriptum były pozdrowienia dla „małej, bojaźliwej podopiecznej, która niestety tak nisko się ceni”. Amy teatralnym gestem cisnęła serwetkę pod nogi Kitty.

Nieobecność Fred miała trwać dwa lata i mimo smutku, otwarcie manifestowanego przez Amy i ukrywanego przez Kitty, spowodowała, że obie osiągnęły w tym czasie swą najwyższą formę. Jakby Fred Lieblich chciała pozostawić wolną przestrzeń obu damom swego serca.

Amy, zachęcając Kitty do nagrania pierwszego anglojęzycznego albumu *You and I*, powtarzała, że po latach chudych nadchodzą wreszcie lata tłuste. Akcent, twierdziła, jest znakiem rozpoznawczym Kitty i w żadnym razie nie powinna się go pozbywać. Gdy pierwsza piosenka pojawiła się na falach eteru, Kitty zaproszono na wywiad do radia w towarzystwie jej menedżerki. Kitty otrzymywała teraz propozycje od klubów znacznie bardziej liczących się niż dotychczasowy. Amy zaczęła myśleć o pierwszym publicznym koncercie. Kitty opowiadała dziennikarzom o swojej smutnej przeszłości, przy czym za każdym razem była to jej nieco inna wersja. Amy starała się nadać im wszystkim jakąś spójność. Im smutniej brzmiały te historie, tym bardziej realne były widoki na otrzymanie przez Kitty angielskiego obywatelstwa.

Królował styl rockabilly, nadchodził czas Elvisa oraz ognistego rock'n'rolla. Kitty, która nigdy nie chciała przynależeć do żadnej grupy ani dopasowywać się do mody, dzięki Amy oraz swojej wschodniej *pureness*, dzięki rosyjskiej narodowej polifonii i sile melodii swojej muzyki stała się rozpoznawalną piosenkarską osobowością.

Jej śladem poszłaś ty, Brilko, szukając samej siebie, a jednocześnie zakazując sobie być sobą z obawy, że nie ujdiesz pogoni duchów idących za tobą trop w trop, gdy szukasz nowego początku swojej historii, splecionej ściśle z moją historią i historią naszej rodziny.

Spis treści

[Karta tytułowa](#)

[Prolog albo partytura zapomnianego](#)

[Księga I. Stazja](#)

[Księga II. Kristine](#)

[Księga III. Kostia](#)

[Księga IV. Kitty](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału: *Das Achte Leben (für Brilka)*

[Teil 1]

© 2014 by Frankfurter Verlagsanstalt GmbH, Frankfurt am Main

Copyright © for the translation by Urszula Poprawska

Tłumaczenie niniejszego dzieła zostało wsparte w formie grantu udzielonego przez Goethe-Institut, który jest finansowany przez niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych



Opieka redakcyjna: Robert Chojnacki

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Bogumiła Ziembła / Wydawnictwo JAK

Korekta: Maria Armata / Wydawnictwo JAK,

Bogumiła Ziembła / Wydawnictwo JAK

Łamanie: Andrzej Choczewski / Wydawnictwo JAK

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce:

sklejone portrety dwóch kobiet – © Nick Dolding / Getty Images;

bluzka z kołnierzykiem – © iStockphoto.com / SuperflyImages;

upięte włosy – © YuriyZhuravov / Shutterstock.com;

zdjęcie ryciny przedstawiającej krajobraz Kaukazu

(okładka i wyklejka) – © iStockphoto.com / ilbusca

ISBN 978-83-751-5731-4

Wydawca dołożył wszelkich starań, aby podać źródła cytatów. Cytaty nieopisane bibliograficznie – w przekładzie tłumaczki



www.otwarte.eu

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków, tel. [\(12\) 427 12 00](tel:124271200)

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak, w której można kupić książki Wydawnictwa

Otwartego: www.znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

